Biblioteka Sejmu Śląskiego
451-1
A-90 Bkn

56
Fr. Spandlowski
introligatornia
Wielkie Piekary

Tom 136. Nr. 406.

PRZEGLĄD POLSKI.

ROK TRZYDZIESTY CZWARTY.

kwartał IV

Zeszyt X. Miesiąc Kwiecień 1900 r.

25
E 95 III.
Redakcya „Katolika“.

W KRAKOWIE,
Administracya i ekspedycya w Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.
1900.

4501.1900.34.4
X-11214
4501/II
34/1900
4.kJ.
30,00 9/-

SPIS RZECZY.

str.

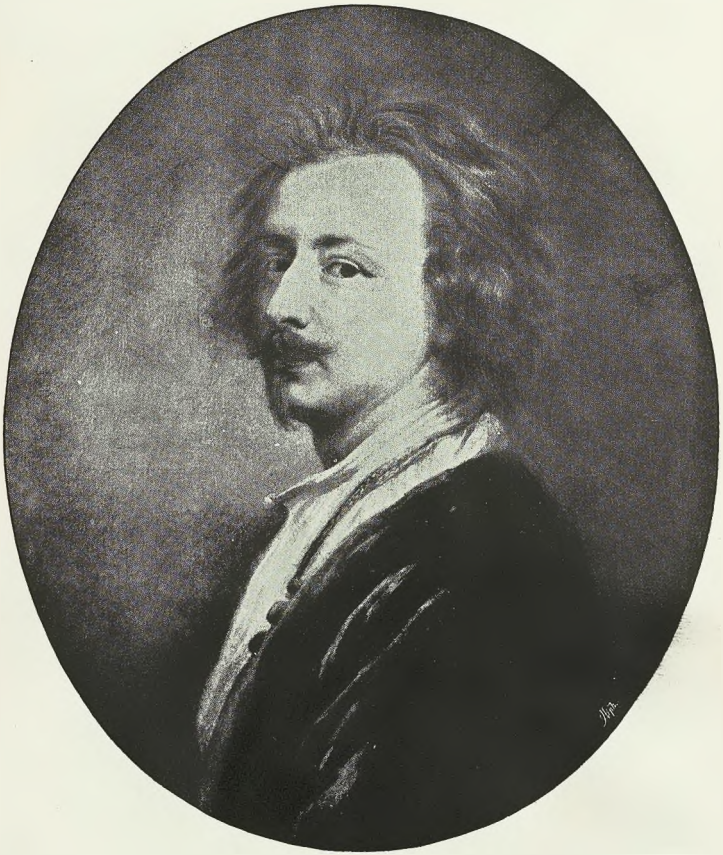
I. Van Dyck na wystawie w Antwerpii w r. 1899 (z portretem), przez Dr. Jerzego Mycielskiego 1
II. Otchłań, dramat w 4 aktach, przez Tadeusza Konczyńskiego 28
III. Wiktor Hugo i jego korespondencya, przez Dr. Tadeusza Grabowskiego 64
IV. Karty z życia Chopina (z nutami) (dokończenie), przez Adolfa Strzeleckiego 83
V. Najnowszy utwór Ibsena: „Gdy my umarli obudzimy się“, przez Dr. Józefa Flacha 122
VI. Kronika literacka 132

X. A. Jougan: Constitutum Constantini. — S. Kłobukowski: Wspomnienia z podróży po Brazylii, Argentynie, Paragwaju, Patagonii i Ziemi Ognistej. R. von Gottschall: Aus meiner Jugend. — E. Hanslick: Am Ende des Jahrhunderts, 1895-1899. („Moderne Oper“, VIII Theil). — S. Lee: A life of William Shakespeare.

Z literatury powieściowej. C. von Czajkowski: Kreuzigt ihn! — F. Skowronnek: Masurenblut. — M. Alexander: The cost of her pride. 2. t. — M. Alexander: Brown V. C. — A. Conan-Doyle: A duet.

VII. Teatr krakowski, przez Dr. Feliksa Konecznego 155
VIII. Przegląd polityczny, przez *** 179
IX. Floryan Ziemiałkowski. Wspomnienie pośmiertne, przez Stanisława Tarnowskiego 188

☞ **Adres Redakcyi: Rynek główny Nr 44, II piętro.**



ANTONI VAN DYCK

(1599—1641)

Portret własny w galeryi Luwru.

Van Dyck

na wystawie w Antwerpii w r. 1899.

I.

Jeden z najwytworniejszych i najdelikatniejszych dziś znawców sztuki we Francyi, p. Robert de la Sizeranne, nazwał niedawno w pełnym niezmiernie bystrych spostrzeżeń artykule w *Revue des deux Mondes,* wielkie galerye obrazów „więzieniami sztuki". Dużo jest prawdy w tem nieco nadto złośliwem określeniu, ale jedna za to tkwi w niem wielka nieprawda, a mianowicie, jakoby te więzienia więcej sztuce szkodziły, niż jej pożytku przynoszą, a zwłaszcza niż go jej przyniosły. To nie ulega wątpliwości, że w tych olbrzymich falansterach, czy to naukowo i objektywnie, czy fantastycznie i subjektywnie rozwieszone obrazy wszelkich epok i szkół, duszą się niby, krzyczą na siebie, a niekiedy wprost samem swem sąsiedztwem sobie złorzeczą — ale swoją drogą gdyby owych więzień już blizko od trzech stuleci nie było, nie połowa, ale znacznie jeszcze większa część tych utworów sztuki nie byłaby się po nasze czasy ostała. Zbiory i galerye publiczne i prywatne grały tu i mimo swych wszystkich stron ujemnych grają dotąd rolę najwięcej absolutnych konserwatorów i im zawdzięczamy w najszerszej mierze to, co wieki w artystycznej spuściźnie nam zostawiły a muzea jeszcze najpewniej przechowały i dotąd przechowują. Swoją drogą, odkąd z połową kończącego się właśnie stulecia nauka historyi sztuki prawdziwą nauką się stała, a znawstwo i cześć dla arcy-

dzieł wszelkiego malarstwa coraz szerzej we wszystkie warstwy społeczeństw przenika, są jeszcze w tych muzeach — a zwłaszcza w najsławniejszych — takie niemożliwe archaizmy i takie krzyczące o zmianę anomalie w układzie obrazów, jak *Salon Carré* w Luwrze, albo jak florencka *Trybuna,* ale jest ich też co prawda coraz już mniej, a wielcy uczeni, dyrektorowie muzeów, coraz to prościej, coraz więcej naukowo, a zarazem i coraz piękniej swe galerye układają. Takie wprost idealne muzea, jak galerya obrazów w Berlinie, zasługa tej miary uczonego, co Wilhelm Bode, jak *Mauritshuis* w Hadze, małe arcydzieło układu wyszłe z rąk Dr. Abrahama Brediusa, jak może nad wszystkie inne *National Gallery* w Londynie, świadczą o tem w całej pełni, a za niemi idą w ślady coraz to liczniejsze galerye wielkich miast i małych, nie wyłączając i Krakowa, w którego murach galerya obrazów ks. Czartoryskich jest drobną rozmiarami doskonałością przejrzystości i naukowości, a dziełem pracy lat już tylu prof. dr. Maryana Sokołowskiego.

Jeżeli jednak wielkie czy nawet mniejsze publiczne galerye obrazów są niezawodnie w pewnej mierze, a tylko niestety jako *mal nécessaire,* „więzieniami sztuki“ — to innego rodzaju wystawy, jakie od lat kilku tyle miast Europy urządzało, zbiory tymczasowe utworów jednego wybitnego mistrza pierwszorzędnej chwały albo nawet tylko bardzo wielkiej zasługi, są kreacyami niekiedy wprost zdumiewającego naukowego znaczenia, a zarazem czasowemi najpiękniejszemi, małemi zwykle, muzeami, jakie tylko wymarzyć można, w których i używa się niepomiernie na wyjątkowem niekiedy artystycznem pięknie, a zarazem uczy się tyle, ile nie wiem w wielu wielkich galeryach przez cały szereg tygodni pracy nauczyć się nie można. A nie ulega żadnej wątpliwości, że z wystaw takich zarazem i plon naukowy bywa ogromny, żniwo, na które bez nich lata nieraz czekaćby przyszło i mozołów mu wiele poświęcić. Jednem z takich pierwszych przedsięwzięć wyjątkowego znaczenia, była jubileuszowa wystawa utworów Rubensa w Antwerpii przed laty 22, która w 300 lat od urodzin wielkiego Flamandczyka w skromnej nadreńskiej mieścinie w r. 1577, zgromadziła w jego ojczystem mieście całe mnóstwo ukrytych po mniejszych zbiorach publicz-

nych i po prywatnych galeryach prawie nieznanych utworów jego pendzla, kredki, ołówka i rylca i stała się dopiero punktem wyjścia dla metodycznych badań lat ostatnich nad życiem i twórczością artysty, będącego słońcem „złotego“ okresu flandryjskiego malarstwa. Najwspanialszym owocem tej wystawy jest od lat paru kilkotomowe monumentalne dzieło Maxa Roosesa: *La vie et l'oeuvre de Pierre Paul Rubens*, za którem właśnie obecnie postępuje dalej wydawnictwo całej korespondencyi malarza, której niedawno tom drugi do r. 1622 uczony dyrektor antwerpskiego Muzeum Plantin doprowadził, oraz świeżo wydana wspaniała monografia Rubensa przez p. Emila Michel w Paryżu.

Po dłuższej przerwie, lata już zupełnie ostatnie, nowe podobne, a tylko jeszcze o wiele doskonalsze od pierwszej Rubensowskiej przyniosły z sobą wystawy, w których także po raz pierwszy i o polskich zbiorach zdziwiony tem zagraniczny świat uczony i artystyczny co nieco zasłyszał. W r. 1898 otwarto z okazyi wstąpienia na tron młodziutkiej królowej hollenderskiej Wilhelminy specyalną wystawę dzieł Rembrandta w Amsterdamie, która trwała przez dwa miesiące z górą i zachwycała tak uczonych, jak wszelkich lubowników piękna, zarówno ziomków skromnego młynarskiego syna z Leydy, jak i Europy całej. Ze zbiorów publicznych — oprócz kilku hollenderskich, jak Amsterdamu, Hagi i Rotterdamu — żaden prawie ani jednego utworu na wystawę nie przysłał, z niezrównanej amsterdamskiej prywatnej galeryi Six nie ruszono również ani jednego arcydzieła, a mimo to zgromadzono przeszło sto, prawie że nieznanych dotąd, utworów genialnego Hollendra i pogłębiono tą wystawą w sposób niebywały jego znajomość. Za wystawą amsterdamską poszła w zimie r. 1899 w Londynie druga wystawa również dzieł Rembrandta, która tamtą zbiorami angielskiemi jeszcze uzupełniła. A na pierwszej z nich i Polska swoje cztery obrazy Rembrandta zdumionemu ich pięknością zastępowi znawców i uczonych po raz pierwszy pokazała: *portret własny* młodziutkiego malarza z r. 1629 [1]), olejna, dotąd nieznana replika kilku rycin

[1]) *Rembrandt. Schilderijen bijeengebracht ter gelegenheid van de inhuldiging van Hare Majesteit Koningin Wilhelmina.* 8 Sep-

t. zw. *Rembrandta z otwartemi ustami,* ze zbiorów ks. Andrzejowej Lubomirskiej we Lwowie — dalej słynny, ale po raz pierwszy po świetnem odnowieniu w całym blasku swych złocistych świateł jaśniejący *Krajobraz błyskawicowy z miłosiernym Samarytaninem* z r. 1638, jedna z pereł Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie [1]) — następnie głośny już oddawna, ale nigdy dotąd naukowo nie zbadany, wspaniały klejnot galeryi hr. Tarnowskich w Dzikowie, *Lisowczyk* lub „Polski jeździec", jak go uczona zagranica nazwała, zachwycona pięknością arcydzieła, oraz uznająca je wraz z obciętą do połowy własną sygnaturą mistrza za jeden z najwspanialszych autentycznych jego utworów, mniej więcej z lat 1655 — 1657 [2]) — wreszcie obraz ze zbiorów hr. Edwarda Raczyńskiego w Rogalinie, młody *Chrystus* w popiersiu naturalnej wielkości, a raczej piękny, nieco idealizowany Żyd amsterdamski, trochę rozmarzony i jakby jakiś mistyk-filozof Spinozie współczesny, arcydzieło znowu z ostatniego już okresu twórczości coraz więcej nerwowego, ale i coraz potężniejszego artysty, z r. 1661 [3]), roku słynnych *Syndyków cechu sukienniczego,* co już samo wystarcza za wszystkie niemal zalety tej niezrównanej kreacyi. A obie te wystawy Rembrandta już dziś, po roku zaledwo, i naukowe wspaniałe wydają owoce. Monumentalne dzieło Bodego, w tekście i illustracyach obejmujące całą do dni ostatnich poznaną twórczość mistrza, już obecnie w trzech olbrzymich tomach, a przecież jeszcze nie przepołowione, o cały prawie nowy „tom dodatkowy" w skutek odkrytych lub na nowo określonych obrazów Rembrandta się powiększy, ukończona zaś właśnie przepyszna publikacya p. t. *The Rembrandt Exhibition at Amsterdam,* by Dr. C. Hofstede de Groot, który jest jednym z najgłębszych dziś w dziedzinie historyi sztuki uczonych hollenderskich, mieści w sobie, obok znakomitego naukowego tekstu, ostatniem słowem doskonałości będące reprodukcye najpiękniejszych obrazów wystawy, między któremi znajdują się także *Lisowczyk* i *Krajobraz* Czartoryskich.

---

tember — 31 October 1898. Stedelijk Museum Amsterdam. Nr. 9 niniejszego Katalogu.

[1]) *Ibidem,* Nr. 42. [2]) *Ibidem,* Nr. 94. [3]) *Ibidem,* Nr. 114.

W ślad za tak głośną w całym świecie wystawą Rembrandta i za przykładem Hollandyi, poszły w r. 1899, Hiszpania, Belgia i Niemcy. W Muzeum Prado w Madrycie urządzono specyalną wystawę obrazów Velasqueza, ale niestety nie rozszerzono jej, o ile mi wiadomo, po za zbiory hiszpańskie, a bodaj nawet tylko madryckie. Drezno pokazało w lecie niezmiernie ważną i zajmującą wystawę utworów obu Cranachów i w części obrazów z ich pracownią w związku będących. Wreszcie Antwerpia, słusznie pomna swej po Rubensie największej artystycznej sławy, otworzyła na sierpień, wrzesień i październik wystawę zbiorową obrazów i rysunków Van Dycka, z okazyi wspaniałych uroczystości, napyszniejsze fety i pochody flandryjskiego renesansu i barokku przypominających, a mających uświetnić trzechsetną rocznicę urodzin tego najwytworniejszego, a może i najpopularniejszego ze wszystkich malarzy Flandryi.

Gdy we wrześniu r. 1898 z wystawy amsterdamskiej Rembrandta wracałem, wstąpiłem naturalnie do miasta, gdzie jest *Zdjęcie z krzyża* Rubensa w katedrze, w Muzeum *Siedm Sakramentów* Rogera van der Weyden, wreszcie i stara niezrównana, od wieków nietknięta, a tylko już gęstemi bluszczami obrosła „Officina Plantiniana". Odwiedzając ją, poznałem dyrektora Muzeum, p. Maxa Roosesa, autora pomnikowego dzieła o Rubensie, najznakomitszego dziś w dziedzinie historyi sztuki uczonego Belgii, chcąc z nim omówić sprawę stosunku polskiego królewicza Władysława Wazy z antwerpskim mistrzem w r. 1624, oraz udzielić mu kilku szczegółów na polskim materyale opartych do najbliższego tomu listów Rubensa, w którym o tym stosunku będzie mowa a który niebawem w druku się ukaże. Wśród niezmiernie nauczającej rozmowy, pełnej delikatnych i bardzo głębokich o Rubensie spostrzeżeń, przeszedł Rooses do swego właśnie wtedy rodzącego się a niezawodnie w pewnej mierze sukcesem i znaczeniem naukowem wystawy Rembrandta wywołanego pomysłu: urządzenia na sierpień roku następnego wystawy jubileuszowej dzieł Van Dycka w Antwerpii. Z zapałem wytrawnego męża nauki mówił o tym projekcie i pytał ciekawie o nasze polskie Van Dycki, czy są gdzie i jakie, czy obok pewnych i autentycznych są niezawodnie i niepewne, albo wprost tylko kopiami

będące; prosił wreszcie o pomoc w tej mierze i o przysłanie na wystawę wszystkiego, co się da, naturalnie zastrzegając z góry surowy sąd specyalistów co do autentyczności obrazów, mających dopiero być zbadanemi i określonemi. Niezawodnie świeże głosy o polskich Rembrandtach w Amsterdamie do tego go zachęciły i miał nadzieję, że choć tyle Van Dycków nasze zbiory mu dostarczą. W tym względzie zawiódł się trochę, choć bynajmniej znów nie zupełnie, wdzięcznym był zaś bardzo za obiecaną pomoc i ewentualne pośrednictwo między przyszłym komitetem wystawy a właścicielami obrazów Van Dycka w Polsce.

Zawczasu, bo już na wiosnę, prace zawiązanego z początkiem r. 1899 komitetu były rozpoczęte i po za Belgię daleko rozszerzone. W ojczyźnie Van Dycka głównymi filarami wystawy stali się najznakomitsi dwaj uczeni belgijscy w dziedzinie historyi malarstwa i oni też dali całemu przedsięwzięciu wyjątkowo poważną naukową firmę. Jednym z sekretarzy komitetu był sam Max Rooses, którego zasługi naukowe dla dziejów Rubensa i jego szkoły całkiem wyjątkowe mu zapewniały w całem przedsięwzięciu stanowisko, a temu znowuż nadawały zupełnie niezwykłej powagi. Obok niego, jako przedstawiciela dzisiejszej nauki antwerpskiej, stanął dyrektor królewskiego gabinetu rycin w Brukselli, p. Henryk Hymans, jeden z najbystrzejszych i z najdelikatniejszą metodą w historyi malarstwa i rytownictwa Flandryi w wieku XVII pracujących uczonych, tyle zasłużony wydawca i tłómacz owego jedynego źródła do dziejów malarstwa północy aż po początek wieku XVII, jakiem jest *Het Schilder-Boeck* Karola van Mander [1]), a autor jednego z najpracowitszych dzieł naukowych w tymsamym przedmiocie, monografii i katalogu rezonowanego dzieł *Łukasza Vorstermana* (1595 — 1675) [2]),

[1]) *Le livre des peintres de Carel van Mander. Vie des peintres flamands, hollandais et allemands (1604).* Traduction, notes et commentaires par Henri Hymans, Conservateur à la Bibliothèque Royale de Belgique etc. 2 volumes. (Paris, Librairie de l'Art, 1884).

[2]) *Lucas Vorsterman. Catalogue raisonné de son oeuvre,* précédé d'une notice sur *La vie et les ouvrages du maitre,* par Henri Hymans. (Bruxelles, Bruylant-Christophe et Cie., éditeurs, 1893).

głośnego rytownika, współczesnego najwspanialszemu rozkwitowi antwerpskiej szkoły. Obok tych dwóch uczonych, znawców dzieł Rubensa i Van Dycka dziś w Belgii najwytrawniejszych, stanął do pomocy trzeci jeszcze, niezmordowany archiwista miasta Antwerpii, p. Józef van den Branden, któremu znów w ciągu ostatniego dwudziestolecia nauka zawdzięcza największą ilość odkrytych przezeń dokumentów i aktów archiwalnych do dziejów całego antwerpskiego malarstwa, a zwłaszcza znowu Rubensa i Van Dycka. Na takich trzech filarach najściślejszej metodycznej nauki oparty, komitet wykonawczy uzupełnił się naprzód całym szeregiem energicznych ludzi dobrej woli z całej Belgii, a na jego czele stanął sam burmistrz Antwerpii, p. J. van Ryswyk, jedna z najpopularniejszych i najdzielniejszych osobistości tego najbogatszego dziś miasta Belgii. Przy nich stanął wytworny smakosz dzieł sztuki, p. Piotr Koch, dyrektor Muzeum Sztuk Pięknych Antwerpii, niezmordowany skarbnik komitetu, oraz sympatyczny młody adwokat p. Jerzy Caroly, administrator Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, którzy obaj podjęli najcięższą, nieledwie rękodzielniczą pracę urządzenia samej wystawy i w tej mierze główne też a świetnym rezultatem uwieńczone ponieśli zasługi. Znany dobrze p. Albrecht de Vriendt, należący do głośnej już w wieku XVI artystycznej antwerpskiej rodziny, a dyrektor królewskiej Akademii Sztuk Pięknych, reprezentował w komitecie belgijskie malarstwo nowoczesne. Członkami honorowymi byli hrabia Flandryi, kardynał Goosens, arcybiskup Malines i prymas Belgii, dalej najpopularniejsza i największą czcią dziś tam otoczona polityczna postać pana A. Beernaert, byłego ministra, oraz cały szereg najwięcej znanych a sztuką interesujących się osobistości, protektorat zaś całego przedsięwzięcia przyjęli sam król Leopold II, oraz królowa angielska. O Anglię bowiem i jej jak najżywszy w wystawie udział komitetowi naturalnie chodzić musialo najwięcej, za angielskiemi zaś zbiorami stanęły naturalnie zaraz Włochy, skoro przecież w całej twórczości Van Dycka okresy włoski i angielski tak wyjątkową grają rolę. I w ślad też za tem utworzono, zrazu nie bez pewnych trudności, dwa jeszcze komitety zagraniczne, z których jeden zwłaszcza niezmiernie się przyczynił do świet-

ności i naukowej wydatności wystawy. Na czele komitetu włoskiego stanęła księżna Lina Corsini-Sforza, a należeli doń książęta Alfons Doria i Józef Rospigliosi w Rzymie, margr. Edward Marana, baron Jerzy Franchetti, znany zbieracz dzieł sztuki w Wenecyi — ale mimo to i mimo, że widniało tam też nazwisko najznakomitszego dziś uczonego Włoch na polu historyi sztuki, samego prof. Adolfa Venturi, grono to bardzo mało się przyczyniło do obesłania wystawy włoskiemi utworami mistrza, którego genueński okres prawie wyłącznie tylko po za Włochami znajdujące się dziś utwory na wystawie reprezentowały. Komitet angielski zato przyniósł przedsięwzięciu plon wspaniały. Królowa Wiktorya nadesłała trzy najpiękniejsze portretowe klejnoty Van Dycka z Windsoru, a książę Norfolk, stając na czele tego angielskiego grona, zapewnił udział w wystawie całego szeregu angielskich wielkich panów, po których stołecznych pałacach i wiejskich zamkach kryją się najwspanialsze płótna mistrza z jego ostatniego, angielskiego okresu. Naukową znów powagę temu komitetowi nadali p. Walter Armstrong, dyrektor Galeryi Narodowej w Dublinie a autor znakomitych monografij Velasqueza i Tomasza Gainsborough, p. Lionel Cust, dyrektor Galeryi Narodowej Portretów w Londynie, p. Sidney Colvin, dyrektor gabinetu rycin w British-Museum, uczony dyrektor londyńskiego Wallace Museum, p. Klaudyusz Philipps, autor między innemi wybornej monografii o słynnej *Galeryi obrazów króla Karola I* [1]), przy nich zaś znowuż jako firma wyjątkowego znaczenia stanął prezydent królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Londynie, sir E. J. Poynter. Tego rodzaju zbiór uczonych, oraz znakomitości społecznych Anglii, sprawił, że przybyło z za Kanału do Antwerpii przeszło 40 obrazów Van Dycka, oraz najdrogocenniejsze utwory jego ołówka, i że okres angielski twórczości nadwornego malarza nieszczęśliwego Stuarta i lordów-kawalerów w przeddzień krwawej „rebellii“ był na wystawie reprezentowany prześlicznie i nawet

[1]) *The Picture Gallery of Charles I*, by Claude Philipps. „The Portfolio“. Monographs on artistic subjects with many illustrations, issued periodically. Nr. 25. January 1896. (London, Seeley and Cie.).

dla naukowego poznania jego maniery z tej epoki prawie całkiem wystarczająco.

Wreszcie, dla dodania jeszcze całemu komitetowi blasku imion najświetniejszych uczonych Niemiec i Francyi, którzy także dla historyi Van Dycka i zbadania jego twórczości wyjątkowe położyli zasługi, mianowano członkami-korespondentami komitetu: Dr. Wilhelma Bodego w Berlinie, który przywrócił Van Dyckowi całe szeregi najwspanialszych dzieł jego młodości, jak szereg portretów w Galeryi drezdeńskiej, jak obrazy z Galeryi Liechtensteinów w Wiedniu, oraz kilka płócien z Ermitage'u petersburskiego, dalej Dr. Franciszka von Reber, dyrektora Muzeów w Monachium i Dr. Teodora von Frimmel z Wiednia. Z uczonych Francuzów, dla dziejów Van Dycka głównie zasłużonych, zaproszono do tego wyborowego grona: p. Juliusza Guiffrey, autora najobszerniejszej dziś monografii mistrza p. t. *Antoine Van Dyck, sa vie et ses oeuvres* [1]), oraz tej miary znawcę całego niederlandzkiego malarstwa wieku XVII a autora świeżo wydanej monografii Rubensa, sędziwego p. Emila Michel. Taki komitet i tyle wspólnej a systematycznie rozłożonej i z zapałem prowadzonej pracy przyniósł też na sierpień r. 1899 rezultat prawdziwie wspaniały, którym była duia 12 sierpnia w obecności króla belgijskiego i całego mnóstwa znakomitości politycznych i naukowych Belgii i zagranicy otwarta wystawa dzieł tego najwięcej może do dziś dnia ukochanego, bo smakowi najszerszych kół społeczeństwa najdostępniejszego malarza Flandryi.

Całe trzy dni trwały jubileuszowe uroczystości antwerpskie, wśród których kulminacyjny punkt stanowił historyczny pochód, przedstawiający modę renesansu i wczesnego barokku całą historyę malarstwa świata, na wozach, zapełnionych allegorycznemi i portretowanemi postaciami, a kończących się najpiękniejszym wozem Van Dycka. Za czasów Rubensa i jego uczniów słynęła najświetniej Antwerpia z tego właśnie rodzaju fet publicznych i pochodów, a mistrz sam wraz z zajętą w jego pracowni młodzieżą nieraz dostarczał własnoręcznych malowideł i transparentów do tych uroczystości, a zwłaszcza do tryumfalnych łuków. W charakterze też we-

[1]) Paris, A. Quantin, imprimeur éditeur, 1882.

solej, często aż nadto krewkiej antwerpskiej ludności, szeregiem stuleci następnych aż do dni naszych przechował się i ów zapał całkiem wyjątkowy do tego rodzaju pomp i widowisk, i zarazem tradycyą nieprzerwaną przekazany smak wykwintny w ich urządzaniu. To też fetom tym obecni, z których ust słyszeliśmy pełne zachwytu o nich opowiadania, twierdzili, że mało dziś na świecie podobnie wzniosłych mieć można dla oka rozkoszy, jak ten kostiumowany pochód po ulicach i placach starej Antwerpii, wśród muzyki, fanfar i okrzyków jaskrawo odbijający na tle fasady gotyckiej katedry lub czarnych głazów renesansowego ratusza, przeciągający przed domem rodziców Rubensa na Place du Meir, lub rozwijający się na szerokiem wybrzeżu Skaldy, której modre potężne fale złociły palące promienie sierpniowego słońca. Miał to być widok, godny Rubensa i jego uczniów, jakżeby przeniesiony żywcem w nasze czasy z barokkowych, italsko-flamandzkich splendorów Antwerpii, z okresu infantki Izabelli i arcyksięcia Albrechta. A obok tych fet ludowych, naukowe „akademie“ gromadziły znów na pełne powagi posiedzenia uczonych Belgii i zagranicy, w końcu zaś otwarcie wystawy dzieł Van Dycka stało się koroną, uświetniającą cały jubileusz w sposób najszlachetniejszy, bo przypominający choć w części to, co niezrównany mistrz północnego portretu w wieku XVII, stworzył w ciągu swej zbyt krótkiej ziemskiej wędrówki, nawet ćwierci wieku nie dochodzącej od chwili swych chłopięcych pierwszych prób ołówka i pendzla w pracowni Rubensa, aż do pełni blasku swej sławy na dworze Stuartów, gdy przeciążony pracą a wyczerpany zbyt szybkiem tętnem życia lat ostatnich, przedwcześnie gasł w samym zenicie chwały, zaszczytów i szczęścia.

Monumentalne, poważne, o szlachetnych liniach a nieco ciężkich massach późnego flandryjskiego renesansu nowe Muzeum miejskie Antwerpii, otwarło gościnnie pięć swych wielkich sal dla utworów olejnych Rubensowego ucznia, do których dodano kilka mniejszych komnat, przeznaczonych na rysunki, ryciny i cały kompletny zbiór fotografij z wszystkich utworów artysty, po całym świecie starym, a dziś już także i nowym, rozsianych. Sale to wysokie, jasne, o świetle z góry puszczonem, co dla wielkich płócien bywa nader

korzystnem, gdy drobniejsze zwykle dusi albo przyćmiewa. Na ścianach wcale nie gęsto rozwieszone wielkich rozmiarów obrazy ołtarzowe i portrety w całej postaci, a te dopiero przeplatane płótnami mniejszemi, otoczonemi tu i owdzie drobnemi a nizko całkiem umieszczonemi obrazkami. Wszystko razem zestrojone do wielkiej harmonii rozmiarów i kolorytu, ramy obrazów wszystkie złote, ale nie jaskrawe i nie nadto w oczy bijące, wszędzie zaś w długich fałdach spadające portyery z ciemno czerwonego aksamitu, jak te, które nieraz widnieją w głębi genueńskich czy angielskich portretów tego nad wszystkich innych o poważne wytworne tła dbającego XVII-wiecznego portrecisty. Jednem słowem, szereg obszernych salonów o cechach wielkopańskiej wspaniałości, może nawet w dali naśladujących komnaty bawialne angielskich zamków — tło wybornie, rzeczywiście prześlicznie dobrane i zestrojone z tym szeregiem 110 utworów pendzla Van Dycka, jakie w takiej dekoracyi, z delikatnym smakiem a bez chronologicznej pedanteryi z rzadka rozwieszone, czyniły wrażenie prawie że nie muzealnego zbioru, ale jakiegoś szeregu sal zamieszkałej, idealnej przez skarby, jakie mieści, szlachetnej rezydencyi, tak odpowiadającej w całej pełni i wszystkim cechom charakterystycznym Van Dycka utworów i jego własnym upodobaniom i smakowi. W nizkich, raczej niewielkich komnatach miejskiego Muzeum w Amsterdamie w r. 1898 zebrane, potężne, skupieniem swem imponujące, a siłą i niekiedy głęboko utajoną furyą nieokiełznanego geniuszu porywające kompozycye religijne i rodzajowe, oraz portrety Rembrandta, robiły wrażenie zebranego w patrycyuszowskim cichym hollenderskim domu szeregu arcydzieł, wymagających ciszy, spokoju, nawet niekiedy nie nadto jaskrawego światła. Spokój też tam panował, powaga, brak ozdób i brak wszelkiego zbytku — a wśród tego snuły się na ścianach te potężne, zamyślone, niekiedy wprost czarowne postacie, lub też oślepiały owe ognie i światła od płócien na widza bijące. W antwerpskich Van Dycka przestronnych salonach dużo powietrza, światła, pompa nieledwie i zbytek — konieczny znów nastrój dla artysty, całego na zewnątrz, świetnego, błyszczącego, kochającego się w barokkowych gloryach czy męczeńskich ekstazach religijnych tematów, ale

zwłaszcza w blasku i wytwornej elegancyi zadowolonych z życia i uśmiechających się do niego wielkich pań i panów, całego dworu królewskiego w Whitehall czy w Hampton-Court, bogatych książąt Kościoła czy też rozmiłowanych w przepychu wielkomiejskich patrycyuszów. Tam ciche, skromne, głębokie tło dla Rembrandta po smutnej katastrofie majątkowej gdzieś w zaułku amsterdamskim tworzącego swe nieśmiertelne arcydzieła — tu *milieu* wesołe, jasne, pogodne, dla utworów naprzód z okresu młodości, potem włoskich, następnie antwerpskich, wreszcie angielskich świetnego i zawsze do życia uśmiechniętego królewskiego i wielkopańskiego *pittore cavalieresco*.

II.

W pobliżu wspaniałego późno-renesansowego ratusza o pysznej fasadzie, główny plac dumnej Antwerpii zdobiącej, w bocznej uliczce stał pod koniec wieku XVI i stoi jeszcze dom o kilku piętrach, ale wązki i skromny, a przez okna jego widne, są dotąd zawsze, z boku nieco i niby ukradkiem splendory bogatej siedziby municypalnej. Miał on przed 300 laty wesoły szyld nad drzwiami, przedstawiający modą ówczesną „taniec niedźwiedzia“ *(den Berendans)*, a należał do zasobnego mieszczanina z patrycyuszowskiemi nieledwie pretensyami, który w ślad za swym ojcem był wielce w mieście cenionym malarzem na szkle, a przytem powszechnie poważanym, głęboko religijnym człowiekiem, zwał się zaś Franciszek Van Dyck. Ożeniony już powtórnie w r. 1590 z łagodną, wdzięczną, cichą Maryą Cuypers, gdy dobiegał wiek XVI samego swego końca, miał z nią już kilkoro dzieci, a z czasem doczekał się wszystkich aż dwunastu, córek zwłaszcza licznych. W tym domu i do tego rodzinnego koła przybyło dnia 22 marca r. 1599 siódme z rzędu dziecię, tym razem chłopak zdrów i tęgi, któremu przy chrzcie dano imię Antoniego. Miał on się stać bardzo wkrótce nietylko główną, wielką sławą swej skromnej rodziny, ale i chwałą wyjątkową swej ojczyzny, rodzinnego miasta i całej Flandryi.

Pełne wdzięku dziecko chowało się naprzód pod okiem matki, która jedna wnosiła, jak się zdaje, promień słońca w nieco ponury dom swego męża, surowego i pobożnego zawiadowcy kaplicy Najśw. Sakramentu w antwerpskiej katedrze. Tradycya mówi, że haftowała prześlicznie, że miała smak wytworny i bardzo czuły na wszystko, co piękne, że zaś przed samem urodzeniem drugiego syna „malowała“ właśnie igłą historyę czystej Zuzanny, jako ozdobę do wielkiego komina jednej z izb rodzinnego domu. Ale niedługo trwał niezawodny wpływ delikatnej matki na młodym chłopcu. Przy nowym, dwunastym z rzędu (w przeciągu lat siedmnastu) połogu, umarła młoda jeszcze kobieta w r. 1607, pozostawiając potomstwo surowej opiece ojca, żyjącego odtąd już głównie w towarzystwie duchownych i mnichów, a mającego oddać później niemal wszystkie córki do świątobliwego życia w klasztorze czy w t. zw. *béguinages,* najmłodszego zaś syna Teodora (ur. w r. 1605) do klasztoru Premonstrantów, gdzie miał zostać z czasem profesorem św. teologii. Jeden tylko mały Antoni w młodym już wieku inne okazywał gusta i wyjątkowe zdolności, jak się zdaje po skromnych artystach malarzach, dziadzie i ojcu odziedziczone, gdyż już w jedenastym roku życia oddano go na naukę malarstwa do szanownego a wielce w ówczesnej Antwerpii cenionego malarza, jakim był Henryk van Balen. W porównaniu z wielu jeszcze podówczas żyjącymi skrajnymi „italianistami“ okresu poprzedniego, był ten najzdolniejszy z pośród artystów z rodziny Van Balen, najwięcej może jeszcze samodzielnym w swym drobnym artystycznym zakresie, malując wprawdzie liczne słodkie małe Madonny w ogrodach, weneckimi aniołkami i puttami figlarnemi otoczone, ale dając im przecież typy, karnacye i koloryt flamandzki, bujny i soczysty, a ogrody zasiewając profuzyą kwiatów i drzew owocowych, wyrosłych nie na skalistych gruntach Italii, ale na tłustej bujnej ziemi flandryjskich płaszczyzn. Dwa lata spędził młody chłopiec w pracowni delikatnego, ale spokojnego w życiu swem i utworach a już nieco starzejącego się malarza, by w r. 1612 przejść pod inny artystyczny kierunek, który miał na nim niezatarte na zawsze wybić piętno i zrobić z 13-letniego Antwerpczyka drugą z rzędu po wielkim po-

tężnym mistrzu, największą chwalę artystyczną rodzinnego miasta, a zarazem i całej flamandzkiej sztuki wieku XVII.

W trzydziestym roku życia, syt już młodzieńczej sławy we Włoszech i w Hiszpanii, a pełen najtęższych sił i buchającego jak płomień geniuszu, wracał w r. 1608 do ojczystego miasta nad Skaldą świetny już przez lat ośm z górą malarz nadworny Wincentego Gonzagi księcia Mantuy. Całe bowiem ośm lat na nauce naprzód, a wkrótce i wśród pracy na własną rękę prowadzonej a ogromnym cieszącej się po klaskiem, spędził był Piotr Paweł Rubens we Włoszech, na mantuańskim dworze i w Rzymie, w Medyolanie i w Genuy, czas także pewien w Madrycie, wszędzie ucząc się z zapałem i swój flamandzki młodzieńczy nadmiar życia w kolorycie, w ciałach ludzkich, w krajobrazie i w naturze w ogóle miarkując ustawicznie wzorami wielkich Wenecyan późnego cinquecenta, głębokością Lionarda, włoską morbidezzą i wdziękiem Correggia. Wracał do ojczyzny niby na krótko, w wiele stron przez zagraniczne wezwania rozrywany, ale już wkrótce, bo we wrześniu r. 1609 malarzem nadwornym infantki Izabelli w Brukselli mianowany, a niebawem i małżeństwem z piękną Izabellą Brant do Antwerpii stale przykuty, tam ostatecznie osiadł i w r. 1610 rozpoczął swą potężną, już na ojczystej ziemi artystyczną pracę, która przez lat 30 następnych prawdziwie fenomenalne co do jakości i ilości wydać miała owoce i przyćmić wszystko, co dotąd Flandrya w dorobku artystycznym ludzkości była dała. Odrazu prawie, tworzy wtedy Rubens swe najpotężniejsze dwa dzieła religijne, wielkie tryptyki antwerpskiej katedry, naprzód przejmujące do szpiku kości, choć w swej męczeńskiej tragiczności aż może przeciągnięte *Podniesienie krzyża,* w r. 1611 zaś swe arcydzieło, nigdy później niedoścignione, słynne *Zdjęcie z krzyża,* które w Antwerpii i Flandryi całej pasuje go na najpotężniejszego artystę tej chwili, a którego też przez cały ciąg swej dalszej karyery żadnym doskonalszym utworem już nie zaćmił. Sława tego nowego mistrza, tak z krwi i kości narodowego, a bujnością swą, oraz wspaniałością, potęgą cielesności, zawsze przecież duchem potężnym natchnionej, tak odpowiadającego smakowi i artystycznym ideałom każdego ówczesnego Flamandczyka, rozeszła się lotem bły-

skawicy po wszystkich artystycznych centrach hiszpańskich Niederlandów i poczęła niebawem w jego pracowni gromadzić coraz to liczniejszy zastęp starszych i młodszych uczniów, a wkrótce i koniecznych pomocników w olbrzymiej produkcyi zasypanego obstalunkami artysty. Już w maju r. 1611 pisał w tej mierze Rubens w liście do przyjaciela: „Zaręczam ci, bez najmniejszej hyperboli, że już odmówiłem przyjęcia więcej niż stu uczniom, z których niektórzy byli krewnymi moimi i mej żony i że przez to wywołałem niezadowolenie wielu z mych najlepszych przyjaciół“ [1]). Pracowali tam już starsi wiekiem Jakób Jordaens i Franciszek Snyders, a dalej cały szereg młodych uczniów, jak Kasper de Crayer, Teodor van Thulden, Abraham van Diepenbecke, Justus van Egmont, kilku peizażystów, nieco później miał przybyć i Dawid Teniers — gdy w r. 1612 przyjął do swej szkoły nieubłagany mistrz także i młodziutkiego dotychczasowego ucznia Henryka van Balen. Musiał odkryć w chłopcu odrazu całkiem niezwykłe zdolności do swej ukochanej sztuki, a może i przeczuwał, jaką ten właśnie uczeń ogromną pomocą stanie mu się niebawem w coraz to większym nawale pracy, która z roku na rok się zdwajała i której siły nie jednego, ale kilkunastu ludzi podołać nie byłyby w stanie. Zrazu uczył się jeszcze niezawodnie czas jakiś Van Dyck w pracowni Rubensa, ale bardzo już wkrótce stał się jego ulubionym pomocnikiem w podmalowywaniu olbrzymich płócien, a niekiedy wprost i w wykonywaniu ich zupełnem wedle pobieżnych szkiców mistrza. Między r. 1615 a 1617 ma to już niezawodnie miejsce, a jest to okres, w którym już i na własną rękę 16-letni Van Dyck pierwsze swe tworzy obrazy, jakie nauka lat ostatnich dopiero słusznie mu przywróciła, stwierdzając przez to rzeczywiście wprost zdumiewającą dojrzałość młodzieniaszka, który przed r. 1617 maluje już i religijne obrazy i kilka portretów.

Zasługą jest naukową głównie Bodego i Maxa Roosesa oddanie to każdemu z dwóch wielkich flamandzkich malarzy tych utworów ich pendzla w tym nieledwie wspólnym okre-

[1]) *Antoine Van Dyck, sa vie et son oeuvre,* par Jules Guiffrey. (Paris, A. Quantin, 1882, str. 10).

sie ich pracy, jakie każdemu z nich w rzeczywistości się należą. Oddzielenie to przedewszystkiem obrazów młodzieńczych Van Dycka od prac z nim przez Rubensa dotąd dzielonych, na niezmiernie subtelnej samychże dziel autopsyi oparte, należy się słusznie tym dwom uczonym, podczas gdy ich wywody, na cechach każdego z utworów dokonane, poparł także i archiwalnemi pierwszorzędnej wagi dokumentami p. Józef van den Branden, archiwista miasta Antwerpii i najwięcej zasłużony w tej mierze uczony. I skutkiem tego mamy już dziś naukowo zupełnie dowiedziony fakt, że istnieją dzieła Van Dycka zupełnie pewne z przed r. 1617, że więc już samodzielnie i z sukcesem malował on przed r. 1618, gdy wyzwolony z pracowni mistrza, przyjętym został w lutym tegoż roku do gildy św. Łukasza w rodzinnem mieście. Utwory te wszystkie naturalnie ani datowane, ani sygnowane nie są, ale kilka z nich prawie z zupełną pewnością na lata od 1615 do 1617 położyć należy i niemi rozpocząć przegląd dzieł Van Dycka w pierwszym okresie jego twórczości, okresie młodości aż do włoskiej podróży, przypadającej na koniec r. 1621. W ciągu tych lat siedmiu idzie on we wszystkich swych pracach nieledwie ślepo śladami mistrza, chociaż mimo to prawie w każdej przebijają się już i cechy jego własnej indywidualności, nieśmiałe jeszcze, ale przecież całkiem dostatecznie wybitne. Wystawa dzieł Van Dycka w Antwerpii w roku minionym, całego szeregu najciekawszych w tej mierze dostarczyła dowodów, pokazując światu kilka albo nader trudno dostępnych dzieł młodego artysty, albo wydobywając na jaw całkiem dotąd nieznane, a jeżeli nie doskonale piękne, to w każdym razie bardzo ciekawe i dla filiacyi w twórczości Van Dycka nader ważne płótna.

Drezno, Petersburg i Wiedeń posiadają dziś najwięcej dzieł młodziutkiego malarza z tego okresu jego twórczości, a Bode i Rooses mu je dopiero niedawno przywrócili. Szereg to naprzód postaci Apostołów w popiersiach, które, jak dowiódł Van den Branden [1]), w najwcześniejszej młodości

[1]) F. Jos. van den Branden: *Geschiedenis der Antwerpsche Schilderschool.* Str. 697 — 699. (Antwerpen, 1883).

swej, bo już w r. 1615, Van Dyck malował, a których jest tam aż pięć [1]), następne zaś znajdują się dziś w galeryach w Berlinie i w Schleissheim, a dwie jeszcze repliki ich olejne, pełne charakteru i Rubensowskiej, nieledwie niewolniczej maniery, malarz Leon Bonnat ze zbiorów swych w Paryżu i p. M. Müller z Berlina na wystawę przysłali. Znać w tych robotach tę samą siłę wyrazu, co w wyżej wymienionych, w technice tylko więcej jeszcze widać przesadę, do efektowności nieledwie brutalnej dążącą, której wkrótce już miał się pozbyć młody pomocnik Rubensa. A w tej mierze właśnie jednym z najciekawszych szczegółów, faktem zaś znowu przez p. Van den Branden archiwalnie dowiedzionym jest, że do niedawna jeszcze Rubensowi na pewne przypisywana wielka serya heroiczno-historycznych płócien z życia cesarza Deciusa w Galeryi ks. Liechtensteinów w Wiedniu, wyszła cała z rąk młodzieńczego Van Dycka. W dziele antwerpskiego uczonego jest dowód niezbity, że wedle małych oryginalnych szkiców mistrza uczeń te wielkie płótna wykonał [2]), dając przez to dowód, jak świetnie już pendzlem władał, skoro Rubens takich rozmiarów dzieło do wypracowania jemu powierzył, a wszyscy uczeni jeszcze przed laty 20 najpewniej ten szereg obrazów Rubensowi samemu przypisywali. A cała ta wspólna z mistrzem praca wyraz swój najświetniejszy znalazła dopiero w olbrzymiem słynnem przedsięwzięciu Rubensa, udekorowania całego kościoła Jezuitów w Antwerpii, do którego najwięcej i największe rozmiarami utwory swe miał wykonać (spalone wszystkie w późniejszym pożarze, z wyjątkiem trzech ogromnych ołtarzowych płócien, dziś w Muzeum cesarskiem w Wiedniu znajdujących się). Jako główny znowu pomocnik mistrza występuje w początku tej

[1]) *Katalog der Königlichen Gemäldegalerie zu Dresden*, von Karl Woermann (Dresden, 1899), ostatnie wydanie, w którem znakomicie jest wyczerpana przy każdym obrazie odnośna literatura naukowa, wraz z podaniem tytułów rozpraw i stronnic dotyczących. Do Van Dycka odnoszą się stronnice katalogu od 335 do 346.

[2]) Por. także rozprawę W. Bodego o Galeryi Liechtensteinów w *Die Graphischen Künste*, oraz A. Bredius: *De Van Dyck-Tentoonstelling*. (Odbitka z *De Nederlandsche Spectator*, 1899, str. 22).

jego pracy Van Dyck, a jego współudział w niej jest nawet określony kontraktem, zawartym w marcu r. 1620 między Rubensem a przełożonym klasztoru Jezuitów w Antwerpii, Ojcem Tirinem. Drugi z artykułów tego układu brzmiał mianowicie: „*Le seigneur Rubens* obowiązany jest wykończyć własnemi rękami rysunki i szkice małych rozmiarów do 39 wyżej wymienionych utworów, a Van Dyck ma takowe wykonać w naturalnej wielkości, oraz kilku innych uczniów, stósownie do przedmiotu obrazów i ich umieszczenia“ [1]). Ile z dekoracyi tej ogromnej było rzeczywiście pendzla Van Dycka, dziś nie wiadomo, zdaje się zaś tylko, że nie wiele, gdyż już w półtora roku po zawartym układzie młody malarz na czas dłuższy Antwerpię opuścił, a gdy po latach sześciu z Włoch tam powrócił, był już nadto głośnym i samodzielnym artystą, by takie nieswoje wykonywać prace.

Ale nietylko w utworach religijnych i historycznych to mięszanie prac młodzieńczych Van Dycka i Rubensa do niedawna krzywdziło młodego ucznia. Rzecz miała się podobnie i z portretami. Tu na pierwszem miejscu stoi cała serya, bo aż sześć prześlicznych, świeżych niezmiernie swą techniką, wytwornych a niezmiernie prostych portretów nieznanych bliżej osobistości, mężczyzn i dam, w Galeryi w Dreznie, które aż do rozprawy Bodego [2]) w tej kwestyi były stale Rubensowi przypisywane, a z których dwa bardzo piękne noszą datę r. 1618, dalej dwie przepyszne grupy portretowe w Ermitage'u petersburskim, które również Bode Van Dyckowi przywrócił, wreszcie dwa ciekawe portrety w samem antwerpskiem Muzeum, które dotąd za utwory Cornelisa de Vos uchodziły, a które także, jak to całkiem niedawno dopiero dowiódł prawie niezbicie Dr. Abraham Bredius [3]), uczniowi Rubensa przypisać należy. A całą tę naukową pracę, takim szeregiem odkryć mogącą się szczycić, uwieńczył prawdziwie na wystawie antwerpskiej znowu, szereg portretów Van Dycka z tego okresu, które wszystkie w technice, w naśladownictwie Rubensa, ale przecież i w pewnych wspólnych

[1]) J. Guiffrey: *Antoine Van Dyck* etc., j. w., str. 16, 17.
[2]) Drukowana w *Die Gemälde-Galerie der Königlichen Museen in Berlin.*
[3]) A. Bredius: *De Van Dyck-Tentoonstelling*, j. w., str. 6.

sobie, odrębnych cechach godzą się z sobą zupełnie i pomnażają o kilka znów pięknych utworów więcej młodzieńcze prace artysty, przed włoską podróżą wykonane. Najsłabsze z nich, to dwa portrety starego mężczyzny i jego żony, własność hr. Della Faille de Leverghem w Antwerpii, niewolniczo za Rubensem idące, z silnemi światłami czerwonych karnacyj, z błękitnawemi cieniami na rękach, z nich portret kobiety siedzącej w czarnej atłasowej sukni delikatniejszy w technice i już nawet wcale wytworny. Wspaniałemi są za to dwa portrety w całej postaci *państwa Vinck,* on w pozie stojącej, żona siedząca w fotelu. W obu Rubens znowu staje na myśli, ale z wyraźnym odcieniem delikatności, prawie już subtylizowania karnacyj, choć ręce są pełne życia i ani śladu w nich tego upiększającego szablonu, którego we Włoszech Van Dyck się nauczy a w ostatnim okresie swej twórczości do wielkiej niestety doprowadzi przesady. Portret mężczyzny, o niemiłej czerwonej twarzy, własność p Franciszka Schollaert'a w Louvain, przesadnie w karnacyach naśladuje czerwoności Rubensa. *Portret pani Vinck,* nadesłany przez p. Pawła Danzette z Brukselli, jest z pewnością jednem z arcydzieł wśród młodzieńczych utworów Van Dycka[1]). Młoda, nieco blada, piękna kobieta, siedzi prawie w nieco hieratycznej pozie w dużym fotelu, w czarną atłasową złotem bramowaną suknię o cudnych refleksach ubrana, w wielkiej krezie, jak u Maryi Medici jeszcze, okalającej szyję; za nią kolumna i kotara, w ręku trzyma różę, u nóg siedzi mały biały piesek. Portret ten, pełen spokoju, wytworności, wdzięku w delikatnej, nieco zamyślonej twarzy, przypomina najlepsze portrety drezdeńskie malarza z tego okresu, blizki jest znowu Rubensa, ale w samych tylko dodatnich swych

[1]) Wydany w heliograwurze w przepysznej publikacyi p. t. *Antoon van Dijck, de mens en de master.* Een studie, door Pol de Mont. Met 60 heliotypien naar de oorspronkelike schilderijen op de Van Dijck-Tentoonstelling te Antwerpen en elders. (H. Kleinmann et Cie., Haarlem). Zeszyt 9. Wszystkie najpiękniejsze obrazy wystawy w 11 zeszytach tego wspaniałego wydawnictwa zostały reprodukowane, a tylko tekst hollenderskiego poety i literata nie dorasta bynajmniej piękności tej wyjątkowej publikacyi.

stronach, przez prostotę zaś swą każe myśleć prawie o miłych patrycyuszkach współczesnych na portretach Cornelisa de Vos i o jego sympatycznem mieszczańskiem *milieu*. Do tego samego okresu (wbrew katalogowi wystawy, który je kładzie po włoskiej podróży) należą również portrety w popiersiach *państwa de Witte*, własność p. Arnolda de Pret Roose de Calesberg w Antwerpii, zwłaszcza postać młodziutkiej kobiety, niezmiernie miłej i wdzięcznej, oraz portret wspaniały, w całej postaci stojącej, *Maryi Anny de Shodt* (własność panów Lawrie et Comp. w Londynie), który Dr. Bredius [1]) najsłuszniej na mocy techniki i pozy, znów nieco hieratycznej z rączkami z przodu grzecznie złożonemi, a zwłaszcza z powodu stroju, wysokiej stojącej krezy i sukni okrągłej jak dzwon, których po r. 1627 już nigdzie kobiety nie nosiły, bardzo słusznie także do tego okresu cofnął. Jak wreszcie katalog [2]) mógł również z tych lat zupełnej zależności Van Dycka od Rubensa wyeliminować *portret syndyka*, grubasa Flamandczyka o czerwonej, prawie zapitej twarzy, siedzącego w profilu wygodnie jak jakiś jowialny *bonvivant* z przed r. 1620, własność pani Edouard André w Paryżu, tego również pojąćby się nie mogło, gdyby co prawda nie było jeszcze i wiele innych, znacznie gorszych i aż całkiem dziwnych usterek tego katalogu, widocznie zbyt spiesznie wydrukowanego, a świadczącego także o mocno szowinistycznej sympatyi autorów dla belgijskich zwłaszcza posiadaczy pseudo-autentycznych dzieł mistrza. Pomijając inne, mniej ważne utwory portretowe, tu wreszcie należy i na rok 1620 może przypada, najwcześniejszy *portret własny malarza*, ze zbiorów księcia Grafton w Londynie, słabsza, jak sądzimy, a niemal dosłowna replika takiego samego portretu w Pinakotece monachijskiej, a tylko jeszcze miększa i więcej manierowana. Młodziutki malarz wygląda tu prawie jak dziewczyna za chłopca przebrana, w płaszczu ze złotym łańcuchem, z delikatnemi jak u kobiety rękami, o ja-

[1]) A. Bredius: *De Van Dyck-Tentoonstelling* etc., str. 8.
[2]) *Exposition Van Dijck à l'occasion du 300 anniversaire de la naissance du maître etc., 12 août — 15 octobre, 1899.* Anvers, str. 79.

kimś przesadzonym słodkim wyrazie twarzy. Siły Rubensa i jego charakterystyki w tym portrecie niema, jest tylko delikatność i prawie kobiecość młodzieńcza jego ucznia, która tutaj całkiem samodzielnie, ale też i niezupełnie szczęśliwie się objawiła. Gdy tedy na naukę do utworów Tycyana Van Dyck podążał, był już w swym 22-gim roku życia portrecistą pełnym talentu, uczniem i w tym dziale powolnym swemu wielkiemu mistrzowi, a mającym przecież w portrecie właśnie największe we Włoszech odnieść korzyści, najwięcej się nauczyć w tej mierze od wielkich Wenecyan wieku XVI i wrócić z italskich stolic jednym z największych, a w każdym razie najwytworniejszych portrecistów świata. Portrety jego młodociane zapowiadały to już w całej pełni, a te, które wystawa antwerpska pokazała, stwierdziły raz więcej znakomite odkrycia uczonego niemieckiego historyka sztuki, oraz badania najpoważniejszego dziś z pośród biografów Rubensa.

Ale nietylko jako niezwykły już twórca pięknych portretów wyruszał Van Dyck na dalsze studya do Włoch; miał on po za sobą już wtedy i cały szereg całkiem samodzielnych poważnych kompozycyj religijnych i mitologicznych, a wśród nich i jeden obraz pierwszorzędnej piękności.

Po najwcześniejszych popiersiach Apostołów, pierwszem dziełem artysty na większe rozmiary jest w r. 1617 wymalowany *Upadek Pana Jezusa pod krzyżem* w kościele Św. Pawła w Antwerpii. Znajdował się on na wystawie i rozpoczynał tam wielką seryę ogromnych ołtarzowych płócien mistrza, przez flandryjskie kościoły użyczonych, a od chwili, gdy je tam malarz sam w ołtarze wstawiał, z pewnością po raz pierwszy równie dobrze widzianych. Tę pierwszą swą wielką kompozycyę malując, ma Van Dyck lat 18, ale mimo to tworzy w bardzo wielu szczegółach już bardzo piękne dzieło. Scena jest na prawdę dramatyczna, choć nieco jeszcze po młodocianemu teatralna, Rubensa znać w każdem pociągnięciu pendzla, w tonach czerwonych i w światłach srebrzystych, w całym układzie, w typach, ale znać już i bezpośredni wpływ Tycyana, którego utwory w prywatnym zbiorze mistrza znał Van Dyck z pewnością, twarz zalzawiona i szafir płaszcza Piety są zupełnie weneckie, a smutna twarz Chrystusa, trochę teatralnie, ale znowu jak jakaś wenecka

wizya przejmującego swym wyrazem *Volto Santo,* zwraca się w stronę Madonny [1]).

Może nieco późniejszem tylko od obrazu, do antwerpskiego kościoła Dominikanów malowanego, było drugie z kolei na wystawie płótno, nie bardzo piękne, ale dla rozwoju Van Dycka dziwnie interesujące, wielkich rozmiarów scena z Ewangelii, przedstawiająca *Miłosiernego Samarytanina,* jeden w dodatku z niewielu obrazów z Polski nadesłanych a za zupełnie autentyczne uznanych. Przed dwoma laty odkrył go w zamku w Podhorcach Dr. A. Bredius, sądząc zrazu, gdy obraz był bardzo zniszczony, że to jeden ze słabszych oryginałów Rubensa. Po odrestaurowaniu płótna w Berlinie i po zasięgnięciu sądu Roosesa zrazu na mocy fotografii, i on i Bode orzekli, że obraz jest niezawodnie jednem z najwcześniejszych dzieł Van Dycka i że ztąd to pomięszanie go z Rubensem znowu takie jest łatwe. Ks. Eustachy Sanguszko płótno na wystawę posłał, a tam jego bezwarunkowa autentyczność potwierdzoną już została zupełnie. Wśród kilku bowiem rysunków Van Dycka, nadesłanych z Paryża przez malarza Leona Bonnata, znajdował się także bardzo pobieżny szkic (Nr. 133 Katalogu), wykonany sepią, a odnoszący się w każdym szczególe do podhoreckiego *Samarytanina* (Nr. 136 Katalogu). Oba wzajemnie swą autentyczność potwierdzały, a nasz polski obraz znaczenia przez to niezwykłego nabierał. Utwór nie jest piękny, kompozycya niespokojna, niezharmonizowana. Ogromny Samarytanin ładuje na białego konia rannego człowieka, sam ubrany w czerwony Rubensowski płaszcz, z turbanem na głowie, w żółtych butach; łeb konia pełen nieco przesadnego życia, z boku na lewo pies; karnacye jaśniejsze niż u Rubensa, cienie błękitnawe, znać tu znowu i zależność wielką od mistrza, ale także i owe typowe samodzielne cechy młodego ucznia, które widne są taksamo i w blizkim epoce tego obrazu *Pijanym Silenie* z Galeryi Drezdeńskiej W każdym

[1]) Por. Henri Hymans: *Antoine Van Dyck et l'Exposition de ses oeuvres à Anvers à l'occasion du troisième centenaire de sa naissance. (Gazette des Beaux Arts,* septembre, octobre 1899, str. 231—232. Także i Dr. A. Bredius: *De Van Dyck-Tentoonstelling,* j. w., str. 3, 4.

razie ten Van Dyck z Polski uczonych zajął niemało, a i p. Henryk Hymans [1]) i Dr. A. Bredius [2]) poświęcili mu podnoszące jego znaczenie wzmianki w swych pięknych sprawozdaniach z antwerpskiej wystawy.

W innej zato kwestyi obaj uczeni nie zgodzili się wcale, a mianowicie co do niemiłego, dla mnie wprost brzydkiego płótna, które uchodziło wedle Katalogu (Nr. 1) za najwcześniejsze tam dzieło Van Dycka, a przedstawia scenę biblijną *Węża miedzianego*, jest zaś własnością p. Franciszka Cook w Richmond. P. Hymans wielki nacisk na ten utwór kładzie i zestawia go nawet z drugą podobną Van Dycka kompozycyą w madryckiem Prado — Dr. Bredius uważa go stanowczo za dzieło nieautentyczne i całkiem do porządku dziennego nad niem przechodzi. Dramatyczności nie brak co prawda obrazowi niezbyt wielkich rozmiarów, a w dodatku nie całkiem skończonemu, dwaj młodzieńcy na lewo są nawet piękni, ale Mojżesz to figura nad wszelki wyraz konwencyonalna, całość zaś o jakimś zimnym zielonawym tonie, którego w żadnym okresie twórczości Van Dycka odnaleźć u niego nie można. Utwór ciekawy jest jedynie przez swe zbliżenie do obrazu madryckiego, który notabene nosi dotąd wielki sfałszowany podpis Rubensa, a jest niezawodnie dziełem Van Dycka z jego młodości. Niniejszy *Wąż miedziany* jest może raczej „robotą“ któregoś z mniej znanych uczniów Rubensa, a Dr. Bredius zdaje się nam mieć słuszność, Van Dyckowi go stanowczo nie przypisując.

Wspaniałym z kolei, pełnym tragicznej grozy i jakiegoś szalonego rozmachu, jest nieznany dotąd prawie zupełnie obraz wielkich rozmiarów, *Pocałunek Judasza*, którego oryginał, blizko 3 metry wysoki, nadesłał na wystawę lord Methuen z zamku Corsham, a Sir Francis Cook z Richmond olejny także a aż półtora metra wysoki szkic do niego, będący naprawdę zupełnym niecałkiem skończonym obrazem. Jeden to z najcharakterystyczniejszych utworów Van Dycka z przed r. 1621, scena nocna, o czerwono-rudem oświetleniu pochodni, których refleksa na czerwonych igrają karnacyach, a wi-

[1]) *Antoine Van Dyck et l'Exposition*, j. w., str. 321.
[2]) *De Van Dyck-Tentoonstelling*, j. w., str. 4.

cher trzęsie drzewami ogrodu i iskry na wszystkie strony rozsypuje. Wspaniali są żołdacy w hełmach na prawo i na lewo Judasz sam o pozie tylko nieco nienaturalnej, Chrystus zaś przecudny w ruchu szlachetnym i prawdziwie królewskim, o twarzy i wzroku przypominającym najpiękniejsze tycyanowskie Chrystusowe twarze, bodaj nawet zdala słynny *Grosz czynszowy*. Te reminiscencye Tycyana znowu w tych dwóch utworach, których dwie jeszcze autentyczne repliki znajdują się w galeryach Madrytu i Nowego Yorku, świadczą raz jeszcze więcej, jak ogromny pociąg czuł już w tych latach do swego drugiego przyszłego mistrza młody malarz, a zarazem, jak pracowicie i z jakiem przejęciem jeden i tensam przedmiot aż cztery razy opracowywał, za każdym razem z pewnemi odmianami go powtarzając. Uczniem za to zupełnym Rubensa stał się znowuż w niemiłym, a w tragiczności swej i realizmie aż prawie wstrętnym obrazie Muzeum brukselskiego, w *Ukrzyżowaniu św. Piotra,* który jest więcej aktem z pracowni potężnego rozmiarami umęczonego ciała, aniżeli relijgnym utworem, oraz w cudnej idylli z legendy żywotu rycerskiego Świętego, jaką wykonał w lecie r. 1821 na samem swem wyjezdnem do Włoch.

Jesto to słynny, a tylko dotąd wyjątkowym badaczom naocznie znany *Św. Marcin na koniu* z kościoła parafialnego małego brabanckiego miasteczka Saventhem. Szerszy świat po raz pierwszy ujrzał ten prześliczny utwór, swą świeżością i jakiemś prawdziwie młodzieńczem tchnieniem czarujący, na wystawie antwerpskiej, i mógł zarazem porównać go z jego drugą a tylko bardzo mało odmienną repliką, z podobnym *Św. Marcinem* galeryi królewskiej w Windsorze, chociaż mimo to uczeni najkompetentniejsi stosunku do siebie tych dwóch płócien dotąd nie rozwikłali [1]), mogąc je nawet jeszcze zestawić na wystawie z pięknym olejnym szkicem, będącym własnością kapitana Holford w Londynie. Do niedawna jeszcze z powstaniem tego płótna związana była urocza, romantyczna

[1]) Por. śliczną ostatnią o Van Dycku pracę p. t. *Quelques notes sur Antoine Van Dyck*, par Henri Hymans. Lecture faite à la séance publique annuelle de l'Académie royale d'Archéologie à Anvers 8 octobre 1899. (Anvers, 1899, str. 23).

i miłosna historya młodego pięknego rycerskiego malarza, który obdarzony na drogę cudnym koniem przez rozkochanego w nim mistrza, puścił się był latem r. 1621 w podróż do Włoch, ale już w Saventhem na całe miesiące tajemniczo ugrzązł, rozmiłowany w pięknej córce młynarza, która go wtedy prosiła, by do kaplicy miejscowej dwa obrazy wymalował; i wówczas to miał powstać słynny *Św. Marcin*, oraz *Madonna* o rysach dziewczęcia, który to drugi utwór później zupełnie zaginął. Niestety z legendy tej nic prawie badania naukowe z lat ostatnich nie pozostawiły, ale dowiodły za to, że ówczesny od niedawna właściciel baronii Saventhem, jeden z wielkich panów na brukselskim dworze namiestnika arcyks. Albrechta Ferdynand de Boisschot, zamówił był u Van Dycka obraz, przedstawiający św. Marcina, dla miejscowego kościoła i że już w czerwcu r. 1621 sam artysta wykończone płótno w ołtarz kościelny wstawił. Jedną ze znacznych osobistości w baronii Saventhem był szlachcic miejscowy, p. Marcin van Opbem; miał on dwie córki, z których w młodszej Izabelli, pięknej jak wieść niesie, zakochał się wówczas na zabój również czarująco piękny 22-letni artysta i o jej rękę poprosił; ale został odmówiony przez ojca, zapewne uważającego za mezalians związek z młodym mieszczaninem antwerpskim, a tylko dziewczyna wierną podobno do grobu tej pierwszej miłości została i nigdy za mąż nie wyszła. W innych więc nieco szczegółach, ale przecież historycznie rzecz cała się potwierdza, wiążąc cudny obraz *Św. Marcina* z pierwszą Van Dycka miłością, a tylko legendę o wieśniaczce i o na jej prośby malowanym utworze między bajki kładąc [1]). Zdaje się również, że cała ta sprawa opóźniła nieco wyjazd Van Dycka do Włoch, który nastąpił dopiero w początku października r. 1621.

Obraz z Saventhem, po raz pierwszy w tak dobrem oświetleniu na wystawie widziany, jest rzeczywiście dziełem,

[1]) Tekst ciekawy u historyka współczesnego, mówiący o tym fakcie, brzmi jak następuje: „Filia incolae huius pagi (Saventhem), quae ipsi in amore erat, et *cuius nuptias avide sollicitabat et tamen obtinere non valuit*“. Ustęp cytowany u J. Guiffrey: *Antoine Van Dyck*, j. w., str. 26.

pełnem jakiegoś wyjątkowego wdzięku. Format prawie kwadratowy; na białym hiszpańskim koniu, o cudnych srebrnych refleksach, zapartym nieco na przednich nogach, z grzywą bujną jedwabistą na spuszczony łeb spadającą, siedzi młody jasnowłosy rycerz w zbroi, nieco nachylony na prawo, i obcina długim mieczem pół czerwonego płaszcza, by go oddać nagiemu żebrakowi, którego pyszny grzbiet tyłem do widza zwrócony, a przy którym siedzi na ziemi u renesansowego portyku drugi ohydny dziad, o typie prawie murzyńskim, z głową przepasaną brudnym łachmanem, obaj prawdziwe arcydzieła realizmu, ale nie przekraczającego przecież granic artystycznego poczucia. Srebrne tony oblewają cały ten obraz i igrają po wszystkich jego częściach, czerwoności Rubensowskie są w nim zaś bardzo umiarkowane, a za to rolę wielką grają znane nam już niebieskawe cienie, które nadają potężnej wypukłości zwłaszcza twarzy żebraka, będącego jedną z najsilniejszych kreacyj w całej artystycznej Van Dycka produkcyi.

Ale przed swym wyjazdem do Włoch i przed wymalowaniem *Św. Marcina*, inną jeszcze, pierwszą w życiu dłuższą podróż odbył wtedy artysta. Już w r. 1620 rozpoczęto z Londynu układy, by go sprowadzić na dwór króla Jakóba I, gdzie znakomity portrecista nadworny, Van Somer, dogorywał i o zastąpieniu go bliskiem myślano. W listopadzie r. 1620 wyjeżdża tedy Van Dyck po raz pierwszy do Anglii, a w liście zapowiadającym jego przybycie nazwany już jest „słynnym“ artystą. Bawi w Anglii krótko i co, a w ogóle czy co tam wtedy maluje, nie wiadomo. W marcu r. 1621 wraca do Antwerpii, po śmierci zaś Van Somera miejsce nadwornego malarza króla Jakóba otrzymuje Daniel Mytens. Te trzy miesiące z życia Van Dycka [1]) są więc dotąd całkiem niejasne, ale niezawodnie są też i wagi pierwszorzędnej. W każdym razie wszedł on wtedy w bliskie stosunki z arystokracyą angielską, a zwłaszcza z tym najznakomitszym wówczas mecenasem sztuki w Anglii, naj-

[1]) Por. Henri Hymans: *Antoine Van Dyck et l'Exposition* etc., j. w., str. 232 – i Tenże: *Quelques notes sur Antoine Van Dyck*, j. w., str. 7, 8.

wykwintniejszym zbieraczem rzeźb i obrazów, który głównie spowodował był pierwsze przybycie Van Dycka na dwór Stuartów, a którym był słynny, pierwszy wielki pan ówczesnej Anglii, Tomasz Howard hrabia of Arundel. Król wyznaczył malarzowi pensyę stu liwrów rocznie, ale już w lutym 1621 r. udzielił mu, co prawda tylko na 8 miesięcy, paszportu na podróż za granicę. Z tego urlopu nie wiele miał sobie niebawem Van Dyck robić, gdyż nie wrócił na dobre do Anglii aż za lat dwanaście dopiero, ale z dworem zawiązane stosunki trwały i dalej, zwłaszcza zapewne z młodym następcą tronu, świetnym i wytwornym Karolem ks. Walii, oraz z jego szalonym faworytem, którego gwiazda właśnie wtedy wschodziła, z Jerzym Villiers, podówczas jeszcze tylko margrabią of Buckingham. Wreszcie w ciągu tych miesięcy raz zadzierzgnięte węzły najbliższe z hrabią Arundel nie zerwały się już nigdy i one później przyczyniły się głównie do powrotu Van Dycka na stałe do Angli i do jego tam tak wyjątkowo świetnej artystycznej i społecznej karyery.

Po powrocie do Antwerpii i po ukończeniu obrazów do kościoła w Saventhem, gotował się już tylko artysta do swej włoskiej podróży, która też zamyka pierwszy a otwiera drugi okres jego życia i twórczości. Dnia 3 października wsiadał na okręt w Antwerpii — 20 listopada lądował w porcie Genuy.

Dr. Jerzy Mycielski.

(Dokończenie nastąpi).

OTCHŁAŃ

dramat w 4 aktach.

OSOBY:

HENRYK HANUSZ.
WŁADYSŁAW HANUSZ, dyrektor banku.
ERAZM PODOSOCKI, inżynier.
HELENA PODOSOCKA, jego żona.
KAROLCIA, ich 4-letnia córeczka.
KASPER KALISKI, urzędnik banku.
JANINA KALISKA, jego żona.
MARYNIA, ich córka.
HILARY WORONEK, urzędnik banku.
Dr. SEWERYN KOSTKA, profesor Uniwersytetu.
EDWARD BAROWSKI, notaryusz.
ZOFIA BAROWSKA, jego żona.
ANDRZEJ KORECKI, prezydent miasta.
Dr. JAN ŁEMPOCKI, adwokat.
ANASTAZY SKARPA, przedsiębiorca.
Dr HENRYK JASIEWICZ, adwokat.
Dr. KAZIMIERZ ROCKI, prokurator.
SYDONIA ROCKA, jego żona.
WALERY HASZKA, buchalter.
MADEMOISELLE LOUISE, u pp. Kaliskich.
EWA OCHACZ, nauczycielka u pp. Podosockich.
ANTONI, służący u pp. Podosockich.
MICHAŁ, WALENTY } służący u pp. Hanuszów.

Rzecz dzieje się w stolicy za naszych czasów.

Wszelkie prawa zastrzeżone, dla teatrów drukowane jako manuskrypt.

AKT I.

(Salon w pałacu Hanuszów. Na prawo dwoje okien, pośrodku nich drzwi szklanne, prowadzące na balkon. Przed drzwiami, teraz zamkniętemi, dużo kwiatów. W głębi wielkie podwoje, zwykle otwarte. Za niemi równolegle do salonu biegnie kurytarz wysłany chodnikiem. Na wprost widzów z kurytarza prowadzą drzwi na I piętro, wysłane również chodnikiem, ozdobione kwiatami, biustami. Po lewej stronie w salonie dwoje drzwi. Pierwsze od widzów prowadzą do pokojów Henryka Hanusza, drugie do sali jadalnej. U drzwi ciężkie, wiśniowe portyery. Na posadzce wielkie rozesłane dywany. Po prawej stronie sofa, krzesła stylowe. Obok sofy z boku mały stolik. Za nią na kolumnie marmurowej wielki wazon z kwiatami. Po lewej stronie trochę więcej ku przodowi, wielki fotel z wysokiem oparciem tylnem i poręczami bocznemi, krótka kanapka w podobnym rodzaju, kilka kareł, po za niemi zaś na bogatej podstawie lampa z jedwabną żółtą umbrą. W głębi w rogu ścian po lewej stronie na drugiej kolumnie marmurowej wielki wazon z kwiatami. Na ścianach cenne obrazy. Lampy palą się. Pora zimowa. Na lewo i na prawo od widzów).

SCENY:

Janina Kaliska *(siedzi po lewej stronie, czyta książkę, nie uważa na męża).*

Kasper Kaliski *(ruchliwy, opięty. Wąsy skąpe w dół zwiśnięte. Zarost szpakowaty jak i włosy. Okulary niebieskie. Siedzi po prawej stronie na sofie. Obie ręce włożył między kolana i przyciska je nerwowo, pochylając się to naprzód to w tył).* A więc nie, a więc nie, powiedziałem sobie *(nie patrzy na żonę).* On mnie tak, ja jemu tak. Równość przedewszystkiem. Żyjemy w demokratycznem *milieu.* Ząb za ząb. Byłem zawsze pod tym względem demokratą *(zrywa się i krąży po pokoju coraz to inną stroną).* Chłystki, łotry! Lada syn szewca, krawca, parobek wczo-

raj, dmie dzisiaj jak miech. Tfu ten Woronek! Żeby to przynajmniej używał kalodontu do zębów! — Mówią, że praca. Cały świat krzyczy: praca! Zamieniamy się w pociągowe bydło. Nie ma już kto poganiać, tfu wszystko bydło. Kopie się, gryzie w uda, łamie nogi — praca! O! w tem sęk wieku — pi! pi! (*Staje, rozstawia szeroko nogi, prawą ręką podpiera brodę i palcami pracuje koło ust — po chwili spogląda na żonę zaczytaną — podchodzi do niej z wyciągniętą ręką).* No, a ty co Janko? Słyszysz? Janko!

Kaliska. Mów, słucham... (*czyta znowu*).

Kaliski. Nie wiem sam duszko, co dalej. Chciałem sobie zdać z tego sprawę, ale mi ciężko. Zszedłem na popychadło, to jest, nie... ja to tak tylko nazywam. Ale jak sobie pomyślę, że to dawniej zajeżdżało się czwórką do sąsiadów, do proboszcza... Ale, ale, spotkałem się dzisiaj z Rolickim *(podbiega do niej, pociąga ją za suknię)*... Wiesz, z Rolickim.

Kaliska. Z tym z limanowskiego?

Kaliski. Przecież ci mówię, że z tym szachrajem, co wyłudził od nas Staniątki!

Kaliska. Przyjechał? Odwiedzi nas może, co? To zacny człowiek.

Kaliski. Pi pi! Zacny szachraj z pod najciemniejszej gwiazdy. Miał interesa w banku. Zaciągnął pożyczkę na Staniątki. Rozumiesz już. Wypytywałem go o wszystko. Nowator! Żebyś ty wiedziała, jak on tam wszystko pociął, ostrzygł, ogolił! Pomyśl sobie, te klomby, które ja własnemi rękami zakładałem, pamiętasz, te przed dworkiem, no, co to nabawiłem się przy nich febry, ten łupigrosz zaorał pod ziemniaki! (*niespokojnie krąży).*

Kaliska (*smutnie*). Nie trzeba było sprzedawać.

Kaliski. Gada się, bo się gada. Wiesz, że latałem jak mogłem, ale ee! czort dał, czort wziął. On śmiał zaorać. Wiesz, jak to usłyszałem, nie mogłem się posiąść ze złości. Kpił sobie ze mnie w żywe oczy. Pod ziemniaki! Klomby! Ale wziął za swoje. Wiesz, jak on to lubi przystawać, kiedy chodzi i mówi. Czekałem tylko na to. Stanął, wysunął swoją długą łapę przed siebie,

a ja mu wtenczas wszedłem dobrze obcasem na odcisk (*chodzi, zaciera ręce*). Zaorał szelma!

Kaliska. Jak mogłeś!

Kaliski. Ulżyłem sobie. Kupił Staniątki i zaorał.

Kaliska. Nigdy z niczego nie jesteś zadowolony.

Kaliski. A pewnie, że nie. Wszyscy by tylko orali i poganiali, zacząwszy od naszego drogiego, słodkiego, nieocenionego Henryka, a skończywszy na tobie.

Kaliska (*ostro*). Kasprze!

Kaliski. No to już daruję ci Henryka i ciebie samą, ale reszta, banda świniopasów.

Kaliska. Słuchaj Kasprze. Ja już nieraz słyszałam, jak mówiłeś z przekąsem o Henryku.

Kaliski (*siada i przyśpiewuje*). „Obie kochał pan, obie wzięły dzban, która więcej malin zbierze"...

Kaliska. Kasprze!

Kaliski. Czytaj lepiej książkę, pewnie będzie najmoralniejsza z moralnych dla Maryni. Zrobisz mi z córki siostrę miłosierdzia, *à pied nu* tylko patrzeć.

Kaliska. Czyś słyszał!

Kaliski (*milknie, zakłada ręce między kolana i pochyla się to naprzód to w tył, zatrzymując się, kiedy go jakie słowo uderzy silniej*).

Kaliska. Powinieneś Henrykowi ręce całować z wdzięczności. Dał nam możność życia. Nie umiałeś się rządzić, a właściwie ty i ja nie umieliśmy się rządzić, majątek poszedł w cudze ręce.

Kaliski (*przez zęby*). Zaorał!

Kaliska. To nam i wielu innym się trafia. Ale nie każdy znajdzie Henryka. A on właściwie, prawdą mówiąc a Bogiem, nie miał względem nas żadnych obowiązków.

Kaliski. Mąż twojej siostry.

Kaliska. Hanka umarła dawno, lat temu pięć, sześć. Zresztą nie żyliśmy z sobą. Mógł się obejść bez nas.

Kaliski (*zrywa się*). Aha, aha, obejść się. Rządzisz mu domem po śmierci żony, a ja wysługuję mu w banku.

Kaliska. Kasprze!

Kaliski (*przez zęby*). *C'est vrai* (*siada*).

Kaliska. Tobie jak dzieciakowi trzeba kłaść w uszy, że to

jest białe, a to jest czarne. Ty sam nie rozróżniasz kolorów. Jak ciebie nie wstyd, że ty tak mówisz.

Kaliski. Przecież znowu nic takiego.

Kaliska. Ja mu zarządzam domem. Tak, prawda. Ale czy mu to potrzebne? Czy on sam z tego korzysta? Miesiącami całemi bawi na wsi. Od czasu tylko do czasu wpada do miasta, tak jak teraz naprzykład.

Kaliski. No, już siedzi nam na karku cały tydzień.

Kaliska. Nie lubisz go.

Kaliski. Także pytanie, moja duszko. Ciekawym, kogo mam lubieć, jak nie jego. Może Podosockiego.

Kaliska. No widzisz. Lubisz go. Więc jakto? Ty tego nie czujesz, że on wspiera nas delikatnie? Tobie dał pracę w banku, choć nic nie umiesz.

Kaliski. Jak?! *(zrywa się)* jak?! komika! Poleć do banku i oświadcz to głośno. Będą używać na mnie do woli za twojem pozwoleniem. Podosocki powie mi kilka nowych komplementów.

Kaliska. Kasperku, pomyśl — zkąd ty możesz umieć? kończyłeś akademię handlową, czy co?

Kaliski. No nie, nie, ale umiem, umiem, a choćbym nic nie umiał, to umiem, umiałem, umiem *(staje śmieje się)* ej stara *(grozi jej)*. *Vous vous moquez de moi.*

Kaliska *(przyciąga go na siedzenie)*. No, przyznaj sam, źle nam tu? Dał nam dom do rozporządzenia, jakby nasz własny, służbę, stół, wszystko. Córkę wydał za Podosockiego. Tyle, że Władek żyje razem z nami. No i co ty na to? Byliśmy bankrutami *(pociąga go za ucho)*, a teraz dźwigamy się. Dla Maryni zbierze się coś z twojej pensyi, a Henryk także nie zapomni o niej. Lubi ją.

Kaliski *(zakłada okulary na czoło, opuszcza się na kanapie, nogi wyciąga przed siebie, puszcza młynka palcami, rozgląda się zadowolony)*. Hm, tak, prawda, tu jest przyjemnie, dach panie dzieju od deszczu, okna gwoli światła, papu dają *(uśmiecha się filuternie)*, a co duszko? Dobrze żeśmy zrobili bankrut? *(powoli opuszcza okulary nisko na nos, co zwykle robi z niesmakiem)*. To nie jest tak bardzo śmieszne *(wstaje powoli)*. No, ale masz słuszność. Nie jest nam najgorzej. Ja Henryka

szanuję i kocham, tylko widzisz te warunki w banku. To mi apetyt odbiera.

Kaliska. Tak źle znowu nie jest.

Kaliski. Żebyś wiedziała wszystko. Ten Podosocki! ten Podosocki. Jak go zobaczę, to mi żółć przewraca się w żołądku. Za nim wszyscy.

Kaliska. On? Ale Kasperku, przyśniło ci się może. On? taki uprzejmy?

Kaliski *(ostro)*. Tylko mi jego nie broń.

Kaliska. Ależ...

Kaliski *(gwałtownie)*. Janko!! Widzisz, że drżę cały. Łajdak. Nazwał mię tasiemcem bankowym. Słyszałaś co!

Kaliska. Ciebie? jak śmiał?

Kaliska. Spytaj się go. Teraz wyprze się w żywe oczy, bo on milutki, słodziutki. Marmelada trująca! Byliśmy na jego imieninach. To wtenczas było. Podpił sobie trochę, u niego dusza na języku, jak w czubie mroczno. Nazwał mię tasiemcem. Teraz wszyscy... woźni nawet, na ucho sobie, ale tak, że słyszę. Ja tego Podosockiemu nigdy nie daruję, nigdy! Żeby mi nawet odkupił Staniątki, nigdy.

Kaliska. Nam to się już jakoś nie wiedzie. Zawsze.

Kaliski. Jemu nie na odcisk wejdę, ale butem na łeb.

Kaliska. Uspokój się!

Kaliski. No, no, uspokoję się *(okulary na czoło)*, ale wtenczas, jak mu fabryka stanie. Dom musiałem sprzedać przez jego świstawki. Nikt, mieszkać nie chciał. A on umyślnie to robił. No żebym ja wiedział, czy on to umyślnie zrobił i czy w tem wszystkiem umaczał rękę, no! *(odchodzi od niej, mrukiem)*. Tasiemcem! *(kopie dywan)*.

Marynia *(wpada z lewej strony kurytarzem w papierowem czaku na głowie, śmiejąc się)*.

Mademoiselle Louise *(wsuwa się za nią)*.

Marynia *(staje jak żołnierz, salutuje krótko)*. *Bon soir maman! bon soir papa!* Spałam, wstałam, zjadłam, jestem.

Kaliski *(obrócony tyłem do widzów, rozstawia szeroko nogi, ręką podpiera brodę, cedzi)*. Za dużo rekrut gębuje hahahaha. Maryniu, tu! *(kiwa na nią palcem)*.

Marynia *(podbiega do ojca, wybuchając śmiechem, rzuca mu się na szyję, obraca go w koło)*. A co? prawda, że rekrut ze mnie, jak Maciek Kapusta ze Staniątek. Wi działam go, taki sam, jak ja *(podbiega do matki)*. A mama co taka zachmurzona? nie podobam się? proszę się śmiać. Mamciu troszeczkę *(wiesza się jej na szyi)* troszeczkę *(głaszcze ją jednym palcem po twarzy)*, jeszcze, jeszcze trochę, tak, tak, hahaha!

Kaliska *(śmieje się i całuje ją w głowę)*. Ty nic dobrego! Powiedziałam ci już tyle razy, że masz lat siedmnaście i że już nosisz długie suknie.

Marynia. Niech mamusia powie, jeszcze raz to samo. Mamusi tak ładnie do twarzy z tym okropnym gniewem. No proszę, ja już przyrzekam dokazywać co się tylko zmieści.

Kaliska. Mademoiselle Louise! *Ça ne me plaît pas.*

Mlle. Louise *(skromnie, ręce opuszczone w dół)*. *Madame, je répète toujours...*

Kaliska. Trzeba więcej uważać. W domu to nic. Ale Marynia wszędzie jest taka. Żadnej poprawy. Z każdym dniem gorzej.

Louise *(mówi z silnym przydechem)*. Prosiłam pannę Marynię. To ja, która mówiłam, że w Biblii...

Kaliski *(do żony)*. No, no duszko. Przygotowałaś dla Maryni nową książkę do czytania... umoralniającą... to ją z pewnością wyleczy *(odchodzi na bok, do siebie)* Hm!

Marynia *(zasmucona)*. Przecież ja nic takiego.

Kaliska. Uważaj więcej na siebie. Mlle. Louise *(oczami wskazuje Marynię)*. *Plus d'attention, s'il vous plaît (do męża)*. Mówiłeś mi, że masz w mieście jakiś interes do załatwienia.

Kaliski *(przestraszony patrzy na zegarek)*. Stanął.

Marynia. U taty zawsze stoi...

Kaliski. Cicho, lecę *(do żony)*. Dasz mi te pieniądze. Mam ratę zapłacić w assekuracyi *(wychodzi kurytarzem na lewo)*.

Kaliska *(idąc za nim spotyka na kurytarzu)*.

Helenę Podosocką *(która w ubraniu zimowem przyszła z prawej strony)*.

Kaliska. A to ty Helu. Przyszłaś z mężem?

Helena Podosocka. Tak ciociu *(całuje ją w rękę)*. Wstąpił po cygara. Zaraz przyjdzie. Dzień dobry. Maryniu *(całują się)*.

Louise. *Bon soir Madame.*

Helena Podosocka. *Bon soir (odchodzi razem z Kaliską na lewo kurytarzem, rozmawiając).*

Marynia (*patrzy za niemi, uroczyście*). Ze wszystkich najlepszy jest papa.

Louise. A *monsieur* Podosocki?

Marynia. Wcale nie.

Louise. Powiem mu to.

Marynia. Ani słowa! Bobym z ciebie zrobiła taką czapkę *(zrywa z głowy papierową czapkę, rozciąga ją)*, taką, taką *(rozdziera)*. Toby się dopiero Erazm śmiał! ohohaho! A on lubi takie rzeczy. Ahohahaha! *(tańczy trochę, pada w krzesło)*. Nie lubię go, nie lubię go, nie lubię go *(tupie nogami)*.

Louise. *Monsieur Podosocki est un brave homme.* Ja się kochałam w nim już cztery razy i jeszczebym więcej, żeby nie był żonaty.

Marynia. O niczem nie chcę słyszeć, nie chcę! nie chcę! Nie jestem taka głupia, jak Louisa myśli, nie, nie *(tańczy walca)*.

Louise *(bokiem ust z przekąsem)*. U nas w Paryżu każda panna paliłaby się ze wstydliwości, *si on lui disait*, że nie jest nią ktoś zajęty, lub ona kim.

Marynia. Jaka Louisa zepsuta! jaka zepsuta! *(zatyka sobie uszy)*.

Louise. *Attention! (ogląda się) Vous criez trop haut. Ma dame peut entendre.*

Marynia. Miałaby Louisa od mamy, no! *Je vous assure! (śpiewa podskakując)*. Miłość, miłość too jest potęga, too największa świata moc...

Louise *(bokiem ust i ironicznie)*. Marynia widziała mały świat. Damy *du grand monde sont amoureuses...*

Marynia *(wykrzykuje)*. Jaka Louisa zepsuta! *(naraz, pokazując za nią palcem) Ma mère!*

Louise. Ah!! *(ogląda się przerażona, chwyta się za serce).*

Marynia *(śmieje się do rozpuku).*

Louise. *Vous êtes... (zła siada po lewej stronie).*

Marynia *(rozkapryszona).* Nudzę się, Louise! *(wyciąga się na kanapie po prawej stronie).* Milczysz? Louise. *Je vous aime.* Już cię nie przestraszę więcej. Ale to takie zabawne, jak ty się boisz mamy. No mów *(po chwili).* Nie, to nie *(pod głowę podkłada ręce, twarzą zwrócona do sufitu, mówi sama do siebie z początku powoli, potem coraz szybciej).* Przeleciały trzy pstre przepiórzyce przez trzy pstre kamienice, przeleciały trzy pstre przepiórzyce, przez trzy pstre kamienice, przeleciały... *(coraz szybciej, zacinając się).*

Podosocki *(wchodzi kurytarzem z prawej strony. Ubrany w długi surdut, monokl w oku, ruchy wytworne, hiszpanka. Spostrzega Marynię i Louisę. Ogląda się żywo na strony, podchodzi ku Maryni leżącej na kanapce, przygląda się jej ciału, pochyla się nad nią i tuż trzymając głowę przy jej głowie, mówi cichym głosem).* I ślicznej Maryni kazały ucałować rączki *(bierze ją za rękę).*

Marynia *(trochę przestraszona zrywa się, wyrywa mu rękę)* Boże! *(poznaje go, zmieniona poprawia suknie).*

Louise. *C'est vous, monsieur Podosocki (wstaje i idzie). Bon soir monsieur.*

Podosocki *(podaje jej rękę). Bon soir, mademoiselle Louise.*

Marynia *(do Podosockiego).* Nie patrz się tak na mnie! Erazmie! przecież wszystko leży dobrze! Louise. Może co? *(obraca się dokoła).*

Louise. *Rien, rien!*

Marynia. Erazmie! gniewam się na ciebie! *(zasłania sobie twarz z finezyą).*

Podosocki. Kuzynka za każdym razem wbija mię, jak muchę na szpilkę. Czy to przystoi takiej ślicznej niezapominajce?

Marynia *(wybucha śmiechem, ucieka, naraz zaczyna śpiewać).* Miłość, miłość too jest potęga, too największa świata moc *(wraca w podskokach).*

Podosocki *(wytwornie).* Oczy mnie bolą, oczy. Tyle światła, wiosny...

Marynia *(zadowolona, gniewnie)*. Erazmie! przyrzekłeś! żadnych pochlebstw.

Podosocki. Czyż to pochlebstwo, jeśli mówię, że słońce świeci, a Marynia czaruje.

Marynia. Cicho! bo nie, to cię nabiję na największą maminą szpilkę, i przybiję nad łóżkiem Louisy.

Louise. *Marie! que dites vous!*

Marynia. Ona cię nie zdejmie, nie bój się. Będzie cię obracać na szpilce! tak, tak! *(ruch uderzania palcem, śmieje się)*. Już cztery razy kochała się w tobie.

Louise *(zagniewana)*.

Podosocki. *C'est vrai, mademoiselle Louise? (z wytwornym ukłonem)*. Pani, znak twój będę odtąd nosił na zbroi. *(obraca się do Maryni, półgłosem)*. A książka?

Marynia. Louise! *ce livre!*

Louise. *Dans votre chambre.*

Marynia *(do Podosockiego żywo)*. Masz nową?

Podosocki. Przyszła prosto z Paryża, pocztą *(dotyka się bocznej kieszeni surduta)*. Illustracye prześliczne.

Marynia *(zmięszana)*. Jak? jak? po co? *(gorączkowo)* Przyniosę tamtę *(wybiega na lewo)*.

Podosocki *(siada, półgłosem)*. Jesteście ostrożne? *(ogląda się)*.

Louise *(bokiem ust)*. Stara pilnuje nas w dzień i w nocy, *(skubie palcami krawędź karła)*.

Podosocki. Biedna Marynka. Ale prawda *(sięga do kieszeni, wydobywa małe pudełeczko aksamitne)*. *Quelque chose pour vous, mademoiselle Louise (podaje jej)*.

Louise *(drżącemi rękami otwiera pudełko, wyjmuje pierścionek, przygląda mu się z zachwytem)*. *Quelle bague! merci! merci!*

Podosocki. Proszę schować i kochać... Marynię.

Louise *(chowa w kieszeń)*. *C'est un diable cette petite.* Ale już czyta tak łakomie. Ja jej objaśniam.

Podosocki. Chciałbym być pani uczniem.

Louise *(z rozkosznym uśmiechem)*. To ja byłam *une élève...*

Podosocki *(puszcza monokl, mruży oczy)*. Prawda, jak to czas biegnie, po teatrze, po balu, prawda, *(kładzie rękę na sercu)*. Noszę tu jeszcze na sercu zasuszony listek. Graliśmy wtenczas w zielone...

Louise (*splata ręce z tyłu głowy, kokietuje go*). *Vous êtes charmant...*

Marynia (*wpada z lewej strony, podaje Podosockiemu książkę małą, cienką, wąską, w żółtej okładce*). Jest (*spuszcza oczy*). A ta?

Podosocki (*ogląda się, wyjmuje podobną książkę z bocznej kieszeni surduta, cichym głosem*). A tę, trzeba czytać, w łóżeczku, przed spaniem...

Marynia. Nie wezmę! (*wyrywa mu, zmięszana nie wie, co robić*). Louise! (*podaje jej*). *Cachez...*

Louise (*wsuwa za stanik, półgłosem*). *Tranquillement...*

Podosocki (*który odszedł na bok, wraca, jakby nic nie zaszło*). Kazałem staw znowu polać w moim parku. Mróz był dobry tej nocy. Lód, jak szyba, zaprasza łaskawe panie. Można się w nim przeglądać, jak w zwierciedle..

Marynia. Erazmie!

Podosocki. Moja żona będzie się także ślizgać z paniami.

Marynia. Jak to dobrze! jak ja cię kocham za to! jak ja cię kocham! Hurra ślizgawka! będziemy sami! tyle miejsca! hurra (*całuje go*).

Louise. Marie!

Woronek (*schodzi po schodach w głębi. Chroma na prawą nogę, podpiera się kijem. Usta skrzywione zawsze. Zarost angielski, dołem rudawy, górą ciemny. Niesie tekę pod lewą pachą*).

Marynia. Pan Woronek! (*wybiega naprzeciw niego i ciągnie go do sali*). Śligawka, słyszał pan! Hurra! wołaj pan za mną. Ee, pan zawsze jak po olejku rycynowym. Erazmie! (*biegnie do niego*).

Podosocki (*rozkłada ramiona*).

Marynia (*wymija go*). A figę! Przyszła kryska na Matyska. Jutro, pojutrze, popojutrze, prawda panie Woronek (*okręca go na miej cu*).

Woronek (*kłania się sztywnie*). Dzień dobry paniom.

Podosocki (*do Woronka*). Pan Władysław jest na górze?

Marynia (*wyciąga Woronkowi chustkę z tylnej kieszeni do połowy, odbiega*). Pan zawsze mówi dzień dobry, choćby w nocy.

Woronek (*do Podosockiego*). Jest (*zostawia tekę po lewej stronie, spostrzega się*). Panna Marynia znowu coś pewnie (*ze złością wyciąga chustkę, słodko*). Mam taki katar mocny (*udaje, że siąka*).

Marynia. Fe! fe! (*ogląda palce*). *Louise, venez!* umyję ręce (*po cichu po drodze*). Obejrzyjmy książkę (*wybiega kurytarzem na lewo, za nią wychodzi Louise*).

Podosocki (*patrzy za nią chwilę, potem siada na prawej stronie na sofie, powoli zapala cygaro, do Woronka*). Proszę pana, niech pan spocznie, pan pali, przepraszam, zamyśliłem się (*częstuje go cygarem*).

Woronek. Pan łaskaw. (*bierze dwa cygara. Jedno chowa do kieszeni, drugie zapala. Siada obok niego*).

Podosocki. Podpisał?

Woronek. Tak, ale ja mam z nim zawsze kłopot. Żona moja dziwi się, co tak spadam z ciała, a to wszystko przez pana Władysława, oho!

Podosocki (*po chwili*). Ojciec jest u siebie?

Woronek. Pan Hanusz? Nie wiem. Nie widziałem go dzisiaj (*zniżonym głosem*). Proszę pana dobrodzieja, czy p. Hanusz myśli zostać dłużej w mieście?

Podosocki. Jak to zapomniałeś pan? Wszakże będzie kandydował na prezydenta miasta. Jużby dawno uciekł na wieś. Zatrzymuję go jak mogę.

Woronek (*przypomina sobie*). Aha, ten kontrakt. Pokażę panu (*wstaje, idzie na lewą stronę do teki*). To może źle, że zostaje. Lepiej, żeby polował, siał, żął (*pochyla się nad teką, przegląda papiery*). Jabym mu nie dowierzał. Dobrze, że się go raz dało wyprawić na wieś (*obraca się*). Czy pan wie? Dwadzieścia lat i coś jeszcze patrzałem na to, jak pracował w banku (*dalej szuka*). Hooo, inaczej dawniej bywało. Przygnębiła go śmierć żony. Szczwany lis, hoho! (*wyjmuje arkusz zapisany, do siebie*). Ten, ten (*czyta, od czasu do czasu mówi*). Jaki on miał dawniej nieprzyzwoity wygląd, żeby pan inżynier wiedział. Nos i oczy (*czyta przytem*). Niechby co, to tak wycisnął człowieka (*do siebie*)... nie ten (*chowa arkusz wyjmuje inny*)... jak cytrynę do herbaty (*czyta*). Tak, tak, ten (*idzie do Podosockiego z arkuszem*). Ale

on ma zawsze nieprzyzwoity wygląd, ma i miał (*podaje mu arkusz*). To jest właśnie ów kontrakt. Nie wiem, czy go dać do podpisania panu Władysławowi. Może się spostrzedz (*siada obok niego*).

Podosocki. Robi kiedy jakie trudności? Przecież nie? (*przegląda*).

Woronek O, o! To najprzykładniejszy dyrektor banku, jakiego widziałem. Podpisuje, co mu się da. Stary nie miał dać kogo na swoje miejsce, jak syna. No, ale ten kontrakt, to już sam rogi wystawia. Jakby tak wpadł w ręce staremu (*niespokojnie pociąga rękami po kolanach*). Raz tylko widziałem go przy robocie, jak wyciskał cytrynę, ooho! No, więc co?

Podosocki. Dać do podpisu. Zręcznie jest wystylizowany (*wstaje*). A co się tyczy mojego teścia, proszę niech pan go unika. Gotów się wypytywać. Pan może się zaplątać. Po co go trapić.

Woronek (*idzie i chowa arkusz do teki*). Już jabym wolał, żeby siedział na wsi. Z tem mu nawet bardziej do twarzy. Hanusz, obywatel ziemski.

Podosocki. Tak, bezpieczniej by było. Ale jest mi potrzebny. Trochę zatem ostrożności. Dam mu takie ładne zajęcie, że (*uśmiecha się*) nie będzie miał czasu wglądać w nieswoje rzeczy. Tak, tak (*zbliża się do Woronka*). Jakże pańskie dzieci się mają? Lepiej? doktór dobry?

Woronek. O panie Podosocki, dziękuję (*ściska mu rękę, nie wie co mówić*). Tak. Moja żona modliła się za pana dobrodzieja. Dzieci, wszystko jakoś. To przecież pierwszy doktór w mieście. Pan taki łaskaw, na swój koszt.

Podosocki. Cieszy mnie to. O młode pokolenie trzeba dbać. Niech się pan nie gniewa na mnie. Posłałem trochę starego wina.

Woronek. Panie dobrodzieju! (*przestępuje z nogi na nogę, nie wie co mówić*).

Podosocki. Wydobył pan zkąd pieniądze?

Woronek (*zmięszany*). To jest, och, Bóg widzi. Ale zkąd? Niedawno pan podejmował zjazd techników, teraz znów te imieniny. Dziesiątki tysięcy poszły. A tu wydatki

bieżące, nowe budowle, pan jak szach perski rozrzuca złoto...

Podosocki. Pomyśl pan, a znajdą się. A cóż Kaliski? nasz tasiemiec? (*śmieje się spokojnie*). Zły na mnie podobno.

Woronek. Czy on wie, jak się ma. On to już z pewnością zaraz po urodzeniu zrobił matce awanturę za to, że go wydała na świat. Jakbym tam był.

Podosocki (*śmieje się*). Tak, tak, to on. Udało się panu.

Hanusz Henryk (*wchodzi ze swego gabinetu z lewej strony. Postać rosła, trochę w karku pochylona. Prawą rękę trzyma zwykle na piersiach, wsuniętą palcami w zanadrze. Stąpa ciężko. Zarost bujny na głowie, siwawy, broda wygolona, wąs gęsty, szpakowaty, rozczochrany*). Dobry wieczór, Erazmie.

Podosocki. Dobry wieczór (*podchodzi ku niemu, puszcza monokl, ujmuje go za ręce, całuje w ramię*). Spał dziś ojciec w nocy? dobrze? To potrzebne dla zdrowia.

Woronek. Padam do nóg łaskawemu panu.

Hanusz (*chłodno*). Dobry wieczór (*do Podosockiego*). Tak, spałem, dziękuję ci (*przechodzi z nim po sali powoli tam i napowrót*). Choć co prawda, w mieście napada mię zwykle bezsenność. Odzwyczaiłem się już widać od waszego życia. No, no. Jak to człowiek zmienia się nawet na starość.

Woronek (*chce odejść*).

Podosocki (*zatrzymuje go gestem, do Hanusza*). Kto tyle zasług położył, co ty, kochany ojcze, ten może spokojnie odpoczywać. Chwilami zazdroszczę ci tej pracowitej przeszłości. A i tak pokażesz jeszcze nieraz nam młodszym, jak to staje się do orki i do żniwa społecznego.

Hanusz. Chwalisz mię, żeby chwalić. Ja już inny jestem. Widzisz, ja spełniłem swój obowiązek. Rozwinąłem bank, złożyłem kierownictwo w ręce syna, jak mój ojciec złożył je w moje, córkę tyś mi zabrał, nic mi nie zostało. Trudno. Wróciłem do ziemi na stare lata. Taka to już nasza kolej (*z uśmiechem*). Zaczynamy choćby od balonu, a tęsknimy nakoniec do swojego kąta, do roli. Atawizm, atawizm (*siada*). Cóż u was? (*uśmiecha się*). Prawda, pytam się jak prawdziwy hreczkosiej? Odro-

sła mi nowa skóra. Giełdziarską zostawiłem przy pierwszej figurze w mojej wsi. Jestem chłop na własnym zagonie.

Podosocki. U nas tak, jak zawsze. Życie przewala się kłębi. To ten na dole, to ten na górze. Fala za falą. Bracia Sorowscy ogłosili upadłość. Henrich porobił milionowe interesa na nafcie. Panak, ten, któregoś ojcze wypędził z banku za kradzież, dyrektorem kasy zaliczkowej. Plecy, plecy!

Hanusz. A ten mały kupiec towarów kolonialnych? To dzielny człowiek. Mucha, tak?

Podosocki. Powiększył interes. Kupił dwie kamienice w rynku. Ale prawda, w mieście zanosi się na zmiany.

Hanusz. Tak?

Podosocki. Pan Woronek mówił mi właśnie (*staje za Hanuszem, głową daje znaki Woronkowi, żeby mówił*) wybory...

Woronek. Tak, to jest, niby sześciolecie skończyło się. Będziemy wybierać nowego prezydenta.

Podosocki. Korecki podobno wyrzeka się już raz na zawsze prezydentury. Czy tak, panie Woronek?

Woronek. Tak, to jest mówią, że ma nieprzyzwoity wygląd.

Hanusz. Na nikim nie zostawią suchej nitki (*niechętnie patrzy na Woronka*).

Podosocki (*daje znaki Woronkowi, żeby mówił dalej*). Podobno nie dorósł do swego zadania.

Hanusz. Byleby każdy tak rządził jak on, byłoby dobrze.

Podosocki. To prawda. Ale sam.

Hanusz. Nie chce mi się w to wierzyć. Na aptece prawie że traci. On żyje teraz z prezydentury.

Woronek (*przestępuje z nogi na nogę*). Tak, ale wymieniają różnych kandydatów. Ale ogół, to jest, tak, ogół inaczej rozrachowuje te rzeczy. Niby całkiem inaczej.

Podosocki (*opierając się z tyłu o poręcz sofy i przeginając się, z uśmiechem, powoli*). A gdyby tak pomyślano o ojcu? To co?

Hanusz. Ja prezydentem? (*podnosi głowę, patrzy mu w oczy, śmieje się, poważnieje, wstaje, odchodzi*). Także myśl.

Ty sądzisz, Erazmie, że ja jestem słońce i że na mnie nie ma plam.

Podosocki (*daje znak Woronkowi, żeby odszedł*).

Woronek (*bierze tekę, kłania się, idzie ku schodom*).

Hanusz (*spostrzega go, mówi za nim*). Pan do Władka?

Woronek. Tak, proszę pana dobrodzieja.

Hanusz (*z przekąsem*). Wstał już?

Woronek. O oho, dawno (*idzie po schodach, znika*).

Hanusz. Syn nie podobny do ojca, prawda?

Podosocki. To może teraz, w tych dniach.

Hanusz. Pewnie, dawniej tego nie było. Teraz wieczorem mówi mu się „dzień dobry“. Co on robi po całych nocach?

Podosocki. Widzi ojciec, młodość szumi.

Hanusz. Aby podleć. Ani ty, ani ja *tak* nie zaczynaliśmy życia (*siada*).

Podosocki (*chodzi trochę po sali*). Pracuje, a że tam czasem...

Hanusz. To „czasem“ gorsze u niego niż „zawsze“.

Podosocki (*patrzy na niego z daleka, staje*). Ojciec jest surowy. Ojciec niczego nie zapomina. Naprzykład Woronek. Ojciec pogardza nim.

Hanusz. Mój drogi. Kto raz nadużył mojego zaufania, ten nie odzyska go już nigdy. Żeby nie ty i nie Władysław, cień by nawet Woronka nie włóczył się po moim domu. Wy macie jakąś inną etykę. Może lepiej umiecie zażywać ludzi, ale dla mnie co brudne, to brudne.

Podosocki. Z tych, którzy błądzili, bywają nieraz najlepsi wyznawcy (*siada obok niego, po chwili*). Pusto nam bez ojca. Miesiącami całemi nie widujemy cię. Czasem tak mi żal... ojciec sam, daleko od nas.

Hanusz (*patrzy mu w oczy*). Poczciwy! (*bierze głowę jego w ręce i całuje mocno*). Poczciwy! (*głowę swoją kryje w dłonie, oparłszy łokcie na kolanach, wzruszony*). Bo to widzisz, nie zawsze tak się składa człowiekowi, jakby chciał. Inaczej i ja wyobrażałem sobie przyszłość. Ano, nie poszczęściło się. Ha, a stało się!

Podosocki (*cichym głosem*). Biedna matka. Teraz mogłaby być dumna ze swoich dzieci.

Hanusz (*patrzy na niego zdziwiony, po chwili zamyślony*).

Jak to dziwnie przypadek łączy ludzi (*patrząc w okno mimowoli*). Czasem obcy staje się bliższym od najbliższych...

Podosocki (*chwyta go za rękę, całuje szybko, odchodzi na bok z udanem rozrzewnieniem*).

Hanusz. Erazmie! co ja powiedziałem? (*z uśmiechem*). Tak, tak to prawda...

Podosocki (*staje i patrzy na niego bystro*).

Hanusz (*z oczami utkwionemi przed siebie, powoli*). Tak, kiedy czasem wieczorem siedziałem tam na wsi w ogrodzie, przesuwaliście się przed mojemi oczami, jak zjawiska, jak zmienne barwy zachodzącego słońca, Hela, Władek, ty, nieboszczka, ale twoją twarz, zdaje mi się widywałem najczęściej, jakie to dziwne.

Podosocki. Ojcze! (*spieszy do niego*).

Hanusz (*wstaje, otwiera ramiona, ściska go, całuje, potem sadza obok siebie, żywiej*). Czas szybko biegnie. To już lat siedm jak mi żona umarła, i jak Hela wyszła za ciebie. Macie śliczną córeczkę. Czy Hela kocha ją jak dawniej? Prawda, że tak?

Podosocki. Więcej, więcej jeszcze. Chowamy ją jak skarby świata. Żeby ojciec wiedział, jak Karolcia rozwija się. Jaka ona śmiała, jak bystro myśli, aż mnie to czasem zastanawia. Tylko za dziadziem tęskni i tęskni.

Hanusz (*trze czoło*). Słuchajno, Erazmie. Przypomniała mi się jedna rzecz. Leży mi na sercu (*wstaje*). Nic takiego ważnego (*chodzi ciężko z rękami w tyle założonemi*). Słuchaj (*staje przed nim*). Wiesz, że Władkowi powierzyłem kierownictwo banku na lat kilka, jako na czas próby. Teraz wypadałoby oddać mu już bank zupełnie na własność z pewnemi zobowiązaniami na rzecz naszą. Przecież to mój syn. Jak sądzisz (*poufnie*), powiedz mi tak szczerze, czy możemy liczyć na niego? (*patrzy w niego przenikliwie*).

Podosocki (*zaskoczony*). Mnie się zdaje, mnie się zdaje... (*nie wie co począć, niepewnym głosem*). Tak, tak... (*śledzi ruchy Hanusza, wstaje, jasnym głosem*). Ależ tak, ależ tak... (*chodzi żywo tam i napowrót*) najzupełniej tak.

Hanusz. Dziękuję ci. Może tak da się zrobić. Zobaczymy...

Podosocki. Ale zkąd ojcu teraz? (*patrzy za nim*).

Hanusz. Czas leci, życie leci.

Podosocki (*do siebie*). A... (*odzyskuje humor, idzie za nim, chwyta monokl, kładzie mu ręce na ramionach*). A więc ojciec pozostanie dłużej w mieście. Doskonale. Zaczniemy od tego, że Karolcia wytarga dziadziowi wąsy, a skończymy na tem, że ojca obierzemy prezydentem. Ha! ha! ha!

Hanusz (*pokazuje palcem po czole*).

Podosocki. To żart. Ktoś mi jednak mówił już o tem i to całkiem poważnie, nawet więcej osób. Ojciec za dawnych lat położył zasługi w gminie.

Hanusz (*śmiejąc się*). Jabym im prezydował. Wszystkich radców zapakowałbym na wozy, jak bandosów, wziąłbym ich na żur i dla gimnastyki kazałbym im młócić zboże. Widziałbyś, jakby potem wszystko szło składnie. Ha! ha! ha!

Władysław (*schodzi w głębi po schodach. Znać na nim zmęczenie fizyczne. Zarost blond, krawatka odwiązana, włosy pomierzwione na głowie. Chce umknąć kuryturzem na lewo*).

Hanusz (*spostrzegłszy go*). Śpiochu, dzień dobry!

Władysław. Dzień dobry, ojcze (*wchodzi, całuje go w rękę, podaje dłoń Podosockiemu*). Masz cygara?

Podosocki. Proszę cię (*podaje mu*).

Władysław (*zapala leniwie*).

Hanusz (*chodzi dalej po salonie*). Przypominasz sobie Sabockich?

Władysław. Ojciec do mnie mówi?

Hanusz. Tak.

Władysław. Bo co, proszę ojca? (*siada w fotelu, zanurza się w głębi, siedzi skulony, apatyczny*).

Hanusz. Byłeś tam kilka razy.

Władysław. Tak, w lecie. Miły dom. Panienki miłe.

Hanusz. Tak, tak.

Władysław. Tak, tak...

Podosocki (*chodzi w głębi*).

Hanusz (*staje przed synem*). I ty nic? nic? Wiesz, że starsza córka zakochała się w tobie?

Władysław. Miała dekadencki gust (*patrzy gdzieindziej*).

Hanusz (*po chwili*). Nie myślisz się żenić?

Podosocki (*przystaje zdziwiony, słucha uważnie*).

Władysław (*ironicznie*). Ja — i żona..

Hanusz. Rób jak chcesz. Powinieneś jednak o tem pomyśleć.

Podosocki (*chodzi dalej w głębi*).

Hanusz (*siada naprzeciw syna*). Dopiero wtenczas człowiek staje się naprawdę członkiem społeczeństwa, kiedy zawiązuje rodzinę. Póki sam, to niema właściwie żadnych zobowiązań. Spycha życie. Nie chciałbym, abyś ty był takim. Zostaw to innym — lekkiewiczom.

Władysław. Chciałbym.

Hanusz (*ostro*). Musisz..

Władysław (*zdziwiony, patrzy apatycznie na ojca — milczenie chwilowe*).

Podosocki (*staje i spogląda na nich*).

Hanusz (*znowu łagodnie*). Widzisz. Nie powinienem do ciebie tak mówić. Przedewszystkiem nie powinieneś na to zasługiwać. Zmieniłeś się tak, że nie chce mi się wierzyć oczom własnym. Co się stało z tobą? Przez ten rok czasu widywałem cię tylko przelotnie. Chory jesteś?

Władysław (*apatycznie*). Nie.

Hanusz. Straty na giełdzie...

Władysław. Aa.

Hanusz. Kochasz się nieszczęśliwie?

Władysław. Gdyby to.

Hanusz (*wstaje, twardym głosem, bez gniewu*). Wejdź w siebie, dobrze wejdź. Przyszłość nie czeka. Takim cię weźmie, jakim jesteś. Byłeś samem życiem. Dziś jesteś szmatą. Na ciebie liczyłem. Wiesz o tem. Mam się zawieść?

Władysław (*przekładając nogi*). Wszystko w porządku...

Podosocki (*spieszy do Hanusza*). Bo to widzi ojciec...

Hanusz (*kiwa ręką, aby dał spokój*).

Władysław. Poprawię się, dobrze?

Hanusz (*kładzie mu rękę na głowie, głaszcze go, ciepłym głosem*). Nieuczesane to, nieumyte może, nie wyspało się.

Władysław (*uśmiechając się*). Woronek mię obudził. Chroma bestya tak, że aż mu chrupie w nodze.

Hanusz. Ściele ci teraz łóżko, co? (*śmieje się*).

Władysław. Niech ojciec powie raczej, że się wysypia jak suseł na mojej pościeli. On się tak zawsze urządza. Choćby na pięć minut. Ale ja mu raz dam bobu (*dzwoni*).

Hanusz (*do Podosockiego*). Hela przyszła?

Podosocki. Jest pewnie u ciotki.

Hanusz (*odchodzi na lewo kurytarzem, przedtem mówi do Władysława*). Wyśpij się, pogadamy.

Michał (*staje we drzwiach w głębi*).

Władysław. Zobacz, co robi pan Woronek w moim pokoju.

Michał (*idzie na górę*).

Podosocki (*po chwili obojętnym głosem*). Popisujesz się swoją apatyą?

Władysław. Myślisz?

Podosocki. Ojciec przyjechał ze wsi. Chciałby się trochę rozerwać, a ty jakby umyślnie.... (*stoi w głębi*).

Władysław (*staje, klęka we fotelu, przewiesza się przez tylną poręcz, tyłem obrócony do widzów*). Nowy talent odkrywam w tobie. Czytałeś pewnie w młodości *Kazania Skargi* — sejmowe.

Podosocki. Przyznaj się, że lubisz trochę przesadzać, jak twój wuj nieśmiertelny.

Władysław (*drwiąco*). Mam ja jakiego wuja? — aa, Kaliski!

Podosocki (*kiwa głową z politowaniem, uśmiecha się, chodzi*).

Michał (*schodzi, staje we drzwiach*).

Władysław. Cóż tam?

Michał. Proszę jaśnie pana, chrapi bezkurcya, aże sufit się rusza...

Władysław. Na mojem łóżku?

Michał. Tak, jaśnie panie.

Władysław. Ściągnij go na ziemię.

Michał (*niepewnie*). Kiedy, proszę jaśnie pana, żal człowiekowi. Nie wyspało się to pewnie. Grdyka mu skaka, aże hej.

Władysław (*daje mu znak ręką, żeby odszedł, potem siada w fotelu, jedną nogę pod siebie podłożywszy, po chwili*). Masz mię, jakim mię chciałeś mieć (*nie patrząc na niego*). Protestujesz pewnie. Ale prawda, ty nigdy nie protestujesz. Wiesz, że protestować to to samo, co przy-

znawać się do winy (*opatycznie*). Rozpileś mię, zaprawiłeś do ferbelka, zapoznałeś mię z dystyngowanym półświatkiem. Puszczam pieniądze, zdrowie. Ty się cieszysz i ja się cieszę. Nie cieszysz się? ee!

Podosocki (*zimno*). Skończyłeś? (*siada*).

Władysław (*obraca głowę*). Podobasz mi się coraz więcej, umiesz nawet być głuchym.

Podosocki. Ale pamiętam za to dobrze o tem, co w nocy robiłem.

Władysław (*skrzywiony*). Aha, ile ja to przegrałem do ciebie?

Podosocki. Ośm tysięcy dwieście.

Władysław (*skrzywiony*). Dług honorowy?

Podosocki. To już twoja rzecz.

Władysław (*ironicznie*). Aa, rozumie się. Dług honorowy i to do tego między krewniakami (*po chwili*). Termin ostatni dziś do północy? A zkąd ty myślisz, że ja wezmę (*myśli*). Ha, no (*po chwili*). Ale, ale. Woronek (*wstaje*). Słuchajno. Proszę cię o jedno. Raz już zapowiedziałem temu twojemu Hefajstosowi, żeby mnie nie wybijał ze snu (*gwałtownie*). On zawsze swoje (*uderza stolkiem o ziemię*). Zapowiadam ci, że zawołam kiedy lokajów i każę go przez okno wyrzucić. Będzie potem chromał na obie ręce i nogi. Angielska małpa!

Podosocki. Rano śpisz, w południe śpisz, po południu śpisz, więc kiedy ma załatwić z tobą biurowe sprawy. Jesteś dyrektorem.

Władysław. Nigdy! nigdy! (*uspokaja się, siada, śmieje się*). I to on. Żeby bestya miał przynajmniej jaki taki zarost, ale rośnie mu pięć włosów w siedmiu rzędach i kontent (*po chwili*). Zresztą, co będziemy się bawić w ciuciubabkę. Masz lepszy łeb odemnie, jedno oko podwójne, znasz się na sprawach bankowych, jak Rothschild, wszystkoś przejrzał za mnie, połknął, a że ja tam podpisuję — ee! Podpisuj za mnie. Masz tyle talentów, to i to potrafisz.

Podosocki (*gwałtownie*). Zapominasz się.

Władysław (*otrzepuje popiół z cygara, po chwili*). Daruj. To ta angielska małpa tak mię wzburzyła. Nie wyspałem się.

Podosocki. Bierz ze mnie przykład. Czy kto pozna co po mnie?

Władysław. Aa! Z tobą równać się. Jesteś przystosowany do do takiego życia, jak wielbłąd do pustyni.

Podosocki. Powiedz, że mniej hołduję miłości.

Władysław (*apatycznie*). Zapomniałem już o tem. Ta cała pani Barowska z mężem i bez męża już mi się przejadła.

Podosocki. Są inni, szczęśliwsi od ciebie.

Władysław (*gwałtownie*). Kto?! ona by śmiała?! (*zrywa się*).

Podosocki. Żartowałem tylko (*odchodzi ku oknu*).

Władysław (*siada, patrzy z wściekłością za Podosockim, przez zęby*). Masz ciekawy sposób badania drugich.

Podosocki (*patrząc przez okno*). Myślisz, że na twojem miejscu nie kochałbym się tak samo w pani Barowskiej?

Władysław (*siedzi skulony w głębi fotelu, przez zęby*). Ona doigra się ze mną, no!

Podosocki. Na takie kobiety tylko obojętność działa, lód. Im zimniej, tem więcej się palą. Rób tak, będziesz widzieć. Jak pies będzie ci patrzeć w oczy. Teraz tracisz w jej oczach.

Władysław (*ironicznie*). Mógłbyś napisać psychologię buduarowych manipulacyj.

Podosocki. Rób, jak chcesz.

Władysław. A pewnie, że zrobię tak, jak mówisz. Przynajmniej później nie będę sobie wyrzucał, że mistrz narzekał na brak uczniów.

Podosocki (*cedzi*). Szkoda tylko, że pani Barowska pozna się na partackiej robocie.

Władysław (*apatycznie*). Mam skórę hippopotama. Daj sobie oszlifować zęby (*puszcza kółka dymu*).

Podosocki (*chodzi, po chwili*). Wspominał ci Woronek o kopalniach węgla?

Władysław. W Zakłuszynie? a jakże. Winszuję ci. Znaleźliście nowe pokłady. Milionowy interes. Mam trzymać w tajemnicy?

Podosocki. Tak, bank mógłby na tem stracić.

Władysław. I przed ojcem?

Podosocki (*niedbale*). Tak. Niespodzianka, i tak dalej.

Władysław. A dobrze, jak chcesz.

Michał (*przynosi bilet na tacy*).

Podosocki (*bierze bilet — czyta dobitnie*). Zofia Barowska (*do Michała*). Proś. Ja sam uwiadomię panie.

Władysław (*gwałtownie zrywa się, rzuca cygaro*). Ona?! (*poprawia gorączkowo krawatkę*).

Podosocki. Przebierz się. Uważa na to. Ta wiązana, niebieska krawatka. Do twarzy ci w niej.

Władysław (*wybiega szybko po schodach w głąb*).

Podosocki (*chwyta monokl, czeka w zręcznej postawie*).

Zofia Barowska (*wchodzi z prawej strony. W pełni wieku. Kapelusz na głowie, rękawiczki. Ubrana wytwornie. Uśmiech na ustach. Swobodna*).

Podosocki. Boże! to pani! Zawsze inna, zmieniona! Boginie Olimpu, w proch padajcie.

Barowska. Niepoprawny (*z uśmiechem podaje mu rękę*).

Podosocki (*odpina rękawiczkę i całuje ją w puls, ciepło*). Pani, mam-li rozwiać się w mgłę po tym pocałunku?

Barowska. Nie. Dać mi się przejrzeć na wylot, jak kryształ.

Podosocki (*wytwornie*). Łaski dla mnie. Winną jest matka moja. Z nieprzejrzystych chemikaliów ukształciła moje jestestwo. Lecz z tobą, o pani, nie wolno mi się nawet równać. Nieprzejrzaną jesteś, jak ziemia w swej osi. Za to obecność twoja budzi wszystkich, jak słońce ptactwo (*naturalnym głosem*). Dałbym rękę, że Władek zawiązuje na górze krawatkę, aby—nie podobać się pani.

Barowska (*siada na sofie, patrzy na niego z finezyą*).

Podosocki (*siada obok niej, ujmuje ją delikatnie za rękę*). Choć, co prawda, aktor z niego dobry.

Barowska (*patrzy na niego pytająco*).

Podosocki (*licząc jej palce w swych rękach*). Z nami chłopcami zawsze bieda, ale z takimi, jak Władek, miłość, to już katastrofa. Jak mucha gna do wieczornej lampy, parzy sobie skrzydła, ale kiedy lampa zniknie, śpi spokojnie, śni o czem innem i tak dalej. Warto to mieć dla takich nicponiów, jak my, dziesięć cudnych paluszków, rzeźbionych ręką Fidyasza?

Barowska (*wstaje z pewnem niezadowoleniem*). Wolałabym wiedzieć, czy pan zapatrzył się na pana Władysława, czy on na pana (*odchodzi, zdejmuje rękawiczki*).

Podosocki (*ironicznie uśmiecha się za jej plecami, spokojnie mówi*). A jeszcze lepiej byłoby, gdybyśmy obaj ulegli....

Barowska (*odwraca się*).

Podosocki (*z ukłonem*). Czarowi pani.

Barowska (*uśmiechnąwszy się, zagniewanym głosem*). Dlaczego pan nie kocha się we mnie?

Podosocki (*z ukłonem*). Spłonąłbym, jak pachnący papierek.

Barowska (*tupie nogą*). Cicho! (*śmieje się*).

Podosocki. A przytem boję się trochę. Jeśli pani przywiąże Władka choć trochę do siebie — i notabene jeśli on uwierzy w zachwyt miłosny pani — będzie postrachem całej okolicy, jak Rinaldo Rinaldini.

Barowska. To, to, to, to — to samo powiedziałam sobie (*oczy jej się świecą, upuszcza rękawiczkę, schyla się po nią*).

Podosocki (*równocześnie się schyla, głową dotyka jej głowy*).

Barowska (*śmiejąc się, pochylona*). Jak my oboje znamy ludzi, prawda?

Podosocki (*siada umyślnie na ziemi, podaje jej rękawiczkę*). Zwłaszcza... siedząco...

Barowska (*zanosi się od śmiechu*). Jaki pan, jaki pan....

Podosocki (*naśladując jej śmiech*). Haaa, haaa... (*wstaje*).

Barowska (*po chwili poufnie*). Tak. On ma coś z ognia w sobie. Ale to właśnie lubię. Pali. Ale to właśnie jest ciekawe. To właśnie mię zajmuje.

Podosocki. I więcejby panią zajmowało, gdyby nie mąż zielonooki (*strzela oczami, śmieje się*). Przyjdzie dziś?

Barowska. Ma jakieś posiedzenie. Prawda, no to, o które pan go prosił. No to, co mają przyjść w deputacyi do starego Hanusza, żeby się ubiegał o prezydenturę. Wiem wszystko, a co?

Podosocki (*naśladując jej głos, wytwornie*). Aa! To ma coś z ognia w sobie. To mię zajmuje.

Barowska (*śmieje się*). A tak, a tak, tylko że Władysław jest zbyt gwałtowny, zbyt nieostrożny.

Podosocki. Za to mąż pani ma talent do urządzania skandalików takim panom, co?

Barowska (*ostro*). Panie! (*wybucha śmiechem*).

Podosocki. Jabym na miejscu pani zasłabł, wyjechał do Abbazii. No, a bank nasz ma pewne sprawy w tamtych

stronach (*po chwili*) i daje dziesiątki tysięcy na podróż swoim — dyrektorom ..

Barowska (*patrzy na niego uważnie, chodzi po sali, uśmiecha się, naraz*). Panu tak bardzo zależy na tem, żeby on—i ja??— (*ruch ręką odjazdu*).

Podosocki (*zaskoczony, niepewnie*). Tak? tak? (*z humorem potem*) a ktoś żeby tu wiądł z tęsknoty??

Barowska. Pan? (*śmieje się*) Gdyby (*wzdycha*).

Władysław (*zbiega po schodach*).

Barowska (*idzie ku oknu*).

Podosocki (*zastępuje drogę Władysławowi, ogląda się na Barowską, wzrusza ramionami, chodzi w głębi*).

Władysław (*cicho do niego*). Dobrze (*zdaleka, spokojnie*). Dobry wieczór pani.

Barowska. Pan Władysław! (*wytrzymuje go spojrzeniem, podaje mu rękę z gestem zmęczenia*).

Władysław (*całuje ją w rękę, odchodzi, nie patrząc na nią*).

Barowska (*zdziwiona*).

Podosocki (*do niej*). Uwiadomię panie, że pani przyszła (*odchodzi na lewo*).

Barowska (*siada wygodnie, opuszcza ręce, patrzy smutnie w stronę Władysława*).

Władysław (*przechodzi koło niej nerwowym krokiem, powolnym, strzela oczami*).

Barowska (*patrzy na koniec swego bucika, który wysuwa z pod sukni i cofa co chwila*).

Władysław (*jeszcze raz przechodzi koło niej, mija ją, nagle zwraca się, podchodzi do niej i stłumionym głosem mówi*). Dlaczego mię dręczysz?! chcesz mię do szaleństwa przyprowadzić?!!

Barowska. Ten ton, wszak jestem w pańskim domu!

Władysław (*gwałtownie odchodzi od niej, siada w oddali*).

Barowska (*ciepłym głosem*). Nie chcesz mię rozumieć.

Władysław (*z udaną opatyą*). Nie umiem. Próżno skubię się w brodę, nie umiem.

Barowska (*to pochłaniając go wzrokiem, to znowu zamykając oczy*). Tak, tak, tak nie błądzi się, zapomina się.

Władysław (*już niespokojnie*). Aa, trudno.

Barowska (*patrzy długo na niego, zamyka oczy*).

Władysław (*zrywa się*). Masz szatańską metodę (*staje przed nią*). Wczoraj zapominało się o wszystkiem przy tobie, dzisiaj drapiesz.... wczoraj pod sierść głaskałaś, dziś zasypujesz pieszczotami. I to tak bez końca, bez końca! (*odchodzi*).

Barowska (*smutnie*). Powiedz mi jedno, kto z nas męczy się więcej, ty wolny, czy....

Władysław (*przypada do niej, całuje ją po rękach*). Zofio! Zofio!

Barowska. Uważaj!

Władysław. Chwilami zmysły tracę (*pada w krzesło, gryzie palce*).

Barowska (*ciepło*). Powinieneś ufać. Uczucie nie jest mgłą. Kto raz je okaże, ma je, może w głębi, zazdrosne.

Władysław. Może, może (*trze głowę*). Ale to nad moje siły, to ciągłe baczenie, zmiany.

Barowska. Dla mnie na nic nie możesz się zdobyć? Tak, byłam trochę zła. Przebacz mi (*wyciąga do niego rękę*).

Władysław (*zacina usta, zdumiony*).

Barowska. Przebaczysz?

Władysław (*całuje ją gwałtownie w rękę, cicho*). Zofio! (*puszcza jej dłoń*). To takie dziwne w tobie (*uśmiecha się do niej*). Więc ty??

Barowska (*patrzy w niego długo, powoli zamyka oczy, sennie*). Marzę... gdzieś daleko... pod innem niebem .. cieplej jest... lepiej...

Władysław (*zamyśla się*).

Marynia (*wpada z lewej strony przez jadalnię*).

Kaliska, Helena Podosocka, Louise (*wchodzą za nią*).

Marynia (*spieszy do Barowskiej*). Pani! kochana pani! (*całuje się z nią*). Jaki ten Erazm przewrotny! Mówił nam, że ma nam coś powiedzieć, a nie chciał. Dopiero teraz powiedział, że pani przyszła.

Barowska (*wstaje*). Tak?

Podosocka (*która przez chwilę patrzała badawczo to na Władysława, to na Barowską, podchodzi do niej, podaje jej rękę*).

Kaliska (*witając się z Barowską*). Pani rzadkim jest u nas gościem. Cieszę się bardzo, że pani przyszła nas od-

wiedzić. Ten mój trzpiot (*ujmuje Marynię ręką za szyję*) wciąż wspomina o pani (*rozmawia z nią dalej pod oknem*).

Louise (*kłania się, podchodzi do Barowskiej*).

Barowska (*podaje jej rękę*).

Louise (*odchodzi od niej z Marynią*).

Władysław (*całując Helenę w twarz*). Dobry wieczór, siostrzyczko.

Podosocka. Źle wyglądasz.

Władysław (*uśmiechając się*). Przestała mię ciocia tuczyć na święta. Mam za mało gęsich przymiotów (*odchodzi od niej na lewą stronę, siada w głębi w kącie pod wazonem*).

Podosocka (*patrząc za nim, idzie na lewą stronę, siada we fotelu smutna*).

Louise (*do Maryni, wskazując oczami Barowską*). *C'est une coquette. Chaque ges'e.... regardez.*

Marynia. Louisa zazdrości jej, że się podoba mężczyznom.

Louise (*bokiem ust, wzgardliwie*). Nie kocham mężczyzn.

Marynia (*głośno wykrzykuje*). Po kochaniu! (*śmieje się do rozpuku*).

Wszyscy (*patrzą na nie*).

Louise (*zła, cicho*). *Attention* (*odchodzi do Podosockiej, rozmawia z nią, siada*).

Barowska (*do Kaliskiej*). Słyszałam dużo. To są prześliczne rzeczy.

Kaliska (*uradowana*). Pani mi pochlebia. Ah, *cet écritoire* podoba się pani. Jaki dobry deseń wypaliłam na nim.

Barowska (*zakłopotana*). Kiedy. .. nie miałam jeszcze szczęścia oglądać prac pani. Pani nie była łaskawa.

Marynia (*która błąkała się zadumana po scenie, zapominając się, podskakuje i nagle na cały głos śpiewa*). Miłość, miłość too jest potęga, too największa....

Kaliska. Maryniu!

Marynia (*biegnie zawstydzona do Podosockiej*).

Kaliska (*do Barowskiej*). Jakto? pani nie widziała, jak wypalam w drzewie? Natychmiast! Louise! idź, przygotuj! *Dépêchez vous!* (*Louise wybiega*). Ale proszę, proszę (*idzie za nią*) jak ja mogłam zapomnieć o pani.

Mogę nawet nauczyć panią wypalać, to bardzo przyjemne zajęcie (*wychodzą obie na lewo przez jadalnię*).

Podosocka (*do Maryni*). Wuj mi się skarżył, że zaniedbujesz się w naukach. Prawda to, ty trzpiocie?

Marynia. Ee, tatuś. Tatuś chciałby, żeby wszyscy pracowali, a samby nic nie robił.

Podosocka (*śmiejąc się*). To ty już ojca krytykujesz?

Władysław (*który śledził przez cały ten czas ruchy Barowskiej, wstaje, ogląda się na Podosocką i powoli wychodzi za tamtymi*).

Marynia (*dostrzegła jego ruchy, tłumiąc w sobie śmiech, pokazuje go Podosockiej*). Jak on łazi za Zofią.

Podosocka. Maryniu, jak ty mówisz? Kto ciebie tego nauczył? (*zachmurzona patrzy na nią*).

Marynia (*zmięszana*). Czy ja co złego powiedziałam?

Podosocka. Ze słów ludzie sądzą.

Marynia (*wesoło, klaszcząc w ręce*). To mię wydajcie za mąż. Jabym tak bardzo chciała mieć męża. Jabym go tak tuliła. Musialby mieć brodę, wąsy. Nie, brodę musiałby golić.

Podosocka. Maryniu!

Marynia (*obracając się w kółko*). Jakie to śmieszne! jakie to śmieszne! Mąż, męża, mężowi, męża, mężu, mężem, w mężu (*podbiega do niej*) deklinacya która? Wiesz? wiesz? a widzisz, że nie wiesz, choć masz męża. A ja wiem. I będę za to miała mężów dwóch, trzech, czterech, hurra! (*śmieje się, obraca się na pięcie*).

Podosocka (*rozbawiona*). Gdybyś była bardziej stateczna, tobyś może wyszła za mąż.

Marynia (*naiwnie*). Czyby mnie kto chciał?

Podosocka (*sadza ją obok siebie*). A pan Kostka? Profesor uniwersytetu, śliczne stanowisko.

Marynia. Ani mi w głowie (*komicznie*). Ja nie chcę mieć męża pantofla. Mąż musi być, musi być... No ty wiesz, ty wiesz.... ja jeszcze nie miałam, to nie wiem.

Podosocka. A jeśli pan Kostka naprawdę cię kocha?

Marynia. Aha, był u ciebie w prośby.

Podosocka. Może był.

Marynia. Kiedy on (*wstaje, z mądrą miną*) dobry na kolacyę.... ale po kolacyi (*śmieje się do rozpuku*).

Podosocka (*zdumiona*). Maryniu! Jak ty mówisz? Ja muszę cioci zwrócić na to uwagę.

Marynia (*strasznie zmięszana*). Ja — nie chciałam...

Podosocka. Ty nawet nie wiesz, co paplesz, powtarzasz tylko.

Marynia (*ze spuszczonemi oczami*). Ja, ja, nic nie wiem (*trze brwi prawą ręką, obraca się do głębi*).

Podosocki (*wchodzi kurytarzem z lewej strony, nie widząc żony, zasłoniętej wysoką poręczą fotelu, chwyta monokl, zakłada ręce na piersiach i z uśmiechem, stojąc, mówi powoli do Maryni*). Są wdzięki na niebie i na ziemi, o których nie śniło się filozofom....

Podosocka (*wychyla się nagle z po za poręczy, patrzy bystro to na Podosockiego, to na Marynię*).

Marynia (*podnosi na nią oczy, mięsza się jeszcze bardziej, wybucha płaczem, wypada przez jadalnię na lewo*).

Podosocki (*drgnął, niekontent chwilę, stoi w tej samej postawie, potem spokojnie*). Lubisz, Helo, Szekspira?

Podosocka (*chłodno*). Mówisz o trawestacyi.

Podosocki (*milczy, idzie ku niej, odchodzi jednak ku oknu, patrzy na ulicę*).

Podosocka (*równocześnie przechyla się na prawą stronę fotelu, ręką zasłania sobie oczy, smutna*).

Hanusz (*wchodzi z głębi kurytarzem, chce mówić, patrzy na Podosockiego i Helenę, trochę zdumiony, idzie kilka kroków naprzód, staje, przeciera czoło, chce mówić, milczy*).

Michał (*ukazuje się we drzwiach*). Pan profesor Kostka.

Hanusz (*apatycznie*). Prosić (*idzie ku drzwiom*).

Podosocki i Podosocka (*spostrzegają ojca, zamieniają ze sobą spojrzenia*).

Podosocki (*ciepło*). Wiesz Helenko? śnieg pada. Przypomniała mi się zima, kiedy to starałem się o twoją rękę.

Hanusz (*przygląda mu się bacznie*).

Podosocki (*idzie ku niej*). Ale i tyś, jak widzę, zamyśliła się.

Hanusz (*uśmiecha się*).

Dr. Seweryn Kostka (*wchodzi z prawej strony, głowa w górę, ubranie marynarkowe, ciemne, zapięty na wszystkie guziki, cwikier, twarz żywa, ruchy energiczne, piękne, ak-*

centuje silnie niektóre słowa — do Hanusza). Powitać pana. Zima spędza nas wszystkich do miasta. Teraz powinien pan dłużej z nami zabawić.

Hanusz Może to jakoś się złoży.

Kostka (*krótko*). O tak (*spieszy do Podosockiej, wita się z nią serdecznie, całuje ją w rękę*). Komitetowe panie skarżą się na panią. Nie assystuje pani świątobliwym obradom.

Podosocka (*z uśmiechem*). Na których mówi się o sukniach balowych, a nie o pomocy dla biednych.

Kostka (*krótko, ironicznie*). Praktyczne i modne (*śmieje się swobodnie. Podając rękę Podosockiemu*). Panie drogi. Fabryka nie odstawiła na czas elektromagnesu. Wykład mój popularny musiałem illustrować — rękami.

Podosocki. Znowu?

Kostka. Niestety (*do Hanusza*). Ale prawda. Słyszałem niedawno panegiryki na cześć pana. Nie wiedziałem, że pan tak duże zasługi położył w gminie. Wygrzebano je z pyłu niepamięci (*rozmawia z nim dalej, idąc ku oknu*).

Michał (*anonsuje*). Państwo Roccy.

Dr. Kazimierz Rocki (*twarz zwiędła, włosy blond, wązka długa bródka, głowa pochylona naprzód tkwi brodą w wysokim, rozchylonym kołnierzyku*).

Sydonia Rocka (*uśmiech stały, lodowy, bierność w ruchach, oczy senne, dużo złota, lornetka w ręce*).

Podosocka (*idzie naprzeciw nich, podaje rękę Rockiej, potem Rockiemu*).

Rocki. Zima, zima (*całuje w rękę Podosocką*). Zarobią ludziska trochę. Śnieg kapie jak manna. He! he! he! udało mi się porównanie, prawda? (*rozmawia z Podosocką*).

Hanusz i Kostka (*zbliżyli się i witają się z nimi, potem znów odchodzą ku balkonowi, rozmawiając*).

Podosocki (*wita się z Rocką, całuje ją w rękę*). Kazałem dla pani prokuratorowej przygotować konfitur z dereni, wszak tak, z dereni?

Rocka (*cedząc, słodko*). Pan jest niezwykły, panie inżynierze, nieutrudzony. Gdybym była królową, mianowałabym pana ochmistrzem dworu.

Podosocki (*prowadząc ją do fotelu, pokrywając ironię*). Najjaśniejsza pani, drżę na samą myśl o tem. Zaraz poduszeczkę przyniosę pod nóżki (*spieszy na prawą stronę, ziewa dyskretnie, przynosi poduszkę, rozmawia z Rocką*).

Zofia Barowska i Kaliska (*weszły tymczasem, zbliżają się ku Kostce i Hanuszowi, rozmawiają z nimi razem*).

Louise (*weszła za nimi, usiadła w kącie pod wazonem*).

Marynia (*wpada, robi ogromne oczy, że tyle osób, przypada do Podosockiej, wita się z Rockim, rzuca się Podosockiej na szyję*). Buzi, pocałować! w oba oczka! teraz ukochać! nie gniewać się! (*całuje ją*).

Rocki (*podchodzi do Hanusza, mówi do Kostki*). He, he, profesorze? jeszcze bez żony? to jak zbrodniarz bez *alibi*, he! he! he! (*wita się z Barowską i Kaliską*).

Marynia (*do Podosockiej, wskazując oczami Kostkę*). Mój domniemany. On dziś wcale dobrze wygląda.

Podosocka (*całuje ją w czoło*). To człowiek złoto.

Marynia. Kiedy on tak nic nie umie chwalić. Spostrzegł nas.

Kostka (*szybko podchodzi ku nim, wita się serdecznie z Marynią, chodzą we troje po przekątni salonu od środka w kąt ku wazonowi, pod którym siedzi Louisa i napowrót. Wesoło rozmawiają*).

Podosocki (*do Rockiej*). O tak. Wszyscy o tem wiedzą, że wpływ pani sięga tam, gdzie zwykli śmiertelnicy....

Rocka. Pan żartuje.

Podosocki (*wytwornie*). O nie. Ja wiem, że to, o co panią prosiłem, już się stało (*całuje ją w rękę*).

Rocka (*zmięszana*). Tak, o tak.

Podosocki. Prokuratorya wytoczyła już z pewnością proces owemu jegomościowi za usiłowany na mnie napad.

Michał (*anonsuje*). Pan notaryusz Barowski.

Edward Barowski (*czarny gęsty zarost, bródka strzyżona, wciąż lewą ręką ściska i pociąga krótką bródkę, wysuwając dolną szczękę naprzód. Brwi czarne, krzaczaste. Gruby, złoty łańcuszek od zegarka. Kiedy nie mówi, wszystko chce widzieć*).

Kaliski (*wchodzi z nim razem*).

Rocka (*woła z pewną affektacyą słabym głosem, oczami szukając męża*). Kazimierzu, Kazimierzu!

Podosocki (*spostrzegłszy Barowskiego, podnosi się, do Rockiej*). Przepraszam mocno (*spieszy do niego — po drodze*). Panie prokuratorze, żona prosi pana.

Dr. Rocki (*spieszy do żony i z namaszczeniem jej słucha*).

Kaliski (*idzie do Hanusza, wita się z Barowską*).

Podosocki (*wita się z Barowskim*). I co? (*idzie z nim na przód sceny na prawo*).

Barowski. Od trzech dni pracuję z każdym radcą z osobna. Zaskoczeni. Ale ja ich także zaskakuję.

Podosocki. Dobrze, dobrze, lecz deputacya, panie notaryuszu.

Barowski. Kiedy bo pan mi przerywasz. Właśnie deputacya. Wziąłem ich kilkunastu do handelku (*z naciskiem*) do handelku.

Podosocki. Zapłacę. I co?

Barowski. Dwóch wydelegowaliśmy. Jadą prosto tu, tylko się przebiorą. Tylko co ich nie widać.

Podosocki. Wszystko zręcznie. Nie wiedzą, że to odemnie wyszło?

Barowski. Kiedy bo pan mi zawsze przerywasz (*rozmawiają dalej*).

Kaliski (*do Hanusza*). Tylko jeść i pić. Tacy goście. Same żołądki (*ogląda się po sali*).

Rocka (*do Rockiego, giestykulując rozkazująco wskazującym palcem*). Ma być. Oskarżenie wygotujesz dziś w nocy. Ma być.

Dr. Rocki. Kiedy, Sydko, tam nie było napadu, tylko coś takiego (*ruchem ręki pokazuje policzkowanie*).

Rocka (*cedząc*). Ma być. Inaczej nie pozwolę ci podnieść procentów od mojego posagu. Będziesz chodził bez butów.

Dr. Rocki. He, he, be! Prokurator bez butów. A co? udał mi się dowcip, he, he, he! Dobrze, może, będę widział (*całuje ją po rękach*).

Władysław (*wchodzi przez jadalnię, kłania się tym i owym, wita się z Kostką, idzie do Louisy, rozmawia z nią*).

Michał (*przynosi na tacy dwa bilety, podaje Hanuszowi*).

Hanusz (*czyta głośno*). Doktor Jan Łempocki, adwokat. Anastazy Skarpa, przedsiębiorca. Nie znam tych panów. Prosić (*idzie ku drzwiom w głębi*).

Barowski (*do Podosockiego*). To oni (*idzie do żony, wita się z Kaliską*).

Dr. Jan Łempocki (*we fraku, silnie zgarbiony, liczne zmarszczki, trochę łysy, wąsy ciemne, mały zarost pod dolną wargą. Mówi płynnie z przystankami, aby podnieść uwagę*).

Anastazy Skarpa (*we fraku, sztywny jak kij, głowę obraca po żołniersku, trochę się jąka, nie tracąc animuszu*).

Kaliski. Jakaś deputacya.

Hanusz (*zdziwiony*). Miło mi panów powitać. Czem mogę służyć?

Anastazy Skarpa. W interesie, w interesie — z panem mecenasem razem.

Hanusz. A zatem proszę panów do mego gabinetu.

Dr. Łempocki (*z uśmiechem*). To będzie zbyteczne. Pan Skarpa za silnie się wyraził. Wypadałoby powiedzieć: z prośbą. A możemy ją wyłuszczyć nietylko wobec zebranych tu szanownych osób, ale nawet wobec całej populacyi miasta. Owszem, konkluduję, że milo nam jest wyegzekwować naszą prośbę wobec tak licznego grona.

Wszyscy (*zwracają uwagę, zbliżają się*).

Hanusz. Panowie, nie wiem...

Anastazy Skarpa. Poprostu mówiąc, od serca....

Dr. Łempocki (*krzywo spojrzawszy na Skarpę*). Czcigodny panie, grono radców miasta zajmowało się przed chwilą sprawą wyboru nowego prezydenta. Nie neguję, że dotychczasowy nasz prezydent odpowiadał w całej rozciągłości swoim obowiązkom, przecież, abstrahując od tego, gmina ogląda się za nową głową, na nowe, pełne poważnych zadań sześciolecie. Czcigodny panie! Na ciebie zwrócono uwagę. Dlaczego na ciebie, nie trudno to wydedukować z przeszłości. Kto żył tu dłużej, pamięta twe czyny *pro publico bono*. Konsekwencyą tej to obudzonej pamięci i troski o przyszłość, jest prośba zwrócona do ciebie, czcigodny panie, prośba najszanowniejszych osobistości grodu, abyś raczył postawić swoją kandydaturę i wobec *plenum* rady wypowiedział swoje *credo*.

Anastazy Skarpa. I jeszcze....

Dr. Łempocki. Nie imputujemy sobie, czcigodny panie, że

prośbę naszą natychmiast zaakceptujesz, ale wierzymy, iż nie ścierpisz, aby gród twój rodzinny i wybór jego głowy rzucony był na łup koteryj i ich fluktuacyj. Ty jeden stoisz po nad stronnictwami i u ciebie też ufnie remedury szukamy.

Hanusz (*zmięszany*). Łaskawi panowie, tyle zaszczytu, ja nie pojmuję. To mię tak nagle zaskoczyło. To jest takie. Ja dziękuję mocno panom (*ściska wzruszony im ręce*) mocno. Brak mi słów. Tyle zaszczytu. Zaskoczyło mię tak nagle. Ja dziękuję jeszcze raz, bo tyle zaszczytu, lecz.... Boże.

Dr. Łempocki. To dla nas jest zaszczytem ta prośba, podyktowana publiczną oppresyą.

Hanusz. Lecz, doprawdy, ja nie wiem, to nad moje siły, ja, chyba nie mogę.

Podosocki. Kochany ojcze, pozwól, że w twojem imieniu kilka słów powiem. Rozumię cię i ci szanowni panowie rozumieją. Wzruszenie twoje mówi więcej, niż twoje słowa (*zwraca się do Dr. Łempockiego i Skarpy*). Prośba wasza, łaskawi panowie, niespodziewanie zaskoczyła nas wszystkich. Nie prośba to, bo taka, jaką ona jest w swej treści, jest wolą obywateli. Przed taką wolą przyuczał nas drogi ojciec zawsze uchylać głowę. Widzicie, łaskawi panowie, jego wielkie wzruszenie. Pozwólcie, niech ochłonie z wrażenia. Co do mnie, wierzę, że ci, którzy powołują go na tak chwalebne stanowisko, nie zawiodą się w swych nadziejach (*ściska ich ręce, Hanusza całuje w ramię*).

Hanusz. Dziękuję ci, dziękuję panom (*podaje im ręce*).

Michał i Walenty (*otwierają drzwi po lewej stronie, drugie od widzów, stają po obu stronach. Widać część oświeconej sali jadalnej*).

Hanusz. Panowie nie pogardzą naszą chatą, bardzo proszę.

Podosocki. Panowie pozwolą, że przedstawię — pan mecenas Łempocki, pan Skarpa, mój wuj Kaliski, pan prokurator Rocki, pan notaryusz Barowski, profesor Kostka, mój szwagier Władysław (*ukłony wzajemne, lub podanie rąk*).

Kaliska. Proszę panów na herbatkę i całe towarzystwo (*Dr.*

Łempocki podaje rękę Kaliskiej, Skarpa Podosockiej, Barowski Rockiej, Kaliski Barowskiej, Kostka Maryni, Rocki wychodzi obok Louisy. Drzwi zamykają się za nimi).

Woronek (*przecierając oczy, schodzi po schodach z góry*).

Władysław (*siada pod wazonem w kącie, apatyczny*).

Hanusz (*chodzi ciężko ale żywiej tam i napowrót*)

Podosocki (*chwyta monokl, patrzy z udanym zachwytem na Hanusza — stoi obok balkonu*).

Woronek (*wchodzi do sali, ogląda się, do Władysława*). Co tu? wrzawa jakaś — pali się.

Władysław. W samowarze.

Woronek. Żarty. Już piją herbatę?

Władysław. Idź pan do dyabła.

Woronek (*jak najspieszniej wychodzi do jadalni*).

Władysław (*rzuca za nim*). Nie złam pan drugiej nóżki.

Hanusz (*staje*). Byłem na wsi, nikt o mnie nie myślał, teraz nagle — ja? ja?

Podosocki. Tak, ty ojcze. Wierz w swoje siły, wierz w siebie (*odchodzi do jadalni, odwraca się jeszcze*). Pomyśl ojcze, może im co powiesz (*wychodzi*).

Hanusz (*stoi, przeciera czoło, waha się, idzie do jadalni*).

Władysław. Proszę cię, ojcze.

Hanusz (*łagodnie*). Czego sobie życzysz?

Władysław (*wstaje leniwie*). Mam do ciebie prośbę, niemiłą jak na taki dzień.

Hanusz. Proszę cię. Więc co?

Władysław. Mam dług. Ośm tysięcy dwieście.

Hanusz. Dług? dobrze. Przyjdź do mnie jutro. A długów więcej nie rób.

Władysław (*z uśmiechem*). Dziękuję ci ojcze. Lecz mnie trzeba tych pieniędzy już za kilka godzin. Dług honorowy.

Hanusz (*drgnął*). Karciany?

Władysław (*waha się*). Tak.

Hanusz. Dziękuję ci, że mówisz mi prawdę. Dobrze (*szuka w portfelu, mimowoli*). Do kogo przegrałeś?

Władysław (*uśmiecha się ironicznie*). Do..... szczęśliwego gracza.

Hanusz (*nie uważa*). Proszę cię (*podaje mu banknoty*). Jak? jak?

Władysław. Dziękuję (*chowa pieniądze*). Co ojcu z tego przyjdzie.

Hanusz (*zdziwiony*). Oszust, czy co, że go kryjesz?

Władysław. Erazm Podosocki (*odchodzi do jadalni*).

Hanusz (*zdumiony patrzy za nim, robi kilka ciężkich kroków do fotelu, chwyta za poręcz ręką, myśli usilnie*).

KONIEC AKTU I.

Tadeusz Konczyński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WIKTOR HUGO
i jego korespondencya.

I.

Krytyka i pisarz.

Ktoby chciał wzorem Sainte-Beuve'a nakreślić historyę duszy tej najpotężniejszej poetyckiej organizacyi francuskiej XIX wieku, którą jest bezsprzecznie Wiktor Hugo, miałby na swej drodze trudności prawie nie do zwalczenia. Szukając bowiem w dziełach poety wyrażenia jego indywidualności, znalazłby się bezradny wobec faktu, że autor ich poprawiał swe własne pisma, by nadać im *après coup* jedność poglądów i kierunku. Metoda Taine'a, badająca rasę, środowisko fizyczne i historyczne, oraz chwilę, trzy czynniki, określające twórczość pisarza, dałaby wypadki jeszcze ujemniejsze ze względu na to, że w Wiktorze Hugo pisarz określa człowieka. Stwierdzają to jego biografowie, popiera sam poeta, unikający starannie za życia informowania ciekawych o swych kolejach, a nadto znów znany fakt poprawiania własnych pism, co razem dowodzi, że życie jego nie wyjaśnia dzieła.

Więc w poezyi naczelnika nadsekwańskich romantyków nie ukrywa się ani ponury, szukający ciszy Chateaubriand, nie przemawia zwątpiały i uciekający od swoich Byron, nie wybucha cierpiący i bluźniący imieniem milionów Mickiewicz i tylu innych, których żywot pełen bólów, ofiar, rozczarowań opromienił niekiedy jaśniej, niż ich poezye. A więc jestto może ten, o którym powiada Faguet, że obok ogrom-

nego talentu nosi w sobie „trochę głupstwa, potrzebnego nowożytnemu lirykowi“. Znane nam dane o jego charakterze osobistym głoszą, że jestto człowiek niesłychanie próżny, zdolny do wszelkich małości dla efektu i podniesienia własnego uroku, artysta pracowity z duszą nieco egoistyczną, mało czułą, prawie brutalną, grubo zmysłową, charakter mierny i bez podniosłości moralnej. Prostoty w nim nie szukać, intelligencya średnia, choć drapująca się pociesznie w togę co najmniej Kanta, teoretyk mętny i mało logiczny, artysta bez artystycznej miary i rozwagi. Ale są także światła wśród masy cieniów popularnego portretu. Wszakże ogólnie wiadomo, że stawał on nieraz w obronie cierpiących i poniewieranych, że do poezyi wprowadził plastykę i kolorystykę nieporównaną, że olśniewa mistrzowstwem rytmów i czarodziejstwem słów, spływających się w obrazy, dziwnie czarowne i wspaniałe.

A jego przywiązanie do rodziny i akcent prawdziwie wzruszający, który umie nadawać temu uczuciu? Doskonałość artyzmu, idąca w parze z szczerością zbolałego serca, godzi nas czasem z autorem świetnych strof *Contemplations*, zbliża węzłem współczucie do ojca, tak naiwnie zachwycającego się dziećmi w *Feuilles d'automne*, napełnia sympatyą i wywoływa uśmiech, gdy widzimy, jak uroczyście i z pompą traktuje on swą godność w *L'art d'être grand-père*. To tytuły naszej sympatyi dla poety. Od czasów Sainte-Beuve'a szukamy śladów temperamentu pisarza w dziele, a sądy o książce są nieraz sądami o człowieku. Jestto może mało wierne z prawdą, ale idealnie podobne do wyobrażeń ogółu o autorze. Niestety Taine ściągnął pisarzy z tych wyżyn i przesadził, stosując wszystko do swej doktryny i nie widząc nic prócz tego, co chciał widzieć i udowodnić. Obie metody stósowano już do naszego poety, ale nie zawsze z dodatnim rezultatem. Materyałów dostarczył Biré, portretowali i charakteryzowali poetę Dupuy, Renouvier, Guyau, Faguet, Brunetière, Mabilleau. Mało albo zupełnie nieznaną ogółowi dotychczasowych krytyków była korespondencya, zapełniająca dotąd dwa grube tomy [1]),

[1]) Victor Hugo: *Correspondance*. Tome premier (1815—1835) et second (1836—1882). (Paris, Calmann Lévy, éditeur. 1896, 1898, p. 333 et 387).

oraz świeżo wydane luźne, pamiętnikowe zapiski pisarza p. t. *Choses vues* [1]), po których nastąpić ma niebawem publikacya listów do narzeczonej. Nieocenione to źródła dla biografów, a używano ich i nadużywano niejednokrotnie. W rękach rozumnego i objektywnego krytyka mogły one rozświecić wiele a zaciemnić i popsuć jeszcze więcej, gdy czerpano z nich nieumiejętnie. Ale psycholog miał tu możność czynienia interesujących spostrzeżeń, historyk potrafił wskazać chronologiczne następstwo i rodzaj wpływów, którym pisarz ulegał. Korespondencya Wiktora Hugo mogła zaciekawić tembardziej, że mówiono o nim wiele, a on o sobie mało, że otworzyła ona okienko do duszy niepospolitej w każdym razie, że można z niej było czynić wnioski o charakterze i wartości jednego z największych w narodzie, a z niego o całym narodzie i w ogóle o Europejczyku naszego wieku. Czy będzie to prosta spowiedź, serdeczna rozmowa z przyjaciółmi i rodziną, w której odkryją się najtajniejsze, a zarazem najprawdziwsze rysy duszy, czy też cechować będzie te prywatne, zakulisowe wylewy ta sama dumna postawa, wyniosła dźwięczność i pyszna emfaza, które nadają całości dzieł poety charakter, tak różny od kreacyj innych romantyków, a zarazem tak zbliżony do klassycznego? Pytania te krążyły do chwili, w której ukazały się dwa tomy i dozwoliły zastanowić się swobodnie nad tem, co się w nich mieści, a co nie jest ubrane ani w wiersz ani w metaforę ani w antytezę, a może przypuścić do ściślejszego obcowania z myślami tego naprzód „cudownego dziecięcia“, potem młodego wodza młodej rzeszy romantyków, dalej męczennika politycznych idei, a wreszcie ubóstwianego przez wielki naród wieszcza.

II.

Dzieciństwo i młodość.

Jeżeli pierwsze nie było „sielskie“, to druga na nazwę „chmurnej“ również nie zasługuje. Przeciwnie, kwiatów, blas-

[1]) Victor Hugo: *Choses vues.* (Paris, Calmann Lévy 1900, p. 336).

ków i woni w nich dużo, a na wyobraźni dziecka i młodzieńca mogły zostawić wrażenie wizyi jasnej i barwnej. Jak wiotki pęk niepewnych świateł, przesuwają się w tym czasie przed oczyma dorastającego chłopaka Korsyka, Włochy, Hiszpania, dokąd podąża za ojcem, zajmującym wysokie stanowisko w armii napoleońskiej (1802—1813). Wrażenia tych lat, odnawiane później w marzeniach młodzieńca, służą mu za źródło całej seryi obrazów, nieraz sztucznych, ale świetnych. A potem Paryż, lektura bez wyboru w domu matki nie żyjącej z mężem, pensya Cordier i pierwsze sny, rojenia, ambicye, przekłady i wiersze. Korespondencya rzuca już promyk światła na tę chwilę. Łacina i matematyka sprawiają widocznie najwięcej trudności młodziutkiemu kandydatowi do szkoły politechnicznej, gdyż, jak wyznaje w jedynym a do chwilowo nieobecnej w Paryżu matki pisanym liście, pracuje nad niemi „każdego ranka“ (2 sierpnia 1815 r.). Ledwie wyszedł z lat dzieciństwa, a już czeka go wzmianka zaszczytna za poemacik p. t. *Avantages de l'étude.* Konwencyonalne to, banalne, ale Akademia pochwaliła i ambicya już pobudzona...

Dowodem list, zwrócony do sekretarza tej instytucyi, Raynouarda, w którym gołowąsy tryumfator nazywa się już „młodym uczniem Wergiliusza“, obok którego nie zapomina przezornie postawić swego dostojnego korespondenta a znanego autora *Les Templiers.* Do listu dołączona jest metryka, świadcząca, że odznaczony dzieciak w istocie ledwo „trzech pięcioleci widział kończący się bieg“ (31 sierpnia 1817 r.). Odtąd marzy już Hugo o sławie Chateaubrianda, a literackie towarzystwo w Tuluzie poczyna spełniać te marzenia w dwa lata po pierwszym sukcesie. Tytuł *maître ès jeux floraux* uwieńcza powodzenie młodzieńca, uważającego je skromnie „nie za nagrodę lecz raczej zachętę“ i próbującego już pisać artykuły krytyczne, sztuki dramatyczne w rodzaju zachowanej w fragmencie tragedyi p. t. *Irtamène.* Mimo rosnącego rozgłosu, nie zrywa jednak z dawnymi przyjaciółmi w Tuluzie i w lat kilka później zapewnia jeszcze, że im „wszystko winien“ (do Akademii „Gier kwiatowych“ r. 1819—1825). Zadziwia nas w tych latach brak listów do ojca, który przecież żyje daleko od Paryża; natomiast wspomnienia o matce pełne są tkliwości, a śmierć jej określona jest jako „nieszczęście,

po którem nie ma pocieszenia jak w niebie, a nadziei jak w śmierci". Po ciosie tak silnym czuje się poeta czas jakiś „dość ciężko chorym i zmuszonym spędzić dni kilka na wsi" (tamże 14 lipca i 14 sierpnia 1821 r.). W tece posiadać musi jednak sporo utworów, które złożą pierwszy tomik. Retoryki tu najwięcej, konwencyonalność, reminiscencye lektury szkolnej, refleksye bez cienia indywidualizmu, twórczość bez krwi i życia, jak w płodach Delille'a, Parny'ego, Michaud'a. To nie jest jeszcze Hugo, ale poeta, podobny do całego grona pseudoklassyków, torujący sobie drogę, postępujący zwolna a stale, co stwierdza choćby wyznanie zawarte w liście do ks. Lamennais'go, że chciałby swe dzieło uczynić „najmniej niedoskonałem" (17 maja 1822 r.). Rys to znamienny, a charakteryzujący poetę przez całe życie.

W tym ciągłym postępie pod względem formalnym zjawia się usiłowanie nowe, interesujące; chodzi mianowicie o porzucenie na chwilę książek, pisania mdłych poezyj na zamówienie i dziko fantastycznych powieści w rodzaju słusznie wtedy sparodyowanego *Han d'Islande*. Dla wrażeń udaje się poeta „wśród palącego słońca" do Dreux i chwali się potem, że „chodzi jak koń" (do Alfreda de Vigny 30 lipca 1821 r.). Z drugiej strony budzi się w nim pierwsze i silne uczucie dla dziewicy, znanej sobie od dawna. Jestto miłość prosta, zdrowa, naturalna, nie mająca w sobie ani krzty namiętności Hernaniego lub Ruy Blasa, pociąg prawdziwy i zwyczajny bez seraficznego rozmarzenia Lamartine'a lub smętnych tęsknot Musseta. Donosi o niej z uradowaniem przyjaciołom, zwierza się z niej zrazu z obawą, a później z radością ojcu. W tych promiennych czasach rośnie w nim również przywiązanie do rodzica, którego nie znał dotąd prawie, a który zapełnił teraz „ogromną próżnię", zostawioną w sercu po śmierci matki. Pensya od króla za *Odes et poésies diverses* sprawia, że „nadzieja zmienia się w pewność"; potrzeba tylko załatwienia drobnych formalności, a szczęście stanie otworem. Dowiadujemy się ubocznie, że „drogi papa" Hugo pisuje też wiersze, w których dużo zawiera się „obrazów pełnych werwy i dowcipu" (do jenerała Hugo 26 lipca, 8 sierpnia 1822 r.). Co się tyczy ślubu, może on mieć miejsce dopiero 8 października tegoż roku, gdyż 1-go wypłaconą będzie pensya,

a 8-go kończy się termin najmu dotychczasowego kawalerskiego mieszkania. Pierwszy zbiór poezyj sprzedaje się dobrze, prawne formalności nie wiele opóźniły dzień szczęścia, a do słów przywiązania dla ojca dołącza się teraz „aniel-ska Adela“, gdy nagle choroba umysłowa brata poety rzuca cień na ten obraz jasny.

Nowe troski materyalne, gdyż pomoc ze strony ministeryum zawodzi, a równocześnie zbliża się chwila przyjścia na świat dziecięcia. W lipcu następnego roku nadeszło rozwiązanie i koniec „niepokojów, obaw, zgryzot“, dręczących młodego małżonka dość długo. Chwilowo nosi się nawet z myślą oddania małego Leopolda „na mamkę“, ale rada ojca bierze górę i dziecko pod stosowną opieką wędruje do dziadka do Blois. „Biedne małe kozlę“ chowa się zrazu dobrze, gdy niespodzianie śmierć przecina krótki żywot prawie w rocznicę ślubu poety. Hugo jest jednak zbyt artystą, by długo dręczyć się jedną boleścią; niebawem donosi już ojcu o „nowych rapsodyach“ przez siebie napisanych (do tegoż, 27 marca 1824 r.). Zwróciwszy się niedawno do bezpośredniej obserwacyi natury, poczyna zagłębiać się w sobie i tworzy też rzeczy lepsze. Jest w nich już rys indywidualizmu, choć świadomości celu nie ma, jak go nie mają ci wszyscy młodzi, gromadzący się w salonie bibliotekarza Arsenału, Nodiera, a którzy, jak opowiada krytyk nowej szkoły, Sainte-Beuve, chcieli czcić tylko „rycerstwo złocone, piękne średnie wieki kasztelanek, paziów“, i tym podobne akcessorya. Egzotyczność, romantyczny i sentymentalny nastrój Chateaubrianda nie mógł jednak pozostać bez wpływu, a zwrot do poezyi ludowej, idący z Anglii i Niemiec, wprowadza myśli tego pokolenia na nowe tory. Mnożą się przekłady poetów angielskich i niemieckich, w kołach erudytów rośnie zamiłowanie do średnich wieków, zapomnianych i wzgardzonych, w pracowniach malarskich fantastyczność, koloryt lokalny, historyczność wyprzedzają rewolucyę w literaturze. Poeta nasz jest w wieku największej wrażliwości, w epoce, w której każdy przeczytany poemat Byrona lub dramat Schillera, każdy obraz Eugeniusza Delacroix lub artykuł dowodzący potrzeby samodzielnego rozwoju i powrotu do przedklassycznych tradycyj Sainte-Beuve'a, budzi nowe pomysły, plany, obrazy. Przeczytawszy list Alfreda

de Vigny z opisem Pireneów wpada w zachwyt; zwiedzając gotyckie Blois, gdzie bawi u ojca, albo renesansowy Chambord, unosi się nad „cudowną dziwacznością tego pałacu boginek i rycerzów“ (do Adolfa de Saint-Vabry 7 maja 1825 r.). Nie umie jeszcze odtwarzać swych wrażeń z obserwacyi i oryginalnie; zachowuje jednak wrażenie w mózgu i da im niebawem życie nowe i świeże. Ten dotąd zapobiegliwy i prozaiczny mieszczuch, pisze do przyjaciół stylem entuzyasty, marzyciela, co dowodzi, że w jego usposobieniu zaszła zmiana i że autor nowej edycyi *Odes* nie wyrobił się jako indywidualność, ale stojąc w środku między dwiema rysującemi się partyami, szukał drogi, której początek wskazali mu pani de Staël i Chateaubriand. Co się tyczy pierwszej, jej teorya podoba mu się już dawniej ogromnie (do redaktora *Journal des Débats* 1824 r.); nie bez wpływu był też jej indywidualizm, tryskający falą z każdej kartki pism autorki *De l'Allemagne*, bunt przeciw wszelkim ograniczeniom i regułom literackim, zamiłowanie osobistości w dziele a narodowości w literaturze, symboliczności i poetyczności w poezyi. Drugi pchnął poetę na nowe tory swą egzotycznością, dziś nieco manierowaną, ale malowniczą, melancholią wyniosłą i stylem indywidualnym, epicznym. Chateaubriand stał się dla przyszłego romantyka wzorem, który trzeba było tylko powtórzyć i przewyższyć. *Génie du christianisme* pierwszego otworzył drugiemu oczy na wieki średnie, *Les Martyrs* i *Itinéraire* posłużyły za motyw inspiracyi w napisaniu takiej *Notre Dame de Paris* i *Orientales*. I tu i tam świat średniowieczny, wizye wschodnie, opowiadania w stylu malowniczym i podniosłym, obrazowanie nerwowe, nierówne, szerokie, wyraziste. A miłość natury nie udana, nie improwizowana, żywa, ciepła. Cała sztuka opisowa, wszystkie tony, światła, cienie, nastroje, efekta łamiące dotychczasowe sposoby obrazowania, biorą swe źródło w cudownych krajobrazach twórcy *Martyrs;* Hugo wzoruje się na nich tak dobrze, jak George Sand i Michelet, Renan i Loti, nie mówiąc o przedstawicielach *bas romantisme*, których imię legion...

Mimo niezaprzeczonej affektacyi, którą tchnie w początkach korespondencya z ojcem, drga w niej przecież akcent szczerego przywiązania, rosnącego zwolna, ale stale. W miej-

sce zmarłego niemowlęciem syna, rodzi się „urocza“ Leopoldyna, a równocześnie sukcesy literackie popularyzują mało znane dotąd nazwisko. Stosunki z literatami stają się ścisłe i serdeczne; w domu uśmiecha się do poety dziecko, wprawiające go w istny szał zachwytów. Przybywa fakt nowy, stwierdzający wysoki stopień natężenia uczuć rodzinnych głośnego już autora: spłata długu matki z własnej inicyatywy i szczupłych funduszów. Za cztery „liche ody“ księgarze opłacają koszta wycieczki do Szwajcaryi, a horyzont oczu i ducha poety rozszerza się wśród wzniosłej przyrody alpejskiej. Krzyż legii otrzymany wraz z Lamartinem i zaproszenie na koronacyę do Rheims świadczą, że król patrzy nań łaskawie, a jedyną przykrością wśród tych radości jest, że trzeba się rozłączyć na pietnaście „nieskończonych dni“ z żoną. Sprawia to na nim wrażenie, jakoby ten chwilowy rozdział miał go „rozciąć na dwoje“ (do Alfreda de Vigny 28 kwietnia 1825 r.). Z listu do ojca żony dowiadujemy się znów, że na uroczystość koronacyi potrzebował Hugo prócz zwykłych części toalety „pończoch, trzewików z sprzączkami, szpady stalowej, kapelusza z galonem metalowym i piór“, a nadto żabotów i manszetów. W podróży do Rheims ma „serce tak pełne boleści“, że tylko wiadomość z domu umie je na chwilę uspokoić. „Nie umiałabyś wierzyć — pisze z rozczuleniem do żony — jak, odkąd cię opuściłem, najdroższa, czas wydaje mi się długim, a przestrzeń ogromna. Myślę z wielkim smutkiem o czternastu milach, które mnie dzielą od ciebie, o ośmnastu godzinach, które spędziłem bez ciebie. Co będzie zaś jutro? co będzie pojutrze? A potem? a potem? Zaiste, moja Adelo, moja najdroższa Adelo, proś Boga, by mi dał odwagę, potrzebuję jej, a te pietnaście dni wywierają na mnie wrażenie bezmiaru (do Adeli Hugo 19 maja 1825 r.). Choć czas „piękny ale zimny“, myśl o żonie i „małej Didine“ rozpala jego serce, a rozum wnioskuje, że „wszystkie zaszczyty są smutne“. Rzadki i wzruszający zaiste obraz czułości mężowskiej i ojcowskiej.

„Zmielony i ogłuszony“ przybywa z Blois, gdzie zostawił rodzinę, do Paryża i pisze listy długie, pełne zapytywań o najdrobniejsze szczegóły domowe, utyskując nieustannie. W podróży, odbywanej w towarzystwie wspomnianego już „ko-

chanego Nodiera", myśli ciągle o „najukochańszym aniele", a po przybyciu do Rheims otwiera list z domu „drżąc z nadziei i trwogi zarazem". Nie posiada się z radości, że mała ma już jeden ząb „zrodzony bez boleści", całuje listy „uwielbianego anioła", a wrażenia imponującej katedry w Rheims i koronacyi słabsze są od tęsknoty za pozostałą rodziną. Wdzięczność dla ojca, goszczącego u siebie synowę, nie ma granic; dotrwawszy zatem z trudem, jak na „rozpalonych węglach" do końca obchodu, wymyka się spiesznie, by wrócić do swoich... Ze stanowiska psychologicznego możnaby dostrzedz w tych latach w poecie dwie zasadnicze skłonności: rodzinną, nader silnie rozwiniętą, i osobistą. Drażliwy jest mało, ruchliwy i czynny ogromnie, praktyczny i przemyślny jak przeciętny mieszczuch, a ponurej wyniosłości Chataubrianda lub arystokratycznej zmienności Musseta, nie ma w nim ani śladu. To dusza mało złożona a mimo wysokich aspiracyj pozbawiona wyrafinowanego idealizmu Lamartine'a. Jeżeli jednak brak mu cech, właściwych współczesnym poetom, jeżeli w swej zapobiegliwości i naiwnej radości z powodzeń materyalnych i moralnych przypomina ludzi średniej miary, jeżeli w swych skłonnościach rodzinnych jest bezwzględnie prosty i bez egzaltacyi, to przez te znamiona dowodzi właśnie, że jest poetą średniej sfery, uczuć codziennych i pojęć mało złożonych i gdy osobista próżność i brak miary, kryjące się na razie głęboko, pchną go na drogę przesadnego wyobrażenia o sobie i rozmiarze swego talentu, wyjdzie to tylko na niekorzyść poety i jego dzieła. W owym czasie ma on jednakże prawo do sympatyi i uznania.

A tymczasem w głębi rozwijającej się indywidualności kiełkowały pomysły nowe, owoce wrażeń lektury i mglistych reminiscencyj dzieciństwa. Co się tyczy pierwszej, stanowiły ją w pierwszym rzędzie pisma pani de Staël; wielkiej wagi była też, jak świadczy pewien ustęp z świeżo ogłoszonych *Choses vues* [1]), znajomość z Nodierem. Ten ostatni był rodzajem bibliofila, grzebiącego po wszystkich literaturach; rezultatem tych dalekich wycieczek były fantastyczne i tchnące sentymentalizmem powieści i tragedye, którym brakło jedy-

[1]) *Choses vues*, p. 1—2.

nie liryzmu i cudownego wiersza, by stanęły na równi z przyszłemi dramatycznemi kreacyami jego towarzysza w podróży do Rheims. W tem to mieście, czytają obaj Szekspira w oryginale, a ta lektura, stanowiąca rodzaj odpoczynku po uroczystościach koronacyi, była dla poety „objawieniem“ piękności, które wzruszyło go do głębi. Czy można mówić przecież o naśladowaniu, gdy chodzi o dramaty takie, jak *Cromwell* lub *Ruy Blas*? Chyba nie. Dramat romantyczny pozostał, jak zaznaczyliśmy to już w innej pracy, pod wpływem melodramatu reprezentowanego w pierwszej ćwierci wieku przez Mercier'a, Ducange'a, Pixérécourt'a, a stworzonego w XVIII wieku przez Diderota [1]). Są to rzeczy czułe, moralizujące, deklamatorskie, fantastyczne do niemożliwości, niekiedy drastyczne i przejmujące wstrętem, a zawsze bez cienia obserwacyi i prawdy. Miały one powodzenie bardzo długo, a że Hugo uczęszczał na nie z zamiłowaniem, świadczy o tem zachwyt, z jakim mówi o aktorach melodramatu, grających w teatrach *Porte Saint-Martin* i *Ambigu-Comique*, jak głośny Lemaître i panna Dorval. Około poety gromadzi się rodzaj szkoły, ludzie starsi i młodsi, literaci i malarze. Wieczorem schodzą się w jego mieszkaniu, gdzie przyszły szef romantyków czyta „kilka wierszy“ swego *Cromwella*. We wrześniu 1827 r. dramat gotowy i pozostaje napisać „tylko przedmowę i kilka not“ (do Wiktora Pavie 24 września r. 1827). Dzieło pani de Staël i Chateaubrianda podjął skromny poeta dworski i autor *Odes et Ballades*, w których, obok napuszonych i sztucznych form klassycznych, uderzały rytmy bardziej proste, giętkie, kombinacye obrazów fantazyjne i indywidualne, inwencya słowna i formalna, wskazująca na wielki postęp od czasu ogłoszenia pierwszego zbiorku. Ton korespondencyi przybiera również cechę powagi i godności, przybranej zręcznie i bez zamiaru. Niema już mowy o pobłażliwości przyjaciół i nie „słabych książkach“; natomiast roi się od podziękowań za pochwały *Cromwella*, po których tylko artykuły pism angielskich są „godne czytania“ (do tegoż 23 stycznia 1828 r.). Stosunek z Sainte-Beuvem, który ma wydać znany *Tableau*

[1]) *Examen de la théorie dramatique et des drames de Diderot.* (Stanisławow, 1897, p. 25).

de la poésie au XVI siècle, dający romantyzmowi tradycye i przodków aż w epoce renesansu, doznaje wielkiego zacieśnienia; równocześnie budzi się w poecie zamiłowanie do sztuk, a w szczególności architektury. Entuzyazmuje się nad nią w listach, a styl ich poczyna być tak gorączkowy i nieumiarkowany, jak współczesna twórczość. Skarży się, że ma teraz „korrekty do poprawiania, wizyty do odbierania, grube książki do czytania, sprawy do załatwiania“ w ilości takiej, że jego wrodzone lenistwo nie umie temu podołać (17 lipca 1828 r. do tegoż). Jest tu poza i próżność dorobkowicza, który chce być uważany za mistrza i którego cała deklamacya i emfaza romantyczna udziela się prywatnym zwierzeniom. Przygotowuje nadto nową edycyę poezyj i pozuje do medalionu „drogiego przyjaciela“ Davida d'Angers.

Znajdujemy się w krytycznej epoce rozwoju pisarskiego poety. Wyobraźnia jego roi o przedsięwzięciach najśmielszych, a pomysły przechodzą szybko w sferę rzeczywistości. Biograf Biré opowiada, że wtedy to chodził on oglądać zachody słońca w okolicach Paryża i studyować, jak malarz, efekty światła. Z tego źródła, a również z lektury Chateaubrianda powstawały poezye, powieści, dramaty. Koloryt lokalny staje się ideałem sztuki poetyckiej i głównem tłem przyszłych utworów. Tej zdolności nie posiadali klassycy, a kiełkowała ona dopiero u Chateaubrianda. U Wiktora Hugo doszła do pełności i potęgi niezwykłej. Ztąd czar, właściwy wielu jego kreacyom. Poeta umie widzieć naturę i dać jej życie w sposób, który jest sekretem jego sztuki. Wszystko zatem, co wchodzi w zakres opisu, odtwarzania rzeczy materyalnych, otrzyma pod jego piórem pozory jakiejś hallucynacyi świetlnej, żywej, ruchomej, wynurzającej się z cienia w sposób dziwnie plastyczny i czarujący. Osoby jego dramatów nie będą miały duszy ściśle indywidualnej, ale strona malownicza czasu uchwycona będzie czarodziejsko; to samo tyczy się powieści. A liryka? Ta obejmie szereg uczuć wszelkiego rodzaju, a wyrazi je w obrazach, bardzo nowych, niezmiernie kolorystycznych i rytmicznych. Od klassyków przejmie poeta tylko zamiłowanie do kompozycyi starannej, symetrycznej; reszty dokonał wpływ Chateaubrianda i talent osobisty. Zauważono już dawniej, że począwszy od najwcześniejszych

utworów, posługuje się Hugo antytezą. Faguet wyjaśnia ten proceder kompozycyi wrodzonem u poety poczuciem symetryi, właściwej bardziej malarstwu, niż poezyi; ważniejszą jest jego umiejętność postępowania nastroju, idącego *crescendo* do wyżyn potężnego wybuchu, stwierdzająca, że w poecie tkwił orator niepośledniej miary. Wynika ztąd, że orator przeważa niekiedy nad artystą, że świadomość sztuki jest niekiedy zbyt silną, że tej właściwości talentu zawdzięcza Hugo najlepsze i najgorsze liryki, począwszy od *Orientales*, otwierających okres bardziej oryginalnej twórczości, a skończywszy na takich tyradach bez cienia natchnienia i swobody, jak *Troisième légende* i poezye lat ostatnich... Pod względem politycznym podlega Hugo również ewolucyi, na którą jednak korespondencya nie rzuca dość pożądanego światła. W r. 1828 pisze on dramat *Marion Delorme*, zakazany przez cenzurę. Poeta mocno wzburzony odpowiada niebawem ministrowi, chcącemu podnieść mu dotychczasową pensyę, że wprawdzie jest „silnie wzruszony łaskawością króla“, a jego oddanie sprawie królewskiej jest „zaiste szczere i głębokie“, jednakże woli przestać na „miernej“ pensyi i zapewnić tylko, że „nic nieprzyjaznego nie może wyjść“ z pod pióra najbardziej głośnego z piszących (do p. de la Bourdonnaye, ministra spraw wewn. 14 sierpnia 1829 r.). Jest tu źle ukrywana obojętność i zerwanie z monarchią, której dotąd ogłaszał się poeta gorliwym obrońcą. Nie przyniosłoby ono ujmy charakterowi, gdyby nie dyktowały tego postąpienia urażona duma i gniew nie umiejący przebaczać. Chateaubriand umiał kryć te wady pod pozorami znudzenia i niedbałości o sprawy świata; u jego następcy występują one rażąco, brutalnie. Trudno jednak nie przyznać, że wśród hołdów i uniesień dla mistrza, rosnącego w pojęciu swej godności, był fakt zakazu zdarzeniem niemiłem, od którego nie mniej przykrym był spór z niegdyś „kochanym Nodierem“. Odpowiedź poety na krytykę dawnego przyjaciela cechuje cierpkość i złośliwość, choć nie brak też frazesów o „szczerej, serdecznej, głębokiej przyjaźni“ (do Karola Nodier 2 listopada 1829 r.). I znów rysy znamienne duszy: wobec surowej nieco oceny, zarozumiałość i upór śmieszny i naiwny. Natomiast stosunek do Sainte-Beuve'a nabiera cech czułości, rzadkiej w tych latach. Takt, intelligencya, oczy-

tanie przyszłego twórcy *Portraits contemporains* działają na poetę korzystnie; pod ich wrażeniem uspokaja się, choć narzekania na kłopoty i przykrości mnożą się nieustannie i rażą przesadą. W latach tych Hugo poczyna się przedstawiać jako człowiek niesłychanie próżny, pragnący zawsze słyszeć pochwały, nie mający ani poczucia ani obawy narażenia się na śmieszność, wiecznie goniący za efektem i nielitościwy dla tych, którzy obrazili jego *ja* pyszne i nadęte. „Komedya Francuska, *Hernani*, repetycye — pisze raz całkiem poważnie — zakulisowe rywalizacye aktorów, intrygi gazet i policyi, a potem znów moje sprawy prywatne, zawsze bardzo poplątane, spadek po mym ojcu nie zlikwidowany, nasze dobra hiszpańskie zagarnięte przez Ferdynanda VII, nasze majętności na San-Domingo zabrane przez Boyera, nasze wydmy w Sologne wystawione na sprzedaż od czterdziestu trzech miesięcy, domy w Blois, których nasza macocha nam zaprzecza... jednem słowem mało co do podjęcia wśród resztek wielkiej fortuny, prócz procesów i trosk“ (do A. de Saint-Vabry 18 grudnia 1829 r.). Litania trosk poety robi wrażenie wprost komiczne, gdyż niepodobna nie widzieć zamiaru i braku świadomości narażenia się na śmieszność w tem wyliczaniu dóbr dawno przepadłych, a którym brakło do kompleksu posiadłości na księżycu. Mimo tych prawdziwych lub urojonych przykrości, Hugo rósł w sławie, a Gautier, który przedstawił się twórcy *Hernaniego* w tej pamiętnej epoce, opisuje go jako młodzieńca o bladej, zamyślonej twarzy, włosach długich, jasnych, czole wysokiem i oczach płowych, bystrych, patrzących z uśmiechem, nie pozbawionym majestatu, rozlanego zresztą po całem obliczu...

Jak zaznaczyliśmy wyżej, fakt zakazania dramatu wpłynął wielce na zmianę stanowiska poety. Faguet przypisuje ją poglądom, które w owym czasie wypowiadała redakcya liberalnego *Globe*. Hugo związany był z nią wspólnością literackich idei i ztąd jego polityczna ewolucya. W rzeczywistości romantyzm był republikańskim i rewolucyjnym, gdyż wychodził z pism i teoryi pani de Staël; jak ona, głosił on miłość ludzkości, potrzebę wolności, sprawiedliwości, równości, a w kwestyach wyznaniowych popierał raczej to, co pewien krytyk pani de Staël nazwie *latitudinarisme piétiste*,

a co nie jest ani katolicyzmem ani protestantyzmem, ale doktryną bez dogmatów, zbiorem pojęć na pół racyonalistycznych, na pół mistycznych i tak nieujętych i sentymentalnych, jak wiele tworów ówczesnej romantyki. Jakkolwiek rzecz się miała, autor *Hernaniego* stał się odtąd potęgą moralną i rósł w poczuciu własnej wartości, co również zaważyło nie mało w jego politycznych wyobrażeniach. „Intryga klassyczna złamała sobie zęby“ na dziełach poety, który „oblężony od księgarzy“ ma teraz „tysiąc spraw“ i chełpi się, że całe swe powodzenie winien „samotności, sumieniu i sztuce“ (do p. Pawła Lacroix 27 lutego 1830 r.). Jestto zupełna prawda i nowy powód uznania dla poety. Zapał i namiętność w pracy cechują go od dzieciństwa, a literacka karyera jest ciągłym postępem w artystycznej technice. „Biedny — pisze o sobie z dumą—uprawiałem sztukę, jak bogaty dla sztuki, z większą troską o przyszłość niż o teraźniejszość. Zmuszony nieszczęściem chwili tworzyć jednocześnie dzieło i zarobek, mogę rzec, że nigdy zarobek nie splamił dzieła“ (do A. Carrel 15 marca 1830 r.). Przyznają mu to surowi krytycy, a nam do charakterystyki przybywa rys nowy i doniosły. Nadchodzą rewolucya lipcowa, służba w gwardyi obywatelskiej, wrażenia scen ulicznych i burzliwych posiedzeń Izby. Korespondencya mówi o tem mało; kilka wykrzykników, westchnień, a praca nad nowemi dziełami pochłania go widocznie całkowicie. Zanurzony „po szyję“ w tworzeniu, doprowadza wtedy do końca *Notre-Dame de Paris*, której oceny podejmuje się „drogi przyjaciel“ Sainte Beuve. Sam mistrz określa się odtąd mianem „politycznego i literackiego liberała“, a ministerstwo Polignaca uważa za winne przewrotu (do A. de Saint-Vabry 7 sierpnia 1830 r.). W wirze sprzecznych poglądów nabierze i on ochoty do polityki. Już dawniej wyobraźnia jego zwracała się z lubością do wielkiej epoki napoleońskiej; teraz na prośbę ministeryum pisze pełen polotu hymn: *Aux morts de Juillet* i marzy o restauracyi dawnego porządku rzeczy i tronu Napoleonidów, którzy, jeżeli „dadzą potrzebne gwarancye ideom wyzwolenia, postępu i wolności“, znajdą w poecie i młodzieży francuskiej zwolenników gorących i serdecznych (do króla Józefa, 6 września 1831 r.). Wspomnienia dzieciństwa odegrały tu pewnie rolę znaczną, ale nie bez wpływu była też

malarska działalność takich mistrzów współczesnych, jak Gros, Delacroix, Delaroche, Charlet, Vernet i inni. Wielka, epiczna przeszłość była powodem, że malarstwo porzuciło drogę, na którą wprowadził je „stylowy“ David i stworzyło rewelacyę czynów „wielkiej armii“ w sztuce plastycznej. Realizm, czerpany z obserwacyi, pchnął tych mistrzów na drogę lokalnego kolorytu, a malarstwo stało się wzorem dla poetów. W salonie Nodiera malarze łączą się z artystami pióra, a ogólnie wiadomo, że takie arcydzieła, jak *Cuirassier blessé* lub *Radeau de la Méduse* Géricault'a, *Barque de Dante* Eugeniusz Delacroix, *Jeanne d'Arc* Delaroche'a, *Naissance de Henri IV* Eugeniusza Devéria, poprzedzają przedmowę do *Cromwella* i *Orientales*. Malarz Gautier i jego koledzy tworzyli zaś klakę na pamiętnem przedstawieniu *Hernaniego*. Hugo jest zatem nietylko szczerym w swych wyznaniach, ale i zgodnym z nastrojem chwili. Myśli nawet o dramacie z Napoleonem jako bohaterem, a tymczasem wychodzą z pod jego ręki nowe kreacye dramatyczne, w których z łatwością poznajemy owoce lektury Byrona, nie stojące wprawdzie w żadnym związku z pogodną i zdrową naturą poety, ale świadczące o wielkiej dozie liryzmu, przepełniającego ówczesne płody jego talentu. Akcentu osobistego uczucia nie było ani w *Odes* ani nawet w *Orientales*, które olśniewają jedynie kolorystyką i mistrzowstwem formy; teraz dopiero rysują się one plastyczniej w takich *Feuilles d'automne*, choć peizaż bierze zawsze górę nad wylewem duszy, niekiedy zbyt czułym, mdłym i bez siły. Liryzm wybucha jednak na prawdę w dramatach; bez niego byłyby one zapomniane tak dobrze, jak współczesne melodramaty. Nikt nie zapomni jednak, że Hernani i Donna Sol, Ruy Blas i Królowa, Didier i Marya mówią językiem miłości, któremu mało równych w poezyi, że niektóre tyrady, jak monolog Don Carlosa i inne, są arcydziełami dramatycznego liryzmu i czarują wysokością nastroju, siłą uczuć prawie brutalną, inwencyą obrazów cudowną i nieporównaną.

Zakaz przedstawienia *Marion Delorme* nie miał być jednak ostatnim; dotknął on też z kolei *Le roi s'amuse*. Chcąc odegrać koniecznie rolę dumnej ofiary, wezwał Hugo wszystkich „przyjaciół wolności, sztuki i myśli, by wstrzymali się od gwałtownej demonstracyi, która skończyłaby się może na

buncie, pożądanym przez rząd od dawna“ (do redaktora *Constitutionnel* 26 listopada 1832 r.). Poeta podciągał tu sprawę osobistą pod sprawę ogólną i jak pierwej wyobrażał sobie, że jego rozmowa z Karolem X zbawiłaby monarchię Bourbonów, gdyby chciano iść za jego radą, tak teraz nie rozumie całej śmieszności swego oburzenia i nieustannie uderza na znienawidzony rząd monarchiczny, którego pierwej był obrońcą. „W istocie — pisze wtedy rozżalony — idziemy raczej ku republice, niż ku monarchii“ (do króla Józefa, 27 lutego 1833 r.). Równocześnie budzi się w nim pociąg do życia spokojnego. Sprzykrzyły mu się zawiści i intrygi niechętnych, których musi mieć wielu; przebaczać zaś wedle niego jest „nie zadaniem mężczyzny, ale Boga lub kobiety“. Znów dowód, że Hugo jest charakterem miernym i mało szlachetnym. Nie umiejąc przebaczać, nie waha się obrzucić obelgami matki swego przeciwnika Veuillota; pomijamy inne rysy jego postępowania, świadczące o nim ujemnie. Pod względem politycznym poeta jest zwolennikiem „ukształtowania się spokojnego, powolnego, logicznego porządku społecznego, w którym nowe zasady, stworzone przez francuską rewolucyę, znajdą wreszcie swój sposób połączenia z zasadami wiecznemi i pierwotnemi każdej cywilizacyi“; nie umie jednak wyobrazić sobie jasno, jak ta harmonia zasad rewolucyjnych z pierwotnemi wyglądać będzie (do p. Lechevalier, 1 czerwca 1834 r.). Wszystko to dowodzi, że szedł tylko za hasłami, które krążyły w jego epoce; nie zgłębił i nie sformułował z nich żadnego, a choć przekonania jego były niewątpliwie szczere, wyrażały tylko to, co czuł i myślał przeciętny mieszczanin paryski około r. 1830. Ta sama przeciętność i płytkość pojęć pozostała mu też później, gdy stał się osobistością polityczną. Słabość myśli pokrywał jednak uroczystym tonem, prorocką miną, dekoracyą malowniczą choć próżną. Na razie marzy tylko o spokojnym bycie, gdyż gorączkowa działalność wyczerpywała nawet tak czerstwą i zrównoważoną naturę.

Cztery zbiory liryków następujące kolejno, serya dramatów, granych bez powodzenia, wreszcie *Lettres sur le Rhin* przyjęte zimno nabawiły poetę nerwowego rozstroju, oraz bólu oczu dokuczającego mu długo. Francuzi, wedle opinii Gautiera, poczuli się zmęczonymi namiętnością i liryzmem roman-

tycznym. Wszak były to czasy, w których panna Rachel debiutuje w Komedyi; w jej pamiętnych kreacyach zmartwychwstały na nowo Kamilla, Paulina, Hermiona, Monima, Estera, Berenika i inne bohaterki klassycznej tragedyi. Ekscentryczne dramaty romantyków zbladły przed tą burzą namiętności, która rozgrywała się na scenie. Osoby tragedyj Corneille'a i Racine'a były bowiem bliższe widzom, niż ponure, melancholiczne postacie Hernaniego i Ruy Blasa. Oddanie się jednemu uczuciu, jednej namiętności, które malowali niedawno pogardzeni klassycy, przemówiło do dusz więcej, niż losy bandyty, lokaja, awanturnika, rycerza, będących waryantami jednego typu, dziwacznych i nieprawdopodobnych. Wiktor Hugo milknie tedy na długo. Zrozumiawszy, że stał się niemodnym, zamyka się w własnej indywidualności i, jak objaśni nas korespondencya, szuka swej drogi i stara się nagiąć do potrzeb czasu. Niezwykle jasną stroną owych lat było uczucie, które żywił dla najstarszej córki. Nie doznało ono najmniejszego przyćmienia, nawet po zamążpójściu tej ostatniej, a w korespondencyi znalazło wyraz dziwnie poetyczny. Jeżeli podkreślamy tę okoliczność, to jedynie dla zaznaczenia, że u artystów zdarza się to rzadziej. Montaigne, La Fontaine, Rousseau są smutnymi przykładami w tym względzie. Hugo jest naturą prostą, zdrową, kocha rodzinę jak zwykły śmiertelnik i umie poświęcić temu uczuciu ustępy piękności niezmiernej. Gdy przyjaciele rzedną, słońce szczęścia domowego opromienia zawsze jasno rodzinne zacisze poety, umila czas odpoczynku i łagodzi zgryzoty i rozczarowania. Tem trudniej przychodzi mu znieść chwile krótkiej, ale bolesnej rozłąki. Bawiąc w r. 1834 w Etampes, cieszy się spotkaniem każdego dziecka, które przypomina umiłowaną Didine. Innym razem napawając się widokiem morza, kreśli imię córki na piasku. „Fala przypływu — pisze wtedy — zmyje je tej nocy, ale nie zmyje miłości twego ojca dla ciebie“ (do Leopoldyny, 3 września 1837 r.). Opisując córce sposób spędzania wieczorów w Marsylii, cieszy się, że ona też kocha i rozumie naturę. „Natura — dodaje sentencyonalnie — to oblicze dobrego Boga. On na nas patrzy przez nią i w niej możemy czytać jego myśli“ (do tejże, 5 października 1839 r.). Zwiedzając wreszcie Moguncyę i jej katedrę, myśli o tem, co bę-

dzie o nich opowiadał w domu, a gdy bawi na Południu, zdaje mu się, że „kominek, niebieska kanapa i dzieci na kolanach, są lepsze, niż Alpy i morze Śródziemne“. Oblicza skrzętnie dnie rozłąki, przesyła obszerne opisy podróży wraz z rysunkami, a płynąc po morzu, przemyśla o uczeniu dzieci wiosłowania. Z troskliwością matki myśli o zdrowiu rodziny nawet w chwili, kiedy pogrążony jest w pracy „po kolana, po szyję, po oczy, wyżej głowy“.

Nadszedł nakoniec dzień ślubu córki i odjazd do domu męża. „Chcę płakać—pisze wtedy ze smutkiem pomięszanym z radością—ale i śmiać się; wiem, że twój mąż jest dobry, łagodny, miły; dziękuję mu z głębi serca za twe szczęście; bądźcie dwoje zatopieni w sobie, radość życia jest w jedności. Strzeżcie jedności me dzieci; to tylko jest dobrem, prawdziwem, mądrem, rzeczywistem“ (do Leopoldyny Vacquerie, 16 marca 1843 r.). Dla zięcia okazuje się najczulszym ojcem, a gdy samotny błąka się po lasku Vincennes, gdyż rodzina odjechała w odwiedziny do Hawru, pisze naprzemian wiersze i listy. W Biarritz mierzy myślą przestrzeń dzielącą go od córki; to samo powtarza się, gdy przebywa w Hiszpanii, w Pireneach. W tedy pada piorun, druzgocący niemal jego moralną istotę. Zięć i córka toną w Sekwanie podczas przejażdżki, a poeta gnie się pod cierpieniem, jak dąb pod orkanem. „O mój Boże — skarży się wtedy — co ci zrobiłem? Ona była szczęśliwą, miała wszystko, piękność, dowcip, młodość, miłość“ (do Ludwiki Bertin, 10 września 1843 r). Pisze teraz listy krótkie, a w słowach ich czuć, że dusi się z bólu. Za pochwały zmarłej dziękuje z wylaniem, i jest taki piękny, taki wzniosły w swej boleści, że niewiadomo, czy podziwiać szczerą prostotę tego uczucia, czy wyraz, który umie mu nadać. Jakże cudownie umie on zwłaszcza później malować poszczególne fazy bólu! Będąc zrazu jakby unicestwiony, ogłuszony, zgnieciony, przechodzi następnie do rozpamiętywania chwil minionych a niepowrotnych, potem znów nurza się w smutku ciężkim i prawie niepocieszonym, zionie tęsknotą prawie rozdzierającą, straszną, nieskończoną, która wreszcie z biegiem czasu łagodnieje, rozprasza się, znika. Wszystko się kończy na świecie, dusza ludzka nie umie wytrwać wiecznie w tej samej sferze uczuć, serce rwie się instynktowo do pociechy,

ukojenia, śmiechu, a chrześciańskie uczucie rezygnacyi przychodzi w pomoc znękanemu. W tej chwili Hugo wznosi się do szczytu inspiracyi, a uczucie boleści i ukojenia stapia się u niego w wydanych trzynaście lat później *Contemplations* (1856) w strofy dziwnej piękności:

Je viens à vous, Seigneur, père, auquel il faut croire;
Je vous porte apaisé
Les morceaux de coeur tout plein de votre gloire
Que vous avez brisé.

Je viens à vous, Seigneur, confessant que vous êtes
Bon, clément, indulgent et doux, ô Dieu vivant!
Je conviens que vous seul savez, que vous faites
Et que l'homme n'est rien qu'un jonc qui tremble au vent;

Les mois, les jours, les flots des mers, les yeux qui pleurent
Passent sous le ciel bleu;
Il faut que l'herbe pousse et que les enfants meurent,
Je le sais, ô mon Dieu! [1]).

[1]) *Contemplations.* Paris 1856. Tome II, livre IV: *A. Villequier.*

Dr. Tadeusz Grabowski.

(Dokończenie nastąpi).

Karty z życia Chopina.

(Dokończenie).

V.

Himmelhoch jauchzend, bo pewny wzajemności, *zum Tode betrübt* rozstaniem na długo, powrócił Chopin do Paryża i tu z myślą o Maryi spisał swą drezdeńską, pożegnalną improwizacyę na kartce, na której u góry widnieją słowa: *Pour Mlle Marie,* na końcu zaś koło podpisu twórcy data: *Drezno, Sept. 1835* [1]). Rok cały spędził Chopin w oddali od tej, którą ukochał; myślą był ciągle koło niej. W swych pokoikach przy *Chaussée d'Antin* godzinami roił i marzył samotny; gdy go tęsknota zbyt przygniotła, w improwizacyi i twórczości szukał ulgi. Tęsknota przechodzi chwilowo w namiętne wybuchy i skargi; oddalenie, brak wieści o Maryi, „powracająca fala" dawnego zwątpienia o sobie i o swej przyszłości, niepewność — oto przyczyny tych namiętnych paroksyzmów skargi i żalu. On pragnął mieć ją przy sobie, mieć w niej opiekę i straż przed złemi myślami i przeczuciami, ukojenie drażnionych ustawicznie nerwów, chciał mieć wreszcie pewność bezwzględną, że ona mu jest wzajemną i tak myśli o nim, jak on o niej, chciał to słyszeć z jej ust własnych; a tymczasem losy rozdzieliły ich znowu na czas pozornie

[1]) Jestto walc *F moll,* pierwszy z op. 69, którego *fac simile* tu dodajemy.

krótki, ale dla niego długi jak wieczność. Dzieliły ich mil setki. Ona w Służewie patrzyła na cuda i uroki tej ziemi, której piękność odczul on dopiero wówczas w całej pełni, gdy po niej zaczął tęsknić, gdy musiał żyć po za nią i bez niej. Tęsknota za Maryą złączyła się w minorowy akkord z tęsknotą za krajem, a które z tych uczuć stało się podstawowym tonem akkordu, powiedzieć trudno.

W takim nastroju tęsknoty, buntu przeciw losom, które go wygnały z rodzinnych stron, powstała pierwsza ballada Chopina *(G moll*, op. 23), *eine seiner wildesten, eigenthümlichsten Compositionen*, jak mówi tylokrotnie cytowany Schumann. I jeżeli prawdziwe jest podanie, iż ballady Chopina powstały pod wpływem i wrażeniem ballad Mickiewicza, to dla tej właśnie znaleźćby można pokrewną w *Dudarzu*, w opowieści o młodzieńcu, co

Smutny był bardzo, ale przyczyny
Smutku nie mówił nikomu,

co w oddali od swoich, od tej, którą pokochał, tęskni ustawicznie i z tęsknoty przymiera, rwie się i szarpie na obcej ziemi.

Odludny duma, wiatrom swe żale,
A łzy powierzając wodzie,

w łzach, samotnych skargach i dumaniach szukając ulgi, kryje się „przed gminu obliczem“ i „zawsze milczy swoim zwyczajem“. Pokrewny temat, pokrewny nastrój. Po siedmiu taktach wstępnych, urwanych dyssonującym akkordem, jakby obudzenie się podejrzeń dudarza na widok dziewczyny, która

Odwraca głowę, odeszła nieco,
Podniosła w niebo źrenice;
Nagle na oczach łezki zaświecą
I róż wystąpił na lice.

Rozpoczyna się opowieść, prosta, rzewna, przejmująca, od czasu do czasu przerywana jakby westchnieniem. Treść opowieści staje się coraz to dramatyczniejszą, czuć w niej jakby szał

namiętności, żalu, skargi, burzę i walkę wewnętrzną; burza uspokaja się, przechodzi w rezygnacyę pełną bezbrzeżnego smutku, jakby illustracyę słów umierającego młodzieńca Mickiewiczowej ballady:

Mam jeszcze bladych włosów zawiązkę,
I zeschły cyprysu listek:
Naucz się piosnki, weź tę gałązkę,
To mój na ziemi skarb wszystek.

Idź, może znajdziesz na brzegach Niemna
Tę, której już nie obaczę;
Może jej piosnka będzie przyjemna,
Może nad listkiem zapłacze...

I tu subjektywne uczucie bierze górę; nowy wybuch namiętności, ogromnej tęsknoty, skargi, kończący się szalonem *pres o con fuoco*. jakby buntem zrozpaczonej i rozstrojonej duszy, jakby wypowiedzeniem walki bez nadziei zwycięztwa. Może to było przeczucie tego, co przyszłość przynieść miała... W każdym razie jestto Chopin *langend und bangend in schwebender Pein*...

Jeśli w polonezie *Cis moll* (op. 26) przebija się tensam nastrój pessymistyczny, rozżalony, łagodzący się chwilowo w rzewną i czułą prośbę, to w polonezie *Es moll* (op. 26) jest werwa ogromna, animusz, obraz walki blizkiej zwycięztwa, oba zaś nokturny (op. 27), a w szczególności drugi *(Des dur)*, to najczystsze perły — *sit venia verbo* — erotyki muzycznej, napisane może pod wpływem jakiego listu z Służewa, doręczonego mu przez „Antka“, brata Maryi, dzielącego z Chopinem losy wygnańca, może pod wpływem marzenia, iż wraz z Maryą niedługo „wróci do kraju, osiądzie na wsi, jak niegdyś Jan Kochanowski i będzie tworzył przy boku swej kochającej i ubóstwianej żony“. Jest w nich jednak dziwny niepokój, melodya rzewna i spokojna urywa się, to znów nawiązuje, przechodzi w dyssonanse jaskrawe, odzywa się jakby grzmotem dalekiej jeszcze burzy i znów łagodnieje, znów się uspokaja. W tym czasie także, z myślą o Maryi i jej poświęcony, spisał Chopin stworzonego już dawniej mazurka, rzewną i prostą melodyę do słów:

Gdybym ja była słoneczkiem na niebie...

W każdym razie, mimo chwil pessymizmu i zwątpienia, nastrój optymistyczny i pogodny przeważał.

Prawdopodobnie racyę mają ci, którzy twierdzą, że Chopin należał do kategoryi tych twórczych duchów, *qui font de la passion un instrument de l'art et de la poésie, et dont l'esprit n'a d'activité qu'autant qu'il est mis en mouvement par les forces motrices du coeur.* Być może, jeśli jako zasadniczy warunek twórczości artystycznej uznamy szczerość i prawdziwość nastroju, odczucie i przejęcie się wrażeniem, myślą, poddanie się zupełne twórczej wyobraźni, bez sztucznego podniecania się, bez uważania twórczości za rzemiosło, któremu w każdej chwili, bez odpowiedniego usposobienia duszy, oddać się można. Rzeczywiście niezbędne dlań było jakieś ogromnie silne uczucie, przenikające go nawskróś, dające mu impuls do tworzenia *par les forces motrices du coeur.* Czy te *forces motrices* pochodziły z uczucia czysto indywidualnego, jak miłość do kobiety, jak wrażenie osamotnienia, jak wreszcie tęsknota za szczęściem lub *taedium vitae*, czy też źródłem ich były ogólniejsze uczucia miłości ojczyzny, bólu wywołanego klęskami i nieszczęściami kraju, to mniejsze jest i podrzędne. Zdaje się, że słuszność zupełną ma p. Przybyszewski, gdy w szkicu *Ku czci mistrza* powiada o Chopinie, iż „obdarzony nerwami, których czułość była tak nadmiernie wydelikaconą, że na najdrobniejsze wrażenie odpowiadały wulkanicznym wybuchem, nerwami, subtelnemi jak macki, które tam wyczuwają, gdzie już się kończy zwykła ludzka możność odczuwania, zaczarowywał każde uczucie, co jeszcze progu świadomości nie przekroczyło, w tony. Każdy nastrój, którego sobie uświadomić nie można, a który istnieje jako *je ne sais quoi* uczucia, wywoływał w duszy jego przynależny oddźwięk, każde choćby najdelikatniejsze, najniepochwytniejsze wydarzenie w duszy przetwarzało się w odpowiednią wartość dźwiękową. I rzeczywiście zdaje się, że do Chopina nie można zastosować prawa o specyficznej energii zmysłów, w duszy jego był punkt połączenia, rodzaj powiązania wszystkich zmysłów pomiędzy sobą, tak, że wrażenia bez wszystkiego przetwarzały się w dźwięk. Nie ulega wąt-

pliwości, że u każdego człowieka każde wrażenie posiada przynależny oddźwięk, że cały świat odczuwamy najsilniej i najgłębiej w kształcie dźwięku, że specyficzną istotnością każdego uczucia jest dźwięk i wszystko do niego sprowadzić można, jako do pierwotnej, atomicznej jednostki, ale rzadko to sobie uświadomić możemy; nasza skala dźwięków i oddźwięków bardzo ograniczona. Chopin był tym, dla którego granice takie nie istniały. W tonie uświadomił to wszystko, co się w duszy naszej rozpływa i ginie, gdyby poszum dalekich skrzydeł, to wszystko, co się z ciemności ku słońcu wyrywa, to niepojęte, przestraszające, to wszystko, na co słowa niema, a najbystrzejsze określenie jest tylko sztuczką karcianą. W przeciwstawieniu do Wagnera, który malował w swej muzyce charaktery swoich bohaterów, odtwarzał świadomie stany ich duszy, kierował się ideowym, analitycznym zmysłem, dostosowywał muzykę do tego, co się na scenie działo — przedstawia Chopin absolutną swą subjektywność, li tylko nagie stany swej duszy w ich najrozleglejszych falach, bo on miał cały świat w sobie, cały jego ból i cierpienie". W każdym razie twórczość jego zależną była w wysokim stopniu od wpływów zewnętrznych, które oddziaływając na owe *forces motrices,* puszczały je w ruch. I on mógł powiedzieć o sobie, jak Schumann, *in meinem Inneren tobt es und musicirt ohne Ende.* Wszystkie uczucia i wszystkie myśli, czysto subjektywne, przybierały kształt melodyi. Ztąd też coraz głębsza treść myśli i uczuć jego twórczości. Podczas gdy w pierwszej epoce, w czasach warszawskich, jest ona jeszcze błahą i płytką, pogłębiając się z czasem pod działaniem młodzieńczego temperamentu, humoru, dowcipu, wesołości z jednej, rozmarzenia i nieokreślonej tęsknoty z drugiej strony, późniejsze wypadki, troski, smutki i katastrofy oddziaływają na nią z intensywnością wielką, zmieniając gruntownie jej charakterystyczne cechy, a nowy punkt zwrotny w życiu, miłość, otwarcie nowych horyzontów życiowych, rozszerza skalę uczuć i myśli, pogłębia treść koncepcyi, podnosi ją wyżej i wyżej... Był to rzeczywiście „śpiewak posłuszny jedynie własnemu uczuciu", jak o nim mówi Moscheles, jego rywal i wielbiciel.

Jesień i zima z 1835 r. na 1836 r. minęły zwykłym trybem. Lekcye zajmowały dni całe, wieczory pochłaniały obowiązki towarzyskie, a chwile samotności, nieliczne a upragnione, poświęcone były Maryi, myślom o niej, badaniu siebie samego, planom na przyszłość, rojeniom i fantazyom. Jako artysta Chopin odnosił coraz to nowe tryumfy; jako wirtuoz zwyciężył Thalberga, który przybywszy do Paryża, zdobył odrazu dominujące, ale niższe od Chopina stanowisko, bo wszyscy w nadsekwańskiej stolicy dzielili zdanie Heinego, który mówiąc o Thalbergu, twierdził: *es gibt nur Einen, den ich ihm vorzöge, das ist Chopin.* Sporo kompozycyj posypało się w świat, a wszystko to przynosiło artyście, prócz sławy, także i dochód znaczny. Ale wszystkie tryumfy, wszystkie sukcesy tembardziej były mu cenne i drogie, bo go zbliżały do Maryi. Listy ze Służewa wzmagały jeszcze tęsknotę za Maryą, podniecały uczucie.

Zachował się jeden list Maryi z tych czasów, a mianowicie pierwszy, napisany wkrótce po wyjeździe Chopina z Drezna [1]), gdzie pani Wodzińska jeszcze pozostała. Podajemy go tu w oryginalnym tekscie francuskim z wtrąconemi polskiemi słowami, gdyż i przez to także jest bardzo charakterystyczny.

„Quoique Vous n'aimiez ni à recevoir, ni écrire des lettres, je veux pourtant profiter du départ de Mr. Cichowski pour Vous donner des nouvelles de Dresde depuis Vous. Je vais donc encore Vous *nudzić (ale już nie graniem).* Samedi, lorsque Vous nous quitâtes, chacun de nous promenait triste, *les yeux remplis de larmes,* dans ce salon, ou quelques minutes avant nous Vous comptions encore parmi nous. Mon père rentra bientôt et fut désolé de n'avoir pas pu Vous faire des adieux. Ma mère en pleurs nous rappelait à chaque instant quelque trait „de son quatrième fils Frédéric" (comme elle dit). Félix avait une mine toute abattue; Casimir voulait faire des plainsanteries comme à son ordinaire, mais ce jour-là elles ne lui réuissisaient pas, car il faisait le paillasse moi-

[1]) Listy, pisane do Chopina w tym czasie, wydał po raz pierwszy p. Mieczysław Karłowicz w tomie I *Księgi pamiątkowej na uczczenie setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza.* Warszawa (1899).

tié pleurant. Mon père se moquait de nous et il riait lui même, uniquement pour ne pas pleurer. A onze heures vint le mâitre de chant; la leçon alla fort mal, nous ne pouvions pas chanter. Vous étiez le sujet de toutes les conversations. Félix me demandait toujours la *Valse* (dernière chose, que nous avions reçue et entendue de Vous). Nous trouvions du plaisir: eux à l'écouter, moi à la jouer, car elle nous rappelait le frère, qui venait de nous quitter. Je l'ai portée à relier; l'Allemand a ouvert de grands yeux, quand on lui à montré une seule feuille; *(il ne savait pas, le* Niemiec, *par qui elle avait été écrite)*. Personne n'a diné: on regardait toujours Votre place habituelle à table, puis aussi *kącik Frycka. Krzesełko zawsze stoi na swojem miejscu i zapewne tak ciągle będzie, póki my w tem mieszkaniu zostaniemy.* Le soir on nous conduisit chez ma tante pour nous éviter la tristesse de cette première soirée, à laquelle Vous n'auriez pas assisté. Mon père vint nous prendre, disant qu'il lui serait impossible ainsi qu'à nous, de rester dans cette maison ce jour-là. Nous éprouvâmes un grand bien à quitter un lieu, qui renouvelait trop nos peines. Maman ne cause avec moi que de Vous et d'Antoine [1]). Quand mon frère sera à Paris, pensez un peu à lui, je Vous en supplie. Si vous saviez, quel ami devoué Vous avez en lui! Un ami comme il est rare d'en trouver. Antoine a un coeur excellent, même trop, car il est toujours la dupe des autres; et puis il est fort négligent, il ne pense jamais à rien, ou du moins rarement Nous lui avons déjà tant parlé raison, mais je crois, que venant de Vous, elle ferait beaucoup mieux son effet. Je sais, comme il Vous aime et je suis sûre, que Vos paroles seront oracles pour lui. De grâce, ne soyez pas indifferent avec lui. Comme il sera heureux, éloigné de sa famille, de trouver un coeur ami pour le comprendre. Je ne Vous dis plus rien. Vous connaissez bien Antoine et vous le connaîtrez encore mieux. Vous direz après de lui, qu'il veut paraître plus méchant qu'il ne l'est. Quand Vous aurez par miracle le désir d'écrire: *Jak się macie? Zdrów jestem. Nie mam czasu pisać*, ajoutez je Vous prie, oui ou non en reponse à la que-

[1]) Antoni Wodziński, brat najstarszy Maryi.

stion que je vais Vous faire: avez-vous compose? *Gdybym ja była słoneczkiem na niebie, nie świeciłabym jak tylko dla ciebie,* je l'ai reçu ces jours-ci, et je n'ai pas le courage de le chanter, car je crains, si cela est de Vous, que ce ne soit tout-à-fait changé, comme par exemple. *Wojak.* Nous ne cessons de regretter, que Vous ne Vous appeliez pas Chopiński ou enfin qu'il n'y ait pas d'autre marque que Vous êtes Polonais, car de cette manière les Français pourraient nous disputer la gloire d'être Vos compatriotes. Mais je suis trop longue. Votre temps si précieux, que c'est vraiment un crime de Vous le faire passer à lire mes gribouillages. Au reste Vous ne les lirez pas pour sûr pas en entier. *List małej Maryni pójdzie w kąt po przeczytaniu kilku słów.* Je n'ai donc plus à me reprocher le vol de Votre temps. A Dieu (tout simple). Un ami d'enfence ne demande pas de phrases. Maman Vous embrasse tendrement. *Ojciec mój i bracia ściskają najserdeczniej (nie, to za mało), naj... już nie wiem sama, jak powiedzieć.* Joséphine n'ayant pas pu Vous faire ses adieux, me charge de Vous exprimer ses regrets. Je demandais à Thérèse: „que dois-je-dire à Frédéric de ta part", elle me répondit: l'embrasser bien et lui faire bien mes compliments. A Dieu

Maria".

„*P. S.* Au moment de monter en voiture Vous avez oublié sur le piano le crayon de Votre porte-feuille. *Musiało być bardzo niewygodnie bez niego w drodze; a my go tutaj chowamy* — respectueusement comme des reliques. *Za koneweczkę jeszcze raz ślicznie dziękuję. Mlle Woziński* vint ce matin avec une grande découverte chez moi. „Ma seur Marie, je sais (me dit-elle), comme on dit Chopin en polonais — Chopena".

List ze wszech miar ciekawy, dający możność wglądnięcia w tę bardzo młodą duszę, dziewiczą, po raz pierwszy stojącą wobec uczucia, które ją wytrąca z równowagi, nie dopuszczając jeszcze przejrzenia siebie samej. Prześliczny jest opis pierwszych godzin po wyjeździe Chopina, to ukrywanie liczby pojedynczej pod liczbę mnogą, nieśmiałość w wyznaniu swych własnych uczuć i myśli, przejawiająca się tak wyraźnie tęsknota. Relikwią jest dla niej zapomniany przez

Chopina ołówek; niema dlań serdeczniejszego słowa po nad polecenie go Bogu... Prosi Chopina o opiekę nad bratem i do nikogo niema takiego zaufania, jak do niego. A jak naiwna, ale na seryo wzięta jest uwaga o nazwisku jego, o nadaniu mu polskiego brzmienia i jak serdecznie brzmi prośba o odpowiedź na pytanie: *avez-vous composé?* Widoczne jest także jasno, jaką była sytuacya Chopina wobec domu Wodzińskich, sympatya, jaką sobie zdobył u wszystkich, nie wykluczając i ojca Maryi. Pani Wodzińska miała szczególną słabość *pour son quatrième fils Frédéric,* nie kryła jej wcale i patrząc przez palce na budzące się u niego i u Maryi uczucie, nie staje mu na przeszkodzie, owszem, staje po stronie zakochanych. Przebija się to wyraźnie w liście, pisanym do Chopina 5 lutego 1836 r. z Drezna, gdzie pani Wodzińska z córkami przebyła widocznie całą zimę.

„Mój drogi Fryderyku!—pisze do „czwartego syna“.— Jakże mam zacząć, aby cię przeprosić za nadużywanie twej dobroci, a nadewszystko za stratę czasu. Lecz pomyślałbyś sobie: nacóż to robisz, kiedy przepraszasz; wolę ci przyczynę tego wypisać. Chcąc przesłać małą kwotkę Antkowi, z różnych przyczyn tego, co prosił, uczynić nie mogłam i szczęśliwie przyszło mi na myśl, że lepiej się udać nie mogę, jak do tego, który nam ciągle i zawsze tyle dowodów przychylności ku nam daje. Wiesz więc powód. Chciejże teraz resztę uskutecznić i załączony tu memu *cembałowi* wręczyć. Mój drogi Frycku, nie odmawiaj mu przyjacielskich rad twoich, zachęcaj go, aby się czem tem zatrudnił, bo nieczynne życie wielu nieszczęść się staje przyczyną. Bóg ci to stokrotnie wynagrodzi. Nie uwierzysz, ile ja łez z tej przyczyny i obawy o niego wylałam. Ty, który tak dobrym jesteś synem, uczuć to potrafisz. Jeżeliby kiedyś znajdował się w potrzebie, wtenczas ratuj go, a mnie jak najspieszniej o tem uwiadom. Polecam ci jego; wiem, że twój czas jest drogi, ale również znam twoje dobre serce i pewna jestem, że mi wtenczas poświęciłbyś chwilkę. Miałam tu wiadomość o rodzicach i siostrach twoich. P. Leopold, brat p. Pruszak, tu był; opowiadał, że to wszystko ślicznie zdrowe. Marynia, jako i Józia, czułe ci przesyłają ukłony; pierwsza, uwiadomiona, że ma dostać nuty od ciebie, nie posiada się z radości. Thérèse

Wodzińska często także wspomina po polsku, często także łączy brata z tobą, mówiąc: *J'ai bien du chagrin par mon frère Antoine — et Chopena aussi* i płacze doprawdy, czyli naprawdę. Kiedy też możemy cię widzieć? Żebyś też choć ze dwa słowa napisał i powiedział, czy to prawda, że tu tego lata być masz; bo nam tu Klara Wieck (a bardziej) Chevalier Kuntzel to powiedzieli i zapewniają, również Kuntzelek powiedział, żeś płakał, słysząc pannę Wieck w Lipsku; bo ja się wstydzę, żem nie płakała także na jej tu koncercie, ale mi się bardzo jej gra podobała — i cała jej postawa tak miła, tyle interesująca. Jest tu w tej chwili młody Wolf z Genewy, który do Petersburga z panią Nesselrode jedzie i tam trzy lata siedzieć będzie. *Adieu*, mój dobry Frycku, my tu zawsze i zawsze ciebie wspominamy, bo szczerze masz w nas ciebie kochających. Ściskam cię, mój drogi Frycku, wraz z Antkiem i błogosławię was obydwóch.

T. Wodzińska".

Uważano więc Chopina jakby należącego do rodziny, oddawano mu pod opiekę „Antka", który widocznie był szaławiłą lekkomyślnym i sprawiającym sporo trosk matce. A że trosk tych nie szczędził także swemu przyjacielowi, o tem świadczą listy Chopina, szczególniej z lat późniejszych, jak n. p. listy do Fontany. Chopin zaś do końca życia wypełniał oddaną mu opiekę i nie opuszczał „Antka" nigdy, przez pamięć na słowa Maryi.

Upłynął rok od wyjazdu Chopina z Drezna i wreszcie nadeszło lato, a z niem możność wyjazdu do Marienbadu, gdzie miał zobaczyć tę, za którą tęsknił tak ogromnie. Wyjechał z Paryża ze stanowczem postanowieniem zakończenia niezdecydowanej sytuacyi i ustalenia przyszłości. Przybył do Marienbadu w pierwszych dniach lipca i zastał tam już Maryę wraz z matką, a oprócz nich kilku warszawskich przyjaciół swej rodziny; przekonał się odrazu, „że Marya w ciągu ostatniego roku nie zapomniała o nim, że dusza jej, jak przedtem, tak i teraz, rwała się ku niemu".

Płonęła wonna, jak kadzidło mirry,
I widać było, że nie wiedząc, płonie.

Głębszemi oczu stały się szafiry,
I prędsza fala białości na łonie.

I pod tem pierwszem wrażeniem „o szarej godzinie“ wypowiedział jej wszystkie swe myśli i uczucia, wypowiedział jej, że ją kocha i bez niej żyć nie może, zapytał ją, czy chce być jego, czy chce mu dać szczęście bezbrzeżne... siebie. A gdy usłyszał z ust jej odpowiedź przychylną, wówczas i on mógł powtórzyć z Słowackim:

A ja nie wiem, co się ze mną stało!
Czy mnie anieli do nieba zabiorą?...
Czy uśmiechami rozrywa się łono,
Czy serce jak lód rozegrzany taje,
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
Czyli w nią wstąpił cały anioł zloty?
Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownemi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura
Pić łzy i białe w niem obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecieć po niebie...

Była to najszczęśliwsza chwila w całem jego życiu.

Pani Wodzińska życzliwie przyjęła oświadczenie się Chopina o rękę jej córki. „Kochała go jak syna i z duszy pragnęła jego szczęścia“. Była widocznie już dawno przygotowaną na to; widziała w tym związku szczęście Maryi, a genialny z Bożej łaski artysta wydawał się jej lepszym i stosowniejszym zięciem, niż niejeden syn wielkopańskiego rodu. Znała zresztą dobrze Chopina, znała wszystkie zalety i wady jego natury, widoczne dla niej było, iż te dwa typy o niezwykłej kulturze umysłowej uzupełniają się nawzajem do doskonałej harmonii. Chopin „odtąd kosztował wszystkich słodyczy, które bywają udziałem szczęśliwych narzeczonych i tak mu przeszło kilka tygodni“. Jego i Maryę ogarnęła ta

Fala, tak pełna ruchu i promieni,
Że jednem światła objąwszy ich kołem,
Zmięszała niby anioła z aniołem...

Z Marienbadu — gdzie Marya wyrysowała ów portret, o którym wspomina Szultz w swej biografii Chopina, a którego litografowana podobizna znajduje się w posiadaniu p. M. Karłowicza i ma na sobie napis: „Rodzicom jego, wdzięczna za ich dla nas łaskawą przychylność. *Marya Wodz.*“ — wyjechali wszyscy razem do Drezna. Tu stary pan wojewoda przekonał się, że dobre były jego zeszłoroczne spostrzeżenia, że bystro i trafnie osądził sytuacyę. Czy bardzo był zadowolony z wyboru i decyzyi? Zdaje się, że niechętnem okiem patrzył na związek Wodzińskiej z parweniuszem, chociaż ten parweniusz był arystokratą ducha, takim, iż równych jemu ludzkość miała niewielu, kilku zaledwie. Nie bardzo się jednak troszczono o zdanie pana wojewody, a najmniej już obchodziło ono narzeczonych. Bujali swobodnie po Dreznie pod nie bardzo krępującą ich opieką matki, oddani wyłącznie swemu uczuciu, szczęśliwi, martwiąc się tylko rychłem rozstaniem, ale tu znów pocieszała ich myśl, że wkrótce połączą się na zawsze i wówczas rozdzielić ich będzie mogła śmierć tylko.

Chopin w tych najszczęśliwszych tygodniach swego życia stał się znów dzieckiem. „Wesoły jego humor — jak pisze Karasowski — udzielał się wszystkim. Przypominano sobie jego figle młodości; przypominano, jak rozpieszczony dziś artystycznemi sukcesami Paryżanin, nie mając niegdyś czasami funduszów na sprawienie sobie, gdy chciał iść gdzieś na wieczór, białych rękawiczek, wykradał je siostrom, a łapany na gorącym uczynku, zaklinał się, iż jak kiedy pojedzie do Paryża, to im tuzinami ztamtąd rękawiczki przysyłać będzie — w czem istotnie słowa później dotrzymał“. W chwilach rozbawienia „Chopin przedstawiał damom przy fortepianie znakomitszych europejskiej sławy wirtuozów, naśladując w sposób najpocieszniejszy ich grę, ich szczególniejsze obejścia się i ruchów właściwości; pokazywał dalej, jak to w Warszawie amatorowie muzyki tanecznym energicznym rytmem wykonywają zwykle jego pełne poetycznego, melancholicznego uczucia mazurki i t. p.“ A gdy już był przy fortepianie, wówczas improwizował, snując z wyobraźni, podnieconej tak dawno upragnionem szczęściem, motywy pełne niedościgłionej poezyi, pogodne, jasne, a jednak, jak

zwykle w chwilach największego szczęścia przebijała się w nich tęsknota, smętność i rzewność.

W chwilach poważnej rozmowy układano plany przyszłości i jak opowiada p. Eleonora Ziemięcka: „Chopin skłaniał się porzucić przybraną ojczyznę, ponętny Paryż, wdzięki salonów, których był ulubieńcem i osiąść na zawsze w kraju, zamknąć geniusz swój w obrębie polskiej wioski, niedaleko Warszawy i rodziny, a dopomagając przez zakładanie odpowiednich szkółek oświacie ludu, pracować dalej w spokoju na niwie ulubionej przez siebie sztuki". Charakterystyczne: w chwili najwyższego szczęścia, gdy mógł o wszystkiem zapomnieć, co go bezpośrednio nie tyczy, pamięta zawsze o swej ziemi rodzinnej, pragnie połączyć swe osobiste szczęście z pracą dla dobra kraju,

Chce go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chce nim cały świat zadziwić...

Nadeszła fatalna chwila rozstania. Dnia 12 września 1836 r. Chopin wyjechał z Drezna, dążąc przez Lipsk do Paryża.

Ciężkie musiało być pożegnanie rozkochanej pary.

Czy mogli jednak mieć przeczucie, iż widzą się po raz ostatni i żegnają się już na zawsze?....

VI.

Dnia 14 września 1836 r. pani Wodzińska napisała do Chopina list następujący:

„Kochany Fryderyku! Podług naszego układu, przesyłam na ręce twoje list do pani Nakwaskiej. Już to od dwóch dni byłabym zrobiła, gdyby nie ząb, który wyjąć kazałam po twoim wyjeździe i z okazyi tej bardzo cierpiałam. Odżałować nie mogę, żeś odjechał w sobotę, w dniu tym byłam cierpiąca, nie mogłam się dość zająć *szarą godziną*, krótko o tem mówiliśmy. Nazajutrz byłoby było dłużej. P. Girardin powiada *„en toute chose le lendemain est un grand jour"— nous l'avons devant nous.* Nie myśl, ażebym ja odwołała to,

co mówiłam, nie; ale trzeba było przedsięwziąć drogę, którą iść trzeba. Dotąd będę cię tylko prosić o milczenie; zachowaj się zdrowo, wszak od tego wszystko zależy. Kazio przyjechał w niedzielę. Jakże go znalazłam innym od czasu jak wyjechał. Jeżeli w Czechach powietrze jest napełnione opium, to tam niezawodnie szalejem. Jakaż to perspektywa dla Maryi! Kto wie, jaka za rok będzie. Józię tu zostawiam z panną Mallet, a z wiosną sama przybędę i znowu do wód się udam. To jest mój projekt, a Bóg da, że do skutku przyjdzie. Jeżeli Bóg da, że Antoś zdrów wróci, zachęcaj go do pracy, niech się uczy co może, bo bracia jego niewiele umieją, a wstydby było, aby kobiety wyżej od wszystkich braci być miały. Teraz nic mu przesłać nie mogę, bo (jak Kazio mówi) że ojciec najbogatszy w całej prowincyi, musi żyć stosownie do tego; dobrze to jest, ale podług mnie, źle dać z głodu umrzeć dla tego dziecku. Skoro przybędę do Warszawy, to na twoje ręce prześlę dla Antosia co będę mogła, a teraz proszę cię, jeżeli masz jaką o nim wiadomość, to udziel mi tejże. Ja tu od dziś jeszcze dwa tygodnie bawić będę, a na 15 października będę już w Warszawie, bo na ten dzień ma się ślub odbyć. Będę widziała rodziców i siostry twoje; powiem im, żeś zdrów i wesół, chociaż *o szarej godzinie nie wspomnę*. Bądź jednak pewny mojej ku tobie przychylności; dla dopełnienia mego życzenia i wypróbowania tych uczuć, trzeba koniecznie tej ostrożności. *Adieu!* Chodź spać o 11-ej, do 7 stycznia używaj za napój *l'eau de gomme*. P. Matuszyński [1]) się ze mną zgodzi, a jak Skórzewski okażesz się w Marienbad lub Franzensbrunn. Bądź zdrów, kochany Frycku, błogosławię cię z duszy, jako kochająca cię m(atka?).

T. W.“

„Marya przesłała ci pantofle przez p. Germany. Są trochę duże, ale dodaję, abyś wełniane nosił pończochy; tak osądził Paris, a wnoszę, że będziesz posłuszny, wszakżeś obiecał. Wreszcie zważ, że to jest czas próby“.

---

[1]) Jan Matuszyński, lekarz zamieszkały w Paryżu, przyjaciel serdeczny i kolega Chopina z liceum.

List ten wyświetla wszelkie wątpliwości co do stosunku między Chopinem a Maryą. Widoczne jest, że pani Wodzińska, przyjmując oświadczyny artysty o rękę swej córki, widziała wszystkie trudności i przeszkody, jakie stanąć mogą na przeszkodzie związkowi obojga. Widoczne jest, że p. Wodziński nie dostrajał się do zupełnej harmonii i dziwaczył, sprawiając tem niejedną przykrość swej żonie i swym dzieciom. Charakterystyczne są słowa o Służewie, gdzie przebywał wówczas p. Wodziński, a zkąd syn jego, Kazimierz, powrócił właśnie do matki: „Jeżeli w Czechach powietrze jest napełnione opium, to *tam* niezawodnie szalejem. *Jakaż to perspektywa dla Maryi!*“ — a potem smutna uwaga, jakby w przeczuciu przyszłości: „Kto wie, jaka za rok będzie“. Niemniej charakterystyczne są słowa o „najbogatszym w całej prowincyi“, który jednak byłby w stanie „dać z głodu umrzeć dziecku“. W ogóle list ten jest smutny trochę, pisany jakby w obawie przyszłych trosk i kłopotów. Pani Wodzińska żąda od Chopina zachowania w tajemnicy tego, co się stało „o szarej godzinie“, po części dla tego, aby „przedsięwziąć drogę, którą iść trzeba“, żeby zdobyć zezwolenie jej męża i nie zaskoczyć go dokonanym faktem, któryby go mógł raz na zawsze źle usposobić dla Chopina, obrażając jego *patriam potestatem*, po części zaś aby nie rozgłosić rzeczy jeszcze niepewnej i zależnej od wielu czynników. Odwołać tego, co raz postanowiła, nie myśli. Przeczuwa jednak walki i przykrości, pragnie wypróbować stałość uczuć młodej pary, ale co najważniejsze, obawia się o zdrowie Chopina, boi się powierzyć córkę wątłemu i niepewnemu zdrowia mężczyźnie. Daje mu więc rady rozmaite; poleca *l'eau de gomme*, gumę arabską, w której skuteczność przeciw chorobom piersiowym wówczas wierzono, przypomina kilkakrotnie, „że to jest czas próby“.

Z innego zupełnie tonu pisany jest list Kazimierza Wodzińskiego, przy którym znajduje się *post scriptum* Maryi, list wysłany w tym samym dniu 15 września 1836 r., w którym p. Wodzińska pisała do Chopina. Jeśli tamten list mógł trochę zasępić Chopina, to ten powrócił mu humor i wiarę w przyszłość.

„Kochany Fryciu!—pisze Kazimierz.—Łatwo wystawić sobie możesz, ile mi przykro było, skoro dowiedziałem się od matki, iż dwudziestu czterema godzinami wyjechałeś przed przybyciem mojem do Drezna. Jak wiele pięknych chwil straconych dla mnie! A *de combien je regrette encore le séjour de Marienbad;* lecz próżne teraz żale, lepiej i co więcej interesować cię będzie, donieść ci o swoich rodzicach i twych siostrach, których przed wyjazdem widziałem w Warszawie. Ojciec twój, którego ja wcale zmienionym nie zastałem, tak samo i dobrze wygląda, jak w te czasy, kiedy łajał, klęczeć kazał i czasem w skórę dał. Matka twoja, prócz ócz, na które czasem cierpi, jest całkiem dobrze. Pani Jędrzejewicz [1]) zawsze ładniutka, milutka, drobniutka, *car c'est ainsi qu'il faut le dire.* Przypomniały mi się te dobre czasy, *ou je venais réciter ma leçon et ou je faisais tant le gamin.* Dzieci ładne i zdrowe, chłopczyk jeździ na koniku drewnianym i wybiera się *chez mon oncle Mr. Frédéric Chopin à Paris.* Pani Bardzińska [2]) także zdrowa; on strasznie zmieniony, co do charakteru: cichy, ponury, mało mówiący, nie ten sam wcale, jak był dawniej. *Enfin,* będąc tam w czwartki, kiedy wszyscy są razem, *j'ai cru me trouver encore en pension; j'ai raconté mon voyage à Mme Jędrzejewicz comme si j'avais une leçon à réciter, j'ai tremblé en parlant à Bardziński et j'ai eu bien peur, quand Ton père m'appellait.* Oto są nowiny domu twego; wet za wet ty powinieneś donosić mi także, cobyś wiedział o Antosiu i o tobie samym i pomyślał czasem, *que loin de vous, il y a quelqu'un, qui pense à vous et qui vous aime.*

K(azimierz) *Wodziń*(ki)".

„Odczytując list mój pomyślałem sobie, iż pomyślisz na moją mięszaninę *fanfaronnade;* prędzej jest to *distraction,* a więcej *ignorance,* bo prędko pisząc, nie mogąc myśl w jednym języku ułożyć, *on arrange la phrase comme elle vient à l'esprit*".

„*N. B.* Żywny zdrów, wcale nie osiwiał; zawsze dowodzi, iż na początkowem wykładaniu nauk najwięcej za-

[1]) Ludwika, najstarsza siostra Chopina.
[2]) Ma być Barcińska; Izabella, starsza siostra Chopina.

leży. Jak będziesz pisał do mnie, bo wątpię, by twój list mógł mnie tu zastać, pisz *à Thorn en Prusse aux soins de Mr. J. P. Adolph*".

Jeśli list Kazimierza Wodzińskiego sprawił wielką przyjemność Chopinowi, przenosząc go choć na chwilę w przeszłość, w atmosferę rodzicielskiego domu i w dawno minione czasy, to bez porównania cenniejszy był dlań dopisek Maryi, otwierający mu jasne horyzonty przyszłości, wspólnego szczęścia: „*Nous ne pouvons nous consoler de Votre départ* — pisze ona — *les trois jours qui viennent de passer nous ont paru être des siècles; faites Vous de même? Regrettez-Vous un peu Vos amis? Oui, je réponds pour Vous et je pense que je ne me trompe pas; du moins j'ai besoin de le croire. Je me dis que ce „oui" vient de Vous (car n'est-ce pas? Vous l'auriez dit).* Pantofle skończone, posyłam je. Co mnie martwi, to, że są za duże, chociaż dałam Takowskiego trzewik twój, *carissimo maestro,* na miarę, lecz zwyczajnie Niemcy. *Docteur Paris me console, en disant que c'est bien pour Vous, car Vous devez porter en hiver des bas de laine bien chauds.* Mama wyrwała ząb; to ją bardzo osłabiło. Dotąd w łóżku leżeć musiała. Za dwa tygodnie jedziemy do Polski. *Je verrai Vos parents: quel bonheur pour moi; et cette bonne Louise, me reconnaîtra-t-elle? Adieu, mio carissimo maestro, n'oubliez pas maintenant Dresde et dans peu la Pologne. Adieu, au revoir. Ah, si cela pouvait être au plus tôt!*

Maria".

„Kazio mówił mi, że fortepian służewski tak jest zrujnowany, że ani sposobu grać. *Ainsi pensez à Pleyel.* W szczęśliwszych czasach, jak dzisiejsze (to ma się tyczyć nas), *j'espère Vous entendre sur le même piano; au revoir, au revoir, au revoir. Cela fut (sic) espérer*".

W liście z 2 października 1836 r. pani Wodzińska donosi Chopinowi, iż w dwa dni opuszcza Drezno, dążąc na Służewo do Warszawy. „Pisz do nas ile razy tylko czas ci pozwoli". A potem macierzyńskie gderania i przestrogi: „Uważałam z listu twego, że tylko przyrzekasz święcie dopełnić rozkazów moich kłamiąc, bo nic, ani czyli wełniane pończochy do pantofli nosić będziesz, ani czyli przed 11-tą spać się

kłaść będziesz, nie piszesz“. W dalszym ciągu wzmianka o wyrzutach, jakie spotykały p. Wodzińską ze strony towarzystwa drezdeńskiego, za to, iż Chopin nieustannie zabsorbowany pragnieniem przebywania koło Maryi, zaniedbał podczas swego pobytu wszystkich zresztą; „żli na mnie za ciebie“. W końcu znów dopisek ręką Maryi: „Ślicznie dziękuję za autografy i proszę o więcej (to mama kazała napisać). Teraz jak najspieszniej jedziemy do Warszawy. *Combien je me réjouis de revoir toute Votre famille et l'année prochaine Vous... Adieu jusqu'à mai au juin au plus tard, je recommande à Votre souvenir, Votre très fidèle secrétaire, Maria*“. A nad tym dopiskiem dwa słowa, jakby przypomnienie najszczęśliwszej chwili: „Szara godzina“.

Listy, a w szczególności przypisy Maryi, musiały Chopinowi sprawić radość ogromną. Przebija się w nich z całą wyrazistością tęsknota młodej dziewiczej duszy, przed którą otwierać się poczynają nowe, nieznane światy wielkiego szczęścia, niecierpliwość, pragnienie połączenia się na zawsze. *„Ah! si cela pouvait être au plus tôt!“* I on myślał taksamo, taksamo tęsknił, taksamo pragnął, a tęsknota wytwarzała w nim nastrój pokrewny temu, który w *Rozłączeniu* Słowackiego, w tym wierszu napisanym po wyjeździe Maryi z Genewy, znajduje wyraz tak rzewny:

Rozłączeni, lecz jedno o drugiem pamięta,
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści: wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz, w cichej komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska:
Tyś mi widna jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białej szaty.

Były to czasy bardzo przykre dla Chopina, a zbliżały się jeszcze gorsze.

Wróciwszy do Paryża, wszedł znów *dans le train* zwykłych swych zajęć. Były one tem znośniejsze dla niego, iż skracały oczekiwanie i tęsknotę. Nadeszła jesień późna i zima, a wieści stanowczej ze Służewa nie było... Dostawał listy pocieszające go, serdeczne, upewniające o miłości Maryi, o jej tęsknocie za nim, ale daremnie wyczekiwał decydującej wiadomości, którąby położyła koniec wszystkim niepokojom i dała mu wreszcie to szczęście, od tak dawna upragnione i od tak dawna wyczekiwane...

Zdrowie jego cierpiało na tem także. Gryzł się i tem niemało, bo wiedział o obawach p. Wodzińskiej i o jej zastrzeżeniu pod tym względem. To też może i niezbyt przyjemne były mu ciągłe wypytywania o stan jego zdrowia, rady, polecenia, świadczące przecież o dobrem sercu i o troskliwości prawdziwie macierzyńskiej. Nosił pantofle, ten dar Maryi, przypominający trochę niemieckie *Liebesgaben,* sentymentalne objawy miłości w postaci haftowanych szelek, pantofli i t. p., ale dający dowód pamięci i troski i myśli o oddalonym; zażywał *eau de gomme*, pielęgnował się — dla Maryi. „Daruj, dobry Fryderyku — pisze p. Wodzińska, widocznie zaniepokojona brakiem wiadomości z Paryża — że tak przerywam twoje milczenie, ale potrzebaże *(sic)* dowiedzieć się o zdrowiu twojem“ i żąda przedewszystkiem doniesienia, „czyli zdrowie twoje w dobrym stanie i jakiego obwodu jest twoja osoba“. Listy pani Wodzińskiej zaczynają też nabierać kolorytu trochę posępnego i smutnego, jak to widoczne z listu pisanego 25 stycznia 1837 r. z podziękowaniem za rozmaite przesyłki z Paryża, między innemi autografy Heinego, d'Arlincourta i wielu innych.

„Tu u nas smutno bardzo — pisze — od powrotu naszego z Warszawy nigdzie krokiem nie ruszyliśmy się, ani też nie mieliśmy gości. Młodzież, to jest mąż mój, Feliksowie i Kazio, jeżdżą i hulają... My tylko starzy, to jest ja, Marya i Teresia, pędzimy dni samotnie na zamku, a zegar mocniej niż kiedy bije i przypomina czas spoczynku lub pożywienia, bo innego zatrudnienia mieć nie możem“. Marya przypisała się do tego listu: „Mama połajała, a więc ja

dziękuję, ślicznie dziękuję, a jak się zobaczymy, to jeszcze ładniej podziękuję. Znać, żem bardzo leniwa do pisania, bo to odłożenie do zobaczenia zwalnia mnie z wielu słów teraz. Mama opisała tryb życia naszego, więc już mnie nic nowego nie pozostaje do doniesienia; *sinon qu'il dégèle: grande nouvelle, n'est-ce pas? Surtout très importante à savoir. Cette vie tranquille, que nous menons ici, est ce qu'il me faut, voilà pourquoi je l'aime pour à présent, s'entend, car je ne voudrais pas, que ce fût toujours comme cela. On prend son parti le mieux qu'on peut, quand cela ne peut pas être autrement que cela n'est. Je m'occupe un peu pour tuer le temps. J'ai dans ce moment l'Allemagne de Heine, qui m'interesse infiniment. Mais il faut finir et Vous recommander à Dieu. J'espère que je n'ai pas besoin de Vous répéter l'assurance de sentiments de Votre plus fidèle secrétaire.*

Maria".

Jest w tym liście jakiś ton dziwny, psujący harmonię, jakieś przygnębienie, brak ciepła i serdeczności, trochę przymusu. Zdaje się, że słuszne by było w stosunku do Chopina zdanie Słowackiego o Maryi, błędne i fałszywe w odniesieniu do autora *Rozłączenia*, iż „kochała krótko ale mocno, jak zazwyczaj polskie dziewczęta kochają". Może Marya już przestawała go kochać? Może ją już zraziły przeszkody?

Złe przeczucia zaczęły nękać Chopina. Wahał się ustawicznie między nadzieją a zwątpieniem, znów był *langend und bangend in schwebender Pein*, nie chciał uwierzyć w możność unicestwienia tak długo pieszczonych rojeń i planów, to znów wpadał w smutek gorzki i rozpacz. Był w nastroju tymsamym, w którym Schumann stworzył przecudną, może najpiękniejszą pieśń swoją, tę, która najlepiej odpowiadała usposobieniu Chopina w tych czasach, pieśń zaczynającą się od strofy:

Du meine Ruh', du mein Herz,
Du meine Sonne, du mein Schmerz,
Du meine Welt, in der ich lebe,
Mein Himmel, darein ich schwebe....

Bo Marya była mu rzeczywiście obietnicą idealnego szczęścia, była przystanią wśród burz życia, była słońcem, rozpra-

szającem chmury, była jego światem całym i niebem, lecz była i czyśćcem i piekłem, źródłem niepokojów, nużących niewypowiedzialnie subtelną jego naturę, to też mógł do niej zwrócić dalsze słowa pieśni Schumanna i nazwać ją:

Mein Grab, in das hinab
Ich ewig meinen Kummer gab.

Stan ciągłego rozdrażnienia, ciągłej niepewności, oddziaływał fatalnie na jego nerwy, na jego delikatny organizm. W dodatku zaziębił się, zaczął kaszlać, cierpieć na dotkliwy ból w piersiach, upadać na siłach. Łudził jeszcze sam siebie, ale chwile ufności i wiary były coraz rzadsze i krótsze. Pessymistyczny nastrój brał górę. Widział, iż wysuwa mu się z rąk ostatnia deska ratunku...

Istnieje list, pisany przez Chopina do Antoniego Wodzińskiego, który służąc w pułku ułanów polskich, wysłanym przez Ludwika Filipa do Hiszpanii, przebywał wówczas w Saragossie. List ten pisany był prawdopodobnie na wiosnę 1837 r. Widoczne w nim jest przygnębienie, brak ufności w przyszłość, smutek ciężki, jak kir żałobny; są wprawdzie różne dowcipy i żarty, ale robią wrażenie przykre niezmiernie, jakby *Galgenhumor* człowieka, który czuje, iż utraci wnet wszystko, co mu zostało jeszcze na świecie, ostatnie złudzenia, ostatnie nadzieje. I w tym liście znów przejawia się jeden z najpiękniejszych rysów charakteru Chopina: stałość w przyjaźni, ofiarność, odczuwanie głęboko każdego nieszczęścia, które spotka kogoś, co mu jest blizki i czułość prawdziwie kobieca. „Moje ty życie kochane! — pisze. — Ranny, daleko od nas, a ja ci w ten moment nic posłać nie mogę... Twoi o tobie tylko myślą i myślą... Na Boga, tylko wyzdrowiej i wracaj. (Pomnij), że twoja krew na coś lepszego przydać się może... Chorowałem znowu w zimie na grypę i do Ems mnie wysyłają". Wybierał się więc za granicę, ale nie wiedział i nie przeczuwał w jakim nastroju, w czyjem towarzystwie wyjazd ten przyjdzie do skutku... W tym czasie, jak się zdaje, dostał krótki bilecik od Maryi, zbyt krótki w porównaniu z pierwszym listem, pisanym po pożegnaniu w Dreznie: *Je ne puis pas Vous écrire que quelques*

mots en Vous remerciant pour le joli cahier que Vous m'avez envoyé. Je ne tacherai pas de Vous dire, combien j'ai eprouvé de joie en le recevant, ce serait en vain. Recevez, je vous prie, l'assurance de tous les sentiments de reconnaissance que je Vous dois. (!) Croyez à l'attachement, que Vous a voué pour la vie toute notre famille et particulièrement Votre plus mauvaise élève et amie d'enfance. Adieu, Maman Vous embrasse bien tendrement. Teresia co moment wspomina swego Chopina. *Adieu, gardez notre souvenir.*

Maria".

Tu jeszcze wyraźniej przebija się przymus; różnica między tym listem a dawniejszemi ogromna. Widocznie kochała „mocno, ale *krótko*"...

W liście, pisanym do Służewa przez panią Nakwaską, przyjaciółkę domu Wodzińskich, znajduje się dopisek Chopina, datowany z dnia 2 kwietnia: „Korzystam z pozwolenia pani Nakwaskiej, by przypisać parę słów. Od Antoniego spodziewam się wiadomości własnoręcznych. Zaraz pani prześlę, chociażby jeszcze szczególniejszy list, aniżeli ten, w którym się Wincenty dopisał. Upraszam panią o spokojność o niego. Dotychczas w mieście siedzą wszyscy. Detaliów nie mamy żadnych, bo każdy z piszących o sobie w szczególności donosi. Zapewne już mój list z tego miesiąca jest w Służewie i uspokoił panią, ile można, o tym Hiszpanie, co musi, musi mi parę słów napisać. Nie będę się rozpisywał, ile mnie zasmuciła nowina straty matki państwa, nie dla niej, bo nie znałem, ale dla państwa, których znam (konsekwencya!). Przyznam się pani, że napadł mię moment, nakształt tego w Marienbadzie przy książce panny Maryi, na której przez 100 lat nie byłbym nic napisał: *Są dnie — którym rady nie wiem.* Dziś wolałbym być w Służewie, jak pisać do Służewa. Więcej bym powiedział, niżelim napisał. Panu Wodzyńskiemu *(sic)* moje uszanowanie, pannie Maryi, Kaziowi, Teresi, Feliksowi — przywiązany

F. Ch."

Jest w tym liście alluzyj sporo, dziś niezrozumiałych, jak n. p. owa do „momentu" w Marienbadzie „przy książce panny Maryi"; przebija się we wszystkiem niepokój, gorączka

niepewności. „Są dni, którym rady nie wiem“. Strasznie przykre musiały być dni te.

Niepewność skończyć się miała jednak wkrótce, aby ustąpić pewności, stokroć gorszej.

Tymczasem po świecie krążyły wieści o jego małżeństwie z Maryą, wieści, które doszły i Słowackiego, chociaż doszły go już — za późno. W dniu 2 kwietnia 1838 r. pisze Słowacki do matki swojej: „Mówią, że się Chopin z Maryą Wodzińską, a niegdyś moją Maryą, ożenił; może poszła za niego trochę z przyjaźni dla mnie (!), bo mówią ludzie, że Chopin do mnie jak dwie krople wody podobny. Jak to sentymentalnie pójść za człowieka, podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało! Stałość i niestałość harmonizują ze sobą w takiem zdarzeniu i podług Swedenborga już w niebie nie z dwóch, ale z trzech dusz robi się jeden anioł po śmierci. Ale w tym wypadku niech Marysia na mnie nie liczy; wolę się do innej jakiej światłej istoty w niebie przylepić; dla niej dosyć Orfeusza. Skrzydła tego anioła będą z siedmiu pedałów, a z klawiszów rąbki“. Biedny autor *Anhellego* łudził się co do uczuć, jakie miała dlań Marya, a może chciał łudzić drugich? I mimo wielkiej czci dla niego, trudno przemilczeć, że to łudzenie siebie, czy drugich, jest i dziś jeszcze trochę śmieszne, tak samo, jak natrząsanie się z „nerwowej, denerwującej i chorobliwej muzyki Chopina“, te drwiny, przypominające, jak słusznie zauważono, przysłowie o garnku i kotle, tem bardziej, że przed otrzymaniem wieści o tem, iż w Chopinie miał szczęśliwszego rywala, lubił jego utwory i grywał je często, a później dopiero zaczął niemi gardzić. Dosyć przypomnieć ów sławny, znaleziony w jego papierach list do matki, pisany po wydaniu *Snu srebrnego Salomei*. I tu przejawia się ta szalona, nieokiełznana ambicya, ta zarozumiałość, zazdrość nawet paląca go wobec tych, którzy w czemkolwiek zyskali nad nim przewagę, zawistna złość na myśl, iż ktokolwiek inny, a nie on, „syn pieśni, syn królewski“, mógł zdobyć serce tej, którą on pokochał, a która, jak w siebie i w innych wmawiał, na uczucie to nie była obojętną. Dziwna rzecz, Chopina także gniewało podobieństwo fizyczne z Słowackim, „nie lubił, gdy mu o nim mówiono; widać te dwie natury, nietylko fizycznie do siebie

podobne, stwierdzały na sobie teoryę o wzajemnym pociągu przeciwieństw i działały na siebie odpychająco". A przecież Słowacki nie miał powodu zazdrościć Chopinowi jego losu, a w szczególności powodzenia w miłości...

W chwili, gdy Słowacki dostał wieść o małżeństwie Chopina, rzecz była już stanowczo skończona.

W r. 1837 „Chopin jeszcze dnia 14 maja pisał do pani Wodzińskiej, jako jej „najprzywiązańszy" sługa, a w *post scriptum* załączając wyrazy „uszanowania" dla swego przyszłego — jak mniemał — teścia, „pannie Maryi przypominał, żeby parę słów bratu napisała", gdy nagle otrzymał list, w którym mu zwracano słowo, donosząc, że wszystko, co go dotychczas wiązało z Maryą, niech uważa za skończone. Zerwano z nim. Cios padł, łamiąc na zawsze Chopina.

Es ist eine alte Geschichte,
Doch bleibt sie ewig neu,
Und wem sie just passiret
Dem bricht das Herz entzwei.

Przyczyną zerwania było to, że ojciec panny Wodzińskiej miał już stanowczy projekt wydania jej za kogo innego, a zresztą Chopin to „tylko grajek"... stojący o całą nieskończoność niżej od córki pana na Służewie i niegodny jej ręki!

Z wszystkiego widoczne jest jasno, iż ojciec Maryi nie należał nigdy „do kółka osób, złączonych węzłami sympatyi, a złożonego z matki Wodzińskiej, jej córki i synów, oraz Chopina". Zdaje się, że był to człowiek bez wszelkiej intelligencyi, dbały tylko o dobry byt, skąpy dla dzieci, uważający je za narzędzia do zapewnienia sobie wygody i spokoju. Nie chciał dać córki „grajkowi", bo nie wierzył w to, aby tenże zapewnił jej dobrobyt i stanowisko społeczne, a sam nie chciał narazić się na ofiary materyalnej natury i tego się obawiał. „Na postanowienie jego wpłynąć musiała chęć wydania córki za człowieka, nietylko równego jej urodzeniem, ale też i bogatego". Pretekstem dobrym był dla niego stan zdrowia Chopina dający podstawę do poważnych obaw; była to jednak przyczyna drugorzędna.

„Tylko grajek“... te słowa zraniły ciężko miłość własną artysty z Bożej łaski, jego ambicyę i dumę. Przestał pisywać do Służewa, tem bardziej, iż miał przekonanie, że byłoby to bezcelowe i daremne, bo woli p. Wodzińskiego przełamaćby nie był w stanie, a Marya widocznie również nie czuła się na siłach, aby stanąć oporem wbrew woli ojca. Powiedziała mu przecież, „że nigdy wbrew woli ojca za mąż nie wyjdzie“. Trudno cały ciężar winy zwalić na p. Wodzińskiego. Zresztą tak długie wyczekiwanie szczęścia złamało energię Chopina.

Pojechał do Londynu chory i złamany...

Es ist eine alte Geschichte
Doch bleibt sie ewig neu...

Prześliczny jest wiersz Heinego, stanowiący przedmowę do cyklu *Junge Leiden,* ta wizya kobiety-sfinksa, będącej:

Ein Zwitter von Schrecken und Lüsten,
Der Leib und die Tatzen wie ein Löw',
Ein Weib an Haupt und Brüsten

dającej ustami swemi upojenie i rozkosz, a pazurami swemi szarpiącej ciało kochanka w kawały. Jestto jakby symbol życia Chopina od chwili, gdy zawiedziony i złamany rzucił się w objęcia pani George Sand. I on mógł powtórzyć z Heinem:

Derweilen des Mundes Kuss mich beglückt,
Verwunden die Tatzen mich grässlich.

Jest w pamiętniku Chopina kartka pożółkła i zmięta, na której zamaszyście i energicznie wypisane są słowa: *On vous adore,* podpisano zaś: *George.* I w tem jest symbol, symbol uwiedzenia mężczyzny przez kobietę, która nie znając żadnego hamulca, żadnego skrupułu, musiała zadowolnić swój kaprys, swój popęd, nie zważając na środki, których potemu używa. Z energią i wytrwałością, godną lepszej sprawy, dążyła do celu, nie cofając się przed niczem. „Poznałem wielką

znakomitość, panią George Sand, ale twarz jej nie sympatyczna, nie podobała mi się; jest w niej coś odpychającego", tak pisał Chopin w początkach 1837 r. W kilka miesięcy później był już kochankiem ex-kochanki Juliusza Sandeau, Musseta, Pagella i tylu innych...

Gerard de Nerval, ten niezwykle sympatyczny, nieszczęśliwy sojusznik Wiktora Hugo, Musseta, Gautiera i całej falangi romantyków francuskich, przyjaciel i wielbiciel Heinego, raz wraz powtarza w swych dziełach pytanie: *Mourir, grand Dieu, pourquoi cette idée me revient-elle à tout propos?* a w jednem z nich mówi, iż *la mort lui apparaît couronnée de roses pâles, comme à la fin d'un festin.* Pani George Sand w powieściach swoich dawała apoteozę samobójstwa, „jako najprostszej, najlogiczniejszej i najszlachetniejszej wszelkich rozpaczliwych sytuacyj konkluzyi". U Musseta łączność obu pojęć, śmierci i miłości, jest ustawiczną prawie; *l'amour* i *la mort* w pojęciu poety złączone są z sobą nierozdzielnie. Był to rys charakterystyczny erotyki romantycznej i poglądów na świat tej szkoły. Ale u żadnego z poetów rys ten nie występuje tak wybitnie, jak u Heinego, u którego miłość-męczarnia, miłość-zatrucie, miłość-samobójstwo, miłość-śmierć, to pojęcia, złączone z sobą zawsze. Jakby hasłem ich wszystkich, jakby ich wyznaniem wiary wydaje się *Der Asra* Heinego, ten niewolnik, który mówi o sobie:

.....ich heisse
Mohamed, ich bin aus Yemen
Und mein Stamm sind jene Asra,
Welche sterben, wenn sie lieben.

Do tego samego pokolenia należał i Chopin. Gdy miłość złamała mu życie, zapragnął śmierci. Myśl o śmierci, o grobie, wizye trupów i t. p. — oto często powtarzające się motywy w listach Chopina, w jego pamiętniku. Ale przed samobójstwem cofnął się odrazu; pozostawało mu przyspieszenie końca w inny sposób. Nie wybrał potemu stryczka, jak Gerard de Nerval, wstrętny mu był absynt, samobójczy środek Alfreda de Musset. Nie pozostawało mu nic dla skrócenia chwil rozpaczy i szukania zapomnienia — prócz kobiety.

Sztuka mu nie wystarczała, owszem, drażniła go coraz bardziej, rozstrajała i niszczyła. Myślał, że w upojeniu kobietą znajdzie letejskie źródło

Nęciła go ku sobie kobieta piękna, wysoce intelligentna, pragnęła go posiąść; on wiedział o jej miłostkach i życiowych przejściach, zapragnął jej, aby się przekonać, czy ona mu potrafi dać zapomnienie. Była zresztą sławna, niemniej sławna od niego, a on *par dépit* chciał rzucić rękawicę tym, którzy nim wzgardzili i pokazać im, że jest zdolny do pozyskania kobiety, którą oni uważali za istotę ogromnie wielką. Że Chopin wiedział co robi, o tem świadczy list jego z 10 sierpnia 1839 r. do Fontany: „Nie dziwię się baśniom rozmaitym; możesz miarkować, żem wiedział, że się na nie wystawiam“. *Par dépit* stał się kochankiem pani George Sand, aby się upoić i zapomnieć. Wybuch zrozumiały u natury czystej, nieskalanej zmysłowem użyciem, dziewiczej, tembardziej, iż, jak twierdzą ci, którzy znali Maryę Wodzińską i jak stwierdzają portrety, obie były podobne do siebie i pani George Sand ciągnęła ku sobie Chopina właśnie tem podobieństwem fizycznego wyglądania.

Później przywiązał się do niej siłą przyzwyczajenia i siłą obawy przed utratą jedynej istoty, która z nim się zżyła. Ale miłości w tym stosunku nie było. Chopin kochać już nie mógł, bo nigdy nie przestał kochać Maryi i tęsknić za nią. Pani George Sand nigdy kochać nie umiała; miłość streszczała się u niej tylko w zmysłowem użyciu. W rok po nawiązaniu stosunku z Chopinem chciała się już uwolnić od niego; jak każda prawie natura zdrowa fizycznie, brutalna, bezwzględna, egoistyczna, pozbawiona tkliwości, czuła wstręt do choroby, zapominając o tem, iż była jedną z głównych przyczyn upadku sił i rozchorowania się Chopina. Ale on, chociaż faktycznie łudził się z początku co do uczuć, jakie w nim budziła pani George Sand, przejrzawszy sam siebie, mimo nieustannych ukłuć szpilką, któremi go raczono, „nie chciał odejść, bo myślał, że wierność i trwałość takiego stosunku jest jego uszlachetnieniem, jego wytłómaczeniem, myślał, że jedna i druga strona tak długo pozostanie szlachetną, godną siebie i godną strony drugiej, dopóki nie zerwie“. Ona znudziła się wkrótce i bez skrupułów szukała sposobu

pozbycia się zawady, aż wreszcie sposób znalazła i rzuciła złamanego, zniszczonego, blizkiego śmierci.

W r. 1841 Chopin przebywał w Nohant wraz z swą kochanką, a Juliusz Fontana, przyjaciel jego serdeczny, pozostał w Paryżu i opiekował się jego sprawami i jego mieszkaniem. Antoni Wodziński, brat Maryi, wracał nareszcie do kraju i na wyjezdnem wyprosił od Fontany gipsowy biuścik Chopina, wykonany według rzeźby Dantona. Chopin dowiedziawszy się o tem, był bardzo niekontent, bał się, iż rodzice Maryi i ona sama, myśląc, że dar ten nastąpił za jego wiedzą, mogą to sobie różnie tłómaczyć i mogą pomyśleć, iż on nie zapomniał przeszłości i pragnie do niej powrócić. A on uważał ten epizod swego życia za skończony zupełnie. Nie mógł zapomnieć Maryi, ale przypominać się jej nie chciał, był potemu zbyt dumny i zbyt ambitny, a zresztą wiedział, iż byłoby to daremne. To też pisze do Fontany: „Jedną rzecz przeczytałem w liście twoim, co mi *szczerze* nieprzyjemną była (aleś się tego domyśleć nie mógł!!), to jest, że Antkowi mój biuścik dałeś. Nie dla tego, że on go ma, nie dla tego, żeby mi był potrzebny, albo żebym o niego stał, ale dlatego, że jeżeli go Antoś do Pozn. wziął, to tam będą kakety nowe, a ja już ich za wiele mam. Jeżelim Antosia żadnemi komisami nie obciążył, to nie dlaczego innego, bo czyż można mi lepszej okazyi? Ale widzisz, Antoś nie zrozumiał!!! *A jeżeli jeszcze pannie swojej powiedzą!* Może ty zrozumiesz! *Jestem ja w domu Antka inaczej zapisany, jak fortepianista.* Będzie to inaczej niektórym osobom się zdawać. Ty ich nie znasz! Tu mi wszystko przyjdzie *retro* w innym kolorze. Są to rzeczy, których ruszać nie trzeba. Stało się. Proszę cię, kochanie, nie mów nikomu tego, com tu napisał; niech to między nami zostanie. Jeżelim nie zmazał, to dlatego, że mnie pojmiesz. Sobie żadnych wyrzutów nie rób. Jeżeli Antek nie pojechał jeszcze, proszę cię, zostaw rzeczy jak są, bo będzie gorzej; on powie pannie de Rozière to wszystko, bo on poczciwy, ale słaby! a ona niedyskretna i chętnie pokazująca swoją *intimité* z nim i chętnie wpierająca się w interesa nie swoje, rozmaże i zrobi wolu, jak to nie pierwszy raz“. Oto jedyna i ostatnia wzmianka o Maryi Wodzińskiej. A jednak i on czuł ustawicznie to samo,

co czuł Słowacki, gdy pisał pierwszą z przecudnych strof *IV Szwajcaryi:*

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty
I nie wiem czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do aniołów?

Z listu tego widoczne jest jeszcze jedno: iż Chopin krył starannie przed wszystkimi najboleśniejsze szczęście swego życia, skoro tak zaufany przyjaciel jego, jak Fontana, w parę lat później nie wiedział jeszcze o niczem, a nawet i wtedy dowiedział się tylko ogólnikowo, iż Chopin w domu Wodzińskich był „inaczej zapisany, jak fortepianista". Znów przejawia się tu rys charakterystyczny Chopina: ukrywanie swych bólów i cierpień, niedopuszczanie nikogo do wnętrza swej duszy. Krył się on z tem uczuciem, które go nieustannie trawiło i przed którem schronić się nie mógł nigdzie, nigdzie znaleźć nie mógł zapomnienia o niem. Głęboko prawdziwe są słowa Krasińskiego:

Dusza jest jak ciało.
Gdy się raz psuje, a nadpsutej części
Od zdrowych siłą nie oderwiesz całą,
Złe się rozejdzie i wszędzie zagęści.
Lecz ciało tylko, szczęśliwe, umiera,
Ciała przebrane tylko cichną jęki:
Duch nieśmiertelny sam siebie rozdziera,
Niema dla niego ostatecznej męki!
Ból, co w nim rośnie, róść musi jak życie,
Krzewić się, bujać, szumieć i rozlegać,
Wdzierać się gwałtem lub wciskać się skrycie
I jak krew żyły, tak myśli obiegać.

Chopin chciał wybić klin klinem, chciał nową miłością wyprzeć dawną, a przynajmniej w innej kobiecie znaleźć upojenie. I upajał się, ale tylko na chwilę; odurzenie mijało szybko i znów powracała fala bólu i tęsknoty, żalu i cierpienia. Tak było do końca życia, a gorzej jeszcze, bo wnet do cierpień mo-

ralnych przyłączyły się i fizyczne. „Jak ten biedny instrument musiał się nastrajać wysoko i coraz wyżej, na ton smutny i coraz smutniejszy, a i jak musiał rozstrajać się boleśnie i przykro, jak struny musiały się zrywać i pękać, kiedy go życie pochwyciło w swoje ręce grube i twarde? Jak uderzyło w te struny delikatne i wytężone coraz to nowem cierpieniem, coraz nowem rozczarowaniem, wygnaniem, tęsknotą, rozdziałem ze wszystkimi, których kochał i ich stratą, wreszcie burzą miłości zgubnej, zabójczej, fatalnej — dźwięczały struny coraz żałośniej pod dotknięciem tych wszystkich smutków, aż wreszcie biedny instrument, rzucany i kołatany bez litości po wszystkich kamienistych drogach żywota, wątły z natury, zwątlony do reszty chorobą, rozbił się i umilkł na zawsze“.. A gdy zerwała się jedna z strun najsilniej dźwięczących, nadzieja szczęścia przy boku jedynej kobiety, którą Chopin kochał w swem życiu, minęły bezpowrotnie chwile wesołości i figlarnego rozbawienia; pozostało tylko rozdrażnienie, niezadowolenie z siebie i ze świata, zniechęcenie do życia, pragnienie śmierci.

Il le faut, ici-bas tout se flétrit, tout passe.
Pourquoi craindre un destin, que chacun doit subir?
La mort n'est qu'un sommeil. Puisque mon âme est lasse,
Laissons-la s'endormir,

mówi Gerard de Nerval w swej przepięknej *Résignation* i tę samą myśl miał Chopin, ten sam nastrój rezygnacyi, to pragnienie śmierci panowało w jego duszy. Tylko przy fortepianie miał chwile zapomnienia, czasem natchnienie unosiło go w nadziemskie wyżyny, po nad to morze smutku i łez, a wówczas pieśń jego brzmiała ufnością i nadzieją lepszej przyszłości... nie dla siebie. Ale najczęściej i tu nie mógł się wyzwolić od panującego nad jego duszą zwątpienia i od prześladującej go myśli o śmierci. Jest podanie, iż gdy siedział przy fortepianie, zajęty twórczą pracą, usłyszał stukanie we drzwi kościstego widma, niosącego mu wyzwolenie od męczarni życiowych. I wówczas miał powstać nokturn *H dur* (op. 32, wydany w grudniu 1837 r.), w którym niektórzy upatrują pukanie złowrogie, przerywające smutną bezbrzeżnie melodyę.

Wytworzył w sobie rezygnacyę, zgodził się „na rozpacz do śmierci, przywykłość do niej, obumarłość duszy, która jednem uczuciem żyła, a gdy to zawiodło, żyje, bo musi, ale bez uczuć, bez pragnień, bez pociech, bez łez". I znów najlepszym wyrazem tego nastroju są słowa poety, który — Krasiński — taki sam prawie przeżył okres w swem życiu, ale złamać mu się nie dał:

Jak kawał lodu skrzepło serce moje,
W oczach mi wyschły dawnych płaczów zdroje.
Żadnych już ułud nie zapragnę nowych,
Spokój mój wielki, jak głazów grobowych.

Ale spokój ten tylko pozorny.

Ich grolle nicht — mówi pieśń Schumanna — Chopin przebaczył wszystko i na pozór zapomniał, bo nie chciał okazać swego bólu *und wenn das Herz auch bricht...* Przepełniała go — jak to u siebie zauważył Krasiński — „żądza" czy „lubieżność skończenia bytu", powtarzał jak tamten duch wielki: „Nie znam istoty mniej wartej żyć, mniej pożytecznej na świecie... Gdyby mnie Bóg zabrał, wymierzyłby wielką sprawiedliwość, bom nie zdał się na nic — a mnie samemu ulgę, bo się męczę porządnie". Śmierci samej się nie bał, lecz bał się tego, co ją poprzedza.

Tęsknił za krajem, ale wrócić doń nie chciał, a raczej nie mógł. Wywoływał tylko wspomnienia niepowrotnej przeszłości, aby w nich znaleźć choćby chwilową ulgę, nie zważając na to, iż musiał ją opłacić tem większem cierpieniem, tem większym rozstrojem. I wówczas znów myślał tak, jak Gerard de Nerval w ostatniej strofie swej *Résignation* i mógł wraz z nim powtórzyć:

Et toi, rêve adoré de mon coeur solitaire,
Belle et rieuse enfant, que j'aimais sans espoir,
Ton souvenir en vain me rattache à la terre,
Je ne dois plus te voir.

Gasnął bardzo powolnie i dopiero brutalne porzucenie go przez znudzoną i przesyconą nim towarzyszkę tylu lat

życia, do której przywykł i w której widział ostatnią nić wiążącą go ze światem, dobiło go.

„Już się smucić, ani cieszyć nie umiem — pisał w dniu 18 lipca 1848 r. — Wyczułem się zupełnie: tylko wegetuję i czekam, żeby się prędzej wszystko skończyło". *Taedium vitae* straszne i ogromnie bolesne — oto charakterystyka ostatnich dziesięciu lat jego życia. „Nie przeklinam nigdy nikogo — pisał w parę miesięcy później — ale tak mi jest już nieznośnie teraz, że zdaje mi się, że lżejby mi było, gdybym mógł Lukrecyę przekląć!" Lukrecyą była pani George Sand, a on przekląćby ją chciał za to, iż splamiła jego życie, przed poznaniem jej nieskalane i czyste, że wciągając go w wir zmysłowego użycia, obrzydziła mu świat i ludzkość całą, dała mu niesmak i wstręt do siebie i do ludzi. Ale Maryi nie przeklinał nigdy. Wspomnienie jej stawało się z każdym rokiem jaśniejsze i czystsze, choćby z wdzięczności za to, iż dała mu chwil kilka niewysłowionego szczęścia, nie zatrutego żadną goryczą. I jeśli żal, to nie do niej, ale do tego, co stanęło pomiędzy nimi i rozdzieliło ich na zawsze.

Nessun maggior dolore, che ricordarsi il tempo felice nella miseria... Ostatnie z tych głęboko prawdziwych słów Danta wypisał Chopin drżącą już ręką na kilka dni przed śmiercią i dał je na pamiątkę pani Delfinie Potockiej... W smutku i zwątpieniu *ricordarsi il tempo felice* — oto treść ostatnich lat życia jego, począwszy od chwili, gdy dostał wieść, że Maryi nie wolno zaślubić człowieka, który jest „tylko grajkiem"... A gorsze jeszcze niż to uczucie, było inne, z niego wypływające, „porównanie świetnych obietnic i nadziei, porównanie marzonej przyszłości z nędzną rzeczywistością". I te dwa uczucia, łącząc się i zlewając, dały dziełom jego z ostatnich lat życia najwybitniejsze piętno bezbrzeżnej rozpaczy; w nich składał wszystkie swe myśli i uczucia, spowiadał się sam przed sobą, wynurzał się przed światem.....

Z boleści wszystkich boleść to największa
Żal opowiadać niewypowiedzialny

mówi Szekspir w swej *Komedyi omyłek* i prawdziwość słów tych stwierdza ostatni okres twórczości Chopina. *Il tempo*

felice, krótki okres niewysłowionego szczęścia, krótki czas, gdy żył całą pełnią życia, stawał mu zawsze w pamięci, budząc tem większy żal do ludzi i do świata, żal do tej siły niezwalczonej, która mu takie a nie inne stworzyła losy. Lecz z drugiej strony te wspomnienia cofające się nieprzerwanym łańcuchem, ogniwo za ogniwem, w czasy dzieciństwa, pełnego jasności i wesela, były jedynym promieniem świetlnym, padającym w ponurość ostatnich lat przedwcześnie gasnącego życia. I zawsze, zawsze łączyły się one z Maryą, zawsze postać Maryi wysuwała się na plan pierwszy i około niej koncentrowały się jego myśli. Zdawało mu się, iż ją widzi, rozdzieloną od niego na zawsze, jakby powtarzającą słowa Rosettiego:

Look in my face, my name is: might have been!
Im am also called: no more, to late, fare thee well!

I tu raz jeszcze nasuwa się problem niezmiernego znaczenia, zagadnienie, czem jest w swojej istocie twórczość artystyczna w ogóle, twórczość muzyczna w ogólności. Jak w każdym dziale sztuki, tak i w muzyce są artyści, tworzący świadomie, spokojnie, systematycznie, celowo, w przeciwstawieniu do tych, którzy działają impulsywnie, bezwiednie. Pierwsi, zużytkowując pewien zasób motywów, rozwijają je, kombinują, mając przed sobą cel jasny i wyraźny; drudzy pod wrażeniem chwili dają się porwać inspiracyi; bez ich wiedzy i woli powstaje dzieło gotowe odrazu, w jednym odlewie, a mechaniczna praca spisania i wycyzelowania powstałego tak tworu, jest dla nich męką i trudem ogromnym. Nie można lepszego dać określenia stanu artysty tej kategoryi w chwili tworzenia, niż je dał Fryderyk Nietzsche w jednym z listów do swojej siostry: *Hat Jemand* — pisze on — *Ende des XIX Jahrhunderts, einen deutlichen Begriff davon was Dichter Inspiration nannten? Mit dem geringsten Rest von Aberglauben in sich, würde man in der That die Vorstellung blos Inkarnation, blos Mundstück, blos Medium übermächtiger Gewalten zu sein, kaum abzuweisen wissen. Der Begriff Offenbarung in dem Sinne, dass plötzlich, mit unsäglicher Sicherheit und Feinheit, Etwas sichtbar, hör-*

bar wird, Etwas, das einen im Tiefsten erschüttert und umwirft, beschreibt einfach den Thatbestand. Man hört — man sucht nicht; man nimmt — man fragt nicht, wer da gibt; wie ein Blitz leuchtet ein Gedanke auf, mit Nothwendigkeit, in der Form ohne Zögern. Eine Entzückung, deren ungeheuere Spannung sich mitunter in einen Thränenstrom auslöst; ein vollkommenes Aussersichsein mit dem distinktesten Bewusstsein einer Unzahl feiner Schauder; eine Glückstiefe, in der das Schmerzlichste und Düsterste nicht als Gegensatz wirkt, sondern als bedingt, als herausgefordert, als eine nothwendige Farbe innerhalb eines solchen Lichtüberflusses. Alles geschieht im höchsten Grade unfreiwillig, aber wie in einem Sturm von Freiheitsgefühl, von Unbedingtsein, von Macht, von Göttlichkeit. To, co wiemy o twórczości Mickiewicza *(Improwizacya* w *Dziadach* i niespisane improwizacye) i to, co wiemy o twórczości Chopina, odpowiada w zupełności prawie słowom Nietzschego. Wiemy, że Chopin improwizując, zapominał o wszystkiem, co go otaczało, przerywał dopiero wtedy, gdy ze znużenia ręce mu opadały, stawał się blady, jakby nieprzytomny. Improwizacya, twórczość, były mu ulgą, dawały ujście uczuciom i myślom, gromadzącym się ustawicznie i przemieniającym się zawsze w „odpowiednią wartość dźwiękową". Tak było od dzieciństwa; „dzień schodził mu pośród tonów i dźwięków; kiedy ich nie słyszał, to myślał o nich, przywoływał je na pamięć, tworzył nowe w wyobraźni, śnił o nich w nocy". Organizm jego, pod natłokiem motywów, dźwięków, tonów, domagał się niezbędnie ulgi, a tą ulgą była twórczość, o której mówi klassyczny świadek, pani George Sand, że była „bezpośrednią, cudowną". Gdy zasiadł do fortepianu, odrazu, w jednym odlewie rzecz była gotową. Nie pomogą tu filisterskie komentarze Niecksa, który zawsze tam, gdzie chodzi o głębsze wniknięcie w psychikę Chopina, nie może sobie dać rady z tak złożoną organizacyą. Twórczość Chopina była impulsywną; nie miał on wytrwałości i siły do mozolnego wypracowywania tematycznych kombinacyj, do systematycznego rozsnuwania motywów. Dla tego też z chwilą dojrzałości zaprzestał kompozycyi o formach wielkich, domagających się niezbędnie takiej a nie innej metody tworzenia. Było naturalnym wynikiem rodzaju

twórczości Chopina, że spisanie i oszlifowanie stworzonego już dzieła sprawiało mu trudność i przykrość największą. Tu dopiero zaczynał analizować, badać krytycznie, kreślić, poprawiać i po sto razy zmieniać poszczególne takty i był w stanie po kilka tygodni strawić nad jedną stroną. W końcu wracał do pierwotnej formy, bo ta była najlepszą, powstała organicznie.

Z arcydzieł Chopina największe przepadły, te, których nie spisał wcale, improwizacye, któremi przenikał nawskróś i porywał wszystkich. W tych improwizacyach spowiadał się ze wszystkiego, co czuł i myślał, wypowiadał w nich wszystko, co ukrywał przed każdym, nawet najbliższym, a wypowiadał niekrępowany niczem, żadną formą, żadną regułą. „Wstydliwość uczuć", charakterystyczna dla Chopina, zmuszała go do szukania ulgi; zamykane szczelnie w głębi duszy uczucia i myśli znajdowały ujście w formie tonów. Właśnie improwizacye Chopina dałyby najlepszy klucz do zupełnego poznania stanów jego duszy, nastrojów, które nad nim panowały w ostatniej epoce życia. To, co złożył w swych dziełach, jest zaledwie drobną cząstką.

Twórczość artystyczna przejawia się w poezyi słowem, dającem uchwytny obraz myśli, uczuć, nastrojów tego, który je spisał. Sztuka plastyczna daje niemniej uchwytne obrazy, objawia to, co malarz czy rzeźbiarz chciał wypowiedzieć za jej pomocą, chociaż nastroju jego umysłu, stanu jego uczuć nie jest w stanie przejawić tak wyraziście, jak to czyni słowo. W muzyce odczuć można nastrój artysty, poznać, rodzaj uczucia, które się przejawiło w nutach, poznać, czy ono było wesołe, czy tęskne, czy rozpaczliwe i smutne, ale przyczyn tego uczucia dojść nie można, nie można uchwycić myśli, które się snuły w głowie artysty podczas gdy tworzył swe dzieło. Beethovena *Sinfonia eroica* miała być hołdem największego geniusza w muzyce dla niemniejszego geniusza w sztuce wojny. Beethoven sam na karcie tytułowej swego dzieła wypisać miał nazwisko Bonapartego; skreślił je, gdy się dowiedział, że jenerał zrobił się cesarzem. Znamy myśl, która wzbudziła twórczość tytanicznego geniusza, ale mimo to nie znamy myśli, które miał w chwili, gdy swą symfonię pisał. Zresztą w dziełach wielkich praca twórcza musi mieć formę

inną zupełnie i zmuszona do snucia tematycznych kombinacyj, nie może już być skutkiem jednolitego nastroju, przejawem jednej i tej samej myśli. Inaczej jest w dziełach mniejszych rozmiarami, w takich, jak te, które stworzył Chopin. Tu od początku do końca nastrój jest jeden i ten sam, jedno i to samo uczucie, musi więc być także myśl jedna i ta sama. U Chopina w ostatniej epoce twórczości przejawia się najwyraźniej dwoisty szereg nastrojów i uczuć: jedne są strasznie rozpaczne, bezbrzeżnie smutne, pełne beznadziejnej boleści; to są objawy uczuć osobistych, myśli nad sobą samym, nad swoją przeszłością i przyszłością, objawy rozstroju i złamania. Drugi szereg dzieł, to wyraz uczuć, jakie miał w odniesieniu do swego kraju; tu obok burzy i walki, żalu i tęsknoty, jest nadzieja i wiara, jest nadzieja zwycięztwa i wiara w przyszłość.

Patrząc na oba szeregi dzieł Chopina, widzimy, że wyższe jeszcze i silniejsze po nad miłość do Maryi było uczucie niezmiernie stałe i wzrastające ustawicznie w swej sile, a tem była miłość ojczyzny i przywiązanie do rodzinnej ziemi. Jeśli wspomnienie Maryi i chwil szczęśliwych, które jej zawdzięczał, było ogromnie intensywne i silne, to znaczną część swej intensywności i siły miało ono ztąd, iż łączyło się nierozdzielnie z wspomnieniem czasów, które spędził na ojczystej ziemi... Bo z niezaprzeczoną słusznością można odnieść i do Chopina słowa Bohdana Zaleskiego, wyrzeczone nad trumną Mickiewicza: „Przez wiek swój cały pielgrzymował on do grobu matki-ojczyzny, aby tchnąć w umarłą żywot swój ku zmartwychwstaniu; w tem mocowaniu się gorącej miłości synowskiej tkwił trud trudów jego i boleść boleści“. I dowodem tego jest jedno z ostatnich dzieł Chopina, jego wspaniała i przecudowna *Polonaise Fantaisie* (op. 61), może najgłębszy z wszystkich jego tworów, najbardziej dramatyczny i w najwyższem stworzony natchnieniu, „jakżeby szereg obrazów coraz nowych, zmieniających się, a wszystkie te obrazy, jak żeby miały jakieś podobieństwo ze słynną muzyką Jankla, podobieństwo ducha, a nawet układu“. Jest w niej i skarga żałosna i boleść upadku, jest w niej rzewna modlitwa i korne błaganie, jest pieśń nadziei i burza walki twardej a zaciętej i wreszcie

wraca pierwszy motyw, już nie cichy i nieśmiały, ale *fortissimo,* wspaniale, jak pieśń zwycięztwa i hymn tryumfu. Jestto jakby synteza przeszłości i przyszłości, a wedle tradycyi takim był zamiar Chopina. I kończy się ta „fantazya“ nutą tęskną przejmująco i smutną, jak gdyby skargą i żalem, iż temu, co pieśń tę wyśpiewał, nie dane będzie oglądać tryumfu i zwycięztwa...

Jeśli w tym polonezie jest niejako wyznanie wiary Chopina, to polskość jego najwyraziściej się przejawia w mazurkach, tych—jak mówi Kleczyński — „najczystszych perłach i najdroższych klejnotach w koronie mistrza“—i trudno tu znów nie powtórzyć słów Stanisława hr. Tarnowskiego, który najlepiej scharakteryzował ten dział twórczości Chopina: „Zdaje się, jakżeby ta polska forma mazurka stała się była naturalnym wyrazem jednego uczucia, które było tłem usposobienia Chopina, a jest także uczuciem bardzo polskiem, bardzo powszechnem między nami, tęsknoty. Tęsknota jego przebija się dowolnie we wszystkich kompozycyach; ale dziwna rzecz, kiedy komponuje pod wpływem goryczy lub rozpaczy, kiedy burzą się w nim uczucia ponure i dzikie, wtedy wleje on je w formę każdą inną, ale nie w formę mazurka, który jest niejako wyłącznym poświęconym przybytkiem rzewności, melancholicznego rozmarzenia, żalu i on stał się dlatego może najsilniejszym węzłem sympatyi pomiędzy mistrzem a jego narodem, bo kiedy biedny mistrz wygnany myślał z żalem o kraju i tęsknił za nim, kiedy go sobie przedstawiał w tem uroczem świetle, jakiem otacza rzeczy oddalenie, wtedy układał mazurek, w którym naród znowu znajdował dwa uczucia dobrze sobie znane, dwie struny swego serca często dźwięczące: swoje uczucie narodowe i swoją tęsknotę“. Ostatniem dziełem Chopina, stworzonem wtedy, gdy nie miał już dość siły, aby je sobie przegrać na fortepianie, był mazurek *G moll* (drugi w op. 68).. Dwie struny dźwięczały stale w jego sercu: jedna, silniejsza dźwiękiem, to uczucie narodowe i tęsknota za ojczystą ziemią, druga struna słabsza, lecz odzywająca się za najlżejszem dotknięciem, to jedyna w życiu miłość do Maryi Wodzińskiej i tęsknota za utraconem szczęściem...

Pozostały dwie po Chopinie pamiątki: srebrna czara z garścią polskiej ziemi, ta sama, którą mu wręczono na odjezdnem z Warszawy i obwiązana czarną wstążką koperta z napisem: „Moja bieda“, a w kopercie tej róża, ta sama, którą mu wręczono na odjezdnem z Drezna i listy z Służewa.

Jest w tem jakby symbol życia, złamanego dwoma nieszczęściami: utratą ojczystej ziemi, którą kochał nad wszystko, i utratą jedynej kobiety, która mu mogła dać szczęście i która mogła go znów sprowadzić do kraju, w mazowieckie równiny...

„Odchodzą jeden po drugim bracia nasi... Świeczniki zapalone Duchem Pańskim, gasną jedne po drugich, jakby pod dmuchem gniewu Pańskiego, a droga długa, a noc gęsta, a do świtu jeszcze daleko“. Te słowa pisał Seweryn Goszczyński na wieść o śmierci Słowackiego. Po Słowackim zgasł Chopin, po nich Mickiewicz i Krasiński i nie pozostał żaden ze „świeczników zapalonych Duchem Pańskim“, a następnym pokoleniom przyszło wędrować w przyszłość wśród nocy gęstej, w przekonaniu, iż „do świtu jeszcze daleko“ i jakby coraz dalej...

Marya Wodzińska wyszła w r 1837 za J. hr. Skarbka, syna hr. Fryderyka, właściciela Żelazowej Woli, miejsca urodzin Chopina. „Z pogodnem czołem, lecz sercem rozdartem, poświęciła co jej było najdroższem i nigdy, nigdy już nie miała zaznać szczęścia; całe długie jej życie jednem miało być odtąd pasmem ciężkich prób i nieograniczonego poświęcenia“. Tak czytamy w jednej z prac o Chopinie. A jednak słowom tym wierzyć się nie chce we wszystkiem. Czy Marya odczula równie głęboko, jak Chopin i czy przecierpiała tyle? Pytanie bez odpowiedzi, ale nasuwające pod pióro słowa Musseta: *Celui des deux, qui aime le moins, est celui, qui souffre le moins.*

Mówią, że miłość prawdziwa jak stal w ogniu hartuje się wśród przeciwieństw i walk. Tak mówią, ale muszą być bardzo rzadkie wypadki, w których te słowa się sprawdzają. Rzeczywistość stwierdza najczęściej słowa Hamleta: *Frailty, thy name is woman!* Pod naciskiem przeciwności i walk kobieta chyli się i ugina jak gibka brzoza, albo też zwraca się jak chorągiewka na dachu pod naciskiem wichru. I znowu

przypomina się zdanie Słowackiego, że Marya „kochała krótko, ale mocno, jak zazwyczaj polskie dziewczęta kochają“, a gdy kochać przestała, mało ją obchodziło, że łamie życie człowiekowi, dla którego była wszystkiem.

W każdym razie prawdą jest, iż życie dalsze przyniosło jej wiele prób ciężkich. W małżeństwie szczęścia nie znalazła; rozwiódłszy się z pierwszym mężem, wyszła za Władysława Orpiszewskiego, właściciela dóbr ziemskich w Włocławku. Umarła w r. 1898.

Adolf Strzelecki.

Najnowszy utwór Ibsena.

„Gdy my umarli obudzimy się".

W ponury grudniowy wieczór wziąłem tę książkę do ręki. Nagie gałęzie drzew, okryte tylko gdzieniegdzie płatkami śniegu, przecinały w rożnych kierunkach ciemną, ponurą przestrzeń. A tu w pokoju cisza i światło lampy przy biurku, a dalej mrok... W ręce mam tom niewielki; okładka koloru zbrunatniałych liści, ostatnich niedobitków wielkiej walki lata z zimą. A na okładce ponurym czarnym drukiem, tem groźniejszym w swej prostocie, napis, Henrik Ibsen: *Wenn wir Toten erwachen.* Nie wiem, czy wiele tytułów tak zdolnych jest przemówić do serca człowieka, poruszyć w niem wszystkie rozpacze, rozognić wszystkie rany, rozwiązać skrzydła wszystkim nadziejom i marzeniom. „Gdy my umarli obudzimy się" — a więc my jesteśmy „umarli"; żyjemy ciałem, spełniamy wszystkie jego funkcye, nawet czasem się radujemy, śmiejemy, ale my „umarli": zamarł w nas duch, zabity przez nas, przez obcy świat, przez bardziej jeszcze obcych ludzi. I my czujemy tę martwotę, czujemy, jak duch nasz umiera z każdą chwilą, jak blizko nam do tego smutnego stanu, kiedy się żyje, choć się już nie jest żywym człowiekiem. Budzi się w nas odruch ducha, który krzyczy, że przykazanie „nie zabijaj" nie jest wypełnionem, gdy się ciała tylko nie zabija i rwiemy się z pod tego przeklętego głazu, co nas tłoczy, i chcemy powietrza, słońca, chcemy świeżego oddechu i wzniosłego lotu. I oto patrzę na napis: „Gdy my umarli obudzimy się". A więc obudzimy się, więc duch nasz zwycięży ciemną zmorę, więc precz z rozpaczą! Na współczesny grunt smutków teraźniejszości, nieudolnych dą-

żeń i niejasnych przeczuć lepszej przyszłości rzuca tę książkę Ibsen i zwie ją „dramatycznym epilogiem“. Może za godzinę nasunie się nam i inne tłómaczenie tych słów, ale teraz wyjaśniamy je sobie tylko w jeden jedyny sposób. Wspaniały dom przykrywa się dachem, a mistrz-budowniczy mówi *feci* i — odchodzi. Ibsen daje tu ostatnie dzieło, daje je jako ostatnie, jako zakończenie, podpisanie całego swego autorskiego zawodu. Uprzytomniwszy sobie, czem jest Ibsen, czem zwłaszcza był kiedyś ten starzec, co w literaturze, w nas wszystkich jest jego — nie będziemy czytać tej książki z zwyczajnym spokojem. Jeżeli to jego „dramatyczny epilog“, to wyśpiewa on w nim najgłębsze uczucia swego serca, wypowie najtajniejsze myśli, poprowadzi bezpiecznie nad najbezdenniejszemi przepaściami, wywiedzie na najwyższe szczyty...

„Leży ukryta myśl we wszystkiem, co mówisz“.

„Czyż to moja wina? Każde słowo, które mówię, ktoś mi szepce do ucha“.

Mały ustęp z dramatu określa duchową postać Ibsena, który w księgi swe zaklął tyle „ukrytych myśli“, że ludzkiej zadumy nad niemi końca niema. Niech i tu nie spodziewa się nikt „wytłómaczenia wszystkich najdrobniejszych szczegółów utworu“. W tajniki duszy poety zaglądnąć można, ale marnym pyszałkiem jest ten, kto się chełpi, że je odgadnął.

Ostatnie dzieło Ibsena ma być „dramatycznym epilogiem“. Można je uważać za ostatni wyraz twórczości poetyckiej, można w niem widzieć i co innego. Zapomniawszy o tem, że Ibsen pisze od wielu lat i dziś jest starcem, patrząc tylko na jedno, najnowsze dzieło, widzi się łatwo, że t. zw. akcya, fabuła, ostatecznie w całości leży przed bramami dramatu, dokonała się, zanim się sztuka rozpoczęła. W tę stronę patrząc, nazwie się rzecz „dramatycznym epilogiem“, bo jest to jakby dokończenie, naturalne rozwiązanie konfliktów, zadzierzganych w jakimś innym, nieistniejącym dramacie. Ztąd przez całe dwa pierwsze akty mówi się ustawicznie o przeszłości, z nią się zapoznaje nietylko jako podstawą tego, co się teraz dzieje, lecz co więcej jako z przy-

czyną, początkiem teraźniejszości. Kogo to razi, niech sobie przypomni, że wielcy tragicy greccy często tak robili, że *Król Edyp*, przed którym dziś jeszcze czoła pochylamy, jest też „dramatycznym epilogiem“.

Rubek jest rzeźbiarzem. Pracuje nad wielką rzeźbą, która miała stać się jego arcydziełem, *Dzień zmartwychwstania* miała się nazywać. A to „zmartwychwstanie“ miało być wyobrażonem w obrazie młodej kobiety, budzącej się ze snu, kobieta ta zaś miała być ideałem kobiety, najczystszą, najszlachetniejszą. Wtedy Rubek poznał Irenę. Kim była, zkąd pochodziła, jak się oboje poznali—tego nam dramat nie mówi i tu panuje niejasność, tak częsta u Ibsena w drobnych, zewnętrznych szczegółach. Dość, że poszła chętnie za nim i było to dla nich „zmartwychwstaniem“ czasów młodości. Pozowała do posągu kobiety i bez cienia wachania oddała oczom artysty nagość swych wdzięków. A on ją modelował z innem uczuciem, niż inne, zwykłe modelki. Stała się mu świętem dziełem stworzenia, którego tylko w kornych myślach można dotykać. Choć młody, nie czuł wtedy ani odrobiny zmysłowego pożądania. Owszem, owładnął nim zabobon, że gdyby tej kobiety zmysłowo pożądał, gdyby się jej tylko dotknął, myśli jego utracą świętość i dzieła nie skończy, tęsknoty artysty nie zaspokoi. Dokonał dzieła, stworzył kobietę, pełną świętej radości, że po życiu ziemskiem znalazła się w wyższych sferach ta sama, niezmieniona. Wtedy ujął modelkę za rękę i uściskał. Irena dawno oczekiwała tej chwili. Ukazawszy mu się w przeczystej nagości, oddała mu się jako kobieta— ale on był tylko artystą, sztukmistrzem, nie człowiekiem, nie mężczyzną. Wziął jej całą duszę, wcielając ją w mokrą żywą glinę, a w zamian nie dał jej nic. I teraz, gdy dzieła dokonał, powiedział jej tylko te słowa: „Dziękuję ci z całego serca. Był to dla mnie błogosławiony epizod“. Epizod dla niego—dla niej coś nieskończenie większego, ważniejszego. Gdyby się był chciał jej dotknąć, byłaby go zasztyletowała, a jednak że się jej nie dotknął, że patrzał na nią tylko jako artysta, opuściła go, złamana. Ona mogła wydawać dzieci na świat, nie takie, które w grobach, to jest w muzeach się grzebie, ale żywe. On sprawił, że wydała tylko jedno dziecko, które kocha nad życie, kocha miłością

potężną, górującą nad wszystkiem innem. Tem dziełem ów posąg.

Lecz i tego dziecka nie uchronił los od nieszczęścia. Po odjeździe Ireny, Rubek, sam nie wiedząc czemu, zmienił się i jako człowiek i jako artysta. Minął młodociany wiek naiwności, ustąpił miejsca doświadczeniu, znajomości świata. Już artyście nie wystarczała jedna postać, pomysł *Zmartwychwstania* rozszerzył się, objął to wszystko, co artysta widział na świecie, całą sumę jego życiowego doświadczenia. Do podstawy, z której wznosiła się samotna kobieta, dodał rozpadlinę ziemną, a z tej czeluści wydobywały się na wierzch ludzkie postacie z twarzami zwierzęcemi, postacie, jakie w świecie widział. Pojęcie życia zmienione, realizm gorzki w swej prawdzie wymagał teraz usunięcia idealnej postaci nieco w tył, odjęcia jej rysom tego czaru świeżej naiwności, wstydliwości. Artysta przedstawił sam siebie także, jako symbol „żalu nad straconem życiem“: nad źródłem siedzi mężczyzna, któremu ciężar win nie dozwala wznieść się po nad powłokę ziemi. Chcialby ręce obmyć z ziemskiego brudu i pyłu i palce macza w źródle, ale wie, że się nie zdoła oczyścić i ból szarpie go, ból beznadziejny. Rzeźba miała ogromne powodzenie, wszyscy się nad nią unosili—tylko artysta milczał, a w duszy czul własną winę, szydził z głupich ludzi. I chcąc z nich szydzić dalej, stał się rzeźbiarzem modnym, miał setki zamówień na biusty mężczyzn i kobiet. Zebrał wielki majątek, zyskał sławę, chwalono „uderzające podobieństwo“ biustów, nie domyślając się złośliwego szyderstwa. Bo w tych popiersiach i za niemi było coś podejrzanego: czasami poczciwy grymas konia, lub głupia głowa osła, lub psia czaszka z długiemi uszyma, lub ryj spasionego wieprza, lub podobizna brutalnego wołu. I tak drwił z ludzi. Ożenił się. Jak? kiedy? czemu? znowu pytajniki -- bez odpowiedzi. Dość, że była to „ciężka godzina“, w której pojął za żonę Maję. I jej nie przyszło to łatwo. Rubek obiecał jej, że będzie z nią podróżował, że weźmie ją z sobą na wysoką górę i pokaże jej wszystką wspaniałość świata. Nie jej pierwszej to przyrzekł. Kiedyś mówił tak samo do Ireny.

Dziś jest mężem innej, a Irena opuściwszy go, złamana, nie znalazła już odtąd nigdy spokoju. W Teatrach Rozmaitości popisywała się swą pięknością, jako naga statua w żywych obrazach prostytuowała się publiczności, zbierając złoto, wprawiając mężczyzn w zmysłowy szał. Jeden z nich został jej mężem; był to jakiś Amerykanin, wysoki dyplomata; szalał za nią, a ją bawiło to zrazu, śmiałaby się serdecznie, gdyby... gdyby jeszcze miała serce. Dziś jej mąż spoczywa na cmentarzu: wyprzedzając ją, wpakował sobie kulę w czaszkę. Irena wyszła powtórnie za mąż, za Rosyanina, pana Satowa, bogacza, właściciela min złota na Uralu. Dzieci niema, pozabijała je wszystkie, jedno po drugiem, zanim jeszcze na świat przyszły. W kąpielach przebywa, chora, za szaloną uważana, strzeżona pilnie przez dyakonissę, która chodzi za nią z przerażającym uporem cienia ..

Z tej *Vorfabel* wynika jasno, że ogniskiem dramatu będzie Rubek. Jestto u Ibsena rzadki wypadek, aby osią sztuki, bohaterem — aby użyć trywialnego wyrażenia — był artysta. Co więcej, wolno twierdzić, że pomiędzy tym pomysłem a całą naturą poety zachodzi pewna sprzeczność. Ibsen zajmuje się najtajniejszemi zagadnieniami życiowemi, odsłania najskrytsze zakątki duszy ludzkiej, odkrywa z nieubłaganą konsekwencyą wszelki mniemany czy rzeczywisty fałsz życiowy. Takim będąc, musi za „bohaterów“ mieć ludzi *pur et simple,* nie zaś artystę, który jest jedynie pewnem *species* ludzkiego rodzaju; cechy gatunku ulegają w nim silnym zmianom pod wpływem znamion rodzajowych i indywidualnych. Jeżeli to ma być „dramatyczny epilog“, to zachodzi obawa, czy Ibsen zdoła tu pokazać przedewszystkiem człowieka, lub czy też zamiast człowieka, pokaże artystę. Pokazując człowieka, mógłby w tym dramacie skoncentrować całą swoją dotychczasową twórczość, dopowiedzieć to, co tam zostało niedomówionem; pokazując artystę tylko, mimowoli zacieśnia swój zakres, a jego dzieło będzie może arcydziełem samo w sobie, ale nigdy nie będzie ukoronowaniem działalności twórczej poety.

Zacieśnienie zakresu musi nastąpić zwłaszcza dlatego, że o ile główną osobą dramatu jest profesor Rubek, o tyle osnową zewnętrznej i wewnętrznej akcyi będzie niewątpli-

wie jego stosunek do Ireny. Jeżeli uczucie miłości, dokładniej mówiąc, stosunek obu płci w zasadniczej swej formie jest oczywiście wszędzie i u wszystkich ludzi jednakowym, to z drugiej strony ulega on jednak głębokim często modyfikacyom u ludzi, należących do różnych stanów, zawodów etc. Widocznem się więc staje, że i stosunek Rubeka do Ireny nie będzie typowo ludzkim, lecz że zawsze będzie stać na pierwszym planie artysta, nie człowiek.

I z tych dwóch przesłanek niepodobna nie wysnuć ważnego wniosku. Ibsen jest wielkim mistrzem, a nadewszystko umysłem, umiejącym subjektywnie rozróżniać prawdę od fałszu. Niepodobna, ażeby nie spostrzegł, że ograniczając się do sfery artystów, a z drugiej strony nazywając rzecz „dramatycznym epilogiem“, tworzy nie ukoronowanie poprzedniej twórczości, która płynęła korytem daleko szerszem, lecz dzieło odrębne, wypowiadające swoją własną oddzielną myśl, odrębną od dawniejszych.

Gdzie jej szukać? Z tem pytaniem trzeba się załatwić, bo bez niego nie możnaby dostatecznie zrozumieć dalszego ciągu dramatu, który, jak wiadomo, jest tylko naturalną konsekwencyą tej *Vorfabel*. A zresztą już w tem stadyum czytelnik sam jest może na tropie. Rubek miał modelkę, na niej wzorował grupę *Zmartwychwstania*. Tragedyą jego życia jest to, że na Irenę patrzał tylko jako artysta, nie jako człowiek. Ztąd poszło, że ona od niego uciekła, że on popadł w apatyę, sprzeniewierzył się sam sobie, ideałom sztuki, że znalazł powodzenie i złoto, ale nie spokój, nie zadowolenie wewnętrzne. Punktem wyjścia do próby wytłómaczenia tych symbolów będą te słowa Ireny: „Zabiłeś mnie, boś się mnie nie dotknął, ale ja byłabym cię zabiła, gdybyś się mnie był dotknął“. Jest więc sytuacya beznadziejna, bez możliwości pogodnego rozwiązania. Powtarzając co się poprzednio rzekło o zuchwalstwie krytyków, chełpiących się, że przeniknęli do gruntu zagadkę poety, ze wszystkich najbardziej zagadkowego, można przecież dążyć do wyjaśnienia, mającego subjektywne znaczenie i subjektywną prawdę. Rubek jest artystą, który przez Irenę wchodzi w związek z światem realnym, patrzy na niego tylko okiem artysty, nie uznaje w nim samoistnego życia, uważa go tylko za przejściowy,

chwilowy model, związek z nim jest dla niego tylko epizodem. Artysta nie chce uznać trwałości związku sztuki z życiem i — marnieje. Tragedya artysty w tem leży, że życie realne prze na niego, że on jego się dotknąć musi, a czy go się dotknie, czy nie, poniesie szkodę jako artysta. Pessymizm zupełny w zakresie pojęcia sztuki byłby jak dotąd przewodnią myślą najnowszego dramatu Ibsena, pessymizm tem większy, że w dalszym rozwoju akcyi Rubek, odtrąciwszy raz realne życie, ulega mu potem i wnet ginie. Kto życia realnego nie umiał spożytkować, zachowując mu przytem samoistny byt, ten potem będzie mimowoli niewolnikiem życia, a pozostanie mu tylko marna pociecha szyderstwa z siebie i ze świata. Niech nikt nie żąda od nas wytłómaczenia każdego drobiazgowego szczegółu; kto zna Ibsena, żądać tego pewnie nie będzie. Również nie tu jeszcze czas zajmować się postacią żony profesora, Mai.

Dramat bowiem rozwija się dalej. Rubek jest z żoną w kąpielowem miejscu i tu spotyka znowu po kilku latach Irenę, chodzącą jak w somnambulizmie z nieodłącznym swym cieniem, dyakonissą. Równocześnie wchodzi do sztuki nowa osoba, właściciel dóbr, Ulfheim, sławny w okolicy pogromca niedźwiedzi. Postać to przepyszna, a u Ibsena rzadkie zjawisko. Kiedyś Sudermann w jednej z najszczęśliwszych i najpłodniejszych chwil stworzył Röcknitza *(Das Glück im Winkel)*: mężczyzna tryskający życiem, jakąś brutalną energią. Ulfheim jest to tensam typ, ale możliwie jeszcze spotęgowany, tak, że nie wachamy się powiedzieć: staje on tuż u granicy, gdzie się zaczyna karykatura. Gdy mówi o swoich biednych, jedynych przyjaciołach, a myśli wtedy o psach do polowania, to wyznaję, że wolałbym tego miejsca i tego nieporozumienia u Ibsena nie widzieć. Ale po za tem, realizm nie wiele wydał tak wspaniałych kreacyj, a ta postać z krwi i mięśni wśród chorych działa tem potężniej. Następuje, co było łatwem do przewidzenia. Są naprzód długie rozmowy Rubeka z Ireną, Rubeka z Mają, ale, z ciasnego punktu widzenia teoretyka godne potępienia jako opowiadanie wypadków zaszłych przed odsłonięciem kurtyny, u Ibsena prowapzone w nieporównanym dyalogu, stały się tak typowemi dla niego, że bez tej indywidualnej techniki niepodobna go

sobie wyobrazić. A potem już działa tylko konieczność. Konieczność każe Mai i Ulfheimowi się zbliżyć, konieczność każe Rubekowi i Irenie spotkać się, mówić o przeszłości, aż z tych wymian uczuć i myśli wysnuje się rozwiązanie tragicznego kofliktu. Maja znajduje w Ulfheimie to, co jej obiecał Rubek i czego jej Rubek nie dotrzymał. Mąż przyrzekł jej zaprowadzić ją na wysokie szczyty i pokazać jej wszystkie wspaniałości świata — i nie zaprowadził i nie pokazał. Nie chce z nią iść w góry, ale chce iść na martwą, zaklętą wodę, którą Ulfheim nazywa w rubasznym swym języku „rynsztokiem“. Przypominam tu znaczenie, jakie u Ibsena ma martwota ciasnych wód; jak silnie z nią kontrastuje wspaniałość niebotycznych szczytów z widokiem daleko w świat. Czem jest Maja? Naturalnie naprzód osobą indywidualną, żywą. Ale zastanawia jej nazwisko. Jest Maja w indyjskiej mitologii, jest Maja u starożytnych Rzymian. Tam oznacza ułudę, ale zarazem i matkę świata, a połączenie tych dwóch sprzecznych pojęć tłómaczy charakter indyjskiej filozofii, która uważa świat w jego zewnętrznych zjawiskach za marną ułudę, cień. U Rzymian oznacza ona boginię natury, użyczającą wszystkiemu sił żywotnych; jej był poświęcony miesiąc Maj. Ibsen nadał żonie Rubeka imię Mai nie bez przyczyny, myślał wtedy o rzymskiej i indyjskiej Mai i stworzył realną kobietę, która jest zatwierdzeniem życia, jak Ulfheim jest stokroć energiczniejszą jego affirmacyą. Maja i Ulfheim — dwoje ludzi z żywym zmysłem życia łączy się.

A Rubek? Dla niego jest już za późno. Zabił w sobie ducha, a chociaż rwie się teraz do nowego życia, chociaż z martwych się budzi, już jest za późno. Bo Irena też już jest umarłą, umarłą z winy Rubeka. Starczy im tylko sił na jedną chwilę, okupioną ostatnim wysiłkiem, reakcyą ich duchowego organizmu. Idą oboje w góry. Rubek teraz już nie dąży do martwych wód, pcha go coś w góry, w szczyty. Idą oboje świadomi, że siły ducha zmarnowane wystarczą im na jedną jedyną chwilę, na uroczystość ślubną tam wysoko. I tu w górach spotykają się obie pary. Ulfheim dzielnie kroczy po najbardziej karkołomnych ścieżkach, podtrzymując Maję; Rubek już mniej pewnie prowadzi za rękę

Irenę wśród szalonej burzy i wycia wichrów. Nagle rozlega się głuchy łoskot spadającej lawiny i olbrzymia masa śniegu toczy się z szaloną, niczem nie powstrzymaną szybkością, w przepaść. Porywa z sobą Rubeka z Ireną. Podczas, gdy w powietrzu brzmi jeszcze tryumfalny okrzyk Mai:

Ich bin frei! Ich bin frei! Ich bin frei!
Der Gefangenschaft Zeit ist vorbei!
Ich bin frei wie ein Vogel! Bin frei!

w dole dwoje serc ludzkich przestaje bić na wieki. Dyakonissa nagle się ukazuje nad przepaścią, widzi straszne nieszczęście i znakiem krzyża błogosławi dwojgu ofiarom i mówi: *Pax vobiscum...*

Gwałtowną katastrofą kończy się „dramatyczny epilog“ Ibsena. Dokonywa się ona z pomocą elementarnych potęg natury i trzeźwemu rozumowi przedstawia się jako nieszczęśliwy przypadek. Przypadek zaś uważany jest przez teoretyków dramatu za niedopuszczalny środek rozwiązywania tragicznych kofliktów. Lecz kto nie jest zasuszonym okazem zbutwiałych doktrynerów, odczuje w katastrofie Ibsenowskiego dramatu nie przypadek, nie ślepe zrządzenie losu, lecz żelazną konsekwencyę, nieubłagany skutek poprzednich sytuacyj duchowych. Lawina, spadająca na dwoje ludzi i zagrzebująca ich na wieki, jest przypadkiem; ale ta lawina, która kładzie kres życiu Rubeka i Ireny, jest koniecznością, którą się przewidywało oddawna, której wymagał nawet sam chłodny rozum, której brak byłby właśnie nienaturalnym, wymuszonym. Nie będzie paradoksem, jeżeli się powie, że przypadek, ślepy traf byłby dopiero wtedy, gdyby nie była nastąpiła śmierć tych obojga ludzi, czy to przez zasypanie lawiną, czy w jakikolwiek inny sposób. Rubek i Irena żyć nie mogą, jak nie mogą żyć bohaterowie wszystkich najwspanialszych arcydzieł tragedyi. Jeżeli nie mogą żyć Edyp lub Antygona, Joanna d'Arc lub Götz, Hamlet lub Otello, to taksamo nie może żyć Rubek i Irena. Nerw życia jest podcięty.

„Pokój wam!“ To zakończenie, tak bardzo podobne do ostatnich słów Fausta, rzuca światło wstecz i na ten jeden

dramat i może na całą dotychczasową twórczość Ibsena, dziś według wszelkiego prawdopodobieństwa już zamkniętą. Jak odległą jest czarowna melodya tych słów od ponurego smutku dawniejszego pessymizmu! Fałszywie pojąwszy swój stosunek do świata zewnętrznego, Rubek ginie, ale w ostatniej chwili życiodajny promień światła oświeca mu duszę i Rubek nawiązuje nić z życiem realnem. Ginie razem z Ireną, ale ginie wspaniale, nietylko wśród łoskotu przerażającej lawiny, lecz co więcej, przy błogosławieństwie i pogodnych słowach: „pokój wam“. Sądzę, że mylnem byłoby mniemanie, jakoby Ibsen tutaj się nawracał, jakoby i on był na starość jednym z pisarzów t. zw. neochrystyanizmu. Tak z pewnością nie jest. A jednak nie mogę bez rozrzewnienia patrzeć na te słowa: „pokój wam“. Pokój wam, coście walczyli z życiem, może błędnie, ale mieliście chwile dobrej woli i wzniosłego lotu; pokój wam chociaż w mogile, gdyście go za życia nie zaznali. Pokój wam! Budzicie się z martwych, rwiecie się w górę, do światła, niestety za późno, lawina nędz waszej duszy już toczy się ku wam i po krótkiem przebudzeniu czeka was śmierć. Pokój wam! A może po was przyjdzie inne pokolenie, któremu nie dopiero przy śmierci zaśpiewa się: *pax...*

Nie sądzę całego Ibsena, nie badam, ile przyniósł dobrego, a ile złego, nawet i tego pytania teraz nie roztrząsam: czy Ibsen jest rzeczywiście tym głosicielem pessymizmu, za jakiego go dość powszechnie się uważa. Ale to pewna, że pięknie kończy ten poeta, którego ostatniem słowem jest błogosławieństwo pokoju. Ibsena ostatnie dzieło ma zakres formalnie ciaśniejszy, niż dawniejsze, a jednak przy końcu wspaniale wychodzi po za te szczupłe granice, ostatnie zaś jego słowo pokazuje poetę w świetle tak pięknem, jak żadne inne.

Dr. Józef Flach.

Kronika literacka.

— X. Dr. A. Jougan: *Constitutum Constantini.* Studyum historyczno-egzegetyczne. (Lwów, 1899, str. 258). — Podstawa, na której oparło się państwo kościelne i warunki, wśród których powstało, jest to przedmiot, zajmujący oddawna wielu historyków. Liczba dzieł poważnych i mniej poważnych, sprawie tej poświęconych, rośnie coraz bardziej. Nieprzyjaciele Kościoła chwytają się skwapliwie wszystkiego, co według ich zdania rzuca jakiś cień na czynniki, które spowodowały wzrost potęgi papieskiej i obdarzyły ją władzą świecką; badacze zaś wierzący wyświecają w każdym punkcie stan rzeczy prawdziwy. Jednym z dokumentów historycznych, uważanych za broń potężną w walce z papiestwem przez jego wrogów, jest t. zw. *Constitutum Constantini.* Ma to być akt uroczysty, którym cesarz Konstantyn Wielki przyznał papieżowi Sylwestrowi i jego następcom, jako też duchowieństwu rzymskiemu, liczne przywileje, a nadto darował Kościołowi Rzym wraz z całemi Włochami i wszystkie prowincye zachodnie. Niema dotąd zgody między historykami w kwestyi, kto był autorem tego dokumentu i kiedy go napisano; tyle tylko stwierdzono, że po raz pierwszy rozpowszechniono go w szerszych kołach za pośrednictwem zbioru t. zw. *Dekretałów Pseudo-Izydora* (powstałych w połowie IX wieku). Otóż od czasów Baroniusa, który uznał dokument ten za nieautentyczny, „zgodzono się powszechnie w kołach historyków — jak pisze zgodnie z prawdą X. A. Jougan (na str. 7) — na ten wynik, że wspomniany ten dokument jest falsyfikatem, pozbawionym rzetelnej wartości, nieudałym elaboratem nieznanego autora, bez jednolitej przewodniej myśli i raczej mięszaniną i zlepkiem przeróżnych drobnostkowych szczegółów i pretensyonalnych zachcianek, niż poważnym aktem dyplomatycznym i historycznym“. Dlatego też żaden papież nie uważał go nigdy za podstawę prawną państwa rzymskiego.

Studyum X. Dr. Jougana, świadczące o wielkiej pracowitości i o znajomości literatury, traktującej o *Constitutum*, jest

pierwszą u nas monografią, poświęconą temu dokumentowi. W rozdziale I-ym zajmuje się autor historyą i literaturą dokumentu, w II-gim rękopisami i przedrukami jego, w III cim tekstem najstarszym, w IV-ym treścią, planem i kompozycyą, w V-ym źródłami, z których czerpał autor dokumenta, w VI-ym podaje komentarz tekstu, w VII-ym mówi o stanowisku, jakie wobec *Constitutum* zajęli papieże, w VIII-ym zestawia swoje wyniki końcowe, a mianowicie dochodzi do rezultatów następujących: 1) że dokument ten uchodził aż do wieku XV za wiarogodny, to tłómaczy się ówczesnym brakiem krytyki historycznej i tradycyą o licznych darowiznach Konstantyna W. na rzecz Kościoła rzymskiego; 2) ukazał się on po raz pierwszy na widok publiczny we Frankonii za pośrednictwem *Dekretałów Pseudo-Izydora;* 3) kompozycyę jego trzeba uznać jako pochodzącą od tego samego autora, ale niema w nim jednej myśli, założonego z góry programu i kierunku; 4) treść jego jest ułożona systematycznie tylko w części I: druga część osnuta jest bez dobrego ładu przeważnie na tle legendy Sylwestrowej; 5) autor korzystał z wielu źródeł kościelnych i świeckich, znanych po koniec VIII wieku; 6) pisał on między r. 800 a r. 830; 7) autorem nie mógł być żaden z papieży, ani z księży, pracujących w kancelaryi papieskiej; prędzej można przypuścić z Grauert'em, iż należy go szukać w skryptoryum klasztoru św. Dyonizego (St. Denis); 8) co się tyczy tendencyi autora, nie miał on żadnych celów praktycznych, nie chciał szerzyć żadnych kłamstw tendencyjnych, ale raczej pragnął jedynie wywyższyć Kościół i władzę duchową papieża. *X. Dr. A. P.*

— Dr. Stanisław Kłobukowski: *Wspomnienia z podróży po Brazylii, Argentynie, Paragwaju, Patagonii i Ziemi Ognistej.* (Lwów, nakładem „Gazety Handlowo-Geograficznej", 1899, str. 192). — Wiek XIX wydał u nas dwie fale emigracyjne. Jedną wytworzyły wypadki polityczne, drugą nędza ekonomiczna. Pierwszą cechuje pewien zbytek intelligencyi, drugą zupełny niemal jej brak. Falę emigracyjną polityczną nazwać można także szlachecką, tę zaś, której matką nędza, ludową. Jedna była pewnego rodzaju cofaniem się przed ewentualnością ciężkiej pracy pokojowej, druga jest nawskróś przesiąknięta tym celem. Fala emigracyjna polityczna zamyka naszą dawną historyę, druga należy już do nowej i okazuje, że społeczeństwo polskie jest znowu w silnym kontakcie z Zachodem, od którego tak niebacznie się oddzieliło już w początkach wieku XVII; jest ona dowodem także, że kwestya poprawy bytu materyalnego, jak nad Tamizą, Renem lub Padem, tak i u nas jest najważniejszą sprawą narodową. W tej ludowej fali emigracyjnej odróżnić można znowu dwa prądy, skierowany do Ameryki północnej, przeważnie wyrobniczy, i brazylijski, rolniczy. Nie chcemy się zgoła bawić w proroka i mówić już z góry, jaki los czeka jedną lub drugą

emigracyę; to pewna jednak, że w Brazylii stanęliśmy silniej, niż gdzieindziej.

Wrażenia tego doznaje się także, czytając książkę Dra. S. Kłobukowskiego. Autor, wysłany w r. 1895 przez Towarzystwo św. Rafała z tysiącem emigrantów polskich do Brazylii, wywiązał się pomyślnie z tego przedsięwzięcia, zawiózł ich do Rio de Janeiro i otoczył pewnego rodzaju opieką, choć zdaniem naszem bardzo skromną. Z Rio de Janeiro udał się Dr. Kłobukowski do stanów Parany, St. Catharina i Rio Grande do Sul, wszędzie przyjmowany przez rodaków z chęcią i zapałem, przez obcych z poważaniem i szacunkiem, niekiedy jako *un delegado di regno da Polonia*. Występował on tam jako delegat Polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego we Lwowie i nie wątpimy, iż musiał niejedną rzecz pomyślnie załatwić. Lud polski mieszka w Paranie gromadnie w t. zw. „ulicach“, nieraz milami długich, na stosunkowo znacznych działkach, około 1 kilometr wzdłuż a $^1/_4$ klmtra. wszerz mierzących. Rychło przychodzi nasz chłop do względnej zamożności, trudny jednak jest bardzo zbyt płodów surowych, z powodu lichej komunikacyi. Ztąd brak pieniędzy i niemożność zaopatrzenia się w wyroby przemysłu fabrycznego Ma co jeść i pić, ale niema w co się ubrać. Ludności polskiej w tych trzech stanach południowo-brazylijskich, które z powodu wysokiego położenia należy zaliczyć do okolic o klimacie ciepłym umiarkowanym, mamy zwyż 100 000 głów, z tego w samej Paranie mieszka 75.000. Twierdzą tak nawet Niemcy, kolonizacyi naszej niechętni (*Colonial Zeitung*, Nr. 1 z r. 1899). W stanie Parana, trzy razy większym od Galicyi, jesteśmy obecnie żywiołem liczebnie najsilniejszym, nie bez znaczenia również w dwóch innych, leżących na południe od Parany, St. Catharina i Rio Grande do Sul. Cóż jednak, kiedy i tam trapi nas ta sama słabość słowiańska, co i w Europie; jesteśmy indolentnymi i zanadto potulnymi. Niezbyt przytem zgodni, niechętnie imający się handlu i przemysłu, wiele mówiący i śpiewający o patryotyzmie, a stosunkowo mało czynami o nim świadczący, zażywamy mniejszego poważania u obcych, niż n. p. sąsiadujący z koloniami polskiemi Niemcy, a nawet Włosi. Zachował jednak i tam lud polski tę znakomitą zaletę, jaką jest przywiązanie jego do roli, choćby brazylijskiej. Włościanin polski, zdobywszy kawał ziemi, nierad z nim się rozstaje. Jestto objaw niezmiernie pocieszający i pozwalający spokojniej spoglądać na przyszłość tej wyspy etnicznej polskiej, która z natury rzeczy musi być narażoną na ciągłe podmywanie ze strony żywiołu portugalsko-brazylijskiego. Wyższe duchowieństwo brazylijskie nie tai się niemal wcale ze swojemi dążnościami „assymilacyjnemi“; tem mniej ma przyczyn kryć się z niemi rząd, któremu bardzo zależy na tem, aby żywioł polski co rychlej jako taki przestał istnieć i aby wchło-

nięty został przez brazylijski. Słabe zaludnienie może dodawać otuchy, że dobrobyt ludności rychło się wzmoże, ale mieści w sobie i to niebezpieczeństwo, że pewnego pięknego poranku rząd w Rio de Janeiro rozpocznie systematyczne dzielenie smug, gdzie osiadła ludność polska, za pomocą kolonij portugalsko-brazylijskich. Korzystać zatem należy z czasu i wyzyskując ostrożnie i konsekwentnie nasze obecne położenie, starać się ile możności żywioł polski wzmocnić, jużto przez dostarczenie mu osób o wyższej intelligencyi i poglądzie na świat, jużto przez zakładanie szkół polskich, wreszcie przez zasilenie tamtejszego nielicznego duchowieństwa polskiego ile możności czynnikami patryotycznemi i owianemi duchem poświęcenia. Niema chyba zakątka ziemi polskiej, gdzieby rola duchownego była wdzięczniejszą i śmiało rzec można świetniejszą, jak wśród młodego społeczeństwa polskiego w Brazylii. Ludność wprost ubóstwia oddanych jej przewodników duchownych.

Oto najważniejsze wnioski, jakie wyciągnąć można z pracy Dr. Kłobukowskiego. Trzeba je jednak „ciągnąć“ co się zowie „za włosy“, bo inaczej po zamknięciu *Wspomnień* możnaby wszystko, co się przeczytało, zapomnieć. Ten brak zupełny ogólnych konkluzyj i planu w pisaniu jest czemś bardzo dziwnem, chyba..... że zamiarem Dr. Kłobukowskiego było napisanie rzeczy w kierunku secessyonistycznym, pogardzającym tak stanowczo wszelką linią symetryi. Co gorsza, ta pogarda ładu i porządku objawia się także w częstem lekceważeniu formy i stylu, oraz gramatyki, szczególnie zaś ortografii. Rzecz cała robi wrażenie, jakby autor zapatrzył się na starego Dumasa i nie czytając zgoła raz napisanego manuskryptu, oddał go do druku. „Gdzie konie kują, tam i żaba nadstawia nogę“. Drukarz, widząc mało starannego autora, zapomniał kompletnie o instytucyi korrekty i wyszła rzecz w swoim rodzaju jedyna. Jak literatura polska istnieje, pod firmą doktorską chyba nigdy jeszcze nie wydano czegoś podobnego, rzeczy tak słabej stylistycznie i gramatycznie. Rubryka „omyłki druku“, choć stosownie do rozmiarów książki (str. 192) bardzo wielka, jest zaledwie kroplą w morzu wobec tej masy błędów, która nieraz wprost utrudnia czytanie.

Innym brakiem książki jest niezałączenie do niej żadnej mapy, bodaj szkicu jakiegoś. Wprost nie pojmujemy itinerarium bez mapy; dopiero przez nią może mieć ono jakąś wartość. Trudnością sporządzenia jej nie sposób się tłómaczyć, boć przecież istnieje już kilka map polskich, odnoszących się do kolonij naszych w Brazylii, a i niemieckie i brazylijskie też są nierzadkie.

Trzecim grzechem niemałym książki Dr. Kłobukowskiego nazwać trzeba lekceważenie bliższej znajomości ze statystyką, choćby nawet tak niedokładną, jak brazylijska. Pilnie wylicza

autor tylko ilość rodzin w pojedynczych miejscowościach i „ulicach“. Dzięki i za to, ale przydałoby się stanowczo liczb nieco więcej. Czytelnik nie może sobie zgoła wyrobić żadnego sądu o stanowisku handlowem takiego n. p. stanu Parana, wobec sąsiednich i innych brazylijskich, nie może nabrać żadnego poglądu na rozwój naszego tam osiedlenia.

Książka, którą oceniamy, jest pierwszym, choć dla siebie zamkniętym tomem pracy obszerniejszej. Nie wątpimy, że autor, wydając część drugą, uniknie tych błędów, któreśmy podnieśli i da nam rzecz, godniejszą swego imienia i tytułu, rzecz, która będzie mogła wytrzymać porównanie z innemi naszemi opisami podróży.

Kończąc tę niezbyt może pochlebną ocenę, musimy wyraźnie zaznaczyć, że mówiliśmy tylko o wartości dzieła, nie poddając zgoła w wątpliwość doniosłości samej podróży. Naszem zdaniem Dr. Kłobukowski, który rzetelnie i pracowicie przeszedł olbrzymią przestrzeń kraju, szukając i pokrzepiając na duchu siedzących na odludziu rodaków, więcej bez porównania zdziałał, niż n. p. głośny ze swojej wycieczki do Ameryki północnej prof. Dr. Emil Habdank-Dunikowski, którego rzecz *Od Atlantyku do Gór Skalistych* przed sześciu laty mieliśmy sposobność w *Przeglądzie Polskim* omawiać. Dr. Kłobukowski nie podróżował wygodnie wozem pullmannowskim, nie informował się o stosunkach polskich po kawiarniach i „saloonach“, lecz nieraz z narażeniem własnego życia starał się wszystko zobaczyć na miejscu i bez szukania opinii „najmądrzejszego pana we Lwowie“ gruntownie zbadać. Nie urodził się wielkim pisarzem, to pewna, ale z pewnością i nie poszukiwaczem taniej sławy.

St. Srokowski.

— *Aus meiner Jugend.* Erinnerungen von Rudolf von Gottschall. (Berlin. Verlag von Gebrüder Paetel. Elwin Paetel, 1898).—Do niedawna Niemcy słusznie narzekali, że braknie im literatury pamiętnikowej, tak świetnie od kilku wieków rozwijającej się w sąsiedniej Francyi. Skarga ta, usprawiedliwiona faktycznym stanem rzeczy przed kilku jeszcze laty, dziś już stała się bezprzedmiotową i rzeczywiście zamilkła. Od pewnego czasu pojawiają się coraz częściej w Niemczech autobiograficzne zapiski, wspomnienia; piszą je ludzie wybitniejsi, bez różnicy zajęcia i zawodu, tak poeta, jak i mąż stanu lub wojownik. Niemiec się z tego sprawiedliwie cieszy, Polak trochę zazdrości, bo u nas tej literatury było w przeszłości nie wiele, a dzisiaj nie ma zupełnie. A szkoda, bo w takich autobiograficznych zapiskach może być prawdziwa kopalnia drobnych, anegdotycznych a przecież tak ważnych szczegółów i ogólnych szkiców współczesnego

autorowi życia politycznego, literackiego, artystycznego, towarzyskiego.

Taką wartość posiada n. p. duży tom Teodora Fontane *Zwanzig Jahre*, o którym w właściwym czasie była na tem miejscu mowa. Rudolfa von Gottschall *Wspomnienia z młodości* znaczenia tego może w tym stopniu nie posiadają, już z powodu znacznej różnicy pomiędzy literackiem stanowiskiem i wartością obu autorów. Fontane cieszył się wielkiem uznaniem w tem właśnie, co było jego literackim charakterem, jego passyą poetycką: w młodzieńczych balladach i w powieściach dojrzałego wieku. P. Rudolf Gottschall, urodzony r 1823, otrzymał z rąk cesarza niemieckiego dyplom szlachectwa, a i z innych stron wiele honorów, lecz poważany prawie przez wszystkich, jest u bardzo nie wielu popularnym. W życiu doznał nie mało zawodów, przedewszystkiem na tem polu, które zdawna szczególnie go nęciło: na polu dramatu. Zarzucano mu brak nerwu dramatycznego, nazywano go epigonem jambicznej tragedyi, a jakiś dowcipniś ułożył nawet tem śmieszniejszy, że niezgrabny epigram:

Gottschall
ein Wortschwall
in der Poesie,
mehr nie!

Czytając ten najnowszy tom, widzi się skutki tej niepopularności. P. Gottschall zarozumialcem nie jest, a jednak lubi o sobie mówić, lubi mówić zwłaszcza o tych swoich duchowych dzieciach, które sam ukochał nad wszystkie inne, chociaż świat się na nich nie poznał. Szeroko więc rozwodzi się nad swemi dramatami, nad *Robespierrem*, *Ulrichem von Hutten*, *Niewidomą z Alcary*, *Snitgerem*, *Schillem* i wieloma innemi i z widocznem zadowoleniem wyszukuje, gdzie tylko może, a czasem nawet i po za tem jeszcze, dowodów, że te sztuki, kiedyś niewdzięcznie przyjęte, dziś powinny znaleźć wiele uznania, bo są podobne nastrojem do współczesnej nam literatury. Obszerne te ustępy, ciekawe dla germanisty, w polskiem piśmie muszą być pominięte, jak również i wiele innych, zajmujących się drobniejszemi postaciami niemieckiego życia politycznego, kulturalnego i towaskiego. Ztąd sprawozdanie o książce p. Gottschalla nie może odsłonić i okazać należycie całej obfitości tych wspomnień, pisanych zapewne bez głębokiej wytrawności i delikatnej ironii zmarłego dziś już Teodora Fontane'a, ale z niemniej sympatyczną szczerością i prostotą.

Pominąć można czasy dzieciństwa, w którem wcześnie budzi się w chłopcu żyłka poetycka. Wszak kilkanaście lat licząc, pisze już dramaty, między niemi jeden, osnuty na tle walk Zakonu krzyżackiego z pogańskimi Prusakami. Jak tutaj poeta zosta-

wał pod wpływem Zacharyasza Wernera, tak wiele zajmującego miejsca w historyi niemieckiej *Polendichtung*, tak i w pierwszym większym zbiorze lirycznych wierszy: *Lieder der Gegenwart*, „Polakom, równie jak i Żydom“ są poświęcone rzewne elegie, z sentymentalnej duszy liberała wypływające. Poeta dostaje się na indeks policyjny i dużo ma kłopotu z władzami uniwersyteckiemi, ale za to poznaje bliżej wielu ludzi, w przyszłości głośnych. Z tych charakterystyk, przeważnie udatnych, zajmuje na początku sylwetka Ferdynanda Lassalle'a. Gottschall przedstawia go, jako człowieka wykształconego (oczytanego n. p. doskonale w Heglu), ale jeszcze bardziej sprytnego. Uważa za ironię losu, że ten człowiek o naturze wyraźnie arystokratycznej, o arystokratycznych popędach, miał kiedyś zostać bożyszczem robotniczego proletaryatu. Dopomogły mu w tem dwa szczęśliwe dary, „żelazne czoło i wiara w własną nieomylność“; tem właśnie imponował, tak jednostkom, jak i massom. Żądza zaś rozgłosu przerobiła statystę i uczonego w agitatora, pozostawiając nienaruszony zapęd i charakter awanturnika. Podczas berlińskiego pobytu, zrazu uniwersyteckiego, a później wojskowego, jako jednoroczny ochotnik, Gottschall zetknął się z dr. Kasprem Schmidtem, głośnym pod przybranem nazwiskiem Maksa Stirnera. Ustęp ten należy do najciekawszych w książce, bo przecież jesteśmy świadkami, jak doktryna Stirnera, podana w dziele *Der Einzige und sein Eigenthum*, zbliżona do Nietzsche'go teoryi *Uebermenscha*, jest przez pewne grono „modernistów“ ubóstwiana i za księgę zbawienia uważana (por. krakowskie *Życie* za r. 1899). Dr. Schmidt był nauczycielem w prywatnych zakładach wychowawczych w Berlinie i zwracał na siebie wielką uwagę przedewszystkiem, jako mąż swojej żony: pani ta bowiem hołdowała radykalnej emancypacyi kobiecej, piła i paliła papierosy zawzięcie w publicznych knajpach, a w rozmowie spokojnie słuchała największych cynizmów. Oboje ulokowali swe kapitały w dość niezwykły sposób: zakupili kozy i sprzedawali ich mleko. Wspomniana książka Stirnera jest w przeciwieństwie do aforystycznych zdań Nietzschego zbudowana systematycznie i zrazu miała wiele powodzenia, potem była zapomniana, aż dopiero za naszych dni wydobyto ją z pod bibliotecznego pyłu. Z emancypacyą kobiet młody Gottschall zapoznał się i w domu Bettiny von Arnim, sławnego w niemieckiej literaturze „dziecka“, z którem Goethe korespondował. Bettina była wtedy już staruszką, pełniącą dzieło Samarytanina, ale w jej domu przebywała głośna wówczas Louisa Aston, przewódczyni ówczesnego ruchu emancypacyjnego kobiet, dziś już tylko w jego historyi wspominana. Co prawda ówczesne emancypacyjne dążności kobiece szły w odmiennym, niż obecnie, kierunku; o wywalczeniu politycznego i ekonomicznego „równouprawnienia“ nie było jeszcze wtedy mowy; czasy były jeszcze za mało praktyczne. Ówczesne

kobiety walczyły przedewszystkiem przeciwko małżeństwom z przymusu, a za swobodą serca i namiętności. Pani George Sand była ich przewodnią gwiazdą, za nią poszedł i Gottschall w lirycznych wierszach, nie bacząc na to, że profesorowie uniwersytetu srodze gniewali się na ich niemoralność i nieprzyzwoitość.

Wypadki r. 1848, tak treściwie a świetnie anegdotycznym sposobem u Fontane'a przedstawione, tu nie występują z należytą wyrazistością, zapewne dlatego, że Gottschall wziął w nich bardzo mały udział, a zajęty swojemi osobistemi sprawami, mniej miał dla nich ciekawości. Wtedy bowiem objął posadę dramaturga w teatrze w Królewcu. Kilka kartek, zapisanych wspomnieniami z tych lat i stosunków, tętni życiem i świadczy o wrodzonej miłości teatru. Lutową rewolucyę powitał dytyrambami, które przed kilku laty cytował z wyraźnym złośliwym zamiarem Bebel w niemieckim parlamencie; w dalszym rozwoju spraw poczyna nad zapałem dla wolności górować pragnienie patryotyczne, zjednoczenie Niemiec. Gottschall jest świadkiem, jak Królewiec wybiera posłem Simsona, w przyszłości tak wybitnego prezesa parlamentu frankfurckiego i północno-niemieckiego sejmu, Simsona, ofiarującego w r. 1848 koronę cesarską Fryderykowi Wilhelmowi IV, bezskutecznie, w r. 1871 Wilhelmowi I, już ze skutkiem...

Przenosi się do Berlina i tu widzi często w sejmie Ottona v. Bismarck. Przyszły „żelazny kanclerz“ jest teraz pracowitym agitatorem politycznym, autorem gwałtownych broszur przeciw rewolucyonistycznym zachciankom. A jednak konserwatywni nudzą go ospałością i wygodnym spokojem: gdy się chce rozruszać, idzie do stołu liberalnych i tu przy szklannicy żwawo dysputuje. Swoją drogą pisze się dramaty i czeka się często z rozczulającą cierpliwością na ich wystawienie. I tak w Teatrze Thalii mają grać *Marsyliankę*, z poetą Rouget de Lisle, autorem hymnu, jako bohaterem. Ma nim być młody Polak, Bogumił Dawison. Choć żydowskiego pochodzenia, wyraźny typ fizyognomii Słowianina, z sarkastycznym uśmiechem na ustach, a silnym blaskiem małych oczu, Dawison robił wrażenie człowieka wielkiej energii i rzutkości umysłu i czynu. Jako Rouget de Lisle miał ogromne powodzenie. W Berlinie Gottschall zapoznaje się bliżej z tak wybitnemi w niemieckiem życiu kulturalnem osobistościami, jak Varnhagen von Ense, Aleksander Humboldt, ks. Pückler-Muskan, wnet zaczyna się wtedy ta ważna w życiu już nie autora, ale człowieka epoka, która od narzeczeństwa prowadzi do ołtarza i dozgonnego związku.

Nas więcej zajmuje jednak przedślubna podróż do Paryża, przedsięwzięta za honoraryum za... poemat filozoficzny (!) *Die Göttin der Vernunft*. Dobroczyńcą był hamburski księgarz Henryk Campe, nakładca Heine'go, dla którego Gottschall dostał od niego pierwszy egzemplarz *Romanzera*. A więc w Paryżu: rue

d'Amsterdam, przez podwórze do oficyn, po schodach na drugie piętro i jest przed drzwiami mieszkania Henryka Heinego. Za parawanem poeta chory na łóżku, blady, z oczami na pół zamkniętemi, tak niedołężny, że musiał palcami pomagać powiekom podnosić się. Gottschall podaje mu tomik *Romanzero*, Heine jest ucieszony, ale za chwilę czuje tem silniej ból, te straszne cierpienia, które mu odbierają sen w nocy; wyśpiewał te skargi w *Romanzero*, ale z ust poety wzruszają one bardziej. Ani „grubej Matyldy", ani uroczej Mouchel, ostatniej pociechy poety, Gottschall wtedy nie widział. Odwiedzał chorego kilka razy i często długie z nim prowadził rozmowy. Heine rzucał się na Gutzkowa, uwielbiał wielkiego Napoleona, gardził przyszłym Napoleonem III, a choć schorzały, miał chwile świetnego humoru i zjadliwego dowcipu. Gdy raz jakiś towarzysz Gottschalla w obecności Heinego zauważył, że Meyerbeer ma *zwei Stile, den deutschen und den italienischen*, Heine odrzekł: *Ja, zwei Stühle, aber er kann auf keinem sitzen.* Wiktor Hugo wydał się Gottschallowi, jakby potężnym władcą, otoczonym dworem wielbicieli. W salonie poety dysputowano z wielką stanowczością, ale z mniejszą przenikliwością. Wiktor Hugo grzebał w węglach kominka i odsądzał Ludwika Napoleona od wszelkiej przyszłości, za kilka dni zaś Wiktor Hugo szedł na wygnanie, a książę był panem Francyi.

W listopadzie r. 1851 Gottschall opuścił Paryż. Niebawem odbył się jego ślub, ostatnie zdarzenie opisane w tej książce.

Dr. J. Flach.

— *Am Ende des Jahrhunderts (1895 — 1899). Der Modernen Oper* VIII Theil. Musikalische Kritiken und Schilderungen, von Eduard Hanslick. Zweite Auflage. (Berlin, Allgemeiner Verein für Deutsche Litteratur, 1899, w 8-ce, str. VI i 452).— Suche wyliczenie tytułów kilkunastu książek, zawierających zbiór krytyk muzycznych Edwarda Hanslicka, nie da pojęcia ani o bogactwie ich treści, ani też o nieustannej, wytrwałej, przeszło półwiekowej pracy, której są rezultatem. Począwszy od walk romantyków z przestarzałymi rutynistami i z wszechmożną wówczas inwazyą *rossinistów*, aż po niemniej wszechmożną i niemniej szkodliwą inwazyę powagnerowskich modernistów, wszystkie najważniejsze i najwybitniejsze zdarzenia i zjawiska w życiu muzycznem Europy przesuwają się na kartach książek Hanslicka jedno po drugiem. A Hanslick zawsze stoi na jednem i tem samem stanowisku, zawsze ten sam, zawsze entuzyastyczny wielbiciel klassyków i romantyków i idących w ich ślady młodszych, zawsze sceptyk wobec wielkich haseł i *Schlagwortów* proroka z Beyreuthu, zawsze zacięty i bezwzględny przeciwnik „fałszywych Bogów" w postaci Wagnera z ostatniej epoki twórczości i powagnerowskich *Zukunftsmusikerów*. Lecz zasadą jego jest zawsze: *Ehre dem Ehre gebührt;* uznaje piękno tam, gdzie ono

się znajduje faktycznie, choćby i u najzaciętszego przeciwnika, ale bezlitośnie biczuje to, z czem się zgodzić nie może i co mu się nie podoba. Krytyki jego, będąc na pozór tylko kroniką życia muzycznego naddunajskiej stolicy, są jakby zbiorem zdjęć momentalnych, wykonanych na aparacie ogromnie czułym, chwytającym wszystkie rysy, światła i cienie, cechy dodatnie i ujemne przedmiotu, a to wykonanych przez artystę, który z niezwykłym talentem łączy niepospolitą umiejętność techniczną. Hanslick zna swój przedmiot tak, jak mało kto przed nim i po nim. Mając wielki talent i wrodzoną wielką muzykalność, opanował *à fond* teoryę muzyki we wszystkich jej działach, a na tej podstawie dopiero powstała jego gruntowna, niesłychanie rozległa znajomość twórczości muzycznej wszech czasów, *oczytanie* i *osłuchanie* w dziełach nietylko pierwszorzędnych mistrzów, ale i drugo- i trzeciorzędnych i tych, o których ogół wie tylko z nazwiska, albo nie wie nic wcale. Z tem wiąże się nierozdzielnie znajomość gruntowna dziejów muzyki, pojęcie jasne ewolucyi tej sztuki, dróg, któremi szła, i celów, do których dążyła. *Oczytanie* (muzyczne) rozwinęło ogromnie wrodzony zmysł krytyczny, wyrobiło go drogą porównań i zestawień, dając grunt pewny i stały dla zbudowania we wszystkich szczegółach wykończonego systemu, kanonu estetycznego, od którego nie odstępował na krok jeden. Ztąd zarzut konserwatyzmu, zaskorupienia się, wstecznictwa, zarzut, miotany przeciw Hanslickowi zbyt często przez ultraradykalne żywioły w sztuce, a zarzut wyjątkowo chyba uzasadniony w drobiazgach bez znaczenia.

Drugi zarzut podnoszony przeciw Hanslickowi zbyt często, aby go można pominąć, to zarzut... płytkości, powierzchowności w sądach. Słowo „powierzchowność“, „płytkość“, stało się zwykłym epitetem, rzucanym przez pozujących na zapoznane geniusze najmłodszych reformatorów i to nietylko w dziedzinie muzyki, ale i w dziedzinie sztuk innych. Nie wiemy, czy istniał krytyk, pełniący swe obowiązki z większą sumiennością, niż Hanslick. Przed każdem przedstawieniem operowem—nietylko przed premierą rzeczy, której nie znał, ale i przed wznowieniem rzeczy starszej — sumiennie od deski do deski studyował całą partyturę, uczył się jej prawie na pamięć. Po przedstawieniu, przed napisaniem recenzyi, znów powtarzał całą partyturę i na tej podstawie dopiero wyrabiał sobie zdanie, od którego jednak już nie odstępował. Tak samo było i przed każdym koncertem. Czy wielu jest krytyków tak sumiennych, tak poważnie pojmujących swe obowiązki? Że był surowym sędzią, to prawda, czasem nawet zbyt surowym. Ale on słyszał tak wiele i tak dobrze wykonanych rzeczy, iż trudno, by się byle czem zachwycał i entuzyazmował, a zresztą bez porównania większą zasługę ma krytyk surowy i bezwzględny, niż zbyt pobłażliwy i łagodny. Jest jedna rzecz imponująca u Hanslicka, prócz jego fenomenalnej

wprost znajomości całej prawie literatury muzycznej i niemniej fenomenalnej wytrwałości w pracy, aż do tak późnego wieku, a to nadzwyczajna kultura umysłowa, ogólne, wszechstronne wykształcenie, wzrastające z każdym rokiem bez przerwy. Jako stylista, ma on lekkość i dowcip, humor, często wcale nie niemiecki; jest zawsze jasny i przejrzysty, wypowiada swe poglądy wyraźnie i zrozumiale, nie kryjąc ich pod zasłoną nawału frazesów zagmatwanych i ciemnych. I to może znów jedna z przyczyn zarzutu „płytkości“, bo te najnowsze szkoły reformatorów sztuki widzą w niezrozumiałości i zagmatwaniu „głębokość“ i „genialność“...

Głównym jednak powodem nieprzyjaznego usposobienia „najmłodszych“ wobec Hanslicka, jest jego stanowisko wobec Wagnera i wobec epigonów twórcy *Parsifala*. Nie szczędzi on im słów prawdy, wojuje z nimi wytrwale, a zdania swego nie obwija nigdy w bawełnę, nie ocukrza zbyt gorzkich pigułek. Jak wybornie charakteryzuje Hanslick najnowszą szkołę kompozytorów operowych, gdy mówi, „iż budować dalej na gruncie przygotowanym przez Wagnera, to jest niebezpieczne dla życia *(lebensgefährlich)*, ale nie tak bardzo trudne. Trzeba tylko świetnej techniki, wielkiego talentu naśladowczego i braku swych własnych pomysłów. Kompozytorowie najnowszych dramatów muzycznych, to ludzie o wielkiem wykształceniu i dowcipie, wirtuozowie w dyrygowaniu, artyści w instrumentacyi, zręczni kontrapunktycy, a jako twórcy melodyi — bezpłodni *(melodisch impotent)*“. A dalej wypowiada tę głęboką prawdę, o której dziś się już zaczyna zapominać, iż „muzyka, pozbawiona praw formy i symetryi, egzystować nie może, jeśli się niema stać litylko patologicznem drażnieniem nerwów“. Pyszna jest charakterystyka tej najmodniejszej muzyki w słowach: *Eine Musik, die nicht Musik sein will, sondern nur „Ausdruck“, glaubt jedes gesungene Wort im Orchester mit einem entsprechenden Farbenklecks interpretieren zu müssen. Zusammen geben aber diese Farbenkleckse kein Bild.* I trudno jest nie zgodzić się z Hanslickiem, gdy mówiąc o Leoncavallu i jego *Bohème*, lapidarnie charakteryzuje tę szkołę w słowach: „Wiele techniki orkiestralnej, wiele scenicznego sprytu, dosyć dowcipu, lecz brak zupełny siły twórczej, brak indywidualności, brak zmysłu piękna“.

Niemniej stanowczo zwalcza Hanslick także najnowszą muzykę orkiestralną, której koryfeusze, przenosząc w zakres symfonii recepty wagnerowskie, wprowadzają tam niemniejszy chaos i niemniejsze zbałamucenie pojęć, niż na scenę, do opery. Dosyć ostro załatwia się z Ryszardem Straussem, z jego symfonicznemi utworami: *Till Eulenspiegels lustige Streiche* i *Also sprach Zarathustra*. O pierwszym z nich powiada: *Es ist verschwenderisch in Klangeffecten, pikant in seinen überraschenden Kontrasten, voll contrapunktischer Kunststückchen, origineller Rhythmen und*

witziger Modulationen; alles furchtbar geistreich und wahnsinnig schön. Uznając nadzwyczajną technikę orkiestralną tych „najmłodszych“, zarzuca im — i to z całą słusznością — niesłychane ubóstwo melodyi, gonienie za efektami i silenie się na oddanie w tonach tego, czego tony wypowiedzieć nie są w stanie. Bezlitośnej odprawy doznał symfoniczny poemat (??) Ryszarda Straussa: *Also sprach Zarathustra*, napisany — jak zapowiada sam kompozytor — *frei nach Nietzsche*, mający być muzyczną illustracyą tysiącznych aforyzmów, zawartych w jednako zatytułowanej książce głośnego twórcy teoryi o „nadczłowieku“. Symfonia Straussa, to najcharakterystyczniejszy objaw, najcharakterystyczniejszy dowód bezsensowności tego prądu, który muzyką wyrazić chce wszystko, najbardziej nawet nieuchwytne dla tej sztuki pojęcia i obrazy. Dobrze też zauważa Hanslick: *Zarathustra sprach keine Fagottscalen oder Klarinett-Triller.* Szalony pomysł przybierania w formę muzyczną systemów filozoficznych, teoryj metafizycznych i t. p., doprowadzić nas jeszcze może daleko; kto wie, czy wkrótce nie pojawi się na programach koncertowych symfonia: *System ekonomiczny Marxa*, lub oratoryum: *Teorya społeczna p. Daszyńskiego...* Jestto jednak z drugiej strony dowód najlepszy, iż te nowe prądy w muzyce dochodzą już swego stopnia kulminacyjnego i wkrótce zdaje się znikną bez śladu. O *Zarathustrze* Straussa świat zapomni rychło, a *Eroica* Beethovena lub symfonia *G moll* Mozarta zachwycać go będą zawsze.

Każdy tom pism Hanslicka zawiera, prócz recenzyj i sprawozdań, garść czy to osobistych wspomnień autora, czy to nieznanych dotąd szczegółów z życia wielkich mistrzów ostatnich czasów. W ostatnim tomie, o którym tu mowa, znajduje się kilkanaście niezwykle ciekawych listów Roberta Schumanna, pisanych przez nieszczęśliwego twórcę przecudnych pieśni w zakładzie dla obłąkanych. Stanowią one jakby uzupełnienie wybornego szkicu o Schumannie, pióra p. Anny z Mycielskich Lisickiej, umieszczonego w swoim czasie w *Przeglądzie Polskim*. Wynika z nich, iż Schumann umieszczony został w zakładzie zdrowia w Endenich na własne żądanie. Choroba jego nie była tak straszną, jak sobie wyobrażano dotąd; nie objawiała się w formie strasznych wybuchów szału lub egzaltacyi, ani też w formie zupełnie apatycznego przytępienia funkcyj mózgowych. Było to raczej wyczerpanie, pełne smutku i melancholii zmęczenie, które od czasu do czasu — ale dosyć rzadko — przechodziło w krótkie chwile aberracyj myślowych. Wzruszające są, pełne głębokiej miłości listy do żony, pisane w tych ostatnich dwóch latach życia, mnóstwo w nich wspomnień z minionych lat i chwil szczęścia, ciągłe wzmianki o dzieciach, zapytania o znajomych, przyjaciół i t. d., uwagi o kompozycyach, wydanych i niewydanych. Ani jednej prawie alluzyi do obecnego stanu, chyba ta jedna, nie-

słychanie przejmująca: *Sonst ist mein Leben nicht so bewegt als früher. Wie war das sonst ganz anders!* Prócz listów Schumanna do żony, Hanslick ogłasza tu również listy jego do obu najszczerszych przyjaciół: sławnego Brahmsa i niemniej sławnego skrzypka Joachima. Są one pisane zupełnie przytomnie, ani śladu choroby umysłowej, a co najcharakterystyczniejsze—prócz serdeczności i szczerej przyjaźni dla obu, rysu tak rdzennie Schumannowskiego — to owe nieustanne wzmianki o żonie; słowa *meine Klara* powtarzają się w każdym liście kilkanaście razy. Bo też do swej żony stosować mógł Schumann zawsze słowa swej pieśni, najpiękniejszej może:

Du meine Welt, in der ich lebe,
Mein Himmel, darein ich schwebe.

Artykulik Hanslicka: *Zur Biographie Franz Liszts,* jest raczej recenzyą wydania listów wielkiego pianisty i kompozytora, który, co prawda, nie cieszył się wielką sympatyą wiedeńskiego krytyka. Za to nadzwyczajnie ciekawą, bo opartą na osobistych wspomnieniach, jest sylwetka nekrologowa Brahmsa, który z Hanslickiem żył długie lata w serdecznej przyjaźni. Kilka drobniejszych i mniej ważnych artykulików, kończy tę bardzo ciekawą i bardzo pouczającą książkę. *Adolf Strzelecki.*

— Sidney Lee: *A life of William Shakespeare.* With portraits and facsimiles. (London, Smith, Edler and Comp., 1898, w 8-ce, str. XXIII i 479). — Trochę późno zdajemy sprawę o tej wybornej publikacyi, mało mającej równych. Jestto biografia Szekspira, nadzwyczaj szczegółowa, nadzwyczaj gruntowna, napisana z zużytkowaniem wszystkiego, co tylko znajduje się w archiwach angielskich i w literaturze współczesnej, a ma związek z Szekspirem i jego życiem. Autor nie pomija żadnej ważniejszej pracy z naszych czasów, przejawiając imponującą erudycyę i imponujące oczytanie. Nie myślimy tu powtarzać życiorysu Szekspira; odwołujemy się do tego, co w tym przedmiocie pisaliśmy w studyum *Szekspir i Bakon*, drukowanem swojego czasu w *Przeglądzie Polskim*. Przyczyny niefortunnego małżeństwa Szekspira występują w pracy angielskiego pisarza jasno i wyraźnie: a jako ciekawe uzupełnienie poglądów autora—stwierdzających dobitnie i nasze zdanie w tej sprawie—podać możemy ciekawe notatki, ogłoszone w *Early English Text Society* przez Furnivalla *(Child-Marriages, Divorces and Ratifications etc. in the Diocese of Chester, a. d. 1561—1566)*, gdzie znajduje się surowe upomnienie pod adresem par zaręczonych, zgodnie z słowami Prospera w *Burzy* (IV, 1):

Ależ bądź cierpliwym,
Dopóki Sakramentu ceremonie święte
Ci nie utwierdzą związku i t. d.

Upomnienie, żeby nie *as beats do, after a beastlike fashion, being led by a natural instinct and motion.* Tradycyę o kłusownictwie Szekspira Lee uważa za zupełnie uzasadnioną, zaś *exodus* do Londynu kładzie na r. 1586, a więc wcześniej jeszcze, niż inni, chociaż hipotezy swej nie uważa sam za bezwzględnie prawdziwą. Wszystkie opowieści o tem, że Szekspir był pisarzem adwokackim i t. p., uważa—słusznie—za baśni nieuzasadnione, tak samo, jak i hipotezy co do podróży po Włoszech i w ogóle po za granice Anglii, nie mogąc się dopatrzeć przekonywujących argumentów. Czy z równą słusznością kwestyonuje autor nadanie Szekspirowi szlachectwa, a raczej wznowienie (nie bardzo legalne) dyplomu, to pytanie, na które niema jeszcze stanowczej odpowiedzi. Zdanie autora nie jest tu wcale przekonywujące. Wszystko, co się tylko dało wydobyć o pobycie Szekspira w Londynie, to autor wydobył sam, albo zużytkował z nadzwyczajnym krytycyzmem z dzieł dawniejszych. Z imponującą drobiazgowością zbiera najmniejsze kamyczki, aby z nich zbudować gmach wspaniały. Oblicza nawet z całą pedanteryą dochody roczne Szekspira na funty i shillingi.

Mówiąc o twórczości Szekspira, pomija zupełnie estetyczną analizę; raz tylko wypowiada swe zdanie i to o *Hamlecie*, nazywając go *a masterly study of the reflective temperament in excess.* Z tem zdaniem — jedynem zresztą w tym kierunku — dałoby się wojować. Najmniej podobają nam się uwagi o autentyczności i nieautentyczności niektórych dzieł Szekspira. Autor nie uważa n. p. *Tytusa Andronika* za dzieło Szekspira, mimo zdań mnóstwa współczesnych Szekspirowi, którzy stanowczo przypisują mu to dzieło, a pogląd swój opiera li tylko na czysto subjektywnem wrażeniu *(far too repulsive in plot and treatment, and too ostentatious in classical allusions).* To trochę za słaby argument, tak samo jak dalsze, któremi autor motywuje swe zdanie, że w *Henryku VI* Szekspir napisał zaledwie kilka scen tylko (a więc Greene w swym pamflecie zaczepił Szekspira o cudze wiersze, zob. niżej podpisanego *Szekspir i Bakon*, wydanie książkowe, Lwów, 1900, str. 148 i 195), że *Poskromienie złośnicy* napisane jest przez Szekspira na współkę z innym pomocnikiem, tak samo, jak *Tymon Ateńczyk* i *Henryk VIII* i t. d. Nie można się także pisać w całości na wywody autora o źródłach dzieł Szekspira, o czem nie możemy się tu szerzej rozpisać, tak samo jak nie możemy wiele miejsca poświęcić ciekawym uwagom o *Sonetach* Szekspira, powstałych, zdaniem autora, między r. 1591 a r. 1594. Nie wszystko jednak przemawia nam tu do przekonania. O „czarnej damie“ Lee nie wiele mówi, a może i nie chce mówić, bo przecież mając tak olbrzymio rozległą znajomość prywatnych archiwów angielskich, może i wpadł na ślady stosunku Szekspira z Mary Fitton, albo też

może znalazł stanowczo przeciwne dowody. Szkoda, że nic o tem nie mówi.

Bardzo ciekawy jest ustęp, w którym autor omawia poglądy Szekspira na stan aktorski, wypowiedziane tak otwarcie w 110 sonecie. Zdanie autora stwierdza znów dobitnie nasze własne hipotezy.

Wszystkie wady książki nikną wobec jej zalet, wobec gruntowności i rozległości badań i źródeł, wobec nadzwyczaj subtelnego krytycyzmu. Dla każdego szekspirologa praca ta jest niezbędnym podręcznikiem i przewodnikiem, tuż obok pomnikowych prac Elzego i Hallivella, ale u nas, zdaje się, nie znajdzie wielu nabywców! *Adolf Strzelecki.*

Z literatury powieściowej.

— C. von Czajkowski: *Kreuzigt ihn!* Roman. (Wien. Verlag von Carl Konegen). — Przysłana przez redakcyę książka długo nietknięta u krytyka leżała, aż jedno, przypadkowe spojrzenie na jej karty przekonało go, że co powieści i autorowi brak w zakresie dojrzałości i sztuki, to posiada w niezwykłym stopniu w sensacyjności i tendencyjności fabuły. Zaczynając od najwyższego atuta powiedzmy, że nie mniejsza osoba, jak pan jenerał-gubernator warszawski, a zwłaszcza jego żona Marya G., jest jedną z głównych postaci powieści, że w niej jest bohaterem baron Kronenfeld, syn przechrzczonego milionera, Żyda, że występuje hr. Larinski i książę Siniawski, że są i panowie Salatinski i Wolanski, że jest nihilizm i rosyjska policya, reformy socyalistyczne i Sybir. Chyba wystarcza! Niestety nie wystarcza, bo p. C. von Czajkowski (kto to?) myli się, sądząc, że sensacyjna fabuła nie pozbawiona rzeczywiście dramatycznych momentów, stanie za rzetelny talent.

Po tych słowach można i trzeba krótko się z powieścią załatwić. Stary baron Kronenfeld, świeżo tym tytułem ozdobiony, jest równie niedawnym neofitą, podczas gdy jego żona Malwina (sentymentalne imię a *nomen omen*) rozpływa się w nowem towarzystwie, do którego weszła dzięki nowej wierze i — starym milionom. Zrazu zdaje się, że ambicya jej będzie zaspokojoną: syn ich obojga, Eugeniusz, obdarzony niezwykłemi zdolnościami, zdobywa sobie poważanie wszystkich kół. Sam zaś stara się najbardziej o względy Nory, pasierbicy hr. Larinskiego. Ojciec panny, wiecznie zadłużony, jest wobec barona Kronenfelda uprzejmy, córka natomiast, pochodząca z pierwszego małżeństwa hrabiny Larinskiej z księciem Siniawskim, patrzy z góry na Eugeniusza, bo to przecież Żyd. Ostatecznie jednak zostaje jego żoną, bo rodzice, zagrożeni ruiną, tylko w spowinowaceniu się z milionami widzą jedyny ratunek. Eugeniusz, ko-

chający ją całem sercem, nie wie, że ona idzie za niego jedynie z miłości ku rodzicom. Ztąd pożycie małżeńskie rychło staje się pierwszem źródłem nieszczęścia bohatera. Są i inne. Eugeniusz pisze broszury socyalne ze świetną, ale i bezwzględną krytyką rosyjskich stosunków społecznych i państwowych. Rząd zrazu usiłuje pozyskać go dla siebie, ale gdy Eugeniusz z oburzeniem odtrąca propozycye szefa biura prasowego w Warszawie, Jankulicza (brzmienie nazwiska nie obce nam), postanawia śmiałka uczynić nieszkodliwym. Pomocną jest mu w tem pani Marya G., żona jenerał-gubernatora. Namiętna kobieta, żądna uścisków mężczyzn, prześladuje swoją miłością Eugeniusza, a doznawszy stanowczej odprawy, gubi go na całe życie. Młody Kronenfeld zostaje aresztowanym pod zarzutem dążeń antipaństwowych; nie pomagają mu nawet miliony ojca, bo stary Kronenfeld, straciwszy po części pod wpływem działalności syna, dawną energię i bystrość umysłu, bankrutuje i kończy życie. Eugeniusz dostaje się na Sybir. Ale po okropnych pierwszych wrażeniach przebija się przez chmury promień słońca; książę Siniawski, dumny lecz szlachetny arystokrata, krewny Nory, powziąwszy sympatyę do Eugeniusza, wyjednał dla niego złagodzenie kary: zamiast ciężkich robót zwykłe internowanie w Tobolsku, co więcej stryj towarzyszy żonie Eugeniusza, która teraz dopiero poznała szlachetność jego duszy. Rozczuleni małżonkowie padają sobie w objęcia.

Fabuła zwyczajna, ani zła ani dobra, za to w jej przeprowadzeniu wiele powierzchowności (środowisko warszawskie), jeszcze więcej banalności i szablonu (charakterystyka Eugeniusza, mglista i rozwiana), a naprzeciw tym wadom staje tylko kilka wybitniejszych zalet. To naprzód udatna sylwetka hr. Larinskiego, drugiego ojca Maryni Połanieckiej, z tą samą egoistyczną gadaniną o ofiarach, z tą samą lekkomyślnością i humorem, zwłaszcza zaś postacie starych Kronenfeldów. Ci mają chwile wspaniałe; stary Kronenfeld, znękany duchowo i cieleśnie, wyrzuca sobie, że dla światowych względów sprzeniewierzył się wierze przodków: w piątek, gdy pierwsza gwiazda na niebie oznacza przyjście sabbathu, budzi się w nim odruch dawnej hebrajskiej solidarności z narodem wybranym; matka zaś jest rozczulającą w swej rozpaczy na widok nieszczęść syna.

Autor jest artystą nie najlepszym. Jako człowiek, mimo wybitnych filosemickich popędów, w jednem miejscu ujawniających się w formie gwałtownych oskarżeń chrześcian, jest naturą niezepsutą, zdolną szlachetnych uczuć. „Sybir!... To słowo brzmi straszliwie: mieszczą się w niem wszystkie stopnie ludzkiej nędzy, wszystkie okropności beznadziejnej rozpaczy, wszystkie męki wijącej się trwogi śmiertelnej“. Frazes niewątpliwie, ale z niego przemawia, jeśli się nie mylimy, szczere uczucie. I gdyby autor,

wybrawszy warszawskie środowisko, poglębił był jego obraz, powieść mogłaby była się polskim czytelnikom podobać.

Dr. J. Flach.

— Fritz Skowronnek: *Masurenblut.* Geschichten und Gestalten. (Berlin. *Vita.* Deutsches Verlagshaus). — Wyłączyć trzeba z tego zbioru dwa opowiadania, nie wykazujące specyalnie „mazurskiego“ środowiska. Jedno p. t. *Die Tante!* przedstawia młodzieńca siedmnastoletniego, w którym budzi się elementarnie, ale i z zewnętrzną nieśmiałością namiętna zmysłowość, pociągająca go ku dwudziestoczteroletniej ciotce, bardzo ponętnie patrzącej na chłopca; jestto szkic oderwany od jakiegoś wyraźnego gruntu, a więc w tej książce nie na miejscu. Inne opowiadanie: *Finchens Fall* jest znakomite w pierwszej swej części, odtwarzającej z wielką siłą komiczną życie małomiasteczkowe, towarzystwo pań, ubierające się u jednej krawcowej, która też wywiera władzę wprost despotyczną; cały ten świat codziennych małostkowych wydarzeń, plotek, rywalizacyj i t. p. widzi się wybornie. Natomiast nie wolną od zarzutu jest druga połowa opowiadania, sentymentalno-pieprzne opowiadanie o „upadku“ tej właśnie krawcowej, o oburzeniu wywołanem w miasteczku, o pani adwokatowej, która sama jedna zajmuje się „upadłą“ i sprawia jej wyprawę dla mającego przyjść na świat dziecka. I tu jakiejś „krwi mazurskiej“ trudno się dopatrzeć.

Jest ona w innych powiastkach znanego już w Niemczech autora nowell i dramatów, zapewne zniemczałego Polaka. Tłem tych opowiadań jest część Wschodnich Prus, zamieszkała przez ludność polską, t. zw. mazurów, tutaj protestanckich, kraina obfitująca w wielkie jeziora, należąca do pruskich obwodów Johannisburg, Lyck i innych. P. F. Skowronnek przedstawia przeważnie tylko wieśniaków, w jednym tylko wypadku i szlachtę, właścicieli ziemskich. Obraz jest nadzwyczaj smutny. Pomijamy już nędzę materyalną, gorszą od niej jest moralna, zanik wielu pojęć etycznych, chociaż za to inne uczucia często szlachetne, też silnie występują. Według autora ludność pije, pije aż do upicia się; gdy jej braknie środków do tego, bez najmniejszego wachania się dopuszcza się występków, co więcej, kradzieże drzewa lub inne bynajmniej nie są uważane za coś złego, hańbiącego; więzienie jest tu czemś tak zwyczajnem, że zbrodniarz wypuszczony z kryminału odrazu nawiązuje serdeczne stosunki z ludnością, w której zresztą zawsze znajduje wielu „towarzyszów niedoli“. Jedyny dziedzic występujący tutaj, Kostka Zawadzki, bił się kiedyś z Moskalem i długo się przed jego pościgiem musiał chronić; wróciwszy do domu i bezpieczny już, uwodzi dziewczęta, pozbywając się ich, gdy stają się matkami.

Najcharakterystyczniejszą, najsilniejszą w swym realizmie, ale i artystycznie najudatniejszą jest pierwsza nowella, która całemu zbiorkowi dala tytuł. We wsi mazurskiej jest trójka hul-

tajska: Pruchno, jego żona i ich przyjaciel Burdeyko. Pruchno popełniwszy kradzież dostaje się do więzienia, żoną zaś jego opiekuje się Burdeyko, tak troskliwie, że po roku „rozbita trójka z własnej podniety uzupełniła się do liczby czterech". Mimo to po wyjściu Pruchny z więzienia, stosunek pomiędzy małżonkami nie jest niczem zamącony. Wkrótce tragiczne wypadki rozłączają wszystkich: Burdeyko ginie w wojnie niemiecko-francuskiej, Pruchnina umiera nagle piorunem rażona, jej mąż zostaje sam z owem dzieckiem, Ewą. Dziewczyna słyszy we wsi, że jest córką Burdeyki, ale Pruchno wymusza groźbą uznanie ojcowstwa, bo przecież siedząc w więzieniu wymykał się po cichu co noc do żony. Młody chłopak na praktyce u leśniczego zaleca się do Ewy, coraz bardziej ośmielany jej wzajemnością. Pruchno pokornie prosi go, aby dziewczyny nie bałamucił, bo przecież się z nią nie ożeni, lecz Adam drwiąco zbywa go pytaniem: co go obchodzi córka jego żony i Burdeyki? Pewnego wieczoru Pruchno, znajdując się razem z Adamem w czółnie na jeziorze, uderzeniem wiosła pozbawia go przytomności i spycha w toń wody, a sam znika ze wsi. Śmiały realistyczny ton razi może zbyt wydelikacone ucho, niemniej jednak postacie opowiadania są żywe i ściśle związane z mazurską ziemią. W zbiorze najlepszych *Dorfgeschichten* ostatnich lat, *Krew mazurska* znajdzie poczestne miejsce, dzięki wybornej obserwacyi, naturalności i wyrazistości. Zapach ziemi kłóci się z zapachem wódki, lecz w tem niestety jest charakterystyka wiejskiego życia z jego mięszaniną świeżej piękności przyrody i brutalnej żywiołowości jednostek, bezwiednie namiętności folgujących.

Widocznem to jest i w innych opowiadaniach, niejednokrotnie rzeczywiście tylko poszczególne postacie—jak to zapowiada drugi tytuł książki — przedstawiających. Jedno z nich: *Die Edelmannsmutter*, działa orzeźwiająco, dzięki wprowadzeniu przy końcu pogodnego elementu miłości synowskiej. Stara Mrotzkowa była krótki czas kochanką dziedzica i miała z nim syna. Co się z nim teraz dzieje, nie wie dokładnie, podobno jest w Berlinie, w pułku gwardyi. A matka tymczasem wiedzie marny żywot, próżnując, żebrząc i pijąc. Jest już stara, ale mimo to chce ją wziąć za gospodynię do domu Jan Gerlitzki, też już podeszły, świeżo wyszły z kryminału, gdzie siedział za kradzież. Z pomocą dobrej żony leśniczego Mrotzkowa pisze do syna, odnajduje go; Ludwik przyjeżdża i wita nieznaną matkę serdecznie. Chce jej starość zabezpieczyć, a oboje pozbywają się Jana, widząc, że mu chodzi tylko o pieniądze. Mrotzkowa jest szczęśliwa: w upojeniu wraca z leśniczówki w nocy do wsi sama, bo syn musiał odjechać, po drodze zamarza na śmierć. Do losu nie miejmy pretensyj: umarzła w szczęściu...

Przegląd tych najwybitniejszych ustępów książki daje poznać jej ogólny charakter. *Krew mazurską* porównać można z daw-

niejszemi realistycznemi szkicami wiejskiemi Sienkiewicza. Wspólną z niemi mają dążność prawdziwego odtworzenia tła i ludzi, wspólny i ten ponury w ogólności ton, z rzadka tylko smugą światła przerwany. Kładziemy na to nacisk, aby kto z czytelników nie posądził p. Skowronnka o tendencyjność, o animozyę względem Polaków. W tej książce jej nie ma. Że polska ludność wiejska w niej w tak nieprzychylnem świetle występuje — to już niestety jest fakt wspólny wszystkim opowiadaniom z życia proletaryatu wiejskiego, czy u nas czy gdzieindziej, czy u polskich pisarzów czy u obcych. Czasy kłamanych idyll wiejskich minęły już bezpowrotnie. Dzisiejsze realistyczne *Dorfgeschichten* muszą być ciemne i smutne, bo... bo są realistyczne. Prawda zwycięża; może i sztuka nie traci, ale smutno, że opowieści ludowe z chwilą, gdy trzymają się życia rzeczywistego, są tak ponure.

Dr. J. Flach.

— *The cost of her pride*, by Mrs. Alexander. 2 volumes. (Leipzig, B. Tauchnitz, 1899). — *Brown V. C.*, by Mrs. Alexander. 1 vol. (Leipzig, B. Tauchnitz, 1899). — Drugo- i trzeciorzędnych powieściopisarek miała Anglia zawsze pod dostatkiem, jeżeli nie do zbytku. Dostarczały one zawsze strawy powszedniej, często nudnej, czasem pospolitej, przeważnie atoli zdrowej dla panien starych i młodych, dla całego po świecie mocno rozwielmożnionego zastępu kobiet mało zajętych, a nie szukających wyłącznie zabawy po za domem. Zdrowy rozsądek i uczciwa tendencya były tych książek niewątpliwą zaletą i nawet zasługą. Dzisiejsze pokolenie, więcej od poprzedniego wymagające, a to choćby wskutek częstego czytania powieści subtelnych, jeżeli nie w inne zalety bogatych, zieważoby niewątpliwie nad sporą liczbą tych romansów, które cieszyły i zabawiały temu lat pięćdziesiąt. Obok trzeźwiejszej spostrzegawczości, wymaga się dziś więcej drobiazgowości w psychologii, którą ogół za subtelność bierze, ciesząc się swą bystrością w poznawaniu ludzi, których podobieństwa odnajduje w tych nowych licznych powieściach, ubrane w całą nienaturalność modnego rozdrabniania i dyssekowania, własnego usposobienia, wszystko zaś opowiadane zazwyczaj z prostotą do brutalności nieraz dochodzącą. Rozwój, a raczej przemiany pewnej części twórczości ludzkiej w jej największych dziełach, zmieniają obecnie warunki całego rodzaju. Dziś po Wagnerze n. p. przyznać każdy musi, że instrumentacya Donizettiego i Belliniego wydaje się niepowrotnie, dziecinnie ubogą. Nie mówiąc o Miss Austen, której powieści pod względem bibliograficznym i jako próbki historyi obyczajowej są już dziś ciekawemi, Miss Kavanagh, Miss i Mrs. Craik, Miss Braddon, Mrs. Hungerford, Cummins i t. d., stały się już obecnie prawie niemożliwemi do czytania, nawet dla pensyonarek. Mrs. Alexander, autorka dwóch wyżej wypisanych powieści, choć dawno już rozpoczęła zawód pisarski, umiała się jednak zastósować do

wymagań dzisiejszych i dotąd wydaje powieści, które godzin parę miłego czytania dostarczyć mogą. Pierwsza z dwóch ostatnich przedstawia nawet sporą książkę świeżych, trafnych spostrzeżeń. Druga jest sensacyjnem, mało prawdopodobnem opowiadaniem, które zawiera dwie lub trzy dobrze uchwycone sylwetki nowoczesnych egoistów.

W każdym angielskim umyśle, sądząc według literatury, tkwi znaczna doza jasnego spostrzegawczego żywiołu; konwencyonalizmu przeciętnie tam mniej, niż u innych narodów, we wszystkich utworach angielskiej wyobraźni, jeżeli ona zupełnie zmateryalizowaną nie jest. Oprócz w wyjątkowych znanych ze złej sławy wypadkach, nie ma w nich przeważnie roztkliwiań i zagłębiań nad najniższemi stronami ludzkiej natury, a jednak natura ta nie jest w nich *ad usum delphini* ubrana w białą odświętną szatę, według dawno przyjętego kroju. „Za cenę swej próżności“ (lub dumy? bo słowo *pride* jest chyba pojęciem pośredniem między naszemi dwoma) jest n. p. wcale trafnym obrazem częstego dzisiaj rozbijania projektów wielu małżeństw, które mogły być dobremi, a w zamian sprzęgania ze sobą ludzi przez chwilowy kaprys, często na wielkie ich nieszczęście i nieledwie zgubę.

Młody, tęgi, szczery, lecz mocno z siebie zadowolniony Anglik, syn prowincyonalnego bankiera, zaleca się ubogiej córce drugiej żony swego ojca i, choć sam zakochany, drwiąco chwali się przed przyjacielem z uczucia, które w niej wywołał. Dziewczyna nie chcący słyszała to, i w chwili słusznego gniewu popełnia szalone głupstwo, wychodząc za mąż za syna zamożnej właścicielki znacznej handlowej firmy w Londynie. Pani ta jest doskonałym typem bezwiednej, przywykłej do władzy egoistki. Na starość atoli „trafiła kosa na kamień“, samolubna matka na praktyczniej jeszcze samolubnego syna. Rządziła za młodu ojcem, wyszła wbrew jego woli za jego pierwszego podwładnego, prowadziła długo dom handlowy; syn bał się jej, jak wszyscy, ale wcześnie nauczył się jej wymykać. Ożenił się na wspak jej zamiarom z panną nieposażną, która choćby kosztem szczęścia dumę swą salwować chciała. Łatwo zapalny, o miłej powierzchowności, gładki Jerzy Farrant wziął za żonę ładną dziewczynę, jako zabawkę, mając się tymczasem za szalenie w niej zakochanego. Niezadowolniona świekra z kopyta z niej niewolnicę uczynić usiłowała. Gdy syn przed końcem roku jawnie żonę opuścił, w poczuciu swej wielkiej sprawiedliwości pozwoliła jej nadal sobie służyć. Cena próżności atoli okazała się za wysoką. Dawny wielbiciel dopomógł do otrzymania rozwodu, zdecydowany na urzeczywistnienie planu, z jakiego ongi żartował, teraz zaś przekonał się nareszcie, że są lekceważenia i lekkomyślne słowa, które zapomniane być nie mogą, bo zabijają młode powstające uczucia. Starsza pani Farrant, oburzona niewdzięcznością syno-

wej, której pozwalała sobie nadal się poświęcać, po dwóch latach czekania zgadza się na powrót syna do domu, w zamian za obietnicę powtórnego ożenienia według jej wyboru. Pierwsza synowa tymczasem spotkała człowieka, którego pomimo doświadczenia życia mogła nie lekceważyć i nie pogardzać nim, zaczem zdolna mu była zaufać i wyszła za niego.

Pani Farrant i jej syn, a obok nich niedoszły bohater powieści, powierzchownie sympatyczny, a w gruncie uczciwy Trevor Lumley, są dobremi różnego rodzaju i stopnia typami samolubów. Przykład wyśmiewania ukrytych własnych uczuć, choćby czasem kosztem szczęścia, wymagał bardzo trzeźwej oceny charakteru dzisiejszej młodzieży, która i u nas nieraz zastósowaćby się dała. Czasem ludzie młodzi, bardzo łatwo dotknięci w swojej godności przez słowa innych, kosztem własnych uczuć bawią się w żarty, które wielkiej dojrzałości i przenikliwości mają być dowodem, a są tylko jednem więcej zadowolnieniem miłości własnej, czasem ciężko opłacanem. Postaciom swojej wystawy samolubów kładzie tak pani Alexander w usta wcale dobre powiedzenia. Pani Farrant matka n. p., niezłomna pewnością nieledwie kwakerską swej cnoty i finansowej siły swego domu, radząc synowi bogatą żonę, dlatego, że sam posiadał piękną fortunę, na pytanie jego, co mają robić panny bez posagu, bez wahania wygłasza wielką filozoficzno-społeczną zasadę, że powinny wychodzić za mężów bez majątków, aby w równych warunkach życie rozpoczynać i razem stawiać fundamenta rodzinnego przyszłego dobrobytu.

Druga powieść autorki p. t. *Brown V. C.*, jak już wspominaliśmy, jest dosyć melodramatycznie opowiedzianą szablonową historyą młodości chłopca, którego matka zostawiła na opiece nieznajomych, aby przed bratem ukryć pierwsze swoje niefortunne zamążpójście i ujść różnych trudności w życiu. Ale ostatecznie wszystko kończy się dobrze, bo chłopiec bez nazwiska i rodziny zostaje w końcu prawym dziedzicem świetnego majoratu i narzeczonym najmilszej kuzynki, tylko dla sprawiedliwości matka, która go porzuciła, umiera z nadmiaru wzruszeń. Koniec wart założenia. Kilka odmiennych od poprzednich a dosyć oryginalnych postaci egoistów urozmaica przynajmniej trochę historyę tę z bajek „Tysiąca i jednej nocy“ zanadto bezpośrednio czerpaną. Wyrodnej matki do nich nie zaliczamy, bo skreślona jest bardzo powszedniemi, zupełnie konwencyonalnemi rysami i których niewynagradza brak prawdopodobieństwa, ani scena ostatniej skruchy. Lecz za to do galeryi typów, które są właściwością autorki, zaliczyć można ciotkę narzeczonej Browna V. C., która z niewzruszoną uprzejmością pozwala sobie służyć i utyskuje nad niewdzięcznością towarzyszki lat dziecinnych, którą traktuje jak podwładną. Obok zaraz, niegorszy od niej, młody lord Mauvers, którego długi płaci starszy brat, ale gwoli jego wygodzie nie dosyć

spiesznie umiera. Przyszły dziedzic brata szuka więc rozrywki i poratunku w zabiegach o rękę owej kuzynki, spadkobierczyni fortuny bardzo ponętnej. Chwilami uważa ją już do tego stopnia za swą własność, że tylko dzięki światowemu sprytowi nie okazuje tej pewności w sposób, któryby mu ją wcześnie na zawsze z pod ręki usunął. Względem znów oficera kolegi, jakiemu życie zawdzięczał (w potyczce w Indyach obronił go Brown od niechybnej śmierci), dlatego, że tenże od prostego żołnierza szlif się dosłużył, pomimo ostrożności wrodzonej i ogłady towarzyskiej, przebija w jego zachowaniu uznanie, pełne lekceważenia. Tych kilka dobrych rysów nie są jednak w stanie podnieść wartości powieści, liczącej się niezawodnie do rzędu słabszych utworów pani Alexander. *C.*

— *A duet*, by A. Conan-Doyle. (Leipzig, B. Tauchnitz, 1899). — Jeśli kto jest powołany i pasowany na barda miłości małżeńskiej, romantycznych zaręczyn i sentymentalnego narzeczeństwa, to zaiste Anglicy, dla których właściwie inne nie istnieje uczucie. Stosunek rodzicielski bywa tam surowy i sztywny, rodzeństwo rozbieguje się po dalekich koloniach, dzieci krótko goszczą pod ojcowskim dachem, zaczem *home*, ognisko domowe, stoi wyłącznie na małżeńskiem przywiązaniu i wzajemności; *home*, to żona lub mąż, tak samo w Australii lub Afryce, jak na wybrzeżach angielskich. Słusznem też było, aby wśród lawiny powieściowych utworów, raz po raz zjawiał się jaki poemat na cześć tego najwyższego — bodaj jedynego — w życiu prawowitego Brytona kochania.

P. A. Conan-Doyle świeżo podjął się tego tematu i przeprowadził zakochaną parę od zaręczyn po urodzenie pierwszego dziecięcia, kiedy duet z natury rzeczy w *trio* się przemienić musi. Trochę to monotonna melodya, acz obfitująca w dźwięki dziwnie delikatne. Mimowoli nasuwa się pamięci próba, niegdyś w tym samym podjęta kierunku przez francuskiego pisarza, Droza, a porównanie wypada całkiem na korzyść angielskiego współzawodnika, u którego zmysł uczciwości i sromu jest przyrodzonym darem, a poświęcenie wzajemne ideałem szczęścia. Po zamianie listów narzeczonych, następuje opis ślubu, krótkiej podróży, powrotu do domu, pierwszych urządzeń i trudności, kłopotów materyalnych, z których młoda żona dzielnie wyciąga ukochanego, kłopotów moralnych, które odgłosami burzliwej młodości gotowe zamącić i najsłodsze szczęścia chwile. Gdyby nie całkiem zbyteczne i nie wiedzieć dlaczego przyplątane rozdziały, o Carlyle'u czy Browning'u, o Westminsterskim Panteonie pilnie zwiedzonym przez zakochanych, rzecz w sam raz wypełniłaby ciasny tomik, który się nad miarę nawiasowemi ustępami rozszerzył. Są tu uwagi bardzo trafne, zdania pełne dowcipu. Młody małżonek lubuje się w notatkach, spisuje między innemi rodzaj kodeksu życia matrymonialnego, z którego niektóre warto przy-

toczyć, jak n. p. artykuł czwarty: „Nie bądźcie nigdy w złym humorze jednocześnie. Lepiej odczekać na swoją kolej“. Artykuł piąty: „Nie przestańcie nigdy być sobie nawzajem kochankami. Gdybyś ty przestał nim być, gotów się kto inny roli tej podjąć“. Artykuł szósty: „Nie zapominaj nigdy, żeś był *gentleman'em* zanim małżonkiem zostałeś“. Artykuł dziesiąty: „Wzajemny szacunek jest koniecznym warunkiem trwałej wzajemnej miłości. Kobieta może bez szacunku kochać, mężczyzna nigdy“. Artykuł dwunasty: „Niechże dla obojga jedno rozstrzyga prawo“. Artykuł czternasty: „Pieniądze nie są warunkiem szczęścia, ale szczęśliwi ludzie zwykle ich mają dosyć“. Artykuł szesnasty: „Najpewniejszym środkiem oszczędności jest obywanie się bez wielu rzeczy“. Artykuł siedmnasty: „Gdy chcesz oszczędzać i odkładać, czyń to własnem zaparciem, nie zaś kosztem żony“. Artykuł ośmnasty: „Mąż, który żonę szanuje, nie zniewala jej do żebraniny, lecz osobną przeznacza kasę“, i t. p.

Uderza w niniejszej książce wierność dawnym, odwiecznym ideałom niewieścim. W chwili, gdy kobiety wywieszają szalone a w gruncie rzeczy głupie hasła feminizmu, p. Conan-Doyle wiernym pozostaje właściwemu ideałowi niewiasty, której samo nazwanie w naszym języku oznacza *niewiadomość* złego i *niewinność*. Żona, pod jego piórem, nie jest ani naczelniczką nowych prądów, ani dumną rówieśnicą mężczyzny, lecz kwiatem i koroną życia, osłodą dnia znoju, miłą i wdzięczną towarzyszką, węgłem domu i węzłem rodziny. Wyrzeczenie i poświęcenie, cichość i prostota, oto skrzydła anielstwa kobiecego, rękojmia szczęścia i miłości. *Domum mansit*, napis znaleziony w katakumbach, streszcza pono zadanie kobiety, wskazuje, że nie po za domem, lecz w domu zakres jej działania, wpływu i pracy. Angielski autor w tym duchu przedstawił nam życie i zadanie niewiasty, zaczem mimo nieodłącznych rozwlekłości, ten „duet“ z towarzyszeniem okolicznościowem chórów, jak opiewa tytuł, mimo jednostajności osnowy, jest niewątpliwie bardzo harmonijnym i miłym utworem. *N.*

TEATR KRAKOWSKI.

Braki repertuaru z lutego wynagrodził nam sowicie marzec. Nowe na scenie dzieło Słowackiego, słynny i potężny utwór Tołstoja, wznowienie z Schillera, do tego jedna premiera oryginalna i na sztukę wesołą przyzwoita krotochwila angielska.

Z początkiem marca wystawiono sztukę w pięciu odsłonach W. Lewickiego p. t. *Błędne gwiazdy*. Przybywa literaturze nowy autor; jesteśmy ciekawi, czy wystąpić pragnie, jako tragik czy komedyopisarz, a tymczasem coraz częściej autorowie zbywają nas tem, że utwór ich jest „sztuką“; idąc do teatru nie wiemy, co tam będzie. Może być trojaka przyczyna tego. Czasem autor nie uznaje utartego podziału dramatycznej sztuki, uważając go za przestarzały zabobon literacki, a że lepszego podziału nowego jeszcze nie wymyślono, tymczasem tedy i *Pana Jowialskiego* i *Mazepę* radzi nazywać po prostu: sztuką. Inny znów autor sam nie wie, jak swój utwór nazwać i do jakiej zaliczyć kategoryi, a że mu to obojętne, pisze więc na tytule: sztuka. Ale mogłaby być jeszcze inna przyczyna, ta mianowicie, że autor wymyślił jaki nowy rodzaj poezyi dramatycznej, dotychczas jeszcze nie znany, a któremu sam nazwy nie obmyśla. To tylko wiadomo już jednak z doświadczenia, że ile razy czytamy na afiszu „sztuka“, nie słyszymy potem w teatrze nic a nic niezwykłego; i w ową też sobotę usłyszeliśmy po prostu dramat, tylko, że wadliwie zbudowany. Zazwyczaj początkujący autorowie czują niechęć do nadania swej sztuce wyraźnej nazwy, a to właśnie jest źle. Niech sobie pisarze biegli i pewni siebie robią, jak chcą, ale niech pisarz słaby, słabości utworu nie osłania tem, że ma to być tylko „sztuka“, a więc niby jakiś rodzaj, w którym wolno, jak kto chce, nie liczyć się z wymaganiami sceny. *Błędne gwiazdy* nie są też pisane w aktach, ale w pięciu „odsłonach“. Znowu takie ominięcie, takie lubowanie się w nieścisłości. Dobre to przy jakiem niedzielnem widowisku, ale utwór, zakrojony poważnie, po literacku, nie powinien się

uciekać do takich ułatwień. Pisarz początkujący powinien dążyć do tego, żeby najpierw napisać niewątpliwą tragedyę, dramat lub komedyę i to w takich ustępach, które byłyby niewątpliwie aktami; póki tego nie umie, nic nie umie; a dopiero gdy to potrafi, potem niech robi, jak chce. Zaczynać jednak od omijania tych szkopułów, to metoda najfatalniejsza dla rozwoju własnego talentu, który z pewnością się nie rozwinie na pisaniu rzeczy nijakich. Ten tylko będzie dobrym dramaturgiem, kto się nie cofnie przed żadną trudnością tej sztuki, badając cierpliwie jej odrębną poetykę. Dramat bowiem nie jest działem poezyi równolegle z liryką i epiką, ale jest osobną sztuką piękną, obok tamtej poezyi, obok malarstwa, muzyki i t. d.; ma przeto osobną swą technikę i nie podpada bynajmniej pod ogólną poetykę. Znajomość poetyki przyda się dramaturgowi o tyle, o ile rzeźbiarzowi przyda się to i owo z teoryi malarstwa, ale też i nie więcej. Trzeba osobno poznać teoryę dramatu. Nie dlatego, żeby się jej potem niewolniczo trzymać! Owszem, niech się pojawi arcydzieło, nie mieszczące się w teoryi dotychczasowej—krytyka z radością doda do starej teoryi nowe wnioski, wysnute z nowego dzieła! Wszak już to uczyniono z dzieł Ibsena! Ale gdy się rozpoczyna zawód dramaturga, trzeba mieć jakiś punkt zaczepienia i wyjścia, a tym może być tylko ta teorya dramaturgii, jaką autor w swoim czasie zastał. Na wyjątek od tej prostej drogi może sobie pozwolić tylko geniusz. Nasi autorowie nie zwykli robić studyów nad dramatem; uważają to za „filisterstwo“, za rzecz, dobrą w sam raz dla krytyka, ale nie dla twórcy! To też dzięki najzdolniejszym z nich jesteśmy ciągle dopiero w drodze do wielkiego polskiego dramatu; widzieliśmy kilka błysków i znów cisza. A jest przecież wśród tego pokolenia jedna zdolność nadzwyczajna, jedna wybitna i kilka talentów znacznych!

Sztuka p. Lewickiego jest ciekawym przykładem, jak nawet literaci najmylniejsze o dramacie mają pojęcia. Autor ma talent, ale przez *Błędne gwiazdy* okazał tylko, że dopóty z tego talentu nie będzie żadnej pociechy dla literatury, póki będzie trwać przy swej błędnej teoryi dramatu, czy też raczej może przy zupełnym braku jakiejkolwiek teoryi. Zarzut, jakoby artysta mógł się obejść bez „balastu“ teoryi, jest czczy i sprzeciwia się ogólnemu prawidłu, że człowiek intelligentny wszystko, cokolwiek robi, odnosi zawsze do pewnej teoryi. Wolno artyście tworzyć na podstawie teoryi własnej, ale obchodzić się bez niej całkiem nie może. Brak teoryi doprowadza wcześnie do zaniku natchnienia; gaśnie siła twórcza, zostaje tylko rzemieślnicza pisanina, coraz cięższa i niezgrabniejsza, bo pisarz coraz bardziej niepewny własnego pióra. Już na dwóch autorach z młodszego pokolenia można obserwować ten zanik zdolności; oby u p. Lewickiego było przeciwnie, aby najbliższy jego utwór był znacz-

nie lepszy! Na konkursie Paderewskiego wyznaczono jego sztuce piąte miejsce, dawszy „pierwsze zaszczytne odznaczenie“, jakkolwiek utwór stoi o całe niebo wyżej od owego sztuczydła, które otrzymało czwartą nagrodę, a pod względem scenicznym stoi wyżej od dzieła odznaczonego nagrodą drugą, które nie miało żadnego związku z literaturą dramatyczną, będąc dyalogowanym prozą poematem lirycznym.

Treść *Błędnych gwiazd* zaczerpnięta z życia malarza. Jak niegdyś młodzi poeci lubowali się w zbójcach i korsarzach, tak dzisiaj rzucili się na biednych malarzy i robią z nich czcze figury lub karykatury. Zdaje im się, że malarz (czasem dla odmiany muzyk), to przedewszystkiem nie człowiek i trzeba pokazać, czem się od ludzi różni. Różnica ta wypada zawsze jakoś na niekorzyść malarzy; pocieszają się oni zapewne tem, że cała ta sprawa z ich „duszami“ jest tylko literacką... pozą, a więc do literatury nie przejdzie.

Zaczyna się pierwsza odsłona od tego, że się przez długą stosunkowo chwilę na scenie najpierw nic nie rusza, a potem przynajmniej nic nie mówi. Ten sposób wywoływania „nastroju“ wprowadził na polską scenę p. Szukiewicz; środek ten, dobry gdzieś w środku aktu, na samym wstępie może się teoretycznie usprawiedliwić tylko względami praktycznemi, ze względu na to, że publiczność zwykła się spóźniać do teatru. Następuje potem ekspozycya krótka i jasna, co dobrze świadczy o zdolności autora. Odrazu wiemy, że malarz Molski żonaty, żony nie lubi, dom i dzieci zaniedbuje, a rwie się do Zofii Linçeau, pięknej i bogatej; kocha ją i tak z nią jest bez ceremonii, że pożyczkami od niej łata nędzę w domu. Nic bowiem nie zarabia, bo nic nie robi; stoi w pracowni jakieś wielkie płótno, dawno rozpoczęte, którego nie sposób dokończyć dla braku natchnienia. Żona, Marya, natchnieniem być nie umie, nie zdoła; gdyby to tamta, Zofia, była na jej miejscu! (Znowu się przypomina trochę *Ułuda*). Zofia wraca; on maluje jej portret, ale stałe otoczenie żony i dzieci jest zbyt grubą chmurą na ten promyk słońca. Okropnie to przestarzałe, to przeciwstawianie życia rodzinnego jakiemuś specyficznemu życiu artystycznemu; wszystko to wyssane jest z palca, bo wielu wielkich artystów chwaliło sobie właśnie jarzmo małżeńskie i również wielu tworzyło arcydzieła w małżeństwie niedobranem, a dwa razy tylu poszło na marne przez brak ogniska domowego! Pod tym względem są malarze ludźmi po prostu i nie da się o żonatych malarzach powiedzieć nic a nic innego, jak o ludziach wszystkich innych zawodów, choćby n. p. (nie przymierzając!) o urzędnikach: niektórzy dobrzy urzędnicy mają stósowne dla siebie żony, a inni — również dobrzy — niestosownie dobrali sobie małżonek; źli urzędnicy zaś bywają i wśród żonatych i wśród kawalerów, zupełnie tak samo, jak malarze. Ale mniejsza o to małe bałamuctwo, bo tu chodzi o rzecz

inną, wielką i zasadniczą. Czy Marya, czy Zofia ma być natchnieniem Molskiego?

Natchnienie od Boga pochodzi, a nie od niewiasty. Kto w sobie natchnienia niema, nie nabędzie go ani od żony, ani od kochanki. Wymaganie, żeby kobieta była natchnieniem artyście, jest po prostu zabawne. Frazes ten znaczyć może co najwyżej, że jeden drugiemu — a więc także kobieta mężczyźnie — może przy pracy pomagać lub przeszkadzać. Nie dał zaś autor Maryi żadnej wady, któraby czyniła z niej przeszkodę do pracy; przeciwnie, wyposażył ją cennemi przymiotami: cicha, wyrozumiała, szlachetna i rozumna, tak, że nie pojmujemy, czego mąż właściwie od niej chce? Sympatya słuchacza odrazu odwraca się od bohatera i widzimy w nim rozprożniaczonego zarozumialca, który nadużywa imienia sztuki i pod jej płaszczykiem zapomina nawet o męskiej godności, gdy od Zofii bierze pieniądze. Kim jest ta Zofia Linçeau, nie wiemy i nie dowiemy się do końca sztuki; nie znamy jej historyi, nie wiemy nawet, czy osoba wolna, czy mężatka; a dlaczego nazywa się po francusku, to łamigłówka. Autor nawet nie próbował dać jej charakterystyki. W II akcie wyłożona jest zasadnicza myśl utworu, że chcąc być twórcą, trzeba mieć czystą myśl; rozterka sumienia psuje natchnienie. Witamy tę myśl gromkim oklaskiem; w tych ciężkich czasach takie zapatrywania są drogocenną perłą i powiewem świeżego powietrza na stęchliznę, zalatującą od „nagich dusz“; oby wyrósł nam jak najwyżej pisarz, proklamujący takie hasła! Ale cóż? Ta myśl zasadnicza, ujęta jest w formę niedołężną i nudną; autor wprowadza rezonera i wygłasza przez jego usta kazanie. Ksiądz Piotr jest osobą zgoła niepotrzebną w sztuce, której faktura zyskałaby wiele na jego nieobecności; to, co on mówieniem swem sprawia, winno mieścić się w samejże akcyi i z niej wynikać. Rezonerowie są wogóle najstraszniejszymi wrogami autorów dramatycznych! Dobry dramaturg musi się bez nich obejść i nie dać się uwieść tej okoliczności, że zręczni dostawcy teatralni paryscy pokrywają ubóstwo kompozycyi często właśnie zgrabnie wprowadzonym i użytym rezonerem. Ale X. Piotr użyty jest nawet niezręcznie; spada, jak z nieba, ni ztąd ni zowąd, nie wpleciony nawet w fabułę. Dzięki jego interwencyi, Molski godzi się z życiem rodzinnem, odzyskuje swobodę twórczości i zabiera się do wykończenia obrazu. W cztery tygodnie potem akt III: ostatnie rzuty pędzla. Autor chcąc okazać, jak Molski się zmienił, wprowadza dwoje jego dzieci, których ojciec nie odpędza już od siebie, owszem, bawi się i rozmawia z niemi. Dzieci te występowały już przedtem, lecz tym razem nadużywa ich autor w straszny sposób. Całą tę scenę możnaby skreślić. Wprowadzanie dzieci zalicza się wogóle do najsłabszych środków scenicznych, do t. zw. tanich effektów. Dobrym natomiast pomysłem jest, że nie drażni już Molskiego cała sprawa z Zofią.

Najsłabszą niestety, jest ta właśnie scena, do której autor prawdopodobnie najwięcej przywiązywał wagi. Molski zabiera się do wykończenia obrazu, a zabiera się uroczyście, z ceremoniałem, po prostu powiedziawszy: z pozą. Każe żonie czytać z Biblii ustęp o zdradzie Judasza; lektura na scenie rzadko kiedy co warta, a już tem mniej, gdy nie rozumiemy, do czego ona zmierza. Malując, nie pozwala żonie patrzeć na płótno; autor pragnie w nas wmówić, że Marya jeszcze obrazu nie widziała; ale ktoby temu uwierzył, skoro pracownia nie była na klucz zamykana i sami już kilka razy widzieliśmy ją w tym pokoju! Ma to zwiększać tajemniczość obrazu i wywołać potem tem większe wrażenie; otóż tajemniczość jest środkiem epicznym (przestarzałym), ale wcale nie dramatycznym. Skończył wreszcie! Następuje przemowa o ideach miłości i cierpienia—znowu środek nie sceniczny—kazanie, podczas którego żona siedzi sobie bezmyślnie, aż do sakramentalnych słów Molskiego: „Żegnam cię, myśli moja!“ Straszna poza! Raczej powitać ją powinien, skoro mu się udało obraz wykończyć; z czemżeż się żegna? Autor daje nam do zrozumienia, że Molski wyraził w obrazie coś wielkiego, coś tak wielkiego, że po takim wysiłku natchnienia nastąpić musi jakaś reakcya, prawdopodobnie nawet zanik twórczości. Zapatrywanie takie sprzeczne jest z rzeczywistością; arcydzieło zwykło się pojawiać właśnie w licznem towarzystwie dzieł innych, a które z nich jest arcydziełem, tego twórca zazwyczaj nie wie. W nudnej tej scenie jedno tylko budzi ciekawość: co też ten obraz przedstawia? Autor każe go nam pokazać—tak jest, nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe—odwracają płótno i pokazują publiczności — bohomaz! Jestto istne *non plus ultra* nieświadomości scenicznej. Co innego napisać w powieści: „Zdjął zasłonę z obrazu i zdumionym oczom widzów okazało się arcydzieło“, a co innego kazać je wymalować dyrektorowi teatru! Dobrze jeszcze, jeżeli przy jakim teatrze jest na podorędziu jaka szkoła sztuk pięknych! Dobrego obrazu przecież nikt nie domaluje do tekstu „sztuki“, a uczniowski obraz musi w tem miejscu śmieszyć! Każdy chciał wiedzieć, co ten obraz przedstawia; wpatrywano się usilnie, i poznano po chwili, że to jest *Kuszenie Chrystusa Pana na pustyni*. Niektórzy twierdzili, że to nie szatan, ale Judasz zbliżający się ze swym pocałunkiem; powoływali się na to, że właśnie ten ustęp z Biblii czytała przed chwilą Marya. Cóż za niesceniczne środki i jakie niebezpieczne! Osoby występujące na scenie zachwycają się, poczciwa Marya aż klęka przed dziełem swego męża (znowu poza!), a widzowie mają przecież oczy i *muszą* się śmiać. Niema człowieka tak poważnego, żeby się nie uśmiechnął, ilekroć na scenie zajdzie przeciwieństwo między tekstem, a tem, co teatr daje do widzenia. W wesołem usposobieniu czeka publiczność na akt IV.

Sztuka ma bowiem ten wielki błąd, że posiada jeszcze dwa akty, jakkolwiek cała sprawa o źródła artystycznego natchnienia zupełnie już jest wyczerpaną. Autor — nieświadomie — napisał dwa utwory dramatyczne, nie mające z sobą żadnego związku i sprzągł je niefortunnie w jeden. Gdyby sztuka kończyła się na akcie III, byłaby *znacznie* lepszą.

W akcie IV zmienia się temat; będzie rzecz o wpływie niepowodzenia na twórczość. Na początku spostrzegamy, że Molskiemu znowu jakoś pusto w domu; dziwny ten malarz odwołuje wszystko, co mówił i robił w III akcie! Czyżby własne arcydzieło wpłynęło na niego tak demoralizująco? Tęskni już za Zofią. Dowiaduje się, że ona z rozpaczy po utracie jego miłości „puściła się!“ Słuchacze myślą sobie: widocznie już przedtem była kurtyzaną i dziwią się, że mógł w niej upatrywać swe natchnienie do wyrażenia ideału miłości i cierpienia!? Przypuszczenie bowiem, że zawód w miłości wiedzie do rozwiązłości, jest tak samo nieprawdziwe, jak owe słowa Molskiego: „Żegnaj myśli moja“! Nie ma tedy należytego umotywowania, dlaczego Molski jest znowu dla żony opryskliwy; ten człowiek nigdy sam nie wie, czego chce. Cały ten dalszy ciąg poprzedniego utworu zupełnie zbyteczny.

Zaczyna się nowy utwór wieścią z wystawy, że zdania o wartości obrazu są podzielone. Molski nie może tego nawet pojąć! Oburzony pędzi na wystawę, jak huragan. Albo pierwszy raz w życiu ma obraz na wystawie, albo też jest ciężko chory, a w takim razie powinien nas był autor o tem uprzedzić. X. Piotr znowu się zjawia, żeby pocieszać Maryę i razem z nią pójść do galeryi za dzikim malarzem. Skoro X. Piotr może być tak każdej chwili na zawołanie, dlaczegoż nie wezwał go autor o jedną scenę wcześniej? Znając z II aktu wpływ jego na Molskiego, mamy prawo przypuszczać, że w takim razie nie byłoby katastrofy. Artysta bowiem pobiegł na wystawę, podsłuchał trochę uwag przygodnych widzów, a podrażniony kilku żarcikami, rzucił się na obraz i poszarpał go, co wszystko pokazuje się w odsłonie piątej. Rzecz nader nie scenicznie ułożona, bo słuchacze nie wiedzą, kiedy mówi piwowar, a kiedy znawca sztuki, i czy malarza doprowadziły do szału słowa podlotka, czy też radcy miejskiego? A jak powiązać to z trzema pierwszemi aktami? Wynikałoby tedy z tego wszystkiego, że czyste serce daje natchnienie, ale nie daje siły do wysłuchania ujemnej krytyki. Ostatecznie pozostajemy pod wrażeniem, że gdyby nie zaguba pani czy panny Linçeau, nie byłoby katastrofy; a taki wniosek nie był z pewnością intencyą autora. Przez nieznajomość faktury bardzo łatwo jest na scenie o rezultat wręcz przeciwny zamiarowi. Dla *Błędnych gwiazd* jedyna rada: nie pozwolić grywać ostatnich dwóch aktów.

Są jeszcze w tej sztuce dwie osoby, także malarze: jeden z nich, Rowek, to znany już od dawna typ malarza-pijaka, nadużywany przez tylu już autorów, którzy jakby się zmówili dokuczać malarzom. Ktoby ten świat znał tylko z książek i z teatru, gotówby myśleć, że jest jakiś związek między sztuką, a alkoholizmem. Druga za to figura jest oryginalna: malarz Zaworski, reklamista i panoramista, stęskniony za dochodami ze sztuki, nie troszczący się o jej istotę i zadania. Charakterystyka jest dobra i wyrazista, a choć nie można tego odmówić Rowkowi, zdolność jednak autora do charakterystyki stwierdzić się da tylko na Zaworskim, bo tamten nie jest oryginalny.

Jest tedy w *Błędnych gwiazdach* kilka śladów talentu, ale mylne pojęcia psychologiczne i zupełna nieznajomość dramaturgiki sprawiły, że talent ten niczego jeszcze wydać nie mógł

Dyrekcya i reżyserya spełniły swoją powinność wzorowo; uczyniono wszystko, żeby podnieść poziom przedstawienia; zwracało też uwagę piękne urządzenie pracowni malarskiej, obwieszonej reprodukcyami wybitnych dzieł sztuki. W grze aktorskiej odznaczyła się przedewszystkiem p. Przybyłkówna, wyborna w rolach melancholijnych; zwłaszcza trudny występ w akcie I zasługuje na poklask. Żona, sfukana bez przyczyny przez męża złego, lecz kochanego, patrzy, jak tego męża niecierpliwią dzieci, a zmuszona równocześnie zapytać go, czy ma trochę pieniędzy na obiad, udaje potem po chwili, że się już bez pieniędzy obejdzie, bo się boi, czy nie będą pochodzić od jego kochanki; w tem wszystkiem bardzo mało słów tekstu, wyrażenie uczuć pozostawione w zupełności aktorce. Głosem stłumionym wymawiała artystka urywane słowa, wzrokiem wyrażała i miłość i obawę, a niezrównaną mimiką męczarnie duszy kochającej żony i matki, a upokorzonej w niewieściej dumie kobiety. Nieruchoma pozornie twarz, z charakterystycznem spuszczaniem i podnoszeniem oczu; postawa jakby trochę skurczona przygnębieniem, ale tak, że znać było, że na najmniejsze dobre słówko męża, ta kobieta w lot odzyska ruchliwość i gibkość i rzuci się skokiem na jego szyję; ruchy sztucznie wstrzymywane, trzymane na wodzy obawą; najmniejszy ruch czy nogi, czy ręki, miał w tym układzie ciała swe znaczenie, był jakby nieświadomem zaznaczeniem tego ruchu, który Marya wykonałaby w całej pełni, gdyby się nie bała; można powiedzieć, że były to ruchy w zmniejszeniu przedstawione. Przejście przez scenę wykonane było tak po pięknie, że zaliczyć je trzeba do tych arcydzieł aktorskiej sztuki, które kinematograf powinien utrwalać do użytku szkół dramatycznych. Partnerem był p. Tarasiewicz i grą swoją pokrył niedokładności charakterystyki Molskiego; tyrady wydawały się w jego ustach wylewami uczucia. Doskonałym był, ilekroć należało wyrazić zapał, ambicyę, dumę i namiętność; słabiej nieco wypadły te momenty, w których bohater tracił

sympatye widzów, w których odkrywały się w nim rysy ujemne, jak n. p. zapomnienie zupełne męskiej godności w akcie I lub nie umotywowana niczem tęsknota za Zofią w akcie IV; ale bo też tekst w tych miejscach jest niekonsekwentny. W roli Zofii Linçeau wystąpiła p. Siennicka, która zmanierowała się trochę podczas dłuższej nieobecności w Krakowie; zapewne zginie po pewnym czasie ta maniera. Polega ona na pewnem nadużywaniu silnych akcentów nagle podczas zwykłej rozmowy i na zbyt częstem nadawaniu głosowi jakiejś nosówkowej ponurości przy równoczesnem nagłem zniżeniu tonu, po trzecie wreszcie: na wyrażaniu filuterności niemal ciągle przez szybkie podniesienie tonu przy wymawianiu ostatniej zgłoski zdania i przeniesieniu na nią ostrego akcentu. Na tym występie zdawało się n. p., że p. Siennicka nie potrafiłaby wymówić po cichu i w sposób naturalny słów: sława, geniusz, sztuka; rzucała się zawsze i szarpała głos ile razy spotkała się z temi wyrażeniami. Ogólne jednak pojęcie roli było bardzo dobre. Ale największą rolę miał p. Solski w roli p. Rowka. Autor popadł bowiem i w ten także błąd, że postaci epizodycznej, nie mającej z akcyą żadnego związku, wyznaczył tekstu nie o wiele mniej, niż Molskiemu. W sali teatralnej taki z tego skutek, że się niewie, kto właściwie jest bohaterem sztuki? Rowek należy do świetnych typów p. Solskiego, a przeprowadzony jest z żelazną konsekwencyą. Z mniejszej roli Zaworskiego panoramisty, wywiązał się znakomicie p. Roman; amphibium artysty i eleganckiego kupca powiększyło, dzięki świetnej jego grze, ilość naszych typów scenicznych. Rola X. Piotra w wykonaniu p. Stępowskiego byłaby znakomita, gdyby to nie był ksiądz, ale zakonnica; dobrze to było zagrane, ale jakoś z przeciwnej strony.

Kończąc uwagi o tej sztuce, niesposób nie zwrócić jeszcze uwagi autorowi, że tytuł powinien się jasno tłómaczyć treścią; tu zaś niewiadomo, co lub kogo rozumieć przez *Błędne gwiazdy*. Prawdopodobnie odrywanie się od bitego gościńca obowiązków, a więc stosunek Molskiego do Zofii? Błędnemi gwiazdami są więc kobiety, zaszczycane miłostkami artystów? Za dużo honoru; wystarczyłoby je nazwać błędnemi ognikami. Ale są wątpliwości, czy autor nie nazywa błędnemi gwiazdami samychże artystów; nie ma w całej sztuce (przynajmniej nie było na scenie) ustępu, któryby mógł rozstrzygnąć tę wątpliwość.

Nastąpiła krotochwila w trzech aktach Ralpha Gobbinsa pod dziwnym tytułem *Leta*. Wszyscy byli przekonani, że to jakieś imię żeńskie z angielska przykrojone; a tymczasem ma to oznaczać szampan, w ogóle napoje wyskokowe, które użyte w odpowiedniej dozie odbierają człowiekowi pamięć, podobne w tem do owej rzeki w klassycznym świecie podziemnym. A zatem to nie żadna *Leta*, lecz *Lethe*, a przynajmniej *Lete*. Tłómacz zrobił

dziwoląga językowego i dziwna rzecz, że nie spostrzegła się na tem ani reżyserya, ani nikt z aktorów! Tłómaczenie — niewiadomo czyje — było bardzo liche i wcale nie z angielskiego, ale widocznie z niemieckiego przekładu. Wnosić to należy nietylko z germanizmów, nieraz arcyzabawnych, jak n. p. „codziennie odwiedzać Londyn“, albo „cały dom postawię na wesołej stopie“, lub też „trzymać się nogami i rękami“ (zamiast: bywać codziennie w Londynie, urządzić dom wesoło, oburącz), ale co gorsza, z całego szeregu niemieckich wyrazów całkiem nie przetłómaczonych, n. p. szwindel, jubel, bruderszaft, majstersztik. Tego już zanadto, żeby nam tak kaleczono język ze sceny i trzeba do tłómaczów zabrać się energiczniej. Byłoby też dobrze, żeby Dyrekcya wzięła sobie za zasadę, że tłómacz musi być na afiszu wymieniony; kto się podpisuje, bywa ostrożniejszy.

Treść krotochwili nie ciekawa. P. Benjamin Candle ożenił się z majętną starą panną, uprawiającą sport missyj wstrzemięźliwości; ażeby nie zawsze pijać sodową wodę, przyjmuje godność wędrownego missyonarza Towarzystwa i wyjeżdża sobie do bliskiego Londynu, bawiąc się tam po kawalersku. Siostrzeniec jego Henryk, zakochał się w kasyerce wielkiej restauracyi londyńskiej, uczciwej Nelly. Ciotka nie chce słyszeć o takim związku, ale wszystko dobrze się kończy po szeregu wesołych przygód. Pan Candle zabawia się z tancerką Floridą, jedzie z nią do Londynu, żona za nim w towarzystwie Franciszka Pembertona, młodego hulaki, który każe jej udawać swoją matkę. Franciszek kocha się we Floridzie, jest zazdrosnym, ztąd zabawne epizody w restauracyi, kilka pomyłek, kilka zabawnych spotkań i t. d., jak zwykle w krotochwilach. Mniej zużytym pomysłem jest chyba tylko zręczne wmówienie w Candla przez starszego Pembertona, notaryusza, że się znają od młodości i że Nelly jest jego córką z czasów wesołej młodości. Wszystko to jest li tylko śmiechem dla śmiechu i nie ma żadnej pieprznej przyprawy; wstrzemięźliwość w krotochwilach wielce rzadka, a tem chwalebniejsza w tym wypadku, że fabuła nastręczała wiele sposobności do pozwolenia sobie na nieprzystojne dowcipy. Ale bo też to angielskie!

Grano bardzo dobrze. Amatorem kąpieli w Lethe był p. Roman, który przepysznie odtworzył komiczną dobroduszność Candla; żoną była p. Wojnowska i pobudzała salę ciągle do śmiechu każdem słowem, każdym ruchem. Spisała się w roli tancerki p. Siennicka, w takich rolach zawsze najlepsza. Wybornym był p. Solski w roli Pembertona ojca, a p. Mielewski, grający syna, miał sposobność przypomnieć reżyseryi, że potrafii być bardzo dobrym, byle w roli stosownej. Rolę Henryka odegrał p. Sobiesław mniej starannie i trochę szablonowo, a kasyerka Nelly w ręku p. Sulimy nie miała żadnego charakteru. Za to p. Popławski zrobił niezrównany typ z roli służącego Sama, co tem

bardziej podnieść należy, skoro była to improwizacya, bo rolę miał grać nie on, lecz p. Przybyłowicz, jak świadczy afisz.

Po tem zabawnem intermezzo—uprawnionem najzupełniej — wystawiono *Zbójców* Schillera. Dramat ten utrzymuje się na repertuarze nietylko przez wielką protekcyę aktorów, łakomych na dwie wielkie popisowe role, ale i własną także siłą. Ma dużo akcyi, ciągle coś się dzieje, ciągle wszyscy w ruchu, a obydwaj bohaterowie ludzie czynni, sami sprawcami swego losu, nie poddają się wypadkom, ale starają się na nie oddziaływać i robią to przed oczyma widzów. *Zbójcy* mają fabułę banalną, charakterystykę nie wytrzymującą nawet pobłażliwej krytyki, ale posiadają w obfitości akcyę, a to dramatu przymiot zasadniczy, rozstrzygający *bezwzględnie* o scenicznem powodzeniu. I dlatego to dramat, napisany w r. 1780 a zajmujący w literaturze miejsce bardzo podrzędne, grywa się ciągle z powodzeniem. Teatr był pełny, przedstawienie trzeba było powtórzyć. Oby Dyrekcya zwróciła się i ku tym dziełom Schillera, które mają wartość nietylko w teatrze, ale też i na Parnassie!

W obsadzie wielkich ról stała się rzecz niezwykła. Wiadomo, jak artyści dramatyczni bywają zazdrośni o role, dochodząc pod tym względem nieraz aż do śmieszności; pierwszą zasadą aktora bywa, że kolega jego nie powinien grywać, a cóż dopiero, gdy chodzi o t. zw. „odebranie roli“. (W teatrze wzorowym wszystkie większe role powinny być dublowane, ale na to trzebaby też dublować fundusze). Jeżeli dyrektorem teatru bywa ktoś z pośród grona artystów, używa swego stanowiska zazwyczaj do tego, żeby użyć wielkich ról do syta i biada wtenczas młodszym talentom. P. Kotarbiński, przynoszący swą intelligencyą i stanowiskiem w literaturze, zaszczyt polskiemu zawodowi scenicznemu, okazał i pod tym względem szerszy horyzont umysłu i przywiązanie większe do sztuki, niż do swej osoby. Będąc dyrektorem, występuje nader rzadko i choć niejedną rolę mógł był już zabrać dla siebie, daje pierwszeństwo innym, a młodszym nietylko nie przeszkadza rozwijać skrzydeł, ale owszem pomaga im do lotu. Nietylko nie wyzyskuje swego stanowiska do zbierania nowych a częstych oklasków, ale – co już bardzo niezwykłe — odstępuje ich innym, nawet z dawnego swego repertuaru. Sam sobie „odbiera“ role—i w ten sposób otrzymał rolę Karola Moora p. Tarasiewicz. Tę dyrektorską cnotę dzisiejszego kierownika teatru należy bardzo cenić, bo to jest—ze stanowiska aktorskiego—poświęceniem; stanowi to też wyraźny dowód, jak Dyrektor pełen jest dobrej woli względem teatru i artystów, którym przewodzi.

Franciszka Moora grał p. Popławski i ten tak rutynowany artysta miał w pierwszym akcie „tremę“! Śmielej od niego zabrał się do rzeczy p. Tarasiewicz; skoro tylko wszedł na scenę, ożywił się teatr. Ale wkrótce Franciszek zrównał się z Karolem,

a w końcu nawet go prześcignął. W wielkiej scenie przerażenia, dobył p. Popławski takich prawdziwie wielkich tragicznych akcentów, że na jego głos drżeli nawet tacy, dla których *Zbójcy* są zabawną elukubracyą literacką, a do Franciszka na scenie od dawien przywykli. Artysta rozwinął też wielkie bogactwo środków scenicznych, i w tem p. Tarasiewicz mu nie dorównał. Rola Karola wypadła wprawdzie nietylko dobrze, ale bardzo dobrze i do zasług tego bezsprzecznie znakomitego aktora dołożyła nową; lecz o talencie p. Tarasiewicza mamy wyobrażenie tak wielkie, iż jesteśmy głęboko przekonani, że potrafi on zagrać Karola jeszcze lepiej. Ten fenomenalny talent nie jest jeszcze bynajmniej zupełnie rozwinięty. W tym występie należałoby się postarać o większą różnicę w ogólnym tonie gry pomiędzy scenami dramatycznemi a lirycznemi; trzeba przyswoić sobie jeszcze inne środki sceniczne, wprowadzić więcej różniczkowania w grze, rozszerzyć skalę mimiki i ruchów, powymyślać nowe jeszcze sposoby wyrażania uczuć, pamiętając, że pierwszą cnotą aktora jest zdolność przetwarzania się i tę trzeba pielęgnować bez końca, nie mając jej nigdy dosyć, nie zakreślając jej żadnych granic. Kto wie, czy p. Tarasiewicz nie za często miewa wielkie role i czy nie w tem przyczyna, że przetwarzanie się pozostaje nieco w tyle za innemi przymiotami. Zdaje, się jakoby niemiał czasu dostatecznie się przygotować, obmyśleć i wydobyć z siebie to wszystko, co w sobie ma, tak, że zmuszony jest grać bardziej intuicyą, niż refleksyą; a zakres tamtej, choć może cenniejszy, lecz jest ciaśniejszy i na wszystko starczyć nie może. Miejmy nadzieję, że na przyszły rok ujrzymy Karola Moora w interpretacyi tej samej (bo zasadniczo była bardzo dobrą), ale wszechstronniejszej, bardziej wyczerpującej, a wtenczas będziemy mieli arcydzieło.

Rola Amelii, nie jest tak dalece rolą; tekst jej nader słaby, figura nieuchwytna, charakterystyka bardzo niewyraźna, niemal brak charakteru. Poznał to Schiller i wytknął sam sobie w krytyce, którą sam napisał na *Zbójców* (ogłosił w *Würtembergisches Repertorium für Literatur 1782*) [1]). Powiadają też, że do tej roli wystarczy właściwie był ładną; to przesada, boć trzeba koniecznie nadać roli jakiś ton, a najwłaściwiej sentymentalny. Panna Walewska w ten ton trafiła i dobrze robiła, że grała trochę powoli i rozwlekle; ale gdy przyszło okazać się stanowczą wobec Franciszka, opuściły ją siły. Dobrze wypadły natomiast ustępy deklamatorskie, a najlepiej scena przy wierszu o Hektorze. Występ ten będzie zapewne wskazówką dla reżyseryi, kiedy tej artystki używać należy i w jakim kierunku ją kształcić. Naj-

[1]) Artykuł bardzo znamienny przez to, że zawiera krytykę zaledwie dwóch czynników: charakterystyki i stylu; o innych czynnikach dramaturgii niema nawet wzmianki!

większą zaletą reżysera jest, gdy każdego potrafi uczynić użytecznym, próbując tak długo, aż go osadzi na właściwem miejscu. Na tem polega ambicya reżyserska.

Nazwisko Lwa Tołstoja rozbrzmiewa w Europie całej głównie dlatego, że nie jest księdzem; gdyby nim był, nie przywiązywanoby żadnego znaczenia do tego, że wojuje ewangelią. Teologiczny dyletant i niedouczony ekonomista, znacznie bardziej zajmuje publiczność, niż literat i gdyby nie tołstojowska doktryna, miałby Tołstoj czytelników stosunkowo nie wielu. Jest on jednak bez porównania większy, jako pisarz, niż jako reformator, a dramaturgiem jest jeszcze zdolniejszym, niż powieściopisarzem. *Własťtmy* należy do arcydzieł charakterystyki, faktury i akcyi; w technice nie ustępuje w niczem Ibsenowi drugiego okresu, a przewyższa Norwegczyka co do organicznej kompozycyi. Jedno jednak ma jeszcze niestety wspólne z Ibsenem: że utwór jego jest bezwarunkowo brzydki. Dramat Tołstoja jest tak wstrętny, że należy mu się pod tym względem miejsce tuż po *Upiorach* Ibsena. Oddanie Pegaza na usługi doktryny kończy się zawsze cudactwem.

Dramat przetłómaczył na polskie p. Michał Przybyłowicz; przekład jest dobry i zasługuje na ogłoszenie drukiem. Zastrzedz się tylko trzeba co do samego tytułu, który jest powtórzeniem niewłaściwego niemieckiego wyrażenia: *Die Macht der Finsterniss* (tłóm. A. Scholz, pierwsze wydanie r. 1887, drugie właśnie co dopiero wyszło). Rosyjski tytuł przetłómaczony literalnie na polskie, zmienia w tym wypadku swe znaczenie; sądzilibyśmy, że *Własťtmy* znaczy po polsku: Zła moc. Nie dzieje się w dramacie nic a nic takiego, coby było przywiązanem do ciemnoty, czyli braku oświaty; nie ma ani zabobonów, ni upiorów, ni oporu przeciw jakim pożądanym innowacyom; są tylko namiętności wspólne i chłopu i panu. Wszystkie jednak te namiętności pochodzą ztąd, że ludzie ci są we władaniu złej mocy, jakoby w mocy szatana, wplątani w grzech do tego stopnia, że tracą już nawet poczucie granicy pomiędzy dobrem a złem. A przedstawienie tego zaniku moralnego zmysłu jest w dziele Tołstoja tak potężne, że nabiera żywiołowej siły.

Piotr Ignaticz, zamożny gospodarz, ożenił się powtórnie ze zmysłową a lekkomyślną Anisją. Piotr jest chory, prawdopodobnie gruźliczny, bardzo zniszczony i scharlały, to też żona nim gardzi, nienawidzi go, a utrzymuje stosunek miłosny z krzepkim parobczakiem Nikitą. Nikita ma wielkie szczęście do kobiet i uwodzi je po kolei; pracując nie dawno przy budowie kolei, uwiódł wyrobnicę Marynkę. Ojciec Nikity, bogobojny Akim Czedykin, każe mu się żenić z oszukaną i zhańbioną, ale syn przysięga się na święte obrazy, że nie zawinił wobec Marynki. Przeciwna we wszystkiem Akimowi żona jego, Matrena, całkiem inaczej zapatruje się na postępowanie syna. W sprawie z Marynką

nie widzi nic tak dalece ważnego, a romans z mężatką wydaje się jej zupełnie pożądaną i całkiem nawet prostą rzeczą: Piotr Ignaticz umrze, Nikita ożeni się z Anisją, spłaci jej pasierbicę i córkę, a sam zostanie gospodarzem. Gdybyż tylko Piotr już umierał! Matrena namawia Anisję, żeby przyspieszyć tę pożądaną chwilę i sama dostarcza trucizny. Po śmierci Piotra zbogacony Nikita zaczyna próżnować i zapijać się, z żoną obchodzi się źle i zaczyna romans z 16-letnią pasierbicą, córką Piotra z pierwszego małżeństwa, Akuliną. Stosunek nie pozostał bez następstw, trzeba dziewczynę jak najprędzej wydać za mąż. Swaty przybywają w sam raz w krytycznej chwili; Matrena i Anisja postanawiają zgładzić noworodka i ciałko zakopać w piwnicy. Wykonać zaś zbrodnię każą Nikicie, jako najbardziej interesowanemu w zatarciu śladów stosunków z Akuliną. Nikita dokonał dzieciobójstwa, ale od tej chwili nie panuje już nad sobą; sumienie obarczyło się już ponad wytrzymałość nawet jego zatwardziałości i słyszy wszędzie kwilenie niemowlęcia; miejsca dla siebie znaleść nie mogąc, postanawia się powiesić. Ostatecznie jednak zmienia to postanowienie i podczas wesela Akuliny, w chwili, gdy ma udzielić błogosławieństwa odchodzącej z rodzinnego domu, klęka i wyznaje wszystkie swoje winy, błagając o przebaczenie „ludu prawosławnego“. Cały utwór pisany jest metodą naturalistyczną; autor nigdzie przed niczem się nie cofa, tak, że nieraz aż strach spojrzeć w tę bezdeń „złej mocy“. Stosunki tych osób tak są poplątane „złą mocą“, że każda z nich kolejno ze wszystkimi innymi dopuszcza się czegoś złego; istne pokazywanie, ile może być kombinacyj grzechu! W całej sztuce jeden jest tylko porządny dorosły człowiek: Akin Czedykin, pamiętający zawsze o obecności Bożej. Mitrycz, wysłużony żołnierz i parobek u Nikity, nie robi wprawdzie sam nic złego, ale wiedząc, że niemowlę duszą i zakopują, nie stara się temu przeszkodzić; sam też znajduje się do tego stopnia pod władzą „złej mocy“, iż uważa za rzecz zupełnie naturalną, że jego żona, z którą dawno nie żyje, upadła aż do „przesiadywania po szynkach“, co oznacza w języku rosyjskim prostytucyę najniższego szczebla. Czystą jest Aniutka, córka Anisji, ale bo też ma zaledwie dziesięć lat! I tu autor robi coś strasznego: w rezonerskim jednym ustępie, wplecionym jak najzręczniej w akcyę, wypowiada przez usta Mitrycza, że Aniutka dorósłszy będzie taką samą, jak Akulina i że nawet nie może być inaczej w obecnych stosunkach ludu rosyjskiego, wydanego na pastwę „złej mocy“.

Bohaterem utworu jest cały lud rosyjski, a dramat jednym straszliwym żalem i jękiem nad jego stanem moralnym. Nie chodzi tu wcale autorowi o wykonanie artystycznego dzieła; pisząc, nie myślał o poezyi, ale tylko o ludzie i o etyce. Obnażając ranę i demonstrując każdy wrzód z całą dokładnością, woła o lekarstwo i mniema, że się go w ten sposób łatwiej dowoła; tem

się tłómaczy zupełne zaniedbanie jakichkolwiek względów estetycznych, zaniedbanie pewnie nie przygodne, lecz świadome i celowe. O jedno dzieło więcej, powstałe ze złudzenia, jakoby sztuki piękne oddziaływać mogły skutecznie także przy poszukiwaniu prawdy społecznej! Dotychczas przynajmniej nie stało się to w całej historyi ani razu...

Grozę dzieła zmniejszono u nas przez to, że z dwóch waryantów IV aktu wybrano redakcyę późniejszą, złagodzoną. Tyczy się to ustępu od sceny 13 aktu IV aż do końca; tu dzieciobójstwo dokonywa się niemal w oczach widzów! Autor zaś nie zwykł oszczędzać nerwów! Opuszczono te sceny, zastępując je waryantem, tworzącym całą drugą odsłonę IV aktu, z ową znamienną rozmową Mitrycza z małą Aniutką.

Wystawienie *Potęgi ciemnoty* było bardzo staranne i co tylko Dyrekcya zrobić mogła, co do kostyumów, dekoracyj i w ogóle urządzenia sceny, wykonano z całą sumiennością. O jedno musiało być trudniej: żeby artyści wniknęli dostatecznie w ducha utworu. Ten dramat Tołstoja przedstawia ludzi prymitywnych, którzy ulegają namiętnościom, przedewszystkiem dlatego, że nie mają w sobie żadnych środków do panowania nad niemi. Akim Czedykin, stojący wśród nich na świeczniku moralności, stoi równocześnie z nich wszystkich najniżej pod względem umysłowym; ma w sobie tak mało pojęć i rozporządza tak słabą wyobraźnią, że doprawdy zdaje się, że jest cnotliwym dlatego, że pokus nie doświadcza; gdyby ich doznawał, możeby ich także nie pokonał! Wszelkie najsłabsze nawet rozbudzenie się fantazyi, skierowane bywa u nich ku złemu, przez ową „złą moc“, w której są pogrążeni. Takie *milieu* wyrazić scenicznie, to sztuka nielada. W *Zaczarowanem kole* buchają namiętności i niebrak rozpasania zbrodni; ale o ileż tam poziom wyższy! Jest ze złem walka, jest wielka bojaźń grzechu i każdy z tych polskich grzeszników musi najpierw zwalczyć, pokonać, stłumić coś w sobie, nim do zbrodni przystanie. U Tołstoja zaś ludzie musieliby pokonać siebie, ażeby nie przystać na zbrodnię! Ale to nie są zbrodniarze na wzór najgorszych z Szekspira, którzy zatracili poczucie moralności, lecz wprost przeciwnie: ludzie, którzy tego poczucia jeszcze w sobie nie wyrobili. Jak grać takie role? Czy w Rosyi istnieje trupa, umiejąca oddać właściwości moskiewskiego chłopa tak znakomicie, jak nasi swój lud umieli wyrazić na pamiętnych wieczorach utworu Lucyana Rydla w zeszłym roku? To bardzo wątpliwe. A tylko u takiej trupy możnaby znaleźć należyte instrukcye. Żeby zaś nasi artyści samą intuicyą zdołali tę żywiołowość „złej mocy“ wystawić, to z góry było niemożebne. I brakowało też przedstawieniu tego podkładu.

Z artystów naszych intuicyą celują dwaj zwłaszcza: pp. Solski i Roman. Pierwszy z nich grał rolę Piotra Ignaticza świetnie co do zewnętrznej charakterystyki; trudno lepiej wyrazić

człowieka w tych warunkach, chorego, ledwie tolerowanego we własnym domu z powodu charłactwa i zdradzanego; ból moralny i fizyczne dolegliwości malowały się na twarzy i wychodziły z każdego ruchu. Gdy jednak nastała wielka scena, w której on, zdradzany, w obliczu śmierci, przeprasza przeniewiercę i prosi o przebaczenie, jeżeli mu w czem zawinił — scena genialnie pomyślana — niedostawało p. Solskiemu rysów z kultury od naszej tak różnej. Rezygnacya wobec blizkiego zgonu wyrażona była jak najlepiej, ale nie było rezygnacyi wobec podłości, którą ten człowiek był otoczony. Ignaticz jest zrezygnowany wobec stosunku swej żony z Nikitą, o którym wiedział (dlatego nie chce żonie wręczyć pieniędzy, lecz posyła po siostrę) — wiedział, a przecież parobka z domu nie wypędził. Według naszych pojęć ten chłop byłby naturą podłą; tam na wschodzie jest tylko typem apatycznej bierności. Tego to rysu bierności było za mało w grze p. Solskiego, ale bo też nie łatwo Polakowi zdobyć się nawet na pojęcie o takiej bierności bezgranicznej, o takiem poddaniu się „złej mocy“ bez najmniejszej ochoty do walki z nią. To jest oryentalizm, dla nas niepojęty. Sam Tołstoj, obcując ciągle z ludem i z wiejskich stosunków snujący swoje plany reform społecznych, ma w sobie sporo owego oryentalizmu, skoro aż wymyślił dogmat, że złemu nie należy się opierać: to właśnie dogmat z chaty Piotra Ignaticza. Dla nas zasada taka w etyce jest czemś tak monstrualnem, że aż śmiesznem, a tam stanowi filozofię życia! Niema w nas strun, z którychby się dały wydobyć odpowiednie tony. I p. Roman nie dopisał w tej scenie; nazbyt wyraził wyrzuty sumienia zaraz po pierwszem odezwaniu się Piotra, podczas gdy sam tekst okazuje, że dopiero po dłuższej chwili Nikita oryentuje się, iż przecież raczej on gospodarza powinien prosić o wybaczenie. Słowa: „Cóż mam przebaczać, wszyscyśmy grzesznicy“, służą nie do zagłuszenia sumienia, lecz są banalną odpowiedzią, zwyczajną w takich razach (lud śmierci naturalnej nie uważa za nieszczęście) i mają znaczenie czysto konwenansowe; powinne były być powiedziane nie w tonie głębokiego żalu, nie ze skruchą, ale pogodnie, łagodnie, z wyrazami życzliwości dla gotującego się na śmierć, a dopiero na samym końcu tej sceny powinna się do wygłoszenia dołączać charakterystyczna refleksya. Ale to są rzeczy z tak odrębnego świata, że nam wydawać się muszą wprost niemożliwemi. Można przypuścić na pewno, że gdyby pp. Solski i Roman byli grali w myśl tych uwag, byliby się nawet mniej podobali, a publiczność uważałaby to za t. zw. „niedociągnięcie“ gry. Należą się natomiast najgoretsze pochwały p. Romanowi za całość tej roli, wykonanej tak znakomicie, że może ją zaliczyć do swych najlepszych i uważać ją za nowy szczebel w swej karyerze. Podał nam typ niezrównany i ze wszystkich grających on był najbardziej owym prymitywnym człowiekiem. Okazało

się też znowu w całej pełni, jak znaczną rozporządza skalą aktorską; czupurny parobek, pyszałkowaty gospodarz, zgnębiony niewolnik przymuszony do nowej zbrodni i wnet potem zbrodniarz przerażony własnym czynem, później osłupiały nagromadzeniem zła, a wreszcie bohater w scenie wyznania; od zawadyactwa do pokory, od komizmu (w scenie pijaństwa) aż do szczytów tragiczności, a od oschłości aż do dziecięcej rzewności, przechodzi ta rola przez tyle odmian, a w każdej z nich był p. Roman znakomitym.

Trzecią piękną rolą był typ Akima, odtworzony przez p. Przybyłowicza. Artysta umiał się należycie ograniczyć w doborze środków scenicznych: bardzo nieznaczne tylko były modulacye głosu, ruchów niezmiernie mało, tylko znamienne trzymanie głowy i nieznaczne kiwanie, czasem rozkładanie rąk na bardzo małym łuku, czasem niezupełne rąk wyciągnięcie. Ubóstwo ruchów jest tej roli najwłaściwsze, bo Akim ciężki jest do myślenia, a wyobraźnia w nim zupełnie śpi. Ślicznie wyrażona była gołębia prostota, a zarazem powaga starca. Umiarkowanie było cechą całej interpretacyi i rola zyskała na tem niezmiernie.

Słabiej się powiodły role żeńskie. Najlepiej grała p. Wojnowska w roli Matreny, nader starannie, ale za mało jeszcze było w niej chytrości i ambicyi o syna; nie można było oprzeć się myśli, że ta rola byłaby jednak stosowniejszą dla p. Węgrzynowej. Anisję grała p. Senowska bardzo słabo, chociaż widocznem było, że ją sobie obmyśliła i opracowała sumiennie; dzięki temu grała przynajmniej gładko. Zupełnie niewłaściwem było odtwarzanie Marynki przez p. Bednarzewską; ta kucharka kolejowego „artiela“ wyglądała na pannę służącą z wykwintnego dworu. Dobrze trafiła w ton p. Jutkiewiczówna w roli Akuliny i była też stosownie przybrana; ale powinna była wyglądać młodziej: wszak tekst przepisuje 16 lat wieku. Była też ta rola bardzo sumiennie opracowana i wyzyskana należycie. Chociaż artystka nie zawsze odpowiednie dostaje role, nie sprawia jednak nigdy zawodu; przy stosowniejszem użyciu czyniłaby zapewne szybkie postępy. W roli Aniutki była p. Czechowska bardzo biegłą, ale nie udał się jej naiwny ton dziecka; czuć było sztuczność. W roli Mitrycza był p. Węgrzyn za mało zaniedbany i zobojętniały; zupełnie niewłaściwie wyrażał jakąś pewność siebie, tężyznę i jakoby wyższość nad otoczeniem, czego w tekście nie ma; Mitrycz mógłby być raczej trochę nawet zdziecinniałym.

Pomimo tych niedostatków, całość wywierała silne wrażenie i przedstawienie powiodło się, dzięki przedewszystkiem oddaniu głównej roli nieocenionemu p. Romanowi, którego postać górowała nad wszystkiem. Jemu należą się głównie dzięki za powodzenie Tolstojowego dzieła na naszej scenie.

Dramat sługiwał doktrynie w najrozmaitszych okolicznościach. U nas Słowacki w ostatnim okresie swej twórczości chciał za pomocą dzieł scenicznych wyrazić swoje zapatrywania na stosunek świata przyrodzonego do nadprzyrodzonego, na stosunek ziemi do wszechświata, ciała do ducha i czasu do wieczności. Do tych dzieł należy też *Sen srebrny Salomei*, który podobało się Słowackiemu nazwać „romansem dramatycznym". Utwór chyba najmniej czytywany ze wszystkich poetycznych pism Słowackiego, wymaga ustawicznego komentarza, a przez to samo już nie jest stosowny na scenę. Bez komentarza wydaje się być wybrykiem fantastyczności, nie liczącej się z logiką, podczas gdy w rzeczywistości *Sen srebrny* ma w sobie dużo fantazyi, ale fantastyczności nic a nic, jest bowiem dziełem refleksyi, wszystkie figury są ustawione celowo, a całość ma być dowodem, że istnieje bezpośredni związek ludzi z duchami, a każdy człowiek może na sobie samym doznać Objawienia. Wyobraźmy sobie na chwilę, że podzielamy zapatrywania poety; przypuśćmy, że Chrystus naprawdę pukał do dworku Gruszczyńskiego, że sen Salomei o matce był rzeczywiście Objawieniem, a Wernyhora naprawdę obcował ze światem nadprzyrodzonym i posiadał moc proroczą; próbujmy uwierzyć na chwilę, że duchy towarzyszą nam ciągle i biorą nawet udział w wypadkach naszego życia, co więcej przygotowując je nieraz — a *Sen srebrny* wyda się nam odrazu nietylko logicznym, lecz bardzo logicznym i obmyślanym jak najkonsekwentniej. Ale dobrym dramatem nie wyda się ani wtedy. Bo też Słowacki nie dlatego wcale pisał to dzieło, żeby stworzyć dobry dramat, lecz tylko dla wyznania tego, co uważał za prawdę i dla propagandy; nie myślał o dramatycznej budowie *Snu*, lecz o tem, żeby przykładami z życia ludzkiego poprzeć swoje dogmaty. To też obszernie traktuje i wywodzi na pierwszy plan niejedno, co jako dramaturg pozostawiłby raczej na uboczu, a zbywa w krótkości nieraz te właśnie momenty, które dla dramaturga byłyby zasadniczemi: ale on nie jako dramaturg to pisał, lecz jako krzewiciel swej wiary. Trzy równorzędne akcye, nie powiązane wcale według żadnej z metod dramatów pisarskich i zupełny brak perspektywy, tak, że epizody przygłuszają główne momenty akcyi, a przytem ta jeszcze okoliczność, że Słowacki zaniechał zupełnie umotywować stosunki wzajemne osób dramatu, pozostawiając domysłom, dlaczego Księżniczka pokochała Sawę, dlaczego Salusia uległa Leonowi—te wszystkie braki wywołują pewien zamęt w umyśle czytelnika i stanowią nieprzezwyciężoną przeszkodę, żeby utwór ten sprawiał ze sceny należyte wrażenie. Chociażbyśmy podzielali w zupełności zapatrywania Słowackiego, i tak raziłyby te usterki. Skoro ich zaś się nie podziela, dramat tchnie jakąś pustką, dziwimy się, dlaczego autor nie wprowadził wprost na scenę duchów? W ten tylko sposób byłaby rzecz dla wszystkich zrozumiała i dałoby się wi-

dzom narzucić pewien nastrój przynajmniej, usposabiający do psychologicznego wnikania w losy bohaterów. Przedstawienie sceniczne musi działać na zmysły i — jak każde zresztą dzieło sztuk pięknych — przez zmysły oddziaływać na umysł. W *Śnie* dzieje się wszystko przez obcowanie z duchami, po większej części one oznaczają bieg wypadków i wpływają na ich tok; a o tych duchach tylko się deklamuje i to w sposób taki, że nie wiedzący o co chodzi, i tak niczego się nie domyśli, podczas gdy dla niewiedzących i niewierzących trzebaby zmysłowego duchów zjawienia. Idziemy do teatru po to, żeby widzieć; w tym dramacie nie widzimy tego, co jest najważniejsze. Wyobraźmy sobie *Sen srebrny*, ułożony podobnie do *Balladyny*; czyżby wtenczas nie sprawiał wrażenia bez porównania większego? Ale to żądanie idzie za daleko może. Jest jednak tyle sposobów, żeby wyrazić scenicznie obcowanie z duchami, nie potrzebując wcale aktora do odegrania roli ducha; ale Słowacki wprowadza duchów na scenę w sposób jak najbardziej nie sceniczny, bo nie w akcyi, ale tylko w opowiadaniach. Ile razy coś się dzieje w naszych oczach, nic a nic o duchach nie słychać; potem dopiero opowiadają nam w długich tyradach i zwracają uwagę, że tam był w grze świat nadzmysłowy. Widzowie z opowiadań na scenie wynoszą zawsze wrażeń stosunkowo mało i w tem tkwi przyczyna, dlaczego *Sen srebrny* wcale nawet na myśl nikomu duchów nie przywiedzie, jeżeli ktoś przedtem z nauki literatury nie był o tem uprzedzony. Ani w jednej scenie nawet duchy nie są obecne; nigdy nic ich istnienia nie stwierdza, chociaż one rządzą całą akcyą. Jestto zgoła nie sceniczne i dlatego utwór ten nie mógłby pozyskać uznania ze stanowiska dramaturgii, choćbyśmy nawet jednego ze Słowackim byli zdania co do obcowania duchów z śmiertelnymi.

Byłoby bardzo niewłaściwem, wysnuwać ze *Snu* wnioski o Słowackim, jako o dramaturgu. On udowodnił w szeregu innych dzieł, że wiedział doskonale, co to znaczy dramat i jak się go układa; on, który *nigdy żadnego swego dzieła nie oglądał na scenie*, napisał jednak *Balladynę*, *Mazepę*, *Horsztyńskiego*. Żadnych przeto zarzutów przeciw zdolnościom dramaturgicznym poety z tych utworów ostatniego okresu! Stwierdźmy, dlaczego *Sen* nie sprawia ze sceny tego wrażenia, jakiego autor pragnął, ale nie sądźmy, że zdolność jego wyjałowiała. On tylko przestawał troszczyć się o to, o co dbał był poprzednio; artystycznym rozwojem to nie było; dla sztuki był to zastój, ale sprowadzały go względy, leżące zgoła po za obrębem sztuki. W historyi polskiego dramatu nie zmienia się przez to sąd o dramatycznej wartości *Snu*, ale z biografii Słowackiego skreśla się ustęp o upadku talentu. Poetyka zaś stwierdzi przy tej sposobności ponownie, że poezya nie ścierpi, iżby względy estetyczne uważano przy jej uprawianiu za drugorzędne, zwłaszcza zaś

dramat nie zniesie, żeby go zaprzedawano w niewolę jakiejkolwiek doktrynie. U najgienialniejszych nawet mistrzów pomści się to szeregiem błędów, a przez to praca ich pójdzie na marne. Dzieło sztuki natenczas tylko zdoła na widzu zrobić wrażenie dowodu pewnego twierdzenia, jeżeli zastósowało się do prawideł swemu rodzajowi właściwych, jeżeli autor dla miłości tezy nie ustąpił ani na krok w niczem od wymagań artyzmu, bo one i tylko one mają dzierżyć rząd nad utworem, a wszystko inne może być li tylko tolerowane. Słowacki doktrynie swej poświęcił bardzo wiele z dramaturgii, odstępując od jej wymogów z powolnością dziwnie skwapliwą i pracował na próżno. Czy *Ksiądz Marek* lub *Sen srebrny Salomei* zachęcił choć jednego czytelnika do badania artykułów jego wiary, czy przymnożył choć jednego prozelitę? A wszak to miało być ich zadaniem. *Konrad Wallenrod* i *Pan Tadeusz* uczą patryotyzmu, podobnież *Irydion* i *Arhelli*. Sięgnijmy o wiele dalej: nawet *Wiersz do autora Trzech psalmów* podbija czytelnika, narzuca mu pewien kąt widzenia rzeczy i rzeczywiście da się użyć (wszak się używa czasem) za hasło, za sztandar w sprawach, nie mających związku z literaturą; oddziaływa i spełnia poruczone mu przez autora zadanie; ale bo też pisany jest nie według reguł demokracyi, lecz według wymagań poezyi, jako sztuki pięknej, bez jakiegokolwiek ustępstwa od najtrudniejszych nawet jej wymagań. Ale czyż *Sen srebrny* zbudzi w kim zapał do przekonań mistycznych autora, czy zachęci go do towianizmu lub choćby nawet do mistyki wogóle? Nie! utwór jest zupełnie jałowy pod tym właśnie względem, na którym autorowi najbardziej zależało. Jest w wielkiej polskiej poezyi utwór, którego odczytywanie budzi zapał do mistycyzmu: to *Glossa św. Teresy*; ale on też nie podług mistycyzmu ułożony, lecz po prostu podług poezyi. *Sen srebrny* nie zaciekawia czytelnika do opiewanych przez autora cudów. Historyków literatury nie bierze się w rachubę, bo oni są ciekawi nie w imię ideałów autora, lecz w imię suchej nauki, wcale nie bardziej, niż czegokolwiek innego i wszystkiego wogóle. Ich celem nie jest ułatwienie propagandy, ale komentarz uczony, ażeby ułatwić zrozumienie utworu. Może messyanistyczne utwory Słowackiego wywołają czasem całą literaturę, ale messyanizmu ani one nie rozkrzewiły, ani ta literatura krzewić go nie zechce; co więcej, stanie ościeniem przeciw wierze poety. *Laborem perdidit.*

Nie ulega wątpliwości, że podkład filozoficzny, pewien wybitny ogólny pogląd na świat i życie, pomaga talentowi do tworzenia wielkich dzieł; wielkie dzieła sztuki wyrażają bardzo często (wcale nie zawsze!) jakąś konkretną myśl i wielu arcydzieł nie byłoby całkiem, gdyby nie to, że autor chciał nietylko pokazać rzecz piękną, ale zarazem ludziom coś powiedzieć: tak jest w Sistinie, w Stanzach, w Dantem, w Byronie i po większej części w całej wielkiej poezyi europejskiej XIX w. od Burnsa do

Wiktora Hugo, zwłaszcza jest tak w Polsce, jest u Chopina, Moniuszki, Grottgera, Matejki i u wielkich poetów naszych. Legion pierwszorzędnych dzieł sztuki podejmuje się różnych zadań po za sferą artystyczną, lecz zawsze samemi tylko artystycznemi środkami, nie gwałcąc natury sztuki dla spraw z po za niej. Słowacki zaś pogwałcił tu naturę dramatu, skoro aż komentarza do niego potrzeba; bo dwie sztuki piękne komentarza absolutnie nie przeniosą na sobie: architektura i dramat. Te dwie muszą być odrazu jasne i zrozumiałe dla każdego najprostszego widza, inaczej na nic się nie zdadzą. Inne są cierpliwsze i nie tracą odrazu mocy przez wezwanie komentarza na pomoc; ale i tak każda z nich ma granice tej powolności, po za któremi dzieło sztuki zupełnie przestaje oddziaływać. Otóż te granice są w dramacie jak najciaśniejsze. Dzieło artystyczne musi służyć przedewszystkiem pięknu, a dopiero podrzędnie i ubocznie prawdzie; jeżeli kto stosunek odwróci, nie usłuży ani jednemu, ani drugiemu z tych ideałów. Jestto bowiem sztuki nadużyciem. Sztuka zaś ma ten przywilej, że się nadużywać nie pozwoli i sama w sobie ma broń przeciw temu: nadużyta traci wdzięk i przestaje przyciągać ku sobie „zjadaczy chleba"; spaczona, skazana jest na to, żeby leżeć odłogiem daleko na uboczu ludzkich dróg.

Mistyczne dramaty Słowackiego pozostaną zawsze na takiem uboczu. Interesujemy się niemi dziś bardziej, bo po dokładnem zbadaniu Mickiewicza przyszła kolej na badanie Słowackiego, ale gdy te jego dzieła zostaną już należycie zbadane, interes dla nich znowu upadnie, bo tem gruntowniej będziemy wiedzieli, że w nich nietylko nie ma wielkiego polskiego dramatu, ale, że nawet nie leżą one na drodze do niego. Na dziś trzeba nam temi właśnie pismami poety zajmować się najbardziej, dlatego, że one najmniej zbadane, a nawet całkiem nie badane. Do tych studyów nad Słowackim (pożądanych jak najbardziej) należy niezbędnie, żeby wszystkie a wszystkie jego dramaty wystawić na scenie. Przedstawienia te stanowią pewien materyał, którego było brak dotychczas. To też praca Dyrekcyi naszego teatru, wystawiającej nie grane dotychczas dzieła Słowackiego, nie jest tylko teatralnem przedsięwzięciem, ale ma literackie znaczenie i doniosłość; jest stanowczo ustępem z historyi literatury narodowej i to ustępem ważnym. Za wystawienie *Snu* należy się tedy dużo uznania. To nie ulega wątpliwości, że pamięć o tej pracy p. Kotarbińskiego nigdy nie zaginie; zapiszą ją sobie roczniki literatury.

Gdy się podniosła kurtyna, ujrzało się piękną, bardzo stosownie urządzoną komnatę we dworze Regimentarza. Odrazu jednak zwrócił uwagę i skupił ją na sobie sam Regimentarz. Grał bowiem tę rolę p. Kotarbiński, który tak świetnie przedstawia tradycyę należytego noszenia kontusza na scenie; on

umie w polskim stroju chodzić. Gdy się zaczęła rozmowa, odnosiło się wrażenie, że artyści nie są pewni siebie, że się boją. P. Sobiesław był w roli Leona i powszechnie sądzono, że to rola nie dla niego. List Gruszczyńskiego odczytywał źle, nie skandując, a często łamiąc wiersz i prawie bez uczucia. Lepiej znacznie wygłosił swe wiersze p. Mielewski, jako Semenko, ale robił przy tym monologu tyle niepotrzebnych, a nie bardzo zgrabnych ruchów, że czuło się tylko, iż się do roli zapala. I Salomea zaprezentowała się bardzo blado; p. Bednarzewska zaczynała bardzo nieśmiało. Lepiej wypadła scena Regimentarza z Księżniczką, a jednak p. Siennicka była za poważną w tej rozmowie, a w monologu nie uwydatniła uczucia grozy, którem Księżniczka musi być przejęta, przypominając sobie przepowiednię Wernyhory; za to w rozmowie z Semenem trafila w dobry ton. Z krótkich też słów Semena w tej scenie znać już było, że p. Mielewski rolę dobrze pojął i że ma w myśli pewien typ obmyślony szczegółowo. Tak więc pierwsza odsłona rozpoczęta słabo, poprawiając się coraz bardziej ku końcowi, pozwalała mieć nadzieję, że sprawa pójdzie coraz lepiej. Druga odsłona według tekstu, w obozie Gruszczyńskiego. W tej roli p. Węgrzyn w roli Gruszczyńskiego i p. Popławski, jako Pafnucy, ucharakteryzowani doskonale, deklamowali dobrze; zmiana uczuć wyrażana była bardzo dobrze, a obie postacie otrzymały odrazu wybitne rysy, co dotychczas tylko o Regimentarzu można było powiedzieć. Bardzo pięknie wygłosił p. Popławski zakończenie tej odsłony. Trzecia odsłona też według tekstu. Tu czekała widzów niespodzianka: p. Sobiesław grał śmiało, deklamował wybornie, był jakby kimś zupełnie innym, niż w pierwszej odsłonie; odsłonił doskonale charakter Leona, żywy temperament i namiętność, a stosunek do Salomei zaznaczał znamiennem a rozmaitem wymawianiem swych uwag. I Salusia bardzo się poprawiła; opowiadanie snu wyszło dobrze, przy końcu sceny nie zabrakło artystce siły. Znakomicie odegrano następną scenę Leona z Semenką; typ p. Mielewskiego wystąpił już zupełnie plastycznie, wszystkie przymioty i przywary kozacze były doskonale zaznaczone, rola wyzyskana wybornie.

W II akcie p. Siennicka oddała doskonale kapryśność Księżniczki, ale miała przy sobie rażącą Anusię, szczebiocącą jakby na popis, nie próbującą nawet cokolwiek zaakcentować. Panna Mirska była drewniana. Ukazał się Sawa. Deklamacya p. Tarasiewicza niezrównana i długa tyrada nie nużyła wcale; każdej zgłosce dostało się z osobna wszystko, co tylko można zrobić dla uwydatnienia cudownej, niedoścignionej piękności tego języka. Sekundował mu dzielnie p. Kotarbiński. Podczas gdy jednak postać p. Kotarbińskiego wyrażała naprawdę regimentarza, postać p. Tarasiewicza nie była wcale żołnierską; chyba nowozaciężny żołnierz może tak wyglądać, paniątko, które dla po-

pisu próżności na krótki czas zaciągnęło się do wojska – ale nie Sawa, żołnierz z zawodu, dla którego wojna żywiołem, i to wojak stepowy, ukraiński, pół kozaka, pół szlachcica, wielki zuchwalec, który pozyskać sobie mógł względy Księżniczki tylko zuchwalstwem, tężyzną, nadmiarem sił. Księżniczka i Sawa powinni być przeciwieństwami; tego przeciwieństwa było bardzo niewiele, a gdy p. Tarasiewicz deklamował: „Hej, księżniczko na Ostrogu“, robiło to wrażenie filuternego żartu. Niema widocznie w gammie tego artysty tonu żołnierskiego, trzeba go dopiero przysporzyć sobie, a zrobić się to da z wszelką pewnością, bo p. Tarasiewicz warunki do tego stanowczo posiada. P. Siennicka wyzyskała zaś tę scenę wszechstronnie; szkoda tylko, że tu i owdzie przeświecało trochę maniery. W następnej scenie p. Bednarzewska była tylko nader rzewną, zamiast bardzo dramatyczną, boć duszą dziewczęcia miotają sprzeczne a najpotężniejsze uczucia: radość zapowiedzianego wesela i obawa o Gruszczyńce; Salusia powinna być w tej scenie chodzącym niepokojem, toć to właśnie popisowa scena dramatyczna, a wcale nie elegijna. Świetnie za to powiodło się zakończenie aktu: p. Sobiesław zaczął budzić podziw znakomitą kreacyą Leona.

Akt III zaczął się piątą z rzędu odsłoną, według tekstu. Tu popisał się p. Popławski opowiadaniem Pafnucego, wygłoszonem bardzo pięknie, przejmującem do głębi, a pełnem przytem artystycznego umiarkowania. Znakomitym słuchaczem tego długiego ustępu był p. Kotarbiński; to słuchanie należy do najświetniejszych jego ról, taka mimika doskonała, nieporównana, tyle na tej twarzy dało się ciągle czytać; ale było to robione bez jakichkolwiek nagłych, gwałtownych ruchów i zupełnie bez najmniejszego narzucania się oczom widzów; siedział nieruchomo i głowę trzymał prawie ciągle nieruchomo, grając niemal wyłącznie samą tylko twarzą i to bardzo powolnie; właśnie dlatego należy tę grę uważać za istne arcydzieło mimiki. Przepysznie wygłosił p. Popławski końcową apostrofę do Ukrainy. Dotychczas reżyseryi i wystawie nie można było niczego zarzucić. Ale w następnej odsłonie, gdy Semenko wchodzi ze swymi chłopami-zbirami, okazała się cała bieda naszego teatru co do statystów; mniejsza już o to, że ich było niewielu, ale zachowywali się na scenie bardzo niescenicznie. Doskonale grał p. Mielewski, wyraził zapalczywość tak świetnie, jak tylko można i przejmował przez chwilę grozą; wytknąć tylko należy i tu brak harmonii pomiędzy słowy i głosem (użytym wybornie), a ruchami, które nie podkreślały tekstu, ale raczej go przekreślały. Każdy ruch aktora musi być celowy, a ruchy p. Mielewskiego bywają na chybił trafił i w scenach dramatycznych często szablonowe. Bardzo źle grały Popadianki; robiły wrażenie, że nie mają pojęcia, o co na scenie chodzi. Salomea była w trudnej scenie następnej zupełnie dobrą, Semen świetny,

Leon jednak nie dopisał w ustępie z kością ludzką; ale nawet tragikom z zawodu trzebaby w tej scenie niejedno wybaczyć i trudno sobie nawet wyobrazić, jak ta scena powinnaby być zagraną, żeby wydołać tekstowi.

W pierwszej odsłonie IV aktu można się było zachwycać opowiadaniem Sawy; tekst, w straszliwości swej posunięty, a raczej przesunięty aż po za granice tej grozy, którą człowiek bez kurczu znieść może, złagodniał w deklamacyi p. Tarasiewicza i nie szarpał tak dalece nerwami; to obniżenie grozy bardzo było w tem miejscu potrzebne. Niestosownie tylko był artysta przyodziany; możnaby się spierać z nim przez całą sztukę o ten kontusz aksamitny seledynowy, wytworny i nieżołnierski, a cóż dopiero w tem miejscu? Jakto? Sawa w tym kontuszu poszedł do hajdamackiego obozu, zarzuciwszy tylko czarny płaszcz dyaka na wierzch i ten kontusz po powrocie ztamtąd wygląda, jakby prosto z igły? Następną, ósmą z rzędu odsłoną, była walka koło cerkwi, wystawiona słabo, z niedostatecznym aparatem scenicznym. Krótką scenę księżniczki z Anusią, oznaczoną w tekście, jako zmiana pierwsza IV aktu, przeniesiono do aktu V na sam początek.

Akt V dobrze był obmyślany; wytrzymał nawet próbę ogniową sceny z trupem Gruszczyńskiego; wszystko tu było grane bardzo dobrze i z należytem umiarkowaniem, a wystawa aktu bardzo staranna. Wernyhora w interpretacyi p. Solskiego wyglądał doskonale, pomyślany według obrazu Matejki.

Były więc w przedstawieniu nierówności — obok ustępów odegranych świetnie, były i słabsze. Ale też pierwsze przedstawienie było — najgorsze i ogólnie przyznają, ze następne były lepsze, a na czwartem usunięto już znaczną część niedostatków pierwszego. Świadczy to o wielkim zapale artystów, jest wskazówką, jak im samym zależy na tem, żeby dzieła Słowackiego miały godną interpretacyę. Wielki zapał z ich strony znać było już na premierze. Gdy p. Tarasiewicz deklamował w II akcie o „polskiem kawalerstwie“, porwał za sobą całą salę; tak oddziałać na słuchaczów może tylko ten, kto sam doskonale odczuwa i przejmuje się tem, co wygłasza. Za przykładem Dyrektora całe nasze grono widocznie przejmuje się Słowackim, pragnie się zżyć z jego postaciami i wniknąć w czarowną krainę tej najpiękniejszej poezyi. Obcowanie z wielkim poetą jest dla aktora najwłaściwszą szkołą; bez wątpienia też podniesie się jeszcze wyżej poziom ich zdolności przez ten kult Słowackiego. Co Słowacki już zrobił z pp. Sobiesława i Mielewskiego? Amant, salonowy wytworniś, czasem obok tego występował w rolach poważnych i spokojnych—i teraz jako Leon był tak dobry, że dla publiczności był ten występ istnem odkryciem. Prócz tych ustępów, w których tragika dochodzi do największej już grozy, podołał roli w zupełności; był lekkoduchem, amantem, potem żoł-

nierzem, następnie skruszonym człowiekiem; miał chwile szału lekkomyślności i szału bólu, rozczulenia i wściekłości, energii i odrętwienia i nietylko nie zepsuł żadnego z tych tonów, ale owszem, okazał się jak najbardziej na swojem miejscu. Leona będzie publiczność dobrze pamiętać. Nie zapomni się też Semena. Z aktorów zdolnych robi się znakomitych — przez role. Tak jest, bo nietylko aktor robi rolę, ale nawzajem, role też urabiają aktora. Po świetnym występie w roli Semena dochodzi się do wniosku, że p. Mielewski nie dostawał dotychczas ról, dla siebie właściwych i do rozwoju talentu potrzebnych. Kto wie, czy owa nienaturalność i trochę nawet maniery, które zaczęły już dawać się we znaki w rolach p. Mielewskiego, nie były tylko skutkiem tego, że bywał w rolach — nieswoich? Nawet w roli Semena było czasem trochę pozy i sztucznego patosu; ale trwało to zawsze tylko chwilę, jakby artysta ulegał jakiemuś mimowolnemu już przyzwyczajeniu, którego jednak pragnie się pozbyć. Obserwacya roli p. Mielewskiego była niezmiernie zajmująca z powodu tego zacinania się; po każdym takim wypadku wybuchał zdwojonym zapałem i odrazu poziom roli tak podnosił, że tamto wrażenie niknęło bez śladu. Jego występ celował też pod jednym względem zasadniczym: oto w jego roli najwięcej było właściwego *Snu srebrnemu* rozpędu; żywioł ukraiński wyzierał z Semena tak, że nieraz ta rola zaćmiewała przez to wszystkie inne.

O tych dwóch rolach należało się rozpisać jeszcze z osobna, ażeby zwrócić uwagę, jak wystawianie dzieł literackich oddziaływa pod każdym względem korzystnie na scenę, jak kształci artystów, zdolności wzmaga, a podnosząc ambicyę, podnosi zarazem wydatność ich talentów. To też kończąc sprawozdanie z przedstawienia *Snu srebrnego Salomei*, cieszymy się, że po tem dziele nastąpi niebawem znowu inny utwór Słowackiego. Słowackiego dziś na polskiej scenie niemoże być nigdy za wiele!

Dr. Feliks Koneczny.

Przegląd polityczny.

Kraków, 31 marca 1900 r.

Polityka wewnętrzna anstryacka zdawała się wchodzić na spokojniejsze tory. W Izbie deputowanych przeprowadzono najpierw rozprawę nad programem rządu, a ta rozprawa, pomimo bardzo silnych akcentów, nie doprowadziła do gwałtownych wybuchów. Mowcy zajmowali się prawie wyłącznie określeniem stanowiska swoich stronnictw, a mało tylko programem rządu. Każdy mówił o tem, co mu na sercu leżało, lub też co przedstawiał jako leżące mu na sercu, ale chociaż nie doszło przy tem do zbliżenia, to nie nastąpił z drugiej strony nowy rozdział. Zasadnicze stanowisko zostało niezmienione: Czesi oświadczyli, że, póki za zbrodnię zniesienia rozporządzeń językowych nie otrzymają zadosyćuczynienia, póty pozostaną w najsilniejszej opozycyi, a nawet użyją w danym razie obstrukcyi. Niemcy znowu powoływali się na program, ustanowiony na zebraniu, odbytem na Zielone Świątki, t. zw. *Pfingstprogramm,* którego głównym punktem było ustanowienie języka niemieckiego, jako języka państwowego, za pomocą ustawy. Umiarkowani Niemcy unikali wyrażenia „języka państwowego“, mówili oni o języku niemieckim, jako „języku pośrednictwa“ *(Vermittlungssprache,* nie *Staatssprache).* O tej samej *Vermittlungssprache* mówili i mowcy niemieccy w Izbie panów, gdzie się także odbyła obszerniejsza dyskusya nad programem rządowym. Rozprawy w Izbie panów różniły się co do tonu i treści przemówień nader korzystnie od rozpraw Izby deputowanych. Była to dyskusya poważna, spokojna, w której i znakomite

nazwiska mowców i sposób mówienia większe robiły wrażenie, jak najzapalczywsze wywody mowców Izby deputowanych. Gdyby potrzeba robić porównania, to były rozprawy w Izbie panów tem, czem był chór w tragedyi greckiej. Po namiętnych wybuchach, wśród rozognionych umysłów, wypowiadał chór swoje zapatrywanie spokojnie, działając właśnie przez ten spokój więcej, jak przez zapalczywość. We wszystkich mowach brzmiała jedna nuta: konieczność zgody i konieczność spokojnego funkcyonowania parlamentu. Mowcy niemieccy podnosili przytem potrzebę ustanowienia języka niemieckiego „językiem pośredniczącym“, a do tego pożądania przyłączyli się tak Niemcy z lewicy, jak i Niemcy z partyi środka Izby panów. Ze strony Czechów przemawiali profesor Albert i stary, 80-kilkoletni Rieger, który jak dąb stoi dotąd jeszcze niewzruszenie. Stary Rieger mógł mówić z całą powagą wieku, doświadczenia i talentu politycznego. Nic dziwnego, że między Riegerem a całą dzisiejszą generacyą polityków czeskich istnieje pewna zasadnicza różnica: obecni politycy czescy wzrośli wśród walki narodowości; idea narodowości, proklamowana przez Napoleona III, przypada w czas ich młodości, pod hasłem tej idei walczyli i walczą całe życie. Rieger znowu, jeszcze towarzysz Palacky'ego, walczył i walczy dotąd jeszcze w imieniu osobnej indywidualności państwowej królestwa czeskiego. Dla Riegera jest czeskie prawo państwowe dotąd jeszcze ewangelią, a powrót do dyplomu październikowego jedynym środkiem zażegnania obecnych burz. Rieger—to szkoła historyczna, obecni zaś politycy czescy — to szkoła naturalistyczna. Rieger udzieliłby Niemcom w obrębie indywidualnego królestwa czeskiego wielu praw, jakich dzisiejsi czescy politycy im odmawiają. Czy to prawo państwowe czeskie nie stanie się znowu może hasłem, pod którem gromadzić się będzie lud czeski w przyszłości, trudno przewidzieć. Jeżeli lud ten przekona się, że na drodze, że tak powiemy, naturalistycznej, nie dojdzie do swoich praw, to wróci do—historyi. Między posłami czeskimi w Izbie deputowanych występował już w tym samym kierunku w ostatnim miesiącu na zgromadzeniu wyborców Edward Gregr, którego znana mowa w ostatniej sesyi delegacyj wspólnych przypomina mowę Riegera w Izbie panów.

Rzecz charakterystyczna! W rozprawach nad programem rządowym, którego główną i najważniejszą treścią była zapowiedź wielkich i ważnych reform ekonomicznych, zajmowano się wszystkiem innem, tylko nie temi reformami. Mowcy ograniczali się na wyrażeniu zadowolenia z tych zapowiedzi i—oto wszystko. Widać z tego, że w Austryi dotąd jeszcze nie osiągnęły sprawy ekonomiczne tego znaczenia pierwszorzędnego, jakie posiadają w innych państwach. Austrya jest zawsze o kilkadziesiąt lat w tyle za innemi państwami.

Ponieważ wszystkie rozprawy nad programami rządowemi — wieleż to już tych mów i tych programów słyszeliśmy! — kończą się bez glosowania i bez żadnego politycznego wyniku, przeto łatwo pojąć, że i ministerstwo p. Koerbera uważało te rozprawy za rodzaj *malum necessarium*, które znosiło, bo je znieść musialo. Bez porównania ważniejszem wydawało się dla tego ministerstwa pytanie, czy obecny parlament będzie w stanie załatwić choćby jedną ze spraw, zwanych „koniecznościami państwowemi“. Taką „koniecznością państwową“ było w pierwszej linii przyjęcie ustawy o poborze rekruta. Od r. 1896 odbywał się pobór rekruta na podstawie wyjątkowego rozporządzenia, a nie na podstawie ustawy. Że taki stan rzeczy podkopywał podstawy armii, to pewne, jak również świadomem było, że Cesarz przywiązywał do załatwienia tej sprawy przez parlament ogromne znaczenie. Ministerstwu p. Koerbera i ta sztuka się udała. Czesi oświadczyli, że użyją wprawdzie obstrukcyi przeciwko innym, przez rząd zapowiedzianym projektom, mianowicie przeciwko pożyczce na inwestycye, ale że nie będą używać obstrukcyi przeciwko ustawie o poborze rekruta; w ten sposób projekt ustawy przeszedł i parlament po raz pierwszy od upadku hr. Badeniego zawotował ustawę, należącą do „konieczności państwowych“. Aż dotąd odmawiali raz Niemcy, raz Czesi państwu tego, co mu było potrzeba do życia i w ten sposób osiągali zadosyćuczynienie swoich żądań. Ministerstwo p. Koerbera skorzystało z tak pomyślnego wiatru i przeprowadziło zaraz po przyjęciu ustawy o poborze rekruta drugą konieczność państwową: wybór delegacyj wspólnych. Tak zabezpieczył p. Koerber regularną funkcyę armii i polityki zagranicznej, o ile te zawisły od parlamentu, i jak gdyby

obawiając się sam swoich sukcesów, prędko odroczył sesyę Rady państwa, zwołując sejmy.

Przed zejściem się parlamentu i po rozejściu odbywały się konferencye ugodowe między mężami zaufania czeskimi i niemieckimi, które, chociaż nie doprowadziły dotąd do zupełnego porozumienia, w wielu punktach osiągnęły pomyślne rezultaty, mianowicie w sprawie ordynacyi wyborczej sejmu czeskiego i języka władz autonomicznych. Już sam fakt, że Czesi i Niemcy przez dłuższy czas potrafili obradować około zielonego stolika w sposób spokojny i rzeczowy, dowodzi, że namiętności się uspakajały. Wszak w gruncie rzeczy niema różnicy zdań, którąby się nie dała przez spokojną dyskusyę wyrównać, jeżeli tylko obie strony nie rozpoczynają rokowań *de parti pris*. Przeciwko konferencyom ugodowym rozpoczęła się agitacya ze strony radykalnych żywiołów niemieckich z jednej i radykalnych żywiołów czeskich z drugiej strony; być może, że ta agitacya chwilowo potrafi na nowo rozbudzić namiętności i uniemożliwić wprowadzenie w życie niektórych punktów zgody, ale pewnem się zdaje, że po tylu doświadczeniach przeszłości nie potrafi ta agitacya osiągnąć takich sukcesów, jak swojego czasu agitacya Młodoczechów przeciwko punktacyom zgody, zawartej za ministerstwa hr. Taaffego ze Staroczechami na konferencyach ugodowych.

Odraczając parlament, mogło tak ministerstwo p. Koerbera z zadowoleniem spoglądać na dotąd osiągnięte rezultaty i z pewną ufnością oczekiwać rozpoczęcia sesyi sejmów.

Równocześnie z akcyą ugodową w parlamencie prowadził rząd akcyę ugodową w wielkiem bezrobociu, jakie uorganizowali górnicy na Morawie, na Szląsku i w części Czech. To bezrobocie było największem, jakie dotychczas w Austryi powstało, albowiem liczba uczestników wynosiła około 50.000. Wykazało ono, że stronnictwo socyalistyczne, które występuje w Austryi na zewnątrz z ogromną pewnością siebie, nie posiada tak silnej organizacyi, jak wypadałoby przypuszczać, czytając butne wywody dzienników socyalistycznych z rodzaju *Arbeiterzeitung*, albo *Naprzód*, lub też słuchając gwałtownych mów p. Daszyńskiego. Bezrobocie górników wybuchło bez wiedzy kierowników stronnictwa socyalistycznego, którzy później, dla ratowania opinii, objęli

kierownictwo i poczynili mnóstwo przyrzeczeń, których spełnienie okazało się niemożliwem, albo może na których spełnieniu nie wiele im samym zależało. Na zgromadzeniu urzędu rozjemczego w Cieszynie odrzucili górnicy z całą butą propozycye właścicieli kopalń, na to tylko, ażeby po kilku tygodniach kończyć bezrobocie i odłać się prawie na łaskę tych samych właścicieli. W parlamencie starali się mowcy socyalistów przeprowadzić ustawę, zaprowadzającą zasadniczo 8 godzin pracy w kopalniach, ale nie szli do ostateczności. W komisyi socyalno-politycznej, która się zajęła bezrobociem, przeważyło przekonanie, że takiej ustawy nie można tworzyć pod naciskiem chwili, ale że potrzeba się nad nią zastanowić gruntownie. Rząd znowu przyrzekł, że wniesie na sesyi parlamentu po Zielonych Świątkach projekt ustawy, odpowiadającej potrzebom górników i usprawiedliwionym żądaniom właścicieli kopalń, ale w danej chwili musi się ograniczyć na zbieraniu materyałów do takiego projektu.

Wszystko to przyjęli przywódcy socyalistów nadspodziewanie spokojnie, a dzienniki socyalistyczne, które przy lada sposobności nad najdrobniejszą sprawą przynoszą szeregi gwałtownych artykułów, w tej sprawie, obchodzącej setki tysięcy proletaryuszów — po kilku napadach zamilkły. W tych dziennikach znajdują się obecnie szeregi wywodów z powodu sankcyonowania nowej ustawy wyborczej dla Wiednia, a o bezrobociu górników nikt tam więcej nie pisze. Co jest powodem tego ciekawego zjawiska?

Warto kilka słów o tem powiedzieć.

Stowarzyszenia robotników w Anglii, tym klassycznym kraju walki między przedsiębiorcą a robotnikiem, mają za wyłączny prawie cel: przygotowanie środków pieniężnych na wypadek bezrobocia. Te stowarzyszenia rozporządzają tam ogromnemi środkami pieniężnemi w tym celu i kiedy bezrobocie wybuchnie, cała organizacya jego jest przygotowana.

W Austryi są stosunki zupełnie inne. Organizacya robotników służy w Austryi najrozmaitszym celom — tylko, jak widzieliśmy przy bezrobociu górników, jak najmniej celom, dążącym do podwyższenia płacy robotników. W Austryi używaną jest organizacya robotników do celów politycznych, so-

cyalnych, religijnych, albo właściwie mówiąc antireligijnych, a jeżeli bezrobocie wybuchnie, to zwykle bez przygotowania, bez organizacyi i bez właściwego zakończenia. W gruncie więc rzeczy nie przynosi socyalizm austryacki robotnikom tych korzyści, jakie są dla niego najważniejsze, korzyści ekonomicznych.

Zkąd to pochodzi? Nie ulega wątpliwości, że niemałą rolę odgrywają przy tem stosunki specyalnie austryackie, gdzie dotąd walka polityczna przeważa nad walką ekonomiczną, z drugiej jednak strony pewnem się zdaje, że samym obecnym kierownikom socyalizmu austryackiego nie tyle chodzi o walkę robotników przeciwko fabrykantom, jak o walkę polityczną. Interesa ekonomiczne robotników schodzą dla nich wobec interesów politycznych ich własnych klas na drugi plan. Socyalizm austryacki znajduje się obecnie w rękach średnich klas, przeważnie żydowskich. To mieszczaństwo żydowskie używa socyalizmu jako najlepszej broni zaczepnej i odpornej; pod hasłem socyalizmu można tak łatwo wszystko krytykować, na wszystko uderzać, a wiadomo, że krytyka, to najsilniejsza strona intelligencyi żydowskiej. W Wiedniu rozpowszechniony jest główny organ socyalizmu, *Arbeiterzeitung*, przeważnie w średnich klasach, na które wywiera pod względem politycznym bezsprzecznie niemały wpływ. Dla tych klas jest ten dziennik pisany w ich stylu, w ich sposobie myślenia. Taki p. Daszyński, który uważa się za przywódcę, jest tylko maryonetką w ręku tych ludzi, którzy używają jego burzliwego talentu krasomówczego, tak, jak się używa tarana do rozbijania murów. *Er glaubt zu schieben und er wird geschoben.*

Socyalizm austryacki stracił pod tem kierownictwem charakter groźny dla państwa, jako takiego, ale niebezpieczny on jest przez powolne podkopywanie wszystkich zasad i ustawiczną walkę przeciwko wszystkim rządom austryackim bez różnicy.

Ministerstwo p. Koerbera nie długo jednak będzie mogło wypoczywać w spokoju na laurach, zebranych w parlamencie. Przez sankcyonowanie nowej ordynacyi wyborczej dla miasta Wiednia, jaką uchwaliła większość antisemicka sejmu niższo-austryackiego, ściągnął p. Koerber na siebie

anathema całej prawie prasy wiedeńskiej. P. Koerberowi dziać się będzie podobnie, jak swojego czasu hr. Badeniemu. Ta sama prasa, która hr. Badeniego podnosiła z początku jego rządów pod niebiosy, nie znajdowała później dosyć słów do wyrażenia oburzenia w chwili, kiedy hr. Badeni potwierdził wybór p. Luegera burmistrzem miasta Wiednia; ta sama prasa zachwycona była z początku p. Koerberem, po sankcyonowaniu ordynacyi wyborczej potępia go obecnie prawie jednogłośnie. Sprawa antisemityzmu, szczególniej antisemityzmu wiedeńskiego, odgrywa w ogólnej polityce austryackiej ważniejszą rolę, jak się zdala stojącym wydaje.

Jeżeli obstrukcya w parlamencie austryackim chwilowo ustała, to zato wystąpiła ona na porządek dzienny w Reichstagu niemieckim, w tym spokojnym Reichstagu, gdzie unikano dotąd każdego gwałtowniejszego słowa. Powodem była t. zw. *lex* Heinze, projekt ustawy, zwróconej przeciwko publicznemu podkopywaniu moralności i obyczajności, za pomocą odpowiedniej zmiany i odpowiedniego uzupełnienia postanowień kodeksu kryminalnego. Projekt tej ustawy występował przeciwko szerzeniu prostytucyi, przeciwko sprzedaży, rozszerzaniu i wystawianiu na widok publiczny nieobyczajnych pism, obrazów i przedstawień, jak również pism i obrazów, które, aczkolwiek nie są nieobyczajne, przecież obrażają uczucie wstydu publicznego. Projekt ustawy zajmował się także opieką nad kobietą, zagrażając karami służbodawcom, którzy nadużyli swojej władzy wobec służących, okładając karami uwodzicieli dziewcząt między 16 a 18 rokiem życia. Można uznać niektóre postanowienia *lex* Heinze za zbyt drakońskie lub za daleko sięgające, ale pewnem jest z drugiej strony, że myśl przewodnia i główne postanowienia projektu były zdrowe i bardzo na czasie. Pomimo to powstał w wielkiej części prasy niemieckiej ogromny krzyk przeciwko temu projektowi, który przedstawiono jako zamach na sztukę, na literaturę i na swobodę myśli. W imieniu malarzy, rzeźbiarzy, poetów, pisarzy, przemawiała wielka część prasy niemieckiej, przyczem nikt nie podniósł, że podobnie, jak pojęcie sztuki się zmienia w ciągu wieków, tak zmienia się i pojęcie moralności publicznej.

U Greków n. p. nie przedstawiali artyści człowieka inaczej, jak nagim; oni sobie człowieka inaczej nie wyobrażali, zkąd pochodzi, że nagość nie obrażała tam uczucia moralności publicznej, ale odpowiadała ogólnemu przekonaniu, ogólnej myśli klassycyzmu. Nagość nie obraża także i obecnie ani w muzeach, ani w zbiorach sztuki, tam, gdzie publiczność przychodzi z zamiarem oglądania dzieł sztuki dla sztuki — ale obraża ona na ulicy, obraża w wystawach księgarń, przed któremi stają dzieci i osoby, nie patrzące na nagość jako na przedmiot sztuki, ale jako na przedmiot lubieżności. Że zaś silniejsza obrona kobiety potrzebna jest w dzisiejszych czasach, na to zgodzą się najzapalczywsi zwolennicy liberalizmu. Walka przeciwko *lex* Heinze przybrała jednak charakter walki przeciwko t. zw. klerykalizmowi, przeciwko „reakcyi“, a ponieważ większość Reichstagu była dla ustawy korzystnie usposobiona, przeto użyła mniejszość obstrukcyi i uniemożliwiła glosowanie. Po Świętach będzie się Reichstag zajmował przeważnie sprawą floty, tak, że możliwem jest, iż *lex* Heinze zniknie zupełnie z porządku dziennego...

I w tym wypadku okazało się, że obstrukcya należy obecnie do chorób, epidemicznie grasujących po parlamentach Europy i to nietylko w sprawach żywotnych narodu lub państwa, ale nawet w sprawach różnic w zapatrywaniach — na sztukę.

Wśród tych pokojowych zajść toczyła się dalej wojna w południowej Atryce, która przybrała charakter dla Boerów nader groźny. Jeżeli drobny ten naród w tej walce o swój byt liczył na jakąś pomoc ze strony mocarstw, to się najzupełniej pomylił. Ze wszystkich stron, ze strony cesarstwa niemieckiego, ze strony Szwajcaryi i ze strony Austryi otrzymali Boerowie na prośbę interwencyi prawie zupełnie tę samą odpowiedź, że Anglia interwencyi sobie nie życzy, a więc mocarstwa nie mogą interweniować. Odpowiedź była formalnie usprawiedliwiona, ale w rzeczywistości negowała ona zasadę interwencyi. Wszak w żadnej wojnie silniejszy nie będzie żądał interwencyi przeciwko sobie samemu; obowiązkiem moralnym mocarstw jest właśnie chronić słabszego przed zupełną zagładą, jeżeli słuszność jest po jego stronie.

O moralnych obowiązkach rządy dzisiaj nie mówią. Zadawalają się formalną słusznością. Nawet ze strony rządu rosyjskiego, tego samego rządu, który niedawno dopiero dał inicyatywę do konferencyi pokojowej w Hadze i który prędzej czy później musi się przygotowywać na starcie z Anglią, nie otrzymali Boerowie innej dotąd pomocy, jak kilka platonicznych wywodów w dziennikach rosyjskich. Wojna południowo-afrykańska jest nowym dowodem, jeżeli w ogóle dowodów na to potrzeba, że w całym świecie panuje dotąd Bismarckowskie: *Gewalt vor Recht.*

* * *

FLORYAN ZIEMIAŁKOWSKI.

Wspomnienie pośmiertne.

W pierwszym zeszycie tego pisma, na pierwszem miejscu, stał artykuł programowy, z podpisem *Floryan Ziemiałkowski*. Młodzi założyciele *Przeglądu* nie spostrzegali, że były różnice znaczne w pojęciach i zasadach między nimi a tym uproszonym współpracownikiem — albo raczej myśleli, że przy dobrym celu i dobrej woli różnice takie ścierają się w działaniu. Niedoświadczeni, nie wiedzieli, że one właśnie w praktyce zaostrzają się, a ludzi nie zbliżają, lecz oddalają od siebie. Byliśmy też, w całym dalszym zawodzie, przeciwnikami politycznymi Ziemiałkowskiego. Niemniej, owszem dla tego tem bardziej, mamy sobie za powinność oddać słusznie należne uszanowanie zmarłemu, który rozumem, zdolnością, miłością ojczyzny rzetelną i gorącą, należał do znakomitych ludzi tego kraju i swego pokolenia, a pojęciami swemi do tych, którzy czas swój wyobrażali najdokładniej.

Jako młodziutki chłopiec należał do tajnego sprzysiężenia, przebył cztery lata w więzieniu, usłyszał wyrok śmierci i w tej samej chwili wyrok ułaskawienia. To był wstęp do życia, który młodzieńca zrobił sympatycznym; niezwykłe, bardzo niezwykłe zdolności, zwracały na niego uwagę, zanim jeszcze miały sposobność ukazać się jawnie i publicznie.

Sposobność tę nastręczył rok 1848. Młody Ziemiałkowski powitał w nim spełnienie wszystkich swoich ideałów: wolne narody, a więc Polska wolna także — i demokracya. Wypadki owego roku, rola, jaką odegrał w ówczesnym

Reichstagu, rola, jaką odegrał nie bez jego pomocy starszy przyjaciel, Smolka, to było jego drogie umiłowane wspomnienie, jego wiek bohaterski, żeby się tak wyrazić. Jego pomyłką i szkodą, po części jego winą, było, że na ówczesnem swojem stanowisku na całe życie pozostał. Tak się za młodu przywiązał do tych pozorów i haseł wolności i sprawiedliwości, które się nazywają liberalizmem, tak niemi przesiąkł, że ani wielki rozum, ani doświadczenie i dotykalne nauki dziejów, nie zdołały mu otworzyć oczów na istotną marność i nierzetelność, w logicznem następstwie na szkodliwość tych pojęć i teoryj. Jego sympatya i jego ufność była zawsze po stronie ludzi, którzy te hasła głosili, i to nie w latach młodości, kiedy złudzenie jest prawie nieuniknionem, ale w wieku zupełnie już dojrzałym. Konstytucya austryacka z grudnia r. 1867 jego nie raziła, bo miała te demokratyczne i liberalne pozory; Giskra i Herbst nie wydawali mu się przeciwnikami politycznymi, bo byli demokratami i liberalnymi; zniesienie konkordatu wydawało mu się rzeczą naturalną, nawet dobrą; narodowa autonomia Galicyi, odrębne stanowisko Węgier, ich prawem i koniecznością, ale centralistyczna Austrya z temi wyjątkami była w jego oczach możliwą, a raczej jedyną możliwą.

Na tym punkcie nastąpił polityczny rozbrat Ziemiałkowskiego z wieloma innymi, między tymi z przyjacielem całego życia, Smolką. Kiedy w ostatnim dniu lutego i pierwszym marca r. 1867 ważyła się w Sejmie sprawa wysłania lub niewysłania delegacyi do Rady państwa, Ziemiałkowski, sprawozdawca komisyi, miał bronić wniosku do uchwały i adresu do Cesarza, w których była odmowa delegacyi i powody tej odmowy. W ostatniej chwili, pod groźbą z Wiednia, zmienił stanowisko. Nie on jeden. Zrobiła to samo większość ówczesnego Sejmu. Dziwnie ta sprawa i uchwała dzieliła i łączyła ludzi. Ziemiałkowski rozszedł się ze Smolką, ale po jego znalazł się stronie Zyblikiewicz, który go zkądinąd nie lubił. Leon Sapieha, marszałek, był za wysłaniem delegacyi; Maurycy Kraiński, tak mu blizki, był przeciw.

Z tej różnicy wynikł i podział, solidarnego zresztą na zewnątrz, Koła polskiego w Wiedniu, na dwie gruppy. Na czele większej, tej, która rozstrzygała i prowadziła, stał Zie-

miałkowski. Ale ta większość Koła nie była w zgodzie z większością Sejmu, i gdy ten, w jesieni r. 1868 przystąpił do krytyki uchwalonej konstytucyi, pokazało się, że osłabła podstawa Ziemiałkowskiego w kraju. Miał zawsze swoich wiernych, miał nawet fanatyków; ale takiego wpływu, jak dawniej, już nie wywierał. Nawet kiedy się te różnice zatarły, a drażliwości ustały, kiedy został ministrem, o sprawy krajowe troskliwie i czynnie dbałym, kiedy zasług położył niemało, nie miał już takiej ufności i wziętości, jak za młodu.

Był on nietylko bardzo rozumny, ale politycznie rozumny. Naturę, konieczność i warunki rządzenia rozumiał doskonale. Anarchia w parlamencie nie byłaby, sądzimy, możliwą, gdy on był w rządzie. Był doskonałym, świetnym mowcą. Logikę argumentów miał ścisłą i jędrną, dowcip złośliwy i dotkliwy, temperament nerwowy, może nawet namiętny, a przez to, wszystko, co mówił, miało życie i ogień. W formach wykwintny, w obejściu delikatny, uprzejmy, miał ten takt, który człowiekowi publicznemu jest koniecznie potrzebny, a człowieka prywatnego robi miłym zawsze towarzyszem. Takim on był w wysokim stopniu, przez rozumną rozmowę, przez wykształcenie bardzo wielostronne, przez wesołość i dobry humor, który błyskał często dowcipem bardzo świetnym. W polityce był opportunistą niezaprzeczenie; ale tego, co miał za swoją zasadę, to jest praw narodowości polskiej i swego liberalizmu, nie byłby poświęcił. Zręczny był bardzo, a w tej zręczności bywał i przebiegłym. W demokracyi jego było przekonanie i zamiłowanie, ale nie było, tę sprawiedliwość oddać mu należy, nie było nic rozkładowego. Miewał niechęci gwałtowne do ludzi, nie miał nienawiści do części narodu. Był zanadto rzetelnie Polakiem i zbyt rozumnym, żeby taką nienawiść był sobie miał za co innego, jak za grzech przeciw ojczyźnie. I znowu gdyby on był we Lwowie, i czynnym, to w jego obecności demokracya polska na wiecu miast i miasteczek w r. 1889 nie byłaby rzuciła w kraj hasła: „Chłop przeciwko szlachcicowi“ — przynajmniej nie bez protestu. Za młodu był w spisku, w dojrzałym wieku należał, jak wszyscy, do złudnych i zgubnych działań naszych w r. 1863; ale demokrata z przekonania i uczucia, był z uczucia zanadto Polakiem, z przekonania zanadto po-

litykiem, żeby nie miał był potępiać śmiało i jawnie tego, co robią następcy emigracyjnego Towarzystwa Demokratycznego. Czy miał osobistą ambicyę? Nie wiemy; przypuszczamy, że tak, że rad był zająć miejsce w rządzie. Ale gonitwy za popularnością, ale ubiegania się o łaski opinii, ale działania wbrew swemu zdaniu i przekonaniu, lub pomagania do czegoś, co miał za złe, tegośmy w nim nie widzieli — jak nie było spekulowania na giełdach, rzucania się w finansowe przedsiębiorstwa, starania się o dobrze płatne miejsca. Opportunistą był, ale godności i poważnej postawy miał więcej od wielu podobnych. Naszym politycznym przeciwnikiem był; ale bylibyśmy szczęśliwi i dla sprawy polskiej byłoby dobrze, gdybyśmy mieli takich tylko przeciwników, jak on, prawdziwie rozumnych, a rzetelnie mających Polskę więcej, niż siebie, na celu. Jego nieszczęściem i szkodą kraju, a po części jego winą, było, iż nie przewidział, nie zrozumiał tego, że te pojęcia i dążności, które miał za słuszne i dobre, musiały w koniecznem następstwie wydać *progeniem vitiosiorem* tych pojęć i stosunków, które mamy między sobą dziś, które on w goryczy i szczerości serca potępiał i opłakiwał.

Przeciwnikowi niegdyś w życiu politycznem, ale życzliwemu zawsze, dla znacznie młodszego bardzo przyjaznemu i dobremu, dziwnie miłemu towarzyszowi celi więziennej, która stawała się prawie przyjemną przez jego rozum i obejście, to słowo rzewnego wspomnienia i pożegnania, szczerej za niejedną chwilę wdzięczności, i wyraz głębokiego przekonania, że gdyby ludzie jego przekonań byli tacy, jak on, byłoby nam lepiej.

St. Tarnowski.

DEUTSCHE RUNDSCHAU.

Inhalt des März-Heftes, 1900.

I. Ein Erlebniss. Novelle, von Ilse Frapan. — II. Seemacht und Landkrieg. Von C. Freiherrn v. d. Goltz. — III. Paul Heyse. Zum siebzigsten Geburtstag. Von Wilhelm Bölsche. — IV. Jugenderinnerungen. Von Paul Heyse. Mein Elternhaus. — V. Joseph Chamberlain. Von M. von Brandt.—VI. General von Goebens's letzte Reise nach Spanien (1878). Von Gebhard Zernin.—VII. Die grossen Mächte. Ein Rückblick auf unser Jahrhundert. Von Max Lenz. Dritter Theil. — VIII. Ein Kopf von Helleu. Von Adalbert Meinhardt. II. (Schluss).— IX. Politische Rundschau. — X. Oldenberg's Indien und Iran. Von Lady Blennerhassett.— XI. Eine politische Geschichte Deutschlands im neunzehnten Jahrhundert. Von G. Hartwig.— XII. Literarische Notizen. — XIII. Literarische Neuigkeiten. — XIV. Inserate.

ARGUS de la PRESSE.

Fondé en 1879.

Pour être sûr de ne pas laisser échapper un journal qui l'aurait nommé, il était abonné à **l'Argus de la Presse** *„qui lit, découpe et traduit tous les journaux du monde, et en fournit les extraits sur n'importe quel sujet".*

Hector Malot *(ZYTE, p. 70 et 323).*

L'Argus de la Presse fournit aux artistes, littérateurs, savants, homme politiques, tout ce qui paraît sur leur compte dans les journaux et revues du monde entier.

L'Argus de la Presse est le collaborateur indiqué de tous ceux qui préparent un ouvrage, étudient une question, s'occupent de statistique, etc., etc.

S'adresser aux bureaux de l'Argus, **14, rue Drouot, Paris.** *Téléphone.*

L'Argus lit 5,000 journaux par jour.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Dr Jerzy Mycielski.

Tom 136. Nr. 407.

PRZEGLĄD POLSKI.

ROK TRZYDZIESTY CZWARTY.

Zeszyt XI. Miesiąc Maj 1900 r.

Redakcya „Katolika".

W KRAKOWIE,
Administracya i ekspedycya w Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.
1900.

SPIS RZECZY.

str.

I. Listy Rozalii i Aleksandra Lubomirskich. 1781—1794 (z portretem), przez J. T. L. 193
II. Wiktor Hugo i jego korespondencya (dokończenie), przez Dr. Tadeusza Grabowskiego 231
III. Otchłań, dramat w 4 aktach (ciąg dalszy), przez Tadeusza Konczyńskiego 255
IV. Krystyna królowa Szwedzka (ciąg dalszy), przez Teresę z Potockich Wodzicką 288
V. Czterdzieste piąte Zgromadzenie filologów i pedagogów niemieckich w Bremie od 26 do 30 września 1899 r., przez Dr. Leona Kulczyńskiego . . 304
VI. Kronika literacka 327
F. Kluczycki: Zarys domowej nieszczęśliwości i wewnętrznej niesnaski wojny Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego, pro informatione potomnym następującym czasom, przez jedną Zakonną Osobę światu pokazany i z żałością wyrażony Anno 1721.— M. Śleczkowska: Z naszego skarbca.
P. Ginisty: La vie d'un théatre.—E. Bormann: Shakespeare's Debut 1598.
Z literatury powieściowej. W. Sieroszewski: Brzask. — A. Krzyżanowski: W więzach. — C. Walewska: Podsłuchane.
VII. Teatr krakowski, przez Dr. Feliksa Konecznego 349
VIII. Przegląd polityczny, przez *** 362
IX. X. Ignacy Łoboś, biskup tarnowski. Wspomnienie pośmiertne, przez Stanisława Tarnowskiego 375

Adres Redakcyi: Rynek główny Nr 44, II piętro.





ROZALIA Z CHODKIEWICZÓW KS. LUBOMIRSKA

ścięta w Paryżu w r. 1794.

Portret darowany przez jej wnuka Leona hr. Rzewuskiego ks. Jerzemu Lubomirskiemu.
Własność ks. Cecylii Lubomirskiej w Krakowie.

Listy Rozalii i Aleksandra Lubomirskich.

1781—1794.

Saturnalie monarchów w wieku XVIII: zmysłowców, jak Ludwik XV, ateuszów, jak Fryderyk II, cyników, jak Katarzyna II, obłąkańców, jak panujący w Portugalii, Danii, Szwecyi, Rosyi, bezmyślne wojny, kośćmi ludu pokrywające pola od Uralu do Renu — oto siejba, która wydać musiała odpowiednie żniwo i przejawić się w niem w sposób nieunikniony, fatalny, jak wszelka przyczyna w skutku. Rozstrój moralny i umysłowy w ognisku oświaty, ale zarazem i w gnieździe światowej warstw zamożnych płochości, w Paryżu, odbywająca się wśród wychowańców doktryn Rabelais'go i Voltaire'a, wywołała odwetową, krwawą saturnalię ludowej czerni, o której Andrzej Chénier wypowiedział:

Peuple abject, servil, fécond en outrages.

Jednym z objawów tego nastroju było nieposzanowanie kobiety. Ani macierzyński wdzięk w osobie Maryi Antoniny, ani dziewiczy majestat księżniczki Elżbiety, ani bohaterstwo Karoliny Corday, o której w przededniu swej śmierci poeta wyrzekł:

Seule, tu fûs un homme...

nic, słowem, nie doznało uwzględnienia, nie zdołało powstrzymać żądz rozszalałych.

Po ulicznem rozszarpaniu księżny de Lamballe, topiono kobiety w Nantes, duszono w Avignonie, rozstrzeliwano w Wandei, ścinano w Paryżu. Panią de Cambon ścięto, że nie chciała zdradzić miejsca pobytu swego skazanego na śmierć męża; pa-

nią de Marboeuf, że obróciła 300 hektarów gruntu pod uprawę roślin pastewnych, jakoby umyślnie chcąc uszczuplić gruntu pod uprawę zboża dla zgłodniałego ludu. Siostry Barberan, Elżbietę i Małgorzatę, skazano na śmierć za przechowanie ornatów, w czem upatrzono dowód, jakoby u nich ukrywali się kapłani dla odprawiania Mszy św.; ośm Karmelitanek z Compiègne ścięto za to, że po zajęciu gmachu klasztornego na własność narodu, mieszkały wspólnie i sumiennie przestrzegały zaprzysiężonych reguł zakonnych. Panią Mayet, zamiast panią de Maillé, aresztowano, a następnie skazano, dla podobieństwa końcowego brzmienia w nazwisku, wykazującej zaś, po osądzeniu, błąd, odpowiedziano: „Gdy umrzesz dziś, nie umrzesz jutro“. Oskarżono księżnę de Biron, lecz było ich dwie: świekra i synowa, a nie wiedziano, o którą chodzi; ażeby nie uronić ofiary, ścięto obie. Włościanka, Katarzyna Quetier, zginęła dla wady w wymowie: upominała się o *rouet de tissage* (kołowrotek); doniesiono, iż żąda powrotu *króla (roi)*. Panią de Fouquières, z powodu nieporozumień z municypalnością miasteczka, powołującą się na dokument zachowany w zamku, ścięto, zanim wrócił posłany po niego woźny [1]).

Pod koła tego rydwanu, pędzącego siłą żywiołową, a na którym rozpierał się gwałt i mord, dostała się i jedna Polka, Rozalia z hr. Chodkiewiczów księżna Lubomirska, osoba młoda, 24-letnia. Po hańbie targowickiej, w przeddzień rozszarpania państwa polskiego przez trzech monarchów i na progu ostatecznej niewoli ojczyzny, wraz z innymi rodakami szukała ona przytułku wśród społeczeństwa, mającego na ustach powabne słowa wolności i braterstwa, a znalazła na równi z innymi śmierć na rusztowaniu.

Autor, który pierwszy na podstawie źródeł urzędowych rzucił światło na ostatnie miesiące jej życia, p. Aleksander Kraushar *(Ofiara Terroryzmu,* Kraków, 1897 r.), wyraża w szacownej swej pracy żal, iż „wydarzeń lat młodocianych Rozalii Chodkiewiczówny nie znamy“ (str. 16). Owoż lukę tę zapełniają po części listy jej, które obecnie podajemy, wraz z kilku listami męża jej, Aleksandra Lubomirskiego, kaszte-

[1]) Wallon: *Histoire du Tribunal Révolutionnaire* etc. (Paris, 1890).

lana kijowskiego. Pierwsze jej listy, z lat 1781 — 1785, pochodzące z Czarnobyla, Turzca, Możajkowa, dóbr Chodkiewiczów, pisane są do brata, Wacława Chodkiewicza, starościca żmudzkiego, zostającego na wychowaniu u kapitana Lipińskiego w Warszawie.

Z listów tych, jako też później pisanych już to do brata, już do matki, widnieje dusza, pełna miłości rodzinnej i pokory, ale bez wyższych ideałów, umysł bez wyższego wykształcenia i polotu. W żadnym liście nie podnosi ona jakiejś myśli znaczącej, wszystkie jej uwagi dotyczą rzeczy powierzchownych i wyrażają się pospolicie. Polszczyzna jej, jak na epokę Krasickiego i Naruszewicza, jest złą, wadliwą; francuszczyzna nie lepszą. Wyżej nierównie stoi poziom uczuciowy. Matka jest dla niej czemś w rodzaju bożyszcza, dla którego żywi ona nietylko miłość głęboką, ale i cześć bezgraniczną. Nie posiada się z trwogi na myśl o utracie jej przez chorobę, w jaką chwilowo zapadła; dobiera dla niej i o niej wyrazów nietylko czułych, ale zarazem cechujących najwyższe poważanie. Sprzeciwienie się jej woli uważałaby za występek nieprzypuszczalny. Ta pokora, zdaje się jakby przyrodzona, odbija i w zwrotach do brata, do którego pisuje z potulnością, a o miłości jej ku niemu, nie szczędzącej gorących wynurzeń, świadczy najwymowniej tęsknota, prośba o częstsze pisywanie, skarga przy zaniedbaniu z jego strony, radość przy otrzymaniu każdego listu, a wszystko to, przy niewyszukanych wyrażeniach, tchnie akcentem prawdy. Serce jej, widocznie potrzebujące kochania, zwraca się także z żywem uczuciem do młodej krewnej, przebywającej w domu jej matki. Zawsze ma ona o niej jakieś życzliwe słowo, jakieś wyrażenie z duszy wyrwane, świadczące, że i ta dalsza istota stanowi pewną cząstkę jej bytu.

Tylko, osoba ta, tkliwa i kochająca, nie wydaje się z podobnemiż uczuciami dla małżonka. Czuć, że wyszła za mąż dla zwyczaju, że połączenia się ich nie poprzedziła z jej strony potrzeba serca, harmonia dusz. Nie przeszkadza to jej być uległą i nazywać męża swego „dobrym“. Ale boi się go i ma do tego powód. Okazała się w niej widoczna skłonność do marnotrawstwa, co snadź źle było widzianem przez męża, skoro ona błaga matkę o zapomogę pieniężną, pod

warunkiem tajemnicy przed mężem. Zresztą była to osoba wątłego zdrowia i, jeszcze jako panna, podlegała przypadłościom chorobliwym, które i później nie ustają, a mającym, jak się zdaje, siedlisko w usposobieniu do suchot.

I oto wszystko, co na rzecz tego okresu jej życia z zebranych tu listów wywnioskować można, i o co chodziło autorowi *Ofiary Terroryzmu*. Jak się zaś ona przedstawia w swych wynurzeniach listowych od wyjazdu za granicę, a mianowicie podczas pobytu w Paryżu, czytelnik dowiedzieć się może z rozprawy, zamieszczonej w paryskiem czasopiśmie *Revue hébdomadaire* (nr. 19 i 20).

Oryginały listów znajdują się częścią w bibliotece Ordynacyi Zamoyskich, częścią w archiwum Chodkiewiczów w Mlynowie.

9 aprila 1781 r.

„Mój najmilszy braciszku! Wyrazów mi nie staje na doniesienie, kochany braciszku, w jakim J. W. matka nasza, my i dom nasz zostajemy smutku, z utraty tak dobrego ojca naszego; nietylko dwór cały i pospólstwo lamentuje z nieszczęścia tego, ale same ściany budynków naszych, w czarną barwę obleczonych, dopomagają nam płaczu i żalu. W tej stracie nieodżałowanej zostaje nam jedyna nadzieja w pomyślnem daj Boże zdrowiu i łasce J. W. matki dobrodziejki, którą czcząc, rodzeńskim powinniśmy się kochać affektem. Ten ja ofiarując z mej strony, ufać upraszam, że nigdy być nie przestanę

Wielmożnego pana dobrodzieja kochającą siostrą i najniższą sługą

R. Chodkiewiczówna.

W. J. panu profesorowi Nikucie do nóg upadam. Siostra moja, J. panna Elżbieta, ściska serdecznie kochanego braciszka i mile oddaje się jego affektowi.

Ja się przypominam affektowi braciszka dobrodzieja, łasce się jego oddając.

T. Rzewuska.

Ja cię, mój synu, ściskam i błogosławię i nic ci więcej nie życzę, jak tylko, żeby na ciebie Bóg tyle łask swych zlewał, ile ja ci życzę i nie przestanę czuć (?) Bogu. Proszę ża-

łoby rachunek niech mi przyśle Wny. Sosnowski, będę ja zapłacenie onej assygnować.

Życzę ci wszelakich błogosławieństw Bożych i zostaję twoją przywiązaną matką

L. Chodkiewiczowa".

„Moi drodzy bracia! Przez jadącego Imci pana Sosnowskiego do Możeykowa nie omieszkiwam uściskać listownie kochanych braci, prosząc o równie stałe przywiązanie, które ja dla nich uczuwam. *Adieu,* moi kochani bracia. Wasza kochająca siostra

R. Chodkiewiczówna".

„Mój drogi bracie! Już pół wieku minęło, a żadnej nie widzę litery od kochanego brata, jakież zatrudnienia są przyczyną tegoż milczenia? Nie chcę ja być sędzią, wiem i sądzę, że świat warszawski dosyć daje zabaw innych, albo zatrudnienia applikacyi Waćpana są przeszkodą. Lecz jeżeliby przedsięwzięcie Waćpana takie było, zapominać siostrę swoją, tedy upraszam przynajmniej tem się wprzód do mnie zgłosić, a ja nie omieszkam zapobiedz temu złemu.

Czarnobyl żadnych niema takich rozrywek, któreby okazyą były zapomnienia brata kochanego. Owszem, każdy moment jest taki, który przypomina, że mam brata, którego serdecznie kocham i którego jestem aż do zgonu życia mego szczerze kochającą siostrą i najniższą sługą.

R. Chodkiewiczówna.

Siostry moje ściskają kochanego brata.

Z Czarnobyla 5 sierpnia 1781 r.

(Inną ręką). Ściskam cię z głębi serca i proszę, abyś wierzył, że cię kocham niezmiernie.

Panie profesorze, składam tobie najpowinniejsze komplementa".

„Mój drogi bracie! [1]) Pozwól mi wyrazić sobie całą przyjaźń i uszanowanie, jakie dla ciebie chowam. Proszę cię, da-

[1]) List ten podajemy w tłómaczeniu z francuskiego, podobnie jak i niektóre dalsze.

waj mi częściej wiadomości o swojem zdrowiu. Gdybyś mógł czytać, ile w mem sercu znajduje się szacunku dla ciebie, z pewnością kochałbyś mnie więcej. Nasza droga kuzynka zachorowała, przesyła ci uściśnienia. Przebacz, drogi bracie, jeśli tak źle piszę, ale czasu nie mam zgoła, a zresztą pisałam pocztą, a tu tylko ci przesyłam wyrazy przyjaźni, z którą zostaję twą dozgonną sługą i siostrą

R. Chodkiewiczówna.

Pani Jenerałowa i pani ochmistrzyni nasza składają ci komplementa".

„Sercem kochany braciszku i dobrodzieju! Z miłem ukontentowaniem miałam honor niedawno list od W. pana odebrać, w którym łaskawą pamięć na mnie W. pana widzę. Przepraszam, że dla słabości zdrowia cudzej używam ręki, ale na przyszłą pocztę będę miała honor okazać życzliwość moją, własną pisząc ręką do W. pana; a teraz w tej mię upraszam konserwować łasce i pamięci, z którą ja zapisując się, jestem W. pana sercem kochanego braciszka i dobrodzieja kochającą siostrą i uniżoną sługą

R. Chodkiewiczówna.

Ja cię serdecznie ściskam i błogosławię; radabym, abyś lepiej pisał, bo bardzo szpetnie piszesz.

L. C.

W. J. panu profesorowi jako najuniżeniej kłaniam, przyjaźni mię jego oddaję.

Siostrzyczki kłaniają uniżenie J. W. panu. Imci pani kapitanowej Lipińskiej zasyłam ukłon".

„Mój drogi bracie! Poświęcam tę chwilę, która mi po moich zajęciach została, aby do ciebie napisać kilka słów, w których z radością ci powtarzam, iż moje do ciebie przywiązanie tak jest silnem, że ani oddalenie, ani też nic na świecie nie zdoła takowego osłabić i że po wszystkie czasy miło mi będzie odnawiać zapewnienia przyjaźni, z którą zostaję najprzywiązańszą siostrą i sługą

R. Chodkiewiczówna.

Kuzynka [1]) składa ci komplementa i przeprasza, że nie pisze sama, lecz czasu dziś niema".

„Kochany braciszku i dobrodzieju! Każdy moment wspomnienia braterskiej J. W. pana dobrodzieja osoby jest mi miły i wesoły. Winszuję sobie tej tak pomyślnej okazyi, która mię uszczęśliwia przesłaniem tych liter, pełnych siostrzynego oświadczenia, że z przywiązaniem i affektem jestem. Proszę przyjąć szczerą mojego serca dla siebie ofiarę, może wierzyć i być przeświadczonym, że jak teraz jestem, tak nigdy być nie przestanę J. W. pana sercem kochanego braciszka najniższą sługą

Rozalia Chodkiewiczówna.

Ja J. W. panu uniżenie kłaniam

T. Rzewuska.

I ja cię ściskam, braciszku

E. Chodkiewiczówna".

„Serdecznie kochany braciszku i dobrodzieju! Wprawdzie godziłoby mi się skarżyć, iż od tak dawnego czasu od kochanego braciszka nie mam żadnej wiadomości. Serce jednak, które cię najwięcej kocha, zapomina gniewu, a w jednostajnem przywiązaniu tysiąc ci serdecznych oświadcza życzliwości i w tych dowodach jako zawsze moje jest ukontentowanie wyrażając,. tak nieskończenie zostaję kochanego braciszka życzliwą siostrą. Najniższa sługa

Rozalia Chvdkiewiczówna.

Czarnobyl 18 grudnia".

„Mój drogi bracie! Po śmierci ś. p. ojca dobrodzieja naszego nie miałam żadnego ukontentowania, tylko cieszyć się kochanego braciszka miłej charakteru ręki jego i dziękować mu jak najpokorniej za przysłanie mi muszek, pomady, larendogry i oznajmić mu, że to wszystko odebrałam w całości i dziękuję za jego pamięć. Supplikuję je kontynuować dla kochającej siostry, która ma honor wyznać, iż jestem

[1]) Teofila Rzewuska.

J. W. pana dobrodzieja szczerze kochającą siostrą i najniższą sługą

R. Chodkiewiczówna.

Ja zaś jak najuniżeniej dziękuję za przesłanie dla mnie muszek, pomady i larendogry i proszę być upewnionym mojej ku niemu przyjaźni i affektu. Jestem J. W. pana kochającą siostrą i najniższą sługą

T. Rzewuska.

Madame dziękuje za przysłanie jej kalendarzyka i zasyła swój najuniżeńszy ukłon.

Ja zaś kochanego braciszka ściskam serdecznie i dziękuję za jego pamięć. J. W. pana najniższa sługa i szczerze kochająca siostra

Elżbieta Chodkiewiczówna".

Turzec 30 kwietnia 1782 r.

„Mój drogi bracie! Wrodzonego affektu ku sercem kochanemu braciszkowi dobrodziejowi okazując dowody, nie zaniedbywam oświadczyć moje szczere przywiązanie. *Adieu*, drogi braciszku, ściskam cię po tysiąc razy i proszę cię, miły bracie, abyś mnie kochał, jak ja cię kocham i zostaję twą przywiązaną siostrą i sługą

R. Chodkiewiczówna.

Wnej. pani kapitanowej jak najuniżeniej kłaniam".

„Mój drogi bracie! Niezmiernie cieszę się z tego, że mam pożądaną okazyę przesłania najukochańszemu bratu prawdziwej mojej przychylności, z którą nieskończenie zostaję twoją kochającą cię siostrą

R. Chodkiewiczówna.

Możajków 10 września 1782 r."

Możajków 1782 r. w październiku.

„Drogi bracie! Szczęśliwszym jesteś odemnie, znajdując się przy naszej najczulszej matce. Ja jestem wykluczona z tego szczęścia, myślę tylko o tych, co mi są drodzy, a wśród nich masz osobne miejsce. Bądź temu rad, braciszku,

i dopełnij zarazem powinności, upewniając mnie, że jestem przez całe życie twą przywiązaną siostrą

R. Chodkiewiczówna.

Proszę cię, braciszku, pisuj do mnie często, zdumiewasz mnie twą oziębłością".

Turzec 12 lutego 1783 r.

„Drogi bracie! Nie piszę do ciebie w innej myśli, jak tylko, aby ci wyrzucać twe milczenie i proszę, abyś mi o swojem zdrowiu donosił. Excellencya matka nasza jest zdrową, również i ta, która cię prosi, abyś zachował twą dla niej przyjaźń i która zostaje twą przywiązaną siostrą

R. Chodkiewiczówna.

Upraszam cię, kochany braciszku, pisać do mnie często".

Czarnobyl 27 maja 1783 r.

„Najdroższy braciszku! Nie uwierzysz, jakim smutkiem jestem zgnębioną, jak straszne nękają mnie myśli, że może czas odmienił uczucia mego braciszka, że możeś zapomniał o wiernej siostrze, która sobie słodki zrobiła obowiązek myślenia zawsze o tobie i której jedyną pociechą jest wiedzieć, że ją kochasz. Jednocześnie donoszę ci, iż nasza czcigodna matka jest zdrową, podobnie i cała nasza droga rodzina. Co do mnie, dzięki Najwyższemu, powstałam z choroby, która mnie od kilku miesięcy trapiła. Ciężki kaszel byłby mnie przyprawił o suchoty, gdybym się nie była poradziła lekarzy, którzy mi przepisali kuracyę, a ta mnie bardzo pokrzepiła. Nie chciałam ci pisać o mej chorobie, gdyż znając twoje czule serce, pragnęłam ci nie robić przykrości. *Adieu,* drogi bracie, ściskam cię po tysiąc razy i proszę uciesz mnie, dając mi znać o swem zdrowiu, które jest mi nad wyraz drogiem. *Adieu* raz jeszcze, drogi bracie, zaklinam cię, byś wierzył, że cię kocham i kochać będę przez całe życie, jako twoja wierna i szczera siostra

R. Chodkiewiczówna.

Odsyłam ci list, który nasza kochana kuzynka do ciebie napisała. Twoja siostra i bracia cię ściskają i zasyłają tysiąc komplementów. Pani nauczycielka uszanowania swe wyrazić ci każe".

Czarnobyl 30 czerwca 1783 r.

„Mój drogi bracie! Nie mogę ci niczego innego powiedzieć, jak tylko, że twoja droga siostra jest w wielkim smutku, iż niema odpowiedzi na swe listy, pisane w maju. Obawiam się, że może mój drogi brat nie odebrał mych listów, gdyż inaczej nie wątpię, byś mi nie odpowiedział, nie chcąc zasmucać serca tej, której celem szczęścia jest zyskać sobie zupełną twoją miłość. Twoja ukochana siostra i sługa

R. Chodkiewiczówna.

Nasza droga kuzynka cię ściska, a również siostra i bracia. Proszę cię wyraż moje ukłony panu staroście i jego żonie.

P. S. Równocześnie, miły bracie, donoszę ci, że każdym razem, co nasza czcigodna matka czyta twe listy, uważam, że jest jej to przykro, iż mnie pozdrawiasz w listach do niej. Do widzenia, miły bracie, wierz zawsze w szczere przywiązanie twej wiernej siostry.

(Inną ręką). Daruj, kochany braciszku, że do ciebie tyle mam poufałości pisać, ale to jest moje przywiązanie do ciebie. To przywiązanie, które mam do kochanego brata, przymusza mi ci napisać, że źle czynisz, że kochany brat pisał do J. W. matki dobrodziejki względem edukacyi braci naszych młodszych; niepotrzebnie, kochany braciszku, w to się wtrącasz, gdyż J. W. matka jest bardzo urażona, a przeto zagrodzisz łaskę J. W. matki dla siebie; proszę cię, kochany braciszku, napisz list przepraszający J. W. matkę, bo bardzo na cię się gniewa".

„Najukochańszy braciszku! Co za radość dla kochającej siostry, która rozumiała być się zapomnianą, odebrać list od kochanego brata i wyczytać z niego, że jest przywiązany do niej. Nie mogę wyszukać czułych wyrazów, bym mogła kochanemu bratu opisać, jak słodki był mi ten moment, gdym trzymała w mem ręku szacowny jego charakter.

Piszesz do mnie, kochany braciszku, że mi jesteś wdzięczny, żem cię przestrzegła względem J. W. matki dobrodziejki. Lecz powinieneś, kochany braciszku, przyjąć to za powinność, bym wiedząc co dla kochanego brata niepomyślnego, nie miałam przestrzedz. Może czasem kochany

brat na mnie się gniewa, żem do niego o tem pisała, ale musiałam to uczynić, bo J. W. matka była bardzo urażona. Lecz teraz nie wiem, czy się gniewa. Zapewne spodziewam się, że J. W. matka dobrodziejka, widząc, że kochany brat przeprosił, musiała o tem zapomnieć; niech kochany braciszek powtórnie przeprosi J. W. matkę; czy gniewać się będzie lub nie, to kochanemu bratu napiszę. Ja kochanego braciszka upraszam, abyś szczerze mnie kochał i był upewniony o mojej miłości niewzruszonej ku kochanemu bratu. Teraz oddając się jego przyjaźni, jestem szczerze kochającą siostrą i najniższą sługą

R. Chodkiewiczówna.

Kuzynka i siostra ściska serdecznie kochanego brata. Ściskam cię tysiąc i tysiąc razy, mój drogi kuzynie i proszę cię, byś mnie zawsze kochał.

T. Rzewuska".

26 sierpnia 1783 r.

„Drogi bracie! Dziwię się, iż od tak dawna nie otrzymałam żadnego od ciebie listu, ale dłużej już milczeć nie umiem. Niema chwili, abym o tobie nie myślała. Smutne dni pędzimy w Czarnobylu, nikogo zgoła nie widując. Starosta Sołoniecki ożenił się temu trzy tygodnie, ale gdybyś go widział.... uśmiałbyś się serdecznie. Droga nasza matka jest zdrowa dzięki Bogu, ale ja miewam zimną febrę, lecz już jestem zdrowszą. Staraj się do mnie pisać jak najczęściej. Daj mi wiadomość, jak się miewasz. Siostra i kuzynka nasza kłania się tobie i poleca twej przyjaźni.

R. Chodkiewiczówna".

Czarnobyl 29 września 1783 r.

„Najdroższy bracie! Oto ten dzień szczęśliwy, który mi nastręcza słodką przyjemność składania ci dowodów niezmiernego przywiązania. Zechciej mi się w podobny odwzajemnić sposób. Jednocześnie przesyłam ci najlepsze życzenia na dzień twych imienin. Niech cię Bóg zachowuje dla chwały twego imienia i pociechy twej siostry, która polecając się twej pamięci, prosi o zachowanie jej twej przyjaźni i t. d.

Elżbieta Chodkiewiczówna.

I ja mam honor powinszować panu, życzyć setnych lat i wszelkiej pomyślności, jako dobra sługa pana i dawna

K. Stecka".

Czarnobyl październik 1783 r.

„Mój drogi bracie! W tym dniu twych imienin słodko mi życzyć, aby życie twoje było spokojne i szczęśliwe i aby Wszechmocny zlewał na ciebie pomyślności i błogosławieństwa. Jednocześnie donoszę ci z smutkiem przejmującym serce moje, iż jej Ekscellencya najlepsza z matek już piąty tydzień jest chora, lecz dzięki Najwyższemu, wraca z granic śmierci. Cóżby się z nami było stało? Polecam się twej przyjaźni — oddana siostra

R. Chodkiewiczówna".

„Mój drogi bracie! Biorę me pióro, bym mogła ci opisać, kochany braciszku, w jakiem okropnem zamięszaniu i żalu my wszyscy w Czarnobylu zostajem, gdy najłaskawsza matka nasza dobrodziejka była w wielkiem niebezpieczeństwie przez dwa tygodnie, lecz poczęła przychodzić do zdrowia po pięciotygodniowej chorobie, które mamy zawdzięczyć J. W. panu Stinerowi, najsławniejszemu doktorowi województwa kijowskiego. Muszę ci opisać chorobę J. W. matki dobrodziejki, jako też i przyczynę tej choroby, którą jest gorączka zgniła i febra, która pochodzi z alteracyi, obraniając dobra i ludzi od gwałtów moskiewskich, gdzie sprowadziwszy kawaleryę narodową za ordynansem J. W. kasztelana, nie dała wybierać ludzi, którzy mieli potyczki z sobą. Lecz Bóg miłosierny, który nigdy nie karze według występków, widząc nasze łzy i szczere do niego wznoszenie, wróci nam naszą ukochaną matkę, za którą nasze szczęście idzie. Bywaj zdrów, kochany braciszku. Osładzaj dni moje przez twoje korespondencye. Co będzie się działo z J. W. matką dobrodziejką, wiernie doniosę; byłabym dawniej to ci oznajmiła, lecz bałam się, by ta smutna nowina nie uczyniła uszczerbku na kochanego braciszka zdrowiu. Nic więcej niema nowego, tylko że 150 ludzi kawaleryi narodowej i 150 ludzi infanteryi z pułku księcia Kalikśta, tu w Czarnobylu się znajdują, pod komendą Imć pana pułkownika Zarzyckiego. Teraz oddając się jego przyjaźni,

jestem z niewzruszoną przyjaźnią kochającą siostrą i uniżoną sługą

R. Chodkiewiczówna.

Bracia Waćpana rączki całują i nóżki. *Madame vous présente ses respects.* Przyłączam mój list pierwszy do kochanego brata pisany".

Czarnobyl 16 novembre 1783 r.

„Jaśnie Wielmożny braciszku i dobrodzieju! Na powinny do kochanego braciszka wyraz z przyczyny słabości na rękę, cudzej używam ręki. Co mi przebaczyć proszę, a wierzyć temu, że nieustanne są chęci moje osobiście braciszka ucałowania, którego z duszy mej kocham. J. W. pana dobrodzieja najniższa sługa

R. Chodkiewiczówna [1]."

---

[1]) Seweryn Rzewuski, starosta doliński, późniejszy hetman polny kor., idąc w ślady ojca, autora *Psalmów pokuty*, w młodości miał także zachcenia poetyczne. Do Rozalii Chodkiewiczówny, jej młodzieńczą pięknością i wdziękiem ujęty, wystosował w stylu pretensyonalnym ówczesnym wierszyk, który znalazł się w księgach zamkowych podhoreckich pod. r. 1783.

DO ROZALII.

Wspomnij, Rozetko, na dawne chwile
W słodkich zabawach pędzone mile:
W twojej to mocy, w twej było woli
Cieszyć, zasmucić,
Uśpić, ocucić.
Losem rządziłaś wątpliwej doli
W liczbie przyjaciół, amantów gminie,
W grzecznej wesołej bywałaś minie;
Znowu gdy chciałaś być znamienitą
Byłaś pachnącą,
Byłaś kolącą,
Byłaś przyjemnie różą rozkwitą.
Łakomy motyl chciał kwiat wysuszyć,
Głodny robaczek chciał pączek ruszyć:
Tyś farbę własną, wstyd, na się wzięła;
Żądza rwać chciała,
Skromność niedała.
Róża kwiat czysty w pączek zwinęła.
Teraz byś chciała, bym z róży zbladłej

Czarnobyl w styczniu 1784 r.

„Mój drogi bracie! Pamięć życzenia kochanego braciszka wzbudziła w mojej duszy radość i oraz smutek nieznośny, iż nie uprzedziłam moją powinnością kochanego braciszka w życzeniu, by najwyższy zlał na najukochańszego braciszka hojnie swoje łaski, by zostawał w najczerstwem zdrowiu, doczekał się setnych lat, przyszedłszy do największych stopni godności — lecz darmo pióro słabe moje opisać nie może te życzenia, któremi serce moje jest napełnione, żadne w świecie tkliwe wyrazy nie potrafią opowiedzieć te czułe zdania i niewzruszoną przyjaźń ku kochanemu bratu. Będę czekać tego szczęśliwego momentu z niespokojnością, w którym będę miała to ukontentowanie rzucenia się w jego ramiona, wyrażając, iż jestem, mój bracie kochany, twą ukochaną siostrą i uniżoną sługą.

R. Chodkiewiczówna.

Mali hrabiowie, twoi bracia, całują twe nogi. Daruj, kochany braciszku, żem źle pisała".

„Drogi bracie! Nie pomijam nadarzającej mi się sposobności, by ci donieść, że dziś odbyły się zaręczyny naszej kochanej kuzynki Rzewuskiej i księcia Ksawerego Lubomirskiego. Wiem, kochany bracie, że wiadomość ta przyjemność ci sprawi, ja jednak tracę przyjaciółkę, którą ceniłam więcej, jak siostrę i strata ta mnie martwi. Od naszych lat najmłodszych byłyśmy nierozdzielne, a oto nieprzewidziana chwila wyrywa mi z objęć przyjaciółkę, którą kocham nad wszystko. Bierz udział w jej szczęściu, kochany bracie, i pospiesz się z przesłaniem jej powinszowań. Tymczasem ściskam cię i zostaję na całe życie, kochany bracie, twą ukochaną siostrą i sługą

R. Chodkiewiczówna.

Czarnobyl w lutym 1784 r.

Kwiaty te zbierał, co z pączka spadły,
Których okrasę czas zwykle psuje?
Chęć już stępiała,
Miłość zwolniała,
Ręce nie władną, woni nie czuję.

Przyszła księżna [1]) ściska cię i zasyła tysiąc komplementów".

„Najukochańszy braciszku i dobrodzieju! Darować mi zechce kochany braciszek, że dla karnawału a razem i wesela J. W. chorążanki lit. z J. W. księciem Ksawerym Lubomirskim, wojewodzicem kijowskim, generał-majorem wojsk rossyjskich w Czarnobylu będącym, w sposobności nie jestem na list braciszka ręką własną odpisania. Na pocztę następującą dopełnię powinność moją, wiele wyrażając okoliczności i J. W. matka nasza pisać do W. pana na przyszłą pocztę będzie. Teraz tylko affektowi najukochańszego braciszka polecając się, z nieustannym piszę się przywiązaniem J. W. pana dobrodzieja najniższa sługa

R. Chodkiewiczówna.

Czarnobyl 22 lutego 1784 r."

Rozalia Chodkiewiczówna w r. 1785 stała się przedmiotem starań ks. Aleksandra Lubomirskiego, którego też poślubiła na początku r. 1786. Ona, taka, jakąśmy we wstępie opisali; on, człowiek uczciwy, politycznie rozważny i szlachetny, skoro obstał przy Konstytucyi Trzeciego Maja i wzgardził Targowicą; ale sztywny, oszczędny do przesady, pomny na majątkowe klęski ojca [2]). Dumnym on był nie z przymiotów duszy swej żony, lecz z jej ujmujących wdzięków, zatem z powodzeń wśród pustot światowych. Dwie te istoty

---

[1]) Teofila Rzewuska, narzeczona ks. Ksawerego Lubomirskiego.

[2]) Aleksander Lubomirski, oprócz dóbr na Pobereżu z działów po ojcu, posiadał dobra ziemskie i nieruchomości w Warszawie, jak widać z następujących aktów, wyjętych z Summaryusza spraw jego: „R. 1776 dnia 9 września w Opolu Antoni Lubomirski, wojewoda lubelski, na rzecz Aleksandra Lubomirskiego, wojewodzica kijowskiego, klucz Dobrski i dwie schedy klucza Opolskiego, za sumę 1,209.596 zł. gr. 1 szel. 2 rezygnuje, *donat* etc. i nadbiorcę tej sumy *quietat.* R. 1776 dnia 28 sierpnia Zofia z Krasińskich Lubomirska, wojewodzina lubelska, Aleksandrowi Lubomirskiemu połowę pałacu na Wielopolu przy placu Szerokim wraz z dworkiem z stajniami i wozowniami, z własnością i dziedzictwem odstępuje i daruje".

nie zdaje się, aby były przeznaczonemi jedna dla drugiej, więc też i obcemi sobie pozostawały w życiu. Listy następne Rozalii datowane są ze Strzyżewa, wsi w dobrach matki Aleksandra Lubomirskiego, w Chełmskiem, z Opola, z Kijowa, z Połoneczki, gdzie przemieszkiwała jej siostra, żona ks. Macieja Radziwiłła [1]), oraz z niektórych innych miejscowości w kraju.

„*Madame!* Odebrałem w Warszawie list datowany 24 lutego z Młynowa; dziwno mi, że tak długo na poczcie zapomniany został. Rozkazy J. W. pani dobrodziejki wypełnić nieomieszkam, albowiem wkrótce wyjeżdżam na Wołyń i z Bibkotela (?) będę się prezentował. Leon (?) został wojewodą kijowskim; zapewne teraz nie minie Młynów; ja zaś w Warszawie daję wszystkim do zrozumienia, że królowa lubi sama władać i na tronie Czarnobylskim sama panować. Pozwól mi złożyć uszanowanie pannie Róży. Twój oddany kuzyn

A. Lubomirski.

W Warszawie 16 marca 1785 r.“

„*Madame!* Byłoby to odnowienie żalu, który czułem szczerze, gdym wyjeżdżał z Młynowa, gdybym podług myśli mojej przybiegł na krótki czas do domu tak przyjemnego W. pani dobrodziejki, ale te fatalne interesa braterskie dziś mnie przymuszają jechać do Lwowa. Niech mi będzie wolno w tym liście podziękować J. W. pani dobrodziejce za tyle łask doświadczonych podczas bytności mojej w Młynowie. Ten krótki czas, przez który bawiłem przyjemnie w społeczności tak dla mnie miłej, będzie epoką najpierwszą w życiu mojem. Nie przestając być na zawsze z największem uszanowaniem J. W. pani dobrodziejki szczerze życzliwym sługą i najniższym podnóżkiem

Aleksander Lubomirski.

Niech mi wolno będzie ponowić moje hołdy dla panny Róży, nie zapominam i jej siostrzyczki, miłej Elżbiety, która

[1]) Syn ks. Leona Radziwiłła, strażnika litews. i Anny z Mycielskich, kasztelanki poznańskiej.

sobie żartowała z mojej tkliwości w ostatni wieczór spędzony w Młynowie. Dobre wychowanie uczy, iż trzeba się litować nad nieszczęśliwym, nie zaś drwić z niego. Pomszczę się, przebaczając jej".

Strzyżew 11 grudnia 1786 r.

„Droga pani matko! Nigdym nie uczuła więcej wdzięczności, ani tkliwości dla ukochanej matki, jak kiedy sama matką zostałam i poznałam, co droga matka dla mnie zniosła, własne życie narażając, by mnie życiem udarzyć. Czemuż nie danem mi przepędzać każdej chwili z Waszą Ekscellencyą, aby jej składać ciągłe dowody czci i przywiązania. Żal mi straconych chwil, gdy stale bawiąc przy Waszej Ekscellencyi, nie umiałam ocenić mego szczęścia. Jakkolwiek szczęśliwą się czuję obok małżonka, cobym niedała, aby wrócić w dawne czasy, gdym miała szczęście oglądać wciąż najłaskawszą matkę moją. Córka moja dobrze się ma, składam ją u stóp Waszej Ekscellencyi, żebrząc dla mnie i dla niej łaski i opieki. Racz nie odmawiać mi tego najdroższego skarbu, którego znam cenę. Pozostaję z najgłębszem uszanowaniem drogiej mojej matki ukochaną córką i najniższą posłuszną sługą

R. Lubomirska".

Nie posiadamy listów z pierwszych miesięcy poślubnego pobytu w Strzyżewie, aż dopiero z miesiąca grudnia, po urodzeniu starszej córki, od imienia babki nazwanej Ludwiką, a której zgon rodzice opłakiwali w parę lat później, mianowicie w r. 1792.

Strzyżew 18 grudnia.

„Droga pani matko! Stanąwszy już od tygodnia w Strzyżewie, zastałem w najlepszem zdrowiu żonę moją, oraz i Ludwisię, którą rekomenduję szacownej łasce matki dobrodziejki. Czekamy rozkazów, gdziebyśmy mogli zastać w tych czasach J. W. panią dobrodziejkę i podziękować za tyle dobrodziejstw świadczonych, nie przestając być z najgłębszem uszanowaniem J. W. pani dobrodziejki szczerze przywiązanym synem i najniższym podnóżkiem.

A. Lubomirski".

20 grudnia 1786 r.

„Jaśnie Wielmożna matko dobrodziejko! Miałam honor odebrać przez plenipotenta naszego list pełen łaskawych i dobrotliwych wyrazów J. W. matki dobrodziejki, za które z najczulszą wdzięcznością rzucam się pod stopy J. W. matki dobrodziejki. Córka moja zupełnie zdrowa, chowamy ją bez wszelkich wymysł i wygód, gdy nawet, zgadzając się z wolą mego męża, nie jest nawet powitą. Mąż mój blizko od dwóch tygodni znajduje się tu w Strzyżewie, ja teraz błagając łaski wraz z córką moją i błogosławieństwa J. W. matki dobrodziejki, mam honor pisać się J. W. matki dobrodziejki życzliwą córką i najniższą podnóżką

R. Lubomirska".

W grudniu 1786 r.

„Jaśnie wielmożna matko dobrodziejko! List J. W. matki dobrodziejki pod datą 26 listopada odebrałam z najgłębszem uszanowaniem i jak najżywiej dziękuję J. W. matce dobrodziejce za doniesienie mi o swem szacownem zdrowiu, o które nieustannie troskliwą zostaję. Rysunki doszły rąk moich, admirowałam, że tak w krótkim czasie tak wiele moja siostra profitowała i że tak ładnie rysuje. Konserwować je zawsze będę. Ja w dosyć dobrem zdrowiu zostaję, jako też i moja córka, którą wraz z sobą rzucam pod stopy J. W. matki dobrodziejki, mając honor pisać się J. W. matki dobrodziejki życzliwą córką i najniższą podnóżką

R. Lubomirska".

„Jaśnie wielmożna matko dobrodziejko! Wiedząc o intencyi J. W. matki dobrodziejki do trzymania konnej poczty w Młynowie zmierzającej, ponieważ komisarz pocztamtu warszawskiego, Imci pan Sartorius, na obligacyę J. W. pani dobrodziejki wynalazł Imci pana Krajewskiego, w Uchaniu dotąd pocztę utrzymującego a od lat 20 w domu męża mego zasłużonego, człowieka bardzo dobrego i który od tegoż pocztamtu do Młynowa dla opatrzenia tego miejsca wysłany, znalazł je być wygodne i w nowo kończącej się przy kościele karczmie zdatne, kędy tenże na poczcie osiąść sobie życzy, więc jeżeli jest w tem nieodmienna J. W. pani dobrodziejki

wola i na to miejsce pozwolenie, tedy za otrzymaną od J. W. pani dobrodziejki na moje ręce rezolucyę, tenże Imci pan Krajewski przed Nowym rokiem, podług ordynacyi pocztowej, na tamto pospieszy. O bagatele tylko niektóre on u J. W. pani dobrodziejki prosi, t. j. o kawał ziemi do zasiewu kilku korcy zboża i sianożęci, na kilkunastu kolarzy, czego on jednak darmo nie chce, jako też wiele od niego będzie pretendowano za mieszkanie w tej karczmie? Oddał mi Imci pan Krajewski kopię listu do J. W. pani dobrodziejki od W-go Sartoriusa pisanego, którą przyłączam. Przepraszam bardzo J. W. panią dobrodziejkę, że się mięszam w jej interesa, czego nie czyniłabym, gdyby mię nie przywiodła do tego prośba Imci Krajewskiego. Za najszczęśliwszą znajdę się w tę pożądaną dla mnie porę, kiedy mi miłe łaskawe J. W. matki dobrodziejki ściskam nogi, dopiero zaś największy wyrażam respekt, z którym nigdy być nie przestanę J. W. matki dobrodziejki najniższą podnóżką

R. Lubomirska.

Bardzo przepraszam J. W. matkę dobrodziejkę, że dla słabości własną ręką nie piszę, gdyż mi Madam i doktór zakazali, ale już lepiej, chwała Panu Bogu, mieć się poczynam i dnia dzisiejszego dopiero pierwszy raz wstałam z łóżka. O mojem zaś, chwała Bogu, szczęśliwem rozwiązaniu, na mą prośbę, przeszłą pocztą, Imci pan Komar J. W. matkę dobrodziejkę miał honor uwiadomić.

Dnia 8 grudnia 1786 r. w Strzyżewie".

„Droga pani matko! Z najżywszą radością korzystam z okazyi Nowego roku, aby najdroższej matce wyrazić udział, jaki biorę w jej szczęściu. Racz przyjąć życzenia szczere i czułe córki, błagającej nieba, aby przedłużył dni Waszej Ekscellencyi. Pokorna i posłuszna córka

R. Lubomirska.

W styczniu 1787 r. w Strzyżewie".

W tymże 1787 r. księżna Rozalia wycieczki robi do Opola, do kasztelanowej krakowskiej, Zofii z Krasińskich Lubomirskiej, do Zamościa do Ordynatowej, do Młynowa, siedziby Chodkiewiczów; przebywała też w Radomyślu, królew-

szczyźnie, w posiadaniu ks. Aleksandra w powiecie łuckim w województwie wołyńskiem położonej.

Strzyżew 9 stycznia 1787 r.

„Droga pani matko! Będąc teraz w Zamościu dla widzenia się z księżną kasztelanową krakowską, J. W. pani Ordynatowa bardzo mi wypytywała o J. W. matkę dobrodziejkę i rozkazała mi, aby ją przypomnieć łaskawej pamięci J. W. matki dobrodziejki. Jest bardzo do J. W. matki dobrodziejki przywiązana i co tylko dobrego może dla mnie uczynić, to dopełnia, bo ona popiera mnie we wszystkiem i bardzo obstawała za mną u księżnej kasztelanowej krakowskiej, która mnie z oziębłą grzecznością przyjęła. Mąż mój wyjechał do Dubna, ja zawsze tu bawię samotnie, wyglądając ustawicznie wiadomości o zdrowiu mojej kochanej matki. Mam zaszczyt być, moja matko, najniższą i najposłuszniejszą sługą

R. Lubomirska“.

Strzyżew 17 stycznia.

„Moja droga matko! Trudno by opisać radość i uszczęśliwienie moje z odebranego listu J. W. matki dobrodziejki pod datą 30 grudnia; pochwały, które raczyła mi dawać, cieszą mnie, skoro mogę je złożyć u stóp matki i dobrodziejki mojej, godnej wszelkiej z mej strony wdzięczności. Droga matka pyta o panią hetmanową [1]). Powraca ona do zdrowia, choć z powodu osłabienia musi w łóżku jeszcze zostawać, ale jest dobra nadzieja, że siły odzyska. Ksawerowa [2]) jest w Dubnie. Świekra moja, udając się tamże, zachorowała w Radomyślu i dotąd wiadomości nie miałam. Po zakończonych kontraktach mąż mój pospieszy do swoich dóbr ukraińskich, dla uspokojenia strwożonych umysłów swoich poddanych i tam się spodziewa przepędzić letnią porę, ja 1 lutego jadę do Radomyśla połączyć się z moim mężem, zkąd powrócę do mojej samotni. Dziwi mnie to mocno, że książki i spodnica nie doszły J. W. matki dobrodziejki, gdyż to wszystko

[1]) Konstancya z Lubomirskich Sewerynowa Rzewuska.
[2]) Teofila z Rzewuskich ks. Ksawerowa Lubomirska.

oddane panu Kosińskiemu. Nic więcej nie zostaje mi donieść J. W. matce dobrodziejce, jak tylko skłaniając się pod stopy J. W. matki dobrodziejki, wyznać głębokie uszanowanie. Najwięcej kochająca z córek, najniższa i posłuszna sługa

R. Lubomirska".

Tomaszpol 17 stycznia 1787 r.

„Droga pani matko! Lubo z drogi, pozwolisz mi J. W. matko dobrodziejko, abym mogła chwytać tę szczęśliwą porę, którą mi św. Ludwika daje, przesłać najszczersze życzenia J. W. matce dobrodziejce, które są, abyśmy mogli cieszyć się jak najdłuższemi latami J. W. matki dobrodziejki i czerstwem jej zdrowiem; te są prawdziwe życzenia moje, o które wykonania nie przestaję prosić Boga. Ściskam nogi J. W. matki, pisząc się z najgłębszem uszanowaniem J. W. matki dobrodziejki życzliwą córką i najniższą podnóżką

R. Lubomirska".

Młynów 28 stycznia 1787 r.

„Droga pani matko! Pomimo chęci, które miałam, oddania winnego uszanowania J. W. matce dobrodziejce za mojem przybyciem do Turka, lecz gdy mi Imci pan starosta Szołomecki oświadczył inną wolę J. W. matki dobrodziejki, nie śmiąc w niczem jej się sprzeciwiać, wyjeżdżam z mężem moim do dóbr naszych Pobereskich, a z przejeżdżającego miejsca mam honor upaść do nóg, wyznając się być z niezgasłem uszanowaniem J. W. matki dobrodziejki życzliwą córką i najniższą podnóżką

R. Lubomirska".

2 lutego 1787 r.

„Droga pani matko! Pan Mazaraki oddał mi list, którym Wasza Ekscellencya raczyła mnie zaszczycić. Byłabym niezmiernie szczęśliwą zastósować się do rozkazów Waszej Ekscellencyi, przyjmując w służbę pannę Kuczyńską, ale że zależę od męża, jest mi całkiem niepodobnem wziąć ją do siebie. Mojemu mężowi się ona niepodoba i widzę, że innego jest zdania. Niech mi więc droga matka wybaczy moje nie-

posłuszeństwo i wierzyć raczy w stałe uczucia kochającej, pokornej i posłusznej córki

R. Lubomirska".

Radomyśl 9 lutego.

„Droga pani matko! Spodziewam się, że książki posłane przez Lexa z Warszawy, doszły J. W. panią dobrodziejkę, czekam w tej okoliczności dalszych jej rozkazów. Mojej żony nie mogłem sprowadzić na karnawał do Dubna, wołała być w Radomyślu przy Ludwisi, cała ekskuza była, że miała katar Ludwinia; ponieważ mam kondescencye w Dubnie, więc obiecała być w Dubnie choć na kilka dni. Dziękuję J. W. pani dobrodziejce za punktualność w wypłacaniu części posagu, będę się starał zasługiwać całem życiem na kontynuacye jej łask, dobrodziejstw i błogosławieństwa, o które najuniżeniej dopraszam, będąc skutecznie przywiązanym synem i najniższym podnóżkiem.

A. Lubomirski.

Księcia brata Radziwiłła ściskam serdecznie".

Cekinówka 27 lutego 1787 r.

„Najdroższa pani matko! Ileż dziękczynień winnam najlepszej z matek! Potoki łez wylewam za otrzymaniem listu z 8 stycznia, wzruszona łaskawością, jaką mi droga matka okazywać i wyrażać raczy, mimo niegodności mojej. Niech mi będzie wolno upaść do nóg matki, aby jej kolana ucałować. Nigdym się szczęśliwszą nie czuła, jak kiedy błogosławieństwo macierzyńskie rozwiało me obawy, iż będę nieszczęśliwą za przykrości, które pozornie z mej winy matkę moją zasmuciły. Nauki, które mi droga matka daje, pozostaną głęboko w mem sercu wyryte. Wszystkie jej listy drogim są dla mnie skarbem. Do nich się uciekam w każdym frasunku i radabym kiedyś stać się lepszą. Listy te budzą we mnie wszystkie cnotliwe pierwiastki, zaszczepione wychowaniem.

Jesteśmy tu na krótko, wybierając się wprost ztąd do Kijowa, gdzie pragniemy się przedstawić Imperatorowej rosyjskiej. Gdy tam staniemy, nie omieszkam szczegóły przesłać drogiej matce.

Nie mogłam przesłać żądanych nut, które zostały w Opolu, lecz za powrotem postaram się co prędzej rozkazy matki wykonać.

Otrzymałam portreciki, za które nieskończenie jestem wdzięczną. Śmiem prosić drogą matkę, aby dla mnie kazała zrobić portrety braci moich i siostry.

Proszę wybaczyć śmiałość moją i wierzyć w uczucia czci prawdziwej, z jakiem zostaję kochającą, pokorną i posłuszną córką

R. Lubomirska".

Listy z 1787 r. z miesiąca kwietnia podają kilka szczegółów podróży do Kijowa, współczesnej z podróżą króla Stanisława Augusta do Kaniowa, na spotkanie Katarzyny II, podróżą tak uwłaczającą i szkodliwą dla państwa, nie w dorywczych bowiem i szkodliwych próbach ugodowych szukać należało i należy zbawienia narodu, lecz w jego cnocie, dzielności i lojalności nawet względem wroga.

„Kochana pani matko! Sądzę, iż rada będziesz usłyszeć, iż Imperatorowa rosyjska łaskawie przyjęła moją żonę i że tu widywać będziemy najlepsze towarzystwo. Zostaniemy tu do wyjazdu Imperatorowej, aby potem do Strzyżewa powrócić. Książę de Ligne, wielki podkomorzy Szuwałow, wielki koniuszy Naryszkin i pan Rumiancow byli rycerzami pięknej Róży, która się tu zachowała jak najlepiej. Jestem zawsze przy księciu Potemkinie i staram się zasłużyć sobie na jego łaski. Hr. Stackelberg nie przestaje żonę moją obsypywać grzecznościami. Nie przestanę nigdy pisać się waszym synem oddanym

A. Lubomirski.

Kijów 20 kwietnia 1787 r."

List z dnia 23 kwietnia zawiera ustęp, dotyczący żony przyszłego Targowiczanina, wojewody ruskiego: „A gdy Imci pani wojewodzina admirowała krój tej sukni, Imperatorowa ją jej darowała na znak swej przyjaźni".

Kijów 23 kwietnia 1787 r.

„Kochana pani matko! List łaskawy J. W. matki dobrodziejki doszedł mię wraz z przybyciem mojem do Kijowa, z którego niezmiernie zostałam uszczęśliwiona, że w najpotrzebniejszym momencie odbieram łaskawe nauki od najlepszej z matek, za które najpokorniejsze składam me dziękczynienia J. W. matce dobrodziejce, większego zaś ukontentowania sobie nie pragnę, jako stosować się podług rozkazu matki dobrodziejki i przez to skarbić sobie jej łaskę, która jest upiększeniem życia mego.

My od dni kilku zostajemy w Kijowie; ta podróż była spóźniona tak dla interesów, jako też i dla słabości mojej. Księżnej Ksawerowej i Imci pani wojewodziny ruskiej jużeśmy nie zastali. Pierwsza jest przymuszona wybierania się na inne mieszkanie, to jest *dans les déserts de Cherson,* druga spiesznie jechała czynić przygotowania na przybycie królewskie w Tulczynie. Imci pani wojewodzina była mile przyjęta u Imperatorowej za staraniem hetmanowej Branickiej. Na wyjeździe była udarowana *d'un collier de perles d'une grosseur immense et de boucles d'oreilles pour Mlle. la Palatine;* przy pożegnaniu miała Imperatorowa suknię *d'un drap d'or,* a gdy Imci pani wojewodzina admirowała krój tej sukni, Imperatorowa ją jej darowała na znak swej przyjaźni.

Imci pani marszałkowa Mniszchowa i Branicka dostały order wielki św. Katarzyny. Imperatorowa wyjeżdża za 12 dni, to jest po gali, która będzie w dzień jej urodzin; puści się Dnieprem aż do Chersonu, co tam zaś dzień św. Stanisława zastanowi się pod Kaniowem, gdzie król będzie zaproszony do batu, gdzie będzie wspaniały obiad; po 24 godzinach upłynionych Imperatorowa w dalszą się puści drogę. Polskich panów mało się znajduje, Stackelberg jeden i le Prince de Nassau, którzy są z Warszawy; z cudzoziemców, to jest le Prince de Ligne, gdyż wszyscy się porozjeżdżali.

Pani hetmanowa Branicka bardzo grzeczna, prezentowała mnie Imperatorowej, która podług zwyczaju, po pocałowaniu jej ręki, pocałowała mnie w twarz i kilka słów do mnie mówiła, to jest *elle m'a dit: „Je connaissais beaucoup votre Père",* odpowiedziałam: *„Il a eu l'honneur d'être au ser-*

vice de Votre Majésté". — „*Demeurez-vous loin?*" — „*A une vingtaine de lieux*". Co powiedziawszy, zasiadła do wiska i kilka razy łaskawie na mnie poglądała. *L'écuyer Naryszkin tient maison ouverte,* bardzo grzeczni ludzie, a grafa Rumiancowa jeszcze nie widziałam, zostaje słabym, lecz dowiedziawszy się o mojem przybyciu, przysłał mi swego adjutanta z grzecznym komplementem i na dzisiejszy dzień zaprosił mnie do siebie. Wielu znajomych zastałam, to jest Apraxyna, Korssakowa, Engelhardta i tylu innych. J. W. pani Szyrkowa kazała mi oświadczyć swój ukłon matce dobrodziejce.

Drugą pocztą doniosę większe ciekawości, co tylko widzieć będę, teraz piszę się z głębokiem uszanowaniem J. W. matki dobrodziejki życzliwą córką i najniższą podnóżką

R. Lubomirska".

Radomyśl 14 maja 1787 r.

„Szanowna pani matko! Stanąwszy tu w Radomyślu, nie omieszkiwam przesłać J. W. matce dobrodziejce najgłębsze uszanowanie i doniosę jej podług danego mi rozkazu o dalszej naszej zabawie kijowskiej. Feldmarszałek Rumiancow, dowiedziawszy się o mnie, przysłał swego adjutanta, kłaniając mi się i oświadczając, jakby mi mógł w czem być użyteczny, chętnie rozkazy będzie wypełniał, a jako był chory i nie wychodził nigdzie, więc posłałam, prosząc o pozwolenie widzenia się z nim, na co przystawszy, byłam u niego bardzo mile przyjętą. Pytał się wiele o *ma chère mère,* o jej zdrowie, czy się zbliży do Czarnobyla. *On peut dire que c'est l'homme le plus aimable que j'ai vu de ma vie.* My wyjechaliśmy czwartego dnia, drugiego maja presentis była wielka gala u dworu obchodzenia urodzin monarchini. Wszyscy byli w złotogłowach, klejnotów straszna moc. Pani Branicka i jej siostra Skowrońska najbardziej się dystyngowały bogactwem ubiorów; fajerwerk i illuminacya była wspaniała, kosztem grafa Rumiancowa, po której żegnaliśmy wszyscy monarchinię z pocałowaniem ręki. Przy pożegnaniu Imperatorowa dowiedziawszy się, żem słaba na reumatyzm, gadała ze mną, mówiąc, że mnie bardzo żałuje, żem chora i po com wychodziła, lepiejby było wygodę sobie uczynić.

Dnia trzeciego po odśpiewaniu *Te Deum,* wielka parada. Imperatorowa siadła na duży statek, wszystkie znaczniejsze osobistości miały do rozporządzenia podobne statki, było ich pietnaście większych, nie licząc mnóstwa łodzi. Zjadłszy obiad z generalicyą na pokładzie, Imperatorowa odpłynęła. Żegnano ją z fortecy tysiącem strzałów armatnich. Po drodze jeszcze ją wspanialsze czekały widowiska, a w Kaniowie król polski. Wiele dam Kijowczanek naszych miało się zjechać dla widzenia Imperatorowej, pani kasztelanowa Popielowa i stara wojewodzina tam się znajdują.

Jenerałowa Szyrkowa najniższy J. W. matce dobrodziejce zasyła ukłon, grzeczna bardzo kobieta, jedzie teraz do Warszawy dla widzenia się z synem, który zostaje na edukacyi.

Zdaje mi się, że jenerałowa niedlugowieczna, suchoty podobno ma. My tu ztąd jedziemy do Niezdowa, gdzie się zabawiwszy kilka tygodni, jedziemy do Warszawy. Lecz jeszcze będę miała honor donieść J. W. matce dobrodziejce z Strzyżewa o naszym wyjeździe.

Teraz całuję stopy J. W. matki dobrodziejki, upraszając o jej szacowne łaski, piszę się z głębokiem uszanowaniem J. W. matki dobrodziejki szczerze życzliwa córka i najniższy podnóżek

R. Lubomirska".

Połoneczka 2 grudnia.

„Kochana pani matko! Za uproszeniem księstwa do dnia dzisiejszego bawiłam się w Połonce; przy odjeździe moim z tych krajów mam to szczęście przysłania J. W. matce dobrodziejce najniższą moją submisyę. Księżna [1]) bardzo grzecznie sobie postępuje z mężem i zapewne będzie dobrą żoną, za protekcyą i przykładem matki dobrodziejki, która równie obojgu macierzyńskie upomnienie będzie dawać, ja choć z narażeniami, ale często mówiłam niesmaczną prawdę. Polecam się łaskawym względom i opiece J. W. matki dobrodziejki,

[1]) Elżbieta z Chodkiewiczów Radziwiłłowa, siostra Rozalii z Chodkiewiczów Lubomirskiej, żona księcia Macieja Radziwiłła.

pisząc się do zgonu J. W. matki dobrodziejki najniższa podnóżka

R. Lubomirska".

Po powrocie księżnej Rozalii z Kijowa do Opola, gdzie staje się „faworytką" ciotki, starej kasztelanowej krakowskiej, a następnie za jej pierwszym pobytem w Warszawie książę Aleksander cieszy się ze światowego powodzenia i sympatyi, którą żona wzbudza w towarzystwach współczesnych.

Niezdów 23 maja.

„Kazałam się wywiedzieć przez pana Ustrzyckiego, czy moja kochana matka raczy przychylnie uwzględnić pragnienie moje, aby ją oglądać. Otrzymawszy niezachęcającą zgoła odpowiedź, jutro opuszczam tę miejscowość, aby do córki mojej pospieszyć. Księżna kasztelanowa wyjechała do Karlsbadu. Mąż mój nie daje mi nadziei swego powrotu przed końcem bieżącego miesiąca. Nie łudzę się tedy nadzieją rychlej sposobności złożenia matce hołdów moich i upewnienia jej o uczuciach czci, z jakiemi zostaję najdroższej matki posłuszną i przywiązaną córką

R. Lubomirska".

Warszawa 30 czerwca.

„Kochana pani matko! W dniu dzisiejszym odebrałam z poczty list J. W. matki dobrodziejki pod datą 29 maja, adresowany do Kijowa, z tych składam me dzięki u nóg J. W. matki dobrodziejki za łaskawe wyrazy, które wyczytuję z listu J. W. matki dobrodziejki. Na raucie onegdajszym pozbyłam się wizyt ceremonialnych. Warszawa bardzo nudna, mało ludzi, a niebytność królewska czyni to miejsce posępnem. Damy są trudne i w wysokim tonie, stroje są nie najgustowniejsze, wracają się do starożytnych ubiorów, jak to materye w wielkie bukiety i pasy, krój sukni jest w generalności lewitek, noszą i kaputy.

J. W. panią jenerałową Grabowską poznałam, bardzo grzeczna i miła osoba. Jak tu głoszą, to już po ślubie Imci

pana podkomorzego koronnego z panną wojewodzianką Mycielską [1]) i nowych małżonków spodziewają się przybycia.

Nic więcej nie mam donieść, żem jest z głębokiem uszanowaniem drogiej matki kochającą córką, oraz pokorną i posłuszną sługą

R. Lubomirska".

„Kochana pani matko! Podług rozkazu J. W. pani dobrodziejki, Lex uspokojony będzie w swojej pretensyi. Byłem dwa tygodnie w Lublinie na sprawie, którą wygrałem, zostawiając moją żonę w Warszawie. Na powszechną miłość zasłużyła sobie, umie naśladować tak godną matkę. Byliśmy wczoraj u króla na obiedzie, bardzo łaskawie nas przyjął. Nasza radość byłaby największa być u matki naszej ulubionej, ale chyba w zimie, ponieważ interesa każą mnie pilnować trybunału na regestrze kijowskim i wołyńskim, gdyby nie to, już zapewne bylibyśmy ucałowali nogi tak dobrej matki, nie przestając być szczerze przywiązanym synem i podnóżkiem

A. Lubomirski.

Warszawa 30 lipca 1787 r."

„Kochana pani matko! Niespodziewanie wypadła okoliczność, żem musiał zostawić moją żonę i córkę w Opolu i przyjechać na trzy dni do Warszawy, interes mając w Komisyi Skarbowej. Ta okoliczność wstrzymała moją żonę w Opolu, wprawdzie jest zniewolona grzecznościami księżnej kasztelanowej krakowskiej, która na nią bardzo łaskawa, oraz na córkę moją, dosyć, że moja żona została pierwszą faworytką księżnej kasztelanowej krakowskiej, bez niej żadnej zabawy. Jak tylko przyjadę do Opola, tak wybieram się z naszą córką na Zamość do Strzyżewa, a ztamtąd do Kopytowiec; tam się dowiemy, gdzie nam każe J. W. matka dobrodziejka przyjechać. Pozostaję szczerze przywiązanym synem i uniżonym podnóżkiem

A. Lubomirski.

Warszawa 8 września 1787 r."

---

[1]) Wincenty Potocki, podkomorzy w. kor., który poślubił (po rozwodzie z Urszulą Mniszchówną) Annę Mycielską, wojewodziankę inowrocławską.

W r. 1788 przy pewnych kłopotach pieniężnych książę Aleksander wraz z żoną udaje się na Wiedeń do Paryża, w podróż, spowodowaną zdrowiem księżnej Rozalii, potrzebującem odmiany klimatu i porady lekarskiej.

Radomyśl dnia 26 marca 1788 r.

„Droga matko! Otrzymuję wiadomość o twem przybyciu do Warszawy. To mnie ośmiela do zapytania, czy będziemy mieli szczęście posiadania kochanej matki w Młynowie. Odpowiedź jej rozstrzygnie o moich zamiarach dłuższego pobytu w tych stronach. Muszę bowiem się wybrać do naszych majątków w Lubelskiem. Śmiem się łudzić nadzieją, że mi matka tej łaski nie odmówi, zaczem pozostaję z jednakiem zawsze uszanowaniem pokorną i uległą sługą

R. Lubomirska“.

Lublin 7 kwietnia 1788.

„Choroba moja pozbawiła mnie długo szczęścia, upewnienia najlepszej matki o moich tkliwych uczuciach. Nie wiedziałam też, gdzie listy moje adresować, przybywszy tu za interesami. Jestem tu od niedawna, bez żadnych środków, wielce skłopotana. Spodziewam się niezadługo módz wyjechać do Niezdowa. Ufam, że mi danem będzie na klęczkach żebrać twej łaski i zapewniać drogą matkę o niezmiennem przywiązaniu, którego każdego dnia mego życia będę się starała dawać dowody, jako najukochańsza z córek a pokorna i posłuszna sługa

R. Lubomirska“.

Warszawa 2 lipca.

„Pani i ukochana matko! Acz nieśmiem rościć sobie prawa do jej łaski, nie zasługa, lecz potrzeba obecna zachęca mnie do przełamania wszelkich zapór. Nadto liczę na twe dobrodziejstwa, aby się do nich nie uciekać, ufam, że Wasza Ekscellencya śmiałość mą wybaczy. Mąż mój wyjeżdża do Paryża na dłuższy pobyt. Zdrowie moje wymaga zmiany klimatu, zaczem za nim pospieszę. Błagam tedy Waszą Ekscellencyę,

aby raczyła mnie wspomódz w potrzebie. Mam długi [1]); lękam się z niemi zwierzyć mężowi, który aż nadto będzie miał wydatków, skoro zdrowie moje wymaga poratowania. Czterysta dukatów na razieby starczyło. Gdyby matka raczyła mi dać assygnatę na pana Cabrit, uszczęśliwiłabyś pewną osobę drżącą tylko, aby mąż jej się o tem nie dowiedział. Oczekuję niecierpliwie łaskawej odpowiedzi i zostaję z wdzięcznością, której dowody całe życie dawać będę, ukochaną córką i posłuszną sługą

R. Lubomirska".

Warszawa 3 lipca 1788 r.

„Szanowna pani matko! Spodziewałem się zastać J. W. P. dobrodziejkę w Warszawie, ażebym od niej mógł pozwolenie odebrać, za granicę wywieść moją żonę, której zdrowie potrzebuje najprędszego ratunku. Będę czekał J. W. P. dobrodziejki rozkazów, jeżeli jakie zajdą, proszę adresować list do Paryża pod kopertą do J. W. Rzewuskiego: *dans le quartier du Palais Royal.* Proszę być pewną, że nie przestanę być przez całe życie Waszej Excellencyi pokornym i posłusznym sługą

A. Lubomirski.

Lex nie wiem czyli ma książki sprowadzić".

Warszawa 12 lipca.

„Szanowna pani matko! Otrzymałam uprzejmy list, którym po dłuższem milczeniu mnie zaszczycić raczyłaś. Wasza Ekscellencya może sobie wystawić radość, jaką mi sprawiła. Mniemałam bowiem, iż jestem zapomnianą przez matkę, dla której moje uszanowanie i przywiązanie nigdy się nie zmniejszyło. Skoro Wasza Ekscellencya raczy się o zdrowie moje dopytywać, donoszę, iż jest ono wybornem. Nie zatrzymamy

[1]) W Summaryuszu spraw ks. A. Lubomirskiego znajdujemy następującą zapiskę: „Dnia 6 stycznia 1789 r. w aktach grodzkich powiatu włodzimirskiego. J. O. książę Imci Aleksander Lubomirski, kasztelan kijowski, zapobiegając całości majątku swego, o nieważność długów zaciągniętych przez żonę swoją, lub skryptów wydanych, że nie będzie w obowiązku płacenia manifestuje się".

się tu dłużej, jak do jutra. Wyjeżdżamy do Wiednia, aby ztamtąd udać się do Paryża. Niechże Wasza Excellencya raczy mi zachować swą laskę mimo oddalenia, które nas rozłączy. Serce moje dokaże tej sztuki, aby się do niej przybliżać i do grobu zachować pamięć jej dobrodziejstw. Jeśli Wasza Excelraczy do mnie pisać, proszę adresować do p. Cabrit w Warszawie, który jest moim korespondentem. Pamięć o jej dobrodziejstwach do grobu ze mną pójdzie. Kochająca córka, pokorna i wierna sługa *R. Lubomirska*".

W pierwszym liście z Paryża ks. Aleksander starościnę żmudzką zawiadamia, że urodziła się im córka Aleksandra-Rozalia, przyszła żona Wacława Rzewuskiego.

Paryż 8 września 1788 r.

„Droga pani matko! Nie odbierając żadnych odpowiedzi na moje listy, które często z Polski adresowałem do J. W. P. dobrodziejki, nieśmiem inkomodować moją korespondencyą. Jednakowoż nie mogę ubliżyć tej okazyi abym doniósł, że moja żona szczęśliwie powiła córkę, którą trzymali do chrztu J. P. Rzewuski z księżną Ksawerową. Moja żona w zupełnem zdrowiu zostaje, zabawi przez zimę w Paryżu, aby mogła swoją konwersacyą bawić najukochańszą matkę, której mam honor polecić się statecznej łasce i pamięci, szczerze przywiązany syn i podnóżek

A. Lubomirski".

Ks. Rozalia w r. 1792 r. straciła starszą córkę, o czem następujący list ks. Aleksandra wspomina—pisany już z Łańcuta — dokąd po wypadkach targowickich i po przystąpieniu króla do konfederacyi udał się Lubomirski, stronnik Konstytucyi Trzeciego Maja, ks. Rozalia zaś przebywała w Szwajcaryi.

Łańcut 20 września.

„Dowiedziawszy się o przybyciu J. W. pani dobrodziejki do Warszawy, winszuję szczerze szczęśliwego powrotu. Cała postać rzeczy się odmieniła; żałuję sytuacyi nieszczęśliwego Młynowa, który najwięcej ucierpiał. Ale nam wszystkim w róż-

nych województwach przechody wojsk były straszne. Proszę napisać do Opola i pocieszyć mnie w utrapieniu, albowiem kilkoma dniami przed wyjazdem do Łańcuta utraciłem najukochańszą. Matylda Lewicka będąca w Warszawie, opowie wszystkie okoliczności choroby, mimo starania największe doktora mojej matki samej, która największe dowody przywiązania w tej okoliczności mnie dała; dla wielkiej słabości swojej jedzie do Warszawy. Moja żona zupełnie zdrowa, spodziewała się J. W. panią dobrodziejkę w Szwajcaryach przyjąć, więc co się odkłada nie zginie. Szczerze przywiązany syn i podnóżek

A. Lubomirski.

Ks. Jenerał [1]) tu przyjechał, ja trzy niedziele tu bawiłem, wyjeżdżam do Opola".

Listów z r. 1792 i 1794 mamy dwa: pierwszy ks. Rozalii z Paryża do starościny żmudzkiej, zawiadamiający, że do kraju już nigdy nie powróci, drugi ks. Aleksandra po otrzymaniu wiadomości o uwięzieniu żony. Uwięzienie nastąpiło w listopadzie 1793 r., wiadomość zaś doszła męża dopiero następnego roku w marcu, tak natenczas utrudnione były komunikacye z Francyą, skutkiem okoliczności politycznych i wojennych.

Paryż 18 listopada.

„Słabość zdrowia mego nie dozwoliła mi dotąd odpisać na list matki kochanej, któren odebrałem z czułością i uszanowaniem. Nie wątpię bynajmniej o jej względach i przywiązaniu ku mnie, za tem upraszam kochanej matki być przekonaną, że zawsze będę podległa jej naukom; zgadzam się z nim, że niemam prawa wyciągać po księciu większej ekspensy, przystaję na to. Lecz przytem uprzedzam matkę kochaną, że więcej do kraju powrócić się nie chce. Żadna konsyderacya mnie nie potrafi zniewolić do powrotu do kraju, gdzie tyle zmartwień doznałam. Proszę drogiej mamy, aby raczyła o tem donieść księciu, do którego nie piszę z obawy ściągnięcia odpowiedzi, którąby tyle mnie co i jego

[1]) Ks. Adam Czartoryski, jenerał ziem podolskich.

zasmuciła. Zresztą czuję się chorą i śmiem się spodziewać, iż już nie długo pociągnę to nudne życie moje. Adieu, droga mamo, nie zapominaj twej nieszczęśliwej córki, która cię kocha, jak to, co ma najdroższego na ziemi".

(Bez podpisu).

Opole 23 marca 1794 r.

„Droga pani matko! Odebrałem sztafetę i zaraz wyprawiam Imci pana Bajkowskiego z eksplikacyą, nawet list, rachunek bankiera oryginalny, który 400 dukatów awansował, rozumiejąc, że moja żona jest zatrzymana za długi, ale zatrzymana z okazyi niepotrzebnej korespondencyi *avec Madame du Barry*, gdy ta nieszczęśliwa była aresztowana, powróciwszy z Anglii i potem exekwowana. Pisałem do pana Paca, aby nie posyłać pieniędzy, albowiem bankier p. Porta ofiarował z Lausanny płacić jej i przyjął na siebie awansować na drogę pieniędzy. Jest myślą moją w maju posłać Madame Jeauffrai. Więc fałszywa nowina, że aresztowana za długi, których w Paryżu teraz nie można zrobić, mając dwieście dukatów na miesiąc, ale iżem inszy znalazł sposób przesłania pieniędzy, albowiem p. Pacowi dziękowałem za kredyt. Szczerze przywiązany syn i podnóżek

A. Lubomirski".

Rozprawa p. Aleksandra Kraushara, o której wspomnieliśmy we wstępie [1]), tudzież artykuł tygodnika *Revue heldomadaire* p. t. *La princesse Lubomirska* (z zastrzeżeniem, co do ostatniego, sensacyjnej lecz błędnie przytoczonej okoliczności) [2]), zbytecznem czynią powtarzanie bolesnych przejść w ostatnich miesiącach życia ks. Rozalii Lubomirskiej. Nie-

[1]) W dziele Doucet-Surigny (*Mes trois incarcérations etc.*) we wzmiance o księżnie de la Trémouille, powiedziano: *Une étrangère*, a nie wymieniono „la princesse Lubomirska", jak dodanem jest w dziele *Ofiara Terroryzmu*.

[2]) Jest to mianowicie list do Błeszyńskiego, którego wreszcie oryginału nigdy nie odnaleziono: widocznie był on ułożonym i napisanym przez zrozpaczonych niepowodzeniami w zabiegach przyjaciół księżny, jako jeden ze środków użytych dla ratowania uwięzionej.

któremi tylko szczegółami, poczerpniętemi przezemnie w Paryżu z tychże samych źródeł, z których korzystali autorowie prac powyższych, rzecz tę uzupełnimy.

Policya paryska zwróciła uwagę na ks. Lubomirską, jeszcze przed skargą felczerki Roncelin, zaniesioną dnia 8 maja 1793 r.; świadczy o tem odezwa komitetu nadzorczego gminy z dnia 10 maja. Aresztowanie nastąpiło nie w moc postanowienia Konwentu, lecz z początkowania ministra wojny, wyrażonego w odezwie do mera Paryża, Pache, przesłanej przez ministra spraw zewnętrznych. Rewizye w mieszkaniu odbyto wówczas, gdy już uwięziona przebywała w domu zdrowia przy ulicy Folie-Renault; rewidujący znaleźli dwa portrety, wydające się im konterfektami byłej królowej.

Ks. Lubomirską uwięziono dnia 19 listopada 1793 r.; stawiono przed trybunałem i wyrzeczono wyrok śmierci dnia 21 kwietnia 1794 r., wykonano zaś wyrok dnia 30 czerwca tego roku.

W liście z dnia 22 kwietnia czyli nazajutrz po wyroku skazana, uzacniona wygnanka przemocy targowickiej i jej sprzymierzeńca, opowiada: „Ostatnie moje westchnienie będzie za moją ojczyznę“! — a pośród skromnych resztek ruchomości, zabranych przez drapieżność więziennych siepaczy, znalazł się obrazek św. Teresy“. Wierną więc pozostała do zgonu Polsce i religii.

Zawinił monarcha, zawinił kapłan, zawinił szlachcic, mieszczanin i wieśniak, zawinił sędzia i żołnierz, zawinili mędrcy i wieszcze—Opatrzność, niby starożytna Ananke, za winnych, od przerażonej ludzkości zażądała ofiar niewinnych. Tem tylko, ile przystoi śmiertelnemu rozpoznawać wyroki Przedwiecznego, tłómaczyć można straszliwy skon naszej rodaczki.

J. T. L.

Dodatki.

Jako używano w celu uwolnienia ks. Rozalii Lubomirskiej wszelkich możliwych środków, dowodzi załączony bru-

lion dokumentu [1]), znaleziony przezemnie w archiwum Ministeryum spraw zagranicznych w Paryżu. Piszącemu nastręcza się myśl, ażali ks. Lubomirska nie stała się ofiarą przestępnych zamiarów antirewolucyjnych świeżo na śmierć skazanej fakcyi Dantona (do której należał i Vincent donosiciel), a to w celu zohydzenia Rewolucyi przez podstępne skłonienie jej do skazania na śmierć niewinnej cudzoziemki.

1. „Raport co do obywatelki Lubomirskiej. 8 Germinala, roku II-go. Młoda, piękna księżna, może lekkomyślnością zgrzeszyła. Ostatecznie aresztowaną została i od pięciu miesięcy znajduje się w więzieniu, pospołu z nierządnicami i zbrodniarkami. Vincent miał być jej denuncyantem, o co go podejrzywają. Nędznik ten, wiodąc ją ku rusztowaniu, działał pod wpływem zbrodniczego stronnictwa. Można przypuszczać, iż aresztowanie tej młodej i powabnej kobiety miało na celu ukaranie cudzoziemki, za szczerą dla naszej rewolucyi przychylność, oraz shańbienie tejże rewolucyi w oczach rodaków tej pani. Nie jest winną żadnej zbrodni, więzieniem dużo odpokutowała, trzeba zwrócić uwagę Komitetu“.

(Bez podpisu).

2. „Gmach policyi. Gmina Paryża, 12 Pluviôse, roku II Rzpltej jednej i niepodzielnej. Obywatel minister spraw zagranicznych:

Obywatelu ministrze! Skutkiem kopii listu, przesłanego nam przez ministra wojny, oraz wiadomości przezeń dostarczonej merowi Paryża, obywatelowi Pache, 8 Brumaire'a, rozkazaliśmy aresztować byłą księżnę Lubomirską, podejrzaną o stosunki z nieprzyjaciółmi Rzpltej i utrzymującą porozumienie z agentami dworu rosyjskiego. Atoli dowiedzieliśmy się tak przez raporta, jak i śledztwo samejże Lubomirskiej, że nie miała innych stosunków, jeno z polskimi patryotami. Jednakowoż nic nie chcąc brać na siebie, upraszamy o doniesienie nam, jak dalece zawierzyć nam trzeba denuncyacyi,

[1]) Dokumenta niniejsze podajemy tu w tłómaczeniu, podobnie jak i niejeden z poprzednich listów.

tudzież, jakie względy Rzplta francuska winna zachować dla ludów sprzyjających sprawie wolności. Ukłony i braterstwo.

Godard—Devans

administratorowie departamentu policyi.

P. S. Obywatel Godard ma sobie oddaną tę sprawę.

III Dywizya, 13 Ventôse, nr. 575, Reg. i t. d. *Godard.*

Minister nie może dostarczyć żadnych objaśnień co do obywatelki Lubomirskiej, któreby osobiście posiadał i wyciągał z korespondencyi dyplomatycznej. Natomiast wszyscy znajdujący się tutaj patryoci polscy poświadczyli ustnie czy pisemnie niewinność, oraz patryotyzm tej obywatelki, za którą orędowali, aby minister ich reklamacye przekazał Komitetowi Bezpieczeństwa Publicznego. Sądzi, iż wrócenie jej wolności, dowód sprawiedliwości i ludzkości, jak najlepsze sprawiłby wrażenie na jej uciśnionych rodakach".

(Bez podpisu).

3. „9 Germinal. Rok II Rzpltej jednej i niepodzielnej, 7 rano. Rewizye w sprawie Lubomirskiej:

My Komisarze policyi sekcyi Popincourt zostaliśmy wezwani przez obywatela Dange, administr. policyi, aby dokonać rewizyi w domu obywatela La Chapelle, przy ulicy Folie-Renault, w apartamencie obywatelki Lubomirskiej, uwięzionej w tymże domu. Mały ten apartamencik parterowy ma okna na ogród. Zastaliśmy rzeczoną obywatelkę. Po dokonanej rewizyi, nie znaleźliśmy nic, krom kopij listów przyjacielskich. Znaleźliśmy wprawdzie kałamarz z wizerunkiem, jak nam się zdało, byłej królowej, tudzież dwa portrety, z których jeden jest medalionem tej samej osoby cona kałamarzu, oraz dwa inne portrety familijne. Po dokonanej rewizyi, nie znalazłszy nic przeciwnego Rzpltej, wyszliśmy, spisawszy protokół z rzeczoną obywatelką i pisarzem tryb.—Aleksandrowa Lubomirska. Dange. Simon Vaillant, jako pis. tryb".

Po zgonie ks. Lubomirskiej córkę jej wydano Izabelli Leżeńskiej. Dwa dokumenta, pochodzące z archiwum prefektury policyi w Paryżu, załączamy tutaj, a podajemy również testament ks. Aleksandra Lubomirskiego, dający 15-letniej córce, później hr. Rozalii Wacławowej Rzewuskiej, tak wczesne

świadectwo powagi i dojrzałości, której dowody składała ona przez wszystkie lata bolesnego i pełnego zawodów żywota.

4. „Gmina Paryża, Departament policyi, 29 Fructidora Roku II Rzpltej francuskiej jednej i niepodzielnej.

W skutek narady Odrodzonej administracyi policyjnej, oraz świadectwa Komitetu Sekcyi Jedności, postanawiamy, iż oddźwierny domu Montprin, przy ulicy Montprin, wypuści natychmiast na wolność obywatelkę Aleksandrę Lubomirską, wieku pięć i pół lat.

Administratorowie policyi
Martineau — Barisson".

5. „Ja niżej podpisana Izabella Leżeńska, poświadczam, iż zgodnie z podaniem położonem na czele dokumentu Cywilnego Komitetu Sekcyi Jedności, jako wykonaniu rozkazu zkądinąd wydanego, obywatele Montprin i Desnol oddali mi uwolnioną obywatelkę Aleksandrę Lubomirską. Co stwierdzam i kwituję na dniu 3 Fructidora, Roku II Rzpltej jednej i niepodzielnej

Izabella Leżeńska".

Testament ks. Aleksandra Lubomirskiego.

6. „Niżej własną ręką podpisany Aleksander ks. Lubomirski, oświadcza niniejszem mojem pismem dla Rozalii księżniczki córki mojej służącym, iż ja znając dobrze tejże córki chociaż jeszcze lat dwudziestu czterech niemającej, dojrzałą roztropność i do rządzenia własnością doskonałą jej sposobność, oraz uwadze jej i przezorności towarzyszącą zręczność—własność moją wszelkich mobiliów w pałacach moich Opolskim, Niezdowskim, Józefowskim i w domu lubelskim, tudzież w folwarkach wszystkich teraz znajdujących się, jako też złota, sreber, porcelany, szkła, fajansów, bielizny stołowej, rekwizytów kaplicy opolskiej i kowalskiej, magazynów, cyny, miedzi kuchennej i browarnej, powozów, wszystkich koni stajennych i folwarcznych z zaprzęgami, bydła każdego rodzaju, owiec i ptactwa po wszystkich folwarkach, także biblioteki,

gabinetu naturalnego, kollekcyi kamieni różnych i kruszców, arsenału, papierów i instrumentów muzycznych — ogólnie tego wszystkiego, co tylko ruchomością nazwać się może i co rejestrami opisane jest lub jeszcze nie jest, na osobę jej przenoszę, albo wyraźniej, to wszystko co wyżej ogólnie wyszczególniłem, tejże mojej jedynej córce daruję i oddaję. Wolna więc odtąd będzie córka moja tem wszystkiem, podług woli swojej, jako właścicielka zarządzać, i natychmiast ją do zarządzenia tem wszystkiem dopuszczam. Co zaś dotyczy gotowych pieniędzy i zboża, w ziarnie lub snopie, oświadczam, iż jeżeliby się pieniądze w gotowiznie i zboże wszelkie w punkcie zakończenia mojego życia zostały, i te pieniądze wraz z zbożem jej natychmiast po śmierci mojej tak własnemi będą, że wolno będzie jej pieniądze do siebie wziąść, a zboże sprzedać, wszystkiemi zaś ruchomościami, inwentarzami i składami wszelkiego gatunku, jak wyżej objęto jest, może jako własnością swoją dysponować, używać, albo także sprzedać. Na co wszystko, darowiznę tę mojej córce Rozalii księżniczce Lubomirskiej w dniu dzisiejszym, jako jej imienin, dobrowolnie daną, własną ręką moją przy podpisach świadków (którym ta czynność w niczem szkodzić nie powinna), oraz przy wyciśnieniu pieczęci herbu mojego podpisan. Działo się w Opolu dnia 4 września 1803 r. Aleksander ks. Lubomirski. L. S. — Jako świadek od J. O. ks. Imci Lubomirskiego wezwany podpisuję się: Tomasz Dederko. L. S. Jako świadek przytomny tej czynności podpisuję się: J. Zaleski. L. S.“.

WIKTOR HUGO
i jego korespondencya.

(Dokończenie).

III.

Wiek dojrzały i polityka.

Już dawniej wykazano, że pojęcia filozoficzne, polityczne, społeczne naczelnika francuskich romantyków, były tylko odbiciem idei nurtujących w ówczesnem społeczeństwie. Sam Hugo nie stworzył żadnej nowej myśli, a próżnię wewnętrzną pokrywał pozorami drugorzędnej wartości. Ogólniki, wykrzykniki, frazesy, były jednak w modzie około połowy wieku, a poeta celował w nich znakomicie. Na jego obronę możnaby wprawdzie przytoczyć, że ani Lamartine, ani Musset, ani de Vigny, nie byli również *intelligences directrices* wieku; nie usiłowali przecież dla przyzwoitości, mody, effektu, pozować na myślicieli i cytować z emfazą imion Descartes'a, Leibnitza, Spinozy, Kanta, których wpływu i znajomości nie widać na nim zupełnie. To samo tyczy się poglądów literackich poety, streszczających w sobie to, o czem rozprawiała w *De l'Allemagne* pani de Staël. Chateaubriand był często płytkim, dramatyzował swe życie wewnętrzne, ale miał rodzaj dystynkcyi w swej intelligencyi, pozę prawdziwie artystyczną, dowcip wcale ostry, którym okrasił sylwetki ludzi swego czasu, kreśląc głośne *Mémoires;* Hugo pozuje bez

wdzięku, choć uroczyście i z miną proroka, a gdy sądzi, że myśli, obraca się tylko w kole banalności. One to były powodem, że Veuillot nazwał go złośliwie, choć słusznie [1]), „młynem rymotwórczym“, a najzdolniejszy i nie mogący być pomówionym o stronność krytyk Faguet określił go [2]) „jako filozofa frazeologii“. Ale Hugo był artystą i to niepośledniej miary. Wynalazł styl i prześcignął nim daleko takich artystów, jak Rousseau, Chateaubriand i cała romantyczna plejada. By odnowić spłowiałe barwy, dać językowi życie bujne i nowe, działać na umysły potężną rytmiczną inwencyą, potrzeba było poety, tłómaczącego swe myśli przez porównania świeże i nieznane, wyrażającego się językiem pełnym nowych małżeństw słów barwnych i plastycznych, umiejącego umiejętnie komponować całość, budować strofy lekkie i dostrajające się do tematu, szukać rymów rzadkich i szczęśliwych. Wystarczy przejrzeć poezye z pierwszego okresu twórczości poety, począwszy od klassycznych *Odes* aż do mieszczących kilka pereł natchnienia *Rayons et ombres,* aby przekonać się o całej delikatności, potędze, rozmaitości poetyckich effektów, któremi rozporządzał Hugo. Przebiegając karty korespondencyi, można ze ścisłością wskazać momenty, w których oko poety spoczęło na nowych widokach, dostarczających mu odcieni nader subtelnych dla jego artystycznej palety. Jako malarz żywej i martwej natury, jest on mistrzem w lokalnym kolorycie; ożywić rzeczy nieruchomych, dać duszę i fizyognomię katedrze, miastu, dzielnicy, polu bitwy, nie umiał przed nim nikt w tym stopniu i mierze. Przymioty te sprawiły, że w powieści umiał tworzyć obrazy, ale nie dusze, w dramacie olśnić kolorytem, ale nie fakturą i psychologią, w liryce wyrazić kilka idei popularnych, kilka uczuć prostych i pierwotnych; gdy przyszło mu pogłębić myśl, rozwinąć pomysł więcej skomplikowany, stał się zimnym, prozaicznym, pretensyonalnym, dziwacznym ze spokojem i bez poczucia własnej niemocy.

---

[1]) Mabilleau: *Victor Hugo.* (Paris, 1895, Hachette et Cie. p. 202).

[2]) E. Faguet: *Dix-neuvième siècle.* (Paris, Hecine, Oudin et Cie., 1898, p. 188).

Jedną z podróży, w których mózg poety zaopatrzył się w nowe kontury i barwy, był wyjazd w okolice nadreńskie; w listach pisanych ztamtąd do żony znajdujemy wprawdzie mniej opisów a więcej ustępów uczuciowych, lecz z kilku zaledwie wzmianek wnosić można, że poeta badał naturę ze znawstwem, zachowywał w pamięci rzeczy widziane, rysował nawet ładniejsze miejscowości i cieszył się ogromnie, że ta wycieczka będzie nader korzystną dla dalszej twórczości. Studyował wtedy pilnie krajobrazy „nowe i bardzo ciekawe“, spędzał całe dnie na przechadzkach, pracował nocami z obawy, by cały ten „tłum rzeczy lokalnych“ nie zatarł się w pamięci (do pani Hugo 9 października 1840 r.). Te szczegóły korespondencyi tłómaczą nam, dlaczego Hugo umiał z dziwną łatwością wywoływać potem obrazy nieskończenie rozmaite, postępować ciągle w poetyckiej technice, tworzyć świadomie a zawsze inaczej i odmienniej. Tak było w r. 1840 i później. Z nad Renu przywiózł do Paryża materyały do przyszłych a chłodno przyjętych *Lettres sur le Rhin;* miały to być poezye prozą, rodzaj realnej wizyi rzeczy widzianych, szereg obrazów zaczerpniętych z bezpośredniej obserwacyi poety. Po za tem pracował mało, zdawał się być wyczerpanym i nie myślał wcale o nowych poezyach. W tym czasie pisze Hugo okolicznościowy poemat na sprowadzenie zwłok Napoleona I i wypowiada raz przekonanie, że na świecie są tylko „dwaj wielcy ludzie, Napoleon i Chateaubriand“ (do ostatniego w grudniu 1840 r.). Zkąd ta skromność u głowy romantyków? Że wpływ Chateaubrianda na romantyzm jest pozytywny i pewny, nie ulega wątpliwości; Hugo, stojący na szczycie literackiej sławy, zasługuje w swej czci dla ojca romantyzmu na uwagę i uznanie. Czy nie jest to jednak skutek niepowodzeń i krytyk lat ostatnich, które skłoniły poetę do porzucenia pióra na przeciąg lat dziesięciu? Otwarły się teraz przed nim podwoje Akademii, ale to nie zadowolniło go jeszcze. Tytuł para Francyi, udzielony mu w lat kilka później, dolał tylko oliwy do ognia jego nieugaszonej ambicyi. Hugo nie jest jeszcze wielkością — nie posiada bowiem uznania, popularności, uwielbienia milionowego tłumu. To tylko osobistość literacka, nad którą znęcać się mogą bezkarnie nigdy niezadowoleni recenzenci i teatralna publiczność, nie

gustująca odtąd w politycznych effektach, melodramatycznych *trucs*, elementarnej psychologii takiego *Ruy Blas'a* lub *Burgraves*. W komedyi panował wtedy wszechwładnie Racine, wskrzeszony przez pannę Rachel, oklaski zyskiwał klassyczny Ponsard z swą wysławianą pod niebiosy a w istocie nudną *Lucrèce;* dla poezyi okazywano mało interesu, a dyskutowano natomiast namiętnie o słabości polityki królewskiej, o nowych zamachach i rozruchach ulicznych, rywalizacyi Thiers'a i Guizot'a, konieczności polepszenia doli robotników. Wrodzona energia i żywotność, szukająca ekspansyi na zewnątrz, pchnęła poetę do działania na szerszej arenie i zyskania tym sposobem rozgłosu. „Gdy byłem dzieckiem — pisał wtedy — należałem do stronnictw. Odkąd jestem mężczyzną, należę do Francyi" (do p. Marbeau w marcu 1844 r.). Frazes to naiwny i bez treści, któremu podobnych spotkamy legion. Czyżby były konserwatysta, a teraz liberał, uważał swą młodość za dzieciństwo? Słowa były może szczere, ale dowodziły, że w jego zapatrywaniach nie było konsystencyi dawniej i teraz, że brak było w poecie poczucia śmieszności podobnego zaparcia się dawnych wyobrażeń, że właśnie takiemi słowy doprowadzał swą polityczną ewolucyę do manii godnej parodyi. Próżność, brak taktu, nieświadomość śmieszności uwidocznia się u niego w licznych wystąpieniach w Izbie, a nawet w notatkach prywatnych. Mówimy tu o ustępach o niby wiele mówiących tytułach, jak *Aux Tuileries* i *A la chambre des pairs,* mieszczących się w *Choses vues* [1]). Niema w nich nietylko logicznego związku, ale i żadnej myśli. Mimowoli nasuwa się tu wspomnienie notatek innego pamiętnikarza, jego świetne analizy charakterów, spotkanych na dworze, opowiadania pełne ruchu, dramatyczności, fizyognomii, ironii. Saint Simon był jednak psychologiem o intuicyi głębokiej i bystrej, gdy frazeolog Hugo lubi nomenklatury, roztaczanie swej wielkości, tworzenie słów i tylko słów. Chateaubriand, piszący swe *Mémoires*, apoteozuje siebie, swe namiętności, pragnienia, pretensye, ale sądzi czasem bystro, charakteryzuje zręcznie, przejmuje się swym tematem; Hugo bawi się słowami, notuje szczegóły bez wagi i wartości, cza-

[1]) Victor Hugo: *Choses vues*, p. 91 — 139.

sem stworzy kilka effektownych zwrotów i oto wszystko, co świadczy o jego myślach w tej ważnej epoce.

Mieszczańska próżność nie przeszkadza mu też dziwić współczesnych swym zmysłem praktycznym, oszczędnością, zapobiegliwością opatrzną i bezprzykładną u artystów. On chce jak Voltaire traktować cały świat na równi, nie być na łasce księgarzy; więc zbiera grosz do grosza, aby zależeć tylko od siebie. „Pracuję od lat dwudziestu ośmiu — pisze z dumą — ponieważ zacząłem mając lat piętnaście. Od dwudziestu ośmiu lat zarobiłem piórem około 500.000 franków. Nie odziedziczyłem nic po mym ojcu; macocha i adwokaci zagarnęli spuściznę... Dziś z 500.000 franków, pozostaje mi tylko 300.000. Te 300.000 franków umieściłem, unieruchomiłem, jak powiadają; i nie dotknę ich, gdyż zbyt pracowałem, aby doczekać się starości, a nie chcę też, by moja żona i dzieci żyły z pensyi po mej śmierci... Co się tyczy mnie samego, noszę palto za 25 franków, zużywam za dużo kapeluszów, pracuję wśród chłodu w zimie i chodzę pieszo do izby parów“ (do redaktora *l'Hare de la Loire,* 1845 r.). Tymczasem dyskusye parlamentarne i rozruchy uliczne przemieniły się w rewolucyę i zaświtał pamiętny dzień 24 lutego 1848 r. Umysły, podniecane tak zwanemi biesiadami reformowemi, zapragnęły ideałów w państwie, społeczeństwie, wszędzie. W Paryżu wrzało, a dymisya Guizot'a, barykady, abdykacya króla, proklamowanie republiki, nastąpiły po sobie szybko, niepostrzeżenie. Poeta wielbi w liście do Lamartine'a postępowanie tego ostatniego, okazujące „geniusz poety, geniusz pisarza, geniusz mowcy, mądrość i odwagę“, a zniesienie kary śmierci napełnia go entuzyazmem (27 lutego 1848 r.). Ale niebawem następują straszne dni czerwcowe, dyktatura Cavaignac'a; poeta nie bierze udziału w walce, obraduje zrazu w *Assemblée Constituante,* truchlejąc o żonę i dzieci, zamknięte w dzielnicy, opanowanej przez rewolucyonistów, a po uśmierzeniu rozruchów zwierza się z radością przyjaciołom, że jest zdrów i cały i jeżeli „fatalny młyn rewolucyjny“ go zgniecie, to zgniecie „serce pełne ufności i miłości“ (do Ulryka Guttingera 10 lipca 1848 r.). To wszystko, co zostało z tych pamiętnych dni. A jednak i z tych drobnych resztek jego myśli można wnosić, że jeżeli wierzył w slusz-

ność zniesienia kary śmierci i wrodzoną szlachetność mas, postępował jak polityczny romantyk, a nie mąż stanu, deklamował o „poważnej sytuacyi“, „słusznej i świętej sprawie ludu“ nie jak człowiek, niosący myśl skuteczną i pozytywną, ale jak zwykły śmiertelnik, idący za wiatrem zwyciężającej opinii. W roku następnym opuścił prawicę, wśród której zasiadał w pamiętnych dniach rewolucyi i przeniósł się do radykałów po nieudanej kandydaturze na prezydenta, akcentując już wyraźnie swe dążności antiklerykalne. Nie wiemy, co myślał o kandydaturze Ludwika Napoleona i wyprawie rzymskiej, która niebawem nastąpiła; w listach wyraża tylko „głęboką wiarę w przyszłość cywilizacyi i Francyi“, a o ultramontanach wyraża się cierpko, że mają „ciemności w oczach, a lód w sercu“ (do Gustawa d'Eichtal 26 października 1849 r.). Frazes to, jakich wiele w ówczesnych mowach poety, a odnosi się zapewne do Montalembert'a i Veuillot'a, mających mniej piękny arsenał słów, ale więcej myśli w głowie. A Lacordaire? Czy jego wymowa patetyczna, obrazowa, gorąca, pełna zagadnień filozoficznych, społecznych, politycznych, może być też podciągniętą pod tę definicyę ciasną i stronniczą? Stało się jednak co innego. W chwili, w której powszechne głosowanie zmieniło z gruntu wygląd Izby, zmieniła się też forma parlamentarnego oratorstwa. Gdy Hugo roztacza swe sentencyonalne antytezy i teatralne effekta, Montalembert przemawia po prostu, jasno, z taktem człowieka z epoki Restauracyi, ważącej słowa i ceniącej poprawność, logikę, miarę, rozsądek.

Dla poety są to lata zmarnowane na szyderstwach, obelgach, utarczkach z dawnymi politycznymi przyjaciółmi z prawicy, która widziała w nim odstępcę. „Walka jest żywą — pisze on wtedy — nieprzyjaciele są zapalczywi, nienawiści wyją z całych płuc, ale twój uścisk ręki tem słodszy dla mnie wśród tego zamętu“ (do H. de Lacretelle, 3 czerwca 1850 r.). Innym razem zwraca się Hugo do Micheleta, któremu winszuje, że jest „prześladowany za świętą sprawę francuskiej rewolucyi i ludzkiej intelligencyi“. Frazes to pusty i naiwny, jak poprzedni. Michelet, jako autor pierwszej części *Histoire de France,* jest godnym podziwu; z chwilą jednak, kiedy zstąpił ze stanowiska historyka do

roli demokratycznego agitatora, znikła jego powaga uczonego i wartość. Uczony, który wyniósł katolicyzm do godności dominującego czynnika w wiekach średnich, a następnie odwołał własne wnioski, stoi w jednym szeregu z poetą, nie wahającym się fałszować własnych pism ze spokojem i bez poczucia ogromu naiwności podobnego kroku. Hugo i Michelet podobni są i tem do siebie, że w dziełach obu stronnicza namiętność, demokratyczny realizm, polemiczny pierwiastek biorą górę nad obserwacyą, rzeczywistością wrażeń, objektywizmem uczonego i artysty. Historya dla pierwszego a poezya dla drugiego będą środkiem, a nie celem; będzie to miało taki skutek, że *Histoire des Templiers* lub *Renaissance et Temps modernes* znajdą się na jednej linii z *Châtiments* i *Légende des siècles* przez swą tendencyjność poziomą, niesprawiedliwą, oszczerczą, niską. Jest między tymi ludźmi, na pozór bardzo odmiennymi, dziwne pokrewieństwo kierunku, poetyckiego usposobienia, daru ożywiania rzeczy martwych, ale są i różnice głębokie i sprawiające, że wartość Micheleta zdaje się rosnąć z latami, gdy Hugo maleje szybko, traci na aureoli, wydaje się banalnym i starzeje się z każdym rokiem... Polityczny liberalizm poety wszedł właśnie w kollizyę z religijnie usposobionymi konserwatystami, uległ powiewowi niewiary, idącemu od Voltaire'a, a mającemu zwolenników nawet w takich umysłach, jak Quinet i Michelet; ztąd niedaleka już droga do radykalizmu i socyalizmu, wiodącego na gilotynę księży, królów i szlachtę i stawiającego na piedestale uświęconą figurę ludu jedynie szlachetnego, wielkiego i godnego apoteozy. A była to chwila, w której radykalizm szerzył się szybko w klasach średnich i dominował w polityce wewnętrznej; osobiste ambicye korzystały z tego naprężenia umysłów, co oddziaływało zgubnie na ogólny nastrój społeczeństwa, literaturę, sztukę. Nikt zaś nie odbijał wierniej tego prądu, prawie elementarnego, jak Hugo; ideę za wiatrem zwyciężającej opinii dowodził tem tylko, że miał zdolność przejmowania się przeważającemi prądami i to, jak dowcipnie zauważył Faguet, nieco później, niż inni. Mierność, którą historyk Tocqueville określił mianem *esprit particulier de la classe moyenne*, stała się jednak cechą czasu, a wyobrazicielem jej stał się Hugo, ów

umysł ruchliwy, przemyślny, próżny, średni w każdem poruszeniu myśli, uczuć, dążeń.

Tymczasem nadszedł zamach stanu 2 grudnia, który zmusił poetę republikanina uciekać z Paryża i Francyi. W drodze do Brukselli był dwanaście dni „między życiem a śmiercią“, ale spełnił swój obowiązek, a to napełniło go zadowoleniem (do pani Hugo 14 grudnia 1851 r.). Losem pozostałej rodziny zajmuje się z niepokojem i dopytuje się o najdrobniejsze szczegóły jej egzystencyi; sam chce być, jako „aktor, świadek i sędzia“ zamachu, jego historykiem. Ale w stolicy Belgii poczyna być ciasno, gdyż rząd małego państwa boi się Napoleona i choć gorąca sympatya otacza wygnańca, możliwość dalszej ucieczki nie jest wykluczoną. Walka z uzurpatorem, który w rocznicę pierwszego zamachu ogłasza się cesarzem, staje się teraz programem najbliższym poety. Marzy o założeniu dziennika opozycyjnego, a żonie oświadcza, że „nigdy nie czuł tej lekkości i zadowolenia w sercu, co obecnie“. Hugo jest mściwy i nie zapomina, że i jego wyobraźni uśmiechał się fotel prezydenta. Tem tłómaczy się zapewne namiętność, którą wkłada w swe pamflety polityczne: *Napoléon le Petit* i *L'Histoire d'un crime.* Do poety belgijskiego, chwalącego go wierszem, pisze, że nie on jest wygnany, ale wolność i Francya. Brzmi to pięknie, ale okazuje też, że skrytykowany przez recenzentów szef romantyków znalazł już drogę powodzenia, zna tajne życzenia tłumów, potrafi z nich skorzystać i stać się owym *voix du peuple,* który jest jego najśmielszem marzeniem. W skromnym apartamencie wygnańca gromadzi się mnóstwo towarzyszów doli i ciekawych; on sam pracuje nad historyą zamachu, która będzie „niewątpliwie pożeraną w Europie“. W liście do Akademii obdarza uzurpatora nazwą „politycznego zbrodniarza“ i podpisuje się skromnie tytułem „przedstawiciela ludu“. Zmienione warunki bytu, niepewność położenia, dekret bannicyi, podsycają jeszcze jego nienawiść nowego porządku; z uciechą i dumą opisuje zaś rodzinie podziw brukselskich mieszczan dla siebie i zabawne epizody z tem się łączące. Radzi żonie postępować ostrożnie, a sam myśli zrazu schronić się do Włoch, gdzie czeka go w pewnym domu „błękitne niebo, słońce, wolna myśl, braterska

gościnność, natura, poezya, przyjaźń“ (do p. Brofferio 2 lutego 1852 r.). Nuży go widocznie odosobnienie, tęskni za swoimi, ale równocześnie drażliwe położenie budzi energię i nakłania do czynu. Już teraz chce „rzucić kilka strof“ za kraty więzienia swych politycznych przyjaciół; będzie to mięszanina inwektyw, fantazyj, brutalnych wybuchów i delikatnych rojeń, jednem słowem l ryczna satyra, głośna pod nazwą *Châtiments*. Mimo niecierpliwego oczekiwania, nadzieja prędkiego upadku nowego porządku nie ziściła się i trzeba było z goryczą wegetować dalej w Brukselli, bez możności powrotu i z „okiem zwróconem ku Paryżowi“. Poeta usiłuje pracować, ale tęsknota trawi go coraz potężniej. Odwiedzają go przyjaciele Girardin, Quinet, Dumas; raz zabawia się nawet na proszonym obiedzie u jakiejś „dobrej, bogatej, polskiej staruszki pani Laskiej“; w wolnych chwilach przesiaduje nad historyą zamachu, po wykończeniu której „obmyje skrzydła“ i wyda zbiorek liryków. Głosy o sobie notuje skwapliwie i oświadcza uroczyście, że „na zawsze należy do republiki“.

Chce teraz osiedlić się na Jersey, obok brzegów Francyi, w domku „mającym widok na morze i okna na południe“. Zajmie się wydawaniem *Journal des peuples* na spółkę z Kossuthem, Mazzinim i innymi rewolucyonistami i zdaje mu się, że dokona „wielkich rzeczy“ (do pani Hugo 19 kwietnia 1852 r.). Każdy zręczny działacz musi bowiem dojść do wniosku, że „unikać polityki w takiej chwili i znaleść sposób zainteresowania, jest rzeczą nieco mniej wygodną“ (do tejże 30 kwietnia 1852 r.). Co znaczą te słowa? Czyżby poeta z polityki niby szlachetnej i ofiarnej robił sobie środek popularności? Stanowisko, które zajął, zasługiwało na uznanie pełne szacunku; korespondencya bywa przecież niedyskretną i odsłania rysy duszy, cenne dla psychologa, ale każące niewierzyć w absolutną i bezinteresowną szczerość przekonań tego męczennika republikańskiej idei, przybierającego pozory szumne, a będącego zawsze i wszędzie „filozofem frazeologii“, miernotą moralną i intellektualną pod pozorami świetnemi, łudzącemi... Egzystencya w Brukselli stała się wreszcie nieznośną. „Moja droga żono, moja droga mała córeczko, mój Wiktorze — pisał wtedy rozżalony — jak mi was brak! Mam

tu nader smutne chwile. Wzdycham do czasu, w którym wszyscy się razem znajdziemy“ (do tejże 12 maja 1852 r.). Marzy o uśmiechu dziecka, oblicza smutno chwile rozłąki, śni o twórczości na tle domowego ogniska; na razie postanawia jednak wyjechać do Londynu, mimo smutnego przekonania, że pozostałe brukselskie kółko wygnańców „pozostanie bez głowy“. Cała podróż była dla poety tylko „długą owacyą“; mowy pożegnalne, okrzyki, przyjęcie rozrzewniły znękanego prawie do łez. Otwierała się teraz przed nim długa epoka dobrowolnego wygnania wśród obcego *milieu*, życie dość jednostajne na wyspie, rzuconej wśród rozległych bezmiarów wód, daleko od tych, którzy go wielbili lub niena widzili. Wyobraźnia wygnańca zasilić się mogła i odświeżyć nowemi wrażeniami, bardzo wzniosłemi i prostemi; w tej kontemplacyi nieskończoności morza i nieba duch prawdziwie głęboki mógł wznieść się do wyżyn dotąd nieznanych, zaczerpnąć w samotnych rozmyślaniach więcej powagi, miary, harmonii, niż było ich dotąd w kreacyach romantycznej doby, wydobyć z wspaniałego widowiska natury nieskończone effekta kolorystyczne i podsycić gasnącą twórczość świeżemi elementami. Podobny los przypadł też w udziale Micheletowi, który rzuciwszy na czas jakiś historyę, oddał się cały badaniom natury; wyrosły z tych badań twory, przesiąknięte liryzmem, pełne samorodności, entuzyazmu, poetyczności, jak *L'Oiseau, La Montagne, La Mer*, o których wyrzekł Faguet, że mają urok dziwny, nie dający się ani analizować ani dyskutować. Hugo nie odnajdzie nigdy tyle wyobraźni, miłości, wdzięku, harmonii, delikatnego wniknięcia w duszę ludzką i przyrody, co Michelet; stworzy przecież kilka pięknych kart, niezmiernie głębokich, nastrojowych, ekstatycznych, które dowiodą, że w tym zapobiegliwym, próżnym mieszczuchu był niekiedy artysta niepośledni, wyższej miary, o wzlotach cudownych i nieskończonem bogactwie wyobraźni.

IV.

Wygnanie i lata ostatnie.

Długa serya *Lettres de l'Exil* wprowadza nas w okres nowy, który poczynał się właściwie w Brukselli, a którego

koniec był na razie nieznany. Życie poety popłynęło zresztą dość przyjemnie i spokojnie. Na Jersey, gdzie obrał wraz z rodziną stałą siedzibę, żyje „wśród skał, łąk, róż, obłoków i morza“ i marzy o pisaniu wierszy w tem „małem gnieździe“ (do p. A. van Hasselt 15 sierpnia 1852 r.). Jest wtedy najlepszej myśli, projektuje podróż na Maderę, a na razie rozkoszuje się miejscowemi wrażeniami. Jesień i zimę spędził na pisaniu „ponurych wierszy“, którą to nazwą określa *Châtiments*, a przyjaciołom w kraju przesyła swe myśli „przez przestrzeń, morze, bezmiar, chmury, wiatr i burzę“, tęskniąc czasem za bliską, a zarazem daleką ojczyzną. „Niebo płacze — pisze raz rozżalony — morze wyje w skałach, wiatr ryczy jak zwierzę, drzewa gną się na wzgórzach, przyroda zaczyna szaleć kolo mnie; ja spoglądam jej w białka oczu i pytam: jakiem prawem skarżysz się naturo, która jesteś u siebie, gdy ja wyrzucony z mego kraju i domu, uśmiecham się? O to mój dyalog z wiatrem i deszczem“ (do p. Noël Parfait 29 października 1852 r.). Niezmierzona pustynia wód działa na poetę smutno, ale i podnieca do twórczości; zagłębiając się w sobie, odrywa się mimowolnie od spraw codziennych, wrażeń przelotnych i musi tworzyć w sposób, nie mający nic wspólnego z rodzajem tworzenia wielkomiejskim. Była to zmiana i korzyść bardzo znacząca. Współpracownictwo w dzienniku rozwinęło bowiem twórczość poety; dziennik ma zaś z natury rzeczy podniecać ciekawość publiczności, utrzymać ją w stanie rozgorączkowania, budzić pragnienie nowości, nie pozwolić nigdy wejść w siebie i żyć ciągle na zewnątrz, prędko, bez namysłu, bez powolnego wyrobienia trwałego i jasnego poglądu. Dziennik narzuca też publiczności a co więcej piszącym zamiłowanie do brutalnego realizmu, gdyż polega on na informacyi szczegółowej, dokładnej, zewnętrznej, drażniącej zmysły i uczucia. A Hugo rozpoczął swój zawód od dziennikarstwa i wniósł do poezyi, powieści, dramatu coś z usposobienia reportera, który chce i myśli zainteresować, podrażnić, olśnić za każdą cenę, pisze, gdyż pisać musi i wśród takiego pisania traci wiele ze spokoju, miary, powagi, subtelności, niezbędnej w twórczości; że w takich warunkach, jako współpracownik *Conservateur littéraire. Muse française, Globe*, potem *L'Evénement* i *Rappel*, nie stra-

cił zupełnie talentu, winien to wrodzonemu zamiłowaniu do poprawności, wykończenia, doskonałości, przynajmniej formalnej, cechującej go do końca.

Usposobienie poety, do niedawna gorączkowe, niespokojne, naprężone, wyrównywa się, pogodnieje, a smutek i tęsknota pojawia się rzadko i na krótko. Nadchodzi wojna krymska, wzięcie Bomarsundu, wylądowanie na Krymie, bitwa nad Almą i oblężenie Sebastopola; biedny wygnaniec żywi nadzieje powrotu, udaremnione prędko zwycięstwami tego, przeciw któremu wymierzył dwa zjadliwe pamflety prozą i *Châtiments*. Więc zawiedziony nie waha się nawet radzić stolików, tak wtedy modnych; niestety i one nakazują mu „milczenie i tajemnicę". Zresztą pracuje stale „we dnie i w nocy, pływa w poezyi, nasyca się barwami" i zazdrości tym, którzy żyją wśród swoich, gdy on „poślubił morze, huragan, ogromny brzeg piaszczysty, smutek i wszystkie gwiazdy nocy" (do Emila Deschanel 14 stycznia 1855 r.). Wrodzony optymizm nie dozwolił mu popadać w melancholię; był nadto szczęśliwy, jako mąż i ojciec przywiązanej rodziny, a nie posiadał tej wrażliwości nerwowej i delikatnej Chateaubrianda lub Musseta, która cierpi bez powodu, często, zwykle pod wpływem pobudki wewnętrznej. Hugo żyje cały na zewnątrz a rozpaczy, zniechęcenia, pessymizmu, analizy siebie samego nie ma w nim ani śladu. Pod względem religijnym jest on teraz zwolennikiem filozofii, dość rudymentarnej i polegającej na pewnych zasadach ogólnych, jak wiara w Boga, w istność dusz i świata zagrobowego, w postęp moralny i możliwość nagrody za dobre uczynki. Znajdą się w tym systemie dość ogólnikowym resztki dawnej wiary dziecięcej, nieco spirytualizmu Wiktora Cousin'a z epoki przed r. 1830, gdy ten ostatni hołdował jeszcze panteizmowi i idealistycznym poglądom Hegla. Jest to metafizyka, ani oryginalna ani skomplikowana, ale poecie wystarcza zupełnie. „Wierzę w Boga — pisze do Micheleta—gdyż wierzę w człowieka. Żołądź dowodzi mi dębu, promień gwiazdy; to mój symbol i twój. Znajdziemy kiedyś drogie istoty, a twa córka żyje obok mojej; odtąd te anioły uśmiechają się i oświecają nas. Bez twej świadomości jest więcej światła w twym mózgu" (24 lipca 1855 r.). Podobne poglądy, odziane w formę poetycką, znajdziemy też we współczes-

nych *Contemplations*, które są jakby dziennikiem najgłębszych myśli i uczuć wygnańca, szeregiem wylewów czysto indywidualnych, wiązanką form mistrza, który swą sztukę zna i któremu imponuje. Nie brak i tu akcentów fałszywej naiwności, teatralnej pozy, zapałów na zimno, ale jest też cała gamma uczuć prawdziwych, głębokich, elementarnych, a zamkniętych w strofach dźwięcznych, szerokich, pełnych, effektownych i uderzających rozmaitością rytmicznej inwencyi. Jest tu prostota, dyskrecya, miara, bogactwo blasków i barw, odmierzonych starannie i z artyzmem. „Wygnanie — pisze wtedy poeta — oderwało mnie od Francyi, ono mnie prawie oderwało od ziemi i są chwile, w których czuję się umarłym i myślę, że żyję już wielkiem i wzniosłem życiem zaziemskiem“ (do Villemain'a 9 maja 1856 r.). Zmuszony przesiedlić się na Guernesey, nie traci panowania nad sobą, a chwilowe żale i utyskiwania rozpraszają się, jak mgła, pod działaniem domowego szczęścia i na tle majestatycznego krajobrazu otaczającego wygnańca. Ton uroczysty, proroczy wyziera wprawdzie z każdego listu, ale w ogóle jest Hugo znacznie spokojniejszy, bardziej zrównoważony, niż dawniej w gorączkowej atmosferze Paryża.

Pogrążony dotąd w sferze osobistych przejść i bólów, zamkniętych w *Contemplations*, myśli on teraz o poezyi nowej, mającej rozedrzeć tajemnicę wieków, oświecić niezbrodzone głębie przeszłości, rozwiązać zagadkę ludzkiego bytu, poszybować daleko za widzialne kresy materyi. „Chciałbym — określa przyszły autor *Légende des siècles* swój zmiar — jeżeli Bóg użyczy mi nieco mocy, unieść tłum na pewne szczyty; jednakże, nie ukrywam tego wcale, mało tam powietrza do oddechu dla niego“ (do p. Enfantin 7 czerwca 1856 r.). Ton korespondencyi przybiera odtąd, ton mistyczny, mglisty, prawie apokaliptyczny, pełen przenośni i niedomówień; piszącemu je zdaje się, że stworzy rzeczy nieznane, nadzwyczajne, że wywoływa rodzaj objawienia przeszłości ciemnej i niezbadanej. Czy Hugo nie dowierza nadto własnym siłom? Czy nie zapuszcza się w spekulacye, do których wznieść się mógł umysł obeznany z filozoficznemi systemami, ale nie romantyk wierzący w stoliki, operujący słowami, ale nie myślami, lubujący się w banalnościach i kommunałach i głośny z tego,

że w jednej z rozmów prywatnych rozprawiał poważnie o prawej i lewej stronie absolutu? Wprawdzie romantyzm, jak świadczy jeden z krytyków współczesnych[1]), był od zarania swego rozwoju *traversé de frissons métaphysiques;* te ostatnie stanowiły nawet jeden z jego głównych lirycznych elementów. Jednakże pani de Staël zakończyła swe wątpienia aktem wiary, nie będącej ani deizmem ani spirytualizmem, ale czystem chrześciaństwem; Chateaubriand oparł swą wiarę na wierzeniach poety i artysty, a choć rozumował słabo, nieudolnie, dokonał więcej, niż wielu teologów. Hugo nie zna naukowo żadnego systemu, dotyczącego budowy świata, rozwoju stosunków społecznych, roli człowieka w rozmaitych okresach ludzkości; mniema jednakże, że potrafi zbudować historyę ludzkości i dać swej kreacyi charakter umiejętny. W tym celu przybiera, jak zwyczajnie, ton bardzo solenny, gromadzi wyrazy bardzo ogólnikowe, rozwija symbole najwięcej zawiłe, kreśli obrazy szerokie w stylu homeryckim. W tych usiłowaniach nie znać przecież śladu naukowego przygotowania się do dzieła, zamiaru i zdolności jasnego rozwinięcia poglądów, niezbędnej precyzyi i logiki w opracowaniu szczegółów i całości. Dość porównać z tą poronioną kreacyą poety, utwory pokrewnej treści współczesnego pisarza Sully-Prudhomme'a, by przekonać się o możliwości traktowania podobnej materyi w poezyi i porządnego jej przedstawienia. Logika rozumowania szkodzi wprawdzie poetyczności takiej kreacyi, jak *La Justice*, która mimo to czaruje symbolicznością, mglistością i liryzmem, łagodnym i szczerym. A inne poematy tegoż wprawnego artysty i myśliciela, jak prześliczna w swym symbolizmie epopea *Le Bonheur*, lub takie klejnoty współczesnego natchnienia, jak *Les Chaînes*, *La Forme* i tyle innych? Ileż tu wiedzy skrystallizowanej w obrazach barwnych i wzruszających, zagadnień głęboko moralnych, uczuciowości delikatnej a żywej, akcentów bardzo poetycznych i wzniosłych! Hugo sądzi przeciwnie, że myśli, a stwarza tylko rodzaj lirycznej wizyi, banalnej w pomyśle a pięknej jedynie w szczegółach, godnych pod względem pióra zająć pierwsze

[1]) *Historie de la Littérature française*, par Gustave Lanson. (Paris, Hachette, 1895, p. 919).

miejsce w jego twórczości. Gdzie następuje opis, obraz rzeczywisty, rzecz zmysłowa, tam potrafi on wywołać effekta dziwnie wydatne w tonie i klassyczne w wykończeniu. Oto wyjątek, cytowany już przez Fagueta:

> Froïla tombe, étreint par l'angoisse dernière;
> Son casque, dont l'épée a brisé la charnière,
> S'ouvre et montre sa bouche oú l'écume apparait,
> Bave épaisse et sanglante! Ainsi, dans la forêt
> La sève en mai, gonflant les aubépines blanches
> S'enfle et sort en salive á la pointe des branches [1]).

Pod względem filozoficznym pierwsza *Légende des siècles* przedstawia się jako zbiór nader mętnych wyobrażeń o Bogu, lepszej przyszłości ludów, postępie; zaczerpnął je poeta z Rousseau, Condorcet'a, Volney'a, Reynaud'a i zamknął w symbolach niby niezmiernie ciemnych, a w istocie kryjących błahość myśli, płytkość i brak konsystencyi w całości rozwiniętej dokryny.

A przecież miał to być poemat, sumujący w sobie wszystko, co Hugo dotąd przemyślał i przeżył; co miało nastąpić później, było już tylko powtórzeniem i dekadencyą talentu. Było w tej kreacyi szlachetnej w pomyśle, ale nieudolnej w wykonaniu, coś tragicznego i śmiesznego zarazem; ludzie, budujący wieżę Babel, odchodzili pewnie z niemniejszym bólem, który powinien był ogarnąć poetę po ukończeniu dzieła, od kolosu wzniesionego z myślą zuchwałą a powstrzymanego w wzroście mocą wyższej woli i siły. Ale Hugo był optymistą i sądził siebie łagodniej, niż którykolwiek z oddanych mu krytyków. Stosunki jego ze światem literackim nie zerwały się mimo oddalenia i czyniły mu wiele przyjemności wśród monotonii wyspiarskiego żywota. Do Baudelaire'a, którego *Fleurs du mal* potępiła cenzura jako niemoralne, pisze, że jestto „jedna z rzadkich dekoracyj, których rząd teraźniejszy może udzielić“ (30 sierpnia 1857 r.). Nas dziwi ten serdeczny ton, którym Hugo obdarza epigona romantyzmu i przedstawiciela pretensyonalnego a niby sata-

[1]) *Loco citato*, p. 234.

nicznego pessymizmu. Zdaje się, że uderzały go mile śmiały symbolizm baudelairowski, doskonałość stylu, dźwięczność wiersza, a mniejszą wagę przykładał do treści, będącej essencyą brudnej zmysłowości i prozaizmu naśladującego natchnienie. Że nie dzielił filozofii autora *Fleurs du mal*, pokazuje się z innego ustępu korespondencyi, w którym protestuje uroczyście przeciw hasłom nowej poezyi i zastrzega sobie własny sposób myślenia (do tegoż 6 października 1859 r.). Widocznie z chwilą, kiedy były szef romantyków postawił nogę na obcym gruncie, w Paryżu uczniowie i wielbiciele jego talentu poszli własnemi drogami. Sam mistrz zdaje się odczuwać, że zaczyna stawać w sprzeczności z całą falangą młodych i że gdy wróci do swoich, będzie tylko minioną wielkością. Czas uniesień, gorączkowania, egzaltacyi minął bezpowrotnie, a poezya, stając się mniej indywidualną a więcej racyonalną, stara się być najbardziej doskonałą formalnie i traci na treści, myśli, prawdzie uczuć, podniosłości moralnej. Więc taki Teodor de Banville jest już tylko akrobatą, dokazującym cudów, gdy chodzi o nadzwyczajne effekta kolorystyki i metryki, Baudelaire ma silnie rozwinięty zmysł dotyku i powonienia, Beuilhet lubuje się w egzotyzmie i naukowej erudycyi, a największy z nich, Leconte de Lisle, filozofuje nad marnością bytu, kuje piękne choć zimne kształty i gromadzi koło siebie pewną liczbę naśladowców, nieodłącznych od mistrza, jak satellici od Jowisza... Hugo dąży tymczasem nerwowo do ideału poezyi i głosi dumnie swą wiarę w „wzrost światła ludzkiego za pomocą podwójnej kombinacyi prawdy i ideału“ (do Champfleury'ego 18 marca 1860 r.). Niestety korespondencya nie rzuca jaśniejszego światła na sposób, w jaki poeta wyobrażał sobie tę kombinacyę; była ona równie nieokreślona i niedojrzała, jak poprzednie twory myśli wygnańca. Zdaje się, że czytał wogóle mało, miał instynkt, a bardziej jeszcze pretensyę do poezyi filozoficznej i słabość do rozprawiania o wiecznym postępie, braterstwie ludzi, tryumfie sprawiedliwości bez granic i podziałów.

Z tych myśli, jak z chaosu, wypłynął romans, do którego Hugo przywiązywał znaczenie ogromne. Jako taki, są *Misérables* powieścią na pół historyczną z dodatkiem elementów filozoficznego i humanitarnego. Bohaterem właściwym

jest lud, wiecznie uciśniony i oszukiwany, na którego poeta, choć były par Francyi za Ludwika Filipa, zlał wszystkie swe uczucia, przeniósł wszystkie nadzieje; opisy pewnych *milieux* ludowych wypadły naturalnie świetnie i z wiernością niesłychaną. A choć ofiara niesprawiedliwości, Jan Valjean, nakreślona jest słabo, bez życia i prawdy, roi się koło niej od figur o konturach niezmiernie poetyckich, ciekawych, zręcznych, a całość uwydatnia lepiej niż *Légende des siècles* wszystko, co Hugo przemyślał, przeczuł, chciał i pożądał, jako sługa demokracyi w owych latach. Zmęczony i chory pragnie teraz „odetchnąć nieco nowem powietrzem“ i opuszcza na czas jakiś Guernesey, udając się do Londynu; głośne jego imię i sława politycznego męczeństwa były powodem, że wszelkie rewolucyjne komitety świata zwracają się do niego o poradę i przystąpienie. Na zaproszenie odpowiada wygnaniec z tym samym zawsze entuzyazmem i temi samemi frazesami. A choć praca i interesa zajmują mu wiele czasu, nie myśli przestać marzyć, jak młodzik; jego serce oddane jest do śmierci „sprawiedliwości, ideałowi, rozumowi, wszystkiemu, co wielkie, szlachetne, piękne, prawdziwe“ (do pani George Sand 6 maja 1862 r.). I znów filozofia i moralność elementarna, dowodząca bezbrzeżnego idealizmu, a zarazem banalności rozumowania, które ceni tylko ogólniki, igra frazesami, powtarza do znudzenia te same komunały. W owych latach cechuje poetę zamiłowanie w wywalczaniu, gromadzeniu, układaniu w rodzaj kanonu nazw wielkich idei; wejść w ich bliższy rozbiór, dać mniej lub więcej naukową definicyę, unika on stale i starannie. Liryczny polot, wspaniały obraz, spotyka się u niego często; potęgą myślenia nie imponuje nigdy. Być może jednak, że w owej epoce wymawiano nazwy takie: wolność, sprawiedliwość, braterstwo—prawda z większą siłą przekonania niż dzisiaj i że nie nużyły one, choć powtarzane kilkakrotnie. Poecie wystarcza frazeologia i marzenie „o społeczeństwie bez króla, ludzkości bez granic, religii bez księgi“; jego ideałem moralnym ma być biskup Myriel z *Misérables*, silnie atakowany przez George Sand, a sam romans „książką mającą braterstwo za podstawę i postęp za szczyt“ (do Lamartine'a 24 czerwca 1862 r.). Optymizm, wrodzony tej naturze zdrowej choć myślącej nieudolnie, nie mógł wydać gor-

szych wyników. Hugo nie jest już chrześcianinem i uznaje tylko obecność Boga w wszechświecie, jako mocy karzącej i nagradzającej; pod względem moralnym jego system nader ogólnikowy dowodzi wielkiej dozy marzycielstwa, właściwego zresztą ludziom owej epoki. On wyznaje teraz zasady, krążące w społeczeństwie francuskiem już między r. 1835 a 1848 r. i pisze może w dobrej wierze, jak pani George Sand, opierająca reorganizacyę społeczną na dobroci i sprawiedliwości. W rzeczową ocenę podobnego systemu nie wchodzi; byłoby to nad jego zdolności i możność. Szczególnie serdecznym i godnym bliższej uwagi jest podziw stały i szczery, który żywi Hugo dla pani George Sand. Zdaje się, że powodem tego było pewne pokrewieństwo ideałów, zbliżające ich do siebie i wytwarzające atmosferę zaufania i wzajemnej sympatyi. Jak on, odtwarzała słynna powieściopisarka tylko hasła i uczucia ówczesne, jak on dawała wyraz swobodny i namiętny własnej indywidualności, jak on szła zawsze za polotem bujnej wyobraźni i szczerze, bez pozy cechującej poetę, była zawsze sobą i tylko sobą. Jednakże George Sand była dobrą w słowach i czynie; w życiu byłego szefa romantyków nie spotykamy podobnie humanitarnych objawów serca. Z tej wielkiej i prawdziwie kobiecej dobroci wypłynęła jej powieść o silnie społecznych dążnościach, jak *Meunier d' Angibault* lub *Péché de M. Antoine;* Hugo działa może w dobrej wierze, ale jego idee zdają się pochodzić z zewnątrz i pojawiają się, co również godnem jest zaznaczenia, znacznie później chronologicznie od podobnych a głoszonych z wielką swadą przed George Sand.

W owym czasie była ona już mniej podobną do tej, która tkwi jeszcze żywo w pamięci starszego pokolenia. Miała już więcej głębi, równowagi, a mniej deklamatorstwa, mistycyzmu, tragicznego tonu i nastroju. Na łonie rodzinnej przyrody, otoczona kochającą rodziną, spokojniejsza z każdym dniem, pisała swe romanse wiejskie o charakterach bardzo harmonijnych, krajobrazach dziwnie ponętnych, bez affektacyi, a z wdziękiem niezmiernym i bardzo poetyckim. Hugo jest dla niej pełen sympatyi i uwielbienia i nie ma słów na określenie przymiotów starzejącej się powieściopisarki. „Pracuję marzę w mej samotności — pisze do niej — i myślę o szla-

chetnych duszach, które utrzymują, jak Pani, ogień tej potężnej Westalki, zwanej ideą. Tak, masz Pani ideał w sobie; rozszerzaj go, rozszerzaj wśród tego biednego tłumu przesyconego dotąd materyą i brutalnością; spełniaj twą dostojną czynność kapłanki, a ja dziękuję ci z głębi duszy“ (21 sierpnia 1859 r.). Drażliwy niezmiernie na krytyki, nie śmie jednak wyrazić swego oburzenia tej, która oceniła surowo jego ukochany romans i postać biskupa Myriel; mimo obrażonego poczucia miłości własnej, gotów uznać, że „milo jest być ranionym przez boginie, gdy one mają też leczyć“ (do tejże 18 maja 1862 r.). Poeta widzi, że starość już blisko i ma słuszność. Mimo to nie składa jeszcze pióra, gdyż nawykł do pracy, a technikę wiersza ma wielką i wyrobioną. Owocem tej wiary w żywotność talentu są *Chansons des rues et des bois,* w których rozhukana fantazya, wesołość, pospolitość tematów odbijały mocno od natchnień poprzednich; próba zawiodła, ale *facetus exsul*, jak go nazwał dowcipnie Veuillot, nie stracił ani werwy, ani wysokiego rozumienia o sobie. Wyobraża sobie nawet, że oddalony od ludzi potrafi teraz wznieść się do prawdziwie buddyjskiej obojętności; on, który nigdy nie nienawidził, chce patrzeć nawet na przeciwników bez gniewu i żalu (do Pawła de Saint Victor 10 grudnia 1865 r.). Czy to prawda? Zdaje się, że poeta okazał tu krótką pamięć i zapomniał o kilku faktach, zadających kłam temu idealnemu wyobrażeniu o sobie. Czystość intencyi i słodycz charakteru nie była, jak stwierdza Faguet, nigdy jego cechą. Wszak on chcąc poniżyć Veuillot'a lżył jego matkę, poważnego choć nieco doktrynera Nisarda porównywał do osła, a brakiem taktu, zaciętością zrażał nawet swych zwolenników. Zapomniał też o czasie, w którym przebaczenie uważał za oznakę słabości. Nie wnikając zaś głębiej ani w własną naturę, ani świata otaczającego, sądził też powierzchownie poezyę młodych, czego dowodem jego niezwykły entuzyazm dla Teodora de Banville. Gdy Hugo chciał i udawał, że myśli, jego uczeń nie zadawał sobie nawet tego trudu. Teofil Gautier nie był ani wielkim lirykiem, ani potężną intelligencyą, ale dbał o treść, gdyż zaczął pisać jeszcze około r. 1830; de Banville, wykształcony na słabej co do myśli poezyi szefa romantyków, wysila się na effekta ryt-

miczne, by działając na zmysły pokryć jałowość tematu. Poezya entuzyastyczna, uczuciowa, pełna wzlotów mistycznych i tendencyj oderwanych, zanika wśród ogólnej posuchy, sprawionej wyłącznem panowaniem haseł, nawołujących do szukania korzyści materyalnych, naturalistycznych poglądów na życie i materyą Vogta, Büchnera, Moleschotta, Czolbego i pozytywnych Comte'a. Mimo to, Hugo ujęty prawdopodobnie przychylną recenzyą swego ostatniego zbiorku poezyj pióra de Banville'a, unosi się nad niezwykłą wartością takich *Cariatides* lub *Odes funambulesques* i przypisuje ich twórcy „wielki polot i słodki szmer, wdzięk, swobodną wykwintność wolnego wróbla, przeskakiwanie z gałęzi na gałąź, i nagle potężne uderzenie skrzydeł i lot przez chmury“ (21 maja 1865 r.). Wedle niego de Banville jest „źródłem poezyi współczesnej“, tem cenniejszem, że prawie jedynem...

Przesada, cechująca oddawna wynurzenia najbardziej poufałe poety, widoczna jest w jeszcze wyższym stopniu w takiej publikacyi ówczesnej, jak *William Shakespeare*. Pełno tu admiracyi bez analizy i dowodów, świetnych antytez zamiast myśli, obrazów zamiast rozumowań. Ale obrazowość oryginalna i pełna blasku zdobywa się jeszcze na taką fantasmagoryę wyszłą z wyobraźni przeniknietej morskiemi peizażami, jak *Travailleurs de la mer*, rozrzuca hojnie metaforami, symbolami, allegoryami w listach do przyjaciół, odezwach do rozmaitych komitetów, redakcyj, a również w odezwie wielbiącej zasługi tego „wzniosłego widziadła“, którem jest dla Francyi Mickiewicz i Polska. „Mówić o Mickiewiczu — pisze poeta z uniesieniem — to mówić o pięknie, sprawiedliwości, prawdzie; to mówić o prawie, którego on był obrońcą, o obowiązku, którego był bohaterem, o wolności, której był apostołem, o wyswobodzeniu, którego był wieszczem“ (17 maja 1867 r.). Cudne słowa i godne zapamiętania! Następuje śmierć małżonki poety, przyprawiająca go o chorobę i smutek długi, ale bardziej pogodny i spokojny, niż dawniejsze. Pociechy przyjaciół, obowiązki dla dzieci, wreszcie naprężona sytuacya polityczna zwracają tę naturę silną prędko na drogę czynnego zajmowania się kwestyami bieżącemi. Zbliżył się w końcu kres wygnania. Z nadejściem wieści o wojnie, toczy się w wygnańcu walka uczuć sprzecz-

nych i zrozumiałych; mimo, że zwycięztwo Niemców byłoby cofnięciem się dziejów o trzysta lat, Hugo boi się powodzenia Napoleona III i twierdzi, że „Francya ma prawo zwyciężyć a cesarstwo upaść“ (do Pawła Meurice 26 sierpnia 1870 r.). Wtedy upada znienawidzony uzurpator, a poeta z Brukselli, dokąd przybył już wcześniej, jedzie do zagrożonego Paryża, by zaciągnąć się w szeregi gwardyi narodowej. Powrót z dworca do prywatnego mieszkania „trwał dwie godziny“ wśród ciągłych owacyj, które wzruszyły wygnańca niezmiernie; odtąd zapisuje on skwapliwie wszystkie oznaki uwielbienia, deputacye, okrzyki, nawet słowa podsłuchane a tyczące się jego osoby [1]). Cieszy się jak dziecko i rozkoszuje swą sławą, a wśród niedostatku, poczynającego doskwierać oblężonej stolicy i huku armat pruskich poczyna rzucać na papier pierwsze zarysy *L'Année terrible*. Nadchodzi kapitulacya, po której autor *L'Année terrible* wyjeżdża do Bordeaux, gdzie zebrało się Zgromadzenie Narodowe dla ułożenia preliminaryów pokojowych. Jako deputowany jednego z okręgów paryskich, prezyduje poeta na zebraniach stronnictw lewicy i nawet w tej smutnej chwili egzekucyi własnego kraju notuje skrzętnie, że ludność miasta sprawiła mu nazajutrz po przybyciu „wspaniałą owacyę“ (do Pawła Meurice 19 lutego 1871 r.). Wtedy umiera mu najstarszy syn, ale i ten cios nie obala tej natury zdrowej, krwistej, a żądnej życia i czerstwej do zgonu. Okropne sceny wojny domowej rozpalają jeszcze jego wyobraźnię i dostarczają nowych motywów do ostatniego zbioru liryków, po którym nastąpią z kolei druga i trzecia *Légende des siècles*, *L'Art d'être grand-père*, *Quatre vents de l'esprit*, a wreszcie cała serya zapisków osobistych, dramatów, liryków, krajobrazów, rozpraw niby filozoficznych, ogłaszanych dotąd, ale zadziwiających tylko mnogością, a nie wewnętrzną wartością literacką... Tu i owdzie zdarzy się błysk uczucia, rytm dźwięczny i szeroki, rym bogaty i wyszukany, ale zresztą te same myśli, te same *lieux communs*, ale już bez siły, skreślone ręką słabnącą, a nawet bez świadomości zupełnej i niezbędnej do normalnej twórczości. Hugo skończył swe dzieło, chociaż jeszcze w latach

[1]) V. Hugo: *Choses vues*, p. 273—334.

ostatnich życia oświadcza dumnie, że myśli działać do śmierci (do członków wolnej masoneryi w Dijon 15 kwietnia 1877 r.). Ale korespondencya urywa się zwolna, a niebawem kończy się i egzystencya człowieka, który najśmielsze swe marzenia spełnił za życia. Jako polityczny męczennik i poeta głoszący idee najbardziej popularne, stał on się w tych latach przedmiotem czci niemal bałwochwalczej. Te powody skupiły też koło trumny „ojca“ wielkiego narodu miliony głów i dusz.

V.

Człowiek i poeta.

Hugo jest człowiekiem i poetą średniej miary. Ten największy z liryków francuskich XIX wieku, mówi najmniej o miłości, a gdy czasem trąci o tę strunę, jest tylko retorem, pełnym galanteryi i mało delikatnej zmysłowości. Ztąd liryka jego stanowi coś wyjątkowego w literaturze, w której od czasów Racine'a panuje wszechwładnie kobieta. Uczuciowość jego objawiła się jednak w szczerem i głębokiem przywiązaniu do rodziny i w wybuchach oburzenia, zawartych w mistrzowskich ustępach *Châtiments*. Zresztą jest to osobistość mało czuła, miernie wrażliwa, niesłychanie i po dorobkowiczowsku próżna, słabo wykształcona, w ogóle przeciętna i wcale niesympatyczna. Korespondencya odsłania wiele stron ujemnych tego człowieka miernego, palonego jedynie pragnieniem rozgłosu, bez głębszych horyzontów w duszy, subtelności w myśleniu, niepokoju i romantycznego rozdźwięku w nastroju. To romantyk, ale tylko pozornie, natura prozaiczna i żądna radości życia, charakter mały i będący okazem tej mierności umysłu francuskiego, o której mówi Tocqueville, że dominowała w epoce Ludwika Filipa i była „czynną, przemyślną, niekiedy nieuczciwą, w ogóle przyzwoitą, zuchwałą czasem przez próżność i egoizm, bojaźliwą z temperamentu, średnią w każdej rzeczy, wyjąwszy zamiłowanie w dobrobycie i mierną“... Hugo jest dzieckiem tej epoki i te cechy francuskiego *esprit bourgeois* wyobraża dosyć dokładnie.

W tej duszy mało wyrafinowanej i poziomej tkwił jednak artysta wyższej miary i zdolności. On rozumie sztukę, ceni ją wyżej niż pogardliwie traktujący swe zajęcia Chateaubriand, dystyngowany amator Lamartine, nie zawsze doskonały artysta Musset, mało urozmaicony i nudny de Vigny. Znaną jest rzeczą, że strona formalna góruje w nim nad treścią, że barwy, zarysy, wypukłości, szczegóły, plamy, blaski i półblaski, obrazy i metafory, rytmy i rymy są jego chwałą niezaprzeczoną i własną. Wniósł on do poezyi, dramatu, powieści wiele zdolności malarskich, jak zamiłowanie konturów, kolorystyki, materyi, kontrastów, nieskończonych odcieni, nieprzystępnych może nawet dla pendzla, niezdolność do abstrakcyjnego myślenia i uczuć bardziej określonych, a mogących znaleść dobitniejszy wyraz w poezyi i muzyce. To niby Gautier z swemi *Emaux* i *Camées*, ale większy, rozleglejszy, ruchliwszy, wszechstronniejszy, choć płytki jak dziennikarz i niezdolny do myślowego skupienia się w sobie, typ literata stworzonego przez wielką rewolucyę i pożeranego chęcią zrobienia karyery łatwej i powabnej. To przedstawiciel czasu, lubującego się w gadatliwości, rozmiarach olbrzymich, kształtach czysto zewnętrznych, teatralnej i malowniczej dekoracyi cenionej w ówczesnem malarstwie i poezyi. Wygnanie było dla tego człowieka, popsutego pochwałami i banalniejszego z każdym dniem, wypadkiem niezwykle szczęśliwym. Ma on jeszcze nieco treści, wzniosłości, polotu, szlachetnych instynktów, których brak u Gautier'a i parnassistów; po nim poezya stanie się czemś w rodzaju sportu, japońszczyzny, zabawki. Duch, który ożywiał taką *Légende des siècles*, uleciał, serca oziębły, zapał wystygł i stężał, a choć artystyczna technika wzrosła i udoskonaliła się, taki Flaubert naprzykład nie ma już i unika styczności z życiem współczesnem, tworzy cierpliwie, chłodno a *impassibilité* uważa za doktrynę jedynie możliwą i godną sztuki. To samo wyraża impressyonistyczna maniera obu Goncourt'ów, niby naukowa i doświadczalna Zoli, objektywna i patologiczna Maupassanta.

Hugo usiłuje natchnąć głębszą myślą swe twory i tłómaczyć głębokie wibracye duszy w zetknięciu ze światem wobec wielkiej zagadki istnienia. Udaje mu się to źle, ale samo usiłowanie godne jest uznania i względu. Pamiętajmy,

że rozumuje on nieudolnie, niekiedy dziecinnie, ale czuć szlachetnie chce zawsze i do końca. Materyalizm ciasny i właściwy pisarzom lat jego starości, obcy jest temu poecie, dla którego porządek i piękność jest najwyższym dowodem bytu sprawiedliwego i łagodnego Stwórcy:

Maintenant qu'attendri par ces divins spectacles,
Plaines, forêts, rochers, vallons, fleuve argenté
Voyant ma petitesse et voyant vos miracles,
Je reprends me raison devant l'immensité...

Choć nowych myśli nie umiał i nie zdołał stworzyć, jest przecież poetą, jak był nim Horacy, Ronsard, Kochanowski, Petrarca, Lamartine, Chénier i inni. Żal, rozpacz, ból, nienawiść, radość potrafił wyrazić świetnie; dla wielkich idei wiary, miłości kraju, wolności, postępu, sprawiedliwości, miał kult szczery i niekłamany. Jest poetą, gdyż umiał widzieć świat, rozróżnić charakterystyczne choć zewnętrzne jego objawy, znaleść ukryte podobieństwa rzeczy najbardziej odległych, przedstawić pewne strony bytu w sposób prawie czarodziejski, pełen ekspresyi i nowości. Tłómacząc swe myśli obrazami ciągle świeżemi i rozmiarów niekiedy nadzwyczajnych, ma on też pewne akcenta uczucia, pewne pędy i poloty, pewne dźwięki i tony, zrozumiałe każdemu; niejednokrotnie zauważono, że gdzie myśl jest głębsza a uczucie bardziej określone i silne, tam stosuje Hugo rytm i rym mniej skomplikowany i misterny i bywa prosty, szczery, naiwny, wzniosły, jak jeden z wielkich. Te karty jego dzieł przechowają pamięć poety do wieków, bardzo odległych od epoki, w której był on uważany za największego.

Dr. Tadeusz Grabowski.

OTCHŁAŃ

dramat w 4 aktach [1]).

(Ciąg dalszy).

AKT II.

(Salon w pałacu Podosockich w tonie jasnym. W głębi drzwi szklane wiodą na oszkloną również werandę, zkąd widok na park zasypany śniegiem. Po obu stronach drzwi dwoje okien. Po prawej stronie dwoje drzwi. Pierwsze wiodą do pokoi p. Podosockiej, drugie do dalszych. Po lewej stronie—drzwi do gabinetu Podosockiego. Cenne obrazy na ścianach. Świecznik wiszący. Dywany na posadzce. Meble rozrzucone gustownie. Przedpołudnie zimowe, jasne).

SCENY:

Ewa Ochacz *(ubrana w skromną suknię czarną, biała koronkowa obszewka koło kołnierza. Młoda, poważna, nieśmiała w ruchach. Trzymając Karolcię za rękę, maszeruje z nią w głębi powoli i liczy razem z nią głośno).* Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm, osiem.

Karolcia *(włosy rozpuszczone, w niebieskiej sukience, biały fartuszek, robi duże kroki).* Panno Ewciu, jeszcze dalej, jeszcze dalej.

Ewa Ochacz. Wejdziemy na ścianę.

Karolcia. Ja chcę wejść na ścianę *(śmieje się).*

---

[1]) Wszelkie prawa zastrzeżone, dla teatrów drukowane jako manuskrypt.

Helena Podosocka *(wchodzi z lewej strony drzwiami I od widzów).* Cóż uczennica panno Ewo?

Ewa. Uczy się pilnie. Liczymy już do ośmiu.

Podosocka *(robiąc duże oczy do Karolci).* Naprawdę? A to ślicznie *(przysiada).* Chodź Karolciu, uściskaj mamusię, całuj i licz.

Karolcia *(śmieje się, obejmuje matkę za szyję i całuje ją raz z tej, raz z drugiej strony, liczy).* Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm, siedm, siedm *(zasypuje ją pocałunkami).*

Podosocka *(broniąc się).* Źle, źle.

Karolcia *(całuje ją, śmieje się).* Tysiąc, sto...

Podosocka. Tysiąc to w same usta *(całuje ją, potem siada uśmiechnięta na niskim karle, sadza Karolcię na kolanach).* Panna Ewa rozpieściła mi moją marchewkę *(całuje Karolcię po rączkach).*

Karolcia *(cofa rączki).* Mamusiu! nie całować Karolci. Karolcia nie jest dziadzio, albo biśkup.

Podosocka *(tuli ją do siebie, śmiejąc się).*

Podosocki *(wchodzi z lewej strony, z monoklem w oku, jedna ręka w kieszeni).* Dzień dobry Helenko *(całuje żonę w rękę, siada obok niej).* Dzień dobry panno Ewo *(podaje jej rękę, do Karolci).* A dobrodziejka, jak się ma? Tacie dać buzi.

Karolcia. Nie dam.

Podosocki. Dać, tatuś prosi.

Karolcia. Jak tatuś prosi, to dam *(całuje go).*

Podosocki *(bierze ją na kolana).* To już po lekcyi? już? a to dobrze, że wiem. Kupiłem nowego „Tonia“. Pojedziemy na takim *(podnosi Karolcię na kolanie w rytm słów).* Jedzie, jedzie wuj, będzie, będzie mój, po ile, po ile, hop, hop, hop.

Karolcia. Jeszcze, jeszcze, Karolcia prosi.

Podosocki. „Tonik“ się zmęczył. A prawda. Panno Ewo! Pani życzyła sobie czegoś. Pani mi coś mówiła o swojej siostrze.

Ewa *(zmięszana).* Tak. Chciałam prosić, żeby pan był łaskaw. Ja może za śmiała jestem. Ale ona ładnie pisze.

Ona jest pilna. Ktoś mi mówił, że jest miejsce w biurze. Żeby pan był łaskaw.

Podosocki. Ja i owszem. Czy ty Helenko nie masz co przeciw temu?

Podosocka *(przygryza wargi, patrzy w niego)* — ??

Ewa *(niespokojnie patrzy na nią).*

Podosocki. No to dobrze. Niech się jutro zgłosi do pana Kaliskiego.

Ewa *(wstaje)* Ja, ja nie wiem, jak mam dziękować. Pan ma takie dobre serce, ja, ja nie wiem *(potem do Podosockiej)*. Czy już mogę zabrać Karolcię?

Podosocka. Tak, przygotowałam dla Karolci drugie śniadanie. W jadalnym pokoju *(całuje Karolcię)* na kredensie.

Karolcia. I dla panny Ewci także.

Podosocka. Tak, tak, moje dziecko.

Ewa z Karolcią *(odchodzi na prawo drzwiami).*

Podosocki *(wstaje).*

Podosocka. Spieszy ci się.

Podosocki. Nie, wcale nie, przejdę się tylko po pokoju. Za długo siedziałem przy biurku *(milczenie)*.

Podosocka *(z żalem)*. Powiedz mi, Erazmie, czy ci to tak wielką przyjemność sprawia, jak mi ludzie nie ufają?

Podosocki. Mnie?

Podosocka. Posłuchaj, jesteśmy sami. Nie potrzebujemy się wstydzić jedno drugiego. Powiedz mi tak szczerze, czy ja mam jakikolwiek wpływ na obsadzenie miejsc w banku? *(milczenie)*. Proszę cię, zrób mi tę małą grzeczność.

Podosocki. Nie masz, bynajmniej.

Podosocka. Więc dlaczego tę biedną dziewczynę straszyłeś, że ja mogę mieć coś przeciw jej siostrze? Czy ja jestem taka zła, nieużyczliwa? *(palcami przyciska powieki).*

Podosocki. Mogła co najwyżej pomyśleć, że jestem pod twoim wpływem.

Podosocka. Tak, tak *(milczenie)*.

Podosocki. Zkąd ci to jednak przyszło na myśl?

Podosocka. Mnie to już dawno na myśl przychodziło. I wiele innych rzeczy.

Podosocki. Nie rozumiem cię.

Podosocka *(chłodno)*. Przestań udawać przedemną. Wyobraź sobie, że jesteś ty i zwierciadło przed tobą.

Podosocki *(chmurny)*. Przypuśćmy, więc co? *(chwyta monokl, staje zdaleka, zakłada ręce na piersiach, patrzy)*.

Podosocka. Powinieneś mieć na tyle w sobie szlachetności, żeby mi nie zabierać serca ludzi, kiedy mam i c h tylko i dziecko.

Podosocki *(cedząc)*. Przecież podobno ciebie cały świat nic nie obchodzi, tylko Karolcia, więc co?

Podosocka *(żywiej)*. To, że nie masz prawa tak postępować ze mną *(wstaje)*. Jestem człowiekiem, jak ty. Jeżli nie broniłam się, to błądziłam, rozumiesz, błądziłam. Wziąłeś mię młodą. Nazywało się to miłością, co czułam dla ciebie. Wszakże dziewczyna ośmnastoletnia, znająca abecadło i kilka dat z historyi, kocha, kocha. No, więc kochałam ciebie. Przynosiłeś mi pomadki przez rok cały, potem jeszcze przez miesiąc, potem jeszcze przez tydzień, potem matka umarła, potem ojciec usunął się, no nie miałeś czasu, no. a ja przecież miałam dziecko. Tak, dziecko. I dlatego, że mam to dziecko, muszę się bronić. Znasz mię, nie uskarżę się nikomu, ale sama będę się bronić, muszę. Jakie mnie życie gotujesz, takie zgotujesz tej małej istocie.

Podosocki *(ironicznie)*. Ty nie jesteś Karolcia, a ona nie jest Heleną.

Podosocka. Słuchaj, Erazmie. Ludzie nie są lalkami, żeby skakali tak, jak ty pociągniesz za sznurek. Widzę dużo, rozumiesz, dużo, choćby to, że Władka rzuciłeś w ramiona p. Barowskiej. Niezaprzeczysz, co? Nasz dom jest dla nich miejscem schadzek. Tego dłużej nie ścierpię! Przypomnij sobie, że przed rokiem mieliśmy... się... rozejść.

Podosocki *(spokojnie)*. Masz widzę trochę zepsuty humor po nocy *(z uśmiechem)*. Żebyś była zajrzała, zobaczyłabyś mnie przy biurku. Pracy mam tyle...

Woronek *(wchodzi z prawej strony drzwiami drugiemi, z teką)*.

Podosocka *(spogląda na męża zimno, wytrzymuje jego wzrok)*.

Podosocki *(rozdrażniony odchodzi na bok)*.

Podosocka *(odchodzi do swego pokoju)*.

Woronek. Byłem u prezydenta. Twarda sztuka do zgryzienia.

Podosocki. Przyjął pana grzecznie? co mówił?

Woronek. Ooho! Poczęstował mię tabaką. Podobno to ma być u niego oznaką zaufania. Nie dziwię się. W banku wisi potąd *(robi znak po szyi)*. Ale zawsze to afrykański zwyczaj. Żeby mi przynajmniej uprał chustkę, którą pobrudziłem sobie tą jego tabaką.

Podosocki *(wyciąga się na szezlągu, po prawej stronie sceny, częstuje Woronka cygarami, zapala)*.

Woronek *(siada w jego nogach na taburecie)*. Zachodziłem go z tej i z owej strony. Będzie kandydował.

Podosocki. Ha, to z nim potańczymy. Poprosił go pan do mnie?

Woronek. Przyjdzie tu pewnie zaraz. Bąknąłem, że to coś gwoli jego weksli.

Podosocki. A on?

Woronek. Połknął ślinę. Musiała być gorżka, bo miał całkiem nieprzyzwoity wygląd. Lecz właściwie proszę pana, po co nam to wszystko. Niby tego nie kapuję. Jużby lepiej było, żeby Hanusz sadzał kury na wsi, niż prezydował w mieście. On ma węch *(ze skrzywieniem)*. Żebym nie był prorokiem, ale on nas wypaproszy po kolei.

Podosocki. Zacznie od zająca...

Woronek. Pan masz takie żarty.

Podosocki *(drwiąco)*. Musiał pana bardzo lubieć.

Woronek *(ironicznie)*. Ja go zawsze trochę lubiłem, ale on nie jest altruistą.

Podosocki. Potrzebny nam. Za rok będziecie się obaj w brody całowali.

Woronek. Niech mnie Matka Boska uchroni od takich łakoci. Ale po co jemu do licha ta prezydentura?

Podosocki. Pyta się pan, po co? Po to, żebyśmy całe miasto mieli tu *(uderza się po kieszeni)*. Po prostu rozszerzymy pole naszych operacyj. Będziemy eksploatowali miasto. Czy pan wie, co to znaczy, kiedy się ma głowę grodu za sobą, a drobniejsze członki, takich radców n. p. naciera się delikatnie wartościową oliwą? Wszystkie dostawy, urządzenie nowego oświetlenia, nowe linie tramwajowe, odkupienie od gminy gruntów pod budowę, po umiarko-

wanych cenach — wszystko to będzie naszym zyskiem. Tylko raz otworzymy sobie dobrą klapę u góry, to przy zręczności miasto zamieni się w naszą oficynę. Dawniej, dopóki bank był pod jego dyrekcyą, rzecz jasna, że to było rzeczą niemożebną. Po tem rozparł się w nim Władysław. Trzeba było czekać, trzeba było powoli iść naprzód *(wstaje, z pewnem rozognieniem)*. To była praca, trud... prawda? Wiązać te nitki, które co chwila pękały, dobierać ludzi, odwracać uwagę, usypiać... czy pan to pojmuje? Chętnie usługiwać. Nareszcie przeprowadzić pierwszą operacyę, zdobyć cień zaufania...

Woronek. *(patrzy w niego z natężoną uwagą)*. To wielkie, to wielkie...

Podosocki. Ale to początek dopiero. Arcydzieło jeszcze za zasłoną. Rozedrę ją jutro, pojutrze, choćby za rok. Dziś jestem tylko właścicielem fabryki. Jutro będę już może dyrektorem banku.

Woronek *(zrywa się po chwili)*. Jak? dyrektorem? *(ogląda się)*. Cicho, pan tak głośno mówi. A Władysław? a Władysław? On prawie nic nie znaczy, ale jest, jest.

Podosocki. Wypadnie jak korek z butelki. Pija wina szampańskie.

Woronek Pani Barowska! prawda! *(drepta niespokojnie)*. To wielkie, to wielkie, dyrektor, prezydent, to wielkie, wielkie, ooho, oo! *(trze czoło)*.

Podosocki. Oszalałeś pan?

Woronek. Ja łaskawego pana nie znałem. Ja myślałem, że to tylko ręka rękę myje, ja byłem głupi, ja, to jest wielkie. Złoto, złoto, wszędzie złoto, kupię dom dla dzieci... ja głupstwa gadam, ale to wzruszenie, już nic *(idzie do niego, chwyta go za rękę)*. Panie, panie wielmożny, panie Erazmie, tylko żeby on nie wpadł na trop, pan myśl, ja panu służę, ja za panem jak pies, tylko żeby on nie przyczaił się, bo to takie wielkie, to takie wielkie *(ściska mu ręce, całuje go w ramię)*.

Podosocki. Czy on nie wypytuje się? nie szuka?

Woronek. Zaczepia urzędników. Z nudy. Nie ma co robić. Na wsi...

Podosocki. Mniejsza z tem. Lecz jedno. Pieniędzy trzeba mi

zaraz, choćby na kilka dni. Agitacya będzie nas także kosztować nie mało, zanim stary zostanie prezydentem. Trzeba będzie... *(myśli)*. Tak. Podnieś pan na conto Mizerski kilkanaście tysięcy.

Woronek. Ale podkład?

Podosocki. Akcye Banku Ziemiańskiego.

Woronek. Rażące, nie do zrealizowania.

Podosocki. Akcye spółki górniczej.

Woronek. Za kilka tygodni ogłoszą upadłość.

Podosocki. Zatrzymać w takim razie. Temi będzie można jeszcze operować. Nie ma gorszych.

Woronek. A więc akcye Banku Ziemiańskiego. Zwracam jednak uwagę panu, że może być scontrum. Stary nie usiedzi spokojnie. Wszystkie straty, które bank poniósł, dadzą się jeszcze jakoś obronić, ale tych nie potrafimy.

Podosocki. Pomyślałem o tem. Pokryjemy je w najbliższym czasie. Pan wie, że wartość naszych kopalni węgla podniosła się w trójnasób. Pierwsze pokłady w głębokości 300 metrów są liche. Odkryliśmy głębiej nowe, grube na 8 metrów. Dla starego pozostanie to tajemnicą, dopóki nie sprzedamy kopalni. Znalazłem już kupców, spółkę belgijską. Dziś jej komisya ma powrócić, dziś pewnie ułożymy już warunki. No, na sprzedaż nikt nie zwróci uwagi. Miasto zasypujemy najgorszym węglem, jaki mamy. Wszyscy narzekają. Sprzedaż nawet staremu wyda się koniecznością. Potem powiedzą, żeśmy byli głupi, ale to potem. Teraz miliony. Pan dwa, trzy domy kupi dla dzieci..

Woronek *(chwyta go za rękę, całuje go w ramię, ze wzruszeniem)*. Dziękuję, dziękuję. Ja panu mówię, że Hanusz nawet nie wie, jakiego ma zięcia.

Podosocki. Hahaha! Doskonale.

Antoni *(przynosi bilet na tacy)*.

Podosocki *(czyta)*. Andrzej Korecki, prezydent miasta. A więc on, prosić *(do Woronka)*. Jego weksle są w moim biurku, w dolnej szufladzie, po prawej stronie. Wyjąłem je wczoraj z portfelu Władysława. Niech je pan posortuje. Jak pana poproszę...

Woronek. Wiem. Ooho! *(odchodzi do gabinetu)*.

Andrzej Korecki *(wchodzi z prawej strony. Ubranie niemodne. Prawa ręka bawi się zwykle guzikami. Słucha pochylony trochę naprzód, z głową w bok zwróconą, oczami tylko pilnie obserwując mówiącego. Zarost szpakowaty. Twarz sympatyczna).*

Podosocki *(idzie ku niemu).* Dzień dobry panu prezydentowi Pan prezydent łaskaw był *(podaje mu rękę).*

Korecki. Nic nie szkodzi *(wyciera nos, ogląda się za krzesłem, siada).*

Podosocki *(podając cygara).* Mogę służyć?

Korecki. Dziękuję. Palę papierosy *(wyjmuje swoją papierośnicę).*

Podosocki. Natychmiast służę *(chce odejść).*

Korecki. Mam.

Podosocki *(podaje mu ogień).* Przejdę do sprawy, panie prezydencie. Sześciolecie wygasa. W tych dniach rada miasta przystąpi do wyboru prezydenta, tak? *(milczenie).* Zostawi pan po sobie trwałą pamięć *(milczenie).* Będzie to prawdziwie zasłużony odpoczynek.

Korecki *(z prostotą, zimno).* Zaszła pomyłka. Nie myślę przestać pracować dla gminy.

Podosocki. Tak. A tak, pewnie. Więc co, panie prezydencie?

Korecki *(zdziwiony).*

Podosocki. Pan postawi swoją kandydaturę po raz trzeci. Pan jest pewny wyboru?

Korecki. To rzecz nie moja. Jest za mną praca. To powinno wystarczyć *(milczenie).*

Podosocki. A jeśli mój teść postawi swoją kandydaturę?

Korecki. Słyszałem o tem. Dziwi mię to trochę.

Podosocki *(wytwornie).* Widzi pan, w dzisiejszych stosunkach społecznych trudno, żeby jedne i te same siły zużywały się. Zgoda na to, że mogą być one ożywione najlepszemi chęciami, ale społeczeństwo musi posługiwać się coraz to nowemi jednostkami. Wnoszą one z sobą inicyatywę, wnoszą zasób nagromadzonej energii. Jestto plus znaczne. Ogółem, prawem ewolucyi społecznej, nowe zadanie nowi ludzie podejmują. Zgoda, że nie jesteśmy tak jeszcze uorganizowanem społeczeństwem, żebyśmy we wszystkiem mogli stosować prawa, ale że prawa te

istnieją, wskazuje na to choćby taki drobny fakt, że państwa zapewniają emeryturę swym funkcyonaryuszom, że z każdym dziesiątkiem lat skracają im okres pracy, czyli liczą się ogółem z tem, co pan prezydent słusznie określił, jako zużytkowanie sił...

Korecki (*krótko*). Przepraszam, ale ja nic nie określałem.

Podosocki (*niby zdziwiony*). Zdawało mi się. Mniejsza z tem (*z uśmiechem*). Mówić a myśleć, jedno i to samo.

Korecki. Przeciwnie.

Podosocki (*po chwili*). Pan prezydent nie wierzy, iż mój teść odpowie godnie swemu zadaniu?

Korecki. To rzecz inna.

Podosocki. A czy względy ubocznej natury, coś n. p. jak ustępstwo, porozumienie, prośba, nie zmienią pańskiego postanowienia, nic ogółem?

Korecki. Pan wie wszystko.

Podosocki (*chwyta monokl, przypatruje mu się*). Tak, rzeczywiście. Jako radca nie zauważyłem jednak jednej rzeczy, że pan chował się u Lacedemończyków. To jest piękna zaleta, nie umieć mówić...

Korecki (*mruży oczy*). Z umiejętnie mówiącymi... (*niby uśmiecha się*).

Podosocki (*uśmiecha się także*).

Korecki (*patrzy na zegarek*). Proszę pana. Mnie spieszy się do biura. Przyszedłem w innej sprawie.

Podosocki (*naśladując jego lakoniczność*). Tak. Idzie o pańskie weksle (*siada*).

Korecki. Za słabe podpisy?

Podosocki. Nie, kilka weksli zaskarżymy.

Korecki (*nerwowo*). Przyrzeczono mi prolongatę.

Podosocki. Nie możemy.

Korecki. Dlaczego?

Podosocki. Odpowiem panu (*idzie do drzwi swego gabinetu, otwiera je*). Panie Woronek, proszę pana. Pan prezydent pyta się, na jaką sumę jest u nas zadłużony i na jaką sumę weksle zapadły.

Woronek (*wchodzi z teką pod pachą*). Ooho... (*zbliża się do prezydenta*). Padam do nóg panu prezydentowi (*podaje rękę*). Nie wiele, nie wiele. Zrobiłem malutki bilans

(*wyjmuje arkusz papieru, czyta*). Czterdzieści jeden tysięcy osiemdziesiąt.

Korecki (*zrywa się nerwowo*). To niemożebne.

Podosocki. Za duże posagi dał pan córkom, a i w aptece pana kradną.

Woronek (*czyta dalej*). Zaś jedenaście tysięcy sześćset dwadzieścia skarżymy.

Korecki. U panów? To niemożebne (*zmięszany*).

Podosocki. Panie Woronek, proszę przedłożyć weksle.

Woronek (*podaje Koreckiemu paczkę weksli, odchodzi kilka k-oków, do Podosockieyo półgłosem*). Ma całkiem nieprzyzwoity wygląd.

Korecki (*przewraca nerwowo*) Tak ten, ten i ten (*zatrzymuje się nad jednym, czyta*), tysiąc ośmset (*wyciąga weksel, przewraca, czyta z drugiej strony*). Jerski, Zdanowicz (*zamyśla się*) Zdanowicz, Zdanowicz (*nagle*). Zkąd u panów ten weksel? To weksel Skalskiego i Braci.

Woronek. Będziemy go skarżyć.

Korecki. Nie dopominali się.

Podosocki. Przyszli i nam sprzedali (*z uśmiechem*). Weksle pana prezydenta są u nas płatne.

Korecki (*przewracając dalej, nerwowo.* To bezczelność, to bezczelność (*wyciąga jeden*). Siedmset (*przewraca*). To weksel Dattelbauma.

Woronek. Będziemy go skarżyć.

Podosocki (*wytwornie*). Przyszedł i sprzedał.

Korecki (*siada, odkłada weksle, gryzie nerwowo członki u palców*). Panowie skupili moje weksle. Dlatego tamci nie dopominali się (*wstaje, patrzy w oczy Podosockiemu*). To jest, to jest... (*wzburzony*).

Podosocki (*chłodno*). To jest dobra wiara w wypłacalność pańską. Panie Woronek, proszę, pan będzie tak dobry zabrać te weksle.

Woronek (*odchodzi do gabinetu*).

Podosocki (*przechodzi w głębi pokój, idzie do Koreckiego, grzecznie*). Poszliśmy na rękę pańskim wierzycielom, a więc i panu. Pan chyba nie zaprzeczy (*z uśmiechem*), że życie polega na wzajemnych ustępstwach.

Korecki (*wzburzony silnie*). Czyli mam się zrzec kandydatury, a panowie nie zaskarżycie weksli.

Podosocki (*zimno*). Jest różnica. Pan na dzisiejszem posiedzeniu poleci kandydaturę mojego teścia, a my nie zaskarżymy weksli.

Korecki (*zduszonym głosem*). Skarżcie! wystawcie mię na licytacyę! Ja będę kandydował. Ale całe miasto dowie się o tem oszustwie!

Podosocki. Zaskarżymy pana o oszczerstwo.

Korecki. Woronek był świadkiem.

Podosocki. Przyniósł tylko weksle (*ręką pokazuje pokój, że pusty*).

Korecki (*nerwowo targa guziki, panuje już jednak nad sobą*). Zaskarżcie weksle. Ja kandyduję (*chce odejść*).

Podosocki (*puszcza go kilka kroków*). A ślub pańskiej najmłodszej córki.

Korecki (*staje, odwraca się do niego z zaciętemi wargami*).

Podosocki (*żywiej, grzecznie*). Wystawi pan nam weksel na nowe dziesięć tysięcy bez poręczenia, płatny u nas natychmiast, prolongujemy panu wszystkie weksle na sześć miesięcy. Recepty ze wszystkich naszych biur i fabryk będą płatne tylko w pańskiej aptece, co przedstawia rocznie obrót około pietnastu tysięcy... za to na dzisiejszem posiedzeniu poleci pan kandydaturę mojego teścia.

Korecki (*złamany*). Dobrze.

Marynia, Louise, Barowska, Władysław (*wchodzą z prawej strony, wszyscy niosą łyżwy*).

Marynia. Dzień dobry, Erazmie (*ogólne powitanie*).

Podosocki (*przedstawiając*). Pan prezydent Korecki (*wskazując na Władysława*), mój szwagier Hanusz. *Bon jour mademoiselle Louise? Comment allez vous?*

Louise. *Merci monsieur. Très bien.*

Barowska i Władysław (*rozmawiają w głębi*).

Marynia. Czy Helena jest u siebie?

Podosocki. Pewnie.

Marynia (*wypada do pokoju p. Podosockiej*).

Podosocki (*do Koreckiego*). Pan prezydent będzie łaskaw przejść do mojego gabinetu (*otwiera drzwi*). Panie Wo-

ronek. Proszę zrobić, co pan prezydent poleci. Podać blankiet wekslowy (*zamyka za nim drzwi*).

Podosocki. Wszyscy na ślizgawkę. Lód jak szkło. Powinniście mi państwo ładnie za to podziękować.

Marynia (*wpada*). Helenka za chwilę przyjdzie.

Podosocki (*ujmuje Marynię za rękę*). Teraz grzecznie buzi różowej dać!

Marynia. Nie wolno! (*broni się, śmiejąc się, idzie z nim w głąb, rozmawiają*).

Louise (*dyskretnie wychodzi do ogrodu*).

Władysław (*do Barowskiej, idąc z nią na przód sceny, gorączkowo*). Wyjedziesz do Abbazyi? do Abbazyi? naprawdę do Abbazyi?

Barowska (*z płonącemi oczami*). Doktór powiedział..

Władysław. Pamiętasz coś powiedziała kiedyś... to tkwi mi w mózgu, jak gwóźdź... „pod innem niebem, gdzieś daleko". Jakieby to było życie! jakieby to było życie! (*mówią dalej ze sobą*).

Podosocki (*do Maryni*). Wolność, moja droga Maryniu, zależy od pojmowania osobistego. Im w głębi mamy więcej tego buntu, co widzisz, podnosi się, przewala, tej, tej krwi, rozumiesz, tej jakiejś hallucynacyi czegoś, czegośmy jeszcze nie zaznali... to tem lepiej. To jest właśnie tajemnica indywidualności: być panem swej woli, to znaczy robić to, czego pożądam. Tylko jeszcze trzeba patrzeć dokoła, czy ktoś drugi nie pożąda... dobrze patrzeć i w lot umieć chwytać sposobność...

Marynia. Ja właśnie takie jakieś myśli... (*patrzy na niego zamylonym wzrokiem, mięsza się*). Gdzie jest Louisa? (*biegnie do Barowskiej*). Gdzie Louisa?

Barowska. Poszła na staw.

Marynia. I ja idę. Chodźmy ślizgać się! ślizgać się! na śmierć! Chodźmy! (*ciągnie ją*).

Woronek i Korecki (*wchodzą z gabinetu*).

Marynia, Barowska (*wychodzą do ogrodu*).

Władysław (*wychodzi powoli za niemi*).

Podosocki. Wszystko dobrze?

Korecki (*bezbarwnie*). Tak.

Podosocki. Ale pan prezydent nie zapomni o mnie w dzień

ślubu. Muszę przecież zatańczyć mazura na weselu z panną młodą. Panna Anna wychodzi za profesora Zarembę, tak?

Korecki. Tak.

Barowski (*wchodzi z prawej strony, w płaszczu zimowym, z czapką w ręce, do Podosockiego*). Ja tylko na kilka słów do pana. Dzień dobry, panie prezydencie. Przepraszam, że nie rozebrałem się, ale tylko na kilka słów.

Korecki. Żegnam panów (*podanie rąk, odchodzi na prawo*)

Podosocki. Stawia kto więcej swoją kandydaturę? Korecki już ani myśli.

Barowski. Właśnie. Kandyduje jeszcze hr. Skorzyński, ten łysy... sprzedał włosy, żeby pomnożyć majątek, i Cezary Krępa, ślubuje podobno od wódki na czas posiedzeń. Otóż.

Podosocki. Hahaha. Ci? ci, panie notaryuszu?

Barowski. Kiedy, bo pan mi przerywasz. Otóż zatem wszystko będzie doskonale, tylko jeszcze trzeba przemówić do uczucia patryotom z *Gazety Codziennej* i trzeźwym z *Kuryera*.

Podosocki. Wystarczy tysiąc?

Barowski. Kiedy bo pan mi... Tak, wystarczy. Tysiąc pan powiada? no może (*z uśmiechem*) *Kuryer* dziś już umieścił w porannem wydaniu mój artykuł, omawiający działalność pańskiego teścia.

Podosocki. Panie Woronek, na mój rachunek pan wypłaci. A radcowie?

Woronek (*odchodzi do gabinetu*).

Barowski. To tani drobiazg. Jedni będą głosować z przekonania, inni zadowolą się kompanią Bacchusa, reszta, przyjmuje chętnie podarunki, ale w domu.

Hanusz (*wchodzi z prawej strony*).

Barowski (*spieszy do niego*). Dzień dobry panu, dzień dobry. Przepraszam bardzo, że jestem tak (*wskazuje na ubranie*). Więc dziś usłyszymy pańskie *credo*.

Hanusz. Tak, jeśli Korecki nie kandyduje. Dzień dobry, Erazmie (*witają się*).

Podosocki (*całuje go w ramię*).

Woronek (*wchodzi, do Hanusza*). Padam do nóg łaskawemu panu (*Barowskiemu podaje kopertę*). Proszę.

Barowski. No ale czas biegnie. Do widzenia (*żegna się wychodzi*).

Woronek (*nie wie co zrobić ze sobą*).

Podosocki (*do Woronka*). Proszę, niech pan rozejrzy się w ofercie Henrich et Compagnie. Leży na mojem biurku.

Woronek (*odchodzi*).

Hanusz (*który chodzi z rękami w tył założonemi*). Wy temu człowiekowi ufacie?

Podosocki. Ojciec jest uprzedzony do niego. Już to tyle razy powiedziałem. Ja go sam nie lubię, ale przyznać muszę, że pracuje jak wół. Zresztą jest pod taką kontrolą ścisłą, że każdemu innemu zbrzydłoby już życie.

Hanusz. Pod kontrolą? Władka? (*chodzi ciężko, milczenie*). (*z pozornym spokojem*). Władek ma tylu przyjaciół, którzy zaprawiają go do życia hulaszczego.

Podosocki. Niestety (*siada, patrzy w inną stronę, zapala cygaro*).

Hanusz (*rzuca na niego nagłe spojrzenie*). Dobrze, że ma przynajmniej ciebie przy boku.

Podosocki. Aa.

Hanusz (*z odcieniem ironii*). Ma w tobie prawie, że brata...

Podosocki (*uderzony tonem, spogląda uważnie za nim, zacina nagle wargi, po chwili podstępnie*). Tak, brata. Lecz widzi ojciec, któż z nas jest bez „ale“. Pewnie, że znowu nie byłem tak doskonałym przykładem (*śledzi ruchy Hanusza*).

Hanusz (*staje przed obrazem, przypatruje się*).

Podosocki. Czasem lubię zagrać... w karty.

Hanusz (*drgnął*).

Podosocki (*uśmiecha się do siebie ironicznie*).

Hanusz (*z pozornym spokojem*). Mówisz „w karty“.

Podosocki. Przytem daję mu się powodować. W tem błądzę. Nie powinienem mu n. p. pożyczać pieniędzy (*niedbale*). Przedwczoraj przegrał znowu ośm tysięcy dwieście.

Hanusz (*odwraca się żywo*). Ośm tysięcy dwieście (*patrzy przenikliwie*).

Podosocki (*otrzepuje popiół z cygara*)... do barona Zeltkego (*wytrzymuje wzrok Hanusza*). Na szczęście miałem pie-

niądze przy sobie, więc mu dałem. Ale zawsze jestto powolność. On liczył na to, że mu dam. Tak, w tem błądzę.

Hanusz. Oddał ci? (*patrzy na stronę*).

Podosocki (*z udanem zdziwieniem*). Oddał (*uśmiecha się ironicznie*).

Hanusz (*chwyta jego uśmiech, posępnieje*).

Podosocki (*zmięszany, lecz natychmiast opanowuje się*).

Hanusz (*niskim głosem powoli*). Bawimy się w kotka i myszkę.

Podosocki (*przywracając twarzy ten sam ironiczny wyraz*). Mnie trzebaby jeszcze bacik dać do ręki i po łące hasać, a nie bawić się w poznawanie ludzi (*wstaje*).

Hanusz (*zimno*). Sądzisz?

Podosocki. Inaczej dawniej patrzałem na Władka. Dziś boję się o niego. Zabrnął w romans z p. Barowską wyżej uszu.

Hanusz (*twardym głosem*). Erazmie, czy ty mówisz prawdę?

Podosocki. Mów z nim sam ojcze.

Hanusz. Z p. Barowską? z p. Barowską? I prawda jest to, co mówisz?!

Podosocki. Nie cała...

Hanusz (*wzdryga się, chodzi*).

Podosocki. Zaniedbał się zupełnie w swych obowiązkach. Bank mógł na tem bardzo wiele stracić. Dobrze, że nie stracił.

Hanusz. Zkąd wiesz, że nie stracił? Musiał stracić.

Podosocki. To już od roku się ciągnie... nie stracił jednak.

Hanusz. Ale jak? (*staje przed nim*).

Podosocki. Władek zwierzał mi się trochę... ze swoich operacyj. Miałem dość czasu wolnego. Ciekawiło mię to. Dopilnowałem tego i owego interesu. I tak zaznajomiłem się powoli z całą wewnętrzną manipulacyą. Udało mi się wstrzymać Władka od niejednego fałszywego kroku, i tak szło. Widzi ojciec, bank nic nie mógł stracić. Władka zastępowałem ja. Ja przedstawiałem ciągłość interesów, on dawał pomysły... miewa genialne, trzeba mu przyznać. Ja trzymałem rękę na regulatorze, a on wytyczał drogi. I tak szło, i idzie. Idzie nawet bardzo dobrze.

Hanusz. Jesteś poczciwy (*podaje mu rękę*).

Podosocki (*całuje go w ramię*).

Karolcia (*wpada z prawej strony drzwiami pierwszemi, biegnie do Hanusza z rozłożonemi rękami*). Dziadzio! dziadzio!

Podosocka i Ewa Ochacz (*wchodzą za nią*).

Hanusz (*tuli Karolcię*). Dzień dobry Helu (*całuje ją w twarz, do Ewy*). A cóż to bobo zawsze tak dokazuje?

Ewa (*zmięszana*). O nie... Karolcia jest bardzo grzeczna.

Woronek (*ukazuje się na progu gabinetu*).

Podosocki. Oferta korzystna?

Woronek. Tak, ale są niedokładności, których...

Podosocki. Przepraszam ojca, tylko załatwię tę sprawę (*wychodzi za Woronkiem, wraca się*). A ja mam coś dla Karolci, a mam.

Karolcia (*biegnie do ojca*). Co? co? (*wiesza mu się na szyi*). Proszę mi dać... proszę mi dać. Karolcia da tatusiowi buzi. Proszę mi dać.

Podosocki (*podnosi ją do góry, całuje*). Dobrze, tatuś da. Zaraz da. Tylko coś panu Woronkowi powie (*odchodzi do gabinetu*).

Karolcia (*biegnie, siada Hanuszowi na kolanach*).

Podosocka (*do ojca*) Nie chciała skończyć drugiego śniadania, tylko do dziadzi, do dziadzi.

Karolcia (*obciąga na dół wąsy i włosy Hanuszowi*). Będzie dziadzio wyglądał, jak wieżba placząca...

Hanusz. Ty gzibie, ty pająckú (*całuje ją, do Heleny*). Szczęśliwi jesteście. To jest największa osłoda życia (*głaszcze Karolcię*). Taką ty byłaś także Helenko, taką dużą...

Karolcia (*objęła za szyję dziadka, oparła główkę na jego ramieniu ufnie i słucha uważnie*).

Hanusz. Żyłem tak samo z nieboszczką, jak wy teraz, może mniej świetnie (*patrzy po ścianach*), ale podobnie (*spogląda na Karolcię, śmieje się*). Słuchaj, słuchaj drobinko, to ci się przyda, jak będziesz miała męża.

Karolcia (*zesuwając się z jego kolan*). Nie chcę męża, nie chcę męża... (*biegnie do Ewy*).

Hanusz (*śmieje się*). Dlaczego? dlaczego?

Karolcia. Nie dobrze mieć męża, mamusia powiedziała.

Podosocka (*trochę zmięszana*). O ty, ty pleciugo (*unika wzroku Hanusza*).

Karolcia (*razem z Ewą idą w głąb do okna. Pokazują sobie coś palcami w ogrodzie*).

Hanusz (*patrzy uważnie na Helenę, smutny kryje głowę w dłoniach, po chwili*). Mówiła mi ciotka, że nigdzie nie bywasz... (*rzuca nagłe spojrzenie*).

Podosocka (*spokojnie*). Wolę dom.

Podosocki (*ukazuje się we drzwiach, z dużym balonem w ręce*). Karolciu! (*rzuca go, cofa się, zamyka drzwi*).

Karolcia. Dziękuję tatusiowi (*rzuca piłkę do Ewy i naodwrót*).

Hanusz. Erazm kocha Karolcię.

Podosocka (*żywo*). Tak, kocha Karolcię.

Hanusz. Widzisz, Helenko, trzeba trochę pamiętać o sobie. Tak nie można odsuwać się od świata. Inaczej osowiejesz. I tak już jesteś trochę niedostępna. Dawniej lubiałaś zwierzać się matce i mnie czasem, teraz spoważniałaś, zamknęłaś się w sobie.

Podosocka (*całuje go w rękę, w twarz, obejmuje go ręką za szyję, głowę kryje na ramieniu*).

Hanusz. Chcesz jak Karolcia? (*śmieje się, głaszcze ją, odchyla jej głowę. Podosocka opiera się. Przemocą odchyla jej głowę*). Ty... płaczesz...??

Podosocka. Nie, nie (*osusza oczy*). Przypomniało mi się, jak...

Hanusz (*patrzy w nią, odchodzi ciężkim krokiem, z pochyloną naprzód głową, zachmurzony*).

Kaliski (*wchodzi z prawej strony*).

Karolcia. Dzień dobry dziadzi (*biegnie do niego, całuje go w rękę*).

Kaliski. Dzień dobry prztyku (*pociąga ją za ucho*). Jak się masz Helu? (*wita się z nią, do Hanusza*). To my się gonimy (*kłania się Ewie*).

Karolcia. Mamusiu. Ja chcę do ogrodu. Dobrze?

Podosocka. Dobrze. Ale ubierz się ciepło. Panno Ewo.

Ewa. Dobrze, proszę pani (*wychodzi z Karolcią na prawo przez drzwi pierwsze*).

Kaliski. Jest Erazm?

Hanusz. W swoim gabinecie.

Kaliski. Przyniosłem kilka papiereczków do podpisania .. o bo on także teraz podpisuje. Wszyscy podpisują (*drwiąco*).

I ty pisz, i ty pisz, i ty pisz, i ja piszę, wszyscy niech piszą. Postęp górą. Pipi!

Hanusz *(siada)*. Tęsknisz za Staniątkami.

Kaliski. Jak mówisz? tęsknię *(siada, wkłada dłonie między kolana, ściska je, pochylając się to naprzód, to w tył)*. Skowyczę, wyję, słyszysz przecie... *(do siebie przez zęby)*. Zaorał *(zrywa się)*. Butem na łeb, na łeb *(spostrzega się)*. No nic, nic. Mam takie czasem złośliwe fiufiu w głowie. Nic, nic *(drwiąco)*. Ale jakże zdrowie kochanego Erazma, co? Mądry z niego chłop. Skory do kośby, byle nie siać.

Podosocka. Wuj od jakiegoś czasu czuje coś do Erazma. Dawniej wuj przepadał za nim.

Kaliski. Ja czuję coś do niego? ja? Otóż to właśnie, że nic nie czuję, nic, nic. Takie nic, że aż nic. Ale, że wart chłop medalu, to wart. Rozum! pi pi! On się nie chował pod spodnicą.

Hanusz. Mówisz, Kasperku, bo mówisz, ale wiesz, że to głowa.

Kaliski *(rozstawia nogi, ręka chwyta brodę z pod spodu, palcami pracuje koło ust)*. Wiecie n. p. jak mnie urządził?

Podosocka. Proszę wuja bardzo.

Kaliski. Nie sierdź się, moje dziecko. Wiem, że go bronisz *pro honore domi,* ale ja go jeszcze w piętę nie ugryzłem. Zresztą to jest bardzo porządny chłopak. Otóż, jak wiecie, miałem kamieniczkę w pobliżu jego fabryki. Ogród nas przedzielał, jego ogród. Przed dwoma miesiącami całe arcybractwo stróżów, szewców, urzędników, które mieszkało w moich klitkach, rzekło mi po austryacku „szlus“, że u mnie mieszkać nie będą. Co? dlaczego? *(zakłada okulary na czoło)*. Ano fabryka przeniosła dwa miechy i co największe kowadła tuż pod tylną ścianę mojego pałacu, fabryka — ja nie mówię, że Erazm, słyszycie? — przez cały ogród przeniosła i dalej po całych dniach udawać Wagnera. Rozumie się, komornicy poszli w dyabły, jak myszy polne przed zgniłą kapustą. Erazm mi przyrzekł, że tego, że owego, ale ostatecznie sprzedałem kamieniczkę pierwszemu lepszemu natrętnemu kupcowi z malutką stratą 10 tysięcy *(wsadza ręce w kieszenie, powoli)*. No, nie wiem, ja-

kim cudem, ale ta kamienica jest teraz własnością Erazma. Przerabiają ją właśnie na warsztaty (*niby śmieje się*).

Hanusz (*wstał szybko, twardym głosem*). Więc on... (*patrzy po Helenie, po Kaliskim posępnie*).

Antoni (*anonsuje*). Pan profesor Kostka.

Kostka (*wchodzi z łyżwami na ramieniu. Całuje w rękę Podosocką*). Przepraszam mocno, że o tak wczesnej godzinie, ale posłuszny jestem rozkazom panny Maryni. Jak to czas wszystko zmienia. I *Alma mater* musi holendrować (*wita się z Hanuszem, Kaliskim*). Towarzystwo jest już pewnie na lodzie.

Helena. Tak.

Podosocki (*wchodzi z gabinetu, do Kostki*). Dzień dobry, profesorze. I pan na lód. Szczęśliwi ludzie.

Kostka, Podosocka, Hanusz (*razem rozmawiają*).

Kaliski (*wita się serdecznie z Podosockim*).

Podosocki. Dzień dobry panu. Bardzo dobrze, że się widzimy. Proszę pana (*odchodzi z nim na stronę*) siostra panny Ewy prosi o miejsce w biurze. Pan będzie łaskaw zająć się tem.

Kaliski (*z pewną usłużnością*). Najchętniej. Proszę, tu są papiery w sprawie Horowskiego.

Podosocki. Panu tak bardzo zależy na pośpiechu?

Kaliski. Przyznam się, że tak.

Podosocki. Dobrze, zaraz to każę załatwić (*rozmawia z nim dalej*).

Hanusz (*który go obserwował, zamienia spojrzenie z Heleną*).

Marynia (*wpada z ogrodu*). Pan Kostka jeszcze nie przyszedł?

Kostka. Służę pani i dzień dobry zarazem (*wita się*).

Marynia. Aa, pan. Zmarzłam trochę (*tupie nogami*).

Kostka, Marynia, Podosocka (*rozmawiają razem, siedząc po prawej stronie*).

Karolcia (*wchodzi z Ewą, ubrane na przechadzkę, niosą szal i czapkę*). Dziadzio, prosę, chodźmy patrzeć na ślizgawkę. Przyniosłam z panną Ewcią szal i czapkę dla dziadzi.

Hanusz. Dobrze, kotku. Dziękuję ci (*okrywa się, wychodzi z Ewą i Karolcią do ogrodu*).

Woronek (*wchodzi z gabinetu, idzie do Podosockiego*).

Kaliski (*żegna się z Podosockim*). Będę panu bardzo wdzięczny.

Podosocki (*z uśmiechem*). Ale pan niema do mnie żalu za tego tasiemca. To był żart. Jeszcze raz przepraszam.

Kaliski. Broń Boże (*z sarkazmem*). Nie zgniewałbym się o glistę, a cóż dopiero... *Adieu* (*żegna się z Heleną i Kostką — do Maryni*). A ty nie zawadź nosem o lód. *Adieu* (*wychodzi na prawo*).

Woronek (*do Podosockiego*). Telefonował Skocki, że komisya wróciła już wczoraj z kopalni i jakie dalsze polecenia.

Podosocki. Porozumiem się z nimi (*wychodzi z Woronkiem do gabinetu*).

Kostka (*do Podosockiej*). Nie, proszę pani. Każdy ma prawo do szczęścia. Widzę nawet, że suma szczęścia zwiększa się i zwiększać się będzie. To tkwi już w samem pojęciu postępu. Mogą być od tego wychylenia, ale tylko wychylenia.

Podosocka. Bierze pan profesor rzecz ze strony materyalnej.

Kostka. Daruje pani, lecz współzależność tych dwóch biegunów, materyi i ducha, jest tak wielka, że trudno mi spuszczać z oka jedno, kiedy myślę o drugiem. Jestem przyrodnikiem.

Podosocka. Może nie mam słuszności, zresztą to są rzeczy, o których im więcej się mówi, tem się je mniej wyczerpuje.

Marynia (*z zabawną miną*). Jaka ja głupia! jaka ja głupia! (*bije się po głowie*). Siedzę, jak na tureckiem kazaniu. Wszystko gadanie. Żyć, to znaczy użyć. Hurra ślizgawka (*zrywa się, nuci, odbiega od nich*).

Podosocka. Maryniu! ty trzpiocie!

Marynia (*czupurnie*). Kiedy ja się pana Sewera nie wstydzę. Pan Sewer (*urywa, mięsza się*).

Podosocka. A widzisz.

Marynia (*z zabawną miną*). Hela! Ty zawsze myślisz, że ja coś widzę.

Podosocka (*wstaje*). Dobrze, dobrze (*patrzy to na Kostkę, to na Marynię, uśmiecha się do nich*). Wrócę za chwilę.

Przepraszam, że jestem taka nie — grzeczna. Boję się o Karolcię (*odedrzwi ogrodowych z uśmiechem*). Profesorze, każdy ma prawo do szczęścia.... (*wychodzi do ogrodu, zarzuciwszy szal*).

Marynia (*bawi się łyżwami, potem dzwoni niemi, uśmiecha się do Kostki*). Słyszy pan?

Kostka. Tak (*patrzy na nią zakochany*).

Marynia (*zalotnie*). Kto to dzwoni? Pan Seweryn milczy?— choć panna Marynia się pyta?

Kostka (*ciepłym głosem, z uśmiechem*). Wolę milczeć. Kto odpowiada, chciałby także pytać, a boję się, że moje pytania mogłyby pozostać bez odpowiedzi.

Marynia. Tak myśleć nie trzeba (*pośpiewuje*). „Sam jeden, sam jeden, wędroował przez bór“ (*urywa*). Dlaczego pan nie śpiewa? (*wybucha śmiechem*).

Kostka. Wolę słuchać.

Marynia. Pan wszystko woli.

Kostka (*wstaje, zbliża się do niej*). Tak, przy pani. To mi przynajmniej daje złudzenie, że...

Marynia. Pan patrzy, tak (*podbiega do niego z uśmiechem, poważnieje, mięsza się*).

Kostka. Jeżeli pani umie czytać, to pani dojrzy na dnie moich oczu kilka jasnych liter — słowo.....

Marynia (*patrzy mu śmiało w oczy*). Pan tak jasno myśli— o drugich?

Kostka. Mniej mówię, niż czuję.

Marynia (*zacina usta, odchodzi od niego, wraca, patrzy w niego*). Pan — ma zawsze te jasne litery w oczach?

Kostka (*patrzy na nią mocno*). Tak.

Marynia (*mięsza się straszliwie*).

Karolcia (*ciągnie Hanusza z werandy do pokoju*). Dziadzio zmazł, bo dziadzio jest smutny. Dziadzio zmazł, bo dziadzio jest smutny. Karolcia nie chce, żeby dziadzio był smutny.

Hanusz (*machinalnie*). Dobrze, mój kotku, dobrze (*całuje ją, idzie do Kostki*).

Karolcia (*tłómaczy coś Ewie w głębi*).

Marynia (*nucąc, pląta się po pokoju, spogląda zalotnie na Kostkę*).

Hanusz (*bezbarwnie*). Wróciliśmy (*siada*).

Podosocki i Woronek (*wchodzą z gabinetu*).

Podosocki (*do Woronka*). Tak będzie najlepiej. Pan sam go przyprowadzi.

Woronek (*na wszystkie strony*). Padam do nóg, przepraszam, padam do nóg.

Marynia (*zabiega mu drogę*). Panie Woronek. Proszę mi upaść do nóg.

Woronek (*jadowicie, słodko*). To już nie ja. Pan Erazm lubi takie rzeczy (*wychodzi na prawo*).

Marynia (*zmięszana*).

Podosocki. No, Maryniu, jak ślizgać się, to się ślizgać.

Marynia. Prawda! ślizgawka! panie Kostka!

Kostka (*który rozmawia z Hanuszem, do Maryni*). Natychmiast służę.

Marynia (*nuci*). „Podkóweczki dajcie ognia, bo dziewczyna tego godna, a czy godna, czy nie godna“... (*wypada do ogrodu*).

Podosocki (*wychodzi za nią*).

Hanusz. Proszę pana, pan często bywa u Erazmów?

Kostka. O tak (*ogląda się na ogród*).

Hanusz. Miałem się pana spytać (*spostrzega roztargnienie Kostki*). Nic, już nic. Zapomniałem. To może kiedyindziej.

Kostka (*wstaje*).

Hanusz. Pan do ogrodu? (*z uśmiechem*) za urokiem...

Kostka (*z prostotą*). Tak. Może mi go kto zabrać... (*kłania się, wychodzi*).

Karolcia (*idzie do Hunusza na palcach, cichym głosem*). Dziadzio, dziadzio (*staje przed nim*). Dziadzio musiał bardzo zmaść, bo dziadzio bardzo smutny.

Hanusz. Tak, trochę, koteczku.

Karolcia (*zakłopotana do Ewy*). Dziadzio zmażł, a panna Ewcia mówiła, że nie (*siada obok Ewy na kanapce w pobliżu Hanusza*).

Hanusz (*podnosi głowę, jakby od niechcenia*). Dużo bawicie się?

Ewa. My, proszę pana?

Hanusz. Tak, moja córka, zięć.

Ewa (*z prostotą*) Nie. U nas, jak w klasztorze. Pan zawsze za domem. Tylko dzisiaj, bo to ślizgawka.

Hanusz. Nikt nie bywa?

Ewa. Kilka osób. Pan Kostka, często pan Władysław i pani Barowska. Ale pani tylko z panem Kostką lubi mówić. Albo jak pani Kaliska przyjedzie po nas, to jedziemy wszyscy czworo.

Hanusz. Jak to ładnie (*z uśmiechem*). To mię tylko dziwi, że Helena tak lubi dokuczać drugim, n. p. mężowi.

Ewa (*zdziwiona*). Pani? Nie, zupełnie. Pani nie zrobiłaby nikomu krzywdy, nawet królikowi.

Karolcia (*do Ewy*). Królik. Taki biały z długiemi uszami? (*słucha dalej uważnie, tuląc się do Ewy*).

Ewa. Pan jest bardzo dobry. Ale pani czasem rzewnie płacze w nocy.

Hanusz. Pan śpi? (*rzuca nagłe spojrzenie*).

Ewa. A nie. Pana niema w domu. Pan zwykle nad ranem wraca. Aa, żeby pan słyszał, to by panią uciszył. Pan jest dobry. Raz, jak pani kazała pakować rzeczy swoje i nasze...

Hanusz. Do kąpiel.

Ewa. Tak, pan mówił, że do kąpiel — to już rok temu — to pan tak ślicznie prosił, że panu będzie smutno, że zostałyśmy. I Karolcię pan prosił, żeby mamusię prosiła.

Hanusz (*do Karolci*). Mój skowroneczek. To ty kochasz mamusię, Karolciu?

Karolcia. Kocham.

Hanusz. I tatusia kochasz?

Karolcia. Kocham.

Hanusz. A kogo bardziej kochasz?

Karolcia. Mamusię i tatusia.

Ewa. Czasem tylko—jest u nas strasznie dużo gości. Państwo dają obiad—jakieś wielkie przyjęcie. Ale wtenczas to u nas jest strasznie pełno. Pan każe muzyce grać. Kwiatów dużo. Tak, jak w *Quo vadis* Sienkiewicza ta uczta Nerona. Pani gospodyni, ta niska, w okularach, powiedziała mi, że to pana kosztuje strasznie dużo, kilkanaście tysięcy, bo to pan najdroższe wina, takie figlasy rozmaite, takie szampany, jak w *Quo vadis*. Szkoda, że

pana niema nigdy na takim wielkim obiedzie. To to się aże w oczach mąci...

Karolcia. Obiad! obiad! (*klaszcze w ręce*). Panno Ewciu, mnie się chce jeść.

Podosocka (*wchodzi z ogrodu*).

Karolcia. Mamusiu, jeść.

Podosocka. A to żarłok z ciebie. Mąż ciebie nie wyżywi.

Karolcia. Nie chcę męża, nie chcę męża.

Podosocka. No, już dobrze, dobrze. Gospodyni da ci tartynkę. Idź tylko i poproś grzecznie.

Ewa (*wychodzi z Karolcią na prawo*).

Podosocka. Ojciec zamyślony.

Hanusz (*patrzy na nią posępnie*).

Podosocka. Czy tu co zaszło?

Hanusz. Może.

Podosocka (*siada niespokojna*).

Hanusz (*usiłuje mówić bez wzruszenia*). Słuchaj Helu, czy ty nie zrobiłaś komu jakiej krzywdy?

Podosocka (*jasnym głosem*). Nie (*zdziwiona*).

Hanusz. I nie bałabyś się, gdyby kto czytał w twojej duszy?

Podosocka. Nie, ojcze.

Hanusz. Więc (*waha się, rzuca nagłe spojrzenie, powoli*) odpowiedziałabyś mi na wszystko szczerze, o cobym cię pytał?

Podosocka (*patrzy chwilę na niego, nagle rozumie o co mu idzie, mięsza się*).

Hanusz (*przenikliwie patrząc*). Odpowiedziałabyś?

Podosocka (*milczy, spuszcza głowę*). Nie wiem (*odchodzi kilka kroków, wraca nagle, chwyta go za rękę, całuje*). Proszę, niech się ojciec nie martwi. Ja tak się o to boję. On jest dobry dla mnie.

Hanusz (*zacina wargi, patrzy ponuro przed siebie, wstaje*).

Barowska, Władysław (*wchodzą z ogrodu, zajęci sobą*).

Podosocki (*wchodzi za niemi*).

Hanusz (*trochę chodzi, obserwuje Władysława i Barowską*).

Barowska (*wchodząc, do Władysława, półgłosem*). Niech pan uważa na siebie. Wszyscy na nas patrzą.

Władysław (*do niej*). Niech patrzą. Nie dbam o to.

Barowska (*do Podosockiej*). Szkoda, że pani nie korzysta ze

ślizgawki. To prawdziwa przyjemność. Pani taka bardzo — domowa.

Antoni (*wchodzi, podaje Podosockiemu gazety, listy na tacy*).

Hanusz (*z daleka, zimno do Barowskiej*). Dzień dobry pani.

Barowska. Dzień dobry (*spieszy do niego, podaje mu rękę, wesoło, lecz sztywnieje, widząc wyraz jego twarzy*) i żegnam zarazem (*podaje rękę Podosockiemu*). Do widzenia (*bierze pod rękę Podosocką, odchodzi z nią na prawo drzwiami drugiemi*).

Władysław (*bierze kapelusz równocześnie*).

Hanusz (*podchodzi do niego, twardo*). Zostań.

Władysław (*patrzy na ojca, rzuca kapelusz niedbale*). Dobrze.

Hanusz (*przechodzi przez salę, poprawia kołnierzyk*).

Podosocki (*w głębi po lewej stronie, rozkłada gazety, rozcina listy, czyta pozornie*).

Władysław (*idzie do Podosockiego*). Masz cygara?

Podosocki (*podaje mu*).

Władysław (*siada na środku na małem karle, zapala cygaro apatycznie, nie patrząc wcale na ojca*).

Hanusz (*staje przed nim z założonemi w tył rękoma, stłumionym głosem*). Utrzymujesz romans z panią Barowską.

Władysław (*patrzy na niego, po chwili*). Tak.

Hanusz (*twardo*). Zerwiesz z nią.

Władysław (*rzuca spojrzeniami, panuje nad sobą*). Nie.

Hanusz. Zrobisz to, albo jej mój dom wypowiem.

Władysław (*zimno*). Ojciec tego nie zrobi (*mruży oczy*).

Hanusz. Tak. Dziś jeszcze. Albo ty zerwiesz, albo jej dom wypowiem.

Władysław (*nerwowo*). Czy ojciec wie, co potem będzie?

Hanusz. A ty wiesz, że to, co powiem, i co tak powiem, zrobię.

Władysław. Wiem. A ja (*mruży oczy*) w łeb sobie strzelę pod twojem oknem (*zaciska szczęki, rzuca cygaro*).

Hanusz (*garbiąc się, stłumionym głosem*). Jak śmiesz tak mówić do mnie?!

Podosocki (*wyjmuje cygaro, ręce mu drżą, długo nie może zapalić*).

Władysław (*stłumionym głosem, z pewną wściekłością*). Ojcze, ja nie jestem szesnastoletnim chłopcem. Rózgi już nie

dla mnie. Kocham, rozumiesz ojcze? kocham. To szał, ale tego nie wydrę z siebie. Kocham, rozumiesz ojcze?

Hanusz. Łajdaczysz się z nią, nic więcej!

Władysław (*zrywa się*). Ojcze, proszę cię! o niej ani słowa!

Hanusz. Milcz. Nikczemni jesteście oboje!

Podosocki (*chce wyjść*).

Hanusz. Możesz zostać.

Władysław (*siada i nerwowo gnie i łamie książkę, którą znalazł pod ręką*).

Podosocki (*wraca do gazet, nieuważnie rozcina*).

Hanusz. Ty nikczemny jesteś, bo nie masz na tyle męzkiej woli, aby się nie stać jej sługusem, a ona, bo obowiązki swoje ma za nic! Macie podłe charaktery! macie podłe dusze! Można nie wiem jaką nikczemność popełnić, a ona jeszcze nie jest tak wstrętną, jak ten paraliż woli! jak ten brak charakteru! (*rzuca nagłe spojrzenia w stronę Podosockiego*). Ty wiesz, że ludzi brudnych miałem jak szmaty i bez litości deptałem. I teraz tak będzie! Mam jeszcze siły. Mam jeszcze zdrowe zmysły. Nie zniedołężniałem. Cokolwiekbądź znajdę, kogokolwiekbądź, czy to ty będziesz, czy kto inny, byle brud, nie będę miał ani iskry litości, tylko zdeptam, zdeptam (*stąpa po ziemi*), tak, tak, jak robactwo!!! (*odchodzi od niego, oddycha gwałtownie, opanowuje się, wraca wolniejszym krokiem, twardo*). Z panią Barowską zerwiesz!

Władysław (*namiętnie*). Pierwej siebie podrę tak, jak tę książkę (*drze na kawałki, rzuca*).

Hanusz. To musi się skończyć. Ty na pohulankach tracisz życie i mienie, a przy niej podlisz jeszcze swój charakter! (*wolno*). Ja ci daję czas do namysłu.

Władysław (*zrywa się*). Nie chcę żadnego!

Hanusz. Siadaj!! (*bierze go za ramię*). Ja ci daję czas do namysłu. Młody bywa szalonym. Ja ci daję czas do namysłu.

Władysław (*przemocą podnosi się*). Ja wiem, co mam robić. Ojciec lubi giąć, a ja przeginać (*ruch ręką, jakby giął pręt*).

Hanusz. Ja ci daję czas do namysłu!

Władysław. To już wszystko?!

Hanusz. Albo jej dom wypowiem.

Władysław. Tego nigdy nie zrobisz!

Hanusz. A ty precz z mego domu! Ja ci daję czas do namysłu. Skończyłem.

Władysław (*namiętnie*). I ja!! (*wypada na prawo*).

Hanusz (*chodzi ciężko, rzuca nagłe spojrzenia na Podosockiego*).

Podosocki (*udając, że jest pochłonięty czytaniem, uderza ręką w gazetę*). A, a, proszę ojca, artykuł omawiający działalność obywatelską ojca. Bardzo pochlebny. Zapowiedź dalszych.

Hanusz (*niechętnie*). Gdzie?

Podosocki. W *Kuryerze*. Jakiś „zet“ podpisany (*idzie do niego*). Nową erę zapoczątkujesz, ojcze, w rozwoju miasta.

Hanusz (*nic nie mówiąc, siada po prawej stronie na karle, ujmuje głowę w dłonie, łokcie wspierając na kolanach*).

Podosocki. Tak, tak, nowa era (*potem bierze dziennik i niby machinalnie czyta*). Sanacya wewnętrznych stosunków... Muszę Heli zanieść (*idzie, rzuca badawcze spojrzenie na Hanusza, z tyłu za nim*). Ale prawda. Czy nie zauważyłeś, ojcze, że Hela jest dzisiaj trochę rozdrażniona? (*przypatruje mu się z pod oka*).

Hanusz (*słucha uważnie, nie podnosząc głowy*).

Podosocki. U niej we wszystkiem za dużo nerwów. To jej szkodzi. Nieraz biedna do białego dnia nie zmruży oka, i ja przy niej.

Hanusz (*odwraca się*). Kłamiesz!!

Podosocki (*zimny, patrzy w niego, po chwili łagodnie*). Czy zasłużyłem na to?

Hanusz (*ukrywa głowę w dłoniach, po chwili chłodno*). Przepraszam cię. Ten Władek trochę mię wzburzył.

Podosocka i Kaliska (*wchodzą z prawej strony*).

Kaliska (*w futrze*). Ale musisz moja droga przejechać się z nami. Wyborna sanna.

Podosocki. Dzień dobry cioci (*całuje ją w rękę*).

Hanusz (*wstaje, bierze kapelusz*).

Podosocki (*do niego*). Więc ojciec przyjdzie dziś na posiedzenie rady miejskiej.

Hanusz. Przyjdę. Do widzenia, do widzenia (*do Podosockiego*). Właśnie chcę myśli zebrać (*wychodzi na prawo*).

Kaliska. Troje sań czeka na dole. Godzinka czasu.

Marynia, Kostka, Louise (*wchodzą z ogrodu*).

Podosocka (*do Kaliskiej*). Otóż i one.

Kaliska. Maryniu, sanna!

Marynia. Teraz?! mamusiu! mamusiu! (*skacze koło niej, całuje ją*).

Kostka (*wita się z Kaliską*). Mieliśmy sto pociech z panny Maryni.

Marynia. No, no, no (*nuci, odbiega do Podosockiego*).

Podosocka. To i my się zbieramy (*odchodzi do siebie*).

Podosocki (*do Maryni, półgłosem*). Bogini Eskimosów musi tak wyglądać, jak ty, Maryniu. To naród podobno najgorliwszy w miłości (*obejmuje ją wzrokiem*), bo mu zawsze zimno...

Marynia (*ostro*). Jesteś brudny, jak Eskimos (*śmieje się*).

Podosocki (*drwiąco*). Wiatr sentymentu? z krain pana Kostki?

Marynia (*hardo*). A tak, a tak...

Podosocki. I on się zeskimosi...

Marynia (*wybucha śmiechem*). Ty, ty wilku.

Helena, Podosocka, Ewa, Karolcia (*wchodzą ubrane do przejażdżki*).

Kaliska. A więc w drogę.

Podosocki (*żegna się ze wszystkimi*). Przyjemnej zabawy.

Wszyscy (*wychodzą na prawo, prócz niego*).

Podosocki (*zamyśla się, potem*). Aha (*dzwoni*).

Antoni (*we drzwiach*). Słucham jaśnie pana.

Podosocki. Cztery butelki szampana w lód.

Antoni. Natychmiast, jaśnie panie (*na prawo*).

Podosocki (*staje na środku, spostrzega na ziemi książkę podartą przez Władysława, kopie ją machinalnie z ironicznym uśmiechem*).

Woronek (*wchodzi z prawej strony*). No, jesteśmy.

Antoni (*po chwili anonsuje*). Pan mecenas Jasiewicz.

Dr. Henryk Jasiewicz (*wchodzi, strój anglesowy, zarost starannie utrzymany, faworyty, krótka broda, włosy na głowie przykładnie rozczesane z przodu i z tyłu, cwikier. Ma krok lekko kołyszący się, przyczem ręce za-*

ciera bez przesady. Kiedy mówi, podnosi głowę sztywnie).

Podosocki. Witam pana mecenasa (*uścisk rąk*). Panowie długo byli w Zakłuszynie? Proszę (*siadają po prawej stronie*).

Dr. Jasiewicz. Prawie całe cztery dni.

Podosocki. A rezultaty?

Dr. Jasiewicz. Specyalista nasz orzekł, że pokłady w głębokości 300 metrów są rozległe, ale liche. Węgiel ten za lat kilka nie wytrzyma już konkurencyi wobec nowo otwieranych szybów w Kaliszawie. Za to odkryte przez pana pokłady w głębokości 650 metrów, zgodnie z ofertą panów, są niezwykle piękne.

Podosocki. Kompania upoważniła pana mecenasa?

Dr. Jasiewicz. Proszę, proszę pana (*wyjmuje arkusz*) — notaryalne upoważnienie.

Podosocki (*przegląda*). Tak — w całej rozciągłości. A co do ostatecznej ceny kupna?

Dr. Jasiewicz. Kompania określiła mi jej *maximum.*

Podosocki. Czy kompania gwarantuje mi zastrzeżone przezemnie przemilczenie tej sprzedaży — na przeciąg trzech miesięcy?

Dr. Jasiewicz. To rzecz ślizga. Nasza strona nie może za to odpowiadać. Kompania przyrzeka jednakowoż zdemontować w danym razie pogłoski oświadczeniem publicznem, że kopalni zakłuszyńskich nie nabyła—przez przeciąg dwóch miesięcy.

Podosocki. W tej formie dobrze. Jeszcze jedno. Cały personal urzędniczy przez trzy lata nie będzie zmieniony, chyba w razie wytoczenia komu śledztwa dyscyplinarnego. Podniesienie plac o 10%.

Dr. Jasiewicz. Kompania i to affirmuje (*z uśmiechem*). Stanie się pan u nas wzorem obywatela.

Podosocki. Dziękuję. Możemy zatem przystąpić do samej rzeczy (*dzwoni*). Antoni, szampan.

Antoni (*wychodzi*).

Woronek (*który siedział z daleka, przysiada się do stolika, ogląda się często na drzwi za Antonim*).

Podosocki. Proszę pana mecenasa, pan rozglądnął się w sy-

tuacyi. Czy kompania przystaje również w zasadzie na wszelką formę sprzedaży?

Dr. Jasiewicz. Jaka tylko będzie panom dogodna, z tem zastrzeżeniem, że jej prawna strona musi być niezaczepialna.

Podosocki. A więc wszystko dobrze.

Dr. Jasiewicz. Jedna tylko jeszcze drobnostka. Wiem, jakie jest stanowisko pańskie w banku, aczkolwiek nieformalne. Czy i w tej sprawie działa pan w pełnem porozumieniu z młodym Hanuszem?

Podosocki. Tak jest.

Antoni (*wnosi na tacy kieliszki i dwie butelki szampana*).

Podosocki. Możesz odejść. A jakby kto przyszedł, choćby z domowych, dasz mi znać.

Antoni (*odchodzi*).

Podosocki (*otwiera butelkę, nalewa wino, podnosi kieliszek, z humorem*). Na zdrowie złotych interesów!

Woronek. To właśnie, to właśnie (*łapczywie pije, w dalszym ciągu wciąż dolewa sobie wina*).

Podosocki. Kopalnie w Zakłuszynie warte są obecnie osiemnaście milionów. Na taką sumę je szacuję.

Dr. Jasiewicz. Kompania szacuje je na osiem milionów.

Podosocki. Panie mecenasie. To suma, od której dopiero zaczniemy pielgrzymkę na jasną górę. Aranżerowie za każdy krok naprzód dostaną dwa procent (*nalewa wina*).

Dr. Jasiewicz. Czy to w formie zobowiązania?

Podosocki. Tak. Ja wiem, że pan mecenas nie przekroczy *maximum*, ale wiem także, co znaczy dobra wola, więc— dwa procent. Słowo honoru. Świadkiem pan Woronek.

Woronek. Na wszystko, co panowie chcecie Niech żyje przemysł krajowy! (*wstaje*). Panowie, pozwólcie mi małe słówko powiedzieć.....

Podosocki. Już pan dosiada swojego konika. Siedź pan.

Woronek. Właśnie że (*pije*).

Dr. Jasiewicz. Dziewięć milionów jest rzeczą możliwą.

Podosocki. Tak dziewięć (*z humorem*). Tylko, widzi pan mecenas, dziewięć jest za bardzo podobne do sześciu. Miałbym zawsze wrażenie, żem wziął sześć milionów.

Przejdźmy tę fatalną liczbę przy trzyprocentowym animuszu, trzyprocentowym.

Woronek (*nalewa wino*). Pan Podosocki jest najzacniejszą figurą na świecie.

Dr. Jasiewicz (*do Podosockiego*). Tak — wypadałoby —

Podosocki. A dam sześć procent, jeżeli zrobimy dwa kroki naprzód i będę uważał, że szczyt osiągnąłem.

Dr. Jasiewicz (*chwilę myśli, potem*). Dobrze. Złoży pan tę sumę z sześciu procent w Banku Krajowym na moje imię, z prawem podniesienia po dokonaniu sprzedaży (*trochę uroczystym głosem*). Kompania belgijska nabędzie Zakłuszyn za jedenaście milionów.

Podosocki (*wstaje*). Na zdrowie pana mecenasa.

Woronek. Z całej duszy (*piją*). Panowie, jesteście obywatelami tego kraju. Przemysł nasz krajowy rozwija się od dziesiątek lat w energicznem tempie.....

Podosocki. Woronek! (*siada*). Teraz, panie mecenasie, forma naszego kontraktu. Na ile kompania szacuje górne pokłady, czyli dotychczasową wartość Zakłuszyna?

Dr. Jasiewicz. Na trzy miliony.

Podosocki. Wybornie. Podnieśmy tę wartość do czterech milionów. Otóż nasz notaryalny akt sprzedaży będzie opiewał na te cztery miliony, resztę siedm milionów złoży kompania w banku państwowym na moje imię również z prawem podjęcia ich po dokonaniu sprzedaży.

Dr. Jasiewicz. To szalona różnica. Przy takiej transakcyi kompania nie da nigdy jedenastu milionów. Kompanię nic nie obchodzą wasze manipulacye bankowe. Nazywa się to tak, kupujemy od panów kopalnię za cztery miliony, ale porękawicznego dajemy wam siedm. Nie, nie. W tym wypadku kompania da za Zakłuszyn tylko dziewięć milionów.

Podosocki (*chwilę waha się, wreszcie*). Zgoda! (*podaje mu rękę*). Procent przypada panu mecenasowi ten sam, co od pierwotnej sumy.

Dr. Jasiewicz. Zgoda (*ściska mu rękę*).

Woronek. Jak to dobrze. Ooo (*nalewa wina*).

Podosocki. Sądzi pan mecenas, że kompania zgodzi się na wszystkie punkty?

Dr. Jasiewicz. Kompania wie, że dziś wartość Zakłuszyna przenosi pietnaście milionów.

Woronek. Co to za złodzieje, ci Belgijczycy. Zdrowie! zdrowie! (*piją*) zdrowie banku, pana Podosockiego, zacnego pana mecenasa! starego!

Podosocki. Pan zawsze musisz się upić.

Woronek. Panowie! (*nalewa*) panowie obywatele! przemysł krajowy stoi na takich silnych podwalinach, kocham ten przemysł, ja zawsze marzyłem o tem, żeby być z tymi, co na przodzie. Zacny panie Podosocki, najzacniejszy panie mecenasie, ja kopalnie, banki kocham, kocham jak siostrzyczki rodzone, jak braci z tej samej matki, ja pracę moją, ja w pocie czoła, przemysł (*zaczyna płakać*).

Antoni (*wchodzi szybko*). Pan starszy idzie (*znika*).

Podosocki. Dyabli go nadali (*do Woronka*). Stary idzie, słyszysz ty opoju.

Woronek (*blednie, trzęsie się*). Jak? stary? on? (*z przerażeniem patrzy po nich*).

Podosocki. Pan mecenas będzie łaskaw przejść do mego gabinetu (*podprowadza go do drzwi*).

Woronek (*prostuje się, patrzy dokoła, nagle jak najszybciej wypada do gabinetu, wyprzedzając Jasiewicza*). Niema mnie, nie było mnie (*znika*).

Hanusz (*wchodzi w chwili, kiedy Woronek wpada do gabinetu, a Dr. Jasiewicz wychodzi za nim—patrzy na nich, na Podosockiego, na szampan, zimno*). Widzę, że przeszkadzam.

Podosocki (*stojąc przy drzwiach gabinetu, chwyta monokl, ręce w kieszeniach*). Czem mogę ojcu służyć?

Hanusz. Nic, nic. Bawisz się. Nie będę ci przerywał.

Podosocki. Ależ proszę (*robi kilka kroków*).

Hanusz (*skwapliwie*). Zostań. Mam głupie porywy. Chciało mi się z tobą pogadać tak od serca. Ale przypomniało mi się właśnie, że jestem jeszcze na czczo.

Podosocki (*chce iść*).

Hanusz. Zostań. Szkoda nóg twoich. Ceń je, jak cenisz twoje dobre imię. Może imię twoje spyta się ich kiedy o radę.

No to i dobrze. Powiedzieliśmy sobie wszystko. Krótko i mądrze. Przepraszam, że przerwałem. Mam, widzisz, takie głupie porywy (*wychodzi na prawo*).

Podosocki (*robi kilka kroków, uśmiecha się ironicznie*).

KONIEC AKTU II.

Tadeusz Konczyński.

(Dokończenie nastąpi).

Krystyna królowa Szwedzka.

(Ciąg dalszy).

II.

Początki drugiego pobytu królowej Krystyny w Rzymie nie były wesołe. Pieniędzy brakło, bo z intrat szwedzkich trzeba było poprzednio zapłacić sumę 50.000, pożyczoną od Mazarina, a Karol Gustaw na żadne propozycye się nie zgodził. Należało więc zastawić lub sprzedać nową seryę sreber, klejnotów i drogich materyj, nawet płaszcz królewski o trzech szwedzkich koronach. Santinelli z dawnych manipulacyj wykręcił się kłamstwami i kradł dalej na wielką skalę; przytem, mimo oporu jej rodziny, czynił zabiegi o rękę młodziutkiej wdowy po księciu da Ceri, Maryi Anny Aldobrandini. *Vox populi* oskarżał ich, iż we dwójkę otruli księcia, a skandal wynikający z całej historyi obijał się o Krystynę, powiększając niezadowolenie Aleksandra VII z jej nieproszonego powrotu.

W istocie królowa, splamiona świeżem morderstwem, poprzedzona pogłoskami o zamierzonym zamachu na ziemie króla hiszpańskiego, znosząca się jawnie z księciem Modeny, gromadząca około siebie neapolitańskich wygnańców i zabierająca się szumnie do werbunków wojennych, a nadto zawsze potrzebująca pieniędzy, nie mogła być bardzo miłym gościem. Papież posłał jej wprawdzie na przywitanie przepyszne *rinfresco* złożone z owoców, konfitur, zwierzyny i innych zapasów, tak obfitych, że potrzeba było 80 ludzi, aby

je przenosić, ale przez kilka tygodni wzbraniał się ją przyjąć i kazał jej poradzić, aby się osiedliła w innem mieście, lub przynajmniej nie na Monte Cavallo, na przeciwko Kwirynału. Gdy zaś Krystyna nie myślała się ruszać, otoczył jej pałac zbrojnemi patrolami, oraz różnemi środkami ostrożności, mogącemi przeszkodzić wszelkim możliwym wybrykom. Na to Krystyna odpowiedziała dowcipnie rozpuszczeniem swej gwardyi, mówiąc, że już jej nie potrzebuje, skoro się widzi tak dobrze strzeżoną. Mundury kosztowne, sprawione we Francyi, powędrowały za pośrednictwem Santinellego na Ghetto...

Tymczasem jednak kardynał Azzolino, przyjaciel królowej i O. Sforza Pallaviccino, przyjaciel papieża, pracowali nad zaprowadzeniem zgody. Jeden kamień obrazy — protekcya udzielana przez Krystynę amorom Santinellego z księżną da Ceri, został usunięty obietnicą jej nie mięszania się więcej w te sprawy; drugi plan, zamachu neapolitańskiego, usuwał się sam przez się w miarę trudności, jakie Mazarin i książę Modeny dostrzegali na drodze. Gdy ten ostatni umarł w październiku 1658 r., królowa, zawsze bardziej żądna czynu, niż dojścia do celu, już była porzuciła marzenie o neapolitańskim tronie, a natomiast zajęta była zaciąganiem posiłków dla Rzpltej weneckiej, tworzyła plan ligi książąt europejskich dla powstrzymania groźnego wzrostu potęgi tureckiej. Tymrazem cel był piękny i wielki, ale pierwotna jego pobudka była mała: chodziło o wystawienie dla Ludwika Santinellego pułku, na którego czele mógłby się zrehabilitować w walce z pohańcem. Nie dziw atoli, że poseł wenecki, Angelo Correr z całych sił popierał przy Watykanie sprawę Krystyny, która częste z nim odbywała narady i już 3.100 skudów na zbrojenia oddała. Z końcem 1658 r. pojednanie z Ojcem św. było dokonane, księżna da Ceri dla większej pewności zamknięta w zamku Sant' Angelo [1]), królowa postanowiła przenieść się na Lungarę do pałacu Riario, a Francesco Santinelli wyjeżdżał z tajemną misyą do Wiednia.

[1]) Romans Santinellego zakończył się jak w komedyi: księżna za jego pomocą uciekła z więzienia, poczem czuła para połączyła się węzłem małżeńskim, gotując sobie, według słów Krystyny, najsroższą zobopólną karę w pożyciu matrymonialnem.

Według historyka szwedzkiego Fryxella, misya ta miała cel wielce zdrożny. Krystyna, rozdrażniona szkodami, jakie wojny szwedzkie w jej pomorskich dobrach sprawiały, miała rzekomo prosić cesarza, aby kazał jenerałowi Monteccucoli na czele 20 000 ludzi zająć na jej imię całe Pomorze, które po swojej śmierci, zobowiązała się zwrócić cesarstwu. Baron Bildt przeciwnie, na mocy trzech listów królowej, zbija posądzenie, twierdząc, że Santinelli miał tylko powinszować Leopoldowi I wstąpienia na tron, a przedewszystkiem miał oddalić się z Rzymu. Nieco dalej wszakże mówi sam o stosunkach królowej z cesarzem, jakoby twierdzenie Fryxella było niezbitą prawdą. W lipcu 1659 r. odbyły się przenosiny do pałacu Riario [1]), dokąd sprowadzono z Antwerpii zostawione tam meble, obrazy i książki. Tutaj dopiero, nie już w gościnie, ale we własnem, bo płatnem mieszkaniu, Krystyna zainstallowała się na dobre; tu również dojrzała przyjaźń jej z kardynałem Azzolino. Odtąd wpływ jego na jej życie staje się przemożnym. Pierwszym jego objawem było zaprowadzenie względnego ładu w administracyi dworu królowej, przez odsłonięcie łotrowstw Santinellego. Krystyna, oburzona, ale nie śmiąc tym razem wymierzyć sprawiedliwości, zaskarżyła go przed sądem o kradzież, fałszerstwa i sprzeniewierzenia, że jednak obwiniony gwoli swej misyi bawił wówczas za granicą i na wezwanie się nie stawił, nie można go było dosięgnąć, a pieniądze i rzeczy i tak były stracone. Trzeba było po raz drugi wykupić dyamenty. Wraz z Santinellim poszła i większa część dworzan, zastąpiona przez ludzi dobrze znanych kardynałowi; dowódcą gwardyi został krewny jego, Lorenzo Adami, głównym sekretarzem ksiądz Santini, lekarzem Cesare Macchiati i t. d. Z tych wielu służyć miało do śmierci, co dobrze świadczy o wyborze Azzolina

Czy stosunek jego do królowej przekroczył miarę przyjaźni, o tem autor nic stanowczego powiedzieć nie śmie. Niepokojono się nim zrazu w najbliższem otoczeniu papieża, tak, iż Azzolino zmuszonym był listownie O. Sforza o swej niewinności zapewnić. Z naszej strony możemy to tylko powiedzieć, że Krystyna w późniejszej korespondencyi nie jedno-

[1]) Obecny pałac Corsini.

krotnie gorzko się żali na surowość kardynała, karcącą bez litości każdy wyraz przywiązania, który mu się zbyt egzaltowanym wydaje, a Bóg widzi, że ich nie mierzono w XVII wieku według dzisiejszego słownika! Przesada była na porządku dziennym; nawet w korespondencyach dyplomatycznych znajdujemy wyraz *passion* zastępujący dzisiejszy *désir*, jak n. p.: *j'ai la passion de servir Votre Majesté* i t. p. Słowa, którychbyśmy użyli dla wyrażenia rozpaczy lub najgorętszej miłości, służyły wówczas na określenie lekkiej przykrości lub salonowej grzeczności. Tembardziej uderzającą jest pokora, z jaką dumny umysł Krystyny poddawał się nietylko burom, ale i kierownictwu przyjaciela. Znać, że jego trzeźwość i spokój zapanowały nad jej różnolicą naturą, pełną fantazyi, porywów i buty, tak dalece, iż ona, która tak chętnie wyzywa świat cały, ucieka się do wykrętów tam, gdzie może się lękać jego nagany. W listach do Azzolina okazuje się bardziej kobietą, niż w postępowaniu; trudnoby, sądząc z nich, wyobrazić sobie tę królowę, przychodzącą do papieża z zapylonym włosem, w kompletnym męzkim stroju z narzuconą tylko po wierzchu suknią z przeźroczystej tkanki... Oto co pisze baron Bildt: „Wpływ Azzolina zbawiennym był pod wielu względami. Nadał życiu królowej cechę zewnętrznej powagi, umitygował jej dziwactwa, uporządkował wydatki; dochody jej niestety nie były w jego mocy. W sporach jej stawał się pośrednikiem i uśmierzycielem, nie wahającym się w surowych nieraz i pełnych godności wyrazach wykazać jej winę. Oczywiście natury jej zmienić nie mógł: miała do śmierci pozostać samolubną, próżną i przenerwowaną, ale dzięki jemu, przynajmniej objawy tych wad stały się mniej rażące wśród niespokojnego trybu jej życia. Z innej strony atoli wpływ kardynała okazał się szkodliwym. Jako Włoch i kardynał, nie mógł żywić sympatyi dla protestanckiej Szwecyi. Daleka ojczyzna Krystyny przedstawiała mu się jedynie jako źródło dochodów, z którego należało wyciągać co tylko się dało, to też przyczynił się jeszcze do umniejszenia patryotyzmu, którego brak tak często zarzucano królowej“.

Faktem jest, że wyciąganie z Szwecyi pieniędzy stało się teraz głównem zajęciem, główną troską Krystyny. Nigdy i nigdzie nie znać, aby jej przez myśl przeszło, że ci, od któ-

rych je wyciąga są ludźmi, że mieszkańcy przyznanych jej prowincyj mogą czasem potrzebować ulgi i opieki; żadnego uczucia obowiązku i odpowiedzialności wobec ludności! Ani razu nie przyszło jej do głowy odwiedzić swoje prowincye, ani razu spytać się, czy nie trzeba im pomocy. Tak w nieszczęsnym 1659 r., gdy Szwecya walczyła sama przeciw cesarstwu, Polsce, Danii i Moskwie, jak później podczas Nimwegskiego kongresu, dawna królowa szwedzka, zajęta głównie utrzymaniem własnych przywilejów, byłaby rada dla siebie a potem dla cesarza oderwała od państwa, krwią jej ojca zdobyte Pomorze. „Dziś nazwalibyśmy to zdradą — mówi baron Bildt — przed dwustu laty ludzie byli mniej surowi. Pojęcie ojczyzny i narodowości nie było się jeszcze odłączyło od pojęcia królewskiego dziedzictwa i rzekomych praw urodzenia, ani też od pojęcia pewnej niezależności feudalnej. Krystyna i książę Condé są tego przykładem“. Na nieszczęście za naszych czasów, chcemy zawsze sądzić ludzi i fakta dawne według dzisiejszych stosunków i ztąd niesprawiedliwość, którą się co krok spotyka w historyi... Wprawdzie teraz w r. 1659 z interesem prywatnym Krystyny łączył się interes wiary katolickiej. Królowa posłała jednego z dworzan do Wiednia, powierzając sprawę swą cesarzowi, łudziła się podobnie, jak się łudzono w otoczeniu papieża, że Leopold I, podnosząc jej pretensye, zdoła dostatecznie nastraszyć Karola Gustawa, aby odeń ustępstwa na szwedzkim Pomorzu dla katolików otrzymać. Równocześnie jednak, chcąc uzyskać pieniądze od Mazarina, Krystyna straszyła go zamiarem podróży do Szwecyi, którą rząd francuski usiłował królowi szwedzkiemu oszczędzić.

W każdym razie wyjazd jej do Hamburga był już postanowiony, gdy nadeszła niespodziewana wieść o zgonie Karola Gustawa w Göteborgu, 13 lutego 1660 r. Wobec małoletności następcy i ustanowienia regencyi, podróż na północ stała się rzeczą konieczną. To też uzbierawszy za pomocą papieża, który ją zawsze bardziej rad żegnał niż witał, dostateczną ilość pieniędzy na drogę, królowa wyruszyła 20 lipca i przebywszy szybko Niemcy, zatrzymała się przez parę tygodni w Hamburgu, poczem pod eskortą posła francuskiego, kawalera de Terlon, wjechała przez Kopenhagę w granice dawnego królestwa. Regencyi przyjazd jej był nie wsmak,

wiedziano o jej stosunkach z cesarzem, a choć Leopold na propozycye jej nie odpowiedział i zawarł pokój bez żadnej o nich wzmianki, obawiano się z jej strony niespodzianek na przyszłość. Wprawdzie przyjęto ją uroczyście i zatwierdzono wszystkie punkta recesu abdykacyjnego, ale zastrzeżenia jej praw do korony w razie śmierci pięcioletniego Karola XI nawet w Izbach wziąć pod dyskusyę nie chciano, pragnąc zaś aby wyjechała czemprędzej, poczęto jej robić szykany na punkcie religii. Naprzód odebrano jej w jej posiadłościach jurysdykcyę w sprawach kościelnych, następnie kazano jej odesłać sekretarza X. Santini, a gdy jej wtedy Terlon posłał własnego kapelana, kazano i temu ją opuścić, choć odprawiał Mszę św. przy drzwiach zamkniętych. To też Krystyna, spędziwszy dla uregulowania interesów trzy tygodnie w Norrköping, powróciła do Hamburga.

Tymczasem Mazarin umarł, nie wypłaciwszy przyznanej sumy; Krystyna wtedy wyprawiła do Paryża hr. Galeazza Gualdo, obecnie swego zwykłego plenipotenta u francuskiego dworu, z żądaniem przejrzenia rachunków po kardynale, oraz z całą seryą próśb dla różnych osób z jej służby. Gualdo jednak nie otrzymał nic; ci, którzy dawniej skarżyli się na Mazarina, mieli się wnet przekonać, że młody król był w gruncie twardszym od swego ministra. Ale odmowy Ludwika XIV nie przeszkodziły Krystynie udać się znowu do niego, tym razem w sprawie publicznej. Niemogąc nic dla katolików uzyskać w Szwecyi, zapragnęła otrzymać dla nich niejakie swobody w Danii i w Hamburgu. Udała się tedy z prośbą o interwencyę do króla Francyi, do Filipa IV, do cesarza i do Jana Kazimierza, ale napróżno. Ludwik XIV napisał natychmiast, ale bardzo chłodno, Filip IV napisał za późno, cesarz odmówił wręcz z obawy, aby u niego nie zażądano tych samych wolności dla protestantów, z Polski niewiadomo jaka przyszła odpowiedź. W każdym razie Krystyna zmuszoną była od zamiarów swoich odstąpić. Pobyt jej w Hamburgu potrwał do maja 1662 r. i posłużył do względnego uregulowania spraw pieniężnych, w ten sposób, że Texeira, gromadząc w swoich rękach wszystkie jej intraty, zobowiązał się przesyłać jej 8.000 riksdalerów miesięcznie, a z reszty spłacać jej długi, tak własne jak i cudze pożyczki. Dochody liczono już tylko na 107.000.

W Rzymie, po przyjęciu świetniejszem i ze strony papieża cieplejszem, niż ostatnim razem, Krystyna osiadła znowu wśród swych artystycznych skarbów, i nie zniechęcona licznemi zawodami, poczęła na nowo snuć plany posiłkowania Wenecyi. Gualdo, jako Wenecyanin i polityczny marzyciel, zachęcał ją gorąco: toż za cenę dyamentów królowej możnaby wystawić przepyszny pułk, a byle raz zacząć, to już inni książęta pójdą za jej przykładem. Tymczasem 98 listów zostało w tym przedmiocie wysłanych do wszelkich potentatów duchownych i świeckich; Gualdo miał w jej imieniu objechać wszystkie niemal europejskie dwory; jedyną wszakże osiągniętą przezeń w tej misyi korzyścią, było umorzenie pewnego długu, powinnego przez samego Gualda rządowi Rzpltej weneckiej. Krystyna nowy ten zawód przyjęła dość obojętnie, zanim bowiem Gualdo powrócił, już myśl jej zaprzątnęła się była czemś innem.

Dotąd, jak widzieliśmy, stosunki z dworem francuskim były raczej życzliwe ze strony Francyi, a czule i czasem natrętne ze strony królowej. Teraz jednak jej mania mięszania się do wszystkiego miała je zepsuć na długo. W maju 1662 r. wjechał był do Rzymu książę de Créqui, pierwszy ambasador francuski bawiący w Stolicy św. od r. 1653, i jak zawsze dyplomaci francuscy, zamyślał przodować nietylko przed innymi posłami, ale przed kardynałami i najbliższą rodziną papieża. Ludwik XIV wprawdzie kazał mu na każdym punkcie z grzeczności ustąpić, ale wkrótce bójka pomiędzy służbą ambasadora a korsykańską gwardyą papieża zerwała klejącą się zaledwie zgodę Stolicy Apostolskiej z „chrześciańskim królem“. Korsykanie napadli na mieszkanie księcia de Créqui i gdy ten ukazał się na balkonie, powitała go salwa muszkietów. Równocześnie inne strzały kładły trupem pazia przy jego karecie, powracającej pusto do domu. Trzeba przyznać, że posłowie Ludwika XIV nie mieli szczęścia: toż ta sama prawie historya oczekiwała margrabiego de Vitry w Warszawie w r. 1683... Wzburzenie ambasadora i jego dworu było oczywiście ogromne; Krystyna, czując słusznie, jak wielkie złe może z tej burdy wyniknąć, poczęła przez Azzolina naglić papieża, aby jak najspieszniej ofiarował Francyi wszelkie zadośćuczynienie, aby nawet w tym celu, jeśli się nie da odkryć winowajców, ukarał niewinnych. Aleksander VII

atoli wzbraniał się uznać winy swych ludzi, gdyż byłby pono musiał temsamem uznać winę własnego brata, komendanta gwardyi i kardynała Imperiali, gubernatora Rzymu; przytem nie żywił serdecznych uczuć względem Francyi, która prawdę mówiąc mało na nie zasługiwała. Wśród naszych polskich entuzyazmów dla ojczyzny Napoleona zapominamy, iż Francya była jedynem europejskiem mocarstwem, które Turków nasyłało na chrześcian, które gniotąc u siebie Hugenotów, za granicą stawało zawsze jawnie czy skrycie po stronie heretyków, walczących z katolickiemi państwami. Francuskie pieniądze podtrzymywały Szwedów w Wojnie Trzydziestoletniej, francuskie pieniądze były żołdem Karola Gustawa za najazd Polski, odpłynięcie francuskiej floty miało później (w r. 1669) zdecydować upadek Kandyi, a podczas kampanii wiedeńskiej srogie kary grozić Francuzom, którzyby wbrew zakazom Ludwika XIV śmieli podnieść broń przeciw nieprzyjaciołom krzyża... Pobudką złego była zazdrość, a z niej zawiść przeciw domowi Habsburgów [1]), z którym jako z przyrodzonym świeckim wodzem chrześciaństwa ściśle zawsze trzymali papieże. Ztąd też oziębienie stosunków ze Stolicą św., znajdujące obecnie wyraz w braku skwapliwości Aleksandra VII do przejednania Ludwika XIV. Brak ten miał i inne powody: zda się, iż *furia* Korsykanów wywołana była postępowaniem służby ambasadora. To przynajmniej usiłowała Krystyna wytłómaczyć w gęstych listach, wysyłanych do króla i do ministra de Lionne, dodając, że choćby i wszystka wina była po stronie papieża, przecież książęciu-katolikowi nie przystoi z nim się kłócić, i że najlepszą zemstą, jaką dziecko może wywrzeć na ojcu lub matce, którzy go skrzywdzili, jest służenie mu tem czulsze i tem gorliwsze. Wykazywała, jakim tryumfem dla wrogów Kościoła będzie spór podobnego rodzaju — wszystko napróżno. Uwagi jej drażniły tylko pychę wersalskiego bożka, w odpowiedzi zatem wysłał na dniu 16 września pod adresem Krystyny obszerny list, wyrażający w patetyczny i górnolotny sposób ogrom doznanej urazy.

[1]) Najpiękniejszą zemstą za tę półtrzeciawiekową nienawiść było schronienie, udzielone w naszych czasach wygnanym Bourbonom na ziemiach cesarskich.

Pismo to, wyprawione do San Quirico, gdzie książę de Créqui opuściwszy ostentacyjnie Rzym konferował a raczej spierał się z wysłańcami Aleksandra VII, zostało wręczonem królowej dopiero po zerwaniu układów 6 listopada, a równocześnie przełożonem na język włoski i rozsypanem po Rzymie. Nie brakło w niem i przejrzystej alluzyi do śmierci Monaldeschiego. „Gdybyś W. K. M. doznała była jakiej zniewagi w osobie ostatniego ze swoich sług... pewien jestem, że mając tyle szlachetnej dumy i tyle dbałości o swoją chwałę, nie poszlabyś W. K. M. sama za radą, jakiej mi udzielasz, abym wymazał z pamięci ten niemiły obraz *(de passer l'éponge sur ce tableau désagréable)* i że w podobnej sprawie nie uważałabyś za zbyt chwalebny tryumf zwyciężenie własnego gniewu". Osobny manifest p. de Lionne towarzyszył królewskiemu listowi.

Przeczytawszy to, Krystyna zaniepokoiła się i zgniewała zarazem; z jednej strony tedy wyprawiła z nowem pismem do Francyi młodego swego dworzanina d'Alibert, z drugiej zaś poczęła gniewnego Jowisza obracać w śmiech. W sam dzień wyjazdu d'Aliberta komponowała parodyę własnego listu [1]), która choć oczywiście nie była posłaną, nie pozostała

[1]) Oto tekst owego listu: „Vous êtes en colère et vous m'écrivez de longues lettres, qui ne s'adressent pas à moi, mais ce qui est encore déplaisant, il faut malgre moi que j'y réponde. Vous me prenez peut être pour niaise et je ne le suis pas, Dieu merci; mais si je l'étais (que Dieu m'en garde!) je vous ferais désespérer; car, enfin, n'étant pas fille à mourir de peur et sachant qu'on n'avale pas le monde comme une pillule, je vous aurais donné de l'exercice à l'heure qu'il est. Mais trève aux menaces: on vous craint, on tremble, que voulez vous de plus? Quand on aura fait tout ce que vous demandez, serez vous encore en colère? Cela passe raillerie; il est temps de rengainer. Que vous a fait St. Pièrre, qui n'en peut mais de tout ce bruit? Il y a ici des gens, qui font vos affaires: laissez les faire, car ils sont d'humeur à vous donner plus que vous ne demandez pour être bien avec vous. Mais je prévois, que lorsqu'ils vous auront mis d'accrod avec notre St. Pierre, il se servira de vous pour leur donner les étrivières pour avoir trop fait à ses dépens; car vous êtes trop bon catholique pour lui refuser tôt ou tard ce service. N'allez

tajemnicą dla kółka znajomych, a bodaj czy nie doszła do komnat Wersalu. Kardynał Azzolino rownież ośmielił się skarykaturować Ludwika XIV w napisanej przez siebie komedyi. Że te niewczesne żarty obiły się o uszy francuskiego króla, wydaje się niemal pewnem, sądząc po ironicznym tonie odpowiedzi, danej na poselstwo d'Aliberta [1]), oraz na długie i uporczywe następnie milczenie, którego, nawet po pogodzeniu się Ludwika z papieżem, Krystyna nie zdołała rozbroić. A był to gniew niebezpieczny, daleko sięgający gniew nielitościwego despoty. Z właściwą sobie bezwzględnością Ludwik XIV kazał posłowi swemu poskarżyć się na królowę w Sztokholmie, przed niechętną jej regencyą, która natychmiast oświadczyła swoją gotowość obcięcia jej części dochodów. Szczęściem, zanim do tego przyszło, król opamiętał się i dał wracającemu do Szwecyi Terlonowi rozkaz, nie mięszania się więcej w sprawy królowej Krystyny. Dopiero jednak w r. 1665 raczył zapomnieć urazy i tak Krystynę, jak kardynała Azzolino, do łask swoich przywrócić.

Owo nieporozumienie i rosnące zeń obawy były cieniem, rzuconym na względnie szczęśliwe lata, gdy rozpostarłszy w pałacu Riario wszystkie swoje artystyczne skarby,

---

pas vous mettre en colère de ce que je badine avec vous, car quand vous devriez me haïr comme une Corse, je ne saurais m' empêcher de me divertir. Mais au bout du compte soyez de mes amis; car raillerie à part je vous estime infiniment et prie Dieu qu'il vous conserve".

Bez podpisu.

[1]) „Madame ma soeur!

Je suis faché, que Votre Majesté se soit mise en peine de me depêcher le sieur d'Alibert pour un sujet, qui ne méritait pas de lui donner ce soin. Je sais qu'il est juste que les personnes de votre rang ne se contraignent jamais en rien. Aussi, aux occasions où elle voudra bien me donner des marques de son affection, je les estimerai beaucoup, comme j'ai fait en celle ci les civilités, que le dit d'Alibert m'a faites de sa part. Aux occurences où d'autres intérets lui seront plus chers et plus considérables que les miens, je ne me plaindrai que de ma mauvaise fortune et n'en serai pas moins véritablement, Madame ma Soeur Votre bon Frère.

A Paris le 12 Décembre 1662.

Louis".

napełniwszy ogrody klombami rzadkich krzewów i kwiatów, królowa mogła żyć wedle wymarzonego programu, dzieląc czas między zabawy światowe a poważne studya, pomiędzy któremi alchemia, zwłaszcza zaś poszukiwanie fabrykacyi złota, poczestne zajmowała miejsce. Dwór jej prowadzony teraz, z łaski Azzolina, przez wielkiego pana, księcia Poli, brata kardynała Conti, miał wygląd wykwintny i szlachetny, niepodobny wręcz do jaskini zbójeckiej z czasów Santinellich i Tenderiniego. Postawa jej w sporze z Francyą była jej przywróciła łaski Aleksandra VII, który ją nawet w pałacu Riario odwiedził. Słowem, wszystko szło dobrze, krom spraw pieniężnych. Główny gubernator jej prowincyi w Szwecyi, Seved Bååt, człowiek zresztą uczciwy i zdatny, tak, że w r. 1668 dostąpił godności wielkiego podskarbiego, tutaj, w jej interesach okazał się niedbałym, na Pomorzu Appelman żył jak wielki pan, ale o swych obowiązkach nie myślał, w Norrköping handel szedł kulawo, próba eksportowania marmuru z wyspy Öland chybiła zupełnie. Nadto dawny faworyt królowej, hr. Clas Tott, któremu, gdy go do niej w r. 1655 wysłano, aby ją od zmiany religii powstrzymał, dała była z prostej przyjaźni assygnacyę na 24.000, obecnie występował z tym kwitkiem, wprawdzie nie natarczywie, ale w roli wierzyciela. Trzeba go było spłacać ratami, a wynikiem tego wszystkiego było, że Texeira nie już 8.000, ale 5.000 miesięcznie posyłał, co na utrzymanie dworu ledwie starczyło. Potrzeba więc osobistego wejrzenia w stan interesów objawiała się znowu.

Krystynie jednak trudno było jechać do Szwecyi. Wielki kanclerz de la Gardie trwał w swojej zawiści, reszta regencyi obawiała się jej wpływu, możnego jeszcze w warstwach mieszczańskich, pomnych szczęśliwych czasów jej rządów, ale nie śmiąc do tego się przyznać udawała, że się lęka jej propagandy. Kult katolicki zabronionym był w Szwecyi wszystkim, krom ambasadorom, a dawna królowa nie przedstawiała żadnej potęgi. Gdy zatem z początkiem lata 1664 r., posłyszawszy od swych prywatnych korespondentów o przychylnym prądzie, wiejącym dla niej w narodzie, Krystyna kazała Appelmanowi oznajmić w Sztokholmie swój przyjazd, regenci użyli całej swojej przewagi nad zgromadzonym sejmem, aby uzyskać zabraniającą uchwałę; użyli mianowicie

listów z Francyi, dowodzących, że pierwszy pobyt królowej miał jedynie na celu propagandę wiary, przedstawiali, że obecnie Ludwik XIV, srodze na nią gniewny, zażądał, aby położono sekwestr na jej dochody. Opozycya była silna, ale ją regenci zwalczyli tak, że prócz dawniejszych ścieśnień wymogli zakaz przyjazdu w czasie sesyi sejmowej, oraz przywiezienia ze sobą kogokolwiek z dworzan, któryby nie był protestantem i Szwedem. Baron Bildt znajduje ową nietolerancyę religijną „nieco przesadną".

Krystyna musiała wstrzymać się z podróżą, pocieszając się jedynie tem, że dekret chwilowy bannicyi nie pochodził z woli narodu. W miejsce swoje wyprawiła swego kapitana gwardyi, Lorenza Adami. Był to, jak wiemy, krewny kardynała Azzolino, człowiek cichy, energiczny i rządny, stworzony do podobnej misyi. Pomimo konieczności porozumiewania się przez tłómacza, umiał dzięki swej włoskiej przenikliwości, zlustrować wszystkie posiadłości królowej i odkryć nadużycia wszędzie. Nadużywał Texeira, który nie wciągał w rachunek wszystkich sum odbieranych, a sprzedawane mu zboże przyjmował w podrzędnej cenie; nadużywał gubernator Seved Bååt, który z wydzierżawionych majątków przez lata całe czynszu nie ściągał, a o niektóre kwoty, przez rząd przyznane, nie upominał się wcale. Nadużywał zwłaszcza Appelman, którego opinia publiczna oskarżała o robienie fortuny kosztem królowej. Uporządkować rachunki, odebrać zaległe czynsze, wynaleźć wielkich dzierżawców, którzyby się podjęli ryczałtowej arendy wysp Gothland i Ösel, wreszcie zastraszyć Appelmana tak, aby się zobowiązał dawać przyzwoitą intratę, oto czego miał w skromności swojej dokonać Adami. Nadto umiał w Sztokholmie zawiązać stosunki z ludźmi wpływowymi, po których można się było spodziewać, że na przyszłej sesyi sejmowej doprowadzą do cofnięcia wyroku. Przyjaciele królowej łudzili się tem, niedoceniając potęgi rejencyi.

Na czem jednak istotnie polegała ta siła, zrozumieć trudno, wobec władzy izb i senatu, a zwłaszcza wobec podanej przez barona Bildta charakterystyki jej członków. Składało ją pod przewodnictwem królowej-matki Jadwigi Eleonory pięciu najwyższych dostojników korony: wielki sędzia (Riks-

drots), hr. Brahe, gorliwy luteranin i patryota, wierny pamięci Gustawa Adolfa, obecnie podupadły wiekiem; wielki podskarbi Bonde, z rodu starych królów Szwecyi, rządny, spokojny i pragnący spokoju dla zagojenia ran, krajowi przez tyloletnie walki zadanych, ale nie grający wybitnej roli; wielki admirał Stenbock, dzielny wódz, któremu śmiało rzec można Karol Gustaw większość swoich zwycięztw zawdzięczał, znany nam aż nadto dobrze z czasów „potopu“, gdzie imię jego na każdym spotyka się kroku [1]), dziś jednak, jako regent mało znaczący, bo trzymający się zdala od publicznych spraw; wielki jenerał Gustaw Wrangel (znany nam również, choć mniej od Stenbocka), pojmujący dla Szwecyi tylko postawę wojenną, przeto zawsze w sprzeczności z resztą kolegów, uciekający od zajęć cywilnych na szwedzkie Pomorze, którego był gubernatorem i gdzie mu się przedstawiał choć cień operacyj wojennych przeciw nieznoszącej szwedzkiego jarzma Bremie, a gdzie nadto mógł bez przeszkody oddawać przyjazne hołdy swojej dawnej królowej. Jedynym zatem człowiekiem, w rządzie przedstawiającym istotny rząd, miał być Magnus Gabriel de la Gardie, a i ten pomimo swojej świetności czasem chwiejny a czasem leniwy, posiadał więcej polotu niż energii. Zarzucano mu niejaki brak szczerości, pokrywanie wytworną grzecznością zawistnych uczuć i surowego działania.

Tutaj zachodzi pytanie, czy się baron Bildt w sądzie, wydanym na pięknego Magnusa poniekąd nie myli, kładąc nań zbyt wielką część odpowiedzialności za szybki upadek szwedzkiej potęgi? Wprawdzie nie on sam jest tego zdania, skoro wielki kanclerz strącony z urzędu zakończył świetny swój żywot w niełasce i niedostatku... Nam się jednak zdaje, że przyczyna złego była głębsza. Wielkość chwilowa Szwecyi była rzeczą sztuczną, niemal okolicznościową, powstałą z zaciętości walk religijnych w Niemczech, a wydmuchaną przez Francyę; geniusz Gustawa Adolfa przeleciał, jak meteor

[1]) Charakterystycznem jest, że gdy szwedzkie źródła wszędzie i zawsze w czasie wojny widzą Czarnieckiego, polskie znów widzą wszędzie Stenbocka, tak jakoby jeden i drugi mogli się w kilkumiejscach naraz znajdować.

po chmurnem niebie Wojny Trzydziestoletniej, a pozostałe po nim iskry — dzielni i zdolni wodzowie — słabszym już tylko blaskiem zdołali rozświecić horyzont Karola Gustawa. Wyprawa polska nie zakończyła się świetnie, a po niej oręż szwedzki, który przez chwilę tak ciężko zaważył na losach świata, musiał ku własnej posłużyć obronie. W Niemczech gorączka luteranów była opadła, a oszołomieni wczora sprzymierzeńcy cesarstwa, spostrzegłszy, że mają przed sobą tego jednego tylko, osamotnionego wroga, rzucili się nań społem. Trzeba mu przyznać, że obronił się dzielnie, tak, iż mógł pokojem w Roeskild świetnie uwieńczyć swe trudy—ale też na tem się skończyło. Po śmierci Karola Gustawa Szwecya weszła w epokę opportunizmu, wahania, uśmiechów, zwróconych w stronę to Francyi, to Anglii, dla uzyskania wyczerpanemu krajowi potrzebnych subsydyów; jak niegdyś kazała sobie płacić za walkę, tak obecnie usiłowała sprzedać swą neutralność. Tę wprawdzie na politycznych rynkach taksowano taniej: Francya, która płaciła, lub raczej miała płacić Karolowi Gustawowi 600.000 rocznie za wojowanie w Niemczech i w Polsce, a następnie (1661 r.) zobowiązała się traktatem w Fontainebleau płacić 480.000 za popieranie zbrojne w Polsce kandydatury księcia d'Enghien (jawnym pozorem traktatu było utrzymanie pokoju Westfalskiego), już w styczniu 1662 r., gdy nadzieja tej kandydatury upadła, zniżyła swoje subsydya do 100.000. Reszta dorocznej sumy t. j. 300.000 przeszła na *conto* Danii, wstępującej do ligi Reńskiej; nadto z 3 sierpnia 1663 r. Francya zapewniała Danii swą pomoc w razie jakiejkolwiek napaści, a tylko gdyby ta napaść przyszła ze strony Szwecyi, pomoc wojenna miała być zamienioną na 100.000 talarów, dołożonych do zwykłego subsydyum. Ludwik XIV spodziewał się wciągnąć i Szwecyę do ligi, ale temu stanęła na przeszkodzie niechęć, jaką na północy żywiono dla Hollendrów, którzy przed paru laty nadużywając zawikłanej pozycyi Szwecyi, opanowali byli jej kolonie i zmusili ją do niekorzystnego handlowego traktatu. Szwedzi woleli tajnie sprzymierzyć się (10 marca 1665 r.) z Anglią, co nie przeszkadza, że gdy wkrótce potem wojna wybuchła, nie chcieli współdziałać z nikim, ani z Anglią, ani z Francyą, która, nie wiedząc o tajnej angielsko-szwedzkiej

ugodzie, podwajała starań, aby ich wciągnąć do ligi francusko-duńsko hollenderskiej: *Le gouvernement suédois*—pisze baron Bildt—*ne pouvait cependant se résoudre ni à prendre parti pour aucun des belligérents, ni même à rester neutre Toujours à la recherche de subsides, il se tournait tantôt d'un côté, tantôt de l'autre et il essayait en même temps de vendre aussi chèrement que possible son appui et d'éviter le plus longtemps possible de le donner...* Słaby ruch Wrangla przeciw Bremie [1]), przerwany niebawem interwencyą cesarza, był jedynym objawem życia ze strony Szwecyi, ale wystarczył, aby zaniepokoić Ludwika XIV, który też wyprawił natychmiast do Sztokholmu Arnolda de Pomponne (w lutym 1666 r.), Pomponne zaś minął się w drodze z jadącym w poselstwie do Paryża Königsmarckiem; chęci więc zdawały się wzajemne. Tymczasem Pomponne, traktując na przemian z Magnusem de la Gardie przyjaznym Francyi, to z senatorem Björnklo przeciwnym przymierzu, nie wymógł nic nad obietnicę neutralności. „Szwecya chciała sprzedać nie swój współudział, lecz swą bezczynność, ale wahała się tak długo, iż w końcu utraciła sposobność uzyskania zapłaty". Pomponne, wyjeżdżając z Sztokholmu, po dwóch latach daremnych zabiegów, kreśli następujący obraz sytuacyi politycznej:

„Opuściłem Sztokholm 4 sierpnia 1668 r. Stan, w jakim zostawiałem rzeczy, wydawał się dość kłopotliwym dla tego królestwa. Subsydya, które Anglia i Hollandya miały wymódz na Hiszpanii (dla Szwecyi), były jeszcze wątpliwe; układy z cesarzem nie zapewnione i nic rzetelnego nie wynagradzało za istotnie pożyteczny alians Francyi". Ustęp powyższy zapisany jest w pamiętnikach Pomponne'a, a my wraz z nim i baronem Bildtem zapędziliśmy się aż w rok 1668. Zanim doń jednak naprawdę dojdziemy, trzeba nam jeszcze cofnąć się o dwa lata wstecz, to jest do chwili, gdy pod wrażeniem rozpoczynającej się wojny między Anglią a Danią, regencya ogłosiła zamiar zwołania nadzwyczajnego sejmu. Zamiar został wkrótce cofniętym, wieść o nim jednak, doszła

[1]) Stary lew przechorował tę rzekomą wyprawę, która mu się zdała karykaturą, pośmiewiskiem dawnych wojen szwedzkich. Krystyna mniemała, że nie przeżyje zmartwienia.

do Rzymu z końcem wiosny 1666 r., zdecydowała Krystynę do wyjazdu na północ; chciała skorzystać z przychylnego zbiegu okoliczności, aby wywalczyć zniesienie ustawy z r. 1664.

Na tym punkcie kończy się pierwsza część dzieła bar. Bildta, zawierająca dużo opowiadania, a listów nie wiele. W drugiej za to listy tworzą główne tło, przerywane tylko dla uzupełnienia i jasności mniej lub więcej długiemi ustępami, z pod własnego pióra autora. Uderza nas w nich jawne przyznawanie się do żebraniny rządu szwedzkiego, wobec której pobierane w Polsce przez prywatnych ludzi jurgielty zdają się drobiazgiem. Jedne jak drugie świadczą o przewróconych pojęciach wieku, nie uniewinniających, ale tłómaczących niejeden fakt lub postępek.

Teresa Wodzicka.

(Dokończenie nastąpi).

Czterdzieste piąte

Zgromadzenie filologów i pedagogów niemieckich

w Bremie od 26 do 30 września 1899 r.

Od r. 1837, a zatem od przeszło 60 lat zjeżdżają się filologowie i pedagogowie z całych Niemiec i częścią z Austryi zwykle co dwa lata coraz to w innem mieście, ażeby wspólnie radzić nad ważniejszemi zagadnieniami wychowawczemi i naukowemi i podzielić się wynikami prac umiejętnych i zebranych doświadczeń. Jestto niejako wielkie wędrowne Towarzystwo uczonych i nauczycieli szkół wyższych, istniejące tylko na czas zjazdu, jedno z najpoważniejszych i najzasłużeńszych, jakie w ogóle Niemcy znają, a bodaj jakie świat zna. Imponująca liczba uczestników, dochodząca niekiedy do tysiąca i więcej, nadaje uchwałom zjazdu pierwszorzędne znaczenie, a bliższe osobiste zetknięcie się wybitniejszych przedstawicieli nauki i kierowników młodzieży z całego obszaru państw i krajów, gdzie niemiecka oświata sięga, utrzymuje poczucie solidarności wszystkich i łączności w pracy nad młodem pokoleniem.

W ostatnich latach odbywały się te zjazdy w Wiedniu, Kolonii, Dreznie, a w r. 1899 wybrano jako punkt zborny po raz pierwszy wolne hanseatyckie miasto Bremę. Zgromadziło się koło 600 udział biorących, między nimi obok wysokich dygnitarzy, radców tajnych, obok profesorów uniwersyteckich, dyrektorów i profesorów gimnazyalnych, znale-

żli się nawet kupcy bremeńscy. Brema jest miastem głównie handlowem, ale jak to kilkakrotnie w przemowach przy otwarciu zjazdu i na przyjęciach obywatele jej wypowiedzieli, chciała zaznaczyć, że ceni naukę i cieszy się, iż może przyjąć w swoich murach jej przedstawicieli.

Zwyczajem wszystkich podobnych zjazdów, wieczorem w przeddzień obrad zgromadzili się goście i obywatele Bremy dla wzajemnego powitania się i zaznajomienia we wspaniałej cesarskiej sali Stowarzyszenia artystów, gdzie prezes zjazdu, radca szkolny bremeński, Sander, serdecznie zebranych powitał. Wieczór przeszedł wesoło. Wśród swobodnej rozmowy odnowiły się dawne znajomości, porobiły nowe. Przypominano sobie wyniki dawniejszych zjazdów w Wiedniu, Kolonii i Dreznie.

Następnego dnia, t. j. 26 września, otwarto zjazd w tej samej sali. Na początku chór mięszany znakomicie odśpiewał pieśń Beethovena: *Die Himmel ehren des Ewigen Ehre.* Następnie przemówił Sander, życząc, aby uroczysty nastrój właśnie odśpiewanej pieśni towarzyszył pracom rozpoczynającym się, wspomiał o starożytności miasta, dodając, że obrady mają się odbywać właśnie w tej sali w pobliżu katedry, którą rozpoczęto budować jeszcze za Karola W. a skończono w tym wieku. Sala, dopiero co świeżo malowana kosztem jednego z obywateli Bremy, przedstawia niepospolite dzieło sztuki, sufit i ściany wyobrażają geniuszów mądrości i sztuki i życie ludzkie w całej jego bujnej rozmaitości. Mówca porównał koniec wieku z początkiem i podniósł, jak Niemcy w nauce i sztuce wzrosły; zawdzięczając postęp wybitnym postaciom Goethego, Schillera, Herdera, Pestalozzego, Wolffa i wielu a wielu innych, dziś stoją jako potęga pod władzą młodego, pełnego życia i inicyatywy cesarza. Na cześć jego wzniósł okrzyk, powtórzony przez zgromadzonych z zapałem.

Po wyborze prezydyum (Sander i profesor gimnazyalny Dr. Wagener) zabierali głos burmistrz Bremy, Schultz, aby powitać zgromadzonych imieniem miasta, senator z Rumunii prof. Tocilescu, ażeby złożyć hołd niemieckiej nauce i zapowiedzieć, że zda sprawę z własnej pracy nad wykopaliskami w Rumunii w ostatnich dwóch latach, nareszcie profesor i dy-

rektor Dr. Wegehaupt z Hamburga, pozdrawiając zjazd w imieniu hamburskiego Towarzystwa filologów.

Wysłano telegramy do cesarza niemieckiego, do Mommsena, ofiarując mu znakomicie wykonany portret jego w płaskorzeźbie z srebra i do prof. Bullego.

Prezes Sander uczcił wzmianką zmarłych członków Towarzystwa od czasu ostatniego zgromadzenia. Następnie odśpiewał chór trzy pieśni greckie w pierwotnym tekście według odnalezionych nut, a mianowicie ułamek z pierwszego śpiewu chóru *Orestesa* Eurypidowego, epigrammation Seikilosa i urywek z hymnu do Apollina. Śpiewu tego wysłuchali zgromadzeni z wytężoną ciekawością, jako jedynych dotychczas autentycznych pomników muzyki greckiej, pełnych prostoty a wzniosłości.

Gdy przebrzmiały wspaniale tony pieśni, rozpoczęły się właściwe prace zjazdu. Na ogólnem zgromadzeniu wystąpił z odczytem pierwszy Dr. Kraeger, docent z Zürichu, rodem z Bremy. Za temat obrał *Bremę w świetle literatury*, zaznaczając, że wprawdzie dawniejsze wzmianki o Bremie w piśmiennictwie są szczupłe, ale sięgają jeszcze XI wieku. Znani byli mieszkańcy Bremy, jako ludzie szorstcy, ale charakteru otwartego. W późniejszych czasach powstała legenda, że ojciec Robinsona Kruzoe z Bremy pochodził. Z wielkich poetów w literaturze niemieckiej interesował się Bremą Goethe, podnosząc szczególnie znaczenie jej portu i handlu. Niemniej wspominają o Bremie Schiller i Heine.

Drugi wykład miał Dr. Schuhardt z Hannoweru o germańsko-rzymskich badaniach w północno-zachodnich Niemczech. Dążnością prelegenta było wykazać, że uważane powszechnie za rzymskie, drogi, graniczne wały i forty, które przy wykopaliskach w tej części kraju wykryto, są przeważnie pochodzenia germańskiego, a tylko w małej liczbie samym Rzymianom mogą być przypisywane.

Po ukończeniu pierwszego ogólnego posiedzenia ukonstytuowały się sekcye, których ustanowiono jedenaście. Wymieniamy je w porządku, ogłoszonym w dzienniku zjazdu; były to mianowicie: filologiczna, pedagogiczna, archeologiczna, historyczna, historyczno-epigraficzna, germanistyczna, matematyczno-przyrodnicza, nowej filologii, oryentalna, indo-ger-

mańska i biblioteczna. Do każdej wpisała się dostateczna liczba członków, oprócz oryentalnej, której zaniechano, najliczniejsza była pedagogiczna.

Sekcye obradowały przez następne trzy dni od godziny 9-ej zrana, zwykle do 11-ej, każda w wyznaczonej dla siebie sali, częścią w gimnazyum, częścią w *Union*, klubie kupców bremeńskich, w Szkole realnej, handlowej i w miejskiej Bibliotece. W tych samych dniach od godziny 11-ej zwykle do 1-ej po posiedzeniach sekcyjnych odbywały się posiedzenia ogólne w cesarskiej sali Towarzystwa artystów, oraz w *Union*.

Odczytów wygłoszono na ogólnych posiedzeniach 10, na sekcyjnych koło 50. Mogę tylko zdać sprawę z ogólnych posiedzeń i z posiedzeń sekcyi pedagogicznej, w nich tylko bowiem mogłem osobiście brać udział.

Na posiedzeniach ogólnych, oprócz wspomnianych już poprzednio dwóch odczytów, przedstawił profesor berliński, Dr. Kehrbach, wynik prac Towarzystwa, zawiązanego celem badania historyi wychowania i szkolnictwa w Niemczech. Towarzystwo to wydaje *Monumenta Germaniae Paedagogica*, obejmujące wszelkie dzieła, tyczące się urządzeń szkolnych, dydaktyki i pedagogiczne *Miscellanea*. Jakkolwiek pierwszy plan wydawnictwa powstał dopiero w r. 1883, a więc przed 16 laty, to jednak ukazało się już dotąd 19 wielkich tomów, obejmujących nader zajmujące źródła do dziejów wychowania w Niemczech. Z początku rządy mało przedsięwzięcie popierały, sprawę jednak ujęło w ręce wielu ludzi dobrej woli i zaopiekowały się nią zjazdy filologiczne i pedagogiczne. Koszta wydawnictwa są bardzo wielkie, tak, iż przez pewien czas powstała obawa, iż będzie się trzeba w działalności bardzo ograniczyć. Jednakowoż w ostatnich latach pospieszyło z pomocą pruskie ministerstwo oświaty, udzielając większej subwencyi, a od dwóch lat wyznaczała na wydawnictwa Towarzystwa rada państwa jednomyślnie po 30 000 marek rocznie, wstawiła tę samą kwotę na rok 1900 i jest nadzieja, że z czasem ją jeszcze powiększy. Jestto dowód, jak doskonale Niemcy pojmują doniosłe znaczenie dziejów wychowania dla postępu dzisiejszej edukacyi. Nie szczędzą dla tak ważnych celów pieniędzy—co prawda mogą sobie też

na to pozwolić. Obecnie Towarzystwo ustanowiło terrytoryalne grupy dla wyzyskania wszelkich archiwów, bibliotek i t. d.; grup takich teraz istnieje czternaście.

Z wdzięczności za tak wydatne poparcie prac Towarzystwa, uchwalił zjazd jednomyślnie wysłać podziękowanie do niemieckiej Rady państwa.

Z kolei odczytał prof. Wendt z Hamburga swoją rozprawę p. t. *Nowe drogi w nauce nowszych języków*, której celem było wykazać, że najnowsze plany nauki w Niemczech w nauce języków nowożytnych za wiele ustępstw uczyniły metodzie gramatycznej. Prelegent wystąpił przeciw wymaganiom t. zw. *exercitium*, czyli przekładu z ojczystego języka na obcy, jako ostatecznego celu nauki języków obcych, a żąda natomiast wolnej pracy. Cel musi być praktyczny, chociaż idealnemu wynikowi nie przeciwny.

Szerokim poglądem odznaczał się odczyt dyrektora z Brunszwiku, J. Wernickego, p. t. *Gospodarstwo wszechświatowe i narodowe wychowanie.* Dziś, przez rozległe środki komunikacyjne i nadzwyczajne ułatwienie wzajemnej wymiany myśli, ludy całego świata coraz więcej się z sobą łączą i jeden na drugi stanowczy wpływ wywiera. Mimo to wszelako, postęp gospodarstwa wszeświatowego wzmacnia poczucie narodowe, a wiele do tego się przyczynia rozwój historyczno-filologicznych umiejętności, które ideały przeszłości rozbierają i pobudzają do życia siły narodowe. Wychowanie narodowe zostaje w ostrem przeciwieństwie nietylko do kosmopolitycznego humanizmu, ale także do narodowego szowinizmu. Celem jego pierwszym jest narodowy humanizm, t. j. humanizm, który to, co jest ogólno-ludzkie, odzwierciedla na gruncie narodu. Jako drugą dążność wychowania narodowego należy uważać przypomnienie i uprzytomnienie dawnych ideałów narodu, wobec nowych jego zadań. Trzecią cechą jego powinna być zasada, ażeby nie przeceniać swojego postępu i nie lekceważyć i nie obniżać zdobyczy obcych. Ztąd wnioskował dalej prelegent, że każdy naród powinien u siebie, korzystając z wszelkich obcych doświadczeń, rozwijać rozmaite szkoły zawodowe wszelkich stopni i gatunków. Zarazem jednak mimo to powinien strzedz własnych szkół ogólnie kształcących i dbać o ich swobodny postęp

według celów im samym wytkniętych. Zdaniem prelegenta wszystkie ogólnie kształcące szkoły powinny mieć równe uprawnienia, a uniwersytety na filozoficznych wydziałach mają obowiązek obok pielęgnowania umiejętności, także troszczyć się o wyrobienie przyszłych nauczycieli.

Trzecie ogólne posiedzenie poświęcono wyłącznie referatom o studyach archeologicznych. Ponieważ wykłady wymagały demonstracyi za pomocą scyoptykonu, przeto zebrano się zamiast w sali Towarzystwa artystów, w klubie *Union*, gdzie sala dała się zupełnie zaciemnić. Pierwszy zdał sprawę prof. Loeschke z Bonn z działalności Archeologicznego Instytutu w Berlinie, zawiadamiając, że wydano w wielkim formacie, a zatem także i dla użytku szkół, nagrobek Hegesona, sarkofag z Sydonu i statuę Augusta. Docent uniwersytetu monachijskiego, Dr. H. Bulle, mówił o słynnym Faunie Barberini, stwierdzając, że pierwotnie rzeźba ta była umieszczona w ogrodach Domicyi i Nerona, że pochodzi z III wieku przed Chrystusem, prawdopodobnie ze szkoły aleksandryjskiej, a najlepiej może uzupełniona została przez pannę Petersen ze Schleswigu.

Nader zajmującym był odczyt prof. Dr. Teodora Schreibera, dyrektora miejskiego Muzeum sztuki plastycznej w Lipsku, p. t. *Najnowsze zdobycze aleksandryjskich badań*. Rzecz tyczyła się wykopalisk, w Aleksandryi dokonanych, o których jeszcze przed kilku laty mało co było wiadomem. Pierwszy początek dla Muzeum wykopalisk dał Włoch, Józef Botti, praca jednak nad zbiorami doznała przerwy z powodu braku środków materyalnych. Tych dostarczył niedawno fabrykant z Stuttgardu, Ernest Sieglin, badań podjął się najpierw prof. Noack, a w ostatnich czasach prowadził je dalej prelegent sam. Mimo znacznych trudności przy rozkopywaniu gruntu z powodu zabudowania miasta i nasypów, udało się jednak dotychczas kilka interesujących odkryć poczynić. Stwierdzono mianowicie, że śladów założenia miasta przez Aleksandra W. wcale niema. Natomiast uwydatniły się trzy warstwy rozwoju sztuki w Aleksandryi: pierwsza, najdawniejsza, świadcząca o wprowadzeniu stylu attyckiego, sykyońskiego i pergamejsko-rodyjskiego, druga z czasów Augusta, przedstawiająca idealny styl specyalny aleksandryjski szczególnie w glip-

tyce i toreutyce; nareszcie trzecia z czasów, zdaje się, Hadryana, dowodząca upadku sztuki, gdy rzeźba naśladowała zwykłą powszednią rzeczywistość, przejęła tradycye egipskie i dążąc do komiczności, lubowała się w obrazach żartobliwych i nieprzyzwoitych obscoenach.

Czwarty z rzędu prelegent, prof. Dr. Zimmerer z Monachium, który w r. 1896 odbył podróż przez Syryę i Azyę Mniejszą, powołał się na wyniki badań swoich, przedstawione w dziele p. t. *Durch Syrien und Kleinasien*, wydanem w r. 1899. Chcąc zaś pokazać, jakie korzyści szkoła odnieść może ze zdobyczy naukowych podróży, przedstawił za pomocą latarni czarnoksięzkiej szereg widoków kolorowanych, wykonanych przez zakład artystyczny „Photocol“ w Monachium.

Ostatnie ogólne posiedzenie odbyło się znowu w sali cesarskiej Towarzystwa artystów. Treść odczytów wypadla mniej zajmująco. Jeszcze ogólniejsze znaczenie miał wykład Schneidra, dyrektora z Friedebergu, który gorąco przemawiał za wprowadzeniem jednolitej pisowni w całych Niemczech, na podstawie używanej już ortografii szkolnej. Mimo ostrego wystąpienia germanistów przeciw wnioskowi, wielką jednak większością głosów przeszła uchwała, ażeby unormowanie ortografii polecić kanclerzowi państwa i prezydentom rządów. Na tak energiczny krok zdobywają się Niemcy w sprawie ujednostajnienia swojej pisowni. O podobnem usiłowaniu u nas dla polskiego języka mowy niema, a przydałoby się także raz koniec położyć wielkiemu bałamuctwu, jakie i w naszej pisowni nietylko w trzech zaborach, ale nawet w samej Galicyi panuje.

Bałamutnym i niejasnym był ostatni odczyt prof. Dr. Linckego z Jeny p. t. *Prorocy i filozofowie*, wywodzący pewne analogie między prorokami Izraelitów a filozofami greckimi. Nie wywołał też ogólniejszego zajęcia.

Na końcu posiedzenia przewodniczący wszystkich sekcyj zdali sprawę z czynności każdej sekcyi, wymieniając tytuły odczytów i wspominając o dyskusyi, poczem uchwalono, że następny, 46-ty zjazd, ma się odbyć za dwa lata w Strassburgu.

Zamykając zjazd czterdziesty piąty, przemówił w imieniu prezydyum prof. Wagener, stwierdzając, że filologia klassyczna, jako umiejętność, ma jeszcze przed sobą żywotne liczne zadania, niemniej jak inne umiejętności na zjeździe reprezentowane. Wyrażał też pewną nadzieję, że wbrew tym, którzy pragną filologię wyrugować z gimnazyum, jeszcze ona jednak długi czas się utrzyma. Nareszcie zawiadomił, że księgarnia Weidmana ofiarowała właśnie 1.000 marek na nagrodę za pracę jakąkolwiek poważniejszą z zakresu filologii klassycznej.

Urządzającym zjazd i prezydentom podziękował wymownie i gorąco prof. Loeschke z Bonn, podnosząc, że zjazd udał się znakomicie i pozostawi w pamięci uczestników nader korzystne wrażenie.

Gdybyśmy chcieli dać należyte wyobrażenie o istotnej naukowej wartości zjazdu, musielibyśmy przejść za koleją wszystkie odczyty dziesięciu sekcyj i streścić dyskusye po nich odbyte. Jednemu uczestnikowi uczynić to nie podobna, musialaby to być praca zbiorowa. Zresztą ktoby był ciekawy, będzie mógł zapewne wkrótce autentyczne sprawozdanie z całego przebiegu zjazdu z wszystkiemi szczegółami przejrzeć, skoro komitet urządzający zjazd wyda w druku sprawozdanie. My tyle tu tylko możemy powiedzieć, że według ustnych relacyj członków różnych sekcyj, wszystkie odczyty odznaczały się poważnem naukowem opracowaniem i przynosiły nowe wyniki badań umiejętnych, a dyskusye, o ile czas na nie wystarczał, nie poruszały nic obojętnego i przyczyniały się bardzo stanowczo do wyświetlenia trudnych niejednokrotnie zagadnień.

Z ważniejszych spraw, mogących obchodzić naszych uczonych, wymieniamy odczyt dyrektora Dr. Rhodego z Cuxhaven o badaniu nazw miejsc, jako środka pomocniczego w badaniu dziejów, rzecz, którą u nas zajął się swojego czasu dzisiejszy profesor wszechnicy lwowskiej, Dr. Tadeusz Wojciechowski; odczyty: Dr. Reicha z Londynu p. t. *Osobistość i starożytne państwo*, prof. Bormanna z Wiednia *O początkach rzymskiego dziejopisarstwa*, prof. Dr. Lindnera z Rostoku p. t. *Stano-*

wisko nowszej filologii na uniwersytetach i jej stosunek do filologii klassycznej, prof. Dr. Brunsa z Kilonii *O attyckich teoryach miłości*, prof. Dr. Milchhöfera, także z Kilonii, *O Sokratesie*, prof. Dr. Duhna z Heidelbergu *O najnowszych wykopaliskach na rzymskiem Forum* i dyrektora Dr. Schuchhardta z Hannoweru *O najnowszych wykopaliskach w Pergamie.*

Dokładniejsze sprawozdanie przedstawić możemy z jednej tylko sekcyi pedagogicznej, a podejmujemy się tego tem chętniej, że zapewne nawet dla szerszej naszej publiczności nie będzie obojętnem, jak naród tak wysoko w cywilizacyi stojący, jakim są Niemcy, na wielkiem zebraniu pedagogów roztrząsa zagadnienia wychowawcze. Lepszej przyszłości naszego narodu spodziewamy się słusznie od przyszłych pokoleń, liczymy na coraz lepsze ich wychowanie, a pytanie, jak je obmyśleć należy, staje się przedmiotem troski najpoważniejszych obywateli. Wiedząc, jak inni wychowują swoje dzieci i jak je wychowywać pragną, może znajdziemy niejedną dla siebie pożyteczną wskazówkę.

Oczywiście nie wszystkie wykłady i w sekcyi pedagogicznej miały ogólniejsze znaczenie. Drobna n. p. była sprawa, poruszona przez jednego z dyrektorów, ażeby wprowadzić na nowo do szkolnej gramatyki greckiej liczbę podwójną, na razie z tych książek usuniętą. Większość zgodziła się na wniosek prelegenta, a między innymi krajowy inspektor szkół galicyjskich, p. Dworski, zwrócił słusznie uwagę, że dla słowiańskich ludów, zwłaszcza dla Polaków, dualis grecki nie przedstawia trudności, gdyż mamy jeszcze i w swoim języku szczątki tych form, w dawniejszych wiekach dosyć powszechnie używanych.

Teoretyczne znaczenie miał pięknie zresztą opracowany odczyt profesora berlińskiego, Dr. Lehmanna, p. t. *Czy pedagogika jest umiejętnością?* Lehmann zyskał sobie dobre imię przez znakomite dzieło o nauce języka niemieckiego, znane także i w kolach naszych pedagogów, dlatego odczytu jego słuchano z ciekawością. W wywodzie swoim starał się udowodnić, że pedagogice jeszcze dzisiaj nie można przyznać charakteru umiejętności. Teorya jej bowiem ma się opierać albo na etyce, albo na doświadczalnej psychologii. Tymcza-

sem etyka może oznaczać tylko cel wychowania, ale nie wskazywać toku postępowania. Zresztą umiejętności etyki niema (!). Co etyką nazywają, to jest tylko schematyzm, w który potrafił tchnąć życie genialny Herbart, zresztą w umiejętnym i praktycznym względzie bezpłodny. Również na psychologii umiejętność wychowania oprzeć się nie może, bo wszystkie dotychczasowe metody psychologiczne nie zdołają poznać i mierzyć uczuć i popędów, od których wychowanie niemniej zależy, niż od intellektualnego życia. Nauczyciel powinien spostrzeżenia czynić i doświadczenia zbierać, ale eksperymentem i mierzeniem nie dojdzie do umiejętnych, a tem mniej do praktycznych wyników. Wychowanie jest sztuką, więcej tu rozstrzyga poczucie i intuicya, niż rozumowe obliczenie i umiejętna wiedza. Szczególnie nauczanie potrzebuje doświadczenia i z doświadczenia wywiedzionej, przekazanej, a do wyuczenia się możebnej techniki. Doświadczenia zebrane w ciągu długich wieków przekazuje historya pedagogiki. Ta tworzy istotną i niezbędną część dziejów cywilizacyi i jako taka ma znaczenie umiejętne. Pedagogika zatem nie jest ani ścisłą, ani deduktywną umiejętnością. System jej ani w jednym, ani w drugim kierunku nie jest możebnym, ani pożądanym. Jest jednak po pierwsze teoretyczną wiedzą, po drugie nauką historyczną najwyższego znaczenia. Na podstawie tego rozumowania wskazał prelegent, że konsekwentne wykształcenie nauczycieli polegać powinno głównie na poznaniu techniki uczenia i na studyach dziejów edukacyi.

W dyskusyi przyznano prelegentowi słuszność tylko co do jednego punktu, że mianowicie po eksperymentach psychologii nie wiele się spodziewać można. Uwaga ta stosuje się bardzo dobrze i do nas, od czasu, kiedy i z naszych pedagogów niektórzy zaczynają na próbach doświadczalnych, dokonywanych na uczniach, budować jakieś nadzieje. Życie umysłowe jest zbyt skomplikowane, zbyt wiele jawnych i tajemnych czynników składa się na każdy niemal objaw duchowej czynności, aby można z eksperymentów, przynajmniej w sposób dotychczas przeprowadzanych, jakiekolwiek pewniejsze wnioski wyciągać.

O wszystkich innych przekonaniach Lehmanna wyrażali się wszyscy w dyskusyi udział biorący ze stanowczemi

wątpliwościami. Sąd, odmawiający wręcz pedagogice charakteru umiejętności, uznano jako idący za daleko, wychodząc, jak mniemam, z tego zapatrywania, że nie całkiem utwierdzonych i niezbitych podstaw, jakie pedagogice wytknąć można, znajduje się także niemało i w innych naukach, którym cech umiejętności nikt nie odmawia; w niejednej zasadnicze pojęcia, jak n. p. w fizyce pojęcie siły i materyi, są przyjęte, ale nie bezwarunkowo ugruntowane i pewne. W każdym razie broniono etyki jako umiejętności, wskazując n. p. na przekonanie to w nauce prawa; na etyce musi polegać pedagogika, a z jej teoryi musi się duch wychowania wywodzić; ona tylko może czuwać jako regulator nad praktyczną edukacyą. Że pedagogika w praktyce jest sztuką, to zdanie słuszne, ale nie należy jej zestawiać ze sztuką estetyczną, lecz raczej z medyczną, bo jak dla lekarza, tak i dla wychowawcy teorya umiejętności o wiele więcej służy jako kierowniczka w pracy praktycznej, podczas gdy malarz, muzyk, poeta więcej poczuciu i natchnieniu zawdzięczać mogą.

Lehmann mimo ostrej opozycyi chcąc przecież utrzymać się przy swojem mniemaniu, rzucił argument, że umiejętność ma rozwiązywać problemy, nie wykazał jednak, że ich nie rozwiązuje pedagogika. Również znowu twierdził, że etyki jako umiejętności niema, a istnieją tylko wrosłe w społeczeństwo przez historyczny rozwój zasady i idee etyczne

Żywotniejsze i z praktyką szkolną więcej związane sprawy poruszono w innych odczytach.

Dyrektor Muzeum sztuki w Hamburgu, Dr. Lichtwarck, obrał sobie jako przedmiot wykładu *Dzieje sztuki i pogląd na nią (Kunstgeschichte und Kunstanschauung)*. Z dumą, tak powszechną dzisiaj prawie wszystkim Niemcom przy każdym występie, czy to wobec obcych, czy wśród swoich, zaznaczył, że skoro Niemcy zdobyli sobie niezależność polityczną i gospodarczą, powinni dążyć dalej do usamowolnienia w zakresie sztuki Zdanie słuszne, ale możnaby odpowiedzieć, że nawet chociaż naród niema niezawisłości politycznej i w wielu innych kierunkach sam na sobie polegać nie może, to przecież pole sztuki własnej narodowej nie musi być dla niego zamkniętem, owszem, jak właśnie u nas tego najlepszy przykład, swoboda działalności rodzimej podnosi ducha i wyna-

gradza do pewnego stopnia, przykre i smutne inne stosunki.

Pomińmy jednak punkt wyjścia i stanowisko zajęte przez prelegenta, a skorzystajmy z dobrych wskazówek i nauk, jakie podaje dla wychowania w ogólności bez względu na to, jakiego narodu się tyczy.

Słuszne jest żądanie, aby w kształceniu zmysłu estetycznego szkoła współdziałała. Idzie tylko o to, w jaki sposób to ma praktycznie wykonywać. Doświadczenie poucza, że sama nauka rysunków nie wyrabia dostatecznie poczucia sztuki, próby wprowadzenia w plan szkolny nauki dziejów sztuki pozostają również bez skutku, ponieważ uczniom brak elementarnego przygotowania. Oko potrzebuje długiego i niezmordowanego ćwiczenia w pojmowaniu piękna w naturze i w sztuce, zanim zdoła wielkie dzieła artystyczne zrozumieć. Oczywiście nauki rysunków zaniedbywać ani lekceważyć nie można, ale obok nich wielką odgrywa rolę w wykształceniu zmysłu piękna przedmiot, na który dotychczas pod tym względem za mało zwracano uwagi. Jestto mianowicie historya naturalna. Piękności wiele mieści w sobie budowa rośliny i kwiatu w botanice, ale niemniej w zoologii najrozmaitsze postaci zwierząt i symetryczna budowa minerałów. Nie można powiedzieć, iżby dzisiaj nauka historyi naturalnej tę stronę zaniedbywała, ale może nie dosyć świadomie ją uwydatnia, nie dosyć ma poczucia, jak dalece do kształcenia zmysłu estetycznego może się przyczyniać.

Skoro się przystąpi do samych dzieł sztuki, to znowu przedewszystkiem należy zacząć od tego, co w każdym kraju, w każdej prowincyi i mieście jest najbliższe, inaczej n. p. w Monachium, inaczej w Hamburgu, dodajmy od siebie inaczej w Krakowie, we Lwowie, w Warszawie, w Poznaniu. Co jest na miejscu i pod ręką, to wprost można pokazać i liczyć na dłuższą obserwacyę każdego szczegółu. Potem zwrócić się należy do sztuki starożytnej i włoskiej, jako najcelniejszych w dziejach artyzmu, ale na pierwszy plan zawsze wysuwać sztukę rodzimą. Ojczystych mistrzów pendzla i dłuta powinien uczeń pokochać i oswoić się z ich dziełami tak, jak zna swoich poetów i muzyków. Do tego celu obok oryginałów, gdzie są, służą reprodukcye, rysunki i drzewo-

ryty, które chociażby w najprostszej postaci, ale za jak najniższą cenę, każdy uczeń mieć w ręku powinien.

Dr. Lichtwarck, chcąc pokazać, w jaki sposób oswajać młodzież należy z dziełami artystycznemi, zgromadził po odczycie kilkudziesięciu uczniów niższej sekundy szkoły realnej bremeńskiej i odbył z nimi lekcyę w obecności uczestników sekcyi pedagogicznej. Każdy uczeń otrzymał zeszyt z reprodukcyą kilkunastu obrazów *Życia Matki Boskiej* Dürera, a prelegent omawiał z nimi kilka z nich, pytając o szczegóły tak, iż uczniowie sami obrazy objaśnili. Dodaję, że reprodukcye te, chociaż proste, jednak bardzo dobrze przypominały oryginalne obrazy mistrza i chociaż w jednym zeszycie in 4-to było ich 16, przecież, ile sobie przypominam, kosztowały wszystkie razem w ładnej okładce tylko 50 fenigów, czyli na nasze pieniądze 30 centów.

Niewątpliwie najwięcej zajmująca była sprawa ustroju szkół średnich, względnie reformy ich, poruszona w dwóch odczytach i szczególnie w obszernej dyskusyi, przez nie wywołanej. Dla zrozumienia rzeczy musimy naprzód zaznaczyć, że tło, na którem odczyty i dyskusya się rozwinęły, jest odmiennem, niż nasze. Niemcy bowiem mają nieco inne rodzaje szkól i inne cokolwiek ich urządzenie. Oprócz naszych gimnazyów i szkół realnych, istnieją w Niemczech i to w dosyć znacznej ilości gimnazya realne, któreby można nazwać półklassycznemi, obejmujące w planach swoich obszerną i gruntowną naukę języka łacińskiego. Ale i same czyste gimnazya i realne szkoły jeszcze nie całkiem odpowiadają naszym średnim szkołom, tę samą nazwę noszącym. Przedewszystkiem bowiem są dziewięcioletnie, jak i gimnazyum realne również; nadto gimnazya klassyczne o wiele więcej uczą języków łacińskiego i greckiego i w tej nauce zawsze jeszcze więcej punktu ciężkości mają, natomiast mniej, niż u nas, zajmują się naukami przyrodniczemi. Obok dziewięcioletnich szkól realnych, mają Niemcy także realne sześcioletnie, a zatem jakby niezupełne.

Jakkolwiek w ogólnych zarysach wszystkie trzy wspomniane właśnie rodzaje szkół trzymają się stałej organizacyi, to jednak właściwie nienaruszoną formę od dłuższego czasu zachowują tylko szkoły realne. Inaczej rzecz się ma z gim-

nazyami i realnemi gimnazyami. Tu już od kilku lat zaczynają się próby reformy, chociaż tylko sporadyczne. Urządzono mianowicie próbę, naprzód w gimnazyum w Frankfurcie nad Menem, następnie w Altonie i jeszcze w innych miastach tego rodzaju, że w trzech pierwszych latach nie uczą języka łacińskiego, lecz francuskiego, łacinę zaczynają dopiero w czwartym roku, podobnież i język grecki później, niż w innych gimnazyach, a za to obydwom tym językom poświęcają nieco więcej czasu w klasach wyższych. Tak samo w niektórych realnych gimnazyach nauka języka łacińskiego zaczyna się nie od pierwszej klasy, jak zwykle, lecz dopiero na późniejszych stopniach. Gimnazya zaczynające łacinę później, nazywają się systemem frankfurckim albo gimnazyami zreformowanemi, realne gimnazya z później zaczynającą się łaciną gimnazyami realnemi zreformowanemi.

Taki jest dzisiejszy ustrój szkół średnich w Niemczech. Na razie stan ten jest początkiem niepewnej reformy i mieści w sobie zarzewie do walki między konserwatystami, którzy bronią dawniejszej organizacyi, osobliwie klassycznych gimnazyów, jeszcze w bardzo przeważnej części istniejących, a zwolennikami zmian, dokonywanych powoli w gimnazyach i realnych gimnazyach, zmierzających do zrównania wszystkich szkół średnich w pierwszych latach nauki. Zwolennicy zmian pragnęliby powolnemi reformami doprowadzić do jednolitej szkoły z wspólną podstawą w pierwszych latach nauki, a następnie rozdziałem w różnych kierunkach. W małej części są to postępowcy, dążący do usunięcia klassycznych studyów z średniej szkoły wychowawczej w ogóle.

Wyrazem tych dwóch przeciwnych obozów, chociaż w złagodzonej formie, były odczyty Schleego i Hornemanna.

Dr. Schlee, dyrektor realnego gimnazyum w Altonie, zatem w mieście, które jedno z pierwszych reformę gimnazyum wprowadziło, miał odczyt p. t. *Szkoła reformowana i nauka języków*. Odczyt był pełen umiarkowania, pod względem formy bardzo zręcznie opracowany i jasny. Schlee zaczął od tego, że walka obrońców starożytnej klassyczności przeciw zreformowanej szkole nie wydaje się uzasadnioną. Reformiści bowiem bynajmniej nie chcą obniżyć znaczenia starożytnych języków, pragną tylko uwolnić od nich tych,

którzy zysku z nich mieć nie chcą i odsunąć tych, którzy zysku z nich mieć nie mogą. Jeżeli się w zreformowanej szkole przesuwa na późniejsze lata naukę łaciny i greckiego, to tylko dlatego, ażeby jednych i drugich zbyt wcześnie do nich nie zniewalać, ale sama nauka tych języków nic przez to nie traci, bo jakkolwiek później rozpoczęta, przecież za to potęguje się w wyższych klasach. Ostateczne wyniki pracy zostają według dotychczasowych doświadczeń te same. Uczniowie zreformowanych realnych gimnazyów czytają z łatwością w końcu studyów Horacego i Tacyta. Podobnie jest w zreformowanem gimnazyum, tu zarówno z łaciną i z greckiem.

Przeciwnicy twierdzą, że jeżeli się łaciny nie uczy od pierwszego roku szkoły, to uczniowie nie wyrabiają się w kierunku logiczno-językowym. To jednak jest argument nie słuszny, bo ani łacina nie jest logiczniejszą od ojczystego języka, ani wiedza gramatyczna nie ugruntowuje logicznego wykształcenia, lecz tylko upewnia w rozumowaniu i używaniu języka. To też zreformowana szkoła kładzie silny nacisk na naukę gramatyki i żąda umiejętnego jej przeprowadzenia. Z łaciną da się to lepiej zrobić, jeżeli się ją zacznie dopiero później, ale nie zaraz w pierwszym roku szkolnym. Zrozumienie gramatyczne musi wychodzić od ojczystego języka, bo tu uczeń ma poczucie języka i intuicyjnie zna formy gramatyczne. Później dopiero należy zrozumienie to udoskonalić przez zastosowanie w obcych językach, a więc i w łacinie i w greckiem. Nowsze języki nie powinny starożytnych usuwać, ani zastąpić. Nowszych uczymy, aby je rozumieć i dobrze ich używać. Umiejętną podstawą wykształcenia mają być starożytne obok nauk przyrodniczo-matematycznych. Co się tyczy francuskiego, który w zreformowanej szkole jest pierwszym obcym językiem, to można go w najwyższych klasach usunąć, aby starożytnym więcej czasu zostawić.

Drugi odczyt p. t. *Myśli o istocie i organizacyi gimnazyum w naszych czasach* miał Hornemann, profesor z Hannoweru, treści następującej.

Najnowszy charakter ruchu za reformą szkól różni się tem od dawniejszych, że nauki przyrodnicze, a zwłaszcza antropologia w związku z społecznemi kwestyami zajęły się

sprawą szkolną i zagadnienie sposobu wychowania młodzieży chcą rozwiązać. To nowe stanowisko musimy uwzględnić, jeżeli chcemy istotne znaczenie i ustrój gimnazyów określić.

Niewątpliwie jako zadanie szkoły gimnazyalnej należy uważać przygotowanie do fachowych studyów umiejętnych takich, jak je na uniwersytecie pielęgnujemy. Ztąd wypływa wniosek, że gimnazyum nie może być oderwanie dla siebie pojętem, lecz stosować się musi do ogólnego dzisiejszego charakteru umiejętności i musi objąć i przerobić wszystkie składowe części ogólnej oświaty, w uniwersytecie przedstawionej.

Charakterem dzisiejszej umiejętności jest, że przez indukcyę, a przedewszystkiem na wskróś historycznie czyli genetycznie, wprowadza na obecny jej stopień i stanowisko. Z tego powodu też i gimnazyum ma obowiązek naukę przerabiać genetycznie, t. j. główne składniki ogólnego europejskiego wykształcenia, które w ciągu dziejów weszły i zrosły się z ojczystą cywilizacyą, w swój plan wprowadzić. Jeżeli się ten punkt widzenia uzna za słuszny, to ubolewać należy, że te pierwiastki oświaty, które integralną część jej tworzą, t. j. studyum starożytności klassycznej, a szczególnie greckiej, są dziś zagrożone. Wprawdzie klassyczna starożytność nie jest obecnie jedynie, ani nawet głównie, materyałem umiejętnego wstępnego wykształcenia, ale jest składnikiem koniecznym i trzeba naukę jej pogłębić i wzmocnić.

Ale gimnazyum ma nadto inne jeszcze zadanie, ma dokonać wyboru, w myśl dzisiejszej antropologii, jednostek ze społeczeństwa tych, które do najwyższych w zakresie zadań uniwersyteckich działalności są zdolne i odpowiednie. Przez egzamin dojrzałości odsuwa się nieodpowiednich do warstw kierowniczych, jednak tu pokazuje się (oczywiście w Niemczech), że mniej niż połowa tych, co rozpoczęli gimnazyum od pierwszego roku, do egzaminu dojrzałości dochodzi. Wybór przeto powinien się rozpoczynać od pierwszego roku nauki z należytą oględnością i świadomością. Najlepszym zaś środkiem do tego wyboru jest łacina od pierwszej klasy; także z greckiem nie należy się opóźniać, bo i ono razem z innemi przedmiotami jest takim samym dobrym środkiem probierczym.

Każda szkoła powinna dążyć do wybrania w swoim zakresie odpowiednich uczniów; to samo zadanie ma gimnazyum

i ono ma obowiązek utrzymać się w swoim charakterze wbrew wszelkim przeciwnikom.

Prelegent wskazał następnie w tezach, których już nie mógł omówić, z powodu braku czasu, kilka punktów, które uważał za stosowne, ażeby w jego duchu urządzić gimnazya. Przedewszystkiem sprzeciwił się wprowadzeniu systemu frankfurckiego, uznał za niestósowny egzamin po ukończeniu sześciu lat *(Abschlussprüfung* w Niemczech wprowadzony), przedstawił, że nauka łaciny oddziaływa korzystnie głównie w pierwszych i średnich klasach, greckiego w wyższych; dlatego nauki łaciny w najwyższej klasie można zaniechać; naukę należy uprościć, ale nie przez usunięcie materyału w zakresie oddzielnych przedmiotów, lecz przez usunięcie części przedmiotów, w najwyższej klasie należy uwzględnić specyalną skłonność ucznia do pewnych przedmiotów i koncentracyę nauki w tym kierunku u nich popierać; higieniczne warunki należy w szkole uwzględnić i lekarzy szkolnych ustanowić. Ogólny ustrój szkół należy do państwa, ale szczegółowe rozwinięcie do gron nauczycielskich, chociaż pod nadzorem państwa

Z powodu tych dwóch odczytów rozwinęła się obszerna dyskusya, w której udział wzięło kilkunastu członków sekcyi w obszernych przemówieniach. Nie ma powodu przemówień tych za porządkiem streszczać, chcemy podnieść tylko główne myśli dyskusyi.

Nie odezwał się żaden głos za usunięciem czy to łaciny czy greckiego ze szkół średnich wogóle. Nawet przeciwnicy dzisiejszego gimnazyum, uznawali wielką ważność obydwu przedmiotów dla ogólnego wykształcenia. Co do greckiego, jeden tylko i to prelegent Schlee, który kilka razy w dyskusyi głos zabierał, wyraził się, że z nauki tego języka wyniosły więcej korzyści jednostki, niż naród, więcej Schiller i Goethe, niż uczeni filologowie, więcej ci, co posągi i świątynie widzieli i studyowali, niż ci, co znają gramatykę. Mimo to jednak, przemawiał za tem, aby część młodzieży greckiego się uczyła, tylko dla masy uznał tę naukę za niepotrzebną. Odpowiedział mu na to profesor z Berlina, Schulze, iż wprawdzie nie da się zaprzeczyć, że i bez łaciny i greckiego można wiele wpłynąć na oświatę narodu, ale to niczego nie dowo-

dzi. Nie idzie bowiem o tych, co się wybiją, lecz o przeciętnych, jak ich najlepiej kształcić dla narodu. Dla nich obydwa te przedmioty są rozstrzygające i w gimnazyach w przeciwstawieniu do wszelkich szkół fachowych, do których i realna szkoła się liczy, powinny się w dzisiejszych rozmiarach utrzymać.

Najzaciętsza walka toczyła się między zwolennikami systemu frankfurckiego, a jego przeciwnikami. Pierwsi z praktycznego punktu widzenia dowodzili, że lepiej zaczynać naukę języka obcego od francuskiego, bo łatwiejszy, i że system frankfurcki, usuwając łacinę z pierwszych trzech klas, pozwala znacznej części młodzieży kończyć szkołę bez łaciny i greckiego. System ten uchyla konieczność rozstrzygania za wcześnie, w jakim kierunku uczeń ma się kształcić, a nauka łaciny i greckiego nic na tem nie traci, bo co jej się ujmuje przez opóźnienie początku, to się dodaje przez rozszerzenie i pogłębienie w klasach wyższych. Przeciwnicy utrzymywali, że początków łaciny uczą się uczniowie pierwszych klas łatwiej, chętniej i właściwiej, niż potem w latach dojrzalszych. I to, zdaje mi się, był argument najsilniejszy i jedyny. Jeżeli już młodzież ma się uczyć łaciny, to stosowniej zacząć ją w wieku, kiedy pamięć najsilniejsza chwyta trwale zasób słów i form gramatycznych i tworzy bezpieczną podstawę do nauki innych języków, aniżeli później, gdy pamięć słabnie i zatraca się poniekąd naiwność przyjmowania nauki, a zaczyna więcej rozumowanie. Jeden z mowców, poważny starzec, tajny radca Wendt z Karlsruhe, uderzył nawet w strunę patryotyczną, przypominając, że Niemcy od 200 lat odwracali się od francuzczyzny, nie godzi się zatem do niej dziś przy takiem podniesieniu Niemiec wracać. Argument to oczywiście był słaby i był też prawie żartem zbyty.

W sprawie poruszonej przez Hornemanna, że gimnazyum powinno stać się probierzem zdolności i wyłączyć powinno nienadających się do najwyższej warstwy intelligencyi, zajęli mowcy stanowisko odporne. Przestrzegali, że nie można jeszcze w gimnazyum osądzać, czy uczeń rzeczywiście do najwyższego wykształcenia nie doprowadzi. Jak z jednej strony nie zawsze można mieć zaufanie do przyszłości gimnazyalnych luminarzy, tak z drugiej wielu ze średnich

i słabszych wybije się wysoko w późniejszych latach i w życiu. Zresztą niekoniecznie łatwość uczenia się łaciny w pierwszych klasach ma rozstrzygać o ogólnych zdolnościach ucznia, tak samo może decydować język francuski i inne przedmioty.

W toku dyskusyi dotknięto nareszcie najwięcej zasadniczej kwestyi, t. j. kwestyi, jakie szkoły dla ogólnego średniego wykształcenia są najodpowiedniejsze, czy wszystkie te, które dzisiaj istnieją, czy tylko niektóre, czy wreszcie inne, któreby dopiero stworzyć należało. Najracyonalniejsze wydawały mi się wywody tych mowców, którzy wychodzili ze stanowiska historycznego. Przypuszczać bowiem należy, że to, co samo z biegiem czasu się stworzyło, jest wyrazem potrzeby i naturalnego rozwoju, a nie sztucznym wymysłem i nie arbitralnem zarządzeniem. Są to mianowicie szkoły, o których wyżej mówiliśmy; gimnazya, realne gimnazya i szkoły realne. Tymczasem i w tym względzie zupełnej zgodności nie osiągnięto. Znaleźli się tacy, którzy zaprzeczyli, jakoby owe trzy typy z historycznego rozwoju wynikły, utrzymując, że przypadkowi przypisać należy powstanie szkół realnych w przeszłym wieku, gdy się rozwinął ruch przeciw gimnazyom, a znowu gdy realne szkoły przybierały demokratyczny charakter, wtedy dopiero dodano do niektórych z nich łacinę i stworzono realne gimnazya. Opozycya ta jednak nie osłabiła stanowiska obrońców historycznego rozwoju, bo ostatecznie tak, czy owak, przecież stworzenie nowych szkół wynikło z niedostateczności i jednostronności dawniejszych.

Jednomyślnie uznano wartość klassycznych gimnazyów, przeczyć jej nie przyszło na myśl nawet tym, którzy przemawiali za systemem frankfurckim, ani tym, którzy otwarcie oświadczyli, że dawne przeciwieństwo między klassycznemi językami a ojczystym ustało i że uczniowie wżyć się powinni głównie w swoją ojczystą oświatę. Ci ostatni zastrzegli przynajmniej tyle, że idealnie trzeba zacząć i szukać poparcia od starożytnych, chociaż polityka szkolna każe nowym, a głównie ojczystemu, dać pierwszeństwo i że z tego względu w każdym razie kłaść nacisk należy na naukę ojczystej mowy i literatury.

Wielu mowców broniło zapatrywania, że gimnazyum swoich pierwotnych zadań i charakteru swojego, jako szkoła idealnie najogólniej kształcąca, strzedz i czystej swojej cechy pilnować powinno. Obok gimnazyum mają wielką, równorzędną wartość inne szkoły średnie, a czas i walka o byt pokaże, która z nich zwycięży; dziś istnieć obok siebie i rozwijać się w swoich planach i programach mogą wszystkie, a niema obawy, iżby młodzież, w tych różnych kierunkach wykształcona i wyrobiona, miała nie wejść kiedyś we wzajemne porozumienie. Odmiennie wykształceni, jeśli tylko dobrze byli prowadzeni, łatwo wzajemne braki uzupełnią i zbliżyć się do siebie w późniejszem życiu potrafią.

Przeciw jednolitej szkole w tem znaczeniu, ażeby cały wieloraki materyał wtłoczyć w jeden typ wspólny dla wszystkich, odzywały się energiczne protesty, i nawet nie przypuszczano, aby to było możebnem, jakkolwiek zgodnie prawie nawet w gimnazyach do niezbędnych przedmiotów oprócz klassycznej starożytności, ojczystego języka i historyi, zaliczano także matematykę i nauki przyrodnicze.

Charakterystycznem było końcowe przemówienie jednego z najwybitniejszych austryackich pedagogów, krajowego inspektora szkól średnich z Austryi Wyższej, dr. Loosa. Wysłuchawszy całej zaciętej walki o ustrój szkół, prowadzonej w tak poważnem zgromadzeniu podagogów zebranych z wszystkich stron Niemiec, wyraził Loos żartobliwie pewną tajemniczą radość, że w kraju tak wysoko w szkolnictwie stojącym, toczy się jeszcze dziś, tak zawzięty spór o ustroj szkół i ich rodzaje. W Austryi już przed pięćdziesięciu laty powiedziano sobie wyraźnie i stanowczo, że do wykształcenia młodzieży potrzebne są tylko dwa typy, jeden klassyczny z uwzględnieniem postępu wszelkich innych ważniejszych nauk, drugi przyrodniczo-nowoczesny. Ztąd powstało czyste gimnazyum, prawda, że nie tak jednostronnie filologiczne, jak w Niemczech, i szkoła realna, opierająca się na naukach przyrodniczych i nowszych językach. Te dwa typy wzięły górę; próba stworzenia realnego gimnazyum upadła. Zawdzięcza się zaś ten wynik stanowczemu i jasnemu rozdziałowi; ztąd w Austryi owego wojowania i wahania się co do wyboru, jaki dziś jeszcze jest w Niemczech, oddawna nie ma. W końcu

życzył mowca, ażeby i Niemcy w ten kierunek, który Austrya przedstawia, jak najrychlej weszły. Przemówienie to, przyjęte na zgromadzeniu nader sympatycznie, jest ważnem *memento* dla naszych galicyjskich radykalnych reformistów.

Przewodniczący sekcyi Kasten nie zarządził po tej dyskusyi żadnego głosowania, całkiem słusznie. Stwierdził tylko, że przy poruszeniu tak ważnej sprawy, jak ustrój szkół, można się było spodziewać walki, ale nikt nie może rościć nadziei rozstrzygnięcia, bo to tylko da się uskutecznić przez rozumną długą rozwagę i historyczny rozwój. Myśli wypowiedziane przyczynią się niewątpliwie do wyjaśnienia kwestyi i do wzajemnego porozumienia.

W seryi odczytów sekcyi pedagogicznej był tylko jeden wykład, tyczący się kształcenia nauczycieli szkół średnich. Miał go profesor dr. Baumann z Gettyngi, a dotknął nie techniki uczenia i wychowania, lecz przygotowawczych studyów fachowych w uniwersytecie. Szło mu o to, czy nie dałoby się w uniwersytetach na wydziałach filozoficznych, obok dzisiejszych umiejętnych wykładów, wprowadzić wykładów różnych działów „szkolnych umiejętności“ w wyczerpującej całości. Dziś wobec wolności wykładów na wydziałach filozoficznych w uniwersytetach niemieckich i austryackich, każdy profesor i docent może wybierać materyał do kursów swoich według specyalnych studyów, którym się poświęca w pewnym dziale umiejętności, tak, iż uczeń uniwersytecki może zdobyć w ciągu pracy uniwersyteckiej wiele bardzo cennych wiadomości, ale obok tego może nie poznać systemu umiejętności, której się oddaje czyli całej jej encyklopedyi. Wszystkie umiejętności a osobliwie przyrodnicze, n. p. chemia, przybrały obecnie na najwyższym szczeblu takie rozmiary, że żaden sumienny profesor całości z prawdziwie naukową metodą objąć nie zdoła; jeżeli jednak idzie o potrzeby nauczycieli szkół średnich, to muszą oni poznać o wiele większy i prawie zupełny zakres swojego działu i przynajmniej powinni ogólne pojęcie o nim zdobyć.

Gdzie profesorów jest wielu, dałoby się prawdopodobnie niektórych pozyskać do wykładów, wyczerpujących w ciągu czterolecia całą umiejętność. Ci profesorowie musieliby według Baumanna stać na równi z wszystkimi innymi profeso-

rami. Mniejsze uniwersytety musiałyby odpowiednie wnioski przedstawić.

Dodajmy od siebie, że jakkolwiek pożądanąby była taka reforma uniwersytetów, to jednak w prostszy i łatwiejszy sposób mógłby być cel osiągnięty, gdyby w każdej umiejętności podjął się któryś z profesorów co roku przynajmniej w jednem półroczu wyłożyć encyklopedyę umiejętności. W takim razie słuchacze, mając ogólne pojęcie o całości, mogliby w pewnej części z odpowiednich podręczników, czego w wykładach nie słyszeli, studyami uzupełnić.

Obok poważnych odczytów i dyskusyi nie brakło w ciągu całego trwania zjazdu rozmaitych przyjemności i rozrywek. Dla gości przybywających do miasta, urządzono w przeddzień otwarcia posiedzeń, biuro wywiadowcze na dworcu kolei. Każdy gość otrzymywał tu wskazówkę, gdzie dla niego mieszkanie, czy to w hotelu, czy w prywatnym domu wyznaczono, a dodajmy, że ceny mieszkań były wcale umiarkowane. Każdy otrzymywał obok programu zjazdu i rozrywek, nadto *Przewodnik po Bremie* z planem miasta, illustrowany i obejmujący oprócz dziejów tegoż, także opis wszystkich jego osobliwości, barwny, zwięzły i jasny, w ostatniej zaś części przedstawienie działalności północno-niemieckiego *Lloyda*.

Każdego dnia wydawano osobny dziennik, zapowiadający program czynności dnia następnego i dalszych i podający bliższe wskazówki, co do zwiedzania muzeów, szkół, bibliotek i t. d, które dla uczestników zjazdu były przez cały czas trwania zjazdu otwarte.

Zaraz po pierwszem ogólnem posiedzeniu, które trwało do godziny 12-ej. w południe, oprowadzali gości po mieście profesorowie miejscowych szkół, objaśniając z wielką uprzejmością wszystko, co było godne widzenia.

Wieczorem tego samego dnia udali się prawie wszyscy uczestnicy zjazdu do pobliskiego miasta Weserlust na zaproszenie obywateli tegoż, ażeby w swobodnej pogadance i przy sutem ugoszczeniu kilka godzin przepędzić.

Drugiego dnia popołudniu była uczta, wśród której odśpiewano chórem, według zwyczaju niemieckiego, kilka we-

sołych *ad hoc* ułożonych pieśni i wypowiedziano szereg pięknych toastów; między innemi jeden po łacinie, wygłosił z wielkim humorem na cześć prezydyum, pastor bremeński Thikölter.

Wspaniale było przyjęcie w trzecim dniu zjazdu w słynnej piwnicy ratuszowej, urządzone przez senat bremeński. Piwnicę tę lubi odwiedzać za każdym pobytem w Bremie teraźniejszy cesarz niemiecki. Raczono winem z r. 1896 i z r. 1889 i najwybredniejszemi potrawami na zimno. Przed zebraniem w piwnicy ratuszowej, odbyła się wycieczka parowcem na Wezerze do Vegesack, okolicznego miasteczka, które gości także chciało powitać. W czwartym dniu gościło uczonych nadbrzeżne miasto Bremerhaven. Nadto dla uprzyjemnienia pobytu służyły przedstawienia w teatrze miejskim, a w teatrze Tivoli znakomity koncert kapeli marynarskiej, złożony z celnych utworów Beethovena, Wagnera, Mozarta i innych mistrzów muzyki.

Może jednak najświetniejszą rozrywkę, szczególnie dla nieznających morza, sprawiło Towarzystwo północnego *Lloyda* niemieckiego, zapraszając wszystkich uczestników na większą wycieczkę morską w dniu 30 września po ukończeniu obrad. Wielki okręt, jeden z najnowszych „München“, urządzony z wielkim komfortem, wypłynął z gośćmi z Bremerhavem koło godziny 10-ej. przedpołudniem i okrążywszy Helgoland, wrócił na miejsce po 7-ej. wieczorem, tak iż pobyt na morzu trwał koło dziewięciu godzin. Szczęśliwym trafem dzień był pogodny, mimo dosyć silnego wiatru. Swoboda na okręcie panowała zupełna, humor niezrównany, zwłaszcza, że przygrywała kapela i ugoszczenie było wytworne i sute.

We wszystkich rozrywkach a częściowo i w posiedzeniach brały udział żony i rodziny tych członków, którzy z najbliższych okolic przybyli.

Na pamiątkę dla wszystkich uczestników ofiarowano przeszło 20 rozmaitych wydawnictw, obejmujących nowe prace naukowe z różnych działów. Między innemi sami nauczyciele bremeńscy złożyli w darze zbiorową książkę pamiątkową, zawierającą cenne rozprawy z zakresu filologii, starożytności i nauk przyrodniczych.

Dr. Leon Kulczyński.

Kronika literacka.

— *Abrys domowey nieszczęśliwości y wnętrzney niesnaski woyny Korony Polskiey y Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Pro Informatione potomnym następującym czasom — przez iedną Zakonną Osobę światu pokazany y z żałością wyrażony Anno 1721.* Wydał z rękopisu Franciszek Xawery Kluczycki (Kraków, 1899. Nakładem Stanisława Kluczyckiego. Str. XXIII i 105 in folio).—Niezmordowany pracownik, który pochwyciwszy pióro wypadające z rąk A. Z. Helcla, podał nam w trzech wielkich tomach skarby dokumentów z czasów Jana III, oraz piękny opis wypraw wiedeńskiej i żórawińskiej, sięgnął następnie i w nieco późniejsze czasy, w ciemne dnie bezkrólewia i Augusta II, kędy nad Rzpltą ozwały się pierwsze gromy zwiastujące bliski upadek. Przed kilku laty p. Fr. Kluczycki opowiadał nam już, iż grzebie w papierach współczesnego im podkanclerzego w. lit. Szczuki i mnóstwo w nich znajduje ciekawych szczegółów. Obecnie zaś wydaje pamiętniki, a raczej rodzaj kroniki, opisującej wypadki polityczne, zaszłe między sejmem konwokacyjnym r. 1696 ar. 1712, z pobieżną wzmianką o faktach z lat późniejszych do r. 1621. Imię autora zapisała na tytułowej karcie rękopisu obca jakaś ręka, która również poczyniła niektóre drobne sprostowania w tekście. Ztąd wiemy, iż ową „jedną Osobą Zakonną“ był P. Ojciec Jan Oleszewski Consultor Zakonu św. Bazylego W. Mieszkał on zrazu jako wikary w Wilnie, następnie w Borunach, potem jako przełożony w Mińsku, a pisał dla swojej młodszej braci zakonnej; nie dziw więc, że opowiadanie jego największy kładzie nacisk na rzeczy, dotyczące Kościoła unickiego. Nie dziw także, że z głębi prowincyonalnego klasztoru nie mógł mieć dokładnego poglądu na całość społecznych dziejów, ani zwłaszcza wśród wiru waśni domowych, rozeznać początkowego onychże motora: konfliktu austryackiego i francuskiego stronnictwa. Nie jestto więc „opracowanie“, ale bardzo cenny historyczny materyał, promień światła rzucony w czarny zakątek pełen nędzy i krwi — prawdziwy „Abrys nieszczęśliwości“. X. Oleszewski

wydaje się światłym i rozumnym człowiekiem, niezachwianym w katolickiej wierności, nadto dziwnie bezstronnym w sądach, przyznającym choćby najgorszemu wrogowi każdy chwalebny uczynek. Miejscami, ale rzadko, jest nieco niejasnym, parę kroć powtarza się lub przestawia daty; wogóle jednak wydawca mało mu bardzo pomyłek zarzucił.

Zaczyna swe opowiadanie, jak mówiliśmy, od sejmu konwokacyjnego z r. 1696, a raczej od uchwalonej na tym sejmie koekwacyi t. j. zrównania niektórych praw litewskich z prawami istniejącemi w Koronie. Uchwałę tę wymogła partya francuska przeciwko sapieżyńskiemu domowi. Niektóre jej punkta, jak n. p. wyznaczenie na konsystencye wojska litewskiego miejsc stałych, kędyby się utrzymywało za gotowy grosz, jak to Jan III zarządził był dla wojsk koronnych, były bez wątpienia zbawienne. Były jednak wynikiem nie bezstronnej pieczy o dobro ogółu, ale gwałtownego, przez francuskie wpływy podsycanego sporu między biskupem wileńskim, Konstantym Brzostowskim, a hetmanem w. lit. Kazimierzem Sapiehą o szkody, jakie chorągwie litewskie w duchownych dobrach czyniły. Drugi punkt wymierzonym był przeciw bratu hetmana, Benedyktowi Sapieże, podskarbiemu w. lit. oskarżonemu o używanie pieniędzy skarbowych na cele swego stronnictwa; stanowił on, iż odtąd podatki, przeznaczone na zapłatę wojska, będą wpływać nie już do centralnego rządu t. j. do skarbu, a ztąd do hetmana, ale do władz autonomicznych t. j. wojewódzkich i powiatowych. Tam również pułki i chorągwie miały się zgłaszać po odbiór swej płacy. Trzeci punkt nadawał grodom i trybunałom prawo ferowania dekretów bannicyi, o które dawniej powyższe sądy musiały udawać się do kanclerza i podkomorzego w., czwarty zabraniał używania języka ruskiego w aktach publicznych W. Księstwa Litwy. Równocześnie (znowu za staraniem partyi francuskiej) utworzył się w wojsku litewskiem pod kierunkiem Hrehorego Ogińskiego i Pociejów związek, zwrócony przeciw hetmanowi w., który mając część Litwy za sobą, o koekwacyi ani o żadnem zmniejszeniu swej władzy słyszeć nawet nie chciał. Związek na razie został uspokojony, gdy jednak w następującym roku sejm koronacyjny koekwacyę zatwierdził, a ku wprowadzeniu jej w czyn ustanowiony został trybunał w Wilnie, szlachta pod wodzą wrogów sapieżyńskich stanęła nań *viritim* i w tak groźnej postawie, że hetman ujrzał się zmuszonym umknąć do Grodna po assystencyę swych hufców. Był to początek wojny domowej. Ogiński nie już ze szlachtą, ale z zaciągowemi chorągwiami powiatowemi zmierzył się z siłami Sapiehów i poniósł porażkę. Za to jednak gdy (r. 1698) hetman wyruszył z królem Augustem II na wyprawę w stronę Kamieńca, zastał za powrotem „passy“ przez wrogów swych obsadzone i pochód swój wstrzymany. Z nieobecności jego skorzystali byli na zorganizowanie opozycyi. Na ra-

dzie, zebranej po dwóch posłów z każdego województwa, uchwalono przeciw Sapiehom pospolite ruszenie, mianując w niem z tytułem pułkownika, najwyższego wodza równie jak i rotmistrzów, istny rząd w rządzie. Przy opowieści dalszych dziejów tej nieszczęsnej wojny uderza przez dłuższy czas pod piórem Ojca Konsultora absolutne milczenie o królu: zda się jakoby najwyższy wódz narodu nie wiedział, iż hetman w. z synami, z regularnem wojskiem i pomocą stronników walczy przeciw t. zw. Rzpltej szlacheckiej, opartej na powiatowych zaciągach i stającej rzekomo w obronie uchwalonych praw, a w istocie dążącej jedynie do zrzucenia powagi wszechpotężnego domu. Dziwna rzecz, że potęga Radziwiłłów, równie wielka a może do niedawna większa jeszcze na Litwie, nigdy przeciwko sobie takiej nie wzbudziła niechęci; wielu z niej miało zazdrosnych, ale mało wrogów. Podobnie po Radziwiłłach było z Pacami; jedni i drudzy byli nieraz niebezpieczni tronowi, ale o zbrojnem zwalczaniu ich przez szlachtę nigdzie nie słychać. Dopiero gdy Sobieski dla szachowania Paców podniósł Sapiehów do najwyższych godności, a Sapiehowie mimo to pozostali na stanowisku zupełnie niezależnem, nawet wrogiem względem polityki królewskiej, poczęły przeciw nim — strojąc się w pozory wierności dla króla — podnosić się zawistne głosy. Że Sapiehowie wówczas zawinili wiele, to prawda; zawinili niestawieniem się aż *post festum* z wojskiem litewskiem na wyprawę wiedeńską, zawinili bezwzględną i niemal bezmyślną opornością przeciw królowi, wiązaniem się z obcemi rządami, a wreszcie dopuszczaniem swawoli żołnierskiej po włościach prywatnych. W tych czasach jednak nie oni jedni podobnie grzeszyli, a na swawolę żołnierzy uskarżano się od lat stu; toż sam Chodkiewicz zniecierpliwiony krzykami szlachty o przechody wojska mówił, iż „chcianoby chyba, aby żołnierze po powietrzu latali“. W kilkanaście lat potem kanclerz w. lit. Stanisław Albrecht Radziwiłł żali się w Pamiętnikach, iż mu chorąży kor. Koniecpolski z 18-ma chorągwiami obsiadł Ołykę i objadł ją do szczętu. Dość przypomnieć pamiętniki Paska, mówiącego o żołnierskich gwałtach, jako o rzeczy zwyczajnej... Musiały więc w oburzeniu szlachty litewskiej przeciwko Sapiehom działać obok słusznego żalu jakieś czynniki inne, których autor *Abrysu* nie wymienia, widząc tylko w nadużyciach jednych a zazdrosnej chciwości drugich wszystkiego złego przyczynę. Opowiada, jak hetman Sapieha mniemając, że napotkał w Wilnie karetę wojew. Kociella (X. Oleszewski pisze wszędzie „Kotla“) napadł ją i strzałami z rusznic dwóch książąt Wiśniowieckich poraził, jak poznawszy pomyłkę, śmiertelnie rannego ks. Janusza powiózł do siebie, na własnem łóżku położył i tam pielęgnował usilnie, aż gdy po pół roku mniemał, że już wszystko złe naprawił, obaj Wiśniowieccy wymknęli się cicho i przystali do jego wrogów. Opowiada, jak przeciwnicy strasznie pustoszyli Sapieżyńskie dobra

ku rozpaczy stronników jego i chłopów, jak odsądziwszy samowolnie Sapiehów od tychże dóbr i urzędów wodzowie Rzpltej szlacheckiej, Ogińscy, Kociełł, Wiśniowieccy, Kryszpinowie i inni zajęte majętności pomiędzy sobą dzielili, jak rozbiwszy wojsko hetmańskie pod Olkienikami i dozwoliwszy motłochowi zamordować poddanego na parol hetmańskiego syna, koniuszego w. lit., obrali sobie naczelnym wodzem Michała Wiśniowieckiego, a zwyciężonych Sapiehów zmusili do ucieczki w ziemie koronne, kędy ich Lubomirscy jakoby braci przyjęli.

Wszystko to bardzo wielu ludziom na Litwie otwarło oczy; poznali, że jeżeli przewaga Sapiehów była ciężką, to z drugiej strony ręką ich wrogów nie kierowała miłość Rzpltej, a koekwacya nie była wartą wylanej krwi i zniszczenia. Toż prawo dekretów bannicyi, udzielone trybunałom i grodom, nowy tylko zamęt wprowadziło w stosunki sądowe, a żołnierz szlachecki gorzej od hetmańskiego broił po wsiach i miasteczkach. Dobra duchowne zwłaszcza więcej od tych rzekomych obrońców cierpiały, i to pomimo osobnych danin, czopowego i szelężnego, które na nich płacić musiano. Pomiędzy tedy partyą sapieżyńską a partyą Rzpltej utworzyła się trzecia, partya ludzi neutralnych, tem pożądańsza obecnie dla kraju, że przychodziło myśleć o walce przeciw zewnętrznemu wrogowi. W porozumieniu z carem Piotrem, król August wdał się „nierozsądnie“ w wojnę z królem szwedzkim. Z wiosną r. 1700 począł oblegać Rygę; w jesieni oblężenie opuścił i przezimował w Kurlandyi, a choć tymczasem sprzymierzeńcy jego, Moskale, srogą klęskę ponieśli pod Narwią (autor nazywa tę bitwę „pod Rewlem“), powrócił znów do dzieła na następną wiosnę i dopiero sam znacznej doznawszy porażki, od zamiaru odstąpił. Szwed zajął Inflanty i Kurlandyę, a król na pocieszenie zaczął pod pressyą panów koronnych pracować nad zaprowadzeniem zgody na Litwie. Istotnie dnia 16 lutego 1702 r. przyszło do układu, mocą którego Sapiehowie odzyskiwali godności i mienie, a przeciwnicy zyskali zatwierdzenie koekwacyi, oraz amnestyę. Z tej wykluczonymi i zapozwanymi przed sąd sejmowy byli tylko sprawcy morderstwa koniuszego lit. Ci jednak, co się w sumieniu czuli być winnymi, a przedewszystkiem Ogiński, przelękli się wyroku i rozesłali manifesty, protestując przeciw traktatom. Podkanclerzy Szczuka, prezydujący układom, przerwał sesye ze łzami — wojna domowa rozgorzała na nowo. Nie dość na tem. Ogiński z kilku tysiącami wojska poszedł ulokować się na pograniczu pruskiem w dobrach sapieżyńskich, Szkudach i Kretyndze, gdzie wdawszy się wkrótce w utarczki z poblizkiemi hufcami szwedzkiemi, pociągnął je za sobą na Żmudź i na Litwę; tego roku już Szwed przezimował pod Kownem.

Był to jednak dopiero początek „nieszczęśliwości“. Ogiński z dywizyą swoją schronił się do Brasławia, a Michał Wi-

śniowiecki, od niedawna hetman polny lit., napróżno ucierając się ze Szwedem, nie zdołał obronić Wilna, które dnia 25 marca (st. st.) 1702 r. zajętem zostało. I wraz rozpoczął się dla miasta ucisk nieznośny, wymagania gospód i prowiantów, a po nieudanej (16 kwietnia n. st.) próbie odsieczy przez strażnika w. lit Pocieja, nałożenie kontrybucyi 200.000 talarów bitych. Że zaś tych wypłacić nie było podobna, uwięziono magistrat i inne władze miejskie, oraz po dwóch zakonników z każdego klasztoru (wśród nich samego autora) i trzymano ich w zaduchu okropnym, wespół z psującym się trupem jakiegoś kawalera szwedzkiego, zabitego podczas napadu Pocieja, aż wreszcie otaksowawszy się, zapłacili z miasta i klasztorów łącznie 22.000 talarów. W kilka dni potem zjechał do Wilna hetman w. Sapieha, wolno wpuszczony przez Szwedów i zdala już przez wielu ze szlachty witany. Zauważono, iż pomimo, że miał przy sobie świeżo odzianą chorągiew dragońską, jenerał szwedzki Merner otoczył go w pałacu strażą; przypuszczano przecież, że to Szwedzi dla niedowierzania czynili. Wkrótce jednak ujrzano w. hetmana asystującego przy ogólnym przeglądzie wojska najezdniczego, ujrzano jego manifest, zwalający winę na przeciwników, jeśli „mu przyjdzie udać się do innych takich środków dla obrony zdrowia i fortun swoich". Czem były te „inne środki", łatwo było zrozumieć. Równocześnie atoli Sapieha wysłał za pomocą poważnego poselstwa wezwanie do Wiśniowieckiego, aby uznał jego władzę, jako w. hetmana. Pierwsza odpowiedź była niesłuszna i drwiąca: zażądano, aby „dom sapieżyński, który Szwedów wprowadził do kraju" podobnie ich wyprowadził. Gdy jednak hetman zaprotestował, zmieniono ton, żądając tym razem poważnie, aby odstąpił od wroga; ale na to Sapieha się nie zgodził. Dnia 14 maja Szwedzi nowe wymusiwszy daniny, ruszyli z Wilna przeciw litewskiemu wojsku, a nazajutrz w. hetman lit. połączył się z nimi... Merner, dotarłszy do Brześcia Lit., podążył do Polski, gdzie spotkał się ze swym królem, Karolem XII.

Następne wypadki, jak n. p. rokosz wielkopolski, powodzenia Szwedów, zdobycie Torunia, pojmanie królewiczów, autor opowiada po krótce i po części z *Awizów*, jak to słusznie zauważa wydawca. Bardziej już rozszerza się nad usiłowaniami Sapiehów ku odzyskaniu zagarniętych włości; mówi, iż podniecali do „rebellii" poddanych, których kilka tysięcy wojsko litewskie wycięło w pień, iż uzbroiwszy silnie Bychów, bronili się w nim tak uporczywie, że nie mogąc go dostać ani szturmem ni głodem, przeciwnicy zaciągnęli kilkadziesiąt tysięcy Kozaków, której to potędze dopiero twierdza uległa. I nastąpiła znów grabież i szarpanie sapieżyńskich dzierżaw, „co wolno było każdemu pomagającemu do wojny: gdyż była takich wielka liczba, co drudzy i bez zaciągu na tę woynę, abo na łupiestwo iachali"... Wtedy już dom Sapiehów utracił nawet honory, król bowiem

zważywszy przystanie do wroga, rozdał je wszystkie; województwo wileńskie dostało się ks. Januszowi Wiśniowieckiemu, buława wielka ks. Michałowi, laska Wołłowiczowi, podskarbstwo Ludwikowi Pociejowi, strażnikowi w. lit. Nie słychać, aby co dostał Ogiński; co prawda piastował już starostwo żmudzkie, jedno z wielkich dostojeństw litewskich. Bito się wtedy i niszczono wzajemnie, a każda strona obce wojska wprowadzała do kraju. Lubomirscy, nie mając dość Szwedów na poparcie nowo obranego Stanisława Leszczyńskiego, sprowadzili sobie 10.000 luźnych Kozaków; król August, oprócz Sasów, wołał o pomoc do cara, który mu posłał także Kozaków i to kilkadziesiąt tysięcy pod hetmanem zaporoskim Mazepą. Najgorsze jednak przyszły na Litwę terminy, gdy wodzowie litewscy, zastraszeni zdobyciem Lwowa i zburzeniem Birż przez Szwedów, widząc przytem, że mnóstwo szlachty Sapiehom sekretnie sprzyja, wyprawili z pomiędzy siebie Ogińskiego do cara z prośbą o nowe posiłki, nie z obawy Karola XII, ale „aby znowu Sapiehowie nie osiągnęli Księstwa Litewskiego“. Nadciągnęli tedy jesienią Moskale w przeszło 60.000 i obsiedli głównie województwo wileńskie, nie rabując wprawdzie ani paląc, ale niewymownie ciężąc krajowi. Dwory, folwarki, miasta i wsie zajęte były przez wojsko, które z nich za ordynansami, przestrzegając rzekomo porządku, wyciskały wszelkie dochody; klasztor Bazylianów o jednym tylko folwarku pozostał. Nadto trzeba było jeszcze płacić na wojsko litewskie. Gorzej jeszcze było, gdy w marcu 1705 r. car Piotr z potężnem wojskiem przyciągnął pod Połock i naraz wieść się rozbiegła o zamordowaniu tamże czterech mnichów bazyliańskich, o uwięzieniu reszty i obróceniu cerkwi zamkowej na magazyn wojskowy. Stało się to w dzień imienin cara, który podniecony przeciw monasterowi zwykłą „zawziętością tego narodu przeciw zjednoczeniu się naszych z Kościołem rzymskim“, po pijanemu jak zbój na bezbronnych księży z drużyną uderzył. „Głośno i to od dawnego czasu było, iako y nasi Panowie Dysunici z wrodzoney swoiey ku nam nienawiści przez różne fakcye we złą aestymę temu narodowi nas podawali i ku złemu pobudzaiąc żywot y postępki nasze opacznie przed nimi nicowali y nabożeństwo y ceremonie cerkiewne przewrotnem tłómaczeniem szpecili y ohydzali tak dalece, że niektórzy z moskiewskiego narodu, nie wiedząc, co to słówko *Unia* y nie maiąc ieszcze z nami conversatiey, dla niewiadomości naszych greckich ceremoniey y nabożeństwa, barziey nas niżli za heretyków poczytali“... Ciała umęczonych spalono czy też zatopiono, tak, aby po zbrodni nie zostało znaku— znać car otrzeźwiawszy, wstydził się swego uczynku. Niemniej przeto na białoruskie klasztory padł strach; mnisi pouciekali, tuląc się, gdzie który mógł. Nawet zacny i dzielny protoarchimandryta zakonu, O. Leon Kiszka, uciekł z Berezweckiego klasztoru, a metropolita Zaleski aż w Tyńcu się schronił. Panika

wraz z wieścią rozniosła się po Litwie; klasztor wileński się rozprzęgł, przyczem X. Oleszewski dostał się do Borun, zkąd wypatrywał, co się dalej stanie. Jakoż we dwie niedziele po św. Piotrze car z carewiczem przybył do Wilna, gdzie *honorifice* przez magistrat i Akademie, oraz odprawiający się właśnie trybunał witany, rozgościł się w pałacu Kryszpinów. Wraz 20.000 doborowego wojska wysłał pod Szeremetem do Kurlandyi przeciw Loewenhauptowi, resztę rozłożył obozem około miasta a sam bawił się „rekreatią y przypatrowaniem się miastu". Bazylianie byli w strachu, nie wiedząc, czy się iść pokłonić, czy cicho siedzieć; poradzono im, aby nie przypominali carowi niemiłego zajścia, którego pono żałował. Tak też uczynili i przez cały czas rezydencyi carskiej żadnego nie doznali gwałtu; owszem, muzyka moskiewska, nie wiedzieć z własnej woli czy z rozkazu, przychodziła śpiewem i graniem podnosić uroczystość ich nabożeństw. Tymczasem nadeszły o Szeremecie radosne wieści, które jednak w chwili, gdy tryumf święcono, zamieniły się w smutek. Loewenhaupt, acz z niewielką garścią żołnierzy, odniósł był stanowcze zwycięztwo, a potem umknął bez wieści. Car tedy udał się do Grodna, gdzie i wojsko polskie złączyło się z jego hufcami. Tu prócz wojska doczekał się car i króla Augusta, który, że „passy" były zajęte, musiał się *incognito* na Litwę przebierać. Pod zimę jednak zaszły w Moskwie jakieś rozruchy, które Piotra przed świętami Bożego Narodzenia do powrotu z częścią wojska zmusiły, zostawiając 20 000 w świeżo przez siebie fosami i okopami obwarowanem Grodnie.

Bazylianie zwolna gromadzili się na nowo, choć nie bez obaw. Metropolita słał skargi za doznany gwałt do magnatów, do nuncyusza i do Rzymu; X. Kiszka zaś, który w ucieczce swojej nie o własnem bezpieczeństwie był myślał, ale jeździł to w pobliże wojska litewskiego, to do panów litewskich i koronnych, radząc o ratunku zakonu, trafił wreszcie z ich pomocą do cara i uwolnienie braci w Połocku uwięzionych uzyskał. Otrzymał również zwrot aparatów cerkiewnych, zaczem więźniów w bezpieczne a ciche miejsce odwiózłszy, hramoty carskie dla uspokojenia umysłów rozesłał po monasterach. Ledwie się atoli car z Litwy oddalił, aliści nadciągnął król szwedzki i obległ Grodno, a hetmana Sapiehę wysłał na Wilno z 3.000 Szwedów, przed którymi załoga moskiewska uciekła, odbiegając broń, amunicye i olbrzymie zapasy żywności, które tu z całego kraju zwieziono Skorzystali z tego ubodzy, bo rzuciwszy się na zamek z wozami, worami i noszami, przez całą noc i część dnia wynosili mąki i krupy. Po ucieczce Moskali, wojsko litewskie, które się zbliżało do Wilna, umknęło także. Sapieha więc odbył spokojny wjazd ze Szwedami w drugą niedzielę wielkiego postu. Przyjeżdżał jednak nie jako istotny wódz, ale raczej jak dobrowolny jeniec, zmuszony patrzeć bezczynnie na straszny ucisk, jaki na

stolicy jego ojczyzny, stolicy dawnego jego województwa, wywierały obce zastępy, grasujące w niem jak w zdobytym nieprzyjacielskim grodzie, wymuszając więzieniem i groźbą kontrybucye ogromne, rabując kościoły z kielichów i paten, zamieniając sale klasztorne na kordegardy, kędy przez kilka niedziel w dzień i w noc szalała pijacka rozpusta. Nakoniec obłowiwszy się depozytami prywatnych osób, a nie mogąc wycisnąć ostatniej kontrybucyi 60.000 talarów, zabrali w zakład po dwóch z duchowieństwa i z magistratu, uwożąc ich do królewskiego szwedzkiego obozu, za którym wleczeni więźniowie prawie wszyscy od niewczasów pomarli. Przy Karolu XII był wtedy król Stanisław i wyruszyli społem obdzierać dalej klasztory, burzyć Nieśwież, Świerżeń i inne zamki i włości, do Radziwiłłów i innych stronników Augusta II należące.

Niepodobna tu dla braku miejsca iść dalej krok w krok za opowiadaniem X. Oleszewskiego, który przeniesiony na przełożeństwo do Mińska, na nowe znów patrzeć musiał niedole i gwałty. Opowiadanie staje się za każdą kartą bardziej tragiczne, w miarę, jak zuchwałość wojsk moskiewskich i szwedzkich się wzmaga, a kraj pod ręką swoich i obcych zmienia się w krwawe pole grabieży. To Szwed wyciska ostatni grosz, bezcześci kościoły, biciem, paleniem i morderstwem zmusza lud do wydania ukrytego po jamach zboża, aż domy i dwory pustkami stają, ludność z dziećmi i resztą bydła tai się po lasach, uciekając przed chciwą ręką żołnierzy, obdzierających kogo tylko złapią z ostatniej odzieży. Schwytany na wsi rektor Jezuitów Brzostowski, zaledwie do klasztoru się dowlókł w siermiędze, z popalonemi bokami. To znów Moskale, idąc w ich ślady, też same powtarzają gwałty, aż głód poczyna grasować straszliwie, za głodem zaraza zaściela trupami ulice i drogi, handel i przemysł ustają, a ploty, parkany, domy i wszelkie zabudowania drewniane idą na opał pozostałych mieszkańców miast, nie mogących dostać się po drwa do oddalonych borów. Wśród tych nędz uderza bezsilność panów polskich, nie mogących otrząsnąć się z pod jarzma potężnych aliantów. Widzimy Sapiehę, zmuszonego patrzeć w milczeniu na Szwedów, łupiących własne jego dobra i własnych poddanych: nie dziw, że w końcu znużony złożył samozwańczą obecnie buławę w ręce synowca! Uderza nas jeszcze boleśniej zimna krew, z jaką Leszczyński przyjmuje z najezdcami wspólnictwo w grabieży, gwałtach i zniszczeniu tych krain, nad któremi chciał przecież królować; takby się chciało uznać go szlachetniejszym, wyższym od Niemca Augusta, a niestety według tych świadectw — nie można! August przynajmniej usiłuje czasem cośkolwiek ratować, użyć w obronie poddanych swego wpływu u sprzymierzeńca, który, jak niegdyś Krzyżacy w Prusiech i jak Ruryk nad Dnieprem, wygnał wprawdzie wspólnego wroga, ale na to tylko, by przyjaciela pod prze-

wagę swoją zagarnąć. Moskale na Litwie, prócz pijanego wybryku w Połocku, zachowywali się zrazu poprawnie, ciężąc jak każde auksyliarne wojsko, ale nie wyrządzając systematycznej grabieży i przepraszając za gwałty luźnych watah kałmuckich. Wkrótce jednak ośmieleni zajadłością walk stronniczych między Polakami, zaprawili się do ich krwi. Skoro Polacy niszczyli się między sobą, więc i oni niszczyć poczęli z równym skutkiem, acz mniejszą zaciekłością od cywilizowanych Szwedów. Zwłaszcza po zwycięztwie pultawskiem, zuchwalstwo ich rozpasało się, poczęli rządzić się i grabić jakoby w zdobytym kraju. Dziwny przytem u nich odbywał się proces: wojując na Litwie i w Polsce, nawspół z oświeceńszymi od siebie mieszkańcami kraju, przejmowali się mimowoli ich zewnętrznemi obyczajami i polorem, zda się jakoby wciągali w siebie splendor tej ziemi, którą kopytami swych koni deptali. Znanym jest szczegół, iż Piotr W. po spotkaniu się z Augustem II w Rawie, paradował dumnie przed poddanymi w ubraniu, darowanem mu przez króla polskiego. Toż samo działo się z jego podwładnymi: *Abrys* opowiada, iż niejeden Moskal przybywszy na Litwę w dziegciem smarowanych butach, widzianym był w rok lub półtora w poszóstnej złocistej karecie, ze służbą o zbytkownej barwie, sam zdobny pudrowaną peruką i strojem francuskim, o jakim do niedawna może i nie słyszał. Bogacił się, to darami panów usiłujących zaskarbić jego pomoc, lub łupem zdobytym na stronnikach szwedzkich i egzakcyami wymuszanemi na wszystkich. W Rosyi już za czasów Aleksego czuć się dawał ku oświacie zachodniej prąd, którego wymownym wyrazem był faworyt Zofii, Galicyn, a który teraz w osobie Piotra znalazł wszechpotężnego rzecznika. Dzięki tej dążności, kampania szwedzka w granicach Rzpltej równie może przyczyniła się do ucywilizowania Moskali, jak gwałtowne reformy ich cara. Podczas jednak co oni rośli w światło i moc, kraj nasz zamieniał się w olbrzymią kupę ruin, ponad któremi późniejsze hulaszcze hasło: „Jedz, pij i popuszczaj pasa!“ musiało brzmieć jak echo szatańskiego śmiechu.

X. Oleszewski kończył swą pracę w r. 1721; właściwie jednak opowiadanie zamyka się na r. 1712, a zawiera oprócz faktów, nie mało uwag, pełnych najzdrowszego rozumu. Dziwić się często przychodzi, czytając pisma pozostałe z ostatnich wieków Rzpltej, iż w kraju, gdzie tyle ludzi rozsądnie myślało, czy to w dziedzinie politycznej, czy też moralno-społecznej, ogół umiał tak rzadko stosować się do prawideł rozsądku. Czyżby nas doszły przeważnie pisma wyjątkowych umysłów? W takim razie autor *Abrysu* niewątpliwie do nich należał; należał też do gorących i wiernych sług katolickiego Kościoła. Świetlaną stroną jego opowiadania jest pobożność ludu litewskiego, gdy uciekając gromadnie przed morem tulił się po kościołach, tak iż „ani jeden z nich bez Sakramentów nie odszedł“, nadto niezachwiane

wśród zawieruch i grozy trzymanie się Cerkwi unickiej w jedności ze Stolicą św., owe ustawiczne stosunki, odnoszenie się do papieża w każdej ważniejszej sprawie po decyzyę, po ratunek, choćby po pociechę i radę. Ciekawą jest sprawa apostaty Cyryla Szumlańskiego, który poszedłszy 1712 r. do Kijowa po schizmatycką sakrę, zajął bezprawnie episkopię łucką, opróżnioną przez gwałtowne wywiezienie i śmierć w krajach moskiewskich biskupa Zabokrzyckiego. Udano się o to do Rzymu, udano i do Augusta II, który surowym uniwersałem odsądził intruza od wszelkich praw. Ten zaś opuszczony i wzgardzony, silną acz moralną tylko presyą z Łucka wygnany, schronił się wraz z innymi miejscowymi dyzunitami pod opiekę cara, który nie omieszkał w drugim liście (w całości w tekście podanym) uskarżyć się przed Augustem II na gwałty, jakie wyznawców schizmy spotykają ze strony Unitów. Podobnie już raz w r. 1710 odpowiedział był gradem wyrzutów na list króla polskiego, upominającego się o krzywdy, poniesione przez monastery od moskiewskich żołnierzy. Niestety August II sam się był okuł w kajdany, których ciężar wraz z nim cała Rzplta dźwigać musiała.

Do wdzięczności, powinnej p. Kluczyckiemu za wydobycie na jaw tego cennego acz bolesnego dokumentu naszych dziejów, dodać jeszcze należy podziękowanie za chronologiczne streszczenie całego szkicu, z oznaczeniem dat i odnośnych liczb stronnic. Praca to była nie mała, streszczenie samo bowiem zajmuje 23 wielkich stron druku, a obok sprostowania niektórych szczegółów, ułatwia niewymownie oryentowanie się po treści, mogącej nieco przedstawić trudności czytelnikom, nieprzywykłym do dawnego stylu i dawnej pisowni, pomimo iż styl ten jest bardzo jasnym w porównaniu z wielu innymi. *T. W.*

— „Biblioteka Imienia Klementyny Tańskiej". Tom I. *Z naszego skarbca.* Obrazek z życia szkolnego, napisała Mieczysława Śleczkowska. (W Krakowie. Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1899). — Może zapóźno witać dziś rzecz, wydaną przed blizko dwoma laty, nigdy atoli za późno, aby dobrą powitać, polecić książkę. Stowarzyszenie nauczycielek zawiązane w Krakowie postanowiło uczcić stuletnią pamięć wielkiej dobrodziejki dziatwy polskiej, wydając pod jej imieniem bibliotekę dla młodego wieku przeznaczoną, i tom pierwszy rozpoczętego wydawnictwa opatrzyło życiorysem Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. Napisała go tasama autorka, której opowiadanie wypełnia pierwszą księgę seryalnego przedsięwzięcia. Biografia ta, wysnuta z osobistych pamiętników i zapisków, tchnie takiem ciepłem i wdzięcznością, a skreślona jest z taką prostotą i życiem, że czytelnikowi, młodszemu czy starszemu, zarówno trudno oderwać się od kartek, odzwierciedlających życie i zawód pani Hoffmanowej. Nie wywieszając śmiałych haseł, nie sięgając po samozwańcze zaszczyty, nie torując nowych szlaków,

lecz krocząc raczej prostą drogą starej cnoty, zaparcia, powinności kobiety, dobiła się ona większej sławy, a zdobyła sobie większą stokroć zasługę od dzisiejszych feministek, mniemających, że odkobieceniem tryumf i przewagę płci swojej zapewnią. P. Śleczkowska tak się przejęła wzorem, jaki miała przed oczyma, iż czytając „obrazek z życia szkolnego“ następujący po życiorysie Hoffmanowej, mieliśmy złudzenie, iż wertujemy jaki zagubiony tom *Rozrywek*, że w spuściźnie autorki *Dziennika Franciszki Krasińskiej* i *Listów Elżbietki Rzeczyckiej*, znalazł się jakiś niedrukowany dotąd rękopis. Chyba lepszej pochwały nie żądałaby p. Mieczysława Śleczkowska.

Sięgając do ojczystego „Skarbca“, zaczerpnęła zeń pęk świetlanych wiadomości, rysów i szczegółów o Liceum Krzemienieckiem. Z pamiętników Detiuka, fragmentów Korzeniowskiego i wspomnień Karola Kaczkowskiego, wysnuła niewolący obraz sławnej szkoły, jej początków pod czujną a serdeczną opieką Tadeusza Czackiego, jej rozwoju i krótkotrwałej a w skutki obfitej pomyślności, dołączając i wizerunki kilku celniejszych uczniów. Z luźnych, lecz misternie z sobą powiązanych urywków, złożyła się całość pełna uroku, przykuwająca uwagę dzieci, mimo niektórych, może zbyt poważnych i dydaktycznych ustępów. Najtrudniej u nas o książki dla chłopców: niniejsza każdego studenta zajmie i ucieszy, a zarazem rozgrzeje i uszlachetni. Ofiarność i zapały Tadeusza Czackiego, gotowe nie jednej młodej udzielić się duszy, zapatrzonej w te wzniosłe przykłady, zasłuchanej w tych hasłach i zasadach, właściwych umysłom poczciwym.

Dobrą rokować nam przyszłość zapoczątkowanej „Bibliotece“, jeśli dalsze jej tomy dorównają pierwszemu. Jedno tylko zalecilibyśmy wydawcom, oto staranniejszą korrektę, obfitość bowiem błędów druku szpeci miłą i powabną książkę. Po kilka n. p razy szef Drzewiecki nazwany tu Drzewickim, a szkoda, że autorka i z jego pamiętników nie skorzystała, dla oblania pełniejszem światłem znaczniejszych uroczystości licealnych. Ale oczywiście musiała się zacieśniać w pewnych granicach i nie wyczerpnęła przedmiotu, nadmiernie bogatego i pociągającego serca młode, serca polskie. Probierzem książek, pisanych dla dziatwy, bywa zdanie tych właśnie czytelników, dla których są przeznaczone. Otóż chłopcy i studenci z najwyższem zajęciem wczytują się w opowiadanie p. Śleczkowskiej. Lepsze to od pisanej krytyki uznanie i ocena, pewniejszy plebiscyt. *N.*

— *La vie d'un théâtre*, par Paul Ginisty. Avec 40 figures dans le texte et quatre planches en couleurs hors texte. Dessins d'après nature de A. Collombar. (Paris. Librairie C. Rein-

wald. „Les Livres d'or de la science". 1898). — Obfitość treści jest tu w odwrotnym stosunku do drobnych rozmiarów tej książeczki i bajecznie niskiej ceny (1 fr.). Mały ten tomik przeczyta z wielką ciekawością aktor, czy dyrektor teatru, czy jego dekorator lub maszynista i dziwić się będzie tej dokładności, z jaką autor odsłania najtajniejsze szczegóły „życia teatralnego"; przeczyta go z korzyścią krytyk teatralny, a ci wszyscy, których teatr bardzo zajmuje, choć go znają tylko z krzesła w widowni, ci poprostu połykać będą te wiadomości o tajemniczym, a tak nęcącym kraju. Ocena książeczki jest już skończona — sprawozdanie z niej mogłoby być nieskończenie długiem, mogłoby nieznacznie stać się przepisywaniem przetłómaczonych na język polski rozdziałów. Chcemy więc tylko zachęcić do osobistego zapoznania się z tem dziełkiem, a nie mogąc powiedzieć, co pisze autor, przytoczmy przynajmniej, o czem pisze. A więc naprzód o tych wszystkich trudach, uniesieniach, kłopotach, zawodach i t. p., które spadają na autora dramatycznego z chwilą, gdy skończony utwór zamierza na scenie wystawić, o owych agencyach specyalnie do kopiowania rękopisów teatralnych: kopiują one mniej więcej dwa tysiące aktów rocznie (!), dostając za akt 5 fr. A gdy rękopis wręczony dyrekcyi teatru zostaje przyjętym, gdy termin przedstawienia ustanowiony, ileż kłopotów przy rozdawaniu ról, ileż miłości własnej i kaprysów aktorów, a zwłaszcza aktorek do pokonania, zwłaszcza dzisiaj, kiedy podziały aktorów na mnóstwo kategoryj n. p. „rezoner", „szlachetny ojciec", „finansista" i t. d., powoli się znoszą siłą czasu i repertoaru współczesnego. Wreszcie odbywa się wspólne czytanie, a na drugi dzień zaraz w dziennikach wiadomość, że wywołało ono „silne wrażenie na artystach", w dziennikach paryskich oczywiście, bo u nas pisze się reklamy na otwarcie nowego handelku, wystawienie w jego oknie piramidy z orzechów tureckich i fig, ale o teatrze się milczy... Po skollacyonowaniu ról poszczególnych z pierwotnym manuskryptem autora, wchodzi w swe prawa reżyser generalny, jeden z pierwszych męczenników teatru. Zaczyna się praca dekoratorów, zamalowujących olbrzymie płótna na ziemi rozciągnięte, sami stojąc na podłodze i trzymając w ręku pendzel na długiej lasce; ten rozdział stanowczo do najciekawszych należy. Równocześnie pracuje kostumier, człowiek w wielkich teatrach bardzo oczytany w historyi sztuki i świadomy ogromnego znaczenia swego zadania, zważywszy, że kostyumy w niemałej części tworzą odpowiedni nastrój historycznych sztuk. Wchodzi w swe prawa *metteur en scène*, znowu człowiek niepośledniej przytomności umysłu, bo wszak w wyobraźni musi on widzieć tę salę, pustą w czasie prób, zapełnioną tylko grającymi aktorami, jako urządzoną zupełnie tak, jak będzie wyglądać podczas przedstawienia. Na wysokości środka sceny, na desce powyżej orkiestry ustawia się t. zw. *guignol*, rodzaj altanki, z któ-

rej autor i dyrektor teatru mogą udzielać wskazówek aktorom. Próby z rolą w ręku trwają kilka tygodni, aż do chwili, kiedy dyrektor zarządza powtarzania bez rękopisu, tylko przy suflerze. Już w r. 1674 niejaki Chapuzeau napisał monografię suflera, a p. P. Ginisty i ze swego doświadczenia opowiada mnóstwo ciekawych dowodów, jak sufler zlewa się z całem życiem teatralnem, z aktorami i autorami, z dramatami i ich osobami. Krótko tylko p. Ginisty zajmuje się psychologią autora w czasie prób jego dzieła; byłoby to bardzo pożądanem, gdyby kiedyś kto ten temat wyczerpał; materyału miałby tak dużo i tak różnorodnego, bo temperamenty, doświadczenia, położenie materyalne, pragnienia poetów, są tak rozmaite. Rzecz komplikuje się jeszcze bardziej, gdy sztukę napisała spółka dwóch pisarzów; wtedy łatwiej o zgodę przy pisaniu dramatu, niż przy próbach na scenie. Polaka, przyzwyczajonego do szalonego pośpiechu, z jakim w naszych przybytkach Melpomeny sztuki się przygotowują, zadziwia ta skrupulatność francuskich scen: tu kilka dni poświęca się czasem wystudyowaniu jednej tylko części dramatu. Ale też w końcu osiąga się taką harmonię, o jakim my tylko niekiedy— w Krakowie — mamy wyobrażenie. Potem do aktorów przyłączają się i dekoratorowie, maszynista i t. d. i sztuka powoli zaczyna się krystallizować. Już się mówi o jej losach przypuszczalnych, a rej wodzą reprezentanci wieloletniej tradycyi, bo w teatrze tradycya, a nawet zabonon wiele znaczą. Reżyser pracuje ciągle, w godzinach, że tak powiem, pozabiurowych, układa scenaryusz każdej sceny, przeznaczony dla archiwum i bardzo przydatny w razie wznowienia sztuki po dłuższej przerwie. Te scenaryusze, niesłychanie dokładnie wskazujące na małych mapkach każdy krok aktora, kupowane są przez kierowników scen prowincyonalnych po 25 do 60 franków za sztukę. Na dzień przed przedstawieniem ustawia się na parterze klaka ze swym szefem. Ktoś nieobeznany z teatrem nie spodziewa się nawet, że i ci ludzie mają przed sobą nietylko wiele pracy, ale i wiele namysłu; klaskać łatwo, ale sprytu wymaga wiedza, kiedy się ma klaskać i jak, kiedy dać publiczności tylko impuls do applauzu, kiedy ją w tym zapale podtrzymywać, kiedy pomagać do sukcesu nie hałasując, ale naprężoną uwagą i milczeniem, lub cichemi westchnieniami albo śmiechem. Z r. 1827 zachował się istotnie drogocenny pamiętnik „klakiera“, zawierający *la théorie et l'art des succès;* autorem tej książeczki jest p. Robert, *ancien chef de la compagnie des Assurances dramatiques, chevalier du Lustre, commandeur de l'ordre du Battoir, membre affilié de plusieurs sociétés claquantes*“ (!). Ten pan miał na swe usługi nawet *dames-claque*, których zadaniem było przy pierwszem przedstawieniu częstych wtedy melodramatów ocierać sobie łzy! Ba, raz nawet jedna z tych pań miała otrzymać od dwóch aktorów sto franków, jeżeli w drugim akcie będzie łkać, podczas czwartego głośno pła-

kać, a przy piątym zemdleje. I pani ta dobrze się sprawowała w czasie drugiego i czwartego aktu mimo syku publiczności, która wymusiła nawet na dyrekcyi teatru spuszczenie kurtyny przed końcem przedstawienia. Aktorowie nie chcieli wypłacić tej *dame-claque* umówionego wynagrodzenia, bo nie było omdlenia, aż dopiero dali się przekonać groźbą, że w przeciwnym razie cały Paryż dowie się o tej oryginalnej umowie.

Poważniejszą osobą jest fryzyer teatralny, zwyczajnie mający pewne wiadomości historyczne, równie jak i kierownik zakładu, w którym robią się z kartonu zbroje i inne przybory aż do najdrobniejszych. A trzeba o wszystkiem pamiętać, bo czasem brak kubka lub pudełka z papierem listowym może wywołać wielkie zakłopotanie, jeżeli sprytny aktor nie wybrnie z niego zręcznie. Figuranci, czyli jak u nas się mówi statyści, są też podobnemi akcessoryami, niemniej ważnemi. I pod tym względem u nas jest źle, bo rządzi ślepy przypadek; w teatrach paryskich rzecz jest dokładnie obmyślaną i urządzoną. Wybiera się najchętniej stałych statystów, to jest takich, którzy obok głównego zajęcia zawodowego za umówioną z góry zapłatą biorą udział nietylko w przedstawieniu, ale i w próbach. Nie do uwierzenia, jak w tych ludziach wyrabia się z czasem *esprit de théâtre*, szlachetna ambicya, jak szczerze przyczyniają się oni w swej maleńkiej cząstce do powodzenia sztuki.

Bardzo ważnym jest rozdział, omawiający kwestye materyalne, stosunki prawne pomiędzy autorem a dyrektorem. Dla nas rzecz ta jest tem ciekawszą, że w skutek nieszczęśliwego położenia politycznego nie mamy ani mieć nie możemy związków, łączących wszystkich aktorów z jednej strony, autorów dramatycznych oraz dyrektorów z drugiej strony. Ztąd wszystko zdane jest na umowę prywatną i osobistą, dobrą wolę jednostki, a że ta często zawodzi, dowodzą liczne wypadki, często wprost gorszące. We Francyi istnieje *Société des auteurs dramatiques*, instytucya bardzo poważna, założona w r. 1829 za inicyatywą Scribe'a, który podjął dawniejszą myśl Beaumarchais'go. Jej przepisom muszą ulegać tak autorowie, jak i kierownicy scen, a wszelkie próby oporu szkodzą tylko niesfornym. Według jednego z artykułów tego towarzystwa, dyrektor obowiązany jest przyjętą przez siebie sztukę wystawić w pewnym ściśle oznaczonym maksymalnym przeciągu czasu, n. p. dwa lub trzy lata, w przeciwnym razie płaci poenale w wysokości 1000—3000 fr. stosownie do ilości aktów niewystawionej sztuki. Dalej dyrektor obowiązany jest przyjętą sztukę przedstawić przynajmniej trzy razy, następnie zaś zapłacić autorowi 10 do 15% dochodu brutto. Autorowi daje po nadto pewną ilość wolnych kart wstępu do teatru, na pierwsze i drugie przedstawienie, oraz prawo osobistego wstępu do teatru: przez jeden rok, gdy sztuka ma jeden akt, przez pięć lat, przy czterech lub pięciu aktach, przy

sześciu zaś autor ma prawo dożywotniego wstępu do teatru, przy dwunastu może nawet to prawo zapisać przy śmierci w testamencie komu innemu! Dyrektorowi nie wolno grać sztuki, której albo sam jest współautorem, albo też jego wspólnik. Zobowiązania przyjęte przez dyrektora mają moc i w obec jego następcy. Gdy dochód brutto z przedstawienia wynosi n. p. 3.629 franków, autor dostaje 435, a dyrektorowi po odciągnieniu innych bieżących wydatków pozostaje 2.828 fr. netto. Kontrola jest ścisła i wszechstronna.

Pomijamy inne szczegóły, przechodząc do VIII rozdziału, omawiającego stosunki cenzuralne. Cenzura znajduje się w biurze dyrekcyi *des Beaux-Arts*, a rękopis, przysłany jej w dwóch egzemplarzach, zostaje 8—10 dni, podczas których rozpatruje go komisya, *Commission d'examen*. Dziś cenzura jest oczywiście bardzo łagodna — od siebie dodajmy: za łagodna! — dawniej była surowszą, nie rzadko śmieszną. Za cesarstwa, pani Ristori miała zawołać: *Beau ciel de l'Italie*, ale cenzor kazał jej to zmienić na: *Beau ciel lombard-vénitien! Króla Leara* wtedy zakazano, bo nie wypada pokazywać godności królewskiej w takiem poniżeniu; taksamo niepozwolono nawet grać ślicznego *proverbe* Musset'a *On ne badine pas avec l'amour*. Ale gdy cenzura okaże się łaskawą, można afisz drukować. Monopol ma drukarnia Morris. Dziś są one proste i prawie brutalne. Dawniej kwitła tu czasem nawet sentymentalna poezya, strzeliste apostrofy do publiczności, aby licznie się zeszła. Ostatnie ustępy książki o premierze sztuki: zachowaniu się aktorów, autora, dyrektora, krytyków i publiczności w czasie tej walnej bitwy, są umiejętnem zebraniem tego wszystkiego, co znamy z tylu wieczorów.

I oto są ważniejsze punkta treści tej książki. P. Ginisty mówi o nich z doświadczeniem starego dyrektora *Odéonu* i z swobodą prawdziwie francuskiego *causeura*. Wspiera go zręczny illustrator w doskonale odbitych obrazkach, często kolorowanych. A że takiej książki w polskim języku nie ma, chociaż i my lubimy się zajmować światem z przed i z po za kulis (którym bardziej?), więc drobna książeczka powinna być nam znaną. *Dr. J. Flach.*

— *Shakespeare's Debut 1598*, von Edwin Bormann. (Leipzig, Edwin Bormanns Selbstverlag, 1898, w 8-ce, str. 32).— Do syć, że p. E. Bormann nie daje spokoju ani sobie, ani drugim. Chce koniecznie przekonać wszystkich, że Szekspir, to był najzwyczajniejszy w świecie złodziej i oszust, który albo okradł Bakona i pod swojem nazwiskiem wystawiał i drukował skradzione komedye i dramaty, albo też sprzedał swą firmę dostojnemu lordowi i przybierał się w cudze pióra za zgodą i przyzwoleniem faktycznego autora. P. Bormann nie może się tylko zdecydować, któremu twierdzeniu dać pierwszeństwo, „i to pachnie i to nęci“, a szanowny autor rozmaitych niby dowcipnych

wierszyków, w wolnych chwilach oddający się sportowi antiszekspirowemu, znajduje się w sytuacyi podobnej, jak owo stworzenie, o którem powiada p. Jowiałski, że mu dano w żłoby „w jeden owies, w drugi siano“. W tej broszurce, którą teraz mamy przed sobą, p. Bormann przechyla się ku twierdzeniu, że Szekspir okradł Bakona; być może dziś już twierdzi, że Bakon kupił sobie firmę od Szekspira, a kto wie, czy pojutrze znów nie wróci do przekonania, że Szekspir był złodziejem. Chwieje on się tak bezustannie i ta chwiejność pozwala się spodziewać, że p. Bormann może kiedyś nawróci się znów do przekonania, iż Bakon z dziełami Szekspira nie ma nic wspólnego, tak samo jak Szekspir z dziełami Bakona. Zobaczymy. Na razie obchodzi nas ostatnie „dzieło“ p. Bormanna. Tu porównuje on Szekspira *Stracone zachody miłości* z pierwszem wydaniem szkiców Bakona i postępuje w ten sam sposób, jak w swej wielkiej książce *Das Shakespeare-Geheimniss*, w której „odkrył“, że *Burza* jest parabolą *im Sinne von Bacons Natur-Philosophie*, podczas gdy *Hamlet* jest parabolą *im Sinne von Bacons Anthropologie* i t. d. Rozumie się, że argumenty autora są tu tak samo przekonywujące, jak były tam i mimowoli przypomina się ciągle opinia, którą wypowiedział o studyach p. Bormanna znakomity Kuno Fischer, nazywając je *ein Gewebe von Missverständissen, Verdrehungen, ja selbst schamlosen Fälschungen.*

Ale druga połowa broszurki otwiera nam oczy. P. Bormann reprodukuje tu jeden po drugim tytuły swych antiszekspirowych wydawnictw, pomiędzy któremi figuruje n. p. takie, jak *Der Anekdotenschatz Bacon-Shakespeares, heiterernsthafte Selbstbekentnisse des Dichter-Gelehrten.* Przy każdym tytule wymieniona jest i cena egzemplarza broszurowanego i „elegancko oprawnego“, a p. Bormann każe sobie słono płacić, bo n. p. *Anekdotenschatz* kosztuje aż 12 marek. Po tej reklamie, następuje druga: zbiór recenzyj, ale tylko pochlebnych, swoją drogą bardzo pachnących opłacaną przez autora reporteryą. Pokazuje się więc, że p. Bormann wydał tę broszurkę tylko dla reklamy, aby rozgłosić swą sławę i znaleźć zbyt dla swych „dzieł“. Naiwni się znajdą, i p. Bormann zrobi na Szekspirze dobry interes, a że przyczyni się do zbałamucenia pojęć, wniesie chaos w mnóstwo umysłów, to mu obojętne. Życzymy dobrego *Geschäftu*, ale nie zazdrościmy tych laurów i tych marek, zarobionych w taki sposób. Gdybyśmy mogli się spodziewać, że te słowa dojdą p. Bormanna, dalibyśmy mu jedną radę: żeby stale na tytułowanych kartach swych „dzieł“ umieszczał dewizę: *Mundus vult decipi, ergo decipiatur.* Górą *Geschäft*, reszta to głupstwo... Aby p. Bormann to, co robi, robił z prawdziwego przekonania, ani rusz nie możemy uwierzyć. *A. Strzelecki.*

Z literatury powieściowej.

— Wacław Sieroszewski: *Brzask. Puszcza białowieska. Grecka szczelina. Dno nędzy.* (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1900). — W uznaniu niezwykle wybitnego talentu p. Wacława Sieroszewskiego panuje wśród polskiej krytyki niezbyt częsta zgodność, a publiczność ochotnie za tem zdaniem idzie. Właśnie dlatego jednak, że p. Sieroszewski nie jest „obiecującym młodzieńcem“, którego jak słabą roślinkę przed każdym świeższym wiaterkiem chronić i w cieplarni pielęgnować należy, jest naszym obowiązkiem stwierdzić zaraz na początku niniejszych uwag, że ostatnia jego książka jest objawem dość niepokojącym. Już choćby dlatego, że nie oznacza żadnego a żadnego postępu w rozwoju poety. O p. Sieroszewskim pisano już tyle, że jego literacka sylwetka stoi żywo przed oczyma. Nikt nie zaprzeczy, że w tym portrecie pisarz występuje jako zdolność niezwykła, ale — jak dotąd — bardzo jednostronna, ograniczona w swym poglądzie na świat, w odtwarzaniu czy tworzeniu. P. Sieroszewski zawsze i wszędzie maluje szerokiem pociągnięciem pendzla dziką i bujną, lub dziką i ponurą naturę, p. Sieroszewski zawsze i wszędzie przedstawia człowieka o uczuciach i wyobrażeniach zupełnie pierwotnych, lub też w skutek samotnego życia na tle takiej natury do pierwotnego stanu sprowadzonych. Symptomatycznym jest fakt, że p. Sieroszewski niemal zawsze i wszędzie daje tylko Jakuta, Tunguza lub Czuksza. Dobrze może być z tą jednostronnością przez rok lub pięć lat, ale gdy coraz silniejszą jest obawa, że tak będzie wciąż, póki stanie życia, wtedy dobrym uczynkiem a przynajmniej spełnieniem obowiązku jest powiedzieć otwarcie: poecie grozi zasklepienie się w ciasnym widnokręgu, zmanierowanie, wyczerpanie się. Tem skończyło już wielu pisarzów, bardzo głośnych i bardzo uzdolnionych: stracili i sławę i talent. Nie utrzymujemy, że p. Sieroszewski już jest na tej drodze, lecz że jest nad brzegiem przepaści, więc gdy braknie silniejszych głosów ostrzegających, niech się choć słaby odezwie.

Prawie połowę książki (niemal sto stron) zajmują trzy oddzielne ustępy: *Brzask*, *Puszcza białowieska*, *Grecka szczelina*. Są to opisy natury z dodatkiem kilku postaci ludzi, z konieczności. Opisy wspaniałe, w swoim rodzaju arcydzieła, ale należało wydać je jako „opisy“, które w ścisłem tego słowa znaczeniu do poezyi nie należą. Opis natury martwej czy żyjącej wchodzi w zakres poezyi powieściowej jako tło, część utworu, nie istniejąca sama dla siebie, lecz służąca głównemu celowi, którym jest i było zawsze: pokazanie człowieka w jego zewnętrznem i wewnętrznem życiu. Gdy opis natury istnieje sam dla siebie, jest sam sobie celem, a ludzi używa tylko tu i ówdzie jako drobne punkta, dodatki, wtedy przestaje już być utworem powieściowym. P. Sieroszewski powinien był te trzy ustępy opi-

sowe odłączyć od ostatniego, powieściowego. Opisuje wspaniale, często jednak zatraca jasność i przejrzystość, odurza nadmiarem. W jednem miejscu trudno oprzeć się wrażeniu, że poeta gromadzi barwy, kształty i wonie jedynie dla przytłoczenia zdumionego, nie mogącego mu nadążyć czytelnika. Tak opisując puszczę białowieską, bezpośrednio przed tem z czterdzieści wierszy poświęca opisowi „urmanów“ południowej Syberyi, zaraz potem na siedmdziesięciu wierszach opisuje puszczę kaukazką, potem dopiero białowieską. Czytelnik ma więc zestawić te trzy obrazy, porównać je z sobą. Czy nie za wiele wrażeń naraz? Czy z tego nie wyniknie chaos wrażeń, w którym jedno zaciera drugie? Właśnie dlatego, że p. Sieroszewski jest takim świetnym malarzem, powinien obrazy zwolna wystawiać, aby silniejsze i trwalsze wywołać wrażenie. Bogacz, który bez pamięci rozrzuca swe skarby, albo chce imponować, albo — wyczerpać się; czasem i jedno i drugie.

Odrębną od poprzednich jest ostatnia, największa część książki, zajmujące więcej niż połowę tomu opowiadanie *Duo nędzy*. Oczywiście znowu „tajga dalekiej północy“ i znowu opisy, jak zawsze natchnione dziwnym, do głębi przejmującym nastrojem. Nie darmo p. Sieroszewski, jak może nikt dziś w Polsce, rozumie kunszt ożywiania natury, *der Naturbeseelung*. Oto, jak mówi o tym „kraju dziwnej smętności“ i jego jeziorach: „Jeziora tamtejsze wzruszają najwięcej nie wtedy, gdy burza je wstrząsa i miota rozszalałe bałwany; nie w dzień pogodny, gdy sennie rozrzuconą pierś ich złote całuje słońce, a one lazurowemi zwierciadły śledzą za najmniejszą chmurką, najlżejszą barwą pochylonego nad niemi nieba; i nie w noc cichą, gdy blask miesiąca drży na nich, a iskry czystych gwiazd tlą się w ich czarnych zimnych otchłaniach; lecz wtedy, gdy pędzone zwykłym wiatru powiewem, rozbite na tysiące fal drobnych, z łagodnym szmerem pieszczą wstrętne brzegi. Pieszczą, bo muszą, bo nie mają skał, granitów, wzniosłości.... bo gdyby nie stało tych nędzot ziemi, znikłyby ztąd, spłynęły w ocean, jednostajnie gorzki, obcy i przepastny.... Tulą się więc, tulą... do błot, piją ich męty, liżą mchy brudne i obwisłe. Lica ich szare, zmartwiałe, nic wtedy odbijać nie mogą i nie chcą.. Sieć brzydkich zmarszczek i piany rdzawej płynie po nich z wiatrem i tylko w pogwarce ich głosów brzmi bezbrzeżna tęsknota“... Jacy ludzie tu mieszkają? Naturalnie Jakuci, znowu Jakuci. Tym razem jednak mniej w tych ludziach widać Jakutów, niż trędowatych. Że wszelaka nędza jest ulubionym motywem współczesnych pisarzów, wie się. Że nieuleczalna choroba może być takim motywem, wie się także. Że jest nim zaraza, dowodzi Słowackiego *Ojciec zadżumionych*. Że jednak opowiadanie, wyłącznie na przedstawieniu zewnętrznych objawów tej zarazy oparte, strunę przeciąga i wstrętnem się staje, znowu się wie, choćby n. p. z nie-

możliwego *Tabu* p. Żeromskiego. U p. Sieroszewskiego jest coś podobnego. Ośm arkuszy zadrukowanych ciąglemi obrazami wstrętnych objawów tej najwstrętniejszej z zaraz — to znaczy strunę realizmu i silnej plastyki stanowczo przeciągać, to znaczy szarpać nerwami czytelnika, obudzać w nim umyślnie wstręt i obrzydzenie. Poezya nie jest limoniadą i niech ją Bóg od tego broni, ale nie jest też bagniskiem wstrętnych wyziewów, ohydnych ran, gnijących członków, wejdzie w nie tylko człowiek martwy lub — Siostra miłosierdzia, niosąca pomoc najnieszczęśliwszym z nieszczęśliwych. N. p. Sałban, jeden z trędowatych, umarł. Stara Mergeń (autor tego nazwiska czy imienia nigdy nie odmienia), chce trupa wynieść z izby, bo strasznie zanieczyszcza powietrze. „Zrzuciła resztki odzieży i naga, straszna, z chudemi, obwisłemi piersiami i rozpuszczonemi po plecach włosami, krokiem skradającej się wilczycy, podeszła do trupa. Zajrzała mu w twarz i wzdrygnęła się, ale natychmiast w oczach jej zamigotał gniew i nienawiść. „I ja muszę zostać taką!“... Uderzeniem nogi zrzuciła ciało z ławy i spróbowała go powlec, ale członki, za które ciągnęła, obrywały się. Wtedy wybrała z kupy drew dwa grube sęki i z ich pomocą jęła popychać przed sobą ciało, jak kupę śmieci“. Jedno z dwojga: albo czytając to, przyjdzie wzdrygnąć się do szpiku kości i doznać uczucia fizycznej odrazy, że się aż mdło zrobi, albo też czytelnik nie wyobrazi sobie tego i czytać będzie tylko oczyma. Nie sądzimy, aby dla tej ostatniej kategoryi tworzył poeta, a z drugiej strony nie jest chyba zadaniem poezyi wywoływać zwyczajny, pospolity wstręt; wszak to samo zrobi pierwszy lepszy... śmietnik. W tym wypadku bowiem, który się zacytowało, niema nic ludzkiego, żadnej myśli, tylko ohyda i szpetność. A takich miejsc jest bardzo wiele: literalnie do znudzenia wywoływa autor n. p. obraz nagiej (to słowo zawsze podkreślone dla silniejszego effektu), a więc nagiej trędowatej kobiety, odrażająco zeszpeconej trądem i rozbestwieniem, do tego zawsze niemal występującej na tle jakiemś cudacznem; tak samo lubuje się w przedstawianiu ropiących się ran, odpadających palców gnijących i t. d. Jest podobna sytuacya w *Baczmasze* p. M. Pawlikowskiego, ale tam jest tylko środkiem, nie celem, służy do uwydatnienia grozy położenia, które ma swoją duchową wielkość, a więc i piękność. Szpetność, nawet ohyda, jest dopuszczalna w poezyi, lecz tylko jako środek charakterystyki, p. Sieroszewski zaś robi z niej cel, zadanie poezyi.

Gdy to się powtarza na stu i więcej stronnicach, to doprawdy trudno mieć już ducha, przystępnego tym rzeczywistym pięknościom, które są w *Dnie nędzy*. Niektóre postacie tych trędowatych (n. p. mała Byterchaj, kwiat wśród tego bagniska, lub zdeprawowany już moralnie i fizycznie Prąd) są przedstawione tak żywo, z takim świetnym darem charakteryzowania,

że stają się oazą poezyi w tej pustyni, pełnej ohydy. Szkoda, że bladą jest Anka, tem bardziej, że główna osnowa opowiadania ściśle z niej wychodzi. Anka ma męża trędowatego. Jedzie do niego, do tej kolonii nieszczęśliwych, wydziedziczonych i wygnanych ze społeczeństwa. Jej mąż, Grzegorz, podczas jej nieobecności żył z Mergeń, uczynił ją matką. Opuszczona mści się straszliwie na wszystkich, naprzód im z niesłychanym sprytem dokucza, potem podpala chatę, gdzie oboje giną w płomieniach. Zostaje tylko Byterchaj i stara Kutujachsyt. Ta umiera, młodą dziewczynę pożera niedźwiedź, kolonia opustoszała, sąsiedzi wypalają wszelkie ślady tych nieczystych. „Ale śniedź życia nie wyrwana z korzeniem, nie zniszczona w zarodku przez śmierć poprzednich ofiar, znowu wykwitnie gdzieś na ciałach ludzkich i znów zaludnią się i zajęczą wyklęte pustynie“. A więc otwarty widok na nową nędzę...

Książka, zwłaszcza ostatnia jej część, znajdzie wielu wielbicieli. Jedni ucieszą się, że autor pozostał sobie wiernym, inni doznają radości na widok tej okropnej brzydoty i wołać będą: poezya zdobywa nowe krainy, będą inni widzieć w niej dowód litościwego serca poety, niosącego iskrę talentu nawet w mieszkania trędowatych... Może się jednak znajdą i tacy, którzy powiedzą: szkoda wielkiego talentu na zmanierowanie się, na wybujanie jednej czy dwóch charakterystycznych cech aż do karykaturalnych rozmiarów, szkoda go na zacieśnienie się w wiecznie tym samym widnokręgu. Nowych wrażeń potrzeba poecie, bo grozi mu fanatyzm. A nietylko religijny fanatyzm jest przeciwny naturze. Fanatyzm literacki, kultywowanie tylko jednostronnych idei aż do przesady, do niemożliwości, jest równie zgubnym. *Dr. J. Flach.*

— *W więzach.* Nowelle Anatola Krzyżanowskiego (Kraków. Spółka Wydawnicza Polska). — Coby też to była w świecie muzykalnym za katastrofa, gdyby wszyscy kompozytorowie zmówili się, jednogłośnie postanawiając, że odtąd — od niewinnej piosenk, do 5-aktowej *Opera seria* — wszystko tworzone będzie w tonie minorowym! Orkiestra, chóry, soliści, wszystko i wszyscy, grać i śpiewać by musieli na *moll*. Gdyby do takiego — co nie daj Boże — artystycznego kataklizmu przyjść miało, nietylko ludzie by płakali, ale wyły by psy, a na dachach koty by się z desperacyi darły. Otóż, do takiego właśnie kataklizmu, zwolna, ale stale, dąży nowoczesna lekka literatura; powieści, nowelle, obrazki, wszystko pisane na *moll*; co się książkę do ręki weźmie, odrazu coś za gardło chwyta. Czy dla społeczeństwa, już i bez tego aż nadto do *spleen'u* usposobionego, taka strawa zdrową być może. Mamy właśnie przed sobą dwa tomiki pióra p. Anatola Krzyżanowskiego — a może się mylimy, ten p. Krzyżanowski wygląda nam bowiem bardzo na postać rodzaju żeńskiego. Są w tych książeczkach rzeczy bar-

dzo ładne, pisane piórem wytwornem, ale wszystko... na *moll* Czyż tylko przez ciemny pryzmat rozczarowań i goryczy na świat patrzeć mamy? Ludzie rozumni i poważni powinniby, jak się to czyni w parlamentach, zaprowadzić ustawę, zabraniającą powieściopisarzom nadużywania przedmiotów targających nerwy, i to nerwy tak drażliwe, jak niemi są nasze.

Pierwsza zaraz na wstępie nowella przedstawia nam dwa — wrzekomo kochające się — serca, ale serca szatańską pychą tak opętane, że nietylko tłumią wszelkie oznaki wzajemnej miłości, ale mąż ten i żona tak jadowicie sobie dokuczają, że on do ostateczności doprowadzony, najniewinniejszego kuzyna morduje i wskutek tego jest skazany na dziesięć lat katorgi. Wówczas dopiero, pychę z serca zrzuciwszy, żona na Sybir skazańcowi towarzyszy. Czy druga edycya miodowych miesięcy, tym razem spędzonych w katordze, lepiej im się powiedzie — o tem autor milczy.

W innej za to nowelli wzruszającą jest, choć to pomysł nie nowy, matka, po świeżo przebytej operacyi katarakty na rażająca się na powtórną ślepotę, byle nie odstępować ciężko chorego dziecka. I *Honor męski* jest dobry, i aż politowanie bierze, widząc, na czem mniemany „honor“ ten polega. Czekamy teraz z upragnieniem, żeby nam p. Krzyżanowski — czy pani? — coś ładnego zagrała na *dur*. *A. M. L.*

— *Podsłuchane*. Nowelle przez Cecylię Walewską. (Warszawa. Nakład Paprockiego i Sp.). — Dużo u nas ludzi pisze — mało z pomiędzy nich pisze poprawnie. Pani C. Walewska nietylko poprawnie, ale i wytwornie pisze, nie posługując się nigdy w modzie dziś będącemi, trywialnemi słowami, mającemi wyrazić energię, a najczęściej świadczącemi jedynie o złem wychowaniu autora. Ale jakkolwiek bardzo wiele znaczy, przecież styl nie jest „wszystkiem“; winny mu towarzyszyć szczęśliwe pomysły i udana charakterystyka przesuwających się przed oczami czytelnika postaci. Otóż, pod tym względem, p. Walewska nie jest jeszcze na wysokości powieściopisarskiego zawodu. Wybrany przez nią przedmiot bywa zwykle nieciekawy, a postacie, albo są całkiem bezbarwne, albo znów — tak w złem jak w dobrem — przesadzone, a przez to samo rozmijają się z prawdą. Weźmy n. p. odrazu te dwie koleżanki w *Przyjaciółkach*, obie wyrzucone z równowagi, jedna nadmiarem pracy i mądrości, druga zbytkiem lekkomyślności i próżnowania. Pierwsza z nich, Ksawera, ni ztąd, ni z owąd, zakocha się w jakimś potworze, który — prócz tego, że jest fizycznie i moralnie potworem — ma jeszcze to kalectwo, że jest ubogim. Ksawera, oddawszy mu serce *(tous les gouts sont dans la nature)*, rękę znów odda zacnemu, majętnemu, ale chorowitemu obywatelowi, przy którym tak znakomicie odegra rolę najlepszej żony, że jej w rodzinie miano „świętej“ dają. Tymczasem owa „święta“ stale a zgrab-

nie wszystkie mężowskie kapitały wsuwa w ręce potwornego kochanka, w zamian za obietnicę „raju ziemskiego“, gdy z pętów małżeństwa uwolnioną będzie. Atoli, gdy upragniona chwila wdowieństwa wreszcie nadchodzi, wiarołomna żona nie spotyka się już ani z kochankiem, ani z kapitałami, a tem mniej z „rajem ziemskim“. Rozpacz i obawa przed nędzą spowodowują śmierć Ksawery, owej Ksawery, niewypowiedzianie nudnej, póki była niewinna, a niewypowiedzianie niesmacznej, gdy niewinną być przestała. Koleżanka jej, Pola, twierdząca, „że zażyje trucizny, jeżeli jej zabronią śmiać się“, to rodzaj miłego, zabawnego dzieciaka, o którym niema co pisać.

Druga nowella: *Po tyfusie* jest długą, nużącą hallucynacyą zwolna do przytomności powracającego chorego. W rzeczywistości, śledzenie takiego stanu przejmuje to obawą, to nadzieją serca osób z rodziny, ale w czytelniku nie wzbudza żadnego zajęcia. Bardzo za to udaną jestnowellka: *Trzeci rober*, a taka prawdziwa. Jakżeż bowiem często zdarza się, że całe powodzenie, cała przyszłość rozpoczynającego żywot młodzieńca wisi na słabej nitce blahych uprzedzeń, lub upartej obojętności zwierzchników, jak przyszłość owego Julka, którą ratuje i ustala szczęśliwie, do spółki z takim właśnie zwierzchnikiem odegrany rober. Ostatnia nowella: *Pessymistka*, przedstawia nam istotę, chorującą na manię urojonych nieszczęść; dzieckiem, nie lubi się śmiać, bo po śmiechu musi przyjść zmartwienie; dorosłą panną, kokietuje na zimno, dla samej przyjemności dręczenia konkurentów; mężatką, zanudza i od siebie odstręcza zacnego, dobrego, kochającego męża, na jakiego nie zasługiwała, wymyślając sztuczne nieszczęścia, aż go do tego doprowadza, że z desperacyi na hulaszcze puszcza się życie, które go zwolna wtrąca do grobu. Za dawnych czasów, matki nasze — a cóż dopiero babki! — byłyby dziewczynie porządnie rózgą dały, a córce na wydaniu takie wygłosiły *verba veritatis*, że melancholia byłaby z samego strachu pierzchnęła. Później zaś pan mąż, z należytą małżeńską powagą, byłby tragicznie usposobioną połowicę łagodnie, ale stanowczo do babskiego gospodarstwa napędził; pilnowanie kur i gęsi, pieczenie chleba, zbieranie śmietanki, najczarniejsze rozwieją chmury. Za czasów kwitnącego romantyzmu grasowała po świecie *la femme incomprise — vulgo* „lafirynda“; dziś grasuje „pessymitka“. Nie wesoła odmiana nie wesołych czasów — i nie wesołych ludzi! *A. M. L.*

TEATR KRAKOWSKI.

Archaiczny to był wieczór ostatniego dnia marca, kiedy odegrano Chęcińskiego *Szlachectwo duszy* i Anczyca *Łobzowian*. Jakżeż innem okiem patrzymy dziś na lud wiejski, jak odmienne mamy wyobrażenia o warunkach sceniczności komedyi; naiwność razi nas w teatrze, a „figury“ zrażają! Niema już autora, któryby tak pisać chciał, młodsi tego nawet nie czytują. Zapomniany Chęciński doczeka się wprawdzie niewątpliwie od historyi literatury należytej oceny i postawiony będzie wcale wysoko w hierarchii naszych autorów dramatycznych (przynajmniej nie niżej od Korzeniowskiego), ale i wtenczas się powie, że *Szlachectwo duszy* należy do słabszych jego utworów; sztywne i nieudatne. A jednak teatr był pełny tego wieczora, bo obchodzono jubileusz 30-letniej pracy p. Pauliny Wojnowskiej na scenie krakowskiej. Jubilatka nie wybrała sobie żadnego nowego utworu, ale chciała przypomnieć Krakowianom swe dwie stare role. Uczyniła bardzo dobrze i ładnie. Panował też tego wieczora nastrój i uroczysty i rzewny, pełen poszanowania dla przeszłości, co należy bodaj do podstaw wszelkiego zdrowia moralnego. Rozpisywać się o p. Wojnowskiej nie trzeba. Wie o jej niezwykłym talencie cała Polska, a Kraków ma dla niej nietylko uznanie, ale też wdzięczność za tę stałość, z jaką służy ciągle jednej scenie; bo też w Krakowie nikt nie umie sobie już wyobrazić teatru bez tej artystki. Niezrównana w istnym kalejdoskopie swych ról charakterystycznych, była zawsze ulubienicą publiczności, a nieraz dobrodziejką — autora. Słusznie też ten wieczór zamienił się w teatrze w głośną manifestacyę ogólnego uznania; publiczność jakby się bała, że oklasków za te zasługi zawsze za mało, oklaskiwała jubilatkę aż do znużenia widocznie rozrzewnioną; artystka do łez poruszona, nie zdołała wydobyć ze siebie słów i tylko gestem i prostem a cichem, lecz serdecznie wymawianem „dziękuję“ odpowiadała na niemające końca owacye, które po każdem jej „dziękuję“ wzbierały na nowo. W dzięk-

czynnej tej manifestacyi wziął też udział personal artystyczny z Dyrektorem na czele. Długi szereg wieńców i bukietów stanowił wstęp tylko do darów, mających wartość nietylko artystyczną, a było ich kilka, a między niemi woreczek z gotówką, która dochodziła podobno do tysiąca koron. Taki dar honorowy jest bardzo a bardzo stosowny, roztropny i dobry; byłoby pożądanem, żeby się ten sposób obchodzenia jubileuszów zakorzenił jak najbardziej. Jubilatka wywiązała się znakomicie z obydwóch swych ról, tak Baronowej w *Szlachectwie duszy*, jakoteż Magdy w *Łobzowianach;* dwie role, należące jakby do oddzielnych zupełnie repertoarów, i z pewnością nie łatwo o drugą taką artystkę, któraby zdołała zagrać je obie! Korzystając ze śpiewek i pozwalającego na swobodę tekstu *Łobzowian*, wyrazili artyści z wyśmienitym p. Mielewskim na czele kilka razy swój hołd jubilatce wśród samegoż przedstawienia, a publiczność oklaskami głośnemi stwierdzała za każdym razem, że się z tem zupełnie solidaryzuje.

Jakby uzupełnieniem jeszcze tego jubileuszowego wieczoru było przedstawienie *Rozbitków* Blizińskiego, w których rola Łechcińskiej należy do najwybitniejszych popisów p. Wojnowskiej. Odznaczyli się też wówczas p. Roman w roli Dziendzierzyńskiego i p. Kamiński w roli Kotwicza Dahlberga Czarnoskalskiego. Przedstawienie to było na dochód budowy pomnika Kościuszki w Krakowie.

Miłą dla Krakowa nowiną jest powrót p. Gabryeli Morskiej-Popławskiej na naszą scenę, artystki, która grę swą doprowadza często do takiej doskonałości, że widz może zapomnieć na chwilę, że jest w teatrze. Na pierwszy występ obrała artystka Klarę ze *Ślubów panieńskich*, najlepszą interpretacyę Klary, na jaką tylko całe dzisiejsze pokolenie aktorskie zdobyć się może. Rola ta w Krakowie już znana, a za każdym razem widziana na nowo jak najchętniej, bo pełna wdzięku i miary artystycznej, wykonana prawdziwie poetycznie. Dwie role miały nową obsadę. Radosta objął p. Popławski i odtworzył każdy ustęp tekstu z jak największym pietyzmem, bardzo intelligentnie; nie dostawało jednak tej postaci należytego szlacheckiego zacięcia. Albina grał p. Tarasiewicz, przedstawiając się nam znowu w nowej wielkiej roli, tym razem z zupełnem powodzeniem. Albin w doskonałej tej interpretacyi nie zatraca męzkości, tylko z miłości traci głowę i przez to wzdycha i szlocha; artysta starał się przedewszystkiem o to, żeby Albin pomimo to nie wydał się niedołęgą. Ta Fredrowska perła ma na naszej scenie świetną tradycyę; cieszmy się, że nie grozi nam przerwa tego wątku. Inne role w znanej już obsadzie: p. Wolska — Dobrójska, p. Bednarzewska — Aniela, p. Sobiesław — Gustaw, p. Wójcicki — Jan, udały się też doskonale, a p Sobiesław grał może nawet jeszcze lepiej, niż zwykle: tak wybornie był usposobiony.

To też przedstawienie to zaliczyć należy do najchlubniejszych naszej sceny.

Wieczór ten zeszpecono dodaniem „obrazka dramatycznego“ w jednej odsłonie p. t. *Barkarolla*, przez p. M. Gawalewicza. Jestto sobie zereczko dramatyczne, pełne banalności. Młoda Róża, wyszedłszy za starszego a bogatego Walerego, zajechała z nim do Wenecyi i tam go zdradza z Leonem, który jest (znowu!!) malarzem Mąż wróciwszy niespodzianie do domu, dowiaduje się, że nosi rogi, Róża oknem wyskakuje do morza. Pp. Popławski (Walery) i Jednowski (Leon) grali bardzo dobrze, ale nic to autorowi nie pomogło. Rola Róży ma być popisową, bo zawiera dużo zmian: debiutowała w niej p. Celina Niemirycz i okazała dosyć przemyślności scenicznej, ale bardzo niéwiele temperamentu. Do *Ślubów panieńskich* należałoby dodawać tylko takie jednoaktówki, które mają poetyczną wartość; najlepiej dodać *Dziką różyczkę* Blizińskiego.

Mieliśmy w kwietniu trzy polskie nowości i nie możemy się chyba uskarżać na zaniedbanie literatury swojskiej. Pierwszą z nich była komedya w czterech aktach p. Zygmunta Przybylskiego: *Dzierżawca z Olesiowca*. Autor nazwał swój utwór komedyą, ale komedyi tam tylko trochę, a więcej krotochwili. Sztuka ma zasadniczy błąd w kompozycyi, że jest przez pół komedyą, przez pół farsą i jedno mięsza się z drugiem i wzajemnie sobie przeszkadza, osłabiając jedne wrażenia drugiemi odmiennej kategoryi, tak, że w rezultacie zostaje tych wrażeń po skończonem przedstawieniu bardzo mało. Najgorzej zaś jest aktorom. Reżyserya musi się zdecydować, czy grać to jako komedyę, czy jako farsę; czy tak, czy owak, przedstawienia połowa pójść musi na marne. U nas zagrano to, jako komedyę i okazało się, że przy powolnem tempie i zbyt poważnej interpretacyi, utwór jest nieciekawy, chwilami nawet nudny. We Lwowie grano to jako farsę i podobno dobrze się bawiono. Takie wątpliwości rozstrzygać winien tylko sam autor, ten zaś wypisał w tytule wyraźnie „komedya“; sam się tedy nie poznał na swoim utworze. Dwulicowość literacką kompozycyi znać na charakterystyce głównej osoby, dzierżawcy Władysława Czerskiego. Nowa to na polskich deskach postać, a wprowadzenie jej do piśmiennictwa jest zasługą p. Przybylskiego i świadczy dobrze o jego pomysłowości. Ale w przeprowadzeniu charakterystyki scenicznej jakiż brak precyzyi! Poczciwy Czerski już-to jest poważnym sensatem, już-to błaznuje, jakby clown cyrkowy, raz cnoty wzorem, sposobny na wiejskiego Katona wśród powszechnej szlacheckiej lekkomyślności, to znowu sam letkiewiczem, pozbawionym zastanowienia; chwilami występuje jako Don Juan powiatowy, innym razem sprawia wrażenie skromnego młodzieńca, który tylko udaje bywalca między kobietami, bo się boi, żeby skromność jego nie była wyśmianą; słowem, Czerski sam występuje naprze-

mian już to jako bohater dramatu, już-to jako figura z farsy. Autor chciał niewątpliwie traktować go poważnie, a dodał mu tylko pewne słabostki z przesadnej zapewne obawy, żeby nie był nudnym; w wykonaniu jednakże, słabostki wychodzą nazbyt na pierwszy plan i za wiele zajmują nawet miejsca w tekscie. Sama fabuła prosta: Czerski chciałby bałamucić piękną sąsiadkę, panią Zofię Zadorską, a zakochał się w młodszej jej siostrze, pannie Ewie i Numa wychodzi za Pompiliusza. Ale na tle niewyszukanej fabuły są w charakterystyce osób rozmaite rysy, wcale nie banalne. Sam Czerski nie jest zwyczajną figurą teatralną. Ojciec jego miał wioskę, stracił ją i zaniedbał wychowania dzieci. Władysław rósł jak drzewko w lesie, szkół nie skończył i jest bardzo źle wychowany; w wytworniejszem towarzystwie czuje się skrępowanym i zachowuje się też bardzo niewłaściwie, nietylko co do etykiety; ma on naprawdę ordynarne gusta i dość prostackie sposoby bawienia się; doprowadza do tego, że pan Zadorski wypowiada mu swój dom, boć ten sąsiad oknem wchodzi do ich mieszkania i daje powód do potwornych plotek! Ale w tym Czerskim jest pod chropawą łupiną zdrowe ziarno: postanowiwszy odzyskać rodzinny majątek, nie waha się pracować jak parobek i uważa się już za bardzo szczęśliwego, gdy może wziąć w dzierżawę rodzinną wioskę, zanim po latach, kiedyś, zostanie jej właścicielem. Prócz skłonności do trywialnych zalotów, z którąkolwiek i kiedykolwiek, z panią czy ze sługą, niema w nim żadnej wady ani umysłu, ani serca; gospodarz najlepszy, jak najrządniejszy człowiek i umiejący uszanować wszystko, co szacunku godne. W stosunkach z kobietami trochę szałaputa, trochę próżny i junak, ale bynajmniej nie cynik; zdolny do przejęcia się uczuciem poważnem, patrzy na Ewę zaraz innem okiem i względem pani Janowej przestaje próbować swych sztuczek, a przed Janem Zadorskim, jej mężem, skłania głowę i potulnie przyjmuje od niego nawet surowe skarcenie. To postać nowa i naprawdę ciekawa. Nie jest też wcale banalną Ewa, skoro nie osądziła człowieka zwykłym panieńskim trybem po jego zachowaniu się, lecz dopatrzyła się we Władysławie charakteru i to uważała za rzecz zasadniczą. Obok tych głównych postaci jest szereg drugorzędnych charakterystycznych; jest wiejski ekonom i klucznica, oboje nieźle opisani i dobra sylwetka pachciarza Lejzora Akuratnego. Natomiast sąsiedzi: państwo Rafalscy, stary kawaler Wilkowski i wdowa Miziewiczowa, są tylko karykaturami i to bardzo słabemi, bo humorystyka ich składa się z pierwiastków bardzo banalnych i od dawien już zużytych: polowanie na męża, natręctwo, plotkarstwo i t. p. A te właśnie karykatury dodają utworowi najwięcej akcyi, podczas gdy od Zadorskich i Czerskiego płynie jej niewiele. To właśnie jest słabą stroną utworu, który choruje na to, że jest ziemno-wodny, ni to komedya, ni

farsa i dlatego dłuższego życia na scenie mieć nie mógł. Godzien bądź co bądź lepszego losu, dałby się dosyć łatwo przerobić na komedyę.

W grze artystów położono nacisk na poważne strony tekstu, na przywiązanie do rodzinnej wioski, do ziemi ojców i dziadów, na szlachetne tradycye, pilnowanie ogniska domowego, żeby na nie nie padł najmniejszy cień i na pierwszeństwo charakteru przed poprawnością form towarzyskich. *Dzierżawca z Olesiowa* był grany, jako komedya, i to komedya poważna, znakomicie, lecz jako farsa zupełnie niewłaściwie. Nawet karykaturalne role sąsiadów wykonano bez werwy, z wyjątkiem tylko jednej p. Wojnowskiej, jako Miziewiczowej. Odznaczył się jednak p. Roman w roli tytułowej; tyle było serdecznego ciepła w tym jego dzierżawcy, a postać tak znakomicie ujęta, że ten występ może sobie artysta zaliczyć do popisowych. Ustępy tchnące farsą grał nader umiarkowanie i zawsze w ten sposób, że znać było, że zewnętrzne prostactwo jest tylko naleciałością przygodną, wynikłą ze zbiegu okoliczności, ale bynajmniej nie pochodzi z prostactwa duszy; umiał pobudzić do śmiechu, ale nie budził nigdy odrazy do swego bohatera. Z głównych ról tylko ta jedna była zagrana bezwzględnie dobrze. Wszystkie inne były wykonane nazbyt poważnie, czasem nawet aż ciężko. W roli Zadorskiego zaszedł p. Węgrzyn aż do dramatu, a towarzyszyła mu p. Bednarzewska; i p. Przybyłkówna w roli Ewy była za ostrożną; tę dziewczynę dobrzeby było przedstawić, jako „kozaka“. Bardzo dobrze udały się charakterystyczne role ekonoma p. Puchalskiemu i p. Wójcickiej rola gospodyni.

Następne dwie premiery zawdzięczamy konkursowi dramatycznemu, ogłoszonemu przez Wydział Krajowy i co dopiero rozstrzygniętemu. Nowa Dyrekcya zachowała chwalebną i godną uznania zasadę poprzednika, żeby utwory nagrodzone na konkursie wystawiać jak najprędzej. Ujrzeliśmy tedy jednej soboty po drugiej i *Zmory*, odznaczone nagrodą pierwszą (wszystkiego razem 500 złr.), i *Dyletantów*, zdobywców nagrody drugiej (250 złr.). Publiczność jest tak źle uprzedzona do konkursów, a zwłaszcza do tych konkursów, że z góry zwykło się uważać utwory odznaczone za — słabe, do tego stopnia, iż zrazu ta nagroda tworzy jakby jaki dar Danaów; powstał przecież dowcip, że autor, odznaczony przez Wydział Krajowy, nie powinien się uśmiercać ze zgryzoty, bo może się jednak zdarzyć, że utwór jego ma wartość pomimo to, że go nagrodzono. I tym razem posypały się znowu dowcipy, gratulacye w formie kondolencyj można było czytać nawet w pismach, a jedno bardzo poważne pismo jęło się nawet tłómaczyć i przekładać autorowi, że przecież niema w tem nic złego, żeby być zwycięzcą na konkursie... wychodząc widać z założenia, że autor pewnie lamentuje i wstydzi się trochę! Co ta humorystyka ma znaczyć? Oto nikt niema

zaufania do tych konkursów właśnie dlatego, że je urządza Wydział Krajowy i z tego powodu niechęć za niepowodzenia konkursowe spada nie na autorów i nie na jurorów, ale odrazu i niepodzielnie na rząd krajowy. Publiczność ma zaś najzupełniejszą słuszność, że w tym wypadku niema zaufania; bo czyż nie jest zabawnem samo zestawienie tych dwóch pojęć: rząd i — poezya! Cała kwalifikacya rządu do poezyi dramatycznej zaczyna się i kończy zarazem na tem że powinien na nią dać pieniędzy. Jakkolwiek za 250 złr. rocznie nie wykrzesze się w Polsce wielkiego dramatu (stanowczo niżej kosztów!), jednakże niema w tem nic złego, że Wydział Krajowy coś na to łoży i nie byłoby nic złego, gdyby tę kwotę zdwoił. Ale nie powinien rząd krajowy sam tych konkursów urządzać i niemi kierować, nie powinien brać na siebie najmniejszej odpowiedzialności za użycie tych pieniędzy; należałoby wybrać do tego jaką instytucyę, czy to Akademię, czy stowarzyszenie jakie literackie i na nie całą odpowiedzialność złożyć, ograniczając się do roli kasyera. Nie obala tego zapatrywania okoliczność, że faktycznie rozdaje nagrody nie Wydział Krajowy, lecz jury; po pierwsze bowiem jurorowie są mianowani przez Wydział, a powtóre—cała rzecz dzieje się w urzędowych ramach, niemal biurokratycznie i bądź co bądź pod kierunkiem jednego z członków Wydziału, a zatem osoby w tym wypadku zupełnie niepowołanej. Zdarzyło się raz, że pierwszą nagrodę dostał utwór, którego żadna scena grać nie chce, z którego śmieją się sami członkowie ówczesnego jury!... Wynik bowiem takiego konkursu zależeć będzie zawsze od szeregu nieobliczalnych drobnostek, od wzajemnych usposobień i stopnia wzajemnej grzeczności członków rządu i członków ankiety. Choćby rząd galicyjski zachowywał wobec konkursu jak najprzesadniejszą ostrożność, odpowiedzialność zawsze się zrzuci na niego, skoro on konkurs urządza i obradami kieruje, a wobec tego ma możność wpływania na jego rezultat; to publiczności wystarcza. Podnosimy to właśnie dlatego teraz, bo zaręczyć można uroczyście, że tym razem nieznawcy wcale się do rzeczy nie mięszali; nie mając tedy na myśli nic a nic innego, jak tylko rzecz samą, tem śmielej poruszamy sprawę, że nie leżą na stole żadne nożyce.

Jeszcze jedna zasadnicza uwaga co do konkursów. Właściwie wszystkie a wszystkie konkursy są niepotrzebne, tak naukowe, jako też artystyczne. „Wspierać naukę i sztukę“, to jest tylko taki sposób mówienia, ale to — biorąc ściśle — znaczyć ma: wspierać uczonych i artystów; jeżeli bowiem tego nie znaczy, natenczas jest tylko czczym frazesem i po prostu powiedziawszy — blagą, chociaż mimowolną. Twórcę zaś popierać trzeba, z a n i m wyda arcydzieło, inaczej bowiem pomoc będzie albo niepotrzebna, albo spóźniona i illuzoryczna. Jeżeli Sejm pragnie pomódz polskiemu dramatowi, niema na to innego spo-

sobu, jak przez dostarczenie pomocy pisarzom. Najzdolniejszy autor nie pośle niczego na konkurs, jeżeli przez dłuższy czas przed konkursem niema do roboty czasu, czyli pieniędzy, jeżeli się musi zajmować chodzeniem za zarobkami. To chyba jasne! Autor zamożny (niema dotychczas ani jednego!) o nagrodę się nie ubiega, autor niezamożny zazwyczaj niema czasu, a więc konkursy dramatyczne są przedewszystkiem dla dyletantów dramaturgii; wyjątkowo tylko, nader rzadko, znajdzie się wśród niezamożnych taki ryzykant, który sobie powie stanowczo: *aut-aut* i niedoje i niedośpi przez rok dla obesłania konkursu! Jest na tę potrzebę rada inna, a nie nowa, dana już przez ś. p. ks. Jerzego Lubomirskiego, człowieka niepospolitego rozumu, który utworzył fundacyę dla dramaturgów, obmyśloną bardzo rozumnie i praktycznie, a zarząd jej powierzył Akademii Umiejętności. Fundacya przepadła, a wartoby ją uskutecznić i dałoby się to łatwo przy współdziałaniu Sejmu, publiczności i samychże literatów; na tę fundacyę najlepiej też byłoby oddać dotacye konkursowe.

Czy tym razem krytyka potwierdzi orzeczenie jurorów, okazać się będzie mogło dopiero, gdy ujrzymy na scenie utwory nietylko nagrodzone, ale też zalecone do grania, które nam Dyrekcya zapewne stopniowo wystawi, o ile tylko będzie to wykonalne. Z nagrodzonych utworów ani jeden, ani drugi nie jest „bezwzględnie dobry“. Ale też trzeba z góry zaznaczyć z tem większym naciskiem, że choćby najlepszy dobór jurorów na produkcyjność konkursów wpłynąć w niczem nie może.

Pierwszą tedy nagrodę otrzymała sztuka współczesna w 4 aktach a 5 odsłonach p. Sydona Friedberga p. t. *Zmory*. W poprzednim co dopiero numerze zaznaczyliśmy, co sądzić o tem, że autorowie utwory swe oznaczają coraz częściej nazwą „sztuk“; jest w tem brak ścisłości, co więcej, rozmyślne stronienie od ścisłości, jak gdyby autor chciał zaznaczyć, że sam sobie nie zdaje jeszcze należycie sprawy z przedmiotu i ze swego całego stosunku do literatury. Treść *Zmor* składa się z trzech części: z charakterystyki stosunków społecznych galicyjskich, z małżeńskiej zdrady i z defraudacyi. Z tych trzech podjętych przez się zadań wywiązał się autor rozmaicie: bardzo dobrze z pierwszego, drugie nakreślił słabo, a trzeciem zeszpecił i zepsuł całą swoją robotę.

Zaczyna się akt pierwszy od długiej i nudnej rozmowy Jadwigi Murskiej, żony fabrykanta na prowincyi, z miejscowym lekarzem dr. Maciejką. Celem rozmowy: poinformowanie czytelnika o stosunkach, wśród których ma się odbywać akcya. Środek to już stanowczo przestarzały; faktura postępowa wymaga, żeby nawet tej pierwszej informacyi udzielać w akcyi i wśród akcyi, a kto tego nie potrafi, ma inny sposób, wcale nie trudny: należy tę rozmowę rozbić na kilkanaście krótkich

ustępów i porozmieszczać je (oczywiście odpowiednio zmienione) w różnych miejscach pierwszego aktu. Do informowania widzów nadają się bardzo dobrze wszelkiego rodzaju figury epizodyczne; kilku oderwanemi słówkami, nieraz prostym wykrzyknikiem osiąga się ten cel i łatwiej i zręczniej, niż taką na urząd zrobioną rozmową. Dowiadujemy się tedy, że Stefan Murski założył fabrykę własnemi siłami i prowadził ją bardzo dobrze, znając się należycie na rzeczy; jest też dzielnym człowiekiem, polegającym przedewszystkiem na sobie samym, i zacnym zarazem, bo prawdziwym ojcem robotników. Fabryka jednak upada, bo nietylko niema żadnego poparcia, ale nawet doznaje szykan, a to wszystko tylko dlatego, że Murski nie umie czapkować przed powiatowemi Jasnościami. Zagrożony zupełną ruiną, ratując swe dobre imię i chleb dla robotników, musiał się wkońcu ugiąć i udać w opiekę Jaśnie Wielmożnego Turowicza. Odrazu wszystko się zmienia, cały ogół interesuje się fabryką, cały powiat zbiera swe siły, żeby fabrykę ocalić; wszyscy są do dyspozycyi, od „intelligentników“ aż do „chałatowców“, a wszystko to na komendę Jaśnie Pana. Pomocy swej udziela jednak Turowicz pod warunkiem, że rzecz urządzi się według jego życzeń. A więc powstaje spółka akcyjna (o akcye ludzie się dobijają!) z radą nadzorczą i dyrekcyą. Prezesem być raczy Jasny Pan, on sam wyznaczy dwóch dyrektorów, których walne zebranie akcyonaryuszów musi wybrać bez opozycyi, bo inaczej on się cofa! I jeszcze jeden warunek, żeby jakiegoś jego kuzynka przyjąć na kasyera; ten kuzynek, Janiński, niema studyów, jest utracyuszem i hulaką; udaje bogacza, a żyje głównie z tego, że zwykł „zarywać“ ludzi. Chcąc pewnie, żeby się ustatkował, korzysta Turowicz ze sposobności i zapewnia Janińskiemu posadę z płacą 4000 złr. Murski pozostanie w fabryce jako jej trzeci dyrektor i będzie pobierać 6000 złr. Cóż to zacz, kto to taki, ten potentat Turowicz, tak bardzo Jaśnie Wielmożny? I tu odkrywamy w autorze niepospolitą *vis comica:* nie dał na tytana powiatowego żadnego oklepanego hrabiego, nie sięgnął wcale do arystokracyi. Turowicz jest tak samo Jasnym, jak łaszący się koło niego adwokat, notaryusz i sędzia: on jest generalnym pełnomocnikiem księcia, posiadającego dobra w tej okolicy i na tem koniec jego wielkopaństwa! Obserwacya, niestety, zupełnie trafna. Po co Galicyanom imponować hrabią, skoro wystarczy im pokazać guzik od hrabiowskiego ubrania, żeby się plackiem rzucili i wybijali hołdy! Niestety, cały kraj obsiany jest formalnie takimi Turowiczami, a ogół uważa ich rzeczywiście za wyższych ponad wszelką krytykę. Dziwna rzecz, że ten typ teraz dopiero wszedł do literatury; chyba dlatego, że do obserwacyi łączyła się niechęć stanowa i chłostano arystokracyę, zamiast arystokratomanii.

Murski kochał się niegdyś w pannie Zofii; rodzice nie chcieli mu dać panny, bo miał opinię lekkomyślnego młodzieńca. W jaki sposób wyrósł następnie na dzielnego i poważnego mężczyznę, niewiadomo. Panna Zofia wyszła zaś za Janińskiego, który widocznie tedy był za młodu rządny i stateczny; dlaczego się potem zmienił, także niewiadomo. Wszelkie zaś niewiadome są w dramacie błędem i dowodem niedostatecznego przygotowania się autora. Niespodzianie tedy odnajduje Murski dawną narzeczoną w żonie swego kasyera i zaraz zaczyna się romansowanie, a ona staje się bez najmniejszej walki jego kochanką. Trwa ten stosunek trzy lata. Tymczasem Janiński kradnie, dzięki brakowi kontroli. Buchhalter uważa za pewne, że w kasie dzieją się nadużycia, domyśla się też tego Murski, ale toleruje je milczeniem przez wzgląd na swój romans z żoną defraudanta. Tu związek przyczynowy nie zupełnie jasno się przedstawia i to jest głównym błędem w charakterystyce. Nareszcie jednak sprawki Janińskiego muszą wyjść na wierzch, ale równocześnie wykrywa się stosunek Murskiego do jego żony. Murski dawno już chciałby zerwać, ale nie mógł (dlaczego? — niewiadomo; wszak to ma być tęgi charakter?); zdobywa się wreszcie na energię i zrywa, odmawiając podpisu na jakimś fikcyjnym akcie, którymby się Janiński mógł zasłonić w obec sądu. Kasyer uwięziony, prezes wyjeżdża, fabryka zrujnowana, niema nawet czem opłacić robotnika. Murski zostaje na posterunku, ale popada w ciężką chorobę mózgową, nie mogąc przenieść na sobie równoczesnej ruiny nietylko swego dzieła, fabryki, ale też i swego ogniska domowego; doszło już bowiem do tego, że bezwstydna Zofia mówi w oczy impertynencye jego żonie! Ocalenie chorego zawisło od absolutnej ciszy, żeby nie przerwać snu; a tu w sam raz pozbawieni zajęcia robotnicy, przychodzą urządzić demonstracyę pod oknami, co więcej, wybijają szyby, a nawet wpadają do pokoju chorego. Murski tedy umiera — i na tem koniec dramatu. Losy Murskiego zawisły od przypadku; gdyby Janiński nie był okradł kasy, romansowałby sobie dalej spokojnie; żyłby, gdyby okna sypialni wychodziły na drugą stronę. W życiu tak się zdarza, ale nie wszystko z życia nadaje się do dramatu. Dzieło sztuki musi mieć harmonię i spójnię organiczną, a tego w *Zmorach* zupełnie brak. Pierwszorzędne znaczenie mają w tym utworze nie wola bohatera i walka o narzucenie tej woli otoczeniu, ale epizodyczne przygody: one akcyę wytwarzają, a kierują nią drugoplanowe figury, głównie Janiński, podczas gdy Murski zachowuje się zgoła biernie W epizodach też tylko okazał się talent autora; jest ich długi szereg, niejeden opracowany zupełnie dobrze, jak n. p. zebranie u robotnika Romla (odsłona czwarta), a niektóre doskonale, a nawet znakomicie, jak n. p. niezrównane posiedzenie komisyi szkontrującej (odsłona druga). Charakterystyka figur

drugoplanowych jest po większej części wyborną, n. p. Romla, buchhaltera Czółki, Turowicza i jego otoczenia; każdy z nich przedstawia się zupełnie jasno, podczas gdy osoby główne są zamglone. Autor ma widoczny talent do komedyi obyczajowej, i tego zakresu nie przekraczając, mógłby się wykształcić na dobrego pisarza. *Zmory* do literatury nie należą całkiem, są tylko sceniczną efemerydą, skazaną na zapomnienie po za jednym sezonem. Miejmy otuchę, że p. Friedberg zaniecha całkiem pisać „sztuki“, a napisze nam za najbliższym razem komedyę i ta będzie z pewnością znacznie lepszą od *Zmor*.

Wystawiono ten utwór starannie i grano bardzo dobrze. Odznaczył się p. Mielewski w roli Murskiego; z największą przyjemnością stwierdzić można, że artysta ten wszedł w ostatnim czasie jakby w nowy okres rozwoju swego talentu; tym razem nie było już w jego roli nic a nic sztywności. Blado bardzo skreśloną w tekście Jadwigę ożywiła swą grą p. Bednarzewska. Było to zarazem jej benefisowe przedstawienie, a publiczność nie zaniedbała sposobności, żeby wyrazić jej uznanie za tę sumienną pracę, dzięki której w ciągu ledwie kilku lat z początkującej niemal wyrosła w naszych oczach na artystkę nietylko bardzo użyteczną, bo o repertuarze rozległym, ale też rzeczywiście bardzo dobrą, a czasem nawet znakomitą. Był też oprócz rzęsistych oklasków, długi rząd bukietów i wieńców, ale to się już w teatrze rozumie samo przez się. Janińskiego rolę wykonał świetnie p. Roman, a p. Siennicka była w swoim żywiole, grając wybornie Zofię. Doskonale się udały charakterystyczne figury Turowicza (p. Węgrzyn), adwokata (p. Sobiesław) i naczelnika sądu (pyszny typ p. Przybyłowicza z oryginalną dykcyą); nie tak już dobrze udała się p. Solskiemu rola lekarza, bo choć utworzył typ, ale nadużywszy środków scenicznych, mających wyrażać flegmę, sprawił, że rola była dla publiczności nużąca. Notaryusz p. Stępowskiego był przy tych rolach słaby i szablonowy. Świetnie grał p. Popławski dozorcę fabryki, Romla, nadto jeszcze wywiązali się dobrze z ról drobniejszych p. Węgrzynowa, jako matka Romla i p. Senowska w roli żony jednego z robotników, tudzież pp. Jednowski, jako buchalter Czółko i p. Puchalski, jako propinator Abram.

Utwór, odznaczony drugą nagrodą, jest również efemerydą sceniczną i do literatury nie wejdzie: *Dyletanci*, studyum sceniczne w 4 aktach przez Zofię Wójcicką. „Studyum“, a zatem rzecz nie wykończona, pisana tylko *privatissime* dla ćwiczenia się; zkądże się tedy utwór wziął na konkursie, skoro autorka sama uważa go tylko za studyum? Przecież na studya nie ogłasza się konkursów! Nie mamy wcale zamiaru chwytać za słówka, ale radzibyśmy wiedzieć, co w tem za cel, co za powód, co za korzyść dla literatury, żeby tytuły utworów mieściły w sobie niekonsekwencye? A czy może nie jest to — sadze-

niem się na jakiś szczególny, wyszukany tytuł? Dla *Dyletantów* najwłaściwszem oznaczeniem byłoby: „kisielewszczyzna w 4 aktach“, gdyż utwór ten jest naśladowaniem maniery p. Kisielewskiego.

Treść jest pogonią za czemś niezwykłem i opiewa też zdarzenia wręcz niemożliwe. Oto jakiś artysta, pijak (znowu!!) i niespełna rozumu, przykazuje umierając swym dzieciom, żeby przynajmniej jedno z nich poświęciło się sztuce. Czyż nawet w chwili śmierci był pijany, żeby nie pytać o zdolności i powołanie? Jeżeli zaś upatrywał je w swych dzieciach, w takim razie wskazał chyba, jakiej sztuce każde z nich ma się poświęcić, boć sztuka jest rozległa, sięga od muzyki do architektury! Umarł i dzieci wychowała matka, kobieta fizycznie i moralnie trzeźwa, a więc dzieci będą ochronione od przywidzeń? Matka je wychowola, ale one jej nie słuchają, a zwłaszcza Janina, która razi zupełnym brakiem uszanowania dla matki; zamiast ją za to skarcić, pasuje ją autorka na bohaterkę! Matka w tym cudacznym domu nic nie znaczy, tylko przewiewa po tych komnatach pamięć ojca (pijaka) i nastrojowe tchnienie przekazu jego woli (waryata). Wyższy dyapazon umysłu córki rządzi tu ową kreaturą poziomą i niższego rzędu, jaką jest zabagniona w poziomej gospodarskiego żywota ciasnocie rodzicielka. Zawojowała też brata; bo ta gburowata dla matki dziewczyna, to wielki duch, przed którym pan Stanisław, choć już inżynier, lekki na wadze umysłu, jak puch, czeka z jej ust podmuchu, żeby się skierować, gdzie każe familijny Szaman w spódniczce. Janina kazała inżynierowi popełnić utwór dramatyczny, on popełnił (zapewne „sztukę“) i posłał na konkurs, lecz nie dostał ani nawet wzmianki. Widzowie czekają, że się zastrzeli, ale on nagle dostał rozumu, przestaje słuchać Szamana, przypomina sobie, że jest właściwie inżynierem i jedzie na posadę. Tak przepadł dla górnych lotów, tak skończył marnie w srogiej inżynierskiej poezyi antytezie. Skoro brat wyrzeka się sztuki, ona go zastąpi, ona się poświęci na artystkę. Z końcem I-go aktu nie wie jeszcze, jaką sztukę wybierze (muzykę czy architekturę?), po namyśle skończyło się na tem, że zostanie aktorką. Ale debiut się nie udał! Lecz ród Jastrzębców artystycznym być musi! Jest jeszcze nieletnia Winia, która zarzempoliła sobie przypadkiem na skrzypcach; Janina odrazu odgaduje w niej wielki talent, i tym razem nawet wiadomo, do czego, t. j. do muzyki. Ona będzie artystką! Matka, pozwalająca dotychczas potulnie wywracać córce dom do góry nogami, nagle dostaje rozumu i sprzeciwia się; nie da Wini zawracać głowy artystyczną karyerą. W serdecznej a poważnej rozmowie wyłuszcza wszystko Janinie i mówi o ojcu nagą prawdę. Podsłuchała to Winia i gdy noc zapadłą, pali fotografię ojca; potem zapada w chorobę mózgową i traci nawet wzrok. Musi być koniec

dramatu, gdyż nieboszczyk Jastrzębiec nie miał już więcej dzieci: Janina rezygnuje i godzi się z matką.

Wszystko to od początku do końca jest zupełnie a zupełnie nieprawdopodobne; ludzie zdrowi na umyśle wcale się tak nie zachowują, to też cała ta fabuła i cały ten „nastrój“ są kompletnie wyssane z palca. Autorka widocznie zna świat li tylko z książek, a nikt jeszcze nie napisał dobrego dramatu na podstawie lektury! Na to trzeba znać życie z bezpośredniej, własnej obserwacyi, czyli: trzeba mieć spory zasób doświadczenia i wysnutych z tego własnych zapatrywań na świat i ludzi. Tego zaś w *Dyletantach* niema najmniejszego nawet śladu; przeciwnie, znać na każdym kroku poglądy arcynaiwne. Nie przynosi to najmniejszej ujmy autorce, owszem, może być nawet zaszczytnem, ale do napisania dobrego dramatu czyni ją na razie niezdatną. Nie można nawet z *Dyletantów* orzec, czy autorka wogóle talent do tego posiada, bo ani treść, ani forma nie jest własnym dorobkiem; a gdy się zdobędzie kiedyś na treść, zaczerpniętą z własnego na życie poglądu i z własnej obserwacyi świata, gdy się pozbędzie naśladowania cudzej maniery, niesposób przewidzieć, jakiem to będzie. Orzeczenie zaś o talencie wydawać można tylko na podstawie tego, co jest w autorze indywidualnego. Autorka *Dyletantów* nie posiada jeszcze własnej indywidualności i znajduje się jeszcze widocznie w samym środku studyów, przerwanych niepotrzebnie publicznym występem. Gdyby krytyka, kierując się fałszywą grzecznością, czyli zdrożnem pochlebstwem, pochwaliła *Dyletantów*, mogłoby to fatalnie oddziałać na autorkę i studya dalsze — zagwoździć; lepiej tedy bądźmy uczciwi i mówmy prawdę. Tutaj trzeba jeszcze studyów bardzo wiele, a co ważniejsza, trzeba w dalszych studyach zupełnie zmienić metodę i nie sądzić już świata według książek, lecz książki według świata. Wprawy stylistycznej posiada autorka bardzo dużo, umie ułożyć dobrze dyalog, a nawet umie ustawiać osoby na scenie lepiej od niejednego autora; ale cóż z tego, skoro nie umie zajrzeć do ludzkiej duszy, czyli: niezna się nic a nic na ludziach. Wyobraża sobie ich tak jakoś dziwnie, jak gdyby ludzi normalnych zamierzała uważać za nieprawdziwych.

Utwór ten ma dużo ról, a odegrano je wybornie. Świetną była p. Senowska w roli matki, również p. Morska w roli Janiny. Inżyniera grał p. Tarasiewicz. Z początku nie wiedział trochę, co z tym fantem począć i wszedł na scenę z nowiną o przegranym konkursie, wylękły niemal, jakby Kordyan wobec widm; potem jednak grał dobrze, a w drugim akcie w scenach miłosnych bardzo pięknie. Inżynier ten bowiem kocha się w aktorce, a to zupełnie po studencku; aktorka przechodzi przez (wyimaginowaną, nieistniejącą w życiu) walkę pomiędzy sztuką a kobiecością, nie chce opuścić desek, nie chce być żoną

inżyniera na partykularzu; on naiwny, niema pojęcia o życiu aktorskiem i ztąd straszny (na papierze, książkowy) konflikt dramatyczny, gdy się dowiaduje z jej ust, że ubóstwiana Irena ma za sobą przeszłość rozmaitą; ona zaś, żeby się ocalić dla sztuki, żeby zerwać zupełnie z tym inżynierem, oddaje się bogatemu wielbicielowi (to z poświęcenia dla sztuki!) Rodomontadę tę ocalili swą grą p. Tarasiewicz z panną Przybyłkówną, grając tak świetnie, że widząc ich, gotów był widz uwierzyć, że to wszystko prawda, t. j. zapominał na chwilę, że ma przed sobą stek niemożliwości. A zwłaszcza p. Przybyłkówna była znakomitą pod koniec drugiego aktu. Rolę Wini objęła p. Czechowska; grała poprawnie, ale bezdusznie i zawsze tak, że się przewidywało, ile razy miało się stać coś złego; niepotrzebnie też naśladowała p. Trapszównę z *Dzikiej kaczki*. Bardzo dobrze grała p. Węgrzynowa rolę Nielskiej, niegdyś aktorki, która wyszedłszy zamąż została w końcu garderobianą (związek?). Dwie aktorki odwiedzają debiutującą Janinę w garderobie: jednę grała świetnie p. Wojnowska, drugą p. Sulima o tyle dobrze, że była to najlepsza ze wszystkich jej ról dotychczas. Występuje jeszcze kilka osób: aktora Borskiego grał zręcznie i dobrze cieniując p. Mielewski, szablonowego muzyka Ramskiego p. Jednowski, jak tylko się dało, rezonującego o sztuce chemika (tak!) Staszaka p. Solski dosyć charakterystycznie, drugiego aktora Miłosza p. Roman z doskonałem zacięciem. Jest wreszcie jeszcze jedna postać, bez której teraz sztuki napisać ani rusz! Jest malarz pijanica, jest! (Bardzo mądry człowiek, on nawet rozwiązuje akcyę w IV akcie, po pijanemu, ale trafnie). P. Kamiński dokazał sztuki i wymyślił zupełnie nowego artystę alkoholika, o co nie łatwo w tych czasach, skoro regularnie co tydzień typ ten pojawia się na scenie. Była już mowa przy innej sposobności, że ten typ malarza jest prostym wybrykiem imaginacyi.

Nadto mieliśmy w tym miesiącu jedno przedstawienie operowe. Opera lwowska odśpiewała *Fausta* Gounoda na dochód stowarzyszenia, które nazwało się potwornie po galicyjsku uszy polskie obrażając „Związkiem jubileuszowym celem niesienia pomocy córkom funkcyonaryuszów c. k. kolei państwowej.“ Śpiewali: Faust — p. Myszuga; Mefisto — p. Jeromin; Małgorzata— p. Bohussówna (zadziwiające znowu postępy); Walenty— p. Szymański (słabo); Siebel — p. Szydłowska (bardzo słabo); Marta — p. Skalska i Wagner — p. Kiczman. „Sztuka“ bardzo się podobała; malarz w niej nie występuje!

Dr. Feliks Koneczny.

Przegląd polityczny.

Kraków, 30 kwietnia 1900 r.

Trzy dni w końcu grudnia, potem dziesięć dni pod koniec marca, potem znowu dziesięć dni pod koniec kwietnia — oto co się okroiło Sejmowi z niezmordowanej nieczynności Rady państwa. Jak ten, znany z przysłowia, co i sam nie zje, i drugiemu nie da, tak Rada państwa i sama nic nie robi, i drugim przeszkadza. Fatalna uległość rządu przed obstrukcyą Niemców w r. 1897 mści się na państwie, a pośrednio daje się we znaki wszystkim krajowym sejmom i krajowym potrzebom. Pozwolono raz sparaliżować ciało prawodawcze i ten paraliż nie ustępuje na rozkaz. Sztucznie, z niemałem wysileniem, dało się to ciało doprowadzić do wykonania niektórych ruchów, ale władzy w rękach i nogach nie odzyskało; a dlatego, że ono się nie rusza, muszą stać na miejscu tacy, którzy ruszać się i chcą i mogą. Że Sejm w takich warunkach mógł to tylko zrobić, co było nieodzownie koniecznem, a nie miał czasu na to, co potrzebne, co wskazane jako postulat przyszłości, nic dziwnego. Nie jego wina. Owszem, tego skąpo udzielonego czasu użył jak mógł najlepiej, a miejmy nadzieję, że nie bezskutecznie. Waga czynności spoczywała na kwestyach ekonomiczno-społecznych. Ten charakter sesyi był wyraźny i był dobry, odpowiadający położeniu i potrzebom kraju. Najdonioślejszym wyrazem dążenia do poprawy w tym kierunku był wniosek posła Hupki, o ograniczeniu podzielności gruntów włościańskich. Celem jego, zbyt widocznym, żeby go tłómaczyć

trzeba, była ochrona małej własności od zbytecznego rozdrobnienia, które w następnych pokoleniach musi prowadzić mnóstwo rodzin do zupełnego wyzucia z ziemi. Opozycya zjawiła się dość silna. W dobrej wierze ze strony włościan, kiedy mówili, że wolą dzieciom zostawić choć po jednym zagonie, niż jednemu grunt, a drugim nic—w niedobrej wierze ze strony ich doradców, którzy tłómaczyli i wmawiali, że to ograniczenie wolności, gwałt zadany woli ojca i właściciela i t. p. W dobrej, jak w złej wierze, opozycya uzasadnioną nie była, bo owo *minimum* gruntu, którego podzielność już przekraczać nie może, postanowione jest we wniosku w razie tylko beztestamentowego zejścia rodziców. Mają oni więc wszelką wolność rozporządzenia swoją własnością i dzielenia jej w testamencie, jak im się podoba. Że zaś utrzymanie ziemi w rękach włościan wymaga koniecznie jakiegoś ograniczenia podzielności gruntów, to jest jasne, jak słońce. Interes kraju schodzi się tu zupełnie z interesem stanu czy rodzin.

Ale u posłów włościańskich myśl ta popularną nie jest. Potrzebę widzą i rozumieją; nie mają ufności i ochoty do tego środka. Szukają innego. Skutkiem tego szukania był wniosek posła Potoczka o włościach rentowych. Bardzo dobry, bardzo potrzebny; ale z natury rzeczy pomocniczy tylko, uboczny, nie wystarczający. W myśli wnioskodawcy i jego towarzyszy, miał on zastąpić projekt ograniczenia podzielności i uczynić to ograniczenie niepotrzebnem. W tem jest złudzenie. Jedno przy drugiem może być skutecznym środkiem zaradczym; samo jedno nie wystarczy żadne.

Ciekawą odpowiedzią na wniosek Hupki był wniosek Wójcika, podpowiedziany oczywiście przez *Przyjaciół ludu*. Na *minimum* własności mniejszej trzeba odpowiedzieć przez *maximum* własności większej. Kiedyście tacy troskliwi o ziemię w ręku chłopa, to nie trzymajcież jej sami więcej nad dwa tysiące morgów w jednem ręku, a resztą obdzieli się chłopów wielu i dostaną po sporym kawałku ziemi. Jaki duch wieje z tego wniosku i jakie byłyby jego same już tylko ekonomiczne skutki, nie mówiąc o innych, to jasne. Sejm zrobił sprawiedliwie, kiedy wniosek odrazu odrzucił, nie odsyłając go do komisyi. Ale oznaka jest ciekawa, i wielka

myśl polityczna Wójcika, czy kogo innego, może się stać hasłem i środkiem do bałamucenia i uwodzenia umysłów.

Naszem zdaniem, tak samo, jak z tym wnioskiem Wójcika, mógł był Sejm postąpić z wnioskiem p. Romanowicza o reformę wyborczą, utworzenie piątej kuryi i t. p. Kiedy się wniosek ten ukazał po raz pierwszy, mówili przyjaciele polityczni wnioskodawcy do przeciwników: „Myśmy to podpisali, bo wiemy, że wy tego głupstwa nie uchwalicie“. To świadectwo, z ust wybitnych członków „Stronnictwa demokratycznego“, daje miarę wartości pomysłu i opinii, jaką on się cieszy. Po doświadczeniach Rady państwa, pomysł okazuje się jeszcze bardziej ponętnym, a wniosek tem więcej dla kraju obiecującym!

Wielka sprawa reformy ustaw gminnych i reformy admistracyjnej nie do czego innego zmierza, jak do społecznej równowagi, administracyjnego porządku i ekonomicznego postępu. Ten rozkład, który jest i zwiększa się, nie byłby się tak rozwinął, gdyby w r. 1876, gdyby jeszcze w r. 1881, jego przyszłe a prawie nieuniknione niebezpieczeństwo było lepiej i powszechniej zrozumianem. Zrozumienia jest dziś nierównie więcej; uczucie, że tak, jak jest, jest źle, i że jakaś rada jest koniecznie potrzebna, stało się niemal powszechnem. Pojęcie tej rady na zle jest dotąd różnem — choć zaprzeczyć nie można, że różnice zmniejszają się znacznie. U posłów włościańskich, jak u ludności włościańskiej w ogóle, jest ono ciasnem. W reformie ustawy gminnej widzą tylko jedną rzecz i jeden cel: zrzucić wielką część ciężarów gminnych na dwory. Ztąd ulubione hasło prostego połączenia gromad z dworami w jednej gminie. Myśl ta znajduje naturalnie silne poparcie opinii „liberalnej i postępowej“. Ta, trudno uwierzyć, by na prawdę myślała, że taka gmina może być dobrą gminą; ale obstaje za taką, bo przez to zyskuje popularność i wpływ u opinii włościańskiej, a w dalszej perspektywie widzi praktyczny pożytek w obarczeniu i przeciążeniu „obszarników“.

Oprócz tego stanowiska zasadniczo różnego, są inne, które skutkiem i miejscowych na Rusi stosunków i kosztów gminy zbiorowej, nie skłaniają się dotąd do przyjęcia zasad, objętych wiadomym *Zarysem władz administracyjnych*

z r. 1871. Jednak zbliżenie okazało się już znacznie posuniętem. Kiedy kółko posłów krakowskich zapowiedziało na początku bieżącej sesyi, że zamierza swój stary wniosek i teraz ponowić, druga grupa sejmowej prawicy, Klub Rolniczy, okazał się tej myśli bardzo przychylnym. Klub autonomistów (podolski) nie odrzucał jej wprost, ale wątpliwości i zarzutów miał dużo. Przemógł je jednak o tyle, co z wdzięcznością dla niego i dla jego przewodniczącego, hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, zapisać należy, że w przedwstępnych naradach wypowiedziawszy swój sposób widzenia, nie sprzeciwił się wniesieniu sprawy i głosował za odesłaniem wniosku do Wydziału Krajowego, z poleceniem zdania sprawy na najbliższej sesyi sejmowej, a to wbrew swojemu życzeniu, iżby sprawa przeszła naprzód przez obrady w komisyi gminnej.

Miejmy nadzieję, że przyszła sesya sejmowa będzie mogła zająć się najważniejszą sprawą i doprowadzić ją do szczęśliwego końca. Jeżeli się tak stanie, to zasługa przypadnie temu, który jak przed laty blizko trzydziestu był inicyatorem reformy gminnej i administracyjnej, jak przed laty dziewietnastu, będąc ministrem, chciał spowodować jej szczęśliwe załatwienie, tak teraz powagą swego rozumu i słowa wywarł silne wrażenie na wszystkich i przeważył szalę na stronę powziętej uchwały. Rzadko kiedy był Dunajewski tak świetnym, nigdy nie był świetniejszym, jak tego 28 kwietnia, kiedy uzasadniał swój wniosek.

Można zapewne pomyśleć, że to wszystko to są dopiero początki, kiedy sprawy powinnyby już dawno być skończone. Ale i dobry początek jest czemś, a dalszy ciąg po nim, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nastąpi, więc można szczerze powiedzieć, że Sejm zrobił na tej sesyi co mógł i to mu wziąć za zasługę.

Dzienniki pisały o odbytych posiedzeniach *Koła sejmowego*, zatem i nam wspomnieć o nich wolno i należy. Koło sejmowe, łącznie z członkami Koła polskiego w Radzie państwa, zwołane było na to, by roztrząsnąć położenie i postępowanie posłów polskich w Wiedniu, przypomnieć robione im zarzuty i przekonać się, czy były słuszne—wreszcie oświadczyć się w kwestyi solidarnośei polskiej w Radzie państwa, zerwanej przez niektórych posłów.

Posiedzenia te odbyły się lepiej, niż można było przypuszczać. Zarzuty, ogółem błahe i nie uzasadnione, robione były spokojnie, z umiarkowaniem. Głównie opierały się na tem, że Koło prowadzi politykę rasową, słowiańską, więcej niż narodową i polską, i politykę państwa, więcej niż politykę kraju. Odparcie zarzutów, wykazanie braku treści i faktycznej podstawy w nich, wykonali w świetnych przemówieniach pp. Jaworski, prezes Koła, Kozłowski, hr. Wojciech Dzieduszycki, zwłaszcza Abrahamowicz i ks. Jerzy Czartoryski. Przeciw solidarności posłów polskich nie odezwał się nikt, prócz X. Stojałowskiego i p. Bernadzikowskiego. Ostatni dowodził, że solidarności być nie może, dopóki Koło będzie się powodowało osobistemi interesami, co później na żądanie odwołał. Ks. Eustachy Sanguszko po przemówieniu bardzo krótkiem, ale bardzo stanowczem, wniósł do uchwały zgromadzonych rezolucyę, stwierdzającą, że Koło polskie w Wiedniu w niczem i nigdy nie zboczyło od swojej tradycyjnej narodowej polityki i wyrażającą zupełne zaufanie, że ono w tych zasadach i w tej polityce zawsze wytrwa. Rezolucya przyjęta jednomyślnie, z wyjątkiem wyżej wymienionych.

Drugie, całodzienne zebranie Koła, miało za przedmiot centralny komitet wyborczy i solidarność posłów w Radzie państwa. Przebieg, spokojny na pozór i w słowach, był w rzeczy nieprzyjemny, z powodu namiętności i naciągania. Plan dalszego postępowania, hasła i argumenta, któremi walczyć będą panowie z różnych klubów „postępowych“, odsłoniły się może nie umyślnie, ale wyraźnie. P. Romanowicz twierdził, że powodem wszystkiego złego jest Unia konserwatywna i że jeżeli ona będzie trwać, to wywoła unię wszystkich żywiołów opozycyjnych — to znaczy: wspólność działań i zabiegów *Stronnictwa demokratycznego*, z p. Daszyńskim, X. Stojałowskim i wszystkiemi pierwiastkami i dążeniami burzącemi. P. Romanowicz jest porwany konsekwencyą swojej przeszłości i swego postępowania. Wystąpił z Wydziału Krajowego, bo ten urząd krępował go w swobodzie ruchów i słów; przeszedł do redakcyi *Słowa Polskiego*. Ale w tej, rychło przelicytowany przez „postępowszych“ od siebie, jak się to zawsze zdarza politykom jego rodzaju, przestał być duchem kierującym, głową stronnictwa. Walczy więc

z losem, chce utrzymać się na wodzie, a za pęcherze, które mu do tego mają służyć, używa radykalnych dążności i ludzi. X. Stojałowski znowu zapowiadał, że jeżeli teraz nie zrobi się zgoda i secessyoniści w Radzie państwa nie wejdą do Koła, to będzie wina większości, która terroryzuje, nie uczuje praw i dążeń ludu i t. d. Pomagał mu p. Rutowski. Prawdy w tych twierdzeniach nie było, ale o nią oczywiście nie chodzi: tak się będzie mówiło i pisało. Bojko mówił szczerze to, co myślał i spokojnie, poważnie. Ale tego nie chce widzieć, że w parlamentach jednego i niepodległego narodu stronnictwa mogą sobie chodzić, jak im się podoba, i zważać tylko na swoje polityczne opinie i dążności, ale w parlamencie, złożonym z wielu narodów, posłowie jednego narodu nie mogą nigdy być większością, więc jeżeli chcą swoich praw i potrzeb dochodzić, jeżeli nie chcą roztopić się w massie cudzoziemców, jeżeli chcą coś znaczyć, muszą trzymać się wszyscy razem. Dlatego potrzebna jest solidarność posłów polskich w Wiedniu i dlatego potrzebny jest komitet jeden wspólny do wyborów. Uprawniony on jest, bo nie powstał sam z siebie, ale z woli i wyboru reprezentacyi kraju (Koła sejmowego). Bojko zapowiedział, że ze swoimi towarzyszami pospołu komitetu centralnego uznawać nie będzie.

Na szczegóły i zbijanie szczegółowych mylnych twierdzeń, niema tu miejsca. W końcu, na wniosek Jaworskiego, Kolo uchwaliło wybór komisyi, która na przyszłą sesyę sejmową ma przygotować sprawozdanie, czy i o ile organizacya centralnego komitetu wyborczego potrzebuje odmiany i poprawy.

Na tem stanęły rozprawy Sejmu do dnia 30 kwietnia.

W Austryi wszystko było i szło po dawnemu. Spór czesko-niemiecki zajmował umysły rządzących, obok tego kwestye semityzmu i antysemityzmu odgrywały w prasie i po za kulisami polityki główną rolę. Po za temi sprawami mało kto się troszczył o właściwe potrzeby ludności i administracyi, siłą ciężkości trwało, co było, a zadawalano się, jeżeli udawało się wyjść ochronną ręką z pojedynczych trudności. Niejednokrotnie już podnosiliśmy na tem miejscu, że dla Austryi brak jest dotąd ideału, do którego dążyłyby wszystkie

ludy bez różnicy narodowości, pewnego celu, stojącego ponad zawiściami i nienawiściami stronnictw, pewnego wielkiego programu politycznego, któryby dowodził, że rządy austryackie są nietylko na to, ażeby żyć, ale i na to, ażeby *kierować*. Brak jest dotąd dla Austryi silnej ręki, którąby wskazała drogę, jaką mamy pójść i potrafiła przełamać trudności. Pytanie jednak zachodzi, czy organizm austryacki, trawiony silną chorobą, potrafiłby znieść taką rękę, pytanie dalej, czy temu wewnątrz śmiertelnie choremu państwu potrafiłby pomódz najlepszy, najgenialszy lekarz? P. Koerber zdaje się być bardzo zręcznym lekarzem, ale cóż pomoże lekarz w chorobie nie do uleczenia?

To też pisząc o polityce wewnętrznej austryackiej, zawsze te same symptomata choroby opisywać się musi—pisarz polityczny w Austryi musi się dzisiaj powtarzać, skoro wszystko się powtarza bez końca. Bez końca powtarzają się fazy walki czesko-niemieckiej, której ostatecznego wyniku dotąd się nawet przewidzieć nie da. Niemcy zajmują od zniesienia rozporządzeń językowych stanowisko wyczekujące, Czesi stanowisko zaczepne. Niemcy mogą czekać, albowiem przez bezwarunkowe zniesienie rozporządzeń językowych odnieśli zwycięztwo, którego dotąd nic nie zakłóciło. Dlatego też Niemcy mogli się zgodzić na udział w konferencyach pokojowych, który ich do niczego nie obowiązywał, a odwracał od nich podejrzenie, że im chodzi o walkę dla walki lub o zyskanie hegemonii. Jeżeli z ich łona wychodziły głosy, żądające dalszych ustępstw na rzecz żywiołu niemieckiego, mianowicie zaprowadzenia języka niemieckiego, jako języka pośredniczącego, to i to żądanie nie należało do nagłych. Największe poparcie znajdowało ono w kołach biurokracyi wiedeńskiej i w kołach wojskowych. Warto przytem podnieść, że agitacya Czechów za zaprowadzeniem odpowiedzi „zde“ przy zebraniach kontroli urlopników, oddała w tej sprawie największą przysługę Niemcom, albowiem wzbudziła ona w kołach nawet rozstrzygających obawę, że w razie dalszego popierania sławiańskich dążeń, armia austryacka ulegnie rozbiciu narodowościowemu. Ta sprawa, w gruncie rzeczy tak drobnostkowa, jak ta sprawa „zde“, wywarła na cały kierunek polityki austryackiej wewnętrznej większy wpływ, jak

możnaby sądzić, zdala się na to patrząc. Charakterystyczną jest wogóle cechą polityki wewnętrznej austryackiej ostatnich dziesiątek lat, że drobne sprawy przybierają tam charakter spraw zasadniczych i że tylko drobne sprawy wywierają wpływ rozstrzygający ; o ważnych mało kto tam mówi. Niemcy nie potrzebowali się więc spieszyć w sprawie zaprowadzenia języka niemieckiego, jako języka pośredniczącego, skoro sprawa weszła na korzystną drogę; ogólny prąd był dla niej przychylny i mogli oni czekać, aż dojrzały owoc sam im spadnie do kosza.

Inne było zupełnie położenie Czechów. Dla nich stało się bezwarunkowe zniesienie rozporządzeń językowych, sprawą honoru narodowego i partyjnego. Honor Czechów wymagał zadośćuczynienia. Wprawdzie ministerstwo hr. Clary, które zniosło rozporządzenia, musialo ustąpić pod naciskiem Czechów, ale to ustąpienie nie było uważane za dostateczną kompensacyę, skoro Czesi nie otrzymali za utracone korzyści żadnego wynagrodzenia i tryumfatorami zostawali dotąd Niemcy. To też w mowach, jakie wypowiedzieli przywódcy czescy pp. Kaizl i Kramarz na zgromadzeniach wyborczych, zapowiedzieli oni obstrukcyę Czechów w sesyi parlamentu w maju. „My musimy to samo osiągnąć, co osiągnęli Niemcy, mianowicie musimy uczynić parlament niezdolnym do pracy“, oświadczył p. Kramarz na zgromadzeniu w Semil. Warunkiem, pod którym Czesi gotowi są zaniechać obstrukcyi, jest zaprowadzenie języka czeskiego, jako języka w wewnętrznej manipulacyi urzędów w Czechach. Tej koncesyi żądają Czesi, jeszcze przed otwarciem parlamentu i przed rozpoczęciem dalszych rokowań w konferencyi ugodowej.

Pytanie zachodzi, jakie stanowisko zajmie przy tem ministerstwo p. Koerbera. O ile sądzić można, wychodzi ministerstwo z tego stanowiska, że Czechom należy się zaprowadzenie języka czeskiego, jako języka wewnętrznej manipulacyi w urzędach w Czechach, ale to zaprowadzenie musi nastąpić w drodze ustawy, a nie w drodze rozporządzenia ministeryalnego. To też ministerstwo nie może zrobić tej koncesyi, przed zebraniem się parlamentu, ale jest gotowem do przyjęcia odnośnego postanowienia w projekt ustawy językowej, jaką samo przygotowało i jaką chce wnieść za-

raz po otwarciu sesyi parlamentarnej. Stan więc jest taki: Czesi mogą otrzymać żądaną koncesyę, ale *nie przed* zebraniem się, lecz *po* zebraniu parlamentu. Rząd zachowywał przygotowany projekt ustawy językowej w tajemnicy, co miało oczywiście, jak się to zawsze w Austryi dzieje, ten skutek, że dzienniki go ogłosiły, w całości czy w części autentycznie.

W Sejmie czeskim przyszło do silnych wybuchów ze strony Czechów; nawet tak umiarkowany poseł, jak Pacak, zapowiedział obstrukcyę. Pytanie zachodzi, czy uda się w obec rozburzonych namiętności, nanowo zebrać konferencyę ugodową przed zebraniem się parlamentu, czy też p. Koerber wniesie swój projekt językowy wprost do parlamentu, nie przedłożywszy go pierwej konferencyi ugodowej. Ponieważ Sejm czeski ukończy swoje obrady 5 maja, parlament zbierze się zapewne 8 maja, przeto na konferencyę ugodową nie będzie wiele czasu i projekt językowy dostanie się zapewne bez uprzedniego porozumienia się walczących, wprost do parlamentu.

Co tutaj będzie? Obstrukcya czy nie?

W tem pytaniu obstrukcyi odgrywać będzie główną rolę zachowanie się reszty klubów prawicy, w pierwszej jednak linii, zachowanie się konserwatywnego klubu wielkiej posiadłości czeskiej. Czy ci tak zwani „feudalni“ przyłączą się do obstrukcyi klubu czeskiego? Przesądzać nie chcemy, ale to uważamy za pewne, że zachowanie się „feudalnych“ roz strzygającem będzie dla klubu czeskiego, który nic w ostatnich czasach nie przedsięwziął bez uprzedniego porozumienia się z klubem konserwatywnym wielkiej posiadłości. Co się tyczy reszty klubów prawicy, mianowicie Kola polskiego, to nasze postępowanie zależeć będzie od dalszego rozwoju wypadków. W zasadzie jest Koło przeciwne wszelkiej obstrukcyi, albowiem ta podkopuje zasadę władzy i fundamenta parlamentaryzmu. Obstrukcya jest czystą negacyą życia parlamentarnego, polegającego na zasadzie większości. Jeżeli się obstrukcyę przypuści, jako legalny sposób walki, to trzeba odrzucić wszelkie głosowania, polegające na zasadzie większości. Stanowisko nasze zależeć jednak będzie, jak powtarzamy, od rozwoju wypadków, chociaż niektóre sprawy, jak n. p. sprawa wniosku Szamaneka, dotyczącego zaprowadze-

nia języka rosyjskiego w szkołach czeskich, mogły były wywrzeć na nasze społeczeństwo wpływ, dla planu obstrukcyi czeskiej nie zbyt pomyślny. Trzeba przytem podnieść, że spokojne funkcyonowanie maszyny parlamentarnej koniecznem jest w obecnej chwili dla rozwoju naszego społeczeństwa. Właśnie w ostatnich czasach doznaliśmy tyle klęsk ekonomicznych, że potrzebujemy pomocy i państwa i parlamentu. Jeżeli zaś do tego dodamy, że następstwem obstrukcyi czeskiej może być — absolutyzm, to dochodzimy do wniosku, że Czesi wybrali bardzo niesposobną chwilę do — naśladowania Niemców.

W najbliższym czasie zajmować jednak będzie uwagę publiczną nie tyle polityka wewnętrzna, jak polityka zagraniczna Austryi, skoro równocześnie z parlamentem w Wiedniu obradować będą delegacye wspólne w Peszcie. Właśnie w ubiegającym miesiącu zaszło kilka zdarzeń, które zwróciły uwagę na kierunek polityki zagranicznej austryackiej, mianowicie podróż cesarza Franciszka Józefa do Berlina, zachowanie się rządu austryackiego w wojnie między Anglią a rzeczpospolitemi południowo-afrykańskiemi i t. d. Jak każdy zjazd monarchów, tak i wizyta Cesarza austryackiego w Berlinie, na dzień pełnoletności następcy tronu niemieckiego, była przedmiotem najrozmaitszych komentarzy. Ze strony urzędowej i półurzędowej w Berlinie i w Wiedniu, przedstawiano wizytę Cesarza austryackiego po prostu, jako wyraz starej i niezachwianej przyjaźni łączącej obu monarchów i jako nowy dowód, że przymierze austryacko-niemieckie pozostaje dalej w mocy. Prasa francuska i włoska szły dalej i twierdziły, że zjazd cesarza Franciszka Józefa z cesarzem Wilhelmem II, w połączeniu z oznakami przyjaźni, jakie panujący w Austryi i w Niemczech dawali ustawicznie na rzecz Anglii, jest początkiem nowej konstellacyi politycznej i związku między Niemcami, Austryo-Węgrami i Anglią. Kiedy następca tronu angielski, książę Walii, powitany został w przejeździe przez terytoryum niemieckie przez cesarza Wilhelma, zaczęto i z tego snuć kombinacye, dotyczące tego rzekomego związku niemiecko-austryacko-angielskiego. Wiele dzienników podnosiło, że stanowisko Włoch w trójprzymierzu wydaje się zachwiane, skoro król Humbert nie przybędzie sam do Berlina, i że wła-

śnie Anglia ma zająć miejsce Włoch w trójprzymierzu. Nie brakło z drugiej strony głosów, które uważały zjazd w Berlinie za spowodowany wypadkami na Wschodzie. Włoski dziennik *Tribuna* donosił, że monarchia austro-węgierska ma plan zajęcia Albanii, do którego chce zasięgnąć pozwolenia Niemiec. Byli wreszcie i tacy, którzy wizytę cesarza Franciszka Józefa w Berlinie łączyli z obecnym kierunkiem polityki wewnętrznej w Austryi i oświadczali, że ten kierunek, przyjazny Niemcom, był tylko przygotowaniem do wizyty berlińskiej, która zażegnuje wszelkie nieporozumienia, wywołane dotychczasową słowianofilską polityką wewnętrzną w Austryi. Nie ulega wątpliwości, że wszystkie te komentarze polegają na więcej lub mniej prawdopodobnych przypuszczeniach. Faktem jest w każdym razie, że wizyta cesarza Franciszka Józefa jest rzeczywiście dowodem bardzo przyjaznych i ścisłych stosunków między Wiedniem a Berlinem; faktem jest dalej, że przy tej wizycie będą obecni minister spraw zagranicznych hr. Agenor Goluchowski i szef sztabu generalnego bar. Beck, co jest w każdym razie dowodem, że wizyta ma nietylko charakter osobistych odwiedzin przy sposobności uroczystości rodzinnej. Pewnem jest dalej, że właśnie w obecnych stosunkach zagranicznych jest stanowisko monarchii austyacko-węgierskiej bardzo korzystne. Wszystkie prawie mocarstwa Europy zajęte są troskami kolonialnemi, jedyna prawie Austrya stoi na uboczu, nie biorąc udziału w „tem podziale świata“, ale także nie mając kłopotów zamorskich. Między Rosyą a Anglią rośnie coraz więcej rywalizacya o posiadłości azyatyckie, która się zaognia i musi z czasem doprowadzić do wybuchu. I ta okoliczność jest dla Austryi korzystna, albowiem odwraca ona uwagę największego jej przeciwnika od *blizkiego* Wschodu na *daleki* Wschód. Tak mają Austro-Węgry dzisiaj wolną rękę na wszystkie strony, albowiem nie rywalizują z nikim za morzem i nie rozdrabniają swoich sił. Nie trzeba z drugiej strony jednak zapominać, że to korzystne stanowisko póty istnieje, póki trwa gorączka kolonizacyjna i póki reszta mocarstw ze sobą rywalizuje. Położenie Austryi jest jednak tego rodzaju, że głównem staraniem jej mężów stanu musi być utrzymywanie dobrych stosunków ze wszystkiemi mocarstwami, i pewnem

jest, że żaden polityk austryacki nie myśli o zdobyczach na zewnątrz. Wszystkie zjazdy monarchów, w których brał udział cesarz Franciszek Józef w ostatnich latach, skierowane były do zapewnienia spokoju dla Austryi na przyszłość, do usunięcia powodów do zawikłań. Ostatni pobyt Cesarza w Petersburgu w kwietniu 1897 r. doprowadził do owego znanego porozumienia austryacko - rosyjskiego, które nie zawarte zostało, jak twierdziły wtedy dzienniki, pisemnie, ale przyczyniło się w każdym razie do pewnej stałości na Wschodzie. Państewka Wschodu, które ciągle liczyły na rywalizacyę między monarchią austryacko-węgierską a Rosyą, dowiedziały się nagle, że te dwa mocarstwa postanowiły załatwiać sprawy wschodnie we wspólnem porozumieniu.

Śmiało można twierdzić, że i obecna podróż cesarza Franciszka Józefa do Berlina nie ma, oprócz okazania przyjaźni osobistej, innego celu, jak zapewnienie spokoju dla monarchii także i w dalszej przyszłości. Czy pewne zbliżenie do Anglii nie odgrywa przytem jakiej roli, trudno sądzić.

Właśnie w ubiegającym miesiącu przybierała owa umowa między monarchią austryacko-węgierską a Rosyą względem Wschodu nieco zmienioną postać. Rząd rosyjski wysłał do Sofii radcę finansowego Kobeko, dla zbadania finansów bułgarskich, podobnie jak wysłał pułkownika sztabu rosyjskiego Jepantschina dla zbadania stanu armii bułgarskiej. Na odwrót wysłał ks. Ferdynand swojego ministra wojny Paprykowa do Rosyi, który wziął tam udział w wielkich uroczystościach wielkanocnych, na które przybył i car Mikołaj II do Moskwy. W podobny sposób ukazywali się wysłańcy rosyjscy także i w Czarnogórze. Zdaje się pewnem, że te misye rosyjskie odbywały się bez wiedzy Austryi, a chociaż nie stanowią one rzeczywistego wmięszania się w sprawy Bułgaryi lub Czarnogóry, to są one w każdym razie dowodem samoistnego postępowania Rosyi w sprawach Wschodu, które jest w stanie wywołać pewne podejrzenia w Wiedniu. Umowa między Austryą a Rosyą w sprawie Wschodu, nie wyklucza w każdym razie potrzeby pewnych środków ostrożności na przyszłość.

Właśnie podczas tych misyj rosyjskich do Bułgaryi zapowiedziane zostało z wielką pompą przybycie cara Miko-

łaja II na uroczystości wielkanocne do Moskwy. I do tego przybycia przywiązywano w kołach politycznych wielkie znaczenie; sądzono, że car Mikołaj wyda tam manifest, rozpoczynający walkę przeciwko Anglii w Azyi, przez co Boerowie w Afryce otrzymaliby w obecnej wojnie ogromną pomoc. Święta wielkanocne jednak przeminęły bez żadnego zajścia na polu polityki zagranicznej; jedynie pod względem polityki wewnętrznej rosyjskiej miały te uroczystości moskiewskie niemałe znaczenie, albowiem wydał car przy tej sposobności reskrypt, dowodzący, że Mikołaj II, który zdawał się wchodzić z początku na drogę reform w kierunku rozszerzenia samorządu, wraca obecnie do dawnych zasad samowładztwa i russyfikacyi. *Point de rèveries!*

Dla Boerów nie przyniosła ogólna, szczególnie w Rosyi, okazywana sympatya, żadnych korzyści. Bohaterski ten lud walczy dalej bez nadziei pomocy i nadziei zwycięztwa. Dwóch ich wysłańców pokojowych bawi w Europie, chcąc w podróżach od stolicy do stolicy szukać pośrednictwa do zawarcia pokoju, zapewniającego im samodzielne istnienie. W tej przykrej podróży mogli się wysłańcy Boerów przekonać, co znaczą sympatye ludów w porównaniu do polityki gabinetów. Z wyjątkiem pobratymczej Hollandyi nigdzie ich nie chciano przyjąć officyalnie; na czele tych bezwzględnych stanął oczywiście gabinet berliński—tradycyjna to jego polityka — i hr. Bülow oświadczył, „że nie pojmuje, po co właściwie deputacya Boerów ma przybyć do Berlina“. Deputacya wróci po smutnych doświadczeniach z niczem do ojczyzny — jeżeli jeszcze znajdzie ojczyznę.

Podczas tych wszystkich zajść została otwarta wystawa w Paryżu i setki tysięcy pojedzie tam używać życia. Wystawa wprawdzie jeszcze podobno nie gotowa, nie przyniesie ona właściwej korzyści ani Paryżowi ani Francyi, ale dowiedzie raz jeszcze, że Paryż był i jest światem, gdzie się bawi — *le monde où l'on s'amuse.*

* * *

X. IGNACY ŁOBOŚ,

biskup tarnowski.

Wspomnienie pośmiertne.

Między bolesnemi stratami, jakich doświadczamy wiele w ludziach godnych i potrzebnych, do najboleśniejszych liczyć się musi strata dobrego biskupa. Zawsze wielka, w czasach takich, jak dzisiejsze, staje się nieszczęściem. Z różnych stron i różnemi sposobami, w obłudnej masce, albo bez maski, przypuszczają się szturmy do ludzkiego sumienia, do wszystkich praw i zasad, do karności obyczajowej i do karności kościelnej, do wiary samej. Skutkami swemi sięgają te szturmy coraz głębiej. Chłopiec na ławce szkolnej i chłop na wsi powie już nieraz wręcz, że w to tylko wierzyć może, co swoim rozumem może pojąć i sprawdzić. Zbyt mądry, żeby wierzyć w prawdy objawione, ale dość głupi na to, żeby wierzyć w nieomylność swojego rozumu; jeden, jak drugi, przygotowuje się do utraty wiary, a w dalszem następstwie do „wyzwolenia się z pod przesądów sumienia“. To przygotowanie prowadzi się systematycznie, nazywa się wolnością słowa i druku, a jest zbyt często wolnością psucia, bezkarnością deprawacyi. Pomaga do niej władza świecka, przez to, że pozwala swoich własnych praw nie słuchać i nie wykonywać; pomaga bezmyślność, opieszałość lub tchórzostwo społeczeństwa; pomaga w najliczniejszej może części tego społeczeństwa niewiadomość, łatwowierność względem słów i haseł ponętnych, względem politycznej czy religijnej obłudy.

Skutki są pożądane zapewne dla pewnych dążeń czy stronnictw, ale zgubne dla każdego społeczeństwa, cóż dopiero dla tak skołatanego, jak nasze.

W takim jego stanie, biskup, który słowem i przykładem upomina, wskazuje niebezpieczeństwo i ratunek, nawołuje do dobrego, staje się w trzęsieniu ziemi punktem stałym i pewnym. Sam się nie zachwieje, drugich skupia i podpiera. Przeciwników nie przekona, ani nie wzruszy, ale swoich jednoczy, krzepi, oświeca, zagrzewa, a przez to czyni zdolnymi do obrony.

Takim był ten, którego straciliśmy niespodzianie—biskup Łoboś. Czuł się i był chorym oddawna, mówił nieraz, że mało ma czasu przed sobą. Ale patrząc na jego postać prawie atletyczną, na czynność niezmordowaną, na jędrność myśli i mowy, zdawało się, że to chyba przywidzenie i że ta siła wyczerpie się aż w bardzo późnej starości. Nie mylił się jednak. Śmierć dla nas niespodziewana, przez niego przewidziana, przyszła dla niego łaskawie, po wszystkich nabożeństwach Wielkiego Tygodnia, po odprawionej sumie w sam dzień Zmartwychwstania, nagle i bez cierpień, we śnie.

Było coś żołnierskiego w jego naturze, w jego obejściu i słowie, prostem zawsze, szorstkiem niekiedy, nie obwijającem w bawełnę nic nigdy. Gdyby był świeckim i żołnierzem, byłby szedł w ogień z odwagą bohaterską i z wielkim popędem, zawsze naprzód, zawsze tam, gdzie ogień największy. Tę samą odwagę i tę samą siłę popędu, miał w wykonywaniu swoich obowiązków kapłańskich i biskupich. Odwaga i popęd były trzymane na wodzy prawem miłości, obowiązkiem rozwagi i wyrozumiałości; ale trzymane na wodzy tylko, nie zmniejszone. Gdzie była praca do podjęcia, gdzie była prawda do powiedzenia, gdzie była dobra myśl do wykonania, tam on zawsze stawał, wystawiał siebie, zastawiał sobą drugich. Oprócz łask wyższych, jakie mógł mieć od Boga, miał tę przyrodzoną cnotę rzetelności, zgody uczynku i słowa z przekonaniem, która stanowi charakter i stanowi wartość człowieka w stosunku do innych ludzi, w życiu prywatnem i w publicznem. Miał przytem własność, u nas Polaków rzadką: prawdziwą energię i zdolność działania, zdolność wykonania tego, co miał za dobre i postanowił. On

wiele zrobił, wiele dokazał. Jego dyecezya, założona po pierwszym rozbiorze, jak żeby przyszła na świat pod złym znakiem józefinizmu, była tym duchem najbardziej skażona. Biskup Wojtarowicz, który tego ducha nie miał, przypomniał, że przykazanie boskie jest większe od rozporządzeń rządowych, i za to był usunięty. Gdy go zabrakło, duch kościelny i karność kościelna zaczęły coraz bardziej słabnąć i podupadać.

Zasiadł na tej biskupiej stolicy X. Łoboś, i w czasie stosunkowo krótkim, wszystko inaczej wygląda, i jest inaczej. Duch powołania i obowiązku, zrozumienie Kościoła i jego miłość, poczucie się w łączności z papieżem i Kościołem, wykształcenie i teologiczne i świeckie, sposób życia, wszystko się podniosło. Poziom umysłowy, poziom moralny i religijny jest nierównie wyższy w duchownych, pośrednio i w świeckich tej dyecezyi. Wiele tam powstało dzieł i zakładów, budujących i cywilizujących! Seminaryum inaczej naucza, inaczej wychowuje przyszłych księży: wyrabia w nich wysokie pojęcie i zamiłowanie duchownego powołania. Bursa dla ubogich uczniów utrzymuje ich siedmdziesięciu z dobrowolnych składek duchowieństwa; stowarzyszenia miłosierne, męzkie i żeńskie, powstają, mnożą się, i skutecznie działają; opieka nad ubogiemi kościołami zorganizowana, zaopatruje je w apparata i sprzęty; katedra, pięknie odrestaurowana, oczyszczona z dawniejszej upokarzającej brzydoty; wreszcie ta nowość niby niekonieczna, a jednak tak pożyteczna, zwłaszcza dla młodych duchownych: Muzeum dyecezyalne, pierwsze w kraju, przechowujące stare zabytki, chroniące je od zatraty, a kształcące smak i znajomość sztuki kościelnej — wszystko to wyszło jak z pod ziemi, a wszystko za dotknięciem ręki, za sprawą głowy i serca tego biskupa. Szczęśliwy — może z czystem sumieniem powiedzieć o sobie na tamtym świecie to, co my na tym świecie świadczyć o nim mamy obowiązek, że to, co było jemu powierzone, zostawia w stanie nierównie lepszym, niż odebrał. Była w nim wysokość serca i gorącość ducha, która z niego udzielała się drugim; oby równie udzieliła się i energia, i stanowczość, i zdolność działania.

W swoich uczuciach polskich tak żarliwy, jak w katolickich, a w przekonaniach i zasadach tak samo niewzruszony, byłby jako człowiek świecki równie zasłużonym i nieocenionym, jak był jako kapłan. Ale świeckiemi sprawami zajmować się nie miał czasu, ani możności. Praca kościelna, obowiązki biskupie, zabierały wszystkie jego godziny i wszystkie jego siły. Dyecezya zajmowała go tak, że nawet na sejmie przez wszystkie lata swego biskupstwa nie bywał. Może był w tem pewien nadmiar, przesada — w każdym razie była dla spraw świeckich szkoda. Ale ta wyłączność i zupełność w służbie duchownej była i piękną. Ustawała ona wtedy tylko, kiedy sprawy świeckie łączyły się z duchownemi tak, że się rozdzielić nie dały, a wtedy także nie ustawały. Kiedy bronił świeckich zasad i praw społeczeństwa, bronił z niemi razem i sumień i dusz ludzkich, wiary i zbawienia. W tej obronie, której smutna potrzeba objawiła się dopiero wyraźnie za jego biskupstwa, był równie śmiały, jak dzielny. Służąc prawdzie, prawdę miał za cel i za środek. Nie znal też żadnych względów ubocznych, tylko tę prawdę mówił odrazu, z góry, całą. Odgadnąć i wykryć zdradę, obłudę obnażyć z pozorów, któremi się obwiesza, sofizmat przeniknąć i wykazać jego fałsz, to umiał robić z wielką prostotą i jasnością słowa, a z wielką siłą. Jego listy pasterskie będą zawsze godne pamięci, takie są pełne prawdy i roztropności. Ale bronić wiary i sumień, a przeciwnika zwalczać, to była dopiero połowa zadania, obronna. Drugą była affirmacya katolickich przekonań, szerzenie i ustalenie katolickiej świadomości wśrod wiernych dyecezyi: nie walka zaczepna, ale wstępny bój, który nieprzyjaciela spędza z pola, wypiera ze stanowisk zdobytych. Do tej walki znaleźć ochotników, rekrutów wyćwiczyć i wychować na żołnierzy, a szukać ich wszędzie i zbierać coraz więcej, to on umiał także, i to robił. Zwyciężyć nie miał jeszcze czasu, a nikt dziś niema na to dość siły: owszem nieprzyjaciel jest zawziętszy, niż kiedykolwiek i zaufany w swoje siły, cieszy się nadzieją ostatecznego tryumfu. Ale to się już stało przynajmniej, że obrona jest zaczęta, że potrzeba walki wstępnej, czynnej, jest wiadoma i zrozumiana. Wielki to krok naprzód, a w nim zasługę jedną z większych ma biskup Łoboś, bo w znacz-

nej części kraju, w całej jednej dyecezyi, on zrobił najwięcej dla obudzenia katolickiej świadomości i czynności, dla rozgrzania uczuć, a wyrobienia przekonań katolickich.

Dlatego jego miejsce w historyi polskiego Kościoła jest zaszczytne i wysokie, dlatego jego zasługa przed Bogiem i w ojczyźnie wielka. Ale dlatego także jego śmierć jest dla nas dzisiejszych prawdziwem nieszczęściem.

St. Tarnowski.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego."

Tante Fritzchen. Skizzen von Hans Hoffmann. (Berlin, Verlag von Gebrüder Paetel, 1899, str. 134).

Fritz Skowronnek: *Masurenblut.* Geschichten und Gestalten. (Berlin, „Vita" Deutsches Verlagshaus, str. 174).

Schluck und Jan, von Gerhart Hauptmann. (Berlin, S. Fischer, Verlag, 1900, str. 174).

Wenn wir Toten erwachen. Ein dramatischer Epilog in drei Akten, von Henrik Ibsen. (Berlin, S. Fischer, Verlag, 1900).

W obronie prawdy, napisał Jerzy Moszyński. (Kraków, w Drukarni „Czasu", 1900, str. 224).

Through fire to fortune, by Mrs. Alexander. (Leipzig, B. Tauchnitz, 1900, str. 288).

Leddy Marget, by L. B. Walford. (Leipzig, B. Tauchnitz, 1900, str. 286).

Tales of space and time, by H. G. Wells. (Leipzig, B. Tauchnitz, 1900, str. 278).

A roman mystery, by Richard Bagot. 2 volumes. (Leipzig, B. Tauchnitz, 1900, str. 254, 269).

The human interest. A study in incompatibilities, by Violet Hunt. (Leipzig, B. Tauchnitz, 1900, str. 287).

Anglo-French reminiscences, 1875—1899, by M. Betham-Edwards. (Leipzig, B. Tauchnitz, 1900, str. 271).

The waters of Edera, by Ouida. (Leipzig, B. Tauchnitz, 1900, str. 278).

Casimir Stryienski: *Deux victimes de la Terreur. La Princesse Rosalie Lubomirska, Madame Chalgrin.* (Paris, Girard et Villerelle, libraires-éditeurs, 1899, str. 174).

Figures du temps passé. XVIII siècle, par Lucien Perey. (Paris, C. Lévy, éditeur, 1900, str. 412).

N. Schilder: *Histoire anecdotique de Paul I, tiré du russe par Dimitri de Benckendorff.* (Paris, C. Lévy, éditeur, 1899, str. 320).

Auferstehung. Roman von Graf Leo Tołstoj. Erste vollständige im Auftrage des Verfassers hergestellte Uebersetzung, von Wadim Tronin und Ilse Frapan. Dritte Auflage. (Berlin, F. Fontane & Cie., 1900, str. 722).

Ferdynand Hoesick: *Szkice i opowiadania historyczno-literackie.* (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1900, str. 514).

Nad Prądnikiem. Przewodnik po Ojcowie i jego okolicy, zebrał i ułożył K. W. Wydanie illustrowane. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1900, str. 172).

Stanisław Bełza: *Listy z Sycylii.* (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1900, str. 248).

R. Dmowski: *Wychodztwo i osadnictwo.* Część I. (Lwów, nakładem Towarzystwa Wydawniczego, 1900, str. 109).

Władysław Umiński: *Podróż naokoło świata piechotą i w podobłocznych krainach.* Z 8 rysunkami St. Sawiczewskiego. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1900, str. 388).

Artur Gruszecki: *Dla miliona.* Powieść. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1900, str. 389).

Kazimierz Gliński: *Z życia i fantazyi.* (Warszawa, nakładem Księgarni T. Paprockiego i Sp., 1899, str. 382).

Kazimierz Gliński: *Krzywda.* Powieść. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1900, str. 445).

Eliza Orzeszkowa: *Argonauci.* Powieść. Tomy I i II. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1900, str. 220, 200).

Wacław Sieroszewski: *Brzask. Puszcza Białowieska. Orecka Szczelina. Dno nędzy.* (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1900, str. 237).

Gabryela Zapolska: *Z pamiętników młodej mężatki.* (Warszawa, nakładem Księgarni T. Paprockiego i Sp., 1900, str. 178).

Wincenty Kosiakiewicz: *„Hallali“.* Powieść. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1899, str. 311).

Michał Bałucki: *Pamiętnik Munia.* (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1900, str. 246).

Stanisław Przybyszewski: *Androgyne.* (Kraków, 1900, str. 81).

Stanisław Przybyszewski: *Na drogach duszy.* (Kraków, L. Zwoliński i Sp., 1900, str. 127).

The land of contrasts. A Briton's view of his American kin, by James Fullarton Muirhead. (Leipzig, B. Tauchnitz, 1900, str. 287).

From Capetown to Ladysmith. An unfinished record of the South African war, by G. W. Steevens. Edited by Vernon Blackburn. (Leipzig, B. Tauchnitz, 1900, str. 277).

Von der Wasser- bis zur Feuertaufe. Werde-und Lehrjahre eines österreichischen Offiziers, von Carl Baron Torresani. Mit 16 Illustrationen. 2 Bände. (Dresden und Leipzig, E. Pierson's Verlag, 1900, str. 335, 319).

The slave. A romance, by Robert Hichens. 2 volumes. (Leipzig, B. Tauchnitz, 1900, str. 317, 302).

Donna Teresa, by Frances Mary Peard. (Leipzig, B. Tauchnitz, 1900, str. 272).

Peterl. Eine Hundegeschichte, von Ossip Schubin. (Berlin, Verlag von Gebrüder Paetel, 1900, str. 132).

Edmund Rostand: *Daleka księżniczka.* Sztuka w 4 aktach wierszem, tłómaczyła B....é. (W Krakowie, w Drukarni „Czasu", 1900, str. 126).

Verlag von F. Fontane & Co., Berlin W. 35.

Das litterarische Echo

Halbmonatsschrift für Litteraturfreunde.

Herausgeber: **Dr. Josef Ettlinger.**

Sammel-Organ für alle litterarischen Interessen.

Essais, Biographien, Kritiken aus angesehensten Federn. ✲ Litteraturbriefe aus allen Kulturländern. ✲ Gedrängte Revue der in- und ausländischen Zeitschriften. ✲ Vollständige Bibliographie. ✲ Porträts. ✲ Proben aus neu erscheinenden Werken. ✲ Nachrichten.

Unentbehrlich für jeden Gebildeten, der sich über die litterarische Bewegung des In- und Auslandes auf dem Laufenden halten will.

Preis vierteljährlich Mark 2.—

Probenummern kostenfrei.

Zu beziehen durch alle Buchhandlungen und Postämter.



DEUTSCHE RUNDSCHAU.

Inhalt des April-Heftes, 1900.

I. Werther's Grab. Erzählung von Isolde Kurz. — II. Die englische Afrika-Politik. Von Felix Salomon. — III. Gestalten des Dichters. Von Friedrich Spielhagen. — IV. Der Confucianismus und das Chinesenthum. Von Wilhelm Grube.—V. Antonio Stoppani. Von Franz Xaver Kraus.— VI. Die völkerrechtlichen Ergebnisse der Haager Conferenz. Von Philipp Zorn.—VII. Conrad Ferdinand Meyer's Dichterleben beschrieben von Adolf Frey. Von Herman Grimm. — VIII. Politische Rundschau.—IX. Literarische Notizen. — X. Literarische Neuigkeiten. — XI. Inserate.

ARGUS de la PRESSE.

Fondé en 1879.

Pour être sûr de ne pas laisser échapper un journal qui l'aurait nommé, il était abonné à **l'Argus de la Presse** *„qui lit, découpe et traduit tous les journaux du monde, et en fournit les extraits sur n'importe quel sujet".*

Hector Malot *(ZYTE, p. 70 et 323).*

L'Argus de la Presse fournit aux artistes, littérateurs, savants, homme politiques, tout ce qui paraît sur leur compte dans les journaux et revues du monde entier.

L'Argus de la Presse est le collaborateur indiqué de tous ceux qui préparent un ouvrage, étudient une question, s'occupent de statistique, etc., etc.

S'adresser aux bureaux de l'Argus, **14, rue Drouot, Paris.** *Téléphone.*

L'Argus lit 5,000 journaux par jour.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Dr Jerzy Mycielski.

LA REVUE DES REVUES.

La livraison du 1 avril 1900, contient:

I. S. M. le Sultan et ses prisons, par ⁂ et ⁂. — II. La vérité sur la révolution des Philippines (*suite et fin*), par Emilio Aguinaldo, Président de la République philippine.—III. Le crépuscule de l'art pictural, par Camille Mauclair. — IV. Le siège du critique, par Louis Forest.—V. Coup d'oeil sur la littérature hongroise, par Gaston Boissier, de l'Académie française. — VI. La Babel navale (3 gravures), par le maqnis L. d'Adda.—VII. Les douceurs de la guerre prochaine (7 gravures), par l'Ing. G. Roux.—VIII. La glace à domicile, par F. Ash. Whitley. — IX Un intellectuel à la caserne (*suite*), par Gustave Téry. — X. Revue des derniers livres français. — XI. Revue dramatique (1 gravure), par Georges Lefèvre. — XII. *Analyses des „Revues" françaises, anglaises et américaines.*—XIII. *Caricatures politiques* (13 gravures).

La livraison du 15 avril 1900, contient:

I. Le habitations à bon marché (15 gravures), par Georges de Nouvion. — II. Pays de la mort et de la folie, par Vigné d'Octon, député.—III. Spectacles à ne pas offrir aux étrangers, par le Sénateur ⁂. — IV. Le crépuscule de l'art pictural (*suite et fin*), par Camille Mauclair. — V. Vers la conquête de l'Au-delà, par Jean Finot. — VI. Le roman en Amérique centrale, par M. Léra. — VII. Revue des derniers livres français, par les collaborateurs de la *Revue*.—VIII. L'art de grandir: 1. La croissanee artificielle de l'homme (2 gravures), par le Dr. Cabanès. 2. L'électricité et le corps humain (1 gravure), par le Dr. A. de Neuville.—IX. Un intellectuel à la caserne (*suite et fin*), par Gustave Téry. — X. Revue dramatique, par Georges Lefèvre. — XI. *Analyses des „Revues" françaises, allemandes, d'art, espagnoles et portugaises, hongroises, italiennes.*— XII. *Caricatures politiques* (14 gravures).

Prix de l'abonnement par an: Paris et la France, 20 francs. Étranger (Union postale), 24 francs; avec la *Grande Revue de l'Exposition:* 21 francs en France et 26 fr. 50 à l'Étranger.

„PRZEGLĄD POLSKI“

pismo naukowe i literackie, wychodzi rok trzydziesty czwarty w Krakowie, w pierwszych dniach każdego miesiąca, w zeszytach zawierających 10 — 12 arkuszy druku w 8ce (rocznie najmniej 120 arkuszy druku).

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Prof. Dr. Jerzy Mycielski.**

Prenumerata na „Przegląd Polski“ z przesyłką pocztową:

	rocznie:	półr.:	kwart.:
w Austryi	16 złr.	8 złr.	4 złr.
„ Niemczech . . .	32 mar.	16 mar.	8 mar.
we Francyi, Belgii, Włoszech i w Ameryce	40 fran.	20 fran.	10 fran.

Cena pojedynczego zeszytu 1 złr. 50 ct.

Przedpłatę należy nadsyłać pod adresem Administracyi „Przeglądu Polskiego“: Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie.

Prenumeratę przyjmują wszystkie znaczniejsze księgarnie oraz urzędy pocztowe w kraju i za granicą.

Dla wszystkich osób stanu nauczycielskiego i dla duchownych prenumerata „Przeglądu Polskiego“ wynosi:

rocznie w Austryi . . . . . 12 złr.
„ w Niemczech . . . 24 mar.
„ we Francyi . . . . 35 fran.,
którą przyjmuje wyłącznie tylko Administracya.

W DRUKARNI «CZASU» POD ZARZĄDEM JÓZEFA ŁAKOCIŃSKIEGO.

Tom 136. Nr. 408.

PRZEGLĄD POLSKI

UNIWERSYTETOWI JAGIELLOŃSKIEMU

W PIĘĆSETNĄ ROCZNICĘ

ODNOWIENIA JEGO FUNDACYI.

ROK TRZYDZIESTY CZWARTY.

Redakcya „Katolika".

Zeszyt XII. Miesiąc Czerwiec 1900 r.

W KRAKOWIE,
Administracya i ekspedycya w Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.
1900.

SPIS RZECZY.

str.

I. Słowo wstępne, przez Stanisława Tarnowskiego 381
II. W lat półtysiąca. Dyalog napisany na uroczyste przedstawienie w dniu pięciowiekowej rocznicy odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego, przez Konstantego M. Górskiego 385
III. Najstarsze karty metryki uniwersyteckiej (z 3 facsimilami rękopisów), przez Dr. Stanisława Krzyżanowskiego 405
IV. Nasza nauka krakowska o Niepokalanem Poczęciu Najśw. Panny Maryi w wiekach średnich, przez X. Dr. Jana Fijałka 420
1) Kazanie Mateusza z Krakowa z r. 1408 lub 1409.
2) „Quaestio disputata“ mistrza Pawła z Pyskowic, profesora teologii w Uniwersytecie Jagiellońskim 1447 r. (w streszczeniu).
3) Krakowskie „Pia dictamina“ ku czci Panny Niepokalanej 1447 r.
V. Zbigniew Oleśnicki i Uniwersytet Jagielloński, przez Dr. Kazimierza Morawskiego 486
VI. Uniwersytet Jagielloński w czterech ostatnich wiekach, przez Dr. Wiktora Czermaka 507

☞ **Adres Redakcyi: Rynek główny Nr 44, II piętro.**



MEDAL PAMIĄTKOWY

na pięćsetną rocznicę odnowienia fundacyi Uniwersytetu Jagiellońskiego,

wykonany przez Wincentego Trojanowskiego.

PRZEGLĄD
POLSKI.

Rok XXXIV.

Kwartał IV.

(Kwiecień, Maj, Czerwiec).

Ogólnego zbioru tom 136.

(Zeszyty od 406 do 408).

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ POD ZARZĄDEM JÓZEFA ŁAKOCIŃSKIEGO.
1899.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie IV rocznika XXXIV.

Str.

Van Dyck na wystawie w Antwerpii w r. 1899 (z portretem), przez Dr. Jerzego Mycielskiego . . 1

Otchłań, dramat w 4 aktach (ciąg dalszy), przez Tadeusza Konczyńskiego 28, 255

Wiktor Hugo i jego korespondencya (dokończenie), przez Dr. Tadeusza Grabowskiego. . . . 64, 231

Karty z życia Chopina (z nutami) (dokończenie), przez Adolfa Strzeleckiego 83

Najnowszy utwór Ibsena: „Gdy my umarli obudzimy się“, przez Dr. Józefa Flacha 122

Listy Rozalii i Aleksandra Lubomirskich. 1781—1794 (z portretem), przez J. T. L. 193

Krystyna królowa Szwedzka (ciąg dalszy), przez Teresę z Potockich Wodzicką 288

Czterdzieste piąte Zgromadzenie filologów i pedagogów niemieckich w Bremie od 26 do 30 września 1899 r., przez Dr. Leona Kulczyńskiego 304

Słowo wstępne, przez Stanisława Tarnowskiego 381

W lat półtysiąca. Dyalog napisany na uroczyste przedstawienie w dniu pięciowiekowej rocznicy odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego, przez Konstantego M. Górskiego 385

Najstarsze karty metryki uniwersyteckiej (z 3 facsimilami rękopisów), przez Dr. Stanisława Krzyżanowskiego 405

Nasza nauka krakowska o Niepokalanem Poczęciu Najśw. Panny Maryi w wiekach średnich, przez X. Dr. Jana Fijałka. 1) Kazanie Mateusza z Krakowa z r. 1408 lub 1409. 2) „Quaestio disputata“ mistrza Pawła z Pyskowic, profesora teologii w Uniwersytecie Jagiellońskim 1447 r. (w streszczeniu). 3) Krakowskie „Pia dictamina“ ku czci Panny Niepokalanej 1447 r. 420

Zbigniew Oleśnicki i Uniwersytet Jagielloński, przez Dr. Kazimierza Morawskiego 486

Uniwersytet Jagielloński w czterech ostatnich wiekach, przez Dr. Wiktora Czermaka 507

Str.

Kronika literacka 132, 327

X. A. Jougan: Constitutum Constantini. — S. Klobukowski: Wspomnienia z podróży po Brazylii, Argentynie, Paragwaju, Patagonii i Ziemi Ognistej. R. von Gottschall: Aus meiner Jugend. — E. Hanslick: Am Ende des Jahrhunderts, 1895-1899. („Moderne Oper", VIII Theil). — S. Lee: A life of William Shakespeare.

Z literatury powieściowej. C. von Czajkowski: Kreuzigt ihn! — F. Skowronnek: Masurenblut. — M. Alexander: The cost of her pride. 2. t. — M. Alexander: Brown V. C. — A. Conan-Doyle: A duet.

F. Kluczycki: Zarys domowej nieszczęśliwości i wewnętrznej niesnaski wojny Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego, pro informatione potomnym następującym czasom, przez jedną Zakonną Osobę światu pokazany i z żałością wyrażony Anno 1721. — M. Śleczkowska: Z naszego skarbca.

P. Ginisty: La vie d'un théatre. — E. Bormann: Shakespeare's Debut 1598.

Z literatury powieściowej. W. Sieroszewski: Brzask. — A. Krzyżanowski: W więzach. — C. Walewska: Podsłuchane.

Teatr krakowski, przez Dr. Feliksa Konecznego 155, 349

Przegląd polityczny, przez *** 179, 362

Floryan Ziemiałkowski. Wspomnienie pośmiertne, przez Stanisława Tarnowskiego 188

X. Ignacy Łoboś, biskup tarnowski. Wspomnienie pośmiertne, przez Stanisława Tarnowskiego . . 375

SŁOWO WSTĘPNE.

Ze wszystkich pism polskich, najbliższy Uniwersytetu Jagiellońskiego jest nasz *Przegląd*. Liczył zaledwo parę lat życia, kiedy jego młodzi wówczas założyciele, weszli w skład Uniwersytetu. Szujski był jego, jak Uniwersytetu, czołem i chlubą do śmierci. W nim ogłaszał najgłębsze, najżywotniejsze swoje myśli o teraźniejszości, w nim niejedną ze swoich najznakomitszych prac nad przeszłością narodu, w nim niektóre dramata, w nim przekłady z Eschyla i Calderona. Kiedy z jego śmiercią ubyła *Przeglądowi* najdzielniejsza siła i najświetniejsza ozdoba, starał się on zastąpić ten wielki ubytek innemi, zbiorowemi, których znowu w Uniwersytecie poszukał. W skład jego redakcyi weszli: Bobrzyński, Kleczyński, Morawski, Mycielski, X. Pawlicki, Smolka, Sokołowski, Zakrzewski, sami profesorowie. Kiedy Bobrzyński, powołany do steru spraw wychowania w kraju, opuścił Kraków i Uniwersytet, miejsce jego w redakcyi zajął Stanisław Madeyski — na krótko tylko, bo i on na inne, wyższe, przeniósł się miejsce.

Ma więc *Przegląd* prawo chlubić się, że się z Uniwersytetem złączył najściślej, jak to dla pisma peryodycznego jest możliwem.

Z tego zaś wynika, że i uczuciami swemi zrósł się z nim tak silnie, jak żadne inne pismo nie mogło, nie zdoła. Wszystkie wyprzedzają się nawzajem w objawach gorącej czci i miłości dla starej Jagiellońskiej Szkoły, wszystkie czują ją głęboko i gorąco. Ale niema jednego, prócz nas, którego redakcya całą swoją siłę, pracę, główny cel, całe swoje życie, mieści w Uniwersytecie i jemu oddaje. Śmiało też i sumiennie może powiedzieć, że nikt na całym obszarze ziem polskich nie czuje tak żywo pięćsetnej rocznicy, jak my: nikt nie życzy tak z całej duszy i ze wszystkich sił swoich, jak my.

Dla tej rocznicy nie może biedne pismo zrobić nic więcej, jak poświęcić jej jeden swój zeszyt, zapełniony wyłącznie i jedynie wspomnieniami Uniwersytetu. Dziwnem się może wydać, że ze wszystkich, którzy do naszego pisma należą, jeden tylko ogłasza w tym zeszycie swoją pracę, część większej *Historyi Uniwersytetu,* której na tę rocznicę szczęśliwie dokonał. Milczenie innych, ich nieobecność w niniejszym zeszycie, ztąd pochodzi i tem się tłómaczy, że Uniwersytet potrzebował ich czasu i trudu do innej służby, do spraw swoich ważniejszych. Nie żałowali mu swojej pracy, tylko ją na co innego, jak pisanie, poświęcić musieli.

Tym łaskawym współpracownikom, którzy nas zastąpili i zeszyt ten badaniami swojemi zapełnili, wdzięczność wyrażamy szczerą i wielką.

Uniwersytetowi zaś, *naszemu* Uniwersytetowi, czego życzyć mamy od tego profesorskiego pisma? Złote czasy Kazimierza, Jadwigi, Jagiełły, niech mu Bóg da, przywróci, powtórzy — kiedyś! Dziś ten świat nie do tego. Wielkiego Długosza, wielkiego

Kopernika, świętego Jana z Kęt, niech mu da, niech powtórzy ze swej łaski. Ale te wielkie świetności i blaski, to rozkosz i chwała, to nie konieczna życia potrzeba. Nam zaś, tej naszej Szkole, potrzeba nie powszedniego, ale codziennego życia, a więc chleba nauki na pokarm, i zdrowego powietrza na oddech. Te dary miał on i w bliższych nam czasach. Śniadeckich wielka nauka, Bandtków wytrwała praca, Helcla wielkie serce i umysł sercu równy, Majera troskliwa czujna piecza, Muczkowskiego badawcza skrzętność, Wiszniewskiego wiedza i przedsiębiorczość, Kremera szlachetny kierunek, Dietla w nauce i w innych zawodach znakomitość, Dunajewskiego umiejętność uczenia i rządzenia — to przykłady bliższe, po części dostępniejsze, przez to ściśle już obowiązujące. Czystość zaś i prawość wszystkich, wierna, o sobie nie myśląca służba nauki i ojczyzny, godność własna i Uniwersytetu, nietylko niczem nigdy nie przyćmiona, ale utrzymana wysoko, to jest tradycya ściśle obowiązująca, to jest, co nieodzownie potrzebne, co w każdem położeniu, w każdych warunkach być może, bo być powinno — i musi być, dlatego że być powinno. To jest ten chleb duchowy, nie powszedni, ale codzienny; to powietrze zdrowe, bez którego niema życia. Gieniusze zsyła Bóg, kiedy zechce; od ludzi to nie zależy. Ale zdolność, ale naukę, ale prawość i godność wyrabiają ludzie, i oni za nie odpowiadają. Życzymy więc Uniwersytetowi, na dziś i na przyszłe pokolenia, żeby miał profesorów takich, jak Helcel, Dietl, Dunajewski, żeby wydawał uczniów takich, jak Szujski. Takich niech miewa, bez przerwy, jednych po drugich, a będzie i w Uniwersytecie dobrze, i w narodzie lepiej.

My dziś z żałością i z zazdrością myślimy o tem, co tu było przed pięciuset laty. Niech za lat sto, czy za trzysta, czy za drugie pięćset, w tym kraju, w tem mieście, w tej Szkole, ludzie wspominają ze współczuciem i z uszanowaniem o tem, co się tu dziś dzieje i robi, niech myśląc o nas powiedzą: „Oni siali we łzach to, co my zbieramy w weselu“.

St. Tarnowski.

W lat półtysiąca.

DYALOG

napisany na uroczyste przedstawienie w dniu pięciowiekowej rocznicy odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego.

OSOBY:

UCZEŃ I z r. 1400.
UCZEŃ II z r. 1900.
WIDZENIE.

Scena przedstawia salę w Uniwersytecie krakowskim. Na lewo drzwi. W głębi jedno, po prawej drugie okno gotyckie. Ciemno, zaczyna świtać. Dawny uczeń stoi po prawej stronie. Ma na sobie płaszcz doktorski, pokrywający zbroję średniowieczną. Zwolna wyjaśnia się w sali.

UCZEŃ PIERWSZY.

Co to? na ziemi jestem? Wyrok Boży!
Stopami z żaru oswobodzonemi
Dotknąłem mojej, swojskiej, polskiej ziemi.

(Postępuje ku widzom).

I krok ten pierwszy dziwi mnie i trwoży.

(Staje).

Przecz mi kazano tutaj iść? Po nowe
Bole rozpaczne, gorsze niż ogniowe?

(Rozgląda się dokoła).

Poznaję mury. Jestem w dawnej Szkole,
Gdzie ongi dzikie, zuchwałe pacholę
Uczono życia. Jam tutaj najczystsze
Dni moje spędził. Tu uczeni mistrze
Nieraz mówili: „Pohamuj się synu!“
I dodawali, patrząc ku mnie bystrze:
„Szaleństw i pustot nie bronim za młodu.
Później czekamy — woli, pracy, czynu:
Serce masz śmiałe, chlubą bądź narodu!“

Już wiem, dlaczego tu jestem. Uczeni
Starce powrócą. Oczyma ze stali
Będą w me oczy martwe zaglądali,
Aż się grzesznika twarz, co zbiegł z płomieni,
Blada i smętna, wstydem zarumieni.

(po chwili).

Niech będzie, co ma być...
Dziś wszystko zniosę...
Słyszę dech ziemi sennej, czuję rosę.

(Zbliża się do otwartego okna po prawej).

Ze wsi woń idzie cudna. W noc błękitną,
Jak za lat moich młodych, róże kwitną
I więdnąc, pachną. W wielkim nieboskłonie
Miesiąc się jarzy w złotych gwiazd koronie.
Tęczowych planet korowód bogaty
Zwolna po niebie sunie, jak przed laty,
Ponad równiną wionie wiatr z szelestem,
Sadów różane potrącając kwiaty.

Serce ojczyzny mojej, z Tobą jestem.

Witaj mi ziemio polska, bujna, cicha,
Matko szlachetnych niewiast i rycerzy,
Ziemio, gdzie tylu bohaterów leży
I tylu żywych do bohaterstw wzdycha.
Ja, który dzisiaj wstałem z ciasnej trumny,
Mogęż być tobą radosny i dumny?

Witaj mi grodzie, coś wieżyce smukłe,
Czujne, spiżowych, dźwięcznych pełne głosów,
Wystrzelił w jasne błękity wypukłe
I hejnałami sięgasz do niebiosów...
Czy zwyciężają zawsze twe modlitwy
W dzień ognia, dżumy i w dzień walnej bitwy?

Witaj mi Szkoło, Szkoło moja dawna!
Czyś mi tak zawsze uczona i sławna?
Za dni radosne żaka i za piękne
Rady twych mędrców, niechajże w pokorze
I wielkiej skrusze serca tu uklęknę,
Na twoim progu pocałunek złożę.

(Zbliża się po lewej stronie, ku drzwiom, które się naraz otwierają. Wchodzi uczeń drugi, student dzisiejszy, ubrany również w togę doktorską).

UCZEŃ DRUGI.

Ktoś ty? i jak się tutaj mogłeś dostać?
Skąd idziesz?

(Pauza).

Czemu milczysz jak grobowiec,
I cały jesteś jak kamienna postać
Z grobowej płyty przodków?

(Pauza).

Słyszysz?

(Pauza).

Powiedz,
Coś zacz, co robisz tutaj — w tej godzinie?

(Pauza).

Możeś ty obcy, może po łacinie
Mam z tobą mówić?

UCZEŃ I.

Nie, chociaż w tej sali
Nigdyśmy gwarą tłumu nie mawiali.

UCZEŃ II.

Tyś dawny uczeń?

(Z trwogą)

Ale żywy człowiek?

UCZEŃ I.

Czemu się tobie włos na głowie jeży
I nierycerski strach patrzy z pod powiek?
Nie, ja nie jestem żyw. Jam z tych rycerzy
Co pod Grunwaldem padli — z polskiej strony.

(Po chwili).

A ty kto jesteś?

UCZEŃ II.

Jam jest żak, ćwiczony
W tej dawnej Szkole. A chociaż mnie wczora
Ubrano w czarną togę, w strój doktora,
Jam żak, żak biedny, który nie zasłynął
Sercem ni szablą — i za kraj nie zginął...
Scholar, co tylko w starych księgach grzebie,
W dzień uczy młodszych, w noc — samego siebie.
I nieraz, chociaż gwiazdy się rozzłocą,
Nie wiem, że weszły na niebo. Bo nocą
Czytam tu o was, zmarli. W senną ciszę
Chrzęst waszych zbroic pilnem uchem słyszę.
Czytam o pani waszej, o Jadwidze,
Królowej polskiej. A gdy wreszcie zasnę,
Duszą, co cały dzień marzyła, widzę,
— Jak w oknach katedr starych — widma jasne,

Barwne, przejrzyste. Rankiem pytam: długo
Mam jeszcze czekać, aż mi się ukażą
Na jawie męże z piorunową twarzą,
Z mieczem dwuręcznym, włócznią i kolczugą?

Dzisiaj już nie śnię, patrzę.

(Chce mu paść do nóg).

Witaj, witaj!

UCZEŃ I.

Ty się przedemną nie kłoń. Ty mi zbroi
Ni kraju szaty rękami nie chwytaj:
Gdy ogień buchnie, nikt ci ran nie zgoi!

UCZEŃ II.

Kroczysz li z ognia?
Czy tych, którzy święcie
Broniąc ojczyzny, od miecza zginęli,
Nie czeka nagły wzlot i wniebowzięcie,
Czy po nich jaśni nie schodzą anieli?

Czyż sam Archanioł w zbroicy zwycięzkiej
Nie spada orłem — bronić duszy męzkiej,
By, kiedy wrogów w czeluście postrąca,
Nieść ją na skrzydłach, jak orzeł, do słońca?

UCZEŃ I.

O światach, których nie znasz, milcz scholarze!
Gdybym nie zginął pod Grunwaldem z rany
Dobrej, bo w czystej sprawie uzyskanej,
Jużbym nadziei nie znał...
Ten, co karze
I uniewinnia, wie komu przydłuży
Mąk, komu skróci.

(Cisza).

Jam jest grzesznik duży.

(Cisza).

Mów mi, ty żaku uczony, co wnikasz
W myśl starych kronik, sam jesteś kronikarz,
Mów, czy o Krwawym nie słyszałeś Dyable?

UCZEŃ II.

Słyszałem.

UCZEŃ I.

Śmiałków tych znasz, którzy w szale
Jak Krwawy Dyabeł, dumnie i zuchwale
Całą swą duszę kładli w krzywą szablę?

UCZEŃ II.

Znam.

UCZEŃ I.

Jam był z nimi.

(Zwolna).

Sąsiada ograbić,
Spieniać, a jeśli się nam oprze, zabić.
Mieć w obrzydzeniu wszystko co uczciwe,
Bo napomina. Dzisiaj ludzką sławę
Zniszczyć, a nie wleść jak Gniewosz pod ławę,
Jutro kopytem końskiem polską niwę
Wyplenić. Dłonie mieć krwią bratnią krwawe...
Królowi w jakiejś szalonej zawiści
Wstręt czynić, za to, że król, kraj zaburzyć
I raczej z hańbą w sercu wrogom służyć
Niźli usłuchać swoich, bo są czyści —
Oto com umiał.
Gdyby nie zgon mężny,
W piersi krzyżacki grot krzywoprzysiężny...

(Chwyta za miecz).

O mieczu, ty przydłużasz ludzkie ramię
Nietylko na złe walki. Jam w potrzebie
Świętej cię dobył i dzisiaj przez ciebie
Żyję i kiedyś w jasnej stanę bramie.

(Pauza).

Już teraz wszelkie zgryzoty ustały...
Nie wiesz ty czemu?

UCZEŃ II.

Może ci odpowiem,
Ranek, co wstaje nakształt nocy białej
U widnokręgu, wyprzedza dzień chwały.

UCZEŃ I.

Czy mi kres cierpień wróży? Mów, albowiem
Serce mi tłucze o zbroję stalową,
Jak w chwili zgonu.

UCZEŃ II.

Dziś lat pół tysiąca,
Jak nasza Szkoła, słynna i kwitnąca,
Wskrzesła z popiołów na Jagiełły słowo.

UCZEŃ I.

Mówisz, że mija już lat pół tysiąca?
— Jam dni rachubę stracił. — O, mów do mnie,
Tam, pod Grunwaldem, czyśmy zwyciężyli?
Jam skonał prędko, walk zaciekłych końca
Źrenica moja, od bólu mdlejąca,
Już nie ujrzała. Zmarłem nieprzytomnie
I nic o ziemi nie wiem od tej chwili.

UCZEŃ II.

Ległeś zwycięzki.

UCZEŃ I.

I Zakon na zawsze
Zniszczon?

UCZEŃ II.

Jak żmija pocięta w kawały
Zrasta się znowu, tak się zrósł.

(Ciszej).

I łzawsze
Dni przyszły na nas — po krótkim dniu chwały.

UCZEŃ I.

Ale mi powiedz, król na polskim tronie
Jestże to jaki wnuk po Jagiellonie?

(Uczeń II przeczy ruchem głowy).

UCZEŃ I.

Więc któż na polskiej stolicy dziś siedzi?
I kędyż chętniej mieszkają królowie
Nasi: ażali tu, w starym Krakowie,
Albo też w Wilnie?

UCZEŃ II.

Milcz, milcz! Odpowiedzi
Z ust nie wyrywaj!

(Wskazuje na salę)

Bo tu prawda żywie,
A kiedy tobie odrzeknę prawdziwie,
Jeszcze mi cały runiesz, nakształt wieży
Kamiennej, w którą niebios grom uderzy.

UCZEŃ I.

Mów, ja piorunów nawykły i grzmotów,
Wszystkiego słuchać, wszystko ścierpieć gotów.

UCZEŃ II.

Więc, w imię Boże.
Możesz dziś po świecie
Kroczyć. Gdzie spotkasz świeże, czerstwe dziecię,
Co już poczyna mówić, gładź po twarzy
A gdy w przeczystych źrenicach wyczytasz,
Że się tej młodej duszy szczęście marzy,
Dziecko o nazwę ojczyzny zapytasz.
Na to ci w jakiejś radości pół boskiej,
Anielskiej, powie kraju imię święte:
Matka roztworzy oczy uśmiechnięte
I pocznie dziecku muskać złote włoski.

Tak w całym świecie.
Lecz zajdziesz w krainy,
Gdzie twem pytaniem dzieci się przerażą,
Odbiegną ciebie z zapłakaną twarzą,
Jak gdyby jakiej wstydziły się winy.
I rzekną matce, co cicha, ostrożna,
Śledzi icb wzrokiem: „Czy powiedzieć można?“

Kiedy kraj poznasz, gdzie uczą za młodu
Ojcom nie wierzyć albo wszystkim kłamać,
Gdzie mężom trzeba albo życie złamać
Albo się wyprzeć wiary i narodu,
Wiedz, żeś na twojej ziemi.
Tyś się królem
Polskim ciekawił, a niemasz królestwa...
Pośród rozpaczy i pośród nicestwa
Jeżeli jeszcze królujem — to bólem.

(Milczenie).

UCZEŃ I.

A mieczem?
Może zapytać mam prawo,
Coście wy z naszą zrobili spuścizną,
Z ziemią od naszych ran śmiertelnych krwawą,
A od posoki długich wieków żyzną?
I co z duchową całą ojcowizną,
Ze czcią u świata i z orężną sławą?
Czyście po karczmach zastawili miecze,
Drzewce proporców o ostrzu ze stali,
Po których jeszcze ciepły szkarłat ciecze?

Bo, albo się tu już nie rodzą chłopcy,
Lub jak żelastwo stare, co nie służy
Na nic, dziedziczne rynsztunki sprzedali,
I są już sercem nie swoi — a obcy,
Skoro granicznej wyrzekli się stróży.
Pradziad się mężnie bił, a prawnuk....

UCZEŃ II.

Zasię,
Zasię... Nie tylko ty, rycerżu hardy,
Upadleś we krwi rubinowej krasie:
Wszystko mi możesz rzucić w twarz — prócz wzgardy!
Mówię ci jeszcze raz: po polskiej ziemi
Idź, idź — natrafisz wszędzie na kurhany,
A trawa na nich świeci ciemniejszemi
Barwami, niż za ciebie, z krwi wylanej.

My nie umiemy szczędzić — ani groszy,
Ni sił, stworzeni, jakby do rozkoszy
I do szaleństwa, a po szale smutni,
Nie ufni w swoją moc. I znowu butni,
Gdy się nam nowe świecidło zapali,
Fata Morgana w rozpacznej oddali.
Wiedz, żeśmy wszystkiem nadto szafowali,
Lecz i krwią własną byliśmy rozrzutni.

Kiedy na chrześcian pohaniec nastawał,
Ludy przed jego pierzchły zagonami.
A myśmy przed nim duży świata kawał
Od muzułmańskich, barbarzyńskich nawał
Bronili przez wiek długi, prawie sami.

Patrz, już rycerstwu otrąbiono ranną
Pobudkę; korne przed Najświętszą Panną,
Wiesz z jaką prośbą na bój się zbroiło:
„Daj nam zwyciężyć lub ledz pod mogiłą".
I widzisz: kopie zniżono do toku,
Na barkach orle skrzydła zaszumiały,
Hussarya nakształt morskiej, rozszalałej
Złowrogiej fali, co bije o skały,
A białoskrzydlna na pozór obłoku,
Idzie wśród śpiewu, wrzasku, rżenia koni.
Rumaki zbrojne rzuciła do skoku,
Jak piorun, wroga dosięgła w pogoni,
Przeszła — i nic już nie zostało po niej.

Potem twe dawne rzuciliśmy miecze,
Twoje kolczugi i skrzydła orlicy....
W bój bez pancerza szły piersi człowiecze,
Na nowe strzały — nowi wojownicy.
Na Racławickiem pytaj o nich polu,
Albo w Olszynie Grochowskiej, gdzie groby
Bezkwietne sterczą wśród niemej żałoby....
Idź o nich pytać aż na Kapitolu
I niech ci rzekną turnie Samosiery,
Czyli i po was były bohatery?

UCZEŃ I *(zdumiony)*.

A mimo ciągłych z polskiej krwi strumieni
Myśmy — scholarze — upadli, zgnębieni?

UCZEŃ II.

Nie mylisz się, nie kłamię.

UCZEŃ I.

Cóż nas trzyma?

UCZEŃ II.

Przeszłość o kształtach Anioła — Olbrzyma,
Co po nad nami skrzydła rozpościera,
Przeszłość o cichej, posągowej twarzy,
Gdzie się rumieniec życia już nie żarzy,
Lecz i nadziei brzask nie obumiera.

I ty, rycerzu, pytasz, co nas trzyma?
Ziemia pod nami, smutna, lecz rodzima,
Mowa przejrzysta w wielkich mistrzów straży
I pieśń, nad którą przemoc władzy niema...
Modlitwa, co się potajemnie skarży,
Duch, co na winy spogląda oczyma
Pełnemi skruchy. I patrz — to przeważy —
Krew ludzi prostych... skrzepła u ołtarzy
Podlaskich.

Jasnej nie wkładamy zbroje,
Jak ty, nie idziem na mieczowe boje...
Krew jednak ciekła. Mamy walki swoje.

A może łatwiej życie oddać w szale,
Niż, zapomniawszy o swej własnej chwale,
Żyć dla ojczyzny skromnie i wytrwale...

UCZEŃ I.

Wiem, wiem, scholarze! Nie pastw się nademną.
Cóż więc zgubiło nas? Ja nadaremno
Trwam w myślach.
Boga czyście się wyrzekli?

(Uczeń II daje znak przeczący).

Czy w bratobójczej wojnie się zasiekli?
Albo też wszyscy takeście zgnuśnieli,
Że już stąd żadna jasna myśl nie strzeli,
Nikomu nowych światów nie zakreśli?
Czy w kraju zbrojnych rąk — zabrakło myśli?

Czy jak szaleniec, co podpala gumno,
W którem się zboże chowa na czas głodu,
Wyście wzgardzili tą chlubą narodu,
Tą Szkołą polską dumną, bo rozumną?

UCZEŃ II.

Nie, nie rycerzu.
Zrazu był tu cichy
Poczet magistrów, pobożnych jak mnichy,
I pracowitych. Na szalach subtelnych
Ważyli słowa Greków nieśmiertelnych,
Aby je z prawdą pogodzili Bożą.
I szkoła ta na Wschodzie, wschodnią zorzą
Tak zaświeciła, że z wszelkiego kraju
Od wzgórzy, co się zwierciedlą w Wełtawie,
Od Alp, od brzegów szumnego Dunaju
Szły tu scholary siąść na naszej ławie,

W naukę polskich uczonych ciekawie
Wsłuchać się.
Później w tej Szkole się ćwiczy
Żak, co ni własnym oczom nie uwierzy,
Ni ludziom. Światy na nowo przemierzy
I kręgi planet wytknie i obliczy.
Na frauenburskiej stojąc potem wieży,
Będzie miał chwilę nadludzką a błogą,
Gdy duchem ujrzy świat.
Wskazaną drogą
Ziemie, miesiące krążą koło słońca,
A ono z jasnym ich orszakiem bieży
I rwie się w ciemne przestrzenie bez końca,
W oddal, gdzie niema kresów ni rubieży,
Gdzie, jak pszenicznych ziarn posiew bogaty,
Lśnią nowe słońca, niewiadome światy.

I znowu inny czar. Jak Venus z piany,
Nagle bóstw dawnych orszak wstał różany,
Odrazu ziemię całą strojąc w róże.
Z lochów poczęły na dzień wracać księgi
I lud Kwirytów zmartwychwstawał tęgi,
Kreślony stylem lub kuty w marmurze.

Z wiosną po świecie powiały nadzieje,
Że skoro wnikniesz w mądrość starożytną,
Musisz mieć duszę pogodną i szczytną,
A sławy twojej żaden wichr nie zwieje.
W błogiem Elysium zamieszkasz wieczyście,
Gdzie, jako świerszcze w ciepły dzień wrześniowy,
Starcy spokojne prowadzą rozmowy,
Krocząc przez kwiatów niewiędnących kiście.

Ledwo się z po za ściany Alp przekradła
Jutrznia i wiara, że się znów odrodzi
Świat, zaraz uczniów gromada, wybladła
Nad pargaminów pismem, tu zasiadła —
Posłuchać, co powiedzą mistrze młodzi,

Poznać tę Piękność, która już nie skona,
Bo niesie kwiecie, owoc i nasiona.

Tu się w Piękności zakochał najpierwszy
Polak, co przejrzał mowy blask, kunszt wierszy.
W ten dzień świąteczny słówkiem go wychwalmy,
Bo jest nam dotąd zdrowy i najszczerszy.
A pił nietylko z greckiej Hippokreny.
Jak wieśniak, pieśni, jak pokutnik — psalmy
Składał. Gdy główki zabrakło mu drogiej,
Sam niewiedzący jak, wypłakał treny...
Że był Polakiem, Kassandry złowrogi
Krzyk zabrzmiał z pierwszych desek polskiej scen .

UCZEŃ I.

I Szkoła ciągle rosła?

UCZEŃ II.

Ile razy
Naród się ocknie ze snu i na lepsze
Odmieni, z murów jej usunąć skazy
Pragnie i ściany ramieniem podeprze.

Był raz w tej szkole mistrz, co w dniach rozpaczy
Nie upadł, w ciszy nie zgnuśniał niemęzkiej,
Lecz rzekł swej duszy: „Nauka tłómaczy
Ludów los, muszą po winach iść klęski,
Po zmartwychwstaniu serc — hejnał zwycięzki".
I gromko począł wołać: „Wstańcież młodzi;
Przeszłość roztrząsnąć. Prawda wyswobodzi".

UCZEŃ I.

A czegoż Ona uczy do tej chwili?

UCZEŃ II.

Że gwałt jest gwałtem i kradzież kradzieżą,
Choć się przed ludźmi uniewinnić sili,
Przed ludźmi, którzy wierzyć chcą — więc wierzą.

I mówi, żeśmy sami zawinili
Najwięcej.

UCZEŃ I.

Czemże?

UCZEŃ II.

Tym blichtrem, co myli
Innych i siebie, za czyn biorąc słowo —
Sercem zbyt dumnem, zbyt szaloną głową.

(Chwila ciszy).

UCZEŃ I.

Lecz jeśli tylko przodkowie grzeszyli?
Czy się już tutaj nie modlą w pokorze:
„Za grzechy ojców nie chciej karać Boże!“

UCZEŃ II.

Modlimy się — napróżno. Nowe rody
Zwycięzców wstają i plwają nam w oczy:
„Skoro w was taki żyje duch ochoczy,
Ojczyznę wrócim wam — na krótkie gody.
Wskrzesicie dawne prywaty i waśnie
I z dniem jutrzejszym siła wasza zgaśnie“.

Gdy mi tem słowem bluźnie w twarz szyderca,
Ja głowę schylam, wzejrzeć nie mam serca.

Nas samolubstwo zgubiło.
I ginie
Niem kraj — aż po dziś dzień, w twardej godzinie.

Rzadki, kto u nas zapomni o sobie,
Częstszy, kto gotów — choć świat pójdzie w gruzy —
Gwiazdy z niebiosów rwać ku swej ozdobie,
Na kontuszowe zamieniać je guzy.
Nigdy mądremu nie powiemy: „Prowadź,
Chcemy domostwo wspólne odbudować.

Bądź ty nam sławny, my gardzimy chwałą,
Byle domostwo smutne dni przetrwało".

Kto u nas dzielny, serca bratnie mrozi,
Bo mógłby wyróść po nad nasze głowy.
Każdy wysoki duch równości grozi.
My tylko sługi ciżby pogrzebowej,
Co wówczas mężów czci, gdy legli w grobie:
Dla żywych niema, wymowna w żałobie.

My lada jakie wolimy bożyszcze,
Co sobie rozgłos głośnym krzykiem zyszcze.
Myśmy gotowi oddać hołd każdemu,
Byle do hołdu nie miał prawa.

UCZEŃ I.

Czemu
Ty się nademną znęcasz?

UCZEŃ II.

Ja?

UCZEŃ I.

Człowieku,
Wszakże mi w serce ćwiek wbijasz po ćwieku
I patrzysz, jak się krwawię. Gdy kamieniem
Rzucasz na przeszłość, myślisz, że sumieniem
Nie czuję, że potępiasz m n i e?
Jam ciałem
Synów nie spłodził, lecz duchem wydałem
Tych wszystkich wichrzycieli, tych ospałych,
I tylko mieczem a nie duszą śmiałych.

Teraz już dobrze wiem, pocom na ziemię
Wrócił: by ujrzeć niezliczone plemię
Potomków gnuśnych. Męki nadto mało
Zaznałem, skoro mię jeszcze czekało
Takie zwątpienie.
(Chwyta się za głowę).

Tam, zkąd idę wrócić,
W bezdenną otchłań żaru, mąk się rzucić,
Zgryzot zapomnieć —
Uwierzyć w nadzieję!

UCZEŃ II.

Cicho, rycerzu, widzisz, jak bieleje
Okno, nasiąka blaskiem.
Patrz, co świta
Z porannych mroków... Jakiś kształt się dźwiga,
Urasta. Jakaś anielska kobieta
Z mgieł się wyłania, żywa.

UCZEŃ I.

Na kolana!
Czyś jej nie poznał?

(Przyklęka).

Królowa Jadwiga
W niebiańskich blasków złoto przyodziana.

(W oknie w głębi sceny ukazuje się nieruchoma Jadwiga, w królewskim majestacie. Mówi do klęczącego pierwszego ucznia).

WIDZENIE.

Powstań, idź za mną!
Skoro całą drogę
Boleści dusze przejdą i opłaczą
Wszystkie swe grzechy, skoro się z rozpaczą
Schylą nad piekła toń — wtedy je mogę
Zawieść w melodyi ciche, jasne kręgi,
Wokoło Bożej ruchome potęgi.

Za mną rycerzu.
Wina twa po winie
Nikła, jak krople ros w rannej godzinie,
Gdy z widnokręgu młode wstaje słońce
I pije wszystkie kwiatów łzy na łące.
Za mną!

UCZEŃ II.

Pozostań z nami, o Królowo!
Jest właśnie ranek. Jak światło wschodzące,
Wypij łzy nasze.
Rzuć przebaczeń słowo,
Albo nam powiedz, jakie łzy wylewać —
By żyć, by ożyć, aby się spodziewać.

WIDZENIE.

Słuchaj scholarze, najdroższy mi synu,
Bo najbiedniejszy.
Nie chcę łez. Chcę czynu.

Masz jeszcze matkę? Mów jej, by została
Taką, jak była dotąd, ufna, biała,
Mów jej, że przyszłość w dzielnych kobiet ręku,
Niewiast bez zdrady, zwątpienia i lęku.

I rad posłuchaj, które matka powie:
Życie ci dała, da ci moc i zdrowie
I zaprowadzi do stóp Karmicielki,
Polski, Wszech-Matki, zbolałej lecz wielkiej.

Tylko zwątpienia nie znaj. Ono więcej
W otchłań rzuciło tysiąców tysięcy,
Niż zbrodnie i przekupstwa.
Nie uciekaj
Od pracy, choćby marnej, z serc wywlekaj
Ostygłych — jakiś zapał, żyj i czekaj.

Nas słowo Boże nie w przepaść wtrąciło
Lecz w próbę bólu pod głuchą mogiłą —
I my możemy z niej wyjść ducha siłą.

Nie wątp, scholarze! Słuchaj, z mej niewieściej
Historyi — powiem ci trzy przypowieści.

Kochałam tylko raz.
Wiesz, co kobiecie

Szlachetnej miłość daje?
Życie, życie.

Jam się miłości wyparła.

To pierwsza
Moja ofiara, największa, najszczersza.

Widzisz, chwilami nawet łaskę nieba,
Najczystszy serca brzask poświęcić trzeba.

Raz biednym chłopom chudobę odbili.
Jagiełło kazał oddać. Od tej chwili
Mnie jednak ciągła, tajemna myśl smuci,
Że niemasz władzy, która łzy powróci.

I tę naukę, scholarze, spamiętasz:
Cicho masz wkraczać na ludzkich mąk cmentarz.
Nie dość biedniejszym szkatułę otworzyć,
Trzeba ból poznać, pokochać, zrozumieć,
I gdy się złoto składa, trzeba umieć
Między dukaty własne serce włożyć.

Kiedy ta Szkoła miała wstać na nowo,
Ja byłam Polką, nie tylko królową.
Dałam co było w mocy mej.
Nauki
Nigdym nie miała, nie znam żadnej sztuki,
Prócz poświęcenia i prócz cichej cnoty.

Więc z piersi zdarłam dla kraju klejnoty.

Ojczyźnie trzeba oddać pierwszy złoty
Grosz i myśl złotą, złotodajną pracę,
A ja, królowa Jadwiga, co stoję
W błękitach, patrząc czy dzierżawy moje
Są czyste, ja wam, szlachetni, odpłacę.

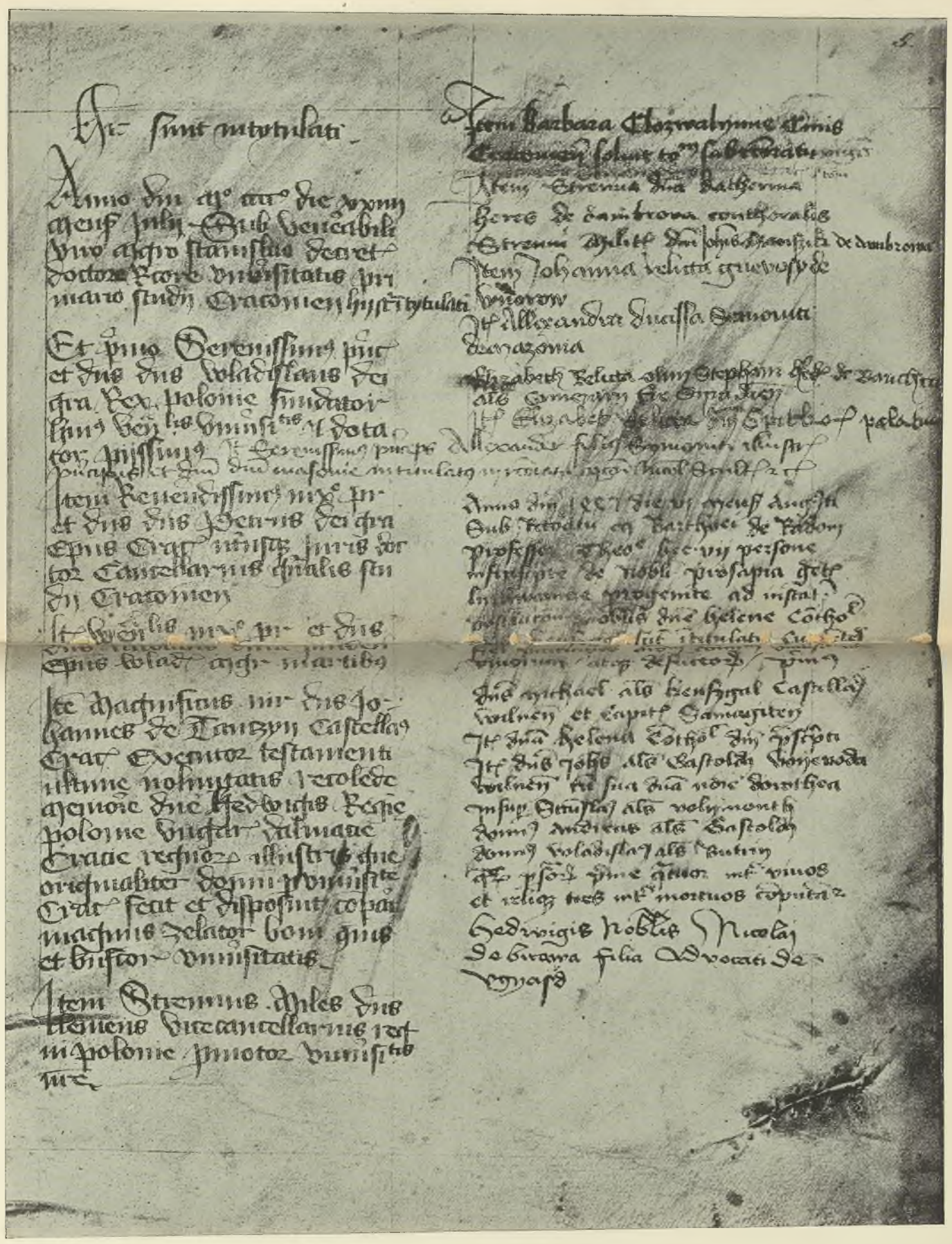
Nie dość mi jedną dziś wyzwolić duszę.
Ziemi tej jasne szczęście wrócić mogę.

A znam was, póki całe, duże kraje
Cierpią, nikomu z was radość nie wstaje.
Więc trwajcie wszyscy w męztwie, woli, skrusze.

Ja was nie tylko na gwiaździstą drogę
Za sobą wezmę, dawne łzy osuszę,

Dziś, ja wam wszystkie łzy powrócić mogę.

Konstanty M. Górski.



WPISY KRÓLA I DOSTOJNIKÓW.

Najstarsze karty metryki uniwersyteckiej.

Wnuka Łokietkowej córy, pod obcem wychowana niebem, odkąd na polskiej stanęła ziemi, wchłonęła w siebie wszystko co było jej myślą, oddechem, pragnieniem, wzięła w pierś swoją wszystkie troski i zamiary wielkiego króla, brała po nim nie doczesne jedynie dziedzictwo. Królowa Jadwiga wzrosła i dojrzała w ofierze z osobistych uczuć uczynionej, stąd od jej postaci jakiś smutek wieje i rzewny na nią rzuca urok. Z cichą rezygnacyą złączyła hart niezwykły, a że ofiarę uczyniła świadomie, zwróciła całą energię swojej duszy ku wielkim, rozszerzającym się przed nią horyzontom. Niezwykłą musiała być postać wielkiego jej przodka, który te widnokręgi narodowi ukazał i ku nim społeczeństwo popchnął, tak, że królowa w najbliższem swojem otoczeniu znajdowała ciągle ślady jego myśli. I poszła za niemi, czy kiedy na czele zbrojnych zastępów utrwalała panowanie polskie na Rusi Czerwonej, czy kiedy podjęła zamiar rozszerzenia i odnowienia Uniwersytetu i na śmiertelnem łożu na ten cel swoje przeznaczyła szaty, klejnoty i sprzęty.

Już Kazimierz W. przekonał się rychło, że boloński system nie na polskie stosunki; za wzorem Pragi i Wiednia chciał przejść do paryskiego i zbudować *Collegium*. Odumarł dzieła i tylko plac obszerny, a na nim założone fundamenty świadczyły jeszcze długo o królewskim zamiarze wzniesienia Uniwersytetu na Bawole na Kazimierzu [1]). Królowa Jadwiga

[1]) Przypuszczenie, że fundacya na Kazimierzu nastąpiła po r. 1364, a zatem po próbie założenia Uniwersytetu w sa-

i wykonawcy jej woli już nie myśleli o Kazimierzu, ale postanowili wznieść kollegium w Krakowie. Miasto, wierne tradycyi z r. 1364, popiera usiłowania odnowienia Uniwersytetu i stara się pozyskać do tego dzieła znakomitą siłę, dziecko krakowskie, Mateusza z Krakowa, rektora Uniwersytetu heidelberskiego, późniejszego biskupa Wormacyi [1]). Królowa wyraźnie w testamencie polecała na ten cel dom w Krakowie zakupić. Najwyżsi dostojnicy krakowscy, biskup Piotr Wysz i kasztelan Jan z Tenczyna zakrzątnęli się gorąco około dzieła, testamentem sobie powierzonego, któremu Jagiełło szczerego użyczył poparcia i już w rok po śmierci królowej dom na ulicy św. Anny był w posiadaniu króla. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dom był już za życia Jadwigi obrany, skoro dokumenty już od r. 1393 wskazują na jakiś wytknięty plan w nabywaniu kilku parceli tę posiadłość później tworzących.

Akcya w sprawie kupna domu, musiała zresztą postępować równolegle z staraniami o urządzenie Uniwersytetu, które trwały lat parę. Zakupiony dom postanowił król oddać nowej osobie prawnej, powoływanej przez się do życia, Uniwersytetowi, mającemu odtąd nosić jego imię i użyczyć mu tych praw i przywilejów, jakich Bogu poświęcone używają kościoły. Zapiska metryki uniwersyteckiej mówi, że instytucyi kollegium czyli installacyi w niem profesorów dokonał król Władysław Jagiełło w sam dzień św. Maryi Magdaleny tj. w dniu 22 lipca 1400 r., dyplom zaś wydał w poniedziałek po św. Jakóbie tj. w dniu 26 lipca. Tegoż dnia zagaił prace Uniwersytetu jego kanclerz i biskup krakowski Piotr Wysz pierwszym, własnym wykładem. Daty te świadczą, że uroczystości otwarcia *Universitatis studii Cracoviensis* trwały przez kilka dni, a jakkolwiek zbyt szczegółowy ich opis przez historyografa uniwersyteckiego XVII wieku za kartkę z historycznego romansu uważać trzeba, można mu przecież wierzyć na słowo, że obchodzone były wspaniale z średniowieczną pompą i przepychem. Po oddaniu gmachu przez króla prze-

mym Krakowie, staram się uzasadnić w pracy mojej: *Poselstwo Kazimierza W. do Awinionu i pierwsze uniwersyteckie przywileje.*

[1]) Morawski: *Historya Uniw. Jagiel.* I, str. 60.

znaczono dzień 24 lipca na wpisy. Mamy przed sobą pierwsze ich karty.

Najstarsze to piśmienne świadectwo, najstarsza odnowionego Jagiellońskiego Uniwersytetu pamiątka, a nawet sam dyplom królewski musi jej ustąpić pierwszeństwa, bo późniejszą o dni dwa nosi datę.

Niewątpliwie nie stało się to przypadkowo; Uniwersytet, jak świadczy ustanowienie w nim wydziału teologicznego w r. 1397, uważano teoretycznie za istniejący, postanowiono zatem, aby ukonstytuowanie ciała profesorów i uczniów poprzedziło uroczysty przywilej odnowienia.

W zaraniu uniwersytetów grupowały się koło profesorów całe zastępy uczniów, między którymi nie było żadnego węzła; w Paryżu bardzo długo każdy z profesorów miał listę swoich uczniów i za nich wobec władzy odpowiadał. Kiedy się rozwinęły korporacye studentów i kollegia profesorów i utworzyły jednę całość, powstał Uniwersytet.

Jak każda korporacya, czynił on zależnem uzyskanie przynależności do siebie od pewnych określonych warunków i przepisanej formy. Od przyszłych studentów wymagano poddania się organizacyi, do której wchodzili, a w szczególności władzy rektora i jego jurysdykcyi; poddanie się takie winno było być zaręczone przysięgą. Wpis do matrykuły uniwersyteckiej był zatem uroczystym aktem, nadającym wpisanemu szereg uprawnień, wyjmującym go z pod władzy świeckiej i zakreślającym wolności akademickiej bardzo szerokie granice. Było wówczas, tak jak i dzisiaj, wielu zapisujących się a nie chodzących na wykłady; nierównie więcej było takich, którzy chodzili na wykłady o wpis się nie troszcząc, a działo się to tem łatwiej, że profesorowie uważali sobie za ubliżenie odczytywać katalogi; była także dosyć liczna kategorya takich, którzy ani na wykłady nie uczęszczali, ani zapisani nie byli, ale udawali studentów, aby korzystać z ich społecznego stanowiska, uchylać się od powszechnego porządku prawnego i tak jakoś życie pędzić. Wpis do metryki uniwersyteckiej był zatem koniecznym środkiem kontroli, od niego uczyniono zależnem składanie uniwersyteckich egzaminów. Niejednokrotnie władza rektorska albo kanclerska starała się przymus wpisu bezwarunkowo przeprowadzić i za-

kazywała profesorom wykładania wobec słuchaczów, którzy nie są *intitulati;* nie zawsze to było skutecznem. Godzono się niejednokrotnie nawet na dopełnienie przez studentów tego warunku formalnego tj. intytulacyi przed samym egzaminem. Matrykuły uniwersyteckie nie dają zatem zupełnie wyczerpującego obrazu o frekwencyi studentów, ale tylko przybliżony.

Z praw życia uniwersyteckiego korzystali, obok profesorów i uczniów, także ich domownicy i ludzie stojący na usługach tego światka, jak przepisujący i sprzedający księgi, pergameniści i papiernicy, jak pilnujący porządku bedele i otrzymywali w przywilejach zapewnienie takiej samej, jak pierwsi, ochrony. Z natury rzeczy odgrywali oni jednak rolę podrzędną.

Pojęcie intytulacyi, jako wpisu do matrykuły, ograniczyło się do tych, którzy istotną część Uniwersytetu stanowili tj. do profesorów i uczniów, chociaż od innych uczestników uniwersyteckich przywilejów wymagano także złożenia przysięgi rektorowi i wpisywano ich do osobnych regestrów, jako *scripti ad universitatem.*

Prowadzenie metryki uniwersyteckiej należało do rektora, albo jego zastępcy; on przyjmował wpisujących się, zaprzysięgał ich, odbierał taksę. Kandydat zgłaszał się osobiście do rektora, który go zaciągał do swojego regestru i oznaczał termin złożenia przysięgi i taksy. Zdarzało się często, że zaciągnięty do regestru rektora długo potem się z zapłatą ociągał i przysięgi nie wykonywał, a to jest właśnie jednym z głównych powodów niezgodności notatek rektorskich, o ile się gdzie dochowały, z metrykami głównemi. Do tych wciągano bowiem tylko takich, którzy wszystkim warunkom zadość uczynili. Nie było rzadkością przyjmowanie wpisu osób, które nie były ani profesorami ani studentami; zasadą tylko było, aby były graduowane, tj. aby miały stopień naukowy uzyskany na jakimkolwiek Uniwersytecie; przyjęcie ich należało jednak zupełnie od dobrej woli rektora [1]) i miało charakter honorowy.

---

[1]) Bardzo dobre przedstawienie historyi i sposobu immatrykulacyi daje Toepke: *Die Matrikel der Universität Heidelberg.* I. Einleitung.

W Krakowie, jak wspomnieliśmy wyżej, w dwa dni po oddaniu domu profesorom, rozpoczęto wpisy; niewątpliwie w czasie między jedną a drugą czynnością i uroczystością dokonano wyboru rektora. Został nim wychowanek uniwersytetu pragskiego, doktor praw i znakomity mowca, Stanisław ze Skalmierza. Za niego rozpoczęto intytulacye. Postanowiono nadać im wyjątkowo uroczysty charakter[1]). Na karcie I-ej jaką mamy przed sobą, wypisano pierwsze imię monarchy, który miał nowej szkole dać swoje imię: *Et primo serenissimus princeps et dominus dominus Wladislaus Dei gracia Rex Polonie, fundator huius venerabilis universitatis et dotator piissimus.* Należał się słusznie tytuł fundatora temu, który tak spiesznie doprowadził do końca dzieło przez Jadwigę rozpoczęte, zresztą pierwsze miejsce z prawa i z godności zabierał polski król.

Dalej wypisani dwaj dostojnicy duchowni: Piotr, biskup krakowski, z tytułem kanclerza Uniwersytetu i Mikołaj, biskup włocławski. Wypisanie pierwszego tłómaczy się wybitnem znaczeniem biskupa krakowskiego dla świeżo powstającego studyum, chociaż co do dodanego mu tytułu kanclerza Uniwersytetu był spór długotrwały, czasów Kazimierza W. sięgający między królem a papieżem. Od kanclerza studyum zależało zatwierdzenie egzaminów i stopni naukowych; królowie polscy chcieli to prawo zastrzedz swojemu kanclerzowi państwa, papieże oddawali je biskupowi. Mimo, że biskupa z tym tytułem wpisano, król w przywileju utrzymał swoje stanowisko i dopiero później Oleśnicki zdołał na stałe kanclerstwo Uniwersytetu z biskupstwem krakowskiem połączyć.

Biskup kujawski wzrósł w usługach kancellaryi królewskiej i faktycznie stal na jej czele z tytułem protonotaryusza. Został nim w r. 1395 jako kantor gnieźnieński, zatrzymał to stanowisko w r. 1397 jako biskup poznański a także w r. 1399 przeniósłszy się na nową stolicę. Ta pozycya, zbliżająca go do osoby monarchy, doprowadzi go w r. 1402 do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Znaczenie kancellaryi królewskiej wzrastało ciągle od czasu, kiedy Kazi-

[1]) Morawski: *Hist. Uniw.* I, str. 77.

mierz W. zorganizował ją jako znakomity środek podniesienia i zcentralizowania władzy. Za Jagiełły rozwój ten ciągle trwa, a posada w kancellaryi jest szczeblem do najwyższych godności. Prawą ręką biskupa kujawskiego był jego notaryusz, Mikołaj Trąba, który przywilej odnowienia Uniwersytetu ułożył; nie wiele lat upłynie, a wejdzie jako podkanclerzy w bliskie stosunki do Uniwersytetu i zapiszą jego imię między dobroczyńcami modłom poleconymi Przy uroczystości inauguracyjnej ustąpił miejsca swojemu przełożonemu w kancellaryi.

Dalej wypisano imię pierwszego pana świeckiego, kasztelana krakowskiego, Jana z Tenczyna, wykonawcy ostatniej woli „czcigodnej pamięci pani Jadwigi, królowej Polski, Węgier, Dalmacyi i Kroacyi“, jak brzmią jej rodowe w metryce wypisane tytuły, która dom dla Uniwersytetu poleciła zakupić; Jan z Tenczyna nazwany jest wielkim popleczникiem dobra publicznego i dobroczyńcą wszechnicy. Na nim i na Piotrze Wyszu, biskupie krakowskim, budowała umierająca królowa, że dzieło doprowadzą do końca.

Piąty wypisany Klemens podkanclerzy z tytułem promotora Uniwersytetu — nowsze badania każą ten tytuł, uważany dotąd za równoznaczny z dobroczyńcą, popleczникiem, rozumieć bardziej technicznie i widzieć stosownie do myśli przewodniej królewskiego dyplomu w Klemensie z Moskorzewa tego, od którego zależała promocya na akademickie stopnie [1]). W takim razie biskupowi przysługiwałby jedynie tytuł kanclerza studyum i ingerencya w sprawach wewnętrznych kollegium profesorów, funkcye zaś dotyczące kierownictwa stroną naukową pełniłby królewski podkanclerzy.

W dniu 24 lipca zapisywano osoby tylko po jednej stronie każdej pergaminowej karty i w jednej kolumnie (tabl. I).

Wyjątek uczyniono dla dwóch pań, które równocześnie wpisano w drugiej kolumnie pierwszej karty. Jedna, to księżna Aleksandra Ziemowitowa mazowiecka, siostra królewska. Syn jej Aleksander zasiądzie w r. 1422 na katedrze rektora krakowskiego Uniwersytetu, zostanie biskupem trydenckim,

[1]) X. Fijałek: *Studya do dziejów uniw.* str. 11.

patryarchą akwilejskim i kardynałem. Nie dziw, że późniejsza ręka zapisała na tej samej karcie obok matki imię syna.

Joanna, wdowa po Gniewoszu z Wnorowa, wybitne musiała zajmować stanowisko; była, zdaje się, bliską zmarłej królowej. Mąż jej z znakomitego rodu był prawdopodobnie stryjecznym bratem podkomorzego krakowskiego, Gniewosza z Dalewic. Dopisana później wdowa po Spytku Melsztyńskim, wojewodzie krakowskim i kilka innych pań, a wśród nich i mieszczanka krakowska Barbara Clozwalynne z notatką *solvit totum;* widocznie i taki honorowy wpis opłaty pociągał.

Ostatnia zapiska późniejsza z r. 1445 jest bardzo ciekawa; wpisuje się za staraniem Heleny, żony kasztelana wileńskiego i starosty żmudzkiego Michała, zwanego Kensgal, cała rodzina litewska, a wśród niej i Gasztołd, wojewoda wileński z żoną. Z siedmiu osób zapisanych cztery żyją, trzy są zmarłe. Intytulacya nieżyjących jest charakterystyczna i płynie z pojmowania wpisu do metryki uniwersyteckiej jako uczestnictwa w modłach Uniwersytetu. Przy wspomnianej wpisującej się rodzinie powiedziano wyraźnie: *sunt intitulate cupientes fieri participes oracionum communium universitatis nostre vivorum atque defunctorum* („wpisano je pragnące stać się uczestnikami modłów wspólnych Uniwersytetu naszego zmarłych i żywych"). Matka królów, królowa Zofia, pragnie także mieć uczestnictwo w modłach i innych dobrach, *que fiunt in universitate.*

Zwyczaj rozszerzył się z życia klasztornego wieków średnich, które pielęgnowało wiarę żywą i gorącą w mistyczny związek dusz i tworzyło bractwa wspólne modłów, wchodząc w stosunki wzajemności z klasztorami tej samej, a często i innej reguły. Powstawały *libri confraternitatum,* a stanowią one nieraz znakomite historyczne źródło przez szereg nazwisk, jakie mieszczą. Zapisywano również w nekrologach imiona zmarłych dobroczyńców, aby je modłom przyszłych pokoleń polecić. Inna karta metryki: *modus et ordo petendi pro benefactoribus,* podaje kilka tychsamych imion, co karta wpisu.

Na dalszych kartach wpisano imiona prałatów, kanoników i proboszczów. Po nich idą wpisy rzeczywistych uczniów.

Zapisało się ich 205, pierwszy: „Mathias Johannis de Tarnow“. Nie udało się stwierdzić, czy to jaki członek rodu Leliwitów Tarnowskich, dotychczasowe badania każą raczej przypuszczać, że nie. Zapisał się wówczas i drugi syn Jana z Tarnowa, Mikołaj, czy krewny pierwszego, nie wiadomo. Niezmiernie trudno osoby te oznaczyć i zestawić przy braku innych pełniejszych źródeł. Przeważa wśród wpisanych zrazu żywioł mieszczański i krajowy, potem zaznacza się ogromny udział obcych, przybywających przeważnie z Niemiec; są także scholarowie z Włoch, Francyi, Szkocyi i Skandynawii. Kosmopolityczny charakter miały uniwersytety przez literacki język łaciński, a to umożliwiało ogromnie wszelkie zbliżenie.

Wpis, jak zaznaczyłem powyżej, pociągał za sobą opłaty; oznaczone u nas na 6 groszy, nie były one w rzeczywistości równe, ale zależały od stopnia zamożności ucznia. Na naszej karcie (tabl. II) widzimy opłaty od 1 grosza do sześciu. Zadowalniano się i świadczeniami w naturze, np. Andrzej, syn Boruty z Ujazdu, dał rektorowi beczkę piwa, a Piotr Mikołaj ze Starzyn nawet niecałą. W r. 1401 Sieciesław z Sieciechowic, proboszcz sandomierski, wpisując się w poczet uczniów, chciał hojniej wystąpić, dał zatem obiad dla profesorów. Nie gardzili też mistrze miodem i małmazyą.

Zapis z r. 1400 liczbą swoją świadczy, że dzieło dojrzało, że Uniwersytet był prawdziwą kraju potrzebą.

Trzecia karta (tabl. III) zawiera przysięgę, jaką uczniowie rektorowi składali. Intytulujący się przyrzekał rektorowi i jego następcom posłuszeństwo w rzeczach godziwych, popieranie dobra Uniwersytetu na każdem stanowisku i zobowiązywał się, że krzywd swoich nie będzie dochodził gwałtownie, ale do władzy rektora się odwoła. Zapewnienie, że nie uzna błędów Husa, wskazuje, że formułkę przysięgi wpisano później, choć w metryce jest podana na pierwszej karcie. Umieszczono ją tu dla ułatwienia jej wykonywania przed wpisem. Na boku dopisane słowa odbijają samem pismem XVI wieku — mowa w nich o wyrzeczeniu się błędów Lutra.

Po powtórzeniu przysięgi zapisano dwa wiersze z ewangielii św. Łukasza (XI, 27 i 28).

Zapisujący je, może który z rektorów Uniwersytetu, położył je jako godło, jako drogowskaz dla zapisującej się młodzieży, zaznaczając słowami Pańskiemi, że można spodziewać się błogosławieństwa, ale należy słowa Bożego słuchać i je spełniać“ [1]).

[1]) Na załączonych tablicach podaję podobizny trzech opisanych kart metryki, a w dodatku ich transskrypeyę łacińską.

Wpisy króla i dostojników.

Hic sunt intytulati.
Anno Domini M°CCCC° die XXIIII
mensis Julii sub venerabili
viro magistro Stanislao decretorum
doctore Rectore vniversitatis pri-
mario studii Cracoviensis hii sunt intitulati.
Et primo serenissimus princeps
et dominus dominus Wladislaus dei
gratia Rex Polonie fundator
huius venerabilis vniuersitatis et dota-
tor piissimus
Item reuerendissimus in Christo pater
et dominus dominus Petrus Dei gracia
Episcopus Cracouiensis utriusque Juris doc-
tor Cancellarius generalis stu-
dii Cracouiensis
Item wenerabilis in Christo pater et dominus
dominus Nicolaus diuina prouidencia
Episcopus Wladislaviensis, magister in artibus,
Item magnificus vir dominus Jo-
hannes de Tanczyn Castellanus
Cracoviensis executor testamenti
ultime voluntatis recolende
memorie domine Hedwigis Regine
Polonie Vngarie Dalmacie
Cr[o]acie regnorum illustris, que
originaliter domum pro vniuersitate
Cracoviensi fecit et disposuit comparari,
magnus zelator boni communis
et benefactor vniuersitatis
Item strenuus miles dominus
Clemens Vicecancellarius reg-
ni Polonie, promotor vniuersitatis
nostre

Wpisy króla i dostojników.

Item Barbara Clozwalynne Ciuis
Cracouiensis soluit totum sub rectoratu (magistri)
Item strenua domina Katherina
heres de Dambrowa conthoralis
strenui militis domini Johannis Manszik de Dambrowa
Item Johanna relicta Gnevosy de
Wnorow
Item Allexandra ducissa Semouiti
de Mazouia
Elizabeth relicta olim Stephani heredis de Barichca
alias camerarii terrae Syradiensis
Item Elizabeth relicta domini Spitkonis palatini
Item serenissimus princeps Allexander filius Symouiti
[illustris
principis et domini domini Masouie intitulatus in recto-
[ratu magistri Nicolai Sculteti etc.
Anno domini 1445 die VI mensis Augusti
Sub rectoratu magistri Bartholomei de Radom
professoris theologie, hec VII persone
infrascripte de nobili prosapia gentis
Lythwanice progenite, ad instantem
postulacionem nobilis domine Helene conthoralis
domini Kenszgal, sunt intitulate, cupientes
fieri participes orationum communium vniuersitatis nostre
viuorum atque defunctorum. Primus
dominus Michael alias Kenszgal Castellanus
Wilnensis et Capitaneus Samagitiensis
Item domina Helena conthoralis domini prescripti
Item dominus Iohannes alias Gastoldus voyevoda
Wilnensis cum sua domina nomine Dorothea
Insuper Stanislaus alias Volymonth
dominus Andreas alias Gastoldus
dominus Wladislaus alias Butrin
quarum personarum prime quatuor inter viuos
et relique tres inter mortuos computantur.
Hedwigis nobilis Nicolai
de Birawa filia aduocati de
Vgyasd.

Wpisy uczniów.

Scolares Universitatis
1400 Studii Cracoviensis
Venerabilis viri magistri Stanislai tunc Rectoris
Mathias Johannis de Tharnow VI g.,
Petrus Romanus de Magna
Xansz
Nicolaus Psitacus de Czartky
vicarius Cracoviensis
Jacobus Laurencii de Polanecz
Johannes Nicolai de Antiqua
Grotkow dedit II g.
Nicolaus Clementis de Sochaczow Posnaniensis
Johannes Marci de Weliczka
Johannes Sandkonis de Woyeczka
dedit II g.
Palus Stanislai de Rzepyn
dedit II g.
Dobrogostius de Czechoslauicze
dedit I g.
Andreas Wenceslai de Pilzno
Johannes Mathie de Lelouia
Vitalis Laurencii de Pangow
Johannes Falibogii de Sdislauicze
dedit I g.
Petrus Andree de Czchow
dedit I gr.
Johannes Balconis de Radzansz
dedit III g.
Nicolaus Wenczeslay de Curzelow dictus Cosszicz
Michael Bartholomei de Rathibor
Mathias Johannis precentor de
Magna Glogouia
Andreas Mathie de Warrszouia
Laurencius Nicolai de Andrzeow
Albertus Dominici de Woynicz dedit II g.
Czeslaus Alberti de Buszsko
Mathias Symonis de Scarbimiria
dedit II g.

Scolares Vniuſt Studij Crac

1400

Venerabilis dñi Stanislay tunc Plebis

Mathias Johannis de Tarnolb vig
Petrus Romani de Venagnia
Nicolaus plebanus de Czartky
Vicar Crac
Jacobus Laurencij Scholaris
Johes Nicolai de Antiquia
Krotkolb gt ij g
Nicolaus Clementis de Sochaczolb quo supra
Johes Asaria de Lwchitzka
Johes Sandkonis de Lwoyczka
gt ij g
Paulus Stanislai de Rzepin
gt ij g
Jobi-octoginus de Czechoslawicze
gt i g
Andreas Wenceslai de Pilzno
Johes matthie de Lelebna
Vitalis Laurencij de Pabianicze
Johes Falibogij de Odrislawicze
gt i g
Petrus Andree de Cztholb
gt i g
Johes Baltonis de Radzanicz
gt iij g
Nicolaus Wenczeslai de Cinzelolb dus Colicz
Matthias Johis plebanus de Nagna Glogouia
Andreas matthie de Lwanczonia
Laurencius Nicolai de Andrzeolb
Albtus Dnus de Lubowniez gt ij g
Czeslaus albi de Buczsko
Matthias Symonis de Starbinii
(gt ij g

Andreas Boruthe de Lowazd gt
Petrus Nicolai de Starzinii
iij quart gt cupre
Adam Andree de Jaxerdozff
Vicedominus Crac
Bartholomeus Eghdij de Bochnia
Nicolaus : Johis de Tarnolb
Paulus Nicolai dus Klynikner de nona ciuitate
Nicolaus Conradi de Lubchitzka
gt iij g
Jaxtinus Stanislai de Lyske
Jacobus Stanislai de Lesthyn
Martinus matthie de Osziek
gt ij g
Nicolaus floriani plebanus
Petrus Nicolai de Skorzolb
Clemens clerici de Crac gt
vj g
Johes martini Curkebuczt
de Crac
Laurencius Simonis de Rospiza
Bartholomeus Johis de Lazniczka
Paulus matthie de Ozepnik
Johes Johis de Crac gt iij g

Michael medici de Crac gt vj g
Adam petri de Slawcowa
Jacobus Jacobi de Gniezna
Nicolaus Gregorij de Thyssowicze
gt vj g
Laurencius Valentini de Lanky +
Albtus Jastzbski de Kalisia
Nicolaus Andree Spitkonis de Grotkowicze
Jacobus Andree de Kozmirzolb
Matthias Johannis de Gniezna
Jacobus Henrici de Jaxicze gt iij
Nicolaus Bernolb de Cracowa

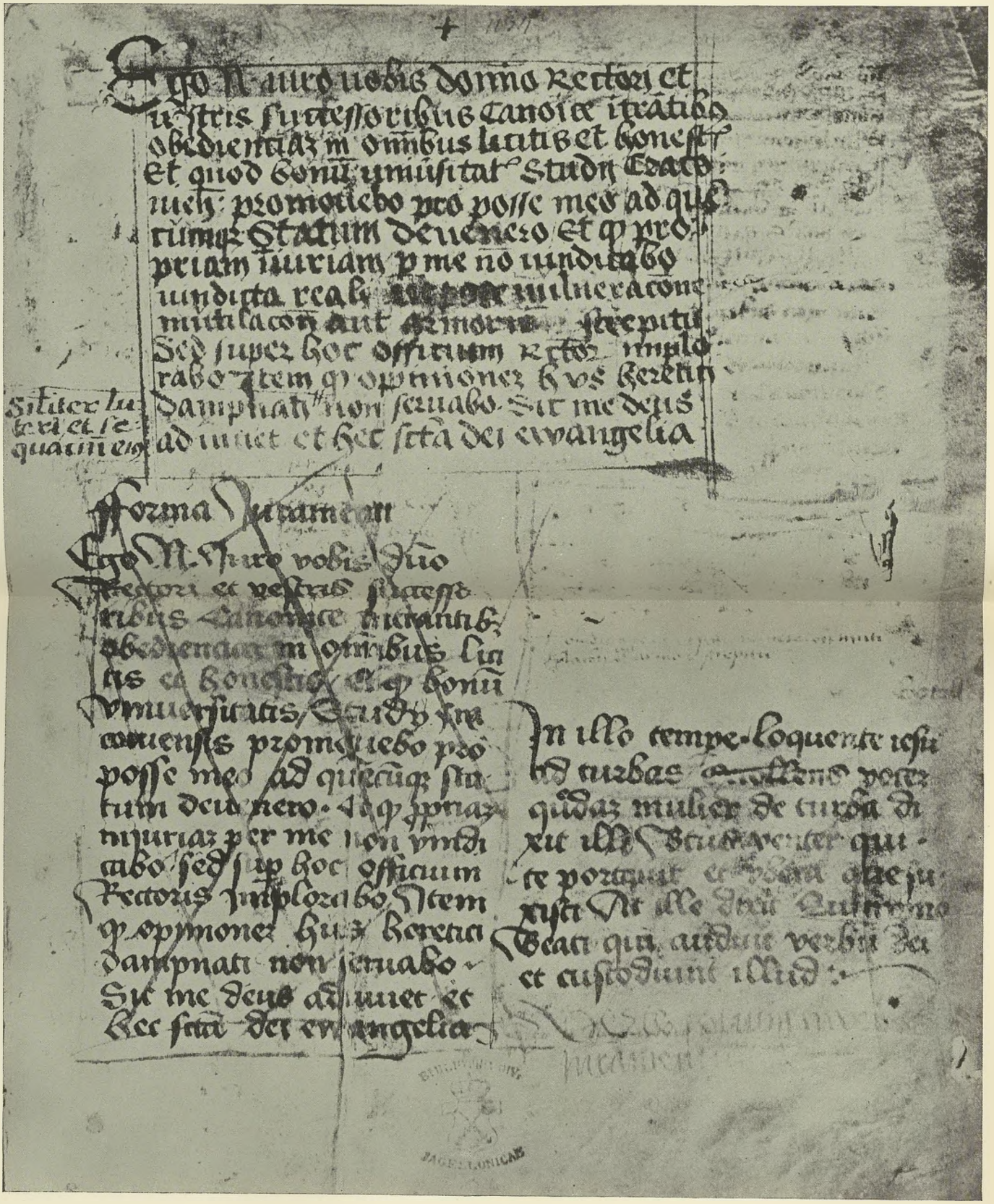
Wpisy uczniów.

Andreas Boruthe de Wyazd dedit
rectori I vas cernisie
Petrus Nicolai de Starzini
III quartas dedit ceruisie
Adam Andree de Jagerdorff
viceaduocatus Cracouiensis
Bartholomeus Egidii do Bochna
Nicolaus Johannis de
Tarnow
Paulus Nicolai dictus Klynkner
de Noua ciuitate
Nicolaus Cwnradi de Weliczka
dedit IIII g.
Martinus Stanislai de Lysky
Mathias Stanislai de Teschyn
Martinus Mathie de Osszek
dedit II g.
Nicolaus Floriani Procurator
Petrus Nicolai de Skoczow
Clemens Clementis de Cracovia dedit
VI g.
Johannes Martini Cirkelmeyster
de Cracovia
Laurencius Zukonis de Rosprza
Bartholomeus Johannis de Lozmerza
Paulus Mathie de Ozepaw
Johannes Johannis de Cracovia dedit IIII g.
[Johannes Cza.....wa.....dedit...g]
Michael Medici de Cracovia dedit VI g.
Adam Petri de Slawcouia
Jacobus Jacobi de Gnezna
Nicolaus Gregorii de Myslymicze
dedit VI gr.
Laurencius Walentini de Lanky
Albertus Msczyslai de Kalina
Nicolaus [Andree] Spitconis
de Grocholycze
Jacobus Andree de Kozarzow
Mathias Johannis de Gnezna
Jacobus Henrici de Jaxicze dedit IIII
Nicolaus Beruoldy de Camona

Formuła przysięgi uczniów.

Ego N. iuro uobis domino Rectori et uestris successoribus canonice intrantibus obedienciam in omnibus licitis et honestis et quod bonum uniuersitatis Studii Cracouiensis promouebo pro posse meo ad quemcunque statum deuenero et quod propriam iniuriam per me non uindicabo uindicta reali utpote uulneracione mutilacione aut armorum strepitu sed super hoc officium Rectoris implorabo. Item quod opinionem Hus heretici dampnati *(similiter Luteri et sequacium eius)* non seruabo. Sic me Deus adiuuet et hec sancta Dei ewangelia.

[Forma iuramenti
Ego N. iuro uobis domino Rectori et vestris successoribus canonice intrantibus obedienciam in omnibus licitis et honestis et quod bonum Vniuersitatis Study Cracouiensis promouebo pro posse meo ad quemcunque statum deuenero, et quod proprias iniurias per me non vindicabo sed super hoc officium Rectoris implorabo. Item quod opinionem Hus heretici dampnati non seruabo. Sic me Deus adiuuet et hec sancta Dei ewangelia].



Ego N. juro vobis domino Rectori et
vestris successoribus canonice intrantibus
obedientiam in omnibus licitis et honestis
et quod bonum vniuersitatis studii exacue-
ritis promouebo pro posse meo ad quec-
rimque statum deuenero et quod pro-
priam iniuriam per me non vindi-
cabo sed super hoc officium Rectoris implo-
rabo Item quod opinionem huius Heretici
dampnati non seruabo
Sic me deus adiuuet et
hec sancta dei euangelia

Forma Juramenti

Ego N. juro vobis domino Rectori et vestris successoribus canonice intrantibus obedientiam in omnibus licitis et honestis et quod bonum vniuersitatis studii exacuerit promouebo pro posse meo ad quecunque statum deuenero et quod propriam iniuriam per me non vindicabo sed super hoc officium Rectoris implorabo Item quod opinionem huius Heretici dampnati non seruabo Sic me deus adiuuet et hec sancta dei euangelia

In illo tempore loquente ihesu quidam mulier de turba dixit illi Beatus venter qui te portauit et vbera que suxisti At ille dixit Quinimmo beati qui audiunt verbum dei et custodiunt illud.

FORMUŁA PRZYSIĘGI UCZNIÓW.

Formuła przysięgi uczniów.

In illo tempore loquente Jesu
ad turbas, extollens vocem
quedam mulier de turba di
xit illi. Beatus venter qui
te portauit et vbera que su
xisti. At ille dixit: Quinimo
beati qui audiunt verbum Dei
et custodiunt illud.

Dr. Stanisław Krzyżanowski.

Nasza nauka krakowska

o Niepokalanem Poczęciu N. P. Maryi

w wiekach średnich.

Podniesiono niedawno jako rzecz znamienną i jakoby wyjątkową, iż istniejący przez dwa wieki benedyktyński uniwersytet w Salzburgu (r. 1617—1810) najwymowniej między uniwersytetami bronił zawsze nauki o Niepokalanem Poczęciu Maryi Panny i przez to przyczynił się w wysokim stopniu do jej rozwoju a tem samem do podniesienia wśród wiernych czci Bogarodzicy bez zmazy poczętej [1]). Niezawo-

[1]) Czyt. R. Hittmair'a: *Die Lehre von der Unbefleckten Empfängniss an der Universität Salzburg* (Linz a. d. D., F. J. Ebenhoch 1896) i D. Urbain Baltus'a: *Le dogme de l'Immaculée Conception et l'université de Salzbourg* w *Revue Bénédictine* Nro 12 Décembre 1896, str. 529— 543. W ślad za Hittmairem ukazało się w literaturze niemieckiej kilka drobniejszych o naszym temacie rozprawek (np. w *Katoliku mogunckim* Wibbelt'a: *Die Unbefl. Empf. in Calderons Autos sacrament.* 1897, XII, 481 i w linckiem czasopiśmie teolog. 1897, IV, 835: *Der Glaube an die Unbefl. Empf. in Ungarn*), a nawet przyczynków źródłowych. Godnem wspomnienia między niemi jest rzecz Schnitzer'a w *Römisches Quartalschrift* z 1899 r. T. XIII, 63—65, p. t. *Dogmengeschichtliches zum Feste der Immaculata Conceptio B. M. V.* Schnitzer ogłasza tutaj brewe Urbana VIII do cesarza Ferdynanda II z 29 marca 1624 r. w odpowiedzi na żądanie cesarza, by Stolica Apostolska ogłosiła dogmat Niepokalanego Poczęcia N. P. Maryi Dowiadujemy się dalej, iż Ferdynand II edyktem z 24 września 1629 r. zarządził obchód uroczysty święta Niepokalanego Poczęcia w swoich krajach. U nas w Polsce święcono tę uroczystość już wiekach średnich (o czem poniżej w tekście).

dnie tak było. Nie ujmie się jednak chlubnej uniwersytetu salzburskiego zasłudze, jeśli wraz z mistrzem szkoły Jagiellońskiej a kaznodzieją katedry krakowskiej przypomniemy *„jako i nasza nauka krakowska wyznawała i wierzyła wiecznie, iż Panna Marya jest bez grzechu poczęta;* mamy przeto tym przywilejem tę Czystą Pannę chwalić i Ją podnosić, byśmy przez tę Jej cześć od nas uczynioną mogli sobie uprosić Jej pomoc... Mamy to z wiarą wyznawać a Boga miłego z tej łaski chwalić, iżeśmy tego doczekali objawienia, czego z trudnością przez Ducha św. nasi przodkowie, mistrzowie i doktorowie się dowiadywali".

Mistrzem tym jagiellońskim, tak serdecznie według nauki swojej szkoły głoszącym chwałę Panny Niepokalanej już w początkach XVI w., jest Jan Paterek z Szamotuł, nieznany naszym historykom kaznodziejstwa[1]), godny Pawła z Zatora na polskiej ambonie w katedrze krakowskiej następca i jak ten pierwszy kaznodzieja z fundacyi Zbigniewa Oleśnickiego, małomieszczanin z pochodzenia, oraz magister nauk wyzwolonych (po Trzech Królach 1504 r.) i doktor-profesor dekretów czyli prawa kanonicznego (przed 1513 r.).[2])

[1]) Niewątpliwie dlatego, że go nie zna M. Wiszniewski a prof. A. Brückner nim się nie zajmował.

[2]) Szczegóły o doktorze Paterku zebrali ś. p. L. Malinowski w przytoczonej zaraz poniżej publikacyi i kustosz ś. p. dr. W. Wisłocki w niezmiernie ciekawych studyach: *Z przeszłości Uniwersytetu krakowskiego. Wisnka-Wistka, Św. Floryan, X. dr. Wyszuka i Marcin Bielski* w *Przeglądzie Powszechnym* z sierpnia 1888 r., str. 163; zob. nadto *Lib. Prom.* ed. Muczkowskiego p. 138 i tegoż Wisłockiego *Lib. dil.* str. 467, *Act. Rect.* T. I, 1080—1081, wreszcie *Act. cap. Cracov.* ed. Ulanowskiego nr. 303 i 305. Na zdanie Wisłockiego, jakoby nasz Szamotulczyk był także doktorem teologii, żadną miarą nie możemy się pisać. Jedynej o tem wzmianki w jednym *Almanachu* Perlacha sprzeciwiają się wszystkie źródła współczesne. Rzecz inna, iż nasz Szamotulczyk posiadał gruntowne wykształcenie teologiczne jak inni znamienitsi kanoniści, których klassycznym w tym względzie przykładem są moralista Stanisław Skarbimirczyk, pastoralista Mikołaj Pszczółka z Błonia, mistyk Jan Elgot i autorowie postyll Mikołaj Wigand Krakowczyk (w teologii bakałarz) i Paweł z Zatora.

Zacną pamięć Zatorczyka, który umarł spokojnie na kanonii krakowskiej po czterdziestu latach pracy kaznodziejskiej w kościele krakowskim (9 paźdz 1463 r.), przekazał Długosz potomnym; w dość licznych zbiorach jego kazań nie odszukano jeszcze tekstu polskiego. Zdolny Szamotulczyk zszedł przedwcześnie z tego świata śmiercią gwałtowną; z powodu sporu o dziesięciny z kościoła jak się zdaje w Pobiedrze, gdzie miał probostwo, zamordował go zdradziecko szlachcic Rusocki Płomieńczyk w własnym domu pod Czernichowem 9 stycznia 1519 r.). Głucho było o nim przez długie wieki. I słusznie. Nie dawała mu bowiem prawa do nieśmiertelności wiadomość podana w księgach wydziału artystycznego, iż zaraz po uzyskaniu stopnia magistra wstąpił do klasztoru OO. Bernardynów, lecz już po roku zrzucił habit i wrócił do uniwersytetu, aby pójść ubitą drogą karyery akademickiej, rozpoczynając od Arystotelesa jako *extraneus,* czyli mistrz profesor nadzwyczajny i nie kollegiat lub raczej docent w dzisiejszem rozumieniu, obok „filozofa“ i innych niewzruszonych powag średniowiecza zgodnie z prądem Odrodzenia w naszej szkole uczyć humaniorów według Filelfa lub jego ucznia a swojskiego humanisty Jana z Oświęcimia Sakrana, równocześnie poświęcić się studyum św. teologii lub co najmniej kanonów i przez osiągnięte na tych najwyższych i najlepiej uposażonych wydziałach stopnie uniwersyteckie, otrzymać kiedyś „królewską“ kollegiaturę, a po niej, co było szczytem marzeń zwykłego profesora-ordynaryusza, dostać się na kanonię katedralną. Nie dożył jej popędliwy nasz Szamotulczyk; zabitego okrutnie, złożono na wieczny spoczynek u stóp Maryi, którą tak ukochał, w klasztorze OO. Karmelitów na Piasku (21 stycznia). Dopiero w naszych czasach, przed dwudziestu laty, odkryto pomnik, który sobie doktor Paterek wystawił za życia. Kazania jego polskie *O Pannie Czystej* przechowały się szczęśliwie w miejscu najmniej spodziewanem. Z kodeksu biblioteki gimnazyalnej w Toruniu (pisanego około 1530 r.) ogłosił je i objaśnił pod względem językowym ś. p. prof. L. Malinowski [1]). Spie-

[1]) W *Sprawozdaniach komisyi językowej Akademii Umiejętności,* I (1880), 161 i nast. O nadmienionym sporze zob. K. Nitscha w *Pracach filolog.* T. V (1898), 522.

rają się lingwiści, czy to naprawdę kazania, czy też „traktaty teologiczno-naukowe“, bo niezwykle wielkie są ich rozmiary. Rzeczywiście trudno nieraz oznaczyć linię graniczną między tego rodzaju utworami produkcyi scholastycznej, cały jej bowiem charakter w późniejszem średniowieczu jest kaznodziejsko-szkolny; wyjaśniliśmy to już na innem miejscu, że kazania uniwersyteckie, względnie przez mistrzów uniwersyteckich wobec audytoryum stanu duchownego prawione, np. w kościołach katedralnych i na synodach, to pełne lub w zarysie traktaty teologiczne. W każdym razie w wypadkach wątpliwych rozstrzyga forma i sposób przedstawienia rzeczy. Ten charakter kazań *(sermones)* szkolno-uniwersyteckich czyli jakbyśmy dzisiaj powiedzieli dogmatycznych, noszą bezsprzecznie wzmiankowane doktora Paterka utwory, zwłaszcza niezbyt długie a ponad wszelką wątpliwość autentyczne kazanie pierwsze. Ale nie o to tutaj nam idzie. Doniosłość ich leży w treści, w wyłuszczeniu i uzasadnieniu przeważającej już w ówczesnej wierze i nauce Kościoła katolickiego doktryny o Niepokalanem Poczęciu Najśw. Maryi Panny.

W rozwoju u nas kultu Matki Bożej jestto moment bardzo ważny. Nie można już bowiem odtąd utrzymywać, że cała chwała i wyłączna zasługa w rozszerzeniu i obronie czci w Polsce Panny „Czystej“ należy się jedynie lub choćby przeważnie zakonowi franciszkańskiemu, szczególniej OO. Bernardynom, zapewne wielce w tej mierze zasłużonym, lecz dopiero przed niedawnym czasem do nas przybyłym (w połowie XV wieku). Niniejszem, pragniemy wydobyć z zapomnienia i wskazać po krótce znamienity współudział naszej *Almae Matris* w rozwoju nauki i kultu Niepokalanego Poczęcia N. P. Maryi od pierwszej chwili wznowienia (1400 r.) a może nawet założenia Uniwersytetu w Krakowie (1364 r.) Jeśli kiedy, to teraz sposobna pora złożyć powinny hold zasłudze i na tem polu najwyższej naszej szkole, która i na niem przed XVI wiekiem nie dała się żadnej innej siostrzycy niemieckiej wyprzedzić, najmniej zaś efemerycznemu uniwersytetowi w Salzburgu.

Jak wszędzie indziej na Zachodzie, tak i u nas w Polsce na rozwój starodawnej w powszechnym Kościele nauki o za-

chowaniu Matki Bożej od wszelkiej zmazy grzechu pierworodnego, wpłynęło zachowanie się OO. Dominikanów, którzy opierając się na powadze anioła swojej szkoły, św. Tomasza z Akwinu, głosili, iż Najśw. Panna Marya nie była wyjętą od powszechnego prawa grzechu pierwszego rodzica Adama, nie była w pierwszej chwili wolną od grzechu pierworodnego, niepokalanie poczętą. Wśród polskich braci zakonu kaznodziejskiego pierwszym historycznie dzisiaj znanym przeciwnikiem doktryny o „Niepokalanem Poczęciu“ Panny Maryi, wyłuszczonej najlepiej przez genialnego w subtelnościach doktora zakonu franciszkańskiego Jana Duns Skota († 1308 r.), był obok Marcina Polaka żyjący w XIV wieku *Dominikanin Piotr Polak,* autor komentarza-postylli jeśli nie do wszystkich ewangelij, to przynajmniej do ewangelii św. Łukasza, względnie do pierwszego jej rozdziału o Zwiastowaniu P. Maryi: *Missus est Angelus.* Kształcił się, jak przeważna część wybitniejszych naszych Dominikanów w XIII i XIV wieku w Paryżu; rękopis jego z kwestyami treści filozoficzno-teologicznej, głównie św. Tomasza z Akwinu, przechował się w bibliotece Jagiellońskiej (nr. 1734) [1]). Powyższy jego komentarz znany jest tylko z tytułu; przytacza go dominikański katalog z połowy XV wieku tych wszystkich Ojców i pisarzy kościelnych, począwszy już od Ireneusza i Augustyna, oraz doktorów i papieży, którzy rzeczywiście lub rzekomo stali po stronie dominikańskiej doktryny [2]).

Drugi polski Dominikanin XIV wieku, który przeszedł do historyi jako przeciwnik Niepokalanego Poczęcia P. Maryi,

[1]) Dostateczną wiadomość o tym rękopisie podał W. Wisłocki w swoim *Katalogu* str. 417—418. Historyk zakonu kaznodziejskiego w Polsce, X. Sadok Barącz zna naszego Piotra Polaka i wspomniany w tekście jego komentarz, ale każe mu żyć dopiero około 1465 r. *(Rys dziejów* II, 227). Wiedział o tem przed Barączem również mylnie M. Wiszniewski *(Hist. lit. polsk.* T. V, 32). Lepszą wiadomość o Piotrze Polaku, Dominikaninie XIV wieku, mieli Quétif-Echard, ale i oni pobałamucili, mięszając go z Burgundczykiem Piotrem de Palma (o czem czyt. w *Mistrz Jakób z Paradyża* II, 157).

[2]) B. Pez w *Thesaurus anecdot. novissimus*, t. VI, Pars III, str. 324.

był nieznany bliżej *Paweł lektor u św. Trójcy w Krakowie* za czasów króla Kazimierza. [1]) Śmierć nagła, której uległ na ambonie, prawiąc kazanie po polsku na Zamku w katedrze krakowskiej przeciw nauce o Niepokalanem Maryi Poczęciu, stała się rychło głośną w całej Europie; szczególniej na mistrzach paryskich, którzy wraz z Franciszkanami i Karmelitami w tej kwestyi spornej mieli stoczyć bój długi a zacięty z Dominikanami, wywarła olbrzymie wrażenie i długo pozostała w pamięci potomnych; co więcej, poczytywano ją za „cud“ oczywisty, którego echo odbiło się nawet jeszcze między ojcami soboru bazylejskiego. Zapisał sucho to zdarzenie Długosz w swojej Historyi pod r. 1361 [2]). Znajdujemy je także w osobnej ku obronie i stwierdzeniu Niepokalanego Poczęcia P. Maryi napisanej wtedy księdze cudów, p. t. *Defensorium Virginis* (około 1390 r.) [3]). Wśród przeróżnych historyj cudownych, których nieszczęśliwymi bohaterami są OO. Dominikanie — jak np. tracili oni mowę i rozum, kiedy wstępowali na ambonę lub rozpoczynali dysputy szkolne z Karmelitami, a raz nawet zakradł się wilk do chóru i porwał jednego z Dominikanów — opowieść

[1]) W każdym razie różny od brata Pawła, lektora Dominikanów płockich i wiceprowincyała około 1325 r. (*Kod. maz.* str. 47, nr. 48), którego fragmentaryczną korespondencyę przechowuje dzisiaj królewska biblioteka w Erfurcie w dominikańskim niegdyś, zdaje się, pragskim rękopisie XIII i XIV wieku z utworami św. Tomasza z Akwinu (nr. 25, Folio).

[2]) T. III, 283.

[3]) Znamy ją pośrednio z relacyi Minoryty Jana z Segowii, kronikarza soboru bazylejskiego w ed. Akademii wiedeńskiej. *Concilia gener. saec. XV. Consilium Basiliense. Sciptores* III, 377—378. Tekst jej tutaj jest w dwóch miejscach zepsuty: Kraków bowiem znajduje się według niej *in provincia Bohemiae!*! a świadkami śmierci lektora Pawła w Krakowie mieli być bawiący w stolicy Polski sławnej pamięci teologowie Henryk Totting z Oyty i Henryk Langenstein z Hessyi, o których mówimy w tekście. Gdyby ta wiadomość okazała się prawdziwą, przyznaćby jej należało znaczenie epokowe dla pierwotnych dziejów Uniwersytetu krakowskiego. Należy ją jednak odrzucić, jej zaś genezę łatwo wyjaśnić bardzo ścisłemi stosunkami,

o powyższym krakowskim wypadku posiada wszelkie cechy rzeczywistego zdarzenia; mimo wszelkich podejrzeń, nie możemy jej między bajki włożyć. Cenną na prawdę jest ta wiadomość o niezwykłej śmierci brata Pawła z Krakowa z wielorakich względów. Naprzód, jako niezmiernie pożądane źródło do poznania naukowo-szkolnych stosunków Polski z Zachodem. Dowiadujemy się bowiem z niego, że naocznym świadkiem nagłej śmierci lektora Pawła w Krakowie był przebywający na studyach w Paryżu w latach 1370—1380 r., „mistrz Jan z Polski, doktor medycyny i bakałarz teologii", tj. nikt inny, tylko sam podówczas kanonik, później kanclerz, wreszcie biskup krakowski *Jan Korabita z Radlic*, zwyczajem owoczesnym zwany pospolicie Radlicą (1382 † 1391 r.). Wiarogodność Radlicy w sprawie losu brata Pawła poparł u swoich kolegów paryskich Henryk Totting z Oyty, który poprzednio wraz z naszym Mateuszem Krakowczykiem był w uniwersytecie pragskim profesorem *artium*, w teologii zaś początkującym studentem i zapewne już bakalarzem (przed 1377 r.). Jeżeli tedy przypomnimy, że w rękopisach amploniańskich biblioteki królewskiej w Erfurcie przechowuje się z owego czasu *Krótka praktyka zachowania zdrowia*, napisana przez mistrza Jana z Polski, medycyny doktora, z inicyatywy i zachęty jego w teologii mistrza Henryka z Oyty, to tym naszym autorem Janem będzie oczywiście mistrz *artium* i medycyny Radlica, o którym niezależnie od Długosza świadczą wspominki o tej samej co Radlica rodzinie Łaskich, iż nasz Wielkopolanin był „także bakałarzem Pisma św. *et egregius doctor summae medicinae*".[1]).

które ich łączyły z uczącymi się i nauczającymi w Pradze i w Paryżu Polakami; owszem, obydwaj Henrykowie mogli świadczyć przed swoimi kolegami paryskimi o wypadku krakowskim, bo wiedzieli o nim pośrednio z opowiadania swoich młodszych kolegów i uczniów Polaków. Tak np. razem z Oytą przyszedł z Pragi do Paryża mistrz Jakób z Krakowa, względnie Pechxa z Bochni.

[1]) Studyów zagranicznych Radlicy nie wyłuszczamy tutaj obszerniej; stwierdzamy tylko, że to jego dzieło *Practica brevis sanitatis conservandae — Voluntati vestrae annuens — ad instanciam venerabilis viri magistri Henrici de Oytha per Johannem de Polonia, magistrum in medicinis, cursorie*

Drugi uzasadniony wniosek, który można i trzeba wyciągnąć z faktu świadczenia przez Jana Radlicę w Paryżu o zdarzeniu krakowskiem, dotyczy już wprost naszego przedmiotu, a mianowicie, iż pobożny Radlica był gorącym czcicielem Niepokalanej Maryi [1]). Za jego to dopiero sprawą, jeżeli już nie wcześniej, w każdym razie przed statutem synodalnym biskupa Piotra Wysza z 1396 r., zaprowadzone zostało w dyecezyi krakowskiej Jej święto dnia 8 grudnia, jako wielka uroczystość z wigilię obchodzona nietylko w kościele, ale i przez lud. Pewną jest już jednak rzeczą, że szczególniejszą cześć Niepokalanego P. Maryi Poczęcia w rodzinie Korabitów, odnieść należy do Radlicy; jej wyrazem wystawiony kościół przez prymasa Jana Łaskiego w Łasku 1525 r. pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny Maryi [2]).

Mniemamy dalej, że Radlica, kanonik krakowski, za czasów swoich studyów teologicznych w uniwersytecie paryskim utwierdził się tylko w uczuciach czci ku Pannie Nie-

---

conscripta w kod. erfurckim, 4⁰ nr. 222. (Zob. Schum: *Amplonianische Handschriften-Sammlung*, str. 479). Pobyt Radlicy w Paryżu przypada na czas, kiedy kanclerzem uniwersytetu był Jan Petri de Calore 1370 - 1381 (Denifle: *Chartularium univ. Paris.* II, 636 not. 9 i III, 38 nr. 1227 i 300 nr. 1460), a podkanclerzym Henryk Langenstein (*Gersonii opp. omn.* ed. Dupin'a T. II. *Pars I*, 126—127). Wszystkie jego stopnie akademickie przywodzą Wspominki o Łaskich (*Mon. hist. Pol.* III, 264) i dziwnie z niemi zgodnie a chyba od nich niezależnie Jan z Segowii za swojem źródłem (jak wyżej w poprz. uwadze). To samo źródło powiada dalej, że obydwaj Henrykowie, z Oyty i z Hessyi, wraz z naszym mistrzem Janem z Polski tj. Radlicą „wierzyli, iż zdanie o Poczęciu Maryi Panny w grzechu pierworodnym stało się już po tylu cudach podejrzanem w wierze". Nie przytaczamy też tutaj źródeł o poruszonych szczegółach kultu Matki Boskiej w Polsce, bo przedstawimy tę rzecz w drugiej części *Ustawodawstwa synodalnego*.

[1]) Także Długosz w *Żywotach biskupów krak.* i w *Historyi* zowie go mężem cnotliwym, *vir virtuosus*.

[2]) *Liber Beneficiorum* dyecezyi gnieźnieńskiej, ed. X. J. Łukowski, t. I, 445.

pokalanej, ale ich tam nie nabył; on je już ze swej ojczyzny przywiózł z sobą, względnie z Krakowa. Świadectwem rozpowszechniającego się także w Kościele polskim już w epoce awiniońskiej kultu Maryi Niepokalanej, są stawiane pod ten czas w naszych katedrach ołtarze ku Jej czci pod tem wezwaniem, za któremi w ciągu owego (XIV w.) wieku szły w poszczególnych dyecezyach biskupie nakazy święcenia solennie *pro choro et foro* uroczystości dnia 8 grudnia, tak, że statut synodu kaliskiego z 1420 r. zatwierdził tylko obchód tego święta, istniejący już od kilku dziesiątków lat w całej prowincyi gnieźnieńskiej. Tak np., pomijając inne szczegóły, w samej katedrze krakowskiej już jeden z poprzedników Radlicy, Bodzanta z Jankowa, ufundował i dość hojnie uposażył kaplicę „Poczęcia P. Maryi“ 1351 r.

Niezawodnie na ten wzrost w naszym Kościele kultu Poczęcia Maryi, oczywiście Poczęcia od pierwszej chwili Niepokalanego, działał przemożnie przykład praktyki w zakonie franciszkańskim, ale nie on sam wyłącznie. Również bowiem wyższy kler świecki znaczną ma w tym względzie zasługę. Prałaci i kanonicy, kształcący się w szkołach zagranicznych, pozostawali pod wpływem ruchu religijnego na Zachodzie; wracając do domu, przynosili z sobą nietylko teoretyczną wiedzę w obranym zawodzie, lecz także panujący w danej chwili kierunek teologiczny, przeszczepiali na własny grunt zbożne Zachodu wierzenia, zwyczaje i urządzenia na polu życia kościelnego. Wiele przykładów na to dostarczają niezbadane jeszcze dzieje służby Bożej naszego Kościoła. Odnośnie do P. Maryi to np. — że o jednem tutaj tylko wspomnimy—dzwonienie na Anioł Pański tą drogą przyszło do nas z Francyi i z Włoch północnych i wcześniej było ono znane wKrakowie (1324 r.), aniżeli w samym Rzymie! Tą samą także drogą wchodziło do naszych kościołów z Zachodu święto Poczęcia Maryi, obchodzone tam w kościołach katedralnych sporadycznie już za czasów św. Bernarda. Że także scholasteryi naszej, uczącej się zagranicą, należy przyznać zasługę w rozszerzeniu kultu Niepokalanej Panny i co za tem idzie w naukowem jego uzasadnieniu, między innemi dowodzą zapiski rękopiśmienne w kodeksach XIV i XV wieku. Tak np. w cennym rękopisie, niegdyś kapitulnym krakowskim,

dzisiaj Biblioteki Ossolińskich (nr. 601 f. 277 v.) znajduje się formularz mowy doktorskiej, jakoby w Padwie wypowiedzianej; na uwagę zasługuje w niej wezwanie do Maryi Panny „Niepokalanej, którą wdzięczni mistrzowie czcić są zobowiązani".

Czcili Ją szczególniej teologowie uniwersytetu paryskiego, który już od 1366 r. począł obchodzić święto Niepokalanego Poczęcia Maryi, znane w Anglii już w X wieku, lecz powszechnie nakazane dopiero 1328 r.[1]) Pierwsze uniwersytety ultramontańskie, pragski i krakowski i w tem także poszły za wzorem duchowej swojej macierzy. Wszechnica Jagiellońska zaraz od pierwszych lat swoich, co najmniej od 1406 r., święci uroczystość Panny Niepokalanej dnia 8 grudnia. Bezpośredni o tem dowód istnieje tylko dla fakultetu filozoficznego[2]) — pierwotne księgi innych wydziałów zaginęły; ale jeżeli się zważy, że w ówczesnym parysko-kollegialnym ustroju Uniwersytetu zachodził związek jak najściślejszy między najniższym wydziałem artystów a najwyższym teologów — wszak królewskie dzieło wznowienia naszego Uniwersytetu w 1400 r. jest fundacyą kollegium dla mistrzów teologii i *artium* — natenczas ani jednej chwili nie można wątpić, iż nie sami artyści, lecz przedewszystkiem teologowie byli rzecznikami nauki i kultu Niepokalanego Poczęcia; zresztą artyści nie mogli mieć innych świąt, tylko wspólne całemu Uniwersytetowi. I inaczej też być nie mogło. Doktryna o Niepokalanem Poczęciu w średniowiecznej fazie swojego rozwoju, to owoc skotystycznego kierunku w nauce scholastycznej, a więc już z góry trzeba przypuścić, że nieodłączna od systemu skotycznego kwestya Poczęcia Panny

[1]) Denifle: *Auctarium chart. univ. Paris.* I, 11. — Co do Anglii i Francyi, najpierw w Lyonie, w szczególności co do zachowania się św. Bernarda w tej sprawie, czyt. studya E. Vacandard: *Saint Bernard et la fête de la Conception de la Ste. Vierge* (Paris 1893) i *Les origines de la fête de la Conception dans le diocèse de Rouen et en Angleterre* (w *Revue des quest. hist.* z r. 1897 I, 166—184).

[2]) Zob. jego kalendarz z 1406 r. w *Statuta nec non Liber Promotorum philosoph. ordinis,* ed. J. Muczkowski, str. XXIV.

Maryi weszła w mury Uniwersytetu Jagiellońskiego wraz z pierwszymi jego teologami, tembardziej, iż jak zaznaczyliśmy powyżej, wielce podatny grunt dla niej był już od dawna przygotowany w Krakowie.

Nadto, o czem zapominać nie trzeba, rozgłośny w całej Europie wielki spór teologów Sorbonny z Dominikanami, na czele których stał wtedy Arragończyk, mistrz Jan de Monte sono, skończył się klęską tomistów; za teologami świeckimi — wśród których znajdował się Polak, Tomasz z Krakowa — stał biskup paryski, OO. Dominikanów wyrzucono z uniwersytetu i przez lat pietnaście nie dopuszczono ich do wykładów w fakultecie (1387 — 1403 r.)[1]). Zwycięstwo protagonistów paryskich w obronie Niepokalanego Poczęcia podniecilo zapał u reszty świeckich teologów w młodszych uniwersytetach. Kwestya ta stawała się coraz bardziej paląca, coraz więcej roznamiętniała umysły, bo Dominikanie-tomiści, mimo wszelkich losów koleje, w walce przeciw skotystom nie ustawali. W samym Paryżu nie było o niej tak głucho od 1362 r., kiedy to wystąpili dwaj Dominikanie z Katalonii, Jan l'Eschacier i Jakób de Bosco, aż do gorszącego wznowienia sporu przez mistrza Jana z Monteson w 1387 r., jak utrzymuje H. Denifle[2]); wszak paryski podkanclerzy, Henryk Totting z Oyty, podtenczas w Paryżu, a później (od 1383 r.) wiedeński w teologii kolega a mistrz Jana Gersona, Henryk Hembuche z Langenstein w Hessyi († 1397 r. w Wiedniu), podnosi pod koniec słynnego swego memoryału o usunięciu schizmy papieskiej o reformie Kościoła z czerwca 1381 r., że do nieszczęść i zgorszeń w Kościele należy zaliczyć walki

---

[1]) O czem teraz głównie Denifle w *Chart. univ. Paris.*, t. III, 229, nr. 1408 i 486 sqq., nadto tamże str. 99, nr. 1272, gdzie mowa o owych dwóch Dominikanach w 1362-1363 r., jak w tekście. Prawi o tem także jeszcze nie najgorzej w dość zresztą slabem dziele X. P. Feret: *La faculté de théologie de Paris et ses docteurs les plus célèbres.* T. III (Paris 1896), 151—162. — Zdaniem Tschackerta (w monografii o Piotrze d'Ailli) i jego recenzenta K. Müllera (w *Zeitschr. f. KG.* VIII, 230) miał mieć wielki ten spór tło polityczne, walkę orleańsko-burgundzką.

[2]) W *Chartularium* l. c.

różnych szkół teologiczne a na pierwszem miejscu niezgodę mistrzów w kwestyi Poczęcia P. Maryi [1]). Wobec zaciętości obu stron, Langenstein nie widział innego środka wyjścia jak ten tylko, którego niespełna w sto lat później użył papież Sykstus IV (1476 r.), by nakazać milczenie nieprzejednanym zapaśnikom. Langenstein, także Henrykiem z Hessyi Starszym zwany, hołdował w zasadzie zapatrywaniu skotystów, lecz się starał wznieść ponad stronnictwa; jako profesor teologii w Wiedniu, dokąd się zaraz walka przeniosła z Paryża, zajął stanowisko pośrednie w wielkiem kazaniu, ktore miał 8 grudnia 1389 r.: sporów nie staczać i zarzutami herezyi wzajemnie się nie piętnować, ale pozostać nadal przy czci Maryi Niepokalanej. I rzeczywiście w tem była gorsząca i zarazem najsłabsza strona całego sporu, że się obydwie strony oskarżały o herezyę. Nie to wzburzyło mistrzów paryskich do najwyższego stopnia, iż Dominikanie głosili tezę: N. P. Marya była w grzechu poczęta—bo to nie było jeszcze artykułem wiary, lecz że przeciwne tej tezie twierdzenie: N. P. Marya była bez grzechu poczęta — miało być zdaniem tomistów przeciwne wierze, herezyą.

A w Krakowie?

Już wiemy, iż jak niegdyś przed wiekami pierwsi kanonicy lyońscy wprowadzili we Francyi kult Niepokalanej mimo nagany ze strony św. Bernarda, który przyjmował tylko uświęcenie Matki Bożej *(sanctificatio in utero)*, tak — o ile źródła sądzić pozwalają — pierwsi w Polsce zaszczepili cześć Niepokalanego Poczęcia P. Maryi kanonicy i biskupi krakowscy, mimo sprzeciwiania się OO. Dominikanów. Z powstaniem Uniwersytetu Jagiellońskiego uzasadnienie naukowe nowej chwały Maryi musiało przypaść z natury rzeczy jego teologom, mistrzom Pisma św. i zarazem urodzonym, bo z powołania swego urzędu w szkole średniowiecznej kaznodziejom. Nadspodziewanie kwestya o nauce krakowskiej zaraz w pierwszej dobie *Almae Matris Jagellonicae* przedstawia

[1]) *Opp. omn.* T. II. *Appendix*, p. 839. O wspomnianem niżej w tekście kazaniu wiedeńskiem Langensteina, które się przechowuje we współczesnych kodeksach także w Bibl. Jagiellońskiej np. w nr. 1383 i 1576, czyt. J. Aschbach: *Gesch. d. Wiener Universität*, I, 385—386.

się wcale wyraźnie. Byli w niej przecież już od r. 1397—1400 skotyści, są dość liczne kazania o tym temacie mistrzów krakowskich, znalazły się także ich wykłady a nawet poetyczne uwielbienia Panny Czystej przez naszych scholastyków z pierwszej połowy wieku XV. Wiele materyału z tego samego stulecia, który się mieści przedewszystkiem w Bibliotece Jagiellońskiej i w archiwum kapitulnem, bądź dla braku czasu, bądź z innych przyczyn, nie zdołał zbadać i wyzyskać piszący we Lwowie niniejsze studyum. Droga jednak już wskazana.

Pierwszy profesor wydziału teologicznego w Krakowie, Jan Isner (zmarły około 1410 r.), rodak i uczeń w Pradze europejskiej sławy mistrza i pisarza Mateusza Stadtschreibera z Krakowa, w jednym z przekazanych przez siebie Uniwersytetowi rękopisów pozostawił kazanie o Niepokalanem Poczęciu P. Maryi. Dla braku autopsyi tego kodeksu (nr. 1252 k. 165—168), nie umiemy powiedzieć, czy ono wyszło z ust i z głowy Isnera, czy też jest płodem dawniejszym, może którego z mistrzów w teologii, skotysty, jak się zdaje, Jana Isnera. Nie jest również nam znaną treść kazania o Poczęciu Matki Bożej, które się znajduje we współczesnym poprzedniemu rękopisie Jagiell. (nr. 1236), będącym własnością Cystersa, Jana Sczekny (zmarłego przed r. 1414). Mistrz ten był najwybitniejszym Isnera w Pradze i w Krakowie kolegą, kapelanem królowej Jadwigi a najbliższym uczniem i przyjacielem Mateusza Krakowity. Jeżeli to prawda, cośmy uzasadniali niedawno [1]), że mistrz Sczekna w przeciwieństwie do Isnera był tomistą, a jako taki pierwszym w Uniwersytecie Jagiellońskim tego kierunku przedstawicielem, to powyższe jego kazanie powinno stwierdzić to nasze zapatrywanie. Wyjęte jest ono z postylli świątecznej (cyklu kazań na święta i uroczystości całego roku kościelnego, począwszy od św. Andrzeja Apostoła aż do Apostołów Szymona i Judy Tadeusza); wymowny kaznodzieja ukończył to swoje dzieło w Krakowie 1403 r.,

[1]) W *Studyach do dziejów uniw. krak. i jego wydziału teolog. w XV wieku*, gdzie czytelnik znajdzie obszerniejszą wiadomość o wspomnianych tutaj profesorach teologii. O postylli Sczekny zob. także K. Miaskowskiego: *Beiträge zur Krakauer Theologenschule des XV. Jahrh.*, p. 4—5.

a że ono w najdawniejszych rękopisach (uniw. wrocł. I. Fol. 609) zaopatrzone jest glossami polskiemi i w tekście łacińskim zawiera wyraźne o tem wzmianki, iż kaznodzieja głosił słowo Boże *in vulgari* w języku słuchaczy, stąd też słusznie należy wnosić, iż Sczekna, acz Czech z pochodzenia, kazał w Krakowie po polsku.

Niewątpliwie czynił to najzdolniejszy ich uczeń krakowski, mistrz Mikołaj Łukasz Jarosławczyk, piszący się także z Wielkiego Kożmina, w teologii bakałarz i rektor Uniwersytetu 1411 r., autor pierwszej polskiej postylli kazań niedzielnych dla ludu i około owego roku pod okiem doktorów krakowskich napisanej. Nie wiadomo, czy istnieje jej część „świąteczna“ czyli zbiór kazań o świętych: *De Sanctis*, gdzie zaraz na początku, dnia 8 grudnia, możnaby znaleść kazanie o naszym temacie. Niejaką wskazówką o zapatrywaniu mistrza Łukasza na sporną kwestyę Poczęcia Matki Bożej, może być znajdujące się w jego kodeksie (dzisiaj Jagiell. 1383), znane już nam kazanie Langensteina[1]). Wielki zawód zgotował nam żarliwy apostoł Litwy a kaznodzieja króla Władysława Jagiełły, mistrz-asceta Jan Hieronim z Pragi, podówczas Norbertanin (później po r. 1410 Kameduła we Włoszech) i zarazem, jak się zdaje, po Isnerze i Sczeknie trzeci Uniwersytetu Jagiellońskiego profesor teologii. W dość rozpowszechnionym u nas w Polsce i tutaj powstałym zbiorze jego kazań, względnie w drugiej jego części *O Świętych* (p. t. *Exemplar salutis)* rozprawia nasz mnich[2]) w uroczystość Poczęcia Maryi o jej chwale jako Matki Bożej, czyni to zaś wbrew zwyczajowi swojego wieku w sposób nader przystępny i w zawiłości teologiczne się nie zapuszcza; nawet nie dotyka kwestyi Poczęcia Maryi, zadawala się przy-

---

[1]) Wśród innych kazań tego teologa ku czci Maryi, w *Katalogu rękop. Bibl. Jagiell.* przez Wisłockiego (p. 363) nosi ono tytuł: *De contemplacione* zamiast *De concepcione.*

[2]) Zwano go też Mniszkiem, sam zaś nazywał siebie Sylwanem; czasy późniejsze zrobiły go biskupem Nazaretu, co stąd powstało, iż odczytano fałszywie początkowe wyrazy w *Exemplar salutis: Johannes Silvanus dni nostri Jhesu Christi inutilis servus!* Zob. rękop. Ossol. nr. 1490, str. 215 z zapiskiem na str. 1 z dołu.

toczeniem znanej legendy o Joachimie i Annie, i na tem kończy swój prosty, popularny panegiryk o Matce Boskiej: „Tak się w dniu dzisiejszym stał początek zbawienia naszego, albowiem w nim poczęta została Panna Marya, która nam zrodziła zbawienie, Jezusa Chrystusa — Amen".

Odmienną drogą poszedł rodak i zarówno w Pradze jak w Krakowie kolega Isnera, doktor dekretów (jak Łukasz Koźmińczyk i jak on) w teologii bakałarz, profesor jagielloński: Mikołaj Wigandów z Krakowa, w hierarchii kościelnej kanonik, ostatecznie dziekan przemyski. Podręcznik jego kaznodziejski, postylla niedzielna i świąteczna (około 1415-1416 r.), za wzorem Henryka z Oyty napisana, wyparła u nas niemal wszystkie inne, zwłaszcza w kołach szkolnych i wśród naszego kleru miejskiego, jedynie dzieło Mikołaja Pszczółki z Błonia było niebezpiecznym dla niej rywalem; o jej wziętości jeszcze w czasach Lutra (1540 r.) świadczą dotyczące glossy w jej kodeksach (np. Ossol. nr. 1629, fol. 141 v.). Już z tego samego względu, iż tak długo żywiono się u nas strawą uczonej tej i na wskróś szkolnej kompilacyi Wiganda [1]), pogląd jego na kwestyę Niepokalanego Poczęcia nie może być obojętny. Autor nasz poświęca jej wyłuszczeniu niemal całe swoje kazanie *De concepcione,* a czyni to głównie w drugiej i najdłuższej jego części, której już sam nagłówek: *O uświęceniu (sanctificatio) tej Panny i cudownem jej poczęciu* przysposabia słuchacza (czytelnika) do głównej myśli dalszych wywodów. Część trzecia i ostatnia kazania [2]) wiąże się ściśle z poprzednią, jej treścią bowiem jest uzasadnienie obchodu święta w Kościele wyjątkowego Poczęcia Panny Maryi. Przewodnią ową myślą całego kazania, wnio-

[1]) Zastał go jeszcze w Uniwersytecie św. Jan Kanty; dochowały się też niektóre kazania Wiganda o Matce Najśw. przepisane ręką Świętego (zob. np. kod. Jag. nr. 2377). Niniejszy rękopis Ossol. był niegdy, jeszcze przed 1450 r., własnością kościoła parafialnego w Łańcucie.

[2]) Sakramentalny ten podział prawie wszystkich kazań XV wieku na trzy części wynikał z założenia tematu na tyle części rozłożonego we wstępie przed *Ave Maria,* do takiego zaś założenia dochodziło się kunsztem dyalektycznym z cytatu słów Pisma św., które się kładło na samym początku.

skiem jego najważniejszym i tą nauką, którą kaznodzieja pragnął wpoić w swoich słuchaczy i czytelników, jest następujące końcowe części drugiej zdanie: „Tak więc Chrystus Zbawiciel wybawił Pannę Świętą z pod mocy szatana i odkupił Ją od grzechu, inaczej jednak aniżeli (wszystkich) innych (ludzi), inni bowiem podniesieni zostali po upadku, ona zaś w samym upadku lub tuż przed nim została podtrzymaną, by nie upadła“ [1]). Innemi słowy: Chrystus Pan zachował Swoją Matkę w samem Jej poczęciu od upadku czyli od grzechu pierworodnego.

Do tego rezultatu dotarł nasz Wigand zwykłą scholastykom późnego średniowiecza drogą, zestawiając obszernie opinie „doktorów“ przeciw i za w danej kwestyi. Lecz nie w tej szkolnej metodzie kaznodziei leży cecha charakterystyczna i wyjątkowa niemal wartość jego utworu, ani też w stanowisku, które zajmował wobec tak spornej podówczas sprawy. Powiedziało się już na innem miejscu, że kazania Wigandowe „zapewne“ nie należą do tworów oryginalnych, jak wogóle przeważna część wszystkich prac epoki scholastycznej. Przed erudycyą patrystyczną Wiganda skłoni głowę chyba tylko nowicyusz naukowy. Zazwyczaj teologowie, jak i inni uczeni średniowieczni, pomijali milczeniem dawniejszych autorów, z których czerpali całą swoją mądrość. I nasz doktor-kaznodzieja to uczynił. Wigand nie wyrósł ponad swój czas, w całym jego wywodzie o Niepokalanem Poczęciu nie ma ani jednej własnej jego myśli, ani nawet jednego własnego wyrazu; w tem jednak odbiega on od praktyki współczesnej i za to godzien pochwały, że aż dwa razy wskazuje swoje źródło, przyczem oczywiście broń Boże się nie chwali, w jakim do tego źródła zostaje stosunku, że je poprostu w dosłownych wyciągach przepisuje. Autorem tym ma być własny jego mistrz za czasów pragskich, wspomniany już powyżej kolega i przyjaciel Langensteina i Mateusza Krakowity, Henryk Totting z Oyty. Podobno wybitny ten teolog parysko-wiedeński zostawił osobny traktat czy kazanie o Poczęciu Matki Bożej, ale jak wszystkie jego dzieła, z wyjątkiem

[1]) Tekst łaciński zob. niżej w źródle Wiganda: w kazaniu Mateusza z Krakowa.

jednego o kontraktach, tak i to nie było nigdy drukowane. Wigand nazywa je kazaniem, które się rozpoczyna od znanego proroctwa Balaama, wieszczka Amnionitów: „Powstanie laska z Izraela“ *(Consurget virga de Israël*, w ks. IV Mojż. Num. XXIV, 17). I cóż się okazuje?

Kazanie z tym cytatem i nietylko wyraźnie przytoczone z niego ustępy, ale cała część druga i trzecia kazania o Poczęciu w postylli naszego Wiganda Krakowczyka, mieści się dosłownie w kazaniu, które przechował dobrze zachowany duży kodeks z połowy wieku XV w Eichstädt, niegdyś w bibliotece dominikańskiej, obecnie królewskiej (nr. 114 folio, papier., kart 394). Zatytułowane ono tutaj krótko w indeksie współczesnym na karcie pierwszej: *Sermo magistri Mathei de Cracovia De concepcione Virginis*. Nieznany kopista, jakiś mnich Burchard, który je przepisał 1469 r. zaraz po bulli soboru bazylejskiego, ogłaszającej dogmat Niepokalanego Poczęcia N. P. Maryi, odniósł je do r. 1454 i przyznał „bratu Kartuzowi, Maciejowi z Krakowa, św. teologii profesorowi“; napis na czele kazania, o ile pamiętamy, inną ręką położony, już wprost „mistrza Macieja z Krakowa“ zowie Kartuzem erfurckim [1]). Uczeni niemieccy, którym z okazyi Mateusza z Krakowa przyszło wspomnieć także o tym rękopisie bawarskim, nie wiedzieli, co począć z mnichem kartuzyi erfurckiej, Maciejem z Krakowa — o istnieniu bowiem takiego Macieja nie ma nigdzie śladu w źródłach, słynny Mateusz nie był nigdy mnichem i taki jego utwór jest zgoła nieznany, ale też z drugiej strony nie podejrzywano bałamuctwa u skryby tego kazania, którego w dodatku wcale nie czytano. A przecież nie zbyt trudno oznaczyć jego autorstwo i wyjaśnić ge-

[1]) W zakończeniu: „Explicit sermo fratris Mathie de Cracovia sacre theologie professoris ordinis Carthusiensis De concepcione Beate Virginis, factus circa annos 1454, rescriptus autem anno M°CCCC°LXIX° per fratrem Burckardum“. W nagłówku: „Sermo magistri Mathie de Cracovia ordinis Carthusiensis domus Erfordensis“. To samo powtarza się w spisie rzeczy na odwrotnej stronie karty pierwszej, sporządzonym w nowszych czasach przez „fr. Florianum Würth, ord. Praed. cum Erfordii lectoris ac bibliothecarii munere perfunctus est“.

nezę rzekomego Kartuza Macieja, względnie Mateusza z Krakowa[1]). Już samo odniesienie niniejszego kazania do mnichamistrza teologii z Krakowa, żyjącego około 1454 r. w kartuzyi Zbawiciela pod Erfurtem, poucza w sposób niewątpliwy, kogo ów brat-skryba uważał za autora anonimowego tego kazania. Wiedział on dobrze, że jest nim głośny w całych Niemczech i tutaj zmarły teolog z Krakowa. Ale który? Dwóch ich bowiem w owym wieku było: biskup wormacki Mateusz († 1410) i Kartuz Jakób (z Paradyża, † 1464). Klassyczne znaczenie tego *qui pro quo* wyzyskaliśmy w pracy o Mistrzu Jakóbie[2]). Chodzi teraz tylko o to, czy to kazanie, wbrew mniemaniu badaczy niemieckich, można przyznać Mateuszowi z Krakowa. Rzecz jasna, że go nie napisał Jakób z Paradyża, nie ma w niem wzmianki o dekrecie bazylejskim, któregoby z pewnością nie pominął Paradyżanin, główny zasad tego soboru chorąży w Polsce i w Niemczech; powtóre, jak wiemy, tekst jego już istniał przed 1415 r. To termin *ante quem* powstania tego utworu; jest też jego termin *a quo*. Rokiem tym: 1408, gdyż dopiero wtedy, dnia 9 maja, wspomniany przez autora naszego kazania *Johannes tituli Sti. Syxti cardinalis, ord. Praedic.* tj. Dominikan Jan Dominici z Florencyi został kardynałem. Z kontekstu wynika, że wiadomość ta o kardynale Janie Dominici jest współczesną i żadną miarą nie można jej uważać za wtręt późniejszy. Nie mógł więc pisać tego kazania Henryk z Oyty, który umarł jedenaście lat przedtem (20 maja 1397 r.)[3]). Przyznajemy je Mateuszowi z Krakowa. Prócz danych powyżej, przemawia za tem także cały szereg dowodów wewnętrznych: powoływanie się na objawienia św. Brigidy, która głównie za jego sprawą została wyniesioną na ołtarze, ton ironiczny, dojrzałość sądu i wielka powaga kaznodziei, gorącego czciciela Maryi. Tak tylko biskup przemawia, biskup-teolog, który się wznosi po-

[1]) H. Finke w *Literarischer Handweiser* z r. 1889, str. 285 i G. Orterer w *Historisches Jahrbuch* z r. 1896, str. 358—359.

[2]) T. II, 139 i 331.

[3]) J. Aschbach, *Gesch. d. Wiener Univ.* I, 404. Nie wiadomo, dlaczego H. Hurter, T. J., zrobił go Karmelitą (*Nomenclator litterarius theol. cath.* IV, 590).

nad gorszącą walkę szkół w kwestyi spornej wiary, aby wiernych pouczyć, kler i lud świecki, jak się wobec niej mają zachować, zanim Kościół da o niej wyrok autorytatywny i ostateczny. Powyższe wskazówki chronologiczne i niniejszy charakter kazania nakazują je odnieść do ostatnich dwóch lat Mateusza z Krakowa; wypowiedział je w swojej katedrze wormackiej w uroczystość Poczęcia Niepokalanej, 8 grudnia 1408 r., lub prawdopodobniej w rok potem, po powrocie z nieudanej legacyi od króla Ruprechta na sobór pizański i do papieża Grzegorza XII w Rimini, któremu do końca życia († 5 marca 1410 r.) pozostał wiernym, chociaż ofiarowanego sobie przezeń kapelusza kardynalskiego nie przyjął. Przeciw naszej hipotezie, że to jest ostatnie a nieznane dotąd dzieło wiekopomnej pamięci Mateusza z Krakowa, powołaćby można jedynie Wiganda i z jego czasów pochodzący rękopis wiedeński *(Cod. Palat.* 4483, 4° k. 292—299 v.), w którym również pod imieniem Henryka z Oyty mieści się to kazanie, lecz jak się zdaje, w znacznie krótszej redakcyi. Jestto możliwem, że nasz Mateusz, podejmując temat o Niepokalanem Poczęciu, oparł się na tekście zmarłego swego przyjaciela; wszakże sam nieraz omawiał z nim, jak i z Langensteinem, i opracowywał wspólnie trudniejsze kwestye, np. rzecz o kontraktach; największy swój traktat o reformie Kuryi rzymskiej z 1404 r., który tyle wywołał zgorszenia wśród współczesnych a i dzisiaj jeszcze nie uchodzi w oczach niektórych za jego dzieło, pisał na spółkę z kilku kanonistami, jak sam wyznał w polemice z Janem Falkenbergiem, Dominikaninem krakowskim. Wreszcie jedno jeszcze zważyć należy. Stosunki naszego Mateusza z Henrykiem z Oyty i wspólność poglądów obu tych teologów a kaznodziejów z łaski Bożej, były współczesnym dobrze znane, łatwo tedy mogło się zdarzyć, iż już w latach najbliższych po ich śmierci nie umiano dostatecznie podobnych ich prac rozróżnić.

Kazanie Mateusza z Krakowa z tego głównie względu zasługuje na ogłoszenie, że doskonale objaśnia czytelnika o ówczesnym sporze o Poczęciu P. Maryi: niepokalana czy tylko uświęcona? Wyborny to podręcznik poglądów jednej i drugiej strony. Teolog dowie się z niego, jakie to były

najważniejsze „racye“ tomistów i ich przeciwników i o ile postąpiła nauka od owej chwili aż po dzień dzisiejszy; przy tej jednak lekturze wydawca prosi czytelnika, by przebaczył bratu Burckardowi, że przepisał tekst jak umiał! Tok myśli kaznodziei w zwięzłem streszczeniu przedstawia się następująco: „Powstanie laska z Izraela“. Trzeba uwielbiać Maryę; prorokował już o niej Balaam pod podobieństwem laski, a chociaż żaden język i myśl ludzka nie oddadzą godnie Jej chwały, a w szczególności kaznodzieja czuje się najmniej godnym i zdolnym, mimo to będzie Ją wielbił, bo ona matką miłosierdzia, dla grzeszników najłaskawszą. To wstęp. „Powstanie laska z Izraela“. Egzegeza tych słów. Słusznie należy rozumieć Maryę, pochodzącą z rodu Izraela, pod obrazem pięknej laski, wyrastającej ze swego korzenia. Taka laska jest gładka, cienka i giętka. Te trzy właściwości ma N. P. Marya: była ona 1) gładką przez czystość niewinności, 2) cienką przez wzniosłą pokorę i 3) giętką przez hojną łaskawość. Co się tyczy pierwszego: czystość Najśw. Panny jest dwojaka wskutek uświęcenia Jej na ziemi i Jej chwały w niebie; tę drugą kaznodzieja pomija, bo to temat na uroczystość Wniebowzięcia Maryi. Również i uświęcenie Najśw. Panny według powszechnej doktorów nauki jest podwójne: w Jej poczęciu w łonie matki i w poczęciu przez Nią syna Boga-człowieka; ostatnie to poświęcenie obchodzi się i wykłada w uroczystość Zwiastowania P. Maryi, przedmiotem więc kazania uświęcenie pierwsze. Nie ma na to zgody między teologami, kiedy ono w łonie matki (św. Anny) nastąpiło, czy w samem pierwszem poczęciu ciała, czy dopiero w jego ożywieniu (przy stworzeniu duszy), czy też jeszcze nieco później. Uświęcenie to pierwsze samego ciała odrzucają najwybitniejsi XIII wieku scholastycy, św. Tomasz z Akwinu i Franciszkanie: Aleksander z Hales i Bonawentura [1]), z „mi-

[1]) Co do stanowiska św. Tomasza w tej sprawie, niewątpliwie przeciwnika Niepokalanego Poczęcia *in primo instanti*, o czem dobrze wiedziały wieki średnie, czyt. W. Többe: *Die Stellung des hl. Thomas von Aquin zu der Unbefleckten Empfängnis der Gottesmutter*. (Münster, Theissing. 1892. 8° str. 104). O zdaniu św. Bonawentury rozprawia świeżo P. Josephus a Leonissa, O. M. Cap.: *St. Bonaventura*

strzem“ na czele, czyli Piotrem Lombardem, głównym nauczycielem średniowiecza (zmarłym około r. 1160). Mimo to zdaje się naszemu kaznodziei — i na ten jego pogląd uzasadniony Pismem św. Starego Zakonu Wigand zwraca uwagę w swojej postylli — że uświęcenie w znaczeniu oczywiście dalszem, a nie owo właściwe duszy przez łaskę poświęcającą, da się także odnieść do ciała, tem samem zaś można podtrzymać zdanie o uświęceniu w pierwszem poczęciu ciała (jak rozumowały wieki średnie: przed stworzeniem duszy). Następnie w pierwszej tej części kazania autor przechodzi do jądra kwestyi, do poczęcia drugiego, czyli uświęcenia duszy od grzechu pierworodnego. Kiedy się więc ono dokonało: w chwili połączenia się duszy z ciałem *(in primo instanti)* czy też dopiero później?

Dwa są o tem zapatrywania, dwie wprost przeciwnie uczące szkoły. Pierwsza nie zna dla poczęcia P. Maryi żadnego od prawa powszechnego wyjątku, druga przyznaje jej szczególniejszy przywilej, iż sama jedna z ludzi zachowaną została od wszelkiej zmazy grzechu pierworodnego. Autor nasz streszcza najpierw dowody tej drugiej szkoły, powołując się głównie na traktat Anzelma[1]). Wyłuszczywszy następnie bardzo obszernie stanowisko i zarzuty przeciwników Niepokalanego Poczęcia, między którymi jako najznamienitszych wymienia teologa paryskiego Grzegorza z Rimini i Dominikana Jana Dominici, przedkłada słuchaczom również w dłuższym wywodzie, by nie rzucali kamieniem na przedstawicieli pierwszej szkoły i nie utrzymywali, że ich zdanie jest

---

über die Heiligung der Gottesmutter w Commer'a *Jahrb. f. Philos. u. spekulat. Theologie* ze stycznia b. r., str. 341 i nast.

[1]) Traktat ten niesłychanej doniosłości dla rozwoju nauki o Niepokalanem Poczęciu P. Maryi nie jest dziełem św. Anzelma, ojca scholastyki († 1109 r. jako arcybiskup Canterbury), lecz prawdopodobniej utworem młodszego jego krewnego, opata Anzelma w Edmundsburgu (w Anglii około 1128 r.). Właściwy tytuł tego traktatu: *De conceptu virginali*, a nie jak podają dzisiaj: *De conceptione B. M. V.* — Posiadał go w swojej bibliotece nasz Mateusz z Krakowa; zob. wyd. metryki uniw. heidelbergskiego przez Toepke'go. T. I, 688, nr. 699.

oczywistym błędem. Gdyby bowiem tak było, Kościół nie dozwoliłby głosić takiej nauki, zwłaszcza w Kuryi rzymskiej przed papieżem i kardynałami, nigdyby też jej nie broniły uniwersytety, szczególniej paryski i nie dozwalały jej zatwierdzać rocznym obchodem święta Poczęcia Maryi. — I w tem najbardziej przekonywujący dowód dla naszego kaznodziei, który zbijając zarzuty strony przeciwnej, rozgrzewa się a nawet zapala, i przyznać trzeba, że bardzo zręcznie poradził sobie z tomistami. Gorszą się oni — powiada — że się stwarza osobny przywilej dla Najśw. Panny, iż była wolną od grzechu pierworodnego i że się ten przywilej uzasadnia Pismem św. (ojcem tej doktryny Duns Skot); utrzymują oni dalej, że Matka Boża poczęta w grzechu została potem uświęcona i dowodzą tego powagą Pisma św. Gdzież są jednak na to jakiekolwiek dowody w Piśmie św.? Tak więc nasz teolog dopadł przeciwnika na własnem jego polu, wydarł mu broń i uderzył nią na niego. Silny a piękny ustęp kaznodziejski o figurach w księgach Starego Zakonu Panny Niepokalanej, po odparciu dalszych racyj przeciwnika kończy się znanym nam już z Wiganda wnioskiem o zachowaniu Maryi od upadku. Ale na tem kaznodzieja nie poprzestaje; wraca na swe pierwotne, powiedzielibyśmy objektywne stanowisko, osądza walczących i sprzeczne ich doktryny. Oczywiście tylko jedna z nich może być prawdziwa, ale która, o tem jeszcze nie wiadomo; można się trzymać jednej lub drugiej, bo obie wydają się być również silnie uzasadnione powagą ksiąg świętych, doktorów i dowodami z rozumu. Najgorszymi są ci bezsprzecznie, którzy nie przebierają w środkach w walce z przeciwnikiem; kaznodzieja nasz karci ich surowo. Niepodobają mu się i tacy, którzy wprawdzie nie wywołują zgorszenia, ale trwają z uporem przy swem zdaniu. Najlepszą drogę ci obrali, którzy trzymają się jednej z dwóch opinii, ale każdego czasu okazują gotowość poddać się wyrokowi Kościoła i porzucić błędne swoje mniemanie, gdyby ich kto dostatecznie pouczył.

To dopiero część pierwsza kazania. Przedmiotem drugiej: stósowność i obowiązek święcenia Poczęcia P. Maryi. Racyj autora streszczać nie będziemy, za wiele już w nich scholastyki. Wspomniany wyżej Dominikanin, ś. p. Würth do-

brze powiedział o tym traktacie, że on *magis problematicus quam decisivus* — dodajmy, że jako *specimen* teologii ówczesnej, zwłaszcza w tej drugiej części, wcale ciekawy.

Po postylli Mikołaja Wiganda postylla mistrza Mikołaja Pszczółki z Błonia. Dzieło to naszego kanonisty-teologa doczekało się jak wiadomo europejskiego rozgłosu; drukowane wielokrotnie w wieku XV za granicą, należało do najbardziej rozpowszechnionych podręczników kaznodziejskich. Ważną tedy jest rzeczą dowiedzieć się, jaką naukę o Poczęciu Matki Bożej głosił mistrz jagielloński. Doniosłość pytania wzrośnie, jeśli zważymy, że Mikołaj z Błonia, kolega na wydziale artystycznym św. Jana Kantego, kształcił się jedynie w Uniwersytecie krakowskim (mistrz 1421 r., został doktorem dekretów około 1426 r.), a dzieło swoje ukończył jeszcze przed orzeczeniem dogmatycznem soboru bazylejskiego (około 1438 r.). Nauka tedy Mikołaja Pszczółki o Poczęciu Najśw. Panny była wyrazem nauki o tem jego mistrzów i kolegów, nauką krakowską, która za pośrednictwem postylli naszego doktora rozszerzała się i utrwalała w sercach kleru i ludu daleko po za granicami Polski. Założeniem kazania naszego teologa na „uroczystość Uświęcenia czyli Poczęcia Matki Bożej“ są słowa Pieśni Salomonowej: „Piękna jako księżyc“, treścią jego porównanie P. Maryi z księżycem a Chrystusa Pana ze słońcem i osnuty na tem tle potrójny wywód scholastyczny o imieniu Maryi, Jej piękności i Jej cnotach. Już zaraz w pierwszej części kaznodzieja wyraża swoje zapatrywanie: wiarę w Niepokalane Poczęcie Maryi nazywa pobożną i bierze ją w obronę przed uporem i zatwardziałością tych, którzy się obawiają lub nie chcą przyznać, że Panna Marya została bez grzechu pierworodnego poczętą; próżno się jednak lękają, by wyznając Niepokalane Maryi Poczęcie, nie zrównać Jej we wszystkiem z Chrystusem; Niepokalane Poczęcie Maryi nie obraża Boga i nie uwłacza Poczęciu Syna Bożego, bo ono było „pełniejsze“, doskonalsze, aniżeli Maryi [1]). Jak Mikołaj z Błonia pojmował

[1]) Według edycyi strassburskiej z 1495 r. opiewa ten ustęp następująco: „Et ideo patet illorum protervias (sic!) et duricies, qui timent vel nolunt concedere illam conceptam

Niepokalane Jej Poczęcie i na którą kładł je chwilę, objaśnił to w drugiej części kazania, rozważając trzy coraz wyższe stopnie piękności Maryi: piękną była Marya przy „wejściu swego poczęcia“, piękniejszą przy poczęciu Syna Bożego, najpiękniejszą przy swojem wyjściu czyli Wniebowzięciu. Pierwszą piękność w poczęciu Maryi tj. w owej chwili, kiedy Jej dusza wstąpiła w ciało, kaznodzieja tem uzasadnia, że dusza Maryi była wtedy jako nowy księżyc oświeconą przez łaskę uświęcającą, która ją oczyściła od zmazy pierworodnej[1]). Pomijamy, jako nie należące do naszego przedmiotu, dalsze rozumowanie doktora Pszczółki o owych dwóch jeszcze wyższych stopniach piękności Maryi; dodać trzeba, że nasz doktor nic jeszcze nie wie o dekrecie bazylejskim z 1439 r.

Wspomniany dekret zaznacza nowy okres w rozwoju doktryny i kultu Niepokalanego Poczęcia P. Maryi. Można twierdzić bez przesady, że na orzeczenie dogmatyczne nauki o Niepokalanem Poczęciu przez sobór bazylejski, na 36-tej sessyi dnia 17 września 1439 r., umysły niemal wszystkich były

---

sine originali peccato, timentes eam per omnia assimilari Christo ac per hoc metuentes offendere maiestatem singularem Christi, si eam sibi in concepcione assimilent. Videant et audiant adhuc dato, quod sic esset concepta, non tamen per omnia similis esse Christo.. “ Kazanie to znajduje się w drugiej części postylli świątecznej *De sanctis*, która była drukowaną oddzielnie i chociaż złączona z pierwszą stanowi osobną dla siebie całość; tem się wyjaśnia, dlaczego niektórzy bibliografowie przyjmowali osobne tamże w owym roku wydanie niniejszych kazań o Świętych (zob. Estreicher: *Bibliogr. polska*, t. XIII, 170—171). Uwagi przytem godne, że w drukach kazań świątecznych Mikołaja z Błonia nie ma wcale kazań o Świętych polskich. Czy ich wcale nie było, czy też je Niemcy wyrzucili? Trzeba druki porównać z rękopisami.

[1]) „In ingressu suae conceptionis, quando anima eius ingressa est corpus, tunc enim erat quasi nova luna per donum gratiae sanctificantis illustrata, quae ipsam emundavit a macula originali“. A niżej: „Pulchrior in processu tj. in conceptione filii Dei...“ jakby „in plenilunio... per donum gratiae fecundantis... sed pulcherrima in egressu velut soli coniuncta per donum gloriae elevantis et beatificantis“.

już prawie przygotowane. Należy tedy wprost zaprzeczyć mniemaniu niektórych Dominikanów, jakoby wyrok bazylejski miał być aktem zemsty schizmatyckiego soboru na Dominikanach, iż w zaciekłej jego walce z papieżem Eugeniuszem IV stali po stronie prawowitego rzymskiego papieża [1]). Zaprzeczyć temu trzeba chociażby już z tego względu, że sami OO. Dominikanie, jak zresztą inne zakony, w sprawie schizmy bazylejskiej dzielili się na dwa wrogie obozy; z drugiej strony nie wszyscy przeciwnicy soboru bazylejskiego byli wyznawcami doktryny dominikańskiej o Poczęciu Maryi. Tak np. znamienity biskup kostnicki Otton III, z rodziny margrabiów Hochberg-Rötteln pochodzący, a dzielny obrońca papiestwa w owej ciężkiej chwili, w kwestyi Niepokalanego Poczęcia wystąpił śmiało przeciw swoim sojusznikom antibazylejskim, Janom z Torkwemady i z Montenigro zakonu dominikańskiego; wprawdzie biskup Otton [2]) nie wiele dbał o orzeczenie bazylejskie z 1439 r. i ściągnął gromy oburzenia na siebie ze strony kardynała arelateńskiego, Ludwika d'Allemand, Hektora Bazylejczyków, iż nie uznawał dekretu soboru, ale jako obrońca czci Panny Niepokalanej miał tosamo zdanie, co głowacze bazylejscy, Benedyktyn Mikołaj de Tudeschis (słynny kanonista Panormitan) i Minoryta Jan z Segowii, teolog i historyk soboru, którego traktat *De conceptione Virginis gloriosae* ze stycznia 1437 r. znajduje się w licznych współczesnych odpisach wśród dzieł naszych mistrzów w Bibliotece Jagiellońskiej. Ale o czem nie można wątpić, to o tem, że wszystkie uniwersytety niemieckie, do których wliczano wtedy także nasz krakowski, jeszcze teraz pilniej w okresie soboru bazylejskiego (przed 1439 r.), aniżeli dawniej, omawiały naukę o Niepokalanem Poczęciu. Wykazać

---

[1]) B. Pez l. c., w zakończeniu owego katalogu przeciwników Niepokalanego Poczęcia.

[2]) Wiadomość o jego stanowisku wobec soboru bazylejskiego i nauki o Niepok. Pocz. podał A. Werminghoff w *Zeit. f. d. Gesch. d. Oberrheins.* N. F. T. XII z r. 1897, str. 1—40. Jeden ze swoich traktatów antibazylejskich biskup Otton kostnicki dedykował: „Egregio artis medicinae doctori Martino Bohemo, fratri carissimo", członkowi a przynajmniej zwolennikowi soboru (str. 17 i 40).

np. można, iż ją pielęgnował bez przerwy od czasów Mateusza z Krakowa po jego myśli uniwersytet heidelbergski, gdzie głównym jej rzecznikiem był wielokrotny rektor, później wicekanclerz, medyk, jurysta i teolog, mistrz Gerard Brant z Dewenter (1402—1438). Kazania jego o tym przedmiocie przechowuje biblioteka miasta Trewiru (Cod. 182) [1]). Gdzieindziej, w Monachium, można znaleść całą dysputę, którą na ten temat miał w Heidelbergu 1431 r. jeden z wielu uczących się tam Cystersów, brat Mikołaj, bakałarz teologii, niewątpliwie wtedy profes, później opat *de Fonte salutis* czyli Heilsbrunn w dyecezyi Eichstädt [2]).

Podobne dysputy musiały się odbywać już wtedy i w naszym Uniwersytecie; mistrzowie jagiellońscy w tym okresie celowali nauką nie w mniejszym stopniu, aniżeli współcześni ich koledzy na Zachodzie, krakowskie studyum nie dało się wyprzedzić żadnemu innemu, stało na wysokości swojego wieku. I znowu należy już naprzód przypuszczać, że wśród niezbadanych w tym kierunku zasobów Biblioteki Jagiellońskiej kryją się także wykłady i dysputy o Niepokalanem Poczęciu P. Maryi naszych z owego czasu bakałarzy i doktorów. Po kazaniach są one drugim głównym pomnikiem nauki krakowskiej o Pannie Niepokalanej.

Niestety, nie możemy dzisiaj służyć czytelnikowi tego rodzaju okazem z czasów przedbazylejskich. Chwilowy brak jego niechaj zastąpi wiadomość, zaczerpnięta z zapisków rękopiśmiennych pierwszej połowy owego wieku, że nasi teologowie, jak i paryscy, których się synami duchowymi być wyznawali [3]), serdecznie miłowali Pannę Najśw., częste do Niej jako Panny „Miłej“ i „Czystej“ śląc westchnienia. Za przykładem mistrzów szedł zapewne ogół uczniów i kopistów; o tych ostatnich świadczą pisane ich ręką kodeksy. Skończywszy mozolną pracę, dają oni wyraz w krótkich

[1]) Zob. Katalog M. Keuffera II, 199; o G. Brancie według Toepke'go w t. I i II *passim*.

[2]) *Cod. Monac. lat. 12035* według Katalogu T. II P. II, 56, nr. 546. Hipoteza nasza o Mikołaju Cystersie z Heilsbronn oparta na Toepke'm, III, 173; II, 592 i nast.

[3]) Czyt. wzajemną ich korespondencyę w t. II *Kod. dypl. Uniw. krak.*

okrzykach swemu usposobieniu, nastrojowi swej duszy. Więc jeden z nich np. wzdycha: „Zmów za mnie pięć Ojcze Nasz, nie jeden, bom żonaty“; za to drugi o rzewną błaga modlitwę: „Proś kornie Syna Panny nienaruszonej, by wziął pisarza duszę do nieba“ [1]). Z tych i podobnych im a starodawnych inwokacyj i epitetów Najśw. Panny *(Virgo intacta, intemerata)* nie chcemy wyciągać dowodów dla siebie; neoscholastyk zarazby nam zrobił dystynkcyę i przyszłoby potem do kontradykcyi. Trudniejszą sprawę miałby z nazwaniem u nas w owym czasie Najśw. Panny Maryi *illibata*. Pod tym bowiem hasłem ku szczególniejszej czci Maryi „bez zmazy“, zawiązało się bractwo kapłanów sanockich około samej połowy XV w. [2]). Na dalszy zarzut strony przeciwnej, że bracia kapłani w Sanoku utworzyli ten zbożny związek z inicyatywy lub przynajmniej pod wpływem miejscowych Franciszkanów, odpowiedziećby można: mogło tak być, należy jednak zwrócić uwagę na przełożonego tego stowarzyszenia i z równem prawem przypuścić, iż naczelnik bractwa był jego duszą a może i założycielem; był nim proboszcz sanocki, Jan z Iwelna (czy to dzisiejsza Iwla pod Duklą?), mistrz *artium* i bakałarz teologii. Szczegół to nieobojętny wobec faktu, którego już żadna dyalektyka nie zdoła obalić. Wszak zaledwie kilka lat przedtem, w 1447 r. doniosłe, epokowe w naszej kwestyi padły słowa z katedry teologa jagiellońskiego, który tak mówił: „Jest w tym Uniwersytecie krakowskim bardzo wielu *(plurimi)* bakałarzy św. teologii, którzy już mogą dobrze rozwiązać węzeł niniejszej kwestyi o Niepokalanem Panny Poczęciu“.

Już z tego samego względu pierwszy znany nam wykład o niej doktorski w naszej szkole zasługuje na ogłoszenie, świadczy on bowiem, że to był temat uczniom z da-

---

[1]) Tak Maciej Pawłowy z Konarsk, uporawszy się księgą III Lombarda w 1429 r. (Wisłocki: *Katalog* nr. 1531), zapisał się do Uniwersytetu 1426 r. (*Alb. Stud.* I, 62), był wtedy już (od jesieni 1428 r.) bakałarzem *artium* (*Lib Prom.* str. 20, gdzie wszakże figuruje jako Marcin a nie Maciej).

[2]) Zob. *Analecta Premisliensia* wedle Ulanowskiego w *Scr. rer. pol.* XIII, 434.

wniejszych prelekcyj i dysput dostatecznie już znany. Jestto *Quaestio disputata*, jeden z tych aktów scholastycznych, w którym się zlewają dwie główne formy nauczania średniowiecznego: prelekcya i dysputa. Aby ją poznać choć w zarysie, podajemy ją niżej w stósownem streszczeniu. Wreszcie cenną jest ona i dlatego, że wprost wskazuje źródło, z którego bezpośrednio płynęła do szkoły jagiellońskiej w owej chwili nauka o Pannie Niepokalanej. Uniwersytet nasz ją przyjął i bronił jej już jako prawdy wiary (dogmatu) w myśl i na podstawie orzeczenia ojców bazylejskich w 1439 r. Było to zupełnie logicznem. Nasza nauka krakowska o Najśw. Pannie Niepokalanie Poczętej od połowy XV wieku była koniecznem następstem bezwzględnego uznania przez naszych mistrzów soboru bazylejskiego. Dla Polski i jej Uniwersytetu dekret schizmatyckiego soboru nie przychodził za późno i jeśli wywołał jaki protest w gronie mistrzów jagiellońskich, to chyba jedynie ze strony brata Ulryka z Vildeshozen zakonu kaznodziejskiego, który właśnie podtenczas był w naszym wydziale teologicznym bakałarzem a może już nawet mistrzem-profesorem. Nic przecież nie wiemy o prowadzonych wtedy sporach w tej kwestyi między świeckimi naszymi teologami a Dominikanami. Pierwsze wiadomości o nich źródłowe pochodzą dopiero z drugiej połowy owego wieku [1]). Że jednak one już wtedy (u nas) istniały, dość wyraźną o tem wskazówkę znajdujemy we wstępie kwestyi poniższej. Punktem wyjścia dla niej są słowa Psalmisty: „I odpowiem tym, którzy mi urągają, słowo, iżem nadzieję miał w słowach Twoich Panie“. Urągają się Bogu niewierni — wywodzi nasz doktor — urągają się Jego Matce, którzy twierdzą bluźnierczo, że Ona, Królowa nieba i Pani świata, poczęła się w grzechu na równi z innemi niewiastami.

Nie dość na tem. Uczeń tego profesora doktora, Pawła z Pyskowic, opiewając rymem średniowiecznym chwałę Bogarodzicy Dziewicy nigdy przenigdy żadnym grzechem nieskałanej, całej pięknej, łaski pełnej, heretykiem mieni każdego, kto się waży temu sprzeciwiać, że Panna Marya, za matkę Bogu od wieków wybrana, najświętsza w życiu, była nią

[1]) Czyt. *Studya*, str. 117.

już w swojem poczęciu. I to pienie pobożne *(pium dictamen)* ogłaszamy poniżej z tego samego szkolno-teologicznego kodeksu w Bibliotece dzisiaj uniwersyteckiej w Budapeszcie *(Lat. saec.* XV, Nro 64. 4° pap., kart 326 [1]), w którym się bezpośrednio przedtem mieści powyższa kwestya, a który był własnością Wacława Ubogiego. Przepisał go tenże bardzo niedbale, częścią w szkole zamkowej w Płocku w lecie 1440 r. (Seduliusz z komentarzem), częścią w Krakowie 1446—1448 r. (Prosper 1 sierpnia 1446 r. *de libro Parisius allato* z okazyi *determinacionis in gradus arcium*, Lombard 1447 r., tablice astronomiczne 1448 r.). Kopistą tym Wacławem, zwiącym się Ubogim, był syn Piotra z Brodni (czy z Brodnicy, Strassberg?), uczeń Uniwersytetu krakowskiego 1443 r., bakałarz po Wielkiejnocy w trzy lat potem, wreszcie mistrz *artium* z początkiem 1452 r. i zaraz potem 1454 r. rektor szkoły katedralnej w Krakowie a zarazem notaryusz publiczny i skryba kapituły krakowskiej [2]). Mniemamy, iż autorem pienia o Pannie Niepokalanej był nasz Wacław Ubogi, uczeń w teologii profesora Pawła, którego kwestyę dość niedbale sobie przepisał. Tak bowiem poczyna, ukończywszy wykład swego mistrza: „Więc chwalmy wszyscy Maryę razem z Pawłem doktorem, tego pisma autorem“. Powtóre, właściciel niniejszego kodeksu próbował często sił swoich w poezyi; świadczą o tem liczne, lecz zawsze dorywcze jego pióra i cudze florety treści teologicznej. Wreszcie po trzecie, niedostatki muzy Wacławowej, której rozbiór zostawiamy filologom, tłómaczyłyby się jej szkolnictwem w całem tego wyrazu znaczeniu. Idziemy jeszcze dalej: muzę Wacławową ku opiewaniu

[1]) Zawartość jego podaje *Katalog* A. Szilàgyi'ego, str. 45—48, z temi między innemi grubemi błędami, iż w *Explicit Lombarda* k. 213 wydawca czyta: „in loco Misiae“ zamiast: „in loco miserie“ a ostatnie metrum doktora Pawła zamiast: „de hoc pirgo“ czyta „de hoc purgando (?)“.

[2]) *Alb. Stud.* I, 104. *Lib. Prom.* str. 38 i 43. *Cod. Univ. Crac.* II, 143. Rektorem szkoły katedr. w Krakowie był jeszcze 1469 r.; zob. *Act. Rect.* I, nr. 20 i 25. Kolegą Wacława Ubogiego w fakultecie *artium* był Andrzej Janowicz Strzeszyk z Krakowa, także poeta (zob. *Mon. Pol. hist.* III, 235).

chwały i pośrednictwa Najśw. Panny Maryi Niepokalanej obudził wielce miły kardynałowi Oleśnickiemu i wszystkim naszym doktorom Katalończyk, mistrz Marek Bonfili, od lat wielu w Krakowie stały poseł soboru bazylejskiego, w kościele katedralnym na Zamku altarysta, gdzie właśnie w owym roku, w którym doktor Paweł z Pyskowic odbył powyższą kwestyę, miewał kazania na wskróś scholastyczne we wszystkie uroczystości Matki Boskiej, które się mieszczą w tym samym kodeksie budapeszteńskim. Bonfili miał zwyczaj wplatać *dictamina* w swoje kazania, nieraz jak np. na Zwiastowanie Najśw. Panny Maryi bardzo kunsztownie złożone (podwójny akrostych ówczesnego *Ave Maria*, które się kończyło na *ventris tui*). I te nieznane *dictamina* Bonfila krakowskie kładziemy poniżej.

O Bonfilu rozprawialiśmy obszernie w *Mistrzu Jakóbie*. Tutaj tylko zaznaczymy, że Bonfili zapalił naszych mistrzów jeszcze bardziej do czci Panny Niepokalanej i utwierdził ich w tej nauce. Od czasów i za sprawą Bonfila nauka bazylejska o Niepokalanem Poczęciu stała się na zawsze także nauką krakowską [1]). Pierwszym jej naonczas przedstawicielem, mistrz Wacława Ubogiego, doktor Paweł. Słowo więc o nim.

Syn Michała z Pyskowic, miasteczka w Opolskiem na Górnym Szląsku pod Gliwicami, był może pochodzenia szlacheckiego, skoro w księdze promocyj wydziału filozoficznego zapisano współcześnie przy jego nazwisku „zwany także Wermutowski“ [2]). Do Uniwersytetu Jagiellońskiego zapisał się w 1412 r. razem z Pawłem, synem Mikołaja, Zatorczykiem, (św.) Janem Kantym i Wincentym Kotem z Dębna, późniejszym arcybiskupem gnieźnieńskim. Na pierwszym, najniższym wydziale nauk wyzwolonych *(artium)*, który z reguły trzeba było przejść każdemu, zwłaszcza teologom i medykom, Paweł z Pyskowic uczył się wcale długo; dopiero po dzie-

[1]) Również za sprawą Bonfila przeszła do naszych kazań owa legenda o objawieniu się Matki Niepokalanej kobiecie Polixenie w Bolonii w listopadzie 1432 r., która się dała zamurować *(reclusa)*, por. Brückner: *Kazania średn.* III, 151, a *Cod. Budap.* nr. 64 k. 213 v.

[2]) *Lib. Prom.* str. 23. Był wtedy, w lecie 1430 r., dziekanem wydziału *artium*.

sięciu latach, z początkiem 1422 r., za dziekaństwa późniejszego swego na katedrze teologicznej kolegi, Wawrzyńca z Raciborza, osiągnął stopień mistrza [1]) wraz z Janem z Ludziska Kujawczykiem, medycyny doktorem a pierwszym w Uniwersytecie krakowskim humanistą-oratorem, który zarówno w wymowie jak i w medycynie kształcił się we Włoszech. Nasz Paweł poświęcił się teologii, której według obowiązujących wówczas przepisów trzeba było się uczyć co najmniej lat ośm, aby przy wszystkich sprzyjających warunkach uzyskać najwyższy stopień akademicki, tytuł i godność doktora teologii. Szedł do niego bardzo długo, bo przeszło lat dwadzieścia, pozostając według zwyczaju mistrzem profesorem w wydziale filozoficznym i zarazem, przynajmniej już za swego w nim dziekaństwa, w lecie 1430 r., członkiem jedynego jeszcze wtedy kollegium artystów i teologów czyli królewskiem, Jagiellońskiem, a od czasów założenia osobnego dla artystów kollegium zwanem „większem“. Kollegiatem też większym pozostał aż do śmierci. Posiadał przytem zrazu przywiązaną do kollegiatury swojej kanonię świętofloryańską, skoro tylko doszedł do bakalarstwa w teologi (przed 18 lipca 1439 r.), był chwilowo także altarystą św. Bartłomieja w katedrze krakowskiej fundacyi Szafrańców (1440 r.), wreszcie po śmierci starszego swego kolegi podkanclerza Uniwersytetu Benedykta Hesse Krakowczyka i z jego polecenia został kanonikiem katedralnym (1456 r., zmarł około 1470 r., po 11 maja 1467 r.). Był już wtedy nasz mistrz oczywiście profesorem teologii, promowanym w niej doktorem bodaj czy nie 1445 r., albowiem już w pierwszej połowie 1444 r. był bakałarzem pełnym, wykładającym ostatnią (czwartą) księgę sentencyj Lombarda, a tem samem przysposobionym czyli jak się scholastycznie wyrażano „urobionym, uformowanym“ do ostatecznej na doktora promocyi *(baccalaureus formatus)*, zaraz zaś potem, przed 17 sierpnia (1444 r.) bakałarzem

[1]) Tamże, str. 15. Bakalarzem został z początku 1418 r. l. c. str. 11. Zaimmatrykulowany 1412 r., zob. w *Alb. Stud.* I, 33, gdzie imię jego ojca. O wspomnianych tutaj mistrzach jagiell. czyt. *Mistrz Jakób z Paradyża* w t. I, rozdz. II i VI § 4.

w teologii „wyzwolonym“ czyli licencyatem, tj. uznanym przez kollegium profesorów wydziału a przez kanclerza Uniwersytetu ogłoszonym za zdolnego i godnego do otrzymania biretu doktorskiego. W tym też czasie, przed promocyą młodszego jego kolegi, Macieja z Łabiszyna, na mistrza teologii (w jesieni 1446 r.), zapisują doktorat i co za tem szło profesurę naszego Pawła współczesne katalogi profesorów teologii [1]). Rektorem Uniwersytetu nie był; można się słusznie domyślać, że nasz doktor Paweł nie cieszył się wielką miłością swoich kolegów, czemu sobie sam był winien. O mniejszych jego sporach nadmienia dyplomataryusz uniwersytecki; że przybrały one jednak rozmiary głośnego w całym Uniwersytecie skandalu, dowiadujemy się z rozporządzenia biskupa kanclerza Oleśnickiego [2]).

---

[1]) Wywód ten opiera się na danych w dyplomataryuszu uniwers. I, 190 nr. C i nast, 197 i nast. nr. CIV, II, 28, 41, 48, 113, 121, 219, 254 i 255 nr. CCXVII i nast.; zob. akty kapit. krak. w *Arch. kom. hist.* VI nr. 21 *passim* aż do nr. 126. *Alb. Stud.* I, 7 i *Stat. theol. fac.* ed. Szujski str. 16. U Łętowskiego pomięszany z Pawłem Piotrkowczykiem (*Katalog*, III, 536). Do tego mistrza Pawła, jak się zdaje, trzeba odnieść lekturę czwartej księgi Lombarda w Wielkim poście 1444 r. w kod. jagiell. nr. 1534 (Wisłocki: *Katalog* str. 375).

[2]) Biskup Zbigniew Oleśnicki do Benedykta wicekanclerza Uniwersytetu, w sprawie promocyi na doktora teologii Mikołaja Byliny z Leszczyn, której się sprzeciwiał Paweł z Pyskowic, profesor i ówczesny dziekan teologii (po 1449 r. a przed 1454 r.) z *Kodeksu Jagiell. Jana Elgota* Nr. 42 fol. 108. „Quemadmodum caritatem in suppositis universitatis vestre et concordiam complectimur et pio favore nutrimus, ita et iurgia, contenciones et odia, que publicum possent offendere statum, execramur. Audivimus itaque, quod nobis et acerbum et displicibile est, qualiter promocionem venerabilis magistri Nicolai Bylina, dum professionis Theologice in aula et vesperiis suscipere debet insignia, magister Paulus de Pyszkowicze, eiusdem facultatis Teologice professor et decanus, constituit ex quibusdam levibus respectibus impedire, quod non solum in eiusdem magistri Byline, sed etiam tocius universitatis cederet vituperium et deformitatem. Ne igitur huiusmodi impedimentum et dedecus interveniat, succidere illud et summovere ante ipsius eventum decrevimus, committentes fraternitati

Teologiem był, jak się zdaje, dość wziętym i wybitnym między współczesnymi, w księgi, które zapisał Uniwersytetowi [1]), zasobnym. Wspomniana już wyżej jego kwestya o Niepok. Poczęciu zapewnia mu kartę nieśmiertelną w dziejach tej nauki w naszym Uniwersytecie. Nie ostatnim był także jako kaznodzieja polski [2]). Kazania, które się mieszczą w kodeksach z napisem: *Doctoris Pauli*, zwykło się odnosić wyłącznie do sławniejszego od niego Pawła z Zatora. Odtąd trzeba przy nich pamiętać także o mistrzu Pawle z Pyskowic.

---

vestre et mandantes tanquam nostro et Universitatis Cracoviensis Vice-Cancellario, quatenus promocionem prefati magistri Nicolai Byline non permittatis sive per dictum magistrum Paulum de Pyszkowicze sive per quemcumque alium impediri (F. 108 v.) aut in irritum revocari, sed nostra auctoritate vobis concessa extinctis et suppressis omnibus, que possunt interponi difficultatibus omnibus *doctoratus Theologice veritatis* insigniis insigniri paciamini et iubeatis. Neque enim tollerare possumus, ut propter unius persone importunam instanciam confusionis malleus in totum Universitatis corpus debeat extendi. Si vero prefatum magistrum Nicolaum Bylina prefatus magister Paulus de Pyszkowicze existimat sibi in aliquo obnoxium suum non calamitate et confusione in universitatem redundante, sed iure et equitate per nos sibi pro quolibet tempore administranda prosequatur". Bezimienny i nie datowany ten list pióra, jak mniemany, Elgota następuje w *Kodeksie Jag.* nr. 42 po liście Elgota, który ogłosił ś. p. A. Lewicki w *Cod. epist. saec. XV* T. III, 42 nr. 35. Mikołaj Bylina z Leszczyny, doktor dekretów, był za pierwszego swego rektoratu 1449 r. tylko licencyatem w teologii, ale już za drugiego 1454 r. doktorem (*Alb. stud.* I, 120 i 141). Pismo niniejsze jest jednem z bardzo niewielu, które dotyczą urzędu kanclerskiego biskupa Oleśnickiego wobec Uniwersytetu.

[1]) Wykładowe Lombarda i *Sumę teolog.* św. Tomasza i inne w Bibl. Jagiell. nr. 1394, 1428, 1437, 1604, 1701, 1704, 1725, 1737, 2186 i 2240.

[2]) Zob. *Kod. Jagiell.* nr. 2246 z 1444-1453 r. (Wisłocki, *Katalog* p. 538). Kazanie, które miał jako bakałarz u Franciszkanów w Krakowie 1434 r., mieści się w jednym z kod. petersb., zob. Brückner: *Drobne zabytki*, str. 267.

Od połowy wieku XV już nie trudno śledzić naszą naukę o Pannie Niepokalanej i rozwój Jej kultu w całej Polsce. Materyały odtąd płyną tak obficie, że starczą na osobną o tym temacie monografię. I znowu się okaże, iż przodującą w tej sprawie rolę odegrali mistrzowie uniwersyteccy, od Pawła z Zatora, przez Paterka, który się jeszcze nie ostatni powoływał na żywą w Krakowie tradycyę bazylejską, przez Bożogrobca z Miechowa, mistrza Stanisława Biedę z Łowicza (autora pierwszej drukowanej u nas pracy dogmatycznej i kazań mianych do ludu o Najśw. Pannie Maryi Niepokalanej), aż do ostatnich w wieku przeszłym członków konfraternii uniwersyteckiej pod tytułem Niepokalanego Poczęcia Panny Maryi.

X. Dr. Jan Fijałek.

I.

Kazanie Mateusza z Krakowa

dnia 8 grudnia 1408 lub 1409 r., z uwzględnieniem kazania w postylli świątecznej Mikołaja Wiganda *z Krakowa około 1415 r.*

[Pierwsze z kod. Biblioteki królew. w Eichstädt, Nr. 114 Fol. 158—161v. i 195—196v., drugie z kod. Bibl. Ossolińskich we Lwowie, Nr. 1629 Fol. 23—27].

Consurget virga de Israel, Numeri XXIIII°. Sanctissime virginis Marie matris dei ac domini omnium salvatoris, cuius diem concepcionis fidelium devocio plurimum pio veneratur affectu, tacere non debet homo christianus laudes, cum ipsius laudis preconia silencio preterire non potuerit olim Balaam ariolus, eam sub virge methaphora futuram esse contestans, dum aiebat: „Consurget virga ex Israel“, ubi per virgam intelligitur virgo Maria, ut patet per glos(s)am super libro Numerorum: „Omnes igitur, qui reminiscimini Deum, ne taceatis et qui timetis dominum, omnes servi eius, pusilli et magni, ne detis silencium matri altissime, matri misericordie plene, omnis gracie signaculo, sapiencie et regine glorie“. Nam, ut verum fatear, quidquid laudis, quidquid magnificencie et sublimitatis, quidquid devocionis et honoris, quidquid tituli

celebrioris de ipsa poterit cogitare mens humana aut loqui, lingua carnis impar est eius altissime magnitudini et longe inferius (sic) eius laudi. Ex quo timeo et valde pertimesco, ne dum intemerate virginis laudibus depromendis ingerere cupio, repulsam paciar, tamquam laudator nescius ignorancie cecitate ac tamquam invalidus ex virium debilitate, ita ut merito mihi tam indigno tamque defectuoso dicere possit virgo: „Quare tu enarras iusticias meas et assumis laudes meas per ostuum?“ Quia tamen carissimi, sicut virgo benedicta est dignissima, sic est et clementissima atque inestimabilis benignitatis ducissa, ita ut peccatorem quemlibet non abhorreat neque despiciat, si ad eam suspiraverit suumque interventum patenti corde flagitaverit. Nam revera matrem misericordie cognoscimus pro impetranda spiritus sancti gracia, qua peccata deleantur et tanti defectus suppleantur ac digne laudare virginem vires et virtutes tribuantur. Mecum queso, ad virginem gloriosam, matrem gracie, recurratis, ipsam invocantes et devote salutantes salutacione angelica, dicentes: Ave Maria.

(C)onsurget virga ex Israel, ut supra. In quibus verbis intemerata virgo Maria adhuc de futuro concipienda pronunciata est sub methaphora virge consurrecture de israelitica stirpe. Et hoc convenienter racione triplicis proprietatis virge elegantis de sua radice consurgentis. Debet enim talis esse plana, gracilis et flexibilis. Sic revera sanctissima virgo Maria de stirpe consurgens israelitica plana fuit per innocencie puritatem, gracilis per sublimem humilitatem, flexibilis per liberalem benignitatem. De primo et tercio dicit Anshelmus in suis meditacionibus: „O benedicta super omnes mulieres, que angelos puritate vincis, sanctos superas pietate“. De secundo dicit Bernardus in sermone, qui incipit: „Creator matrem sic ad ipsam loquens: Numquam super omnes angelos glorificata ascendisses, nisi prius inter omnes homines humiliata descendisses“. Unde ipsa de se contestans ait: „Exultavit spiritus meus in deo salutari (F. 153v) meo, quia respexit humilitatem ancille sue“, Luce 1°.

Dixi primo, quod virgo sanctissima, de stirpe consurgens israelitica, plana fuit per innocencie puritatem. Hec autem puritas virginis attendenda est penes duo, scilicet penes

sanctificacionem in via et glorificacionem in patria. Dimisso secundo, quod pertinet ad festum assumpcionis, agendum est de primo.

Secundum communem tradicionem doctorum theologorum duplex assignatur virginis sanctificacio singulariter notabilis. Una, qua sanctificata est in concepcione sui in utero materno scilicet anime; secunda, qua sanctificata est in concepcione filii sui, veri dei et hominis. Item secunda, que pertinet ad festum annunciacionis dimissa, circa primam versanda est intencio ad presens.

De qua inter doctores theologos considerari solet, an ista sanctificacio virginis in utero sit in carnis ipsius propagacione, vel in eius aminacione, vel in sequenti aliquo instanti, vel in aliqua temporis sequentis successione. *Utrumque* enim priorum *vocatur conceptus scilicet* et *cum caro propagatur et cum anima infunditur*, ut patet per magistrum [1]) in 2°,

[1]) T. j. *Sententiarum* czyli Piotra Lombarda.
Wigand w drugiej części kazania ku czci Najśw. P. Maryi. Rozpoczyna się ono:

Ipsa est mulier, quam preparavit dominus filio domini mei, Genesis XXIIII° post medium. Tria hic sunt dicenda. Primo de desiderio et preparacione huius virginis, quomodo diversimode sit desiderata et filio dei pro habitaculo preparata. Secundo occasione secundi precedentis dicendum est *de huius virginis sanctificacione et eius mirabili concepcione.* Tercio de huius festi celebracione.

. . . . . .

Nunc de secundo principali, scilicet de huius s. virginis concepcione et sanctificacione est dicendum. Pro primo nota, quod *utrumque vocatur conceptus scilicet cum caro propagatur* et formam corporis humani recipit *et cum anima infunditur*, quod eciam aliquando dicitur nativitas... Ex quo ergo minores sancti erant concepti miraculose, ut Ysaac, Samuel et Johannes, forcius virgo sancta mater Christi. Sed in quo conceptu virgo beata fuit sanctificata? *Dicunt* communiter *doctores, quod in primo conceptu non* . . . .

. . . . . .

Ergo beata virgo *non fuit sanctificata in primo conceptu. Sed nunquam caro virginis sanctificari potuit ante animacionem?* Dicunt *doctores* communiter *quod non, quia licet deus potuerit carnem virginis purificare antequam animaret, non tamen potuit eam ante animacionem sanctificare,*

distinccione XXXIa in fine. *De primo conceptu dicunt* concorditer *doctores, quod in illo* beata virgo *non fuit sanctificata*, quia ipsa nondum fuit, cum tunc non esset eius anima, sed sola caro tunc incepit propagari. Que, quia secundum legem communem et racionem seminalem tunc propagabatur per coitum libidinosum, contraxit ex fervore concupiscencie libidinoso pollucionem quandam, que vicium seu corrupcio carnis appelatur; ex qua corrupcione carnis, coniunctis in hominibus anima cum infunditur, maculam originalis peccati contrahit. Et propter hoc, ut patet per magistrum in secundo, distinccione XXXIa, peccatum dicitur manere in carne, non quod ipsa caro culpam habeat vel actum culpe, sed quia habet culpam cause vel culpe, prout magister probat per Ambrosium de verbis apostoli et per Augustinum in sermone de verbis apostoli. *Sed numquam caro virginis sanctificari potuit ante animacionem?* Respondetur secundum aliquos *doctores quod non, quia licet potuit deus carnem virginis purificare, antequam animaret, non potuit eam tamen ante animacionem sanctificare, quia sanctificacio habet aliquod donum gratuitum superadditum, quod non habet esse in sola carne sed in anima.* Sanctificacio enim fit per aliquod munus spiritus sancti gracia, sed talis gracia non habet esse in carne sola, sed in anima. *Et idem tenet* Alexander de Halis, sanctus Thomas et Bonaventura.

Mihi autem videtur hoc dicendum esse, *quoniam sanctificare accipitur uno modo, prout est idem, quod sanctum*

---

quia sanctificacio habet quoddam *donum gratuitum superadditum, quod non habet esse in sola carne sed in anima. Et istud tenet* Alexander de Hallis, sanctus Thomas et Bonaventura.

Sed magister Henricus de Oyta *in quodam sermone deconcepcione, qui incipit „Consurget virga de Israel"*, distinguit de sanctificacione dicens, *quod sanctificare uno modo accipitur* communiter *prout idem est, quod sanctum facere, dedicare, consecrare vel aliquam rem domino sequestrare. Et isto modo res inanimata sanctificari potest*, i t. d. bez najmniejszej zmiany zgodnie z Mateuszem Krakowczykiem w oznaczonych powyżej ustępach, poczem nasz kaznodzieja streszcza swoje źródło, którego się w wielu miejscach trzyma do końca.

facere, dedicare, consecrare vel rem aliquam domino sequestare, sicut dicit Britto, qui ponit illum versum, quando sequestatur domino res sanctificatur. *Et illo modo res inanimata sanctificari potest* iuxta illud Exo. XXXI: „Faciesque unccionis oleum sanctum, unguentum compositum opere unguentarii et unges ex eo tabernaculum testamenti mensamque cum vasis suis, candelabrum et utensilia eius, altare thymiamatis et holocausta et universam suppellictilem, que ad cultum eorum pertinet sanctificabis". Et illo modo accipiendo sanctificacionem, potuit caro virginis sanctificari ante eius animacionem, quia potuit purificari vel a corrupcione et impuritate preservari et deo dicari et consecrari et domino sequestrari, utique non minus quam tabernaculum, archa et vasa etc. Secundo accipitur sanctificacio magis proprie, scilicet ut per eam sanctificacionem datur gracia gratum faciens et „spiritus adopcionis filiorum dei, in quo clamamus abba pater", ut dicit Apostolus ad Ro. VIII°. *Et sic caro virginis sanctificari non potuit ante animacionem, et isto modo locuntur de sanctificacione* Alexander de Halis, sanctus Thomas et alii.

Isto ergo modo *loquendo* [1]) remanet difficultas, que ventilari solet: *An* scilicet *virgo sanctificata fuit in secundo conceptu scilicet in anime infusione, ita* quod *per talem sanctificacionem ab originali culpa preservaretur, vel an sanctificata fuerit in aliquo instanti, vel tempore post instans animacionis eius seu infusionis anime, ut per sanctificacionem supervenientem a culpa originali iam contracta* et inexistente *mundaretur*. Primo igitur videndum est de hac difficultate. Secundo de presentis diei festivitate et celebritate.

Quoad primum, scilicet quoad istam difficultatem possum dicere illud Ganifredi in poetria nova: „Cucurri in bivio, via namque arcta vel ampla vel fluvius vel rivus" etc. II (Fol. 159). Quidam namque hanc materiam percurrentes incedunt via legis communis. Quidam vero via stricta exempcionis privilegialis et hii astruere conantur virginem beatam in secundo conceptu, scilicet instanti, quo anima eius fuit creata et carni infusa, fuisse sanctificatam et per sanctificacionis graciam ab

[1]) T. j. „De sanctificatione" w drugiem znaczeniu „propria".

originalis peccati macula preservatam. Et hec opinio multiplici fulcitur racione et congruencia. *Quarum prima sumitur penes respectum ad Christi honorem* precipuum, quod decebat nasci de matre purissima. Unde Anshelmus de conceptu virginali: „Decebat, ut illius conceptus fieret de matre sanctissima, que ea puritate niteret, qua maior sub deo nequit intelligi". Sed maior est puritas, ubi nec actualis nec originalis culpa invenitur, nec inventa est; quod ubi aliqua earum est et fuit, ergo etc. *Secunda sumitur penes respectum ad virginis prerogativam singularem, quia eius sanctificacio excellere debuit aliorum sactorum sanctificacionem* habundanter sanctitatis *dignitate et tempore* eciam, et per consequens, cum beatus *Johannes et Jeremias* post infusionem animarum suarum in corpore fuerunt suarum matrum sanctificati et per sanctificacionis graciam a peccato originali mundati, virgo beata debuit excellencius hiis habere sanctificacionem dignitate et habundancie sanctitatis et eciam tempore, et per consequens, ut dixi, debuit per sanctificacionis graciam ab originali peccato servari et preservari, et in instanti concepcionis quoad anime infusionem sanctificari. *Tercia sumitur penes respectum ad ordinis decorem* aut: *sicut fuit persona una immunis ab originali peccato et in carne et in anima,* sive in causa sive in effectu, *ut patet in Christo et persona utroque modo* hominis, *ut patet de hominibus* coniunctis *secundum communem legem carne propagatis, sic et persona media, que quodammodo haberet in carne sive in causa et quodammodo non haberet, scil. in anima sive in effectu, ipsum originale; quia ubicunque* est ponere *extrema, ibi* contingit ponere et *medium,* illud autem medium est *beata virgo Maria, que mediatrix* est *inter nos et Christum,* sicut *Christus inter nos et deum.* Hoc videtur sonare verbum Anshelmi cum dicit: „Quia beata virgo purissima fuit ea puritate, qua maior sub deo nequit intelligi". In hoc enim notatur gradus puritatis eius, quia est respectu filii inferior et est superior [1]) respectu aliorum sanctorum.

Alii vero via legis communis incedentes dicunt, *quod sanctificacio virginis subsecuta* est *peccati originalis con-*

[1]) W tekście: „inferiorem et esse superiorem".

traccionem. Et hoc probatur triplici via, scilicet auctoritate scripture, *auctoritatibus* sanctorum doctorum *et racione.* Quoad primum dicit Apostolus ad Ro. V°, quod sicut per unum hominem in hunc mundum peccatum intravit et peccatum mors, ita et in omnes homines mors pertransiit, in quo omnes peccaverunt. Ab hac lege et sentencia Apostoli scriptura divina neminem excipit, nisi solum Christum; ergo omnes homines in Adam peccaverunt, qui [1]) in ipso materialiter secundum corpulentam substanciam et eciam secundum seminalem racionem fuerint. Sed constat, beatam virginem Mariam in Adam fuisse materialiter secundum corpulentam substanciam et eciam secundum seminalem racionem, secundum quam ab ipso mediate et a parentibus suis immediate propagata est; ergo ipsa peccavit in Adam et per talem descensum et propagacionem de Adam contraxit originale peccatum, quia secundum Augustinum in libro de conceptu virginali capitulo VII°: „In Adam omnes peccavimus, quando ipse peccavit, non quia tunc peccaremus ipsi, quia nondum eramus, sed tunc facta est illa necessitas, ut essemus peccatores efficeremus, quoniam per unius inobedienciam peccatores multi constituti sunt". Item Apostolus ad Ro. III: „Omnes peccaverunt et egent gracia dei", ubi glossa: „Omnes peccatores inveniunt graciam Christi, qui solus est sine peccato". Ex quo sequitur, quod dicta sentencia Apostoli ad omnes homines preter Christum se extendat. Secundo probatur idem auctoritatibus sanctorum, de quibus vide in tractatu domini Johannis tituli sancti Syxti cardinali(s) Ordinis Predicatorum, qui incipit: „Abscindende sunt carnes putride" [2]). Tercio probatur idem racione, quia si

[1]) W tekście: „que".

[2]) Kardynałem tym jest Florentczyk, Jan Dominici zakonu kaznodziejskiego, biskup Raguzy, główny doradca i rzecznik papieża Grzegorza XII i przez niego mianowany kardynałem w Lucce d. 9 maja 1408 r.; umarł w Budzie na Węgrzech d. 6 lub 10 czerwca 1418 r., dokąd uciekł z Czech przed prześladowaniem Hussytów, będąc wysłanym do nich jako legat papieża Marcina V. I pierwsza jego legacya do Węgier i Polski w sprawie utrzymania tych królestw w obedyencyi Grzegorza XII spełzła na niczem: legatem mianowany zaraz z końcem 1408 r., d. 22 czerwca 1409 r. przebywa w Budzie, w Polsce nie był. Orędownik Grze-

virgo beata caruit originali peccato et merito mortis caruit' ergo iniusticia facta est dei, quando mortua est vel dispensative sine redempcione generis humani mortua est. Sed primum (Fol. 159 v.) facit ad contumeliam dei, quia si illud verum est, deus non esset iustus retributor. Secundum facit ad contumeliam Christi, quia si illud verum est, Christus non esset sufficiens redemptor: ergo utrumque falsum est et impossibile. Restat igitur, quod habuit peccatum originale. Item nullus pertinet ad redempcionem Christi, nisi qui habet vel habuit culpam. Si ergo virgo beata caruit originali culpa, cum certum sit eam non habuisse actualem, sequitur, quod ipsa non sit per Christum redempta et per consequens Christus non est redemptor omnium aliorum a se. Sed hoc impium dicere videtur et non modicum videtur Christi honori derogare. Item si beata virgo originale non habuit et nulli est clausa ianua regni celorum nisi merito peccati, videtur ergo, si mortua fuisset ante Christum, statim evolasset ad celum: ergo ianua regni celestis non omnibus fuisset per Christum aperta et

---

gorza XII na soborze w Konstancyi nasz kardynał Jan, zwyczajem owego czasu od swego arcybiskupstwa zwany „cardinalis Ragusinus", palił się tam później 1416 r. do apostolstwa na Żmudzi, lecz z powodu oporu ze strony Krzyżaków i ta jego misya spełzła na niczem (por. Aug. Rösler C. S. S. R.: *Cardinal Johannes Dominici, O. Pr. Ein Reformatorenbild aus der Zeit des grossen Schisma.* Freiburg i Br. Herder 1893; Sauerland w *Zeitsch. für K. G.* T. IX i X; nadto tenże tamże t. XV, 387 i następne w omówieniu pracy Röslera; co do promocyi kardynalskiej i daty śmierci cfr. Eubel *Hierarchia cath. med. aev.* p. 31 i 45; rzecz o zamierzonej misyi żmudzkiej objaśnił ś. p. A. Lewicki w *Cod. epist. saec. XV* T. II, 95 w przyp.; pierwszą legacyę z 1409 r. zaznacza także Wierzbowski w swojej *Synopsis legat*, p. 51; notata prof. Caro w *Lib. cancell. St. Ciołek* I, 51 [369] nr. XIX niedokładna).

Traktat kardynała Jana Dominici, który tutaj po raz pierwszy nasz kaznodzieja-teolog Krakowita tak dokładnie określa, był znany zaledwie z tytułu. Rösler (l. c. p. 190-9) zna go tylko z ogólnikowej wzmianki u Echard-Quétif'a: Jan Dominici napisał także traktat *De conceptione B. Virginis.* Katalog dominikański przeciwników Niepokalanego Poczęcia (ed. B. Pez: *Thes.* T. VI. P. III, 323) podaje jego *Incipit: Resecandae sunt putridae carnes.*

ita falsum est dictum Apostoli ad Coloss. primo: „In ipso complacuit omnem plenitudinem divinitatis habitare corporaliter et per eum reconciliari omnia in ipso pacificans per sanguinem crucis, sive que in terris, sive que in celis sunt“. Item vel Christus eam preservare potuit sed noluit, vel voluit et non potuit. Secundum non est dicendum, quia esset omnipotenciam dei blasphemare. Si primum, sequitur, quod Christus contravenerit precepto de honorandis parentibus, quod est nephas dicere. — Ad raciones alterius partis respondetur per istos, qui tenent istam viam [1]). Ad primam, que fundatur in auctoritate Anshelmi dicentis: „Decebat, ut illius concepcio fieret de matre purissima“, dicendum, quod hec summa puritas est ponenda pro tempore, in quo concepit filium dei, ut patet clare ex verbis Anshelmi. Et ex hoc non sequitur eam caruisse peccato originali. Sed forte diceres: Honor matris refertur ad filium, sed omnis honor debetur filio virginis gloriose. Igitur ipsa virgo honorari debuit cum honore, qui pertinet(ad) honorem filii. Sed ad honorem pertinet filii, quod ipse conceptus sit et natus de matre purissima, immuni ab omni peccato tam actuali quam originali, ergo etc. Respondetur concedendo totum et hoc pro tempore, quo ipsa virgo fuit mater. Si autem dicis, quod ad honorem Christi pertinet, quod mater sua semper fuit immunis a peccato, hoc negetur; immo attribuere illum honorem virgini matri non esset honorare filium, sed pocius filio contumeliam facere, dum honorem debitum sibi quis alteri attribueret, quia hic honor, scilicet immunem esse et semper fuisse ab omni peccato tam actuali quam originali, solius filii dei inter homines est, qui solus conceptus de spiritu sancto et natus est de virgine. Sufficiunt enim virgini alie dignitates, quas sibi filius communicavit, in quibus excellit omnes humanas laudes et devociones et ideo non oportet novos honores configere ad honorem virginis, que virgo non indiget mendacio nostro, cum sit veritate et gracia plena nec indiget fictis laudibus, cum laudes eius verissimas humana lingua non sufficiat explicare. Ad secundum conceditur, quia preservare eam potuit et non fecit; nec tamen sequitur, quod

[1]) T. j. „viam legis communis“, a więc przez przeciwników Niepokalanego Poczęcia „in primo instanti“.

ideo precepto de parentibus honorandis contravenerit, quia alias eam sufficienter honoravit, nec preceptum illud habet, quod oportet filium honorare parentes, quantum absolute est possibile, sed sufficit, quod hoc fiat secundum exigenciam iusticie congruitatis [1]) et decencie. Unde quidam dicunt, quod Christus, cum potuisset suam matrem preservare, ne contraxisset originale, noluit tamen propter exigenciam et declaracionem divine iusticie. Unde Anshelmus de conceptu virginali capitulo IIII° dicit, quod remansit in ea debitum iusticie, hoc autem debitum divine iusticie est, quod in omnes, qui per concubitum nascuntur, peccatum transeat. Unde Augustinus libro I° de perfeccione iusticie circa finem sic dicit: „Quisquis esse vel fuisse in hac vita aliquem hominem vel aliquos homines putat excepto uno mediatore dei et hominum, quibus necessaria non fuit remissio peccatorum, contrarius est divine scripture, ubi Apostolus ait: per unum hominem peccatum introivit in mundum et peccatum mors, et ita in omnes homines pertransiit, in quo omnes peccaverunt". Item Augustinus de fide ad Petrum capitulo 37°: „Firmissime tene et nullatenus dubites omnem hominem, qui per concubitum maris et femine concipitur, cum peccato originali nasci et impietati subditum mortique subiectum et ob hoc ire nasci filium, de quo dicit Apostolus: Eramus et nos natura filii ire sicut et ceteri (F. 160), a qua nullus liberatur, nisi per fidem mediatoris dei et hominum, Ihesu Christi, qui sine peccato conceptus est"! Item hoc est ad declaracionem divine misericordie, quia plus in eis satisfaccione suam ostendit misericordiam, qui tantam tulit miseriam. Item divine potencie ad declaracionem Anshelmus 24 cur deus homo capitulo 19: „Tanto mirabilius illum deus restituit, quem ante instituit, quanto hoc de peccatore nec contra meritum fecit". Item attestatur hoc sapiencie eius, qui novit perditum in melius reformare. — Ad secundum principale dicendum, bene concedendo, quod sanctificacio virginis bene excellere debuit sanctificacionem aliorum scilicet Johannis et Jeremie etc. in babundancia sanctitatis et in dignitate et tempore seu sanctificacionis celeritate. Sed ex hoc non sequitur, quod sanctificata fuit in primo instanti cre-

[1]) W tekście: „congruitates".

acionis anime. Ad secundum conceditur, quod beata virgo bene tenet et tenuit inter Christum medium, sub quo erat et inter alios, super quos erat, non tamen eo modo sicut in argumento assumitur, quia hoc non decuit secundum ordinem et prudencie iusticie, secundum quem Christus debuit esse universalis salvator omnium et nullus sub eo esse debuit, qui non indigeret salvari per ipsum, quod tamen fuisset, si beata virgo nullum peccatum contraxisset. Item non est necesse absolute inter quecunque extrema de facto esse medium, quia si nullus esset color medius, adhuc staret, quod albedo et nigredo essent colores extremi, sufficienter quecunque extrema posita posse esse vel reperiri medium. Sed in proposito licet inter hominem ..... immunem ab originali tam secundum causam, quam secundum effectum, tamen de facto nemo talis est, fuit aut erit, cum divina providencia aliter disposuerit, ut patet ex divina sentencia et lege, quam nobis expressit Apostolus, ad quam alii doctores preallegati nobis declinaverunt. Ecce quam firma videtur et apparet ista posicio, in scripturis divinis stabiliter fundata, per sanctos doctores multipliciter approbata, ut videlicet indissolubiliter confirmata ac eciam solucionibus argumentorum opposite partis pulchre fortis colorata. Que omnia attendentes *sanctus Thomas, Alexander de Halis, Bonaventura et magister Gregorius de Ariminio* [1]), qui suis do-

[1]) Wiadomości o tym teologu u Feret'a (*La faculté de théologie de Paris* III, 489) i Hurtera S. J. (*Nomencl. litt.* IV, 509) niedokładne, mimo iż już kilka lat przedtem dobrze o nim rozprawiał H. Denifle w pomnikowem *Chartularium* uniwersytetu paryskiego (głównie w t. II, 557 nr. 1097). Grzegorz z Rimini (*Ariminensis*) z zakonu Augustyanów-Eremitów, którego w dwóch ostatnich latach swego życia był jenerałem (*prior generalis*), jako następca również wziętego u współczesnych teologa, Tomasza ze Strasburga († 1357); uczył teologii bez przerwy przeszło lat 22 najpierw w Paryżu, potem w studyach swojej ojczyzny bolońskiem, padewskiem i peruzyńskiem, i ponownie w Paryżu, gdzie po czteroletnim kursie wykładów *Sentencyj* Lombarda otrzymał stopień mistrza teologii 1345 r. W Paryżu przebywa jeszcze w połowie sierpnia 1358 r., wkrótce potem umiera, podobno w Wiedniu, dokąd przybył na wizytacyę klasztorną. Grzegorz z Rimini, obok Buridana główny przedstawiciel nominalizmu XIV wieku, wielkiej zażywał sławy;

ctrinis solidis et securis totam ecclesiam dei illustraverunt, isti parti pocius quam *opposite* assentire et eam destruere maluerunt et secundum eos, dum alii *de* alia *parte conantur honorare matrem, dehonorant filium, quod non est faciendum.* Et iterum cum ipso innitantur privilegia excepcionis a lege de hoc docere, qui dicunt virginem beatam esse a communi lege exemptam, doceant de privilegio hoc enim de iure naturali, divino et humano quidem allegantes privilegium excepcionis a lege de hoc docere teneamur a lege, alias si non subiciantur legi, plectuntur pena legis [1]). Sed constat, quod de hoc privilegio isti docere non possunt, cum doctores qui legem banc, de qua nunc agitur, ... perscrutantes *dicant, nemini umquam concessum est privilegium excepcionis ab hac lege, nisi soli homini Christo.*

Quidquid igitur, carissimi, nos dicemus ad hec, numquam partem aliam condempnabimus aut eam erroneam, quam penitus execrandam iudicabimus absit, nisi specialis de hoc intervenerit divina revelacio aut ecclesie declaracio. Si namque pars ista manifeste foret erronea, numquam permisisset ecclesia tot annis publice predicari et maxime in loco, in quo fuit papa cum cardinalibus; numquam universitas et eciam Parisiensis et alie universitates, que non consueverunt erroris zizaniam permittere succrescere sed pocius succindere in radice, sustinuisset illius partis posicio (sic) annis singulis, quibus festum concepcionis beate virginis celebratur, fuisset in sermone universitatis ad clerum publice dogmatizata.

Sed ne alii dicere possint illam permissionem esse facti sed non iuris, videamus an pars ista verum iuris habeat, quod

---

zwano go „doktorem autentycznym“, lub „najsubtelniejszym“. Mateusz z Krakowa kładzie go tutaj na równi z najprzedniejszymi scholastykami XII i XIII wieku.

Osobnego traktatu przeciw Niepokalanemu Poczęciu N. Panny Grzegorz z Rimini, jak się zdaje, nie pisał. Nasz kaznodzieja miał na myśli zapewne jego komentarz do ksiąg Lombarda, wielokrotnie w XV wieku drukowany. Rzeczywiście tak jest, a powiadamia nas o tem powyższy katalog wyd. przez Pez'a (str. 325): Gregorius de Arimino in II Sentent. Distr. 3. q. 2.

[1]) Tekst w tem zdaniu jak i w wielu innych zepsuty.

exprobrandus respondeat, aut arma [1]) spiritualis milicie, quibus se defendat. Attentis namque diligenter omnibus, que pretendit posicio contraria, secundo occurrunt auctoritates et raciones. Ad omnes auctoritates tam scripture quam doctorum, respondetur secundum partem istam, quando locuntur de lege communi, que omnes obligat, qui de Adam secundum seminalem racionem ex concubitu maris et femine sine privilegio speciali excepcionis propagati sunt, a qua tamen lege beata virgo per singulare privilegium divinitus est excepta. Ad auctoritates, que exspresse dicunt contraxisse beatam virginem originale, respondetur, quod intelligende sunt, quod beata virgo habuit imperfeccionem originalis peccati, non quantum ad effectum in anima per culpam (Fol. 160 v.), sed quantum ad causam solum scilicet quantum ad infeccionem et veritatem in carne, et quantum ad fomitem in anima sine imputacione ad culpam. Unde omnes doctores, qui dicunt solum Christum illa lege non obligari, intelligende sunt, quod Christus, quantum est de per se, non cadebat sub illa lege, quia conceptus et natus fuit sine concubitu maris et femine. Cum quo stat, quod eciam alia persona exivit ab ista lege et speciali privilegio et cum doctores dicunt, quod solus Christus venit sine peccato, similiter intelligendum est tam quoad effectum quam ad causam; cum quo tamen stat, quod eciam beata virgo venit sine peccato quoad effectum in anima, licet non similiter sine peccato venit quoad causam peccati, scilicet quoad infeccionem et veritatem in carne, que fuisset in ea causa contrahendi peccatum in anima, si non fuisset singulari privilegio per sanctificacionis graciam preservata. Sed quia de privilegio isto multi causantur, querendum mihi videtur ab eis de privilegio, quo doceri possint beatam virginem in utero esse sanctificatam et ab omni peccato actuali preservatam ac eciam in corpore et anima sanctificatam. Et constat, quod nihil talium habent in scripturis nisi quantum ex hiis, que de beata virgine in scripturis conicere possint vel immediate vel comparative ad alia, que de aliis in scripturis continentur arguendo vel a forciori. Ita namque probaverunt privilegium sanctificacionis in utero concessum esse, quia aliis concessum legitur, scilicet Johanni et

[1]) W tekście: anna.

Ieremie, ergo a forciori sibi, cum esset mater dei preclara. Item Augustinus de natura et gracia dicit: „De sancta virgine Maria propter honorem Christi prorsus cum de peccatis agitur, nullam volo habere questionem“. Inde enim scimus, quod ei plus gracie collatum fuit ad vitandum ex omni parte peccatum, quia concipere et parere meruit eum, quem constat nullum habuisse peccatum. Etsi de peccato actuali hoc intelligendum esse dicatur, tamen immunitatem illam pre ceteris beata virgo habuit ex privilegio propter hoc, quod mater dei fuit preordinata Similiter super hoc fundamento beatus Augustinus fundat totum sermonem suum de assumpcione beate virginis, in quo probat eam assumptam in corpore et anima, quia scilicet beata virgo fuit vera mater ab eterno ad hoc ordinata et quia deus in aliis sanctis suis tot et tanta fecit mirabilia, quibus eas mirificavit. Negari non debet virginem beatam esse in corpore et anima glorificata(m), de cuius carne sumpta est caro Christi. Sic in proposito dico, quod privilegium [1]) excepcionis hoc beate virginis a peccato originali ostendi potest modo predicto ex scripturis divinis, ex eadem radice, quia mater dei pro tunc, dum conciperetur, veraciter futura erat, non enim inquinari debuit aliqua peccati sorde, que divinitus electa erat, ut esset mater illius, qui est sapiencia dei patris, in quam nihil incurrit coinquinatum, est enim candor lucis eterne et speculum sine macula dei maiestatis. Rursum scrutemur scripturas et inveniemus, quod mox post mundi exordium de ipsa dictum serpenti antiquo dyabolo: „Ipsa conteret caput tuum“ Gen. 3°. Sed non debuit sub potestate antiqui serpentis paradiso peccatum originale vel actuale esse, que specialiter erat electa ad hoc, quod caput ipsius erat contritum. Ceterum si magnalia, que de ipsa scripta sunt in lege et prophetis et psalmis et evangelio, pure mentis oculo conspicimus una cum aliis, que in eisdem scripturis facta in sanctis dei legimus, privilegium excepcionis eins ab omni peccati labe originalis et actualis sancte trinitati sigillo sigillatum in divinis scripturis contineri negare non audebimus. Nam sicut Augustinus in predicto sermone dicit sacratissimum corpus, de quo Christus carnem assumpsit, ut deus

[1]) W tekście po tym wyrazie: „habet“.

homo fieret, escam vermibus traditum communi sorde putredinis et futurum de vermibus pulveris quia sentire non valeo, dicere pertimesco; vere dicit, quod ab ista generali sentencia et lege divina: „Pulvis es et in pulverem reverteris“, quod ponitur Gen. 3°, ipsa speciali privilegio sit exempta, eo quod sit mater dei, a cuius carne Christus carnem assumpsit. Sic in proposito dici potest, quod sacratissima virgo, quam solam ab eterno deus preordinavit, ut dei mater fieret et ut esset clarissimum dei vivi templum, in quo corporaliter IX mensibus habitaret, per ipsam tamquam per unicum singulare atque convenientissimum medium humanum genus a peccato liberaret et potestate dyaboli, fuisse et peccati sorde conputruisse, sentire non audeo, dicere pertimesco. Si namque templum Salomonis deo dicatum tam magnifice deus glorificare voluit, iuxta illud (Fol. 195) Ysaje IX. „Dominum maiestatis mee glorificabo“, quanto magis hoc sacratissimi dei vivi templum, quod tam longe, scilicet in exordio seu statim post exordium mundi erat patribus celitus misticis miraculis prefiguratum, propheciis, oraculis prenunciatum! Hec enim sacra virga sine radice floruit, hoc Gedeonis vellus in medio sicce aree maduit, hec in Ezechielis visione orientalis porta, que nulli umquam patuit, prefigurata fuit. Hanc denique pre ceteris Ysaias nunc virgam de radice Iesse, nunc evidencius virginem parituram filium, cuius nomen Emmanuel, veraciter predixit. Quis hanc virginem umquam sub ira dei fuisse dicere audebit, per quam sibi deus genus humanum tamquam per mediatricem dulcissimam atque electissimam reconciliare voluit? Et cuius idoneitatem tanto tempore per tantos precones patriarchas et prophetas tam gloriose preconisare fecit, ut omnes ab inicio mundi usque in finem cognoscere possint, quod tam ineffabile opus nunc, quod deus predestinabat ante secula in ipso mundi artifice fabricatum sit, atque per hoc in stuporem versus ipsi virgini omni reverencia, qua decet, dicat: „Gloriosa dicta sunt de te genitrix dei“!

Ad raciones alterius partis, quando dicitur, quod si beata virgo caruit originali peccato, caruit et merito mortis Christi, respondetur, quod hoc non sequitur, quia licet gracia sanctificacionis in ea preveniret anime infeccionem quoad culpam, non tamen prevenit carnis infeccionem quoad feditatem et anime

infusionem quoad fomitem, et ideo racione illius feditatis in carne et fomitis in anima iuste remanserunt penalitates in virgine merito priorum parentum, sicut manet in parvulis baptizatis, gracia enim sanctificacionis non obviat pene sed culpe. Et binc est, quod beata virgo iuste talibus penis fuit obnoxia sine culpa, non tamen sine causa. Per hoc eciam patet ad tercium de clausura ianue regni celestis, que fuit pena non culpa.

Ad secundum, quando dicitur, quod nullus pertinet ad redempcionem Christi, nisi qui habet vel habuit culpam, respondetur hec negando. Dupliciter namque dicitur aliquis redimi per alium ab aliquo malo, scilicet vel per mali iam inexistentis expulsionem, vel per mali imminentis preservacionem, sicut patet de duobus, quorum unus a casu erigitur post casum, alter vero in ipso casu sustentatur, quorum uterque a casu liberatur, aliter tamen et aliter. *Sic beata virgo per Christum, omnium salvatorem et redemptorem, liberata et redempta est a potestate dyaboli et a peccato, aliter tamen quam alii. Alii enim post casum erecti sunt, ipsa vero in ipso casu vel imminente casu sustentata est, ne rueret.*

Ex predictis per singula diligenter pensatis apparet, utramque dictarum posicionem multum esse toleratam. Utraque namque se fundare conatur in auctoritatibus scripture sacre et doctorum et racionibus, que satis fortes apparent. Quia tamen sibi invicem contradicunt, non possunt simul esse vere. Et igitur cum ambe sint in materia theologica, in qua agitur de lege divina, secundum quam per unum hominem in omnes homines secundum seminalem racionem propagacionis peccatum traducitur, una earum est erronea et sentencie divine contraria, quam utique periculosum est dogmatizare et pertinaciter defendere. Est igitur advertendum, quod huius materie tractatores sunt in quadruplici differencia, nam uni parti mente tam pertinaciter adherent, ut asserere audeant oppositam partem esse erroneam ..... et hereticam, dam pnantes aut convicientes omnes, qui tenent istam. Quidam vero pro alia parte hoc idem faciunt e contrario. Et ita oriuntur odia et contenciones, rixe et scandala tam in clero quam laicali populo, quorum aliqui ducuntur pro una parte, alii pro

altera parte, quod utique virgini placere non potest, que non autrix contencionis sed „mater pulchre dileccionis“ Ecc. 34. Nec placeat hec contencio filio virginis, domino nostro Ihesu Christo, „non est dissensionis deus sed pacis“ Ia ad Cor. 14. Unde constare poterit, quod tam extreme se fingentes in hac materia et tam contenciose eam pertractans seu pertractantes, eciamsi partem teneant veram, non dei spiritu aguntur sed carne agitantur, non sunt spirituales predicatores et discipuli Christi sed pseudoprophete, de quibus Mat. VII: „A fructibus eorum cognoscetis eos“. Tales autem fructus secundum Augustinum in sermone domini in monte sunt opera carnis, que secundum Apostolum ad Gal. I⁰ vers. 11⁰ sunt contenciones, emulaciones, ire, rixe, dissensiones, secte et invidie et hiis similia Ia Ad Cor. 3⁰: „Cum enim sit inter vos zelus et contencio, nonne carnales estis“?

Sunt 2⁰ eciam alii, qui in vita unam partem assensive tenent et ei firmo assensu seu firma credulitate sine formidine ad oppositum adherent, non tam contenciose sed modeste eam defendunt; et licet oppositum tenentes improbent et partem suam pro posse confirment, non tamen eis exprobant nec eas erroneas aut dampnabiles propter hoc dicunt, sed amicabiliter et pacifice ad eos (Fol. 195 v.) se habent. Et hii, licet omnino non exorbitent, quantum est de per se, se et moribus si tum partem falsam defendunt, non sunt omnino excusabiles, eo quod materia ista versatur circa legem divinam, ut dictum est, circa quam temerarie errores introducunt et scripturarum divinarum intelligenciam, quantum est in se, corrumpunt, dum eas contradicendo illi sensui, quem spiritus sanctus efflagitat, assensive et determinate exponunt et prophetant de corde suo, de quibus Ezechiel 13⁰ dicens de prophetantibus de corde suo: „Audite verbum dei. Hec dicit dominus deus: Ve prophetis et insipientibus, qui secuntur spiritum sanc tum (sic!) et nihil vident ...vident vana et divinant mendacium dicentes ait dominus, cum dominus non miserit eos et perseveraverunt confirmare (sermonem).

Sunt 3⁰ alii tenentes unam dictarum parcium solum, opi nantes ita quod parti illi adherent cum formidine ad oppositum, parati semper tenere partem aliam si per ecclesiam determinetur vel si quis eos ad hec sufficienter informari; et si

de hac materia cum aliis disputant, hoc faciunt sobrie et modeste cum caritate. Et hii videntur tollerabiles, eciamsi partem tenerent falsam. Nescio tamen, si omnino excusabiles sint, eo quod temere et absque ulla necessitate cogente se determinant saltem opinative ad senciendum illi, quod veraciter congruum est scripture sacre et legi divine. Quanti sunt alii, qui vel in simplicitate sua ambulantes vel studiose et profunde utriusque partis motiva pensantes dicunt cum beato Jeronimo in epistola ad Paulam et Eustachium, que est de assumpcione beate virginis: Quod eorum verius sentimus, ambigimus, melius tamen totum deo, cui nihil est impossibile, committimus, quam aliqua temere diffinire velimus, attendentes doctrinam Apostoli ad Romanos 12 d.: „Dico enim per graciam, que data est mihi, omnibus, qui sunt inter nos, non plus sapere, quam oportet sapere ad sobrietatem“ et Ecclesiastes 7°: „Neque plus sapias, quam necesse est, ne obstupescas“

Et hoc de primo, in quo dixi, videndum esse de hac circa materiam concepcionis beate virginis difficultate. De qua breviter dico, quod hiis opinionum et modorum oppinandi varietatibus non obstantibus, videtur, quod festum concepcionis beate virginis licite et convenienter possit a viris devotis celebrari. Unde et sanctus Thomas in 3a parte Summe sue q. 2a articulo 2°, quamvis teneat beatam virginem conceptam esse in peccato originali, tamen dicit, quod celebritas concepcionis eius non est totaliter reprobanda. Pro quo sciendum, quod nullius alterius puri hominis sancti vel sancte concepcio celebratur. Si debet concepcio beate virginis celebrari, oportet in ea inveniri aliquid singulare, quo distinguatur ab omni alia concepcione secundum seminalem racionem factam. Quod quidem est tripliciter invenire. Primo a parte nature substrate, 2° a parte sanctificantis gracie, 3° a parte utriusque. Primo a parte nature substrate, que potest quadrupliciter considerari. Primo ut seminaliter propagata, 2° ut gratuitis naturalibus existentis et excellentis exornata, 3° ut tunc personaliter sancta et futura personaliter sancta, 4° ut singularis providencie obtentum et materie. Primo modo est materia celebritatis ut sic, scilicet secundum istam racionem prout seminaliter propagata, non differet ab aliis, ut notum est. Item nec

est 2° modo, quamvis naturalibus gratuitis excellentis fuit adornata, sic tamen non differebat ab aliis sanct's, nisi secundum plus et minus. Item nec 3° modo, quia tunc, scilicet in prima concepcione, non fuit personaliter sancta nec fuit materia celebritatis, prout fuit futura sancta, loquendo absolute et in genere sine specificacione alicuius singularis modi sanctificandi. Nam si absolute fuisset materia celebritatis, prout fuit futura sancta, tunc omnium sanctorum concepcio esset celebranda. Sed 4° distinguitur hec concepcio virginis ab omnibus aliis. Erat enim singularissime providencie natura illa virginis et in conceptu seminis et in conceptu nature. Et hoc tripliciter. Primo quantum ad propheciarum ex ea adimplecionem, 2° quantum ad futuram ex ea filii dei generacionem, 3° quantum ad consequentem ex ea humani generis reparacionem. Obiectum quippe vaticinia per hoc medium deducentes ad effectum sic enim, quod in se non est sanctum absolute in essendo, potest dici sanctum respective in serviendo vel quantum est divine sapiencie instrumentum. Unde Augustinus contra Faustum libro 22° loquens de peccato inde cum Thamar dicit ad servandum aliqua bona, nihil interest facta ista, quibus significatur sive bona sive mala sint, ea quippe hominum facta s(piritu) s(ancto) disponente atque inspirante collegit propheta ..... A simili igitur, quod in se non est sanctum, ad dei providenciam relatum potest dici esse sanctum et per consequens materia gaudii et leticie spiritualis non tantum ecclesie militanti sed eciam triumphanti. Unde Augustinus 12 (?) de Trinitate c. 7: „Grata est sanctis angelis sancta et pia sanctificacio“. Multo magis igitur concepcio virginis aut caro vel natura eius concepta, in quantum erat obiectum divine providencie quoad hoc, quod in ea ceperunt adimpleri prophecie et figure et promissa magnalia ad tocius mundi consolacionem et salutem, potest esse materia letandi. Jam quippe erumpere ceperat virga de (Fol. 196) radice. Jesse, de qua flos florum, Christus dominus erat egressurus iuxta illud Ysaje 11: „Egredietur virga de“ etc. Jam nubes apparere ceperat, super quem dominus erat ascensurus iuxta illud Ysaje 19: „Ecce dominus ascendet super nubem levem“. Jam archa lignea fabricata erat lammis aureis induenda, sicut figuratum est Exo. 25.

Secundo potest celebrari concepcio beate virginis prout caro vel natura eius concepta vel eciam ipsa concepcio est obiectum divine providencie, per quam ordinata est filii dei ex ea ad incarnacionem. Si namque ecclesia celebrat celebracionem sancte crucis, quod tamen fuit extrinsecum instrumentum redempcionis nostre glorie nullatenus susceptum, quanto magis potest celebrari concepcio illius subiecti, quamquam non formaliter sicut in se, de qua ipsum corpus domini fuit fabricandum. Si namque voluisset dei filius, potuisset de lapide sibi corpus formasse, quod si fecisset, tota ecclesia coagulacionem illius lapidis et eciam invencionem, si scivisset, celebrare potuisset. Et cur non faciendum virgini, quod faceret lapidi? Item constat, quod dei filius nihil de substancia anime virginis sumpsit incarnatus sed solum de substancia corporali eius, quia de purissimis saguinibus virginis formatum est corpus Christi operacione spiritus sancti ut patet per dictum libro 3° sentenciarum suarum. Ex quo sequitur, quod concepcio et formacio virginis Marie fuit quodammodo scilicet in radice concepcio et formacio substancie a filio dei assumende, ac per hoc concepcio virginis future matris dei filii quedam fuit concepcio originalis et in radice hominis Christi quoad substanciam eius corpulentam assumendam virginem vel de virgine. Ex quo sequitur, quod concepcio virginis celebris esse debeat, intelligendo hoc de prima concepcione qua concepta est eius caro, dato eciam, quod nullus respectus ad eius animacionem vel sanctificacionem haberetur pro tunc futuram, quia dei filius sumpsit corpulentam substanciam suam de carne seu de corporali substancia virginis et nihil sumpsit de eius anima, ut predictum est. Ex hiis patet, quod celebritas non semper oritur ex respectu ad intrinsecam sanctitatem vel optimam disposicionem rei, de qua est, sed quandoque rei respectu ad bonum de propinquo exinde eventurum vel eciam, quia alicuius boni talis proventuri res talis ordinata est divinitus esse medium vel instrumentum, verbi gracia festa reliquiarum et sancte crucis et huiusmodi celebrantur, etsi ille res putredinem intrinsecam habeant, nihil obstat habende festivitatis. Ex quibus ulterius sequitur, quod non impertinens sit festo concepcionis gloriose, si eius embrio contraxit quantamcunque morbidam qualitatem et anima eius fomitem vel

eciam ut aliqui dicunt, culpam originalem, quia concepcio non celebratur per respectum ad sanctitatem vel quantamcumque aliam disposicionem, quam tunc, scilicet in prima concepcione, habuit in se virgo vel caro virginis, sed per respectum ad tantum bonum proventurum scilicet ut ex ea Christus dominus salvator mundi nasceretur.

Tercio potest celebrari eius concepcio habendo respectum ad consequentem exinde humani generis redempcionem. Ipsa enim virgo erat exordium et quodammodo fundamentum remotum nostre redempcionis et salutis, et ipsa concepcio erat huius fundamenti posicio. Quis ergo non gaudeat de fundamenti posicione similiter quod edificium pro tocius mundi salute fuerat stabilitum? Unde sanctus populus leviticus Esdre 3⁰ celebravit fundacionem templi materialis hoc figuratum. Quare non celebremus fundacionem templi racionalis figurati templi scilicet in cuius pectore requievit divinitas, in cuius pectore voluit verbum dei pro nostra redempcione personaliter obumbrari? Patet ergo, quomodo licite potest celebrari festum concepcionis beate virginis a parte nature substrate sive concepte. Et hoc sub duplici respectu: s(cilicet) quantum ad propheciarum et figurarum ex ea adimplecionem, et quantum ad futuram filii dei ex ea incarnacionem, et quantum ad consequentem ex ea humani generis redempcionem.

Dixi 2⁰, quod hec concepcio potest celebrari a parte future sanctificacionis et supervenientis gracie non quidem considerate absolute et in genere, sed ut sanctificacio et superveniens, ergo talis modi et speciei, quia natura post lapsum sic dignificata est in una persona puta homine, ut ipsa esset sic graciis et virtutibus dotata et firmata, quod deinceps totam vitam multo tempore in humanis agendis ab omni peccato haberet immunem et ut eius sanctificacio esset radix gracie et sanctificacionis nostre; et in hoc inter puros homines nec prima similem visa est nec habere sequentem. Quod attendens Gabriel archangelus reverenter eam salutando dicit „Ave gracia plena“ Luc(e) 1⁰. Ex his patet, quomodo concepcio virginis potest celebrari a parte utriusque, scilicet et nature et concepte et sanctificacione talis modi et spei future, prout dictum est. Et propter hoc dicit Augustinus in sermone

beate virginis, quem fecit sancte Brigitte pro...[1]) eadem virgine gloriosa bene esset conveniens et dignum, quod dies ista scilicet concepcionis prime Marie virginis ab omnibus in magna reverencia haberetur, quia Maria prima in Anne utero concepta et collocata fuit, ex qua benedictum corpus matris dei formari debebat, quam ipse deus et omnes angeli eius tanta caritate peramaba(n)t. Et quamvis (Fol. 196v) beatus Bernhardus Lugdunenses canonicos[2]) de celebracione concepcionis beate virginis reprehendat propter inconsuetam novitatem, quam inconsultam a sede apostolica increpat, concludendo tamen in fine epistole ad eos dicit absque preiudicio (melius) sentientis, quia totum hoc tucius iudicio ecclesie Romane reservatur, sicut et ego absque preiudicio volo hec dixisse.

De hac celebritate, carissimi, studeamus omnes esse virga non furoris et iniquitatis seu malicie sed amoris, equitatis et iusticie, virgam nostram de Israel consurgentem, virginem scilicet gloriosam, in hoc imitantes et, sicut dicit Apostolus, abnegantes omnem impietatem et se... iuste et pie vivamus in hoc seculo, expectantes beatam spem et ad ventum) glorie mag... Cuius glorie nos participes efficiat, qui sine fine vivit et regnat. Amen.

II.

Quaestio disputata

mistrza Pawła z Pyskowic, profesora teologii w *Uniwersytecie Jagiellońskim 1447 r.* (w streszczeniu).

Z kodeksu Biblioteki uniwersyteckiej w Budapeszcie. Nr. 64 k. 236—264.

Sequitur questio de concepcione benedicte virginis Marie, edita et disputata per magistrum Paulum Piczkowski, profesorem st. theologie Cracovie 1447.

---

[1]) Wyraz nieczytelny: „leccionibus? locucionibus?“

[2]) W tekście: „*Lugdunque canonicus!*“

Wstęp.

(E)t respondebo exprobrantibus mihi verbum, quia speravi in sermonibus tuis [Psalm. CXVIII, 42]. Superius propheta petivit sibi salutare mitti, dum dicit „Domine veniat super me misericordia tua et salutare tuum secundum eloquium tuum“ [l. c. v. 41]; hic petit graciam ad strenue respondendum adversariis dei et infidelibus, qui blasphemant dominum et matrem eius dicentes cum Judeis domino: „Recede a nobis, scienciam viarum tuarum nolumus“, et illud Johannis IX⁰: „Scimus, quia hic homo peccator est“ — et matrem ipsius maculando peccati originalis culpa asserentes ipsam esse conceptam in peccato originali, dicentes ipsam esse similem aliis mulieribus, nullam regine celi et domine mundi concedentes specialem prerogativam. Contra quos propheta hic petit sibi ex dei confidencia dare sapienciam, ut eisdem posset respondere et audacter ipsorum calumpniam exprobrare, habens fiduciam in auxilio dei et sermonibus eius in Luce XXI⁰: „Dabo vobis os et sapienciam ..“ [i inne dotyczące cytaty ze Starego Zakonu o mądrości Bożej]. Propterea, ut talibus exprobrantibus deo et matri eius gloriose ac *virgini immaculate* per sapienciam a deo patre specialiter suffultus possim veraciter et confidenter adversariis exprobrare et virginem gloriosam a peccato originali multipharie immunem ostendere pro clariori istius demonstracione et *scole informacione* moveo istam questionem.

Założenie kwestyi.

Utrum gloriosa virgo existens immunis ab omni crimine actuali sit concepta in peccato originali? Et arguitur, quod non. Et primo contra presuppositum: Virgo gloriosa non fuit immunis ab omni crimine actuali, igitur presuppositum questionis falsum. Antecedens patet... [W dowodzeniu tem wstępnem mistrz nasz, chcąc poprzeć „presuppositi veritatem“, powołuje się oczywiście na tradycyę, a więc przywodzi najpierw św. Augustyna *De natura et gracia circa medium*, po-

tem nieznane nam bliżej [1]) kazanie paryskiego mistrza XII wieku, Ryszarda od św. Wiktora [2]) na temat znanych słów biblijnych „Nondum erant abissi“, wreszcie przytoczywszy św. Anzelma tak rzecz swoją dalej wykłada]: Et licet quam *plurimi domini baculariі sacre theologie in hac alma universitate Cracoviensi existant, qui scolam de presenti nodo questionis possent informare*, tamen specialiter ad dominum enim etc [sic! poczem bezpośrednio].

Jej objaśnienie *a*) przez bakałarza.

Sequitur posicio domini baccalarii sacre theologie.

Noto primo. Sicut dicit Allexander de Halis peccatum actuale aliud est veniale, aliud mortale... [Objaśnia krótko rodzaje grzechu uczynkowego, podając jego definicyę według tego doktora. W drugiem objaśnieniu: Secundo noto — określa słowami tego samego autora grzech pierworodny. W trzeciem na k. 237 omawia kwestyę poczęcia człowieka]: Concepcio hominis duplex, maritalis est in seminis infusione et conpletur usque ad perfectionem organisacionis corporis in membra distinta; personalis, quando primum ex coniuncione anime cum corpore verum est dicere iam personam rationabilem et hominem. [Wreszcie w czwartem *notabile* rozprawia o przysługującem władzcy prawie dyspensy, zwalniania od zachowywania własnej ustawy, przyczem powołuje się na illud *vulgare iuridicum:* dispensacio legis est interpretacio eiusdem. Następują:

Konkluzye.

Conclusio prima quoad presuppositum.

Virgo gloriosa per sanctificacionis graciam copiosam immunis fuit ab omni crimine actuali. Patet ista conclusio ex

---

[1]) Ani H. Hurterowi S. J. zob. *Nomenclator litter.* IV, 118 sqq.

[2]) Skrybie pomięszało się nieco to imię słynnego Wiktoryna, czytamy bowiem tutaj: „Richardum in sermone de sancto

notabili quarto et probatur eciam per omnes sacre theologie doctores. [Na pierwszem miejscu, jak zawsze idzie św. Augustyn z powyższym traktatem *De natura* etc. Po trzech korolaryach ztąd wypływających na k. 237v.]:

Conclusio secunda quoad quesitum.

Virgo gloriosa nunquam fuit peccato originali fedata [1]). [Po probacyach następują korolarya w zwykłej liczbie trzech k. 238].

Conclusio tercia.

Virgo gloriosa a deo preservata fuit, quod peccatum originale, prout est deformitas personalis, nunquam contraxit. [Dowodzenie podobne jak wyżej. A więc, tak jak dzisiaj dowody z Pisma św., tradycyjne i z rozumu].

b) Objaśnienie mistrza i wykład jego tezy; dowody i zarzuty.

Posicio doctoris.

Et quamquam posicio domini baccalarii formati catholice et magistraliter licet sit posita auctoritatibusque sacre scripture sufficienter fulcita et racionibus probata, nihilominus tamen propter informacionem scole circa ipsam tria intendo observare. Primo posicionem ipsam breviter summabo. Secundo propter ampliorem materie dilatacionem aliqua notabilia ultra suam posicionem superaddam. Tercio causam argumenti examinabo, ex quo eciam nihil verius scitur, nisi dente disputacionis corroditur, et tandem ipsum committam dominis magistris et baccalariis sacre theologie.

Quantum igitur ad primum magister [Lombardus] in primo notabili posuit duplex peccatum actuale. [Wyłuszczenie powyższych czterech notabiliów i całej pozycyi mistrza zakoń-

---

Victore" (k. 236 v.), natomiast niżej jest dobrze: Richardus de sancto Victore in sermone „Nondum erant abissi" (k. 245 v.). Również Paterek w swoich kazaniach powoływa się dość często na tego „Rikarda".

[1]) Pierwotne na tem miejscu „subiecta" przekreślono.

czone na k. 239 v. Poczem obszerna rzecz o grzechu na podstawie św. Augustyna, Anzelma i innych świętych doktorów, w szczególności o istocie grzechu pierworodnego i łączącem się z tem poczęciem Najśw. Panny Maryi. Wśród dowodów autorytatywnych na powyższą — drugą — tezę o Niepokalanem Poczęciu Najśw. Panny Maryi, stawia na pierwszem miejscu *powagę uniwersytetu paryskiego i znane orzeczenie dogmatyczne soboru bazylejskiego*]. Hec conclusio fere est omnium Parisiensium et Marsilii et aliorum quam plurimorum, de quibus infra patebit. Et eciam est de articulo concilii Basiliensis in spiritu sancto legitime congregato. [Między dalszemi dowodami znajdują się także cytaty ze św. Tomasza z Akwinu i Bernarda na k. 244, pośród zastępu pisarzy franciszkańskich, obok Wilhelma Okkama, Piotr z Krety „Petrus de Candia", późniejszy papież Aleksander V na k. 245 v. Po argumentach z tradycyi, rozwija nasz mistrz racye doktorów na k. 246 i nastpn., teksty i figury w liczbie czternastu Starego Zakonu na k. 247 i nastpn. Ten rodzaj dowodów, czerpanych z Pisma św.. to „probacio via divina" na k. 251 v. Po dowodach z Pisma św. następują zwykłym trybem korolarya z trzech tez powyższych i zbicie całego szeregu zarzutów przeciwko nim na k. 252 i nastpn.

Ostatni, szesnasty z przywiedzionych przeciwników Niepokalanego Poczęcia Bogarodzicy, to św. Tomasz z Akwinu na k. 258 v.]. Idem *beatus Thomas* tercia parte sue Summe questione IIa articulo primo et septimo dicit expresse, quod beata virgo fuit concepta in originali peccato. [Rozwiązanie tej trudności na k. 260]: Et ad auctoritatem autem beati Thome potest dici, quod fuit illius opinionis, neque tamen adhuc inolevit communis ecclesie festivitas de festo sancte concepcionis Marie; et ergo hoc licite et de necessitate salutis est credere, quod non sit concepta in originali peccato. Et eciam quia articulum huiusmodi idem beatus Thomas expresse posuit in scripto primi distinccione tricesima tercia in solucione tercii articuli et exposicione, super qua materia, prout hoc superius visum est in probacione conclusionis, quod non est concepta in originali peccato, vel dicitur quod ipse — beatus Thomas [jak zaznaczono na marginesie] — fecit librum retractacionum de ista materia et de aliis.

Item *beatus Dominicus* in libro, quem fecit de concepcione Christi contra hereticos Albigenses, probat, quod sicut primus Adam fuit in agro damasceno de terra virginea et inmaculata formatus, sic secundus Adam Christus (k. 260 v.) fuit de terra virginea et inmaculata formatus. Et probat per illud Canticorum 4 to. „Quam pulcra es amica mea“, de quo libro dicit Vincencius [Bellowaceński], quod ter in ignem proiectus ter resiliit.

[Rozprawia się dalej ze znanym listem *św. Bernarda* do kanoników lugduńskich, których nazywa biskupami, przyczem niepoślednią rolę odgrywa praktyka Kościoła]. Argumentum, quia festum concepcionis Marie celebratur die infusionis seminis, de quo formatum est corpus virginis, quod mansit morbidum usque ad istam infusionem anime exclusive; ergo ecclesia male permittit celebrare festum virginis pro die, pro quo ei nihil debebatur reverencie, nihil honoris debetur.

Explicit dysputy po zbiciu zarzutów (soluciones) i korolaryach.

Et ideo ab ea angelus videtur in rei veritatem excludere esse maculam, sicut per adversarium seclusit ab ea eiusdem macule debitam penam. Hec ille [t. j. Marsilius].

III.

Krakowskie Pia dictamina ku czci Panny Niepokalanej 1447 r.

Z kodeksu budapeszteńskiego (jak wyżej). Nr. 64 k. 264.

A) Wacława Ubojiego z Brodni, ucznia doktora Pawła z Pyskowic:

Ergo cuncti iubilemus
Et Mariam impulsemus,
Pio pro iuvamine,
Una Paulo cum doctore,
Huius scripti collectore,
Tali modulamine:

O Maria, deo grata,
Ab eterno ordinata!
Necdum erant abissi,
Dum concepta tu fuisti,
Tota pulcra extitisti [1])
Cum scelerum eclipsi.
Nec erat originale,
Nec mortale, veniale [2])
Sancto tuo conceptu.
Sic dum orta processisti,
Et in vita permansisti
Ullo [3]) horum obreptu [4]).
Si quis cupit obviare [5]),
Matrem dei blasphemare [6])
In conceptu talibus [7]),
Actu(m) fore(t) quicquid horum [8])
Matre regis angelorum
Et in vite casibus [9]),
Cui nee velle malum fuit,
In qua deus tota fluit,
Sua plena gracia,
Que excellit tribus donis
Habitantes celi nonis
Choris prima gracia
Dentur servitus puritas
Trina gestit procacitas [10])
Scenosa [11]) quid tractare?
Cum angelus confirmatus
Deum per quem et formatus
Non potest iam peccare,

Glossy i objaśnienia: [1]) vel fuisti. [2]) scil. nec. [3]) nullo. [4]) sub intraccione. [5]) contrarium tenere. [6]) quod fuit in originali concepta. [7]) scil. criminibus. [8]) scil originalis, mortalis vel venialis. Mimo dzielnej pomocy ze strony doc. dra. W. Bruchnalskiego przy rozwiązaniu metrycznem tych płodów scholastycznej muzy Krakowa, strofa niniejsza i niektóre inne pozostały nam niezrozumiałe, tekst ich bardzo niedbale pisany. [9]) eciam similiter tempore vite sue eventibus, processibus. [10]) hereticorum cupit loquacitas. [11]) immunda.

Adam primus terque (?) [1]) parens,
Factus omni sceno [2]) carens
Ante lapsum ceteris;
Quanto magis genitricem
Deus suam zelatricem
Abs vinculis numinis [3])
Preservavit ac beavit,
Mundam fecit et creavit
Suum tabernaculum:
Is [4]) ergo iuxta decretum
Sacra fide sane fretum [5])
Firmans ostentaculum [6]),
Hereticus est censendus,
Ab ecclesia spernendus
Divino eulogio [7]),
Mediatrice carebit,
Eius ope [8]) sed degebit [9])
Et pio suffragio,
Nam pro tali blasphemia [10])
Pena gehenne nimia
Et divini nominis
Offensio quo quum (?) horum
Clausa ianua celorum
Perpetui criminis.
Sed o virgo munda ave,
Nos scenicos [11]) purga ave,
Ne demonis decipi
Vinclis possimus, sed iuva,
Ut redolens simus una
Tis [12]) filio principi [13]).
Quemadmodum es concepta
Et gracia dei septa [14]),

---

[1]) Może raczej: atque? W tekście czytamy niemożliwe: uterque. [2]) macula, peccato. [3]) peccatis diaboli. [4]) id est Ihesus — obok decretum na marginesie: defendens. Glossa Ihesus do Is jest stanowczo błędną, to Is trzeba odnieść do Si quis. [5]) usum. [6]) monstrum. [7]) sermone. [8]) auxilio. [9]) carebit. [10]) scilicet sic asserendo eam in hiis peccatis. [12]) immundos. [13]) Plautowskie tis-tui (obj.wyd). [14]) deo.

Sincerissima virgo,
Sic adunas[1]), fac concipi[2]),
Tuo filio mancipi[3]),
Nos trahens de hoc pirgo[4]). Amen.

B) Mistrz Marek Bonfili, legat soboru bazylejskiego w Krakowie 1447 r.

We wstępie „Sermo de annunciacione Marie virginis gloriose per magistrum Marcum Bonifilii collectus et peroratus Cracovie“ (tamże k. 225 v.).

a) Do Najświętszej Panny Maryi.

Mater pia tu Maria, ut procures gratum donum,
Audi famen et precamen, quod intono per hunc sonum:

Ave carens dira fraude
Et venusta mira laude.
Oro, crimen pelle grave,
Ave.
Maria, amplectens deum,
Precor, ut acumen reum
Longes a controversia,
Maria.
Gracia, qua es electa,
Nos perducas via recta
Ad eterna celi spacia,
Gracia.
Plena odore divino,
A naufragio marino
Manu protege amena,
Plena.
Dominus a te lactatus,

---

[1]) circumdata. [2]) congregabis. [3]) nos sine peccato. [4]) manu tradi vel capi i. e. ut sub proteccionem suam, turris ex gr. *πύργος* (obj. wyd.).

Nostros roboret conatus
Rectos nihilominus,
Dominus.
Tecum affectatus frui
Omnes quotquot sumus tui
Christo nos ducente secum,
Tecum.
Benedicta super cunctas
Nato vivas et defunctas
Remit(t)e nostra delicta,
Benedicta.
Tu nunc *in mulieribus*
Pia mater predicaris,
Ergo subveni amaris,
Egenis et pauperibus
Mu'ieribus.
Et precelsus *benedictus*
Se offerat ut amictus,
Per quem demon inimicus
Fugiat mire af(f)lictus,
Benedictus.
Fructus vite sempiterne
Mente faciet interne
Et praescidat diros luctus,
Fructus.
Ventris domicilium,
Claudens dei filium,
Languentibus det vere membris,
Ventris.
Tui filii dilecti
Petimus nos hic subiecti
Graciam, ut simus sui,
Tui.
Amen dulciter canamus,
Leta mente gaudeamus,
Ut emit(t)as sacrum flamen,
Amen.

Sed ut modum consuetum non tenere non sit grave,
Precor hunc presentem cetum, ut matri dicamus *Ave.*

Poniższe dwa metra znajdują się w tekście kazania przed poprzedzającem metrum, przytaczamy je więc jako jego uzupełnienie i częściowe objaśnienie.

b) Do Boga Ojca („Patri gignenti").

Pater, orat et exorat amarioris labium,
Ut infundas et effundas preclare lucis radium.
Pater nosce et ignosce precatis mentis verbulo,
Ut te querens sit non merens, existens in ergastulo.
Pater rege certa lege cetum... [1]) devia
Ut deductus et conductus psallat humana gaudia.

c) Do Syna Bożego w Najśw. Sakramencie.

Frater deus, honoreus, existit ex edulio,
Laxa culpam, mentis pulpam vere ardenti iulio.
Frater homo iam ex pomo privatur luce funditus.
Oro, prebe, cabe [2]) phebe lumen decore [2]) celitus
Frater, illic noster esus fuit dampnosus homini.
Precor, audi et exaudi; laus detur tuo nomini.

Po kazaniu Marka Bonfila *De conceptione gloriosissimae Virginis Mariae* (tamże k. 221):

O Matce Najświętszej.

Flos florum, fons ortorum, regina polorum,
Spes venie, lux leticie, medicina dolorum,
Virga recens, virgo decens et forma bonorum,
Parce reis et opem fer eis in parte piorum
Pasce tuos, succurre tuis, miserere tuorum [1]).

---

[1]) Wyraz opuszczony przez kopistę.
[2]) Niezrozumiałe.
[1]) Tylko to ostatnie *dictamen* jest znane wydawcom *Analecta hymnica medii aevi* (Edd. Cl. Blume et Gu. M. Dreves zob. nasz *Przegląd literatury średniow.* w *Kwartalniku historycznym* z 1898 r. str. 695). T. XXXII. *Pia dictamina. Fünfte Folge I.* (Leipzig, Reisland, 1899), 87 nr. 55 z kilku

Na marginesie obok dodała ta sama ręka późniejsza, następujące objaśnienie: „Maria verbo docuit unum religiosum hec metra et promisit adesse sue morti, si ea devote cotidie dixerit. Si ita est vel non, ego nescio; unum scio, quia sunt bona metra caudata“.

---

kodeksów XV wieku, między niemi z wiedeńskiego Palat. 4781. Lekcya czwartego wierszu wydaje się lepszą w edycyi Blumego z wyjątkiem może powtórzonego „reis“:

Parce reis, opem fer reis, in pace piorum.

ZBIGNIEW OLEŚNICKI
i Uniwersytet Jagielloński.*)

Kiedy w r. 1423 Zbigniew Oleśnicki zasiadł na stolicy biskupiej krakowskiej, inny członek episkopatu polskiego, Andrzej Laskarz, biskup poznański, przesyłał mu list pełen ciepła i życzeń gorących. Po radach udzielonych pasterzowi dyecezyi, dodawał on w tem piśmie następujące uwagi: „A i to do wielkiej chwały Waszmości i ku radości jego przydanem zostało, że w Waszej dyecezyi i mieście przesławne wszech nauk studyum się znajduje i bujnie rozkwita, że Wasza godność przez tak znakomitych mężów towarzystwo będzie uświetnioną, między którymi, proszę, byś tych, co nauką się odznaczą i życiem i sławą zajaśnieją... zatrzymał przy sobie, posuwał naprzód i dobrodziejstwami odszczególniał“ [1]). Słowa te padały na rolę wdzięczną i podatną. Zbigniew Oleśnicki, wychowany w krakowskiej szkole, rozmiłowany od młodu w naukach i przywiązany do ich przedstawicieli, wśród których liczył dawnych swych mistrzów i najzaufańszych pomocników i przyjaciół, z pewnością najlepszemi uczuciami dla krakowskiej wszechnicy był ożywionym. Zostając biskupem krakowskim, zostawał on równocześnie kanclerzem Uniwersytetu, a urząd ten na lat 32 ściśle go związał z dolą i niedolą krakowskiej wszechnicy.

Prawie wszystkie uniwersytety miały swoich kanclerzy. Papież, nadając powstającemu uniwersytetowi prawa naucza-

*) Rozdział IV tomu I *Historyi Uniwersytetu Jagiellońskiego w wieku XV*, wydanej przez autora z powodu pięćsetnej rocznicy odnowienia wszechnicy krakowskiej. *(P. R.)*.

[1]) *Cod. epist.* I, 1, 58.

nia, robił zwykle nadawanie wyższych stopni zależnem od woli jakiegoś prałata, który mieszkał na miejscu i otrzymywał tytuł kanclerza. Najgłówniejszem więc przeznaczeniem tego dostojnika było czuwanie nad egzaminami i udzielanie t. zw. licencyi czyli prawa nauczania. Znaczenie jego na Północy było niewielkiem; zwykle nawet przy nadawaniu licencyi wyręczał on się zastępcą, mianowanym przez siebie z grona profesorów. Jedynie osobista energia i osobista przewaga mogła temu urzędowi wyjednać i wywalczyć wpływy, których w zwykłej rzeczy kolei nie wywierał.

W samem zaraniu Uniwersytetu krakowskiego powstało, jak wspomnieliśmy, co do kanclerza nieporozumienie między królaml polskimi i papieżem. Król Kazimierz i Władysław Jagiełło stanowili w swych aktach erekcyjnych, że nadawaniu wyższych stopni uniwersyteckich przewodzić będzie ich kanclerz królewski; tymczasem papieże obstawali przy tem, że biskupowi krakowskiemu, jako kanclerzowi Uniwersytetu, przypadnie ta rola w udziale. Wspominaliśmy poprzednio, że wola papieska o tyle za Jagiełły zapewne przeważyła, iż biskupi od początku zostali kanclerzami, bo już Piotr Wysz, zasiadający na stolicy krakowskiej aż do r. 1412 dzierży to stanowisko i tytuł. Czy ono jednak było w pełni praw przez papieża doń przywiązanych, to inne pytanie. Może dopiero następca Jastrzębca na stolicy krakowskiej, Zbigniew Oleśnicki, tego dokonał, że odtąd biskupi-kanclerze Uniwersytetu wykonywali bez sprzeciwienia się urząd kanclerski w całej pełni, t. j. z prawem *approbandi examen,* nadawania licencyi. Zadanie to spełniał biskup najczęściej przez wicekanclerza, t. j. profesora, którego z pośród najwybitniejszych profesorów, mianowicie teologii, na to zastępcze stanowisko mianował. Ci wicekanclerze istnieli zapewne od początku Uniwersytetu; przewaga Zbigniewa Oleśnickiego wyjednała im zapewne większe znaczenie i stały udział w egzaminach rok rocznie się powtarzających.

Z tem wszystkiem znaczenie kanclerzy w uniwersytetach nie było, jak wspomnieliśmy, wielkie. Ale połączenie kanclerstwa tego z biskupstwem krakowskiem stopniowało wagę i powagę tego dostojeństwa. Bo przed sąd biskupi szły niektóre cięższe przewinienia, które zakłócały spokój Uniwer-

sytetu; biskup krakowski miał wielki wpływ na rozdawnictwo beneficyów kościelnych; on nie wybierał wprawdzie członków Uniwersytetu na uniwersyteckie kanonie, plebanie, altarye, ale kanonicznie ich instytuował, a więc mógł przez to i na wybór kandydata stanowczy wpływ wywrzeć. To mu zapewniało w obrębie Uniwersytetu znaczenie i powagę wysoką; a to wszystko wzmagało się jeszcze znacznie, kiedy na stolicy krakowskiej siedział człowiek, który nietylko o Uniwersytet gorąco się troszczył, lecz i o wpływy swego kanclerskiego dostojeństwa, a jeszcze bardziej swej osoby.

Zbigniew Oleśnicki był człowiekiem po temu, on, którego Eneasz Silvius w liście z r. 1453 nazwał pierwszym po królu w Polsce człowiekiem.... *in Polonia post regem primum hominem* [1]). Na wszystkiem, czegokolwiek się tknął, wnet on zaważył potęgą swego umysłu, siłą swojej woli; miał za wiele godności osobistej, aby jakąkolwiek godność urzędową uważać za tytuł bez rzeczywistego znaczenia. A prócz ambicyi i dążenia do przewagi, pchała go miłość do Uniwersytetu i do zajęcia się tą instytucyą. On, który wysoko i szeroko pojmował i oceniał misyę wschodnią Polski, jako puklerza chrześciaństwa, jako krzewicielki katolicyzmu i kultury, gorącem musiał sercem śledzić wszelkie postępy i rozwój młodej instytucyi, którą Jagiełło jako mistrzynię i kapłankę zarazem dla Polski i Wschodu założył.

Oleśnicki uważał mistrzów Uniwersytetu krakowskiego za najpewniejszych pomocników swoich w duchu obrony i szerzenia katolicyzmu. „Doktorzy tego Uniwersytetu — mówił w r. 1427 — wykorzeniają usilnie i skutecznie głogi i kąkole, wszystkie występki i herezye“ [2]). I w walkach gorących z hussytyzmem idzie następnie Uniwersytet ręka w rękę ze swoim kanclerzem; jak Zbigniew Oleśnicki, nie zna on ustępstw ani kompromisu na tem polu, nie waha się nawet sprzeciwić woli królewskiej i potępić tego, co przez króla uznanem zostało. Koncyliaryzm i koncyliarne stanowisko wobec soboru bazylejskiego ścieśniło następnie węzły między Uniwersytetem i jego kanclerzem. I wtedy nawet, kiedy biskup krakowski

[1]) *Cod. epist.* I, 2, 321.
[2]) *Cod. univ. Crac.* I, 159.

wycofał się ze stronnictwa soborowego, a Uniwersytet podniósł bardziej stanowczo niż kiedykolwiek sztandar soborowy, stosunki się jeszcze nie rozluźniły. Świadczy to z jednej strony o tem, że władza kanclerza nie sięgała dosyć daleko, aby rozkazem stanowczym sprawę rozstrzygnąć, a z drugiej strony o pewnej polubowności, która Zbigniewa, dawnego koncyliarystę, nawet po przejściu do obozu Mikołaja V w tej sprawie nie opuściła. On zapewne bronił Uniwersytet przeciw nadmiernym gniewom i srogim zamiarom nuncyusza Jana Baptysty, on w drugiej połowie r. 1448 śledził z największem zajęciem korespondencyę mistrzów krakowskich z zagranicznymi mistrzami, którzy „z wodą popłynęli“ *(tractum fluminis sequuntur)* [1]).

Troska Zbigniewa o dobro i rozwój Uniwersytetu w wielu zaznacza się szczegółach. W r. 1433, kiedy chodziło o reformę, a raczej organizacyę wydziału medycznego, sam kanclerz spowodował zwołanie magistrów, którym następnie Jan de Saccis przedłożył nowe statuta fakultetu [2]). Niedługo zapewne potem przemyśliwał Zbigniew o ogólniejszej reformie Uniwersytetu, usunięciu różnych jego niedostatków, załagodzeniu różnych sporów, które zakłócały spokój i ciągłość nauki. Zbigniew Oleśnicki chciał naprzód całą sprawę ująć w swe ręce; ponieważ jednak mnożące się zajęcia nie zostawiały mu na to czasu — *quia tanta ad cumulum pastoralis curae nostrae nobis dietim succrescunt negotia* — powierzył on to zadanie wyznaczonym przez siebie mistrzom samego Uniwersytetu. Zwrócił się więc w osobnem piśmie do Dersława z Borzynowa, Jana Elgota i Jakóba z Zaborowa, kanoników krakowskich i doktorów dekretów, do Jakóba z Paradyża i Jana de Jastrambe, profesorów św. teologii, do Michała z Szydłowa, Stanisława z Uścia i Swiętosława, doktorów dekretów, dając im pełnomocnictwo, aby się zajęli wszelkiemi sporami, które wybuchły między *sup-*

[1]) *Cod. epist.* I, 2, 47. Lipski uniwersytet w sprawie soborowej poszedł także innemi drogami, jak jego kanclerz, biskup merseburski. Por. Kaufmanna: *Geschichte d. deutschen Univ.* II, 134.

[2]) *Rocznik wydziału lekarskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim.* T. I (1838) p. 55.

positu Uniwersytetu, a zarazem starali się usunąć *defectus* wszystkich wydziałów. Co ta reforma zamierzała i o ile doszła do skutku, określić tego nie możemy. Zbigniew nosił się z temi myślami naprawy stosunków zapewne około r. 1435. Jan z Jastrząbi umarł bowiem przed r. 1439 [1]). Równocześnie w Wiedniu zamierzano dokonać pewnej reformy Uniwersytetu. Tam jednak hasło wyszło z Bazylei. W r. 1435 postanowiono bowiem na soborze poddać Uniwersytet wiedeński lustracyi czy wizytacyi, która ostatecznie zarządziła, że w metodzie nauczania należałoby niejedno zmienić, z dysputacyi artystów usunąć nadmiar polemiki lub przesadnych pochwał. O ile jednak myśli Zbigniewa stały w związku z temi faktami i dążnościami, dzisiaj określić niepodobna [2]).

Kanclerz Uniwersytetu powierzał to zadanie, które, według jego przekonania, w zakresie jego władzy leżało, mistrzom wszechnicy, ufając w ich *legalitas* i gorliwość Nie zawsze był jednak Zbigniew w swem postępowaniu równie łagodnym i ugodnym. W stosunkach codziennych, przy załatwianiu spraw bieżących, przychodziło czasem do tarć, które przybierały w skutek wymagań kanclerza bardzo ostrą niekiedy formę. Kanclerze nie mieli w ogóle prawa rozdawania wakujących kollegiatur [3]); to należało do kompetencyi i autonomii uniwersytetów, zarówno gdzieindziej, jak w Krakowie. Ale jeżeli biskup merseburski, kanclerz Lipska, osobistym swym wpływem niekiedy chciał zaważyć na obsadzeniu miejsc opróżnionych, to tem mniej podobny objaw dziwić nas będzie w żądnej powagi i przewagi osobistości Zbigniewa Oleśnickiego. Mięszał się on do tej dziedziny, dawał swe wskazówki i polecenia, a gdy go nie usłuchano, gdy Uniwersytet nie poszedł za jego wolą, gromił i groził z gwałtownością, nieodłączną od stanowczych natur, które raczej przebaczą złamanie prawa, jak przełamanie ich życzeń. Zajścia, które miały miejsce w Uniwersytecie krakowskim w r. 1450, uchy-

[1]) Por. X. J. Fiałka: *Jakób z Paradyża*, 268 (uw. 3).

[2]) O reformie wiedeńskiej por. Aschbacha: *Geschichte der Wiener-Universität*, str. 269 i 347.—Pismo Zbigniewa do mistrzów krakowskich znaleźliśmy w *Cod. Vratisl.* II, F. 23 p. 118.

[3]) Kaufmann: *Geschichte der d. Universitäten*, II, 133.

lają nam zasłonę z tego stosunku i z tajników i cech stanowczej duszy i woli wielkiego krakowskiego biskupa. Zawakowało wtedy równocześnie kilka kollegiatur w domu artystów. Zwykłą rzeczy koleją posuwali się wtedy w Collegium Mains kollegiaci według starszeństwa, na ostatnie miejsca dostawali się nowo przybrani z pośród mniejszych kollegiatów, z Collegium Minus. Szło wszystko najczęściej *per senium et ordinem,* bez uwzględnienia rzeczywistych talentów i rzeczywistych potrzeb Uniwersytetu, bez tej konkurencyi wśród umysłów i nauki, która wytwarza życie i żywotność. Tę utartą kolej i zastarzały ten zwyczaj chciał Zbigniew Oleśnicki przełamać. Targnął on się na przywileje *beati possidentes* tych kollegiatów, którzy jakoby siłą ciężkości staczali się coraz niżej pod względem znaczenia naukowego, a posuwali się coraz wyżej w hierarchii uniwersyteckiej tłustych i coraz tłustszych beneficyów, owych doktorów Pisma Świętego (Marek 12, 38) „którzy chcą.... siedzieć na pierwszych stolicach w bóżnicach i pierwsze mieć miejsce na wieczerzach". Rzucił on hasło, które dopiero później po wielu oporach i walkach doszło do pewnego znaczenia, aby przy rozdawnictwie opróżnionych miejsc w kollegium uwzględniano najzdolniejsze siły wśród młodych extraneów.... nawet z pominięciem starszych i.... niegodniejszych. Zbigniew Oleśnicki upomniał wtedy profesorów, „aby dla zasilenia i podniesienia Uniwersytetu, uwzględniali ludzi obcych, a mianowicie Niemców i miejsca wolne nadali jednemu Polakowi i jednemu Niemcowi, mając to na uwadze, że w ten sposób dom ich wzmoże się w ludziach i porządku i Uniwersytet wzrośnie w swych członkach" [1]). Polecał on na razie jednego Niemca i jednego Węgra.

To wstawianie się za cudzoziemcami jest pod wieloma względami charakterystycznem. Znamiennem jest dla uniwersytetu średniowiecznego, który był instytucyą powszechnochrześciańską, wolną od wybitnej narodowej cechy, przygarniającą chętnie obcego ucznia i nauczyciela. W Paryżu w r. 1306 postanowiono, aby ze sześciu jurystów przynajmniej trzech było obcych, „bo przez obcych uczonych stu-

[1]) *Cod. epist.* III, 42—44.

dyum i nauka lepiej się rozwija, jak przez miejscowych.... *cum melius per forenses doctores quam per cives studium et lectura conservetur et continuetur* [1]). Tutaj zwracało się to przeciw nepotyzmowi miejscowemu, przez *forenses* oznaczano pozaparyskich uczonych — w Krakowie myślano o uczonych z po za granic państwa. Znamienne to i dla Zbigniewa i dla ówczesnego nastroju umysłów. Mimo całego przeciwieństwa do Niemiec i Niemców, mimo głębokiego antagonizmu do wrogiego i czyhającego na Polskę Zakonu, rasowa nienawiść nie odgradzała jeszcze stanowczo narodów, pozwalała na wymianę kultury i jej wpływów. Szczególnie w Krakowie, gdzie wielka część mieszczaństwa była niemiecką, ta wymiana była ciągłą i naturalną. Przyswajanie sobie niemieckiego języka przez Polaka uchodziło za niezbędny warunek wyższego wykształcenia. Kiedy Jagiełło przejął na siebie wychowanie synów ulubionego Czecha, Jaśka Sokola, który zginął w wojnie pruskiej w r. 1410, kazał ich uczyć łaciny i niemczyzny i innych sztuk, które umysł uszlachetniają.... *eosque in urbe Cracovia* — jak mówi Długosz (IV, 93) — *splendide educari et litteris latinis atque almannicis ceterisque artibus quibus ingenia politiora fiunt imbui disposuit.* Ludzie, którzy żyli z Grzegorzem z Sanoka, mieli wątpliwości, czy tenże lepiej włada polskim, czy niemieckim językiem [2]). Zbigniew Oleśnicki za młodu w Wrocławiu niemieckiego języka się wyuczył, a w r. 1454 przy ślubie Kazimierza Jagiellończyka odebrał przysięgę od nowożeńców, jako ten, *qui utramque linguam noverat* [3]). Groza hussycka utrzymywała w nim ciągle skłonności do Zachodu i Niemiec. A w szczególności w Uniwersytecie krakowskim, gdzie tylu uczniów z Niemiec pobierało naukę, gdzie mianowicie w pierwszych czasach, za Jagiełły, tylu profesorów z mieszczaństwa niemieckiego pochodziło, nie było mowy o wyłączności narodowej i o wyłączaniu obcych żywiołów. Jeżeli mimo tego, wezwania i polecenia Zbigniewa w r. 1450 nie usłuchano, to złożyły się na to inne przyczyny: odporność przeciw *extranei,* tradycya po-

[1]) Kaufmann: *Geschichte der d. Univ.* I, 224.
[2]) *Biografia Kallimacha*, str. 19 (ed. Finkel).
[3]) Długosz: *Opera*, I, 554 i V, 155.

suwająca tych, którzy jako kollegiaci należeli już do ściślejszego grona nauczycieli.

Zbigniew Oleśnicki obruszył się na to strasznie; mówił o lekceważeniu i pogardzie dla jego życzeń. Wspominał, że działał tam prośbą, „gdzie jako kanclerz w skutek pełni swej władzy mógł przymus przyrzucić i dla przeprowadzenia swej intencyi artykuł przymusowy w grę wprowadzić". Jaki to był ten *articulus coercitionis,* nie wiemy. Nie na upomnieniu ograniczył się rozgniewany Zbigniew. Postawił on równocześnie, odpowiednio do gwałtowności swej natury, kwestyę gabinetową, zagroził ustąpieniem z zajmowanego stanowiska. „Nie zamierzam — pisał — z wami dłużej się rozprawiać; ale malowanym kanclerzem być nie myślę, abyście wy tą pokrywką wasze działania osłaniać mogli. I dlatego poleciliśmy naszym braciom i sługom, którzy do Rzymu się wybierają, aby o waszych twardych i nieposkromionych karkach oznajmili papieżowi, aby prosili Jego Świątobliwość, iżby nas i naszych następców na stolicy krakowskiej od pustego tytułu kanclerza waszego Uniwersytetu uwolnił i kogo innego lub innych, których wymieniamy Jego Świątobliwości, na stanowisko tej godności lub raczej imienia posunął, tak, iżbyście pod nowemi rządami bez uwłaczania naszej osobie tem swobodniej wierzgać mogli według każdej zachcianki, którą wam namiętność lub osobista skłonność podsunie" [1]).

To się nazywa mówić jasno i dobitnie. Cała samowładna natura Oleśnickiego objawia się w tym wyskoku gniewu, w tem *Quos ego,* skierowanem tym razem nie przeciw wichrom, lecz przeciw.... wichrowatym magistrom krakowskim. Pismo to wpadło wśród nich, jak grom i burza. Zastraszeni mistrzowie odpowiedzieli straszliwemu ojcu, *metuenda Paternitas Vestra,* orędziem pełnem pokory i poddania się, przytem próśb usilnych, aby kanclerz Uniwersytetu w tych ciężkich czasach nie opuszczał, lecz z dawną życzliwością, jak dobry Samarytanin leczył i pielęgnował to, co poprawy potrzebuje [2]).

---

[1]) *Cod. epist.* III, 43.

[2]) Pismo to u Szujskiego *Cod. epist.* I, 2, 55 zapewne jest odpowiedzią na poprzednie, jak słusznie zauważył Lewicki *Cod. epist.* III, 43.

Paternitas metuenda przemawiała tak gwałtownie w r. 1450, bo poprzednie lata i poprzednie zdarzenia w Uniwersytecie nabawiły ją rozlicznych trosk i niepokojów. W r. 1448, w styczniu, nadał Zbigniew Oleśnicki ówczesnemu rektorowi Uniwersytetu, Jakóbowi, proboszczowi św. Jadwigi na Stradomiu, nadzwyczajną władzę, pozwalającą mu nawet cięższe przewinienia, zaszłe w obrębie uniwersyteckich *supposita*, na własną rękę rozsądzać, bez odsyłania ich przed sąd biskupa, „zajętego innemi sprawami Kościoła i państwa“. Biskup więc delegował część swojej władzy na rektora ze względu na „różne skandale, kłótnie, spory, poróżnienia, ekscesy, zbrodnie i nadużycia“, o których mu donoszono [1]). Było to stworzeniem rodzaju wyjątkowej dla rektora dyktatury; czem ona ostatecznie była wywołaną, czy tylko częstemi bijatykami, wybrykami obyczajowemi, które rok rocznie w każdym ówczesnym uniwersytecie się powtarzały, nie wiemy. Ale to wiemy, że niebawem cięższe chmury nagromadziły się na horyzoncie i cięższa, bo religijna burza zakłóciła spokój i życie krakowskiej wszechnicy.

Mówiliśmy już o hussytyzmie i zamieszkach, które on w Polsce wywoływał, mówiliśmy także, jak niezłomne stanowisko Zbigniew Oleśnicki i Uniwersytet krakowski wobec tego ruchu zajął. Ale chociaż duchowieństwo polskie, począwszy od r. 1420, rzucało ciągle potępienia na te nowe nauki, to jednak w następnych latach zawierucha polityczna i religijna co chwilę zanosiła ich posiewy na ziemie polskie. Ścisłe stosunki z Czechami, ochotnicy, którzy tam podążyli z Korybutem, a i później zaciągali się w szeregi hussyckie [2]), wróciwszy do kraju, szerzyli tu doktryny czeskie. Szczególnie w Wielkopolsce znajdowały one posłuch i oddźwięk. Dlatego też tamtejsi biskupi mieli najtrudniejsze pod tym względem zadanie. Już Andrzej Laskarz, biskup poznański, ucierał się z temi nowinkami, w r. 1421 miał w Poznaniu kazanie potępiające uroczyście hussytyzm i obiecujące ludziom,

[1]) *Cod. epistol.* I, 2, 34.

[2]) Cf. Ulanowski: *Acta iudicii eccles. Gnesn. 58:* „Alexius de Kalis „przysięga w r. 1424“ quod nunquam vult de cetero ad eos (Bohemos) equitare“. Por. *ibid.* str. 199.

którzyby na wojnę z Hussytami poszli, rozmaite łaski Kościoła [1]). Następca jego, Stanisław Ciołek, również niejedno od Hussytów wielkopolskich wycierpiał [2]). Dopieroż też Andrzejowi Bnińskiemu, który po nim na długie lata zasiadł na stolicy poznańskiej, udało się *virus Bohemicum* w wielkiej mierze stłumić i przydusić. Niektóre miasteczka wielkopolskie głównemi były nowinek hussyckich ogniskami, przedewszystkiem Pakość i Zbąszyń [3]). W Zbąszyniu sędzia poznański Abraham szerzył i podniecał ten ruch i według wyrażenia Paprockiego: „Czechy bałamutniki w domu swym przechowywał". Andrzej Bniński pozywał winnych przed siebie, licznemi procesami prześladował nowinkarzy. Był to najbardziej stanowczy i najbardziej energiczny przeciwnik hussytyzmu, zarazem jeden z najdzielniejszych przedstawicieli polskiego episkopatu. W r. 1439 przyszło do poważniejszych zawichrzeń. Spytek z Melsztyna wywiesza wtedy sztandar otwartego buntu i napada zbrojnie na zjazd stanów w Nowym Korczynie; w tym samym roku Andrzej Bniński oblega Zbąszyń i zmusza sędziego Abrahama do wydania pięciu głównych apostołów hussytyzmu, którzy następnie zostają spaleni na rynku poznańskim. Abraham Zbąski wkrótce potem umarł, a z jego śmiercią ognisko to główne hussytyzmu w Wielkopolsce gasnąć zaczęło. Nastąpiły w r. 1442 liczne abjuracye, wyrzeczenia się dotychczasowych błędów [4]); w Wielkopolsce zrobiło się ciszej, ale o zupełnem pokonaniu grożącego niebezpieczeństwa w Polsce myśleć jeszcze nie było można.

Bo nowinki czeskie i nauki hussyckie choć nie objęły nigdy warstw szerszych, tysiącznemi jednak korytami sączyły się do Polski, znajdowały wśród szlachty nieżyczliwej dla duchowieństwa i podatków kościelnych, w miastach i wśród duchowieństwa niższego adeptów [5]). W r. 1448 odezwały się

---

[1]) *Acta iudiciorum eccles.* str. 62 i 470.
[2]) Długosz IV, 609.
[3]) *Acta iudicii eccles. Gnesn.* str. 132, 199.—Co do Zbąszynia i Abrahama Zbąskiego ibid. 506, 517, 519, 522 i Paprocki: *Herbarz* (Tur.) str. 473.
[4]) Ibid. str. 532—533.
[5]) Por. ogólne uwagi u M. Dzieduszyckiego: *Zbigniew Oleśnicki* I, 250.

też znowu głośniejsze skargi, że hussytyzm podnosi głowę. W piśmie z września tegoż roku pisał Zbigniew Oleśnicki do papieża, że zaraza Hussytów znowu się wzmaga (*audio, renovari et reviviscere pestem hereticam Hussitarum*), że w dyecezyi płockiej zniszczono i zrabowano dobra biskupa za to, że nie chciał kacerskich kleryków ordynować, że rzucono się na księży stojących przy wierze [1]). A około tego samego czasu donosił Elgot, którego listy do Zbigniewa Oleśnickiego zawsze są pełne treści i ciekawych wiadomości, że w Wielkopolsce, a mianowicie w ziemi dobrzyńskiej, hussytyzm znowu silne puścił korzenie [2]). Wyraźnie w tym falującym i chwiejnym epizodzie religijnym Polski nastała znów chwila większego podniecenia umysłów pod wpływem sąsiedniej hussyckiej rozterki.

Jak Andrzej Bniński, tak w równej mierze Zbigniew Oleśnicki stał czujnie na posterunku przeciw grożącym niebezpieczeństwom. Krakowski Uniwersytet popierał jego wszelkie działania i kroki. Mówiliśmy już o tem poprzednio. Biskupi zwalczać musieli nauki przywożone przez ochotników, którzy z Czech wracali, głoszone przez księży, którzy się dali porwać ruchowi, przedewszystkiem ową komunię pod dwiema postaciami, będącą znakiem widomym i hasłem czeskiego kacerstwa. Kiedy ono w ustach i głowach uczeńszych występowało z aparatem doktryny i systemu, zadanie było trudniejszem i odparcie ze strony miejscowych uczonych tem bardziej pożądanem.

Do grona profesorów krakowskich zaglądnął, jak wiadomo, hussytyzm około r. 1429. Wtedy to Henryk Czech pozwany został przed sąd biskupi i wtrącony przez Zbigniewa do więzienia. Nowinkarstwo religijne szło u niego ręka w rękę ze skłonnością do czarów, magii i wróżbiarstwa; wyraźnie był to niezbyt poważny i odpowiedni apostoł nowej ewangelii [3]).

---

[1]) *Cod. epistol.* I, 2, 44.

[2]) *Cod. epistol.* I, 2, 347.

[3]) Bardziej jeszcze pomysłowy czy przemysłowy uczony pojawia się w Polsce w r. 1432; przybywa także z Czech i nosi nazwisko Pawła Krawar. Ten *artium magister Parisiensis et baccalaurius in medicinis, Vestrae Serenitatis et regni vestri Poloniae medicus indignus*, pisze z Torunia

Uniwersytet nie bronił go z pewnością. Bo właśnie w tych latach działa on w kierunku antihussyckim bardziej stanowczo, niż kiedykolwiek. Wspomnieliśmy, że w r. 1432 Zbigniew Oleśnicki za poradą i poparciem Uniwersytetu krakowskiego stanął w sprzeczności z wolą króla i innych biskupów i nie pozwolił podczas bytności Czechów w Krakowie odprawiać nabożeństwa. Dwaj altaryści poznańskiego kościoła św. Maryi Magdaleny także wstrzymali się od służby kościelnej—wbrew woli ówczesnego biskupa Ciołka. Pozwani przed sąd biskupi twierdzili, że biskupi popadli w kacerstwo; jeden z nich Mikołaj dodawał, że „cokolwiek zrobił, uczynił według informacyi magistrów krakowskich“ [1]). Wpływ więc tej opozycyi krakowskiej sięgał aż do Poznania. Mistrzowie wszechnicy zanieśli aż tu hasło, rzucone przez swego kanclerza a krakowskiego biskupa. Kiedy następnie w Bazylei zajęto się sprawą hussycką, a sobór porobił w celu zgody i ugody pewne ustępstwa, raziło to Polaków, szczególnie Zbigniewa i Uniwersytet krakowski. Marek Bonfili wróciwszy w r. 1441 z Polski, mówił przed soborem, „iż Polacy wielce sobie życzą, aby odwołano wszelkie koncessye zrobione Czechom co do komunii pod dwiema postaciami [2]).

(*Cod. epist.* III, 513) do Jagiełły, że miał jakąś pensyę wyznaczoną od króla, lecz jej nie odbiera w skutek obmów i poduszczeń dworaków. A on tymczasem od dawna usiłował królowi jakieś *secreta misteria divina* przedłożyć, któreby nawróciły niewiernych, pokój przyniosły światu, a mianowicie pacyfikacyę Polski i Zakonu. *Est enim quidam spiritus cor meum movens....* Ale wszystko to wejść nie może w życie, bo radzcy królewscy nie dopuszczają go przed oblicze Jagiełły. Ten Czech, jak widzimy, ma tajemnicę uszczęśliwienia ludzkości; zabrał ją z sobą do grobu, więc określić jej jasno nie możemy; jak inni tej kategoryi ludzie, żądał on od świata, aby go naprzód uszczęśliwił, a on za zaliczkę obiecywał hojnie go wynagrodzić. Podniecona umysłowość w Czechach wyrzucała między innemi takie owoce na brzegi.

[1]) Ulanowski: *Acta iudic. eccles.* str. 498: „Quidquid fecit, fecit ex informatione magistrorum Crac., quod non celebravit illo tempore Bohemis venientibus, contra voluntatem Dni. episcopi“.

[2]) I. de Segovia II, 957.

Aż tu naraz w murach Uniwersytetu pojawiły się objawy zarazy, którą tak gwałtownie tłumiono i zwalczano po za jego murami. Przecież w r. 1424 związali się Jagiełło i Witold wraz ze swymi baronami konfederacyą przeciw hussyckiej przewrotności. Zobowiązano się wtedy wydawać każdego heretyka i podejrzanego o herezyę przed sąd króla i sądy biskupie [1]). Każdy biskup miał też obok siebie członka zakonu św. Dominika, jako inkwizytora dla badania i rozpatrywania spraw kacerskich [2]). Mówiliśmy już o rozmaitych wypadkach wichrzeń hussyckich w Polsce. Przypadek z r. 1449 nabrał dlatego większego rozgłosu, że odbił się o mury Jagiellońskiej wszechnicy. Głównym bowiem czynnikiem w całej sprawie był magister, nauczający w Uniwersytecie krakowskim.

Andrzej Gałka z Dobczyna odbył swe studya w Krakowie; w r. 1422 został tu bakalarzem, w r. 1425 magistrem artystów. Wyższego stopnia akademickiego nie uzyskał. Możliwem jest jednak, że po studyach krakowskich pobył pewien czas w Pradze i że wpływy tamtejsze odbiły się na kolejach późniejszego jego życia. W r. 1429 został on przyjęty jako kollegiat do domu króla Władysława, w r. 1439 otrzymał kanonię u św. Floryana [3]). W latach 1436 i 1441 był wreszcie dziekanem fakultetu artystów.

Człowiek, wyraźnie ani wybitnych zdolności ani nauki odznaczał się pewnym niepokojem i skłonnością do sporów. Akta „domu większego“ przechowały nam odgłosy jego zaczepek, wymierzonych na osobę spokojnego św. Jana Kantego. W r. 1445 podawał Andrzej z Dobczyna, nie wiedzieć na jakiej podstawie, jego tytuły prawne do kollegiatury w wątpliwość [4]). W r. 1447 miał on znów pewne zatargi z kolegami. Nie czytał wtedy sam, lecz (*per alium*) kazał się zastępować. Uskarżył się zapewne przed biskupem Oleśnickim,

[1]) Prochaska: *Codex Witolda*, str. 654.
[2]) Por. n. p. *Rpis. Czart.* 18, str. 51.
[3]) Por. *Cod. univ. Cracov.* II, 111, mówi o sobie w r. 1449: „Ego vero XX annis in studio Cracov. in collegio cum magistris“; podpisuje się (str. 112) „canonicus eccl. St. Floriani X annos“.
[4]) *Conclusiones Domus Maioris.*

że mu pensye nieregularnie wypłacano, skoro korespondent nieznany biskupa pisze, że wglądnął w tę sprawę; donosi on, że magistrowie oświadczyli, iż nic Gałce nie odciągają z należnego mu *salarium*, że jednak mogą nastać w tej mierze pewne trudności, które sam biskup później powinien rozstrzygnąć [1]).

Magister Andrzej z Dobczyna wyraźnie nie bardzo gorliwie obowiązki swe spełniał. Czas wolny od zajęć nauczycielskich obracał tymczasem w części na czytanie i przepisywanie traktatów słynnego Wiklefa, profesora i potępionego przez Kościół teologa oxfordzkiego; możliwem jest prócz tego, że tajemnie szerzył jego poglądy i nauki.

Jan Wiklef, profesor uniwersytetu oxfordzkiego, wystąpił w końcu wieku XIV z rozmaitemi twierdzeniami, naruszającemi istotę dogmatów, prawa i stanowisko Kościoła. Zaprzeczał transsubstancyacyi i zmieniał naukę dotychczasową o Mszy św., wstrząsał podwalinami majątku i własności Kościoła i nakłaniał państwo do ich zagarnięcia; świecki i duchowny przełożony nie mają według niego żadnej władzy, skoro się znajdują w grzechu śmiertelnym, spowiedź ustna jest zbyteczną. Przeciw papieżowi, którego zwał Antychrystem, i hierarchii kościelnej wymierzał on gwałtowne zaczepki. Radykalne zmiany w ustroju Kościoła z radykalnemi przekształceniami dogmatu przyświecały mu jako ideał. Pod filozoficznym względem wyznawał panteizm i fatalizm. W dziedzinie sporu między realistami i nominalistami stał po stronie pierwszych. Ale potępiał rozmaite skrajności Scotusa; nominalizm pod wpływem Okkama święcił właśnie wtedy pewne tryumfy. To też Wiklef wyznaje realizm pookkamistyczny, łagodzący extrawagancye jego dawniejsze [2]).

W r. 1377 wydał papież wyrok piętnujący naukę Wiklefa, jako niebezpieczną, później w r. 1382 prowincyonalny sobór w Londynie potępił jego nauki. Wiadomem jednak, że one długo jeszcze pokutowały wśród ludzi, a na Hussa, który

---

[1]) *Cod. epistol.* III, 24.

[2]) Por. o tem Rashdall: *The Universities of Europe*, II, 2, 428 i 538. O nauce Wiklefa o ideach por. Schwab: *Joh. Gerson* (Würzburg 1858) str. 542, 543.

główne swe twierdzenia od angielskiego mistrza przejął [1]), wpłynęły bardzo stanowczo. Teraz spóźnione echo tej nauki doszło do Polski, zapewne drogą na Czechy.

Andrzej z Dobczyna przyswoił sobie naukę o uniwersaliach oxfordzkiego mistrza, jego zmodyfikowany realizm. Dziełko Wiklefa *De universalibus realibus* znalazło także poklask w Pradze, gdzie nacya czeska w przeciwieństwie do nominalistycznych Niemców wywiesiła realizm na swym sztandarze, a Zdzisław de Zwiereticz osobną obronę tej nauki Wiklefa napisał [2]). Andrzej z Dobczyna gorącym realizmu wiklefowskiego był wyznawcą. Mówił on, że krakowscy magistrowie nauki odnośnej Wiklefa nie znają, że przeto marną i próżną ich robota, że darmo zjadają chleb króla polskiego, ucząc o tem drugich, o czem sami nie mają wyobrażenia. Nawet Andrzej z Kokorzyna, „który uchodził za *maximus artista*—za największego teologa i filozofa—w studyum krakowskiem", nauki Wiklefa nie poznał, jak to widocznem z jego słowa i pisma [3]). Ale prócz tej oderwanej nauki i inne pozytywniejsze i dla życia donioślejsze twierdzenia angielskiego mistrza przypadły Gałce do smaku. Przyswoił on sobie z jego nauki lekceważenie dla biskupów i księży, a ton, jakim przemawia do Zbigniewa Oleśnickiego, dowodzi, że pojętnym był uczniem. Miał on u siebie traktaty Wiklefa, chłoszczące duchowieństwo, podjudzające państwo do zagarnięcia dóbr duchownych, zwracające się przeciw spowiedzi ustnej, odmawiające wreszcie kapłanom zostającym w grzechu władzy sprawowania skutecznego sakramentów. Wśród traktatów uczonych plątały się śpiewki ulotne na cześć Wiklefa, w części opatrzone dopiskami Gałki [4]). Ta literatura ulotnych piosenek cieszyła się w Czechach w czasie zamieszek hussyckich gorliwą uprawą. Obiegały one lud i ulice i piętnując przeciwników, zagrzewały do walki. Na wrogów Hussa miotano

[1]) Loserth: *Hus und Wiclif.* Praga 1884.
[2]) Loserth 285. Wiersze ulotne, obiegające Pragę, piętnowały ruch hussycki, jako tryumf realistów: „Facta nunc adultera profert realistas, Chymeras et vetera monstra Wyclevistas". Por. Rashdall, ib. II, 1, 223.
[3]) *Cod. univ. Crac.* II, 111.
[4]) *Cod. epist.* I, 2, 69.

w nich najgorsze podejrzenia; śpiewano o arcybiskupie pragskim Zbinku, który księgi Wiklefa spalić kazał,

Spalił knieha a newieda
Czo ge w nich napsano [1]).

Śpiewki, przetłómaczone z czeskiego, dostawały się do Polski; bo takiego początku jest niewątpliwie *vulgaris cantilena*, którą Gałka rozsyłał znajomym, na którą się powoływał w swych listach [2]). „Wiklef prawdę powie“ — głosiła ona światu, nad którego niema większego mistrza „aż do dnia sądnego“. Następowały napaści na „niniejszych popów złości“, na kościół officyalny, „cesarskich popów“, na papieża, który ma moc swą od Antykrysta, a włości od Konstantyna, na fałsze głoszone przez duchownych po kościołach.

Prawdę popi tają
Iże się jej lękają
Lecz pospólstwu bają.

Takie więc skarby znajdowały się w księgozbiorze Andrzeja Gałki i takie myśli w jego głowie. Ale od tego do zbrodni jeszcze daleko i daleko do zgorszenia. Czy Gałka w obcowaniu z ludźmi zbyt głośno dzielił się swojemi jaskrawemi poglądami, czy w wykładach dał folgę swej zapalczywości, dosyć, że rzecz cała na wierzch wyszła. Źródła mówią o *malum, facinus, scandalum,* które nagle odkrytemi zostały. Zbigniewowi Oleśnickiemu doniesiono o niektórych błędnych naukach, które Gałka tajemnie głosił i szerzył [3]). Sam pisze, że donos zwracał się przeciw temu, „iż czytał i przepisywał traktaty mistrza Jana Wiklefa i podjudzał baronów królestwa przeciw księżom“ [4]). Zbigniew więc w skutek „instancyi“ Uniwersytetu postanowił tę działalność skarcić, a obierając drogę łagodną, kazał wyjechać Gałce do klasztoru Cyster-

[1]) Do tej literatury por. *Geschichtsschreiber der huss. Bewegung* 1, 622. Loserth l. c. 113, 270.
[2]) *Cod. univ.* II, 115 sqq.
[3]) *Cod. univ.* II, 106.
[4]) Ibid. 115.

sów do Mogiły, na odprawienie pokuty. Tymczasem zarządził wikary *in spiritualibus*, Jan Elgot rewizyę ksiąg Andrzeja i jego mieszkania w domu rajcy miejskiego Thesnara. Znaleziono tam traktaty i piosenki wspomniane. *Inhorrui admodum ad tam exsecrabiles et venenosos errores* — powiada Elgot. Bardziej obciążającem było to, iż odkryto kartki na traktatach, polecające, aby jeden dano Andrzejowi Tenczyńskiemu, inny Szafrańcowi i t. p. To już świadczyło o pewnej agitacyi i propagandzie. Elgot był przestraszony, bo mistrz Benedykt — może Benedykt Hesse — szepnął mu na ucho, „że i inni nie są zupełnie wolni od tej zarazy“ [1]). Elgot nie wiedział, co robić; czekał jednak pisma Zbigniewa przed przedsięwzięciem surowszych kroków. Kiedy to pismo z rozkazem ujęcia Gałki nadeszło, było już za późno. Opat i bracia zakonni nie pilnowali dostatecznie pokutnika, pozwolili mu nawet wozem do Krakowa się udać. Tyle tylko było potrzeba. W Krakowie zginął on z oczu i pokazał się po pewnym czasie aż na Szląsku, w Głogowie, w granicach księcia Bolesława czy Bolka Opolskiego, który go osłonił swoją opieką. Zaczęły się teraz listy o przytrzymanie i extradycyę zbiega, a z drugiej strony śmielsze manifesty Andrzeja, który teraz z otwartą wystąpił przyłbicą.

Zbigniew Oleśnicki zwrócił się z pismami do książąt szląskich i do biskupa wrocławskiego. To samo zrobił Uniwersytet w maju r. 1449. Uniwersytet zaraz po wybuchnięciu skandalu wykluczył był Andrzeja Gałkę z kollegium i grona magistrów (*de collegio et coetu magistrorum collegii artistarum*). Były to przejścia, dla wszechnicy ciężkie; zbliżała się bowiem ostateczna chwila, w której papieżowi złożyć należało obedyencyę. Magistrowie, sami w niezgodzie z Kościołem officyalnym, znaleźli jednak silne i stanowcze akcenta wobec owcy parszywej i zbłąkanej; jeżeli mówiono, że i inni magistrowie zarażeni są duchem kacerstwa, to duch ten nie znalazł wyrazu.

Odpowiedź Gałki, wystosowana 23 czerwca r. 1449 do biskupa krakowskiego, była pełną hardości. Protestował on przeciw karom na niego wymierzanym i zarzutowi kacerstwa;

[1]) *Cod. epist.* I, 2, 68—70.

nikt go nie sądził, ani zasądził. Jeżeli mu dadzą dostąpić do króla, to wytoczy całą niesprawiedliwość postępowania biskupa i potrafi się uniewinnić „nie przez wasze odpusty, kupione za pieniądze u papieża.... lecz za łaską Chrystusa Pana". Protestuje dalej przeciw gwałtom, spełnionym przez zagrabienie jego chudoby i książek; grozi, że znajdzie potężnych opiekunów, którzy zdołają te rzeczy wywindykować.

Pismo do Uniwersytetu odbija wobec tej czelności powagą pełną namaszczenia i ironii [1]). Zwrócone ono do najwybitniejszych przedstawicieli Uniwersytetu po części nam znanych, po części mniej zasługujących na dokładniejsze poznanie. „O Piotrze z Liptowa, Pawle z Kłobucka, Janie z Ludziska, Michale z Krosna, Wojciechu z Lisieca, Janie z Lgoty, Pawle z Piskowic, Bartłomieju z Radomia, Janie z Kent i Benedykcie z Krakowa (Hesse), którzy chcecie.... siedzieć na pierwszych stolicach w bóżnicach i pierwszych miejscach na wieczerzach!" [2]) — taką patetyczną inwokacyą pismo się zaczyna. Następuje protest przeciw sądowi magistrów, którzy piszącego kacerzem ogłosili. Nie bez zręczności i zgrabnej złośliwości wypomina im Andrzej z Dobczyna ich przeszłość i pewne grzechy przeszłości. „Waszemu pisaniu (o mojej osobie) żaden człowiek nie potrzebuje wierzyć, jak nikt nie jest zobowiązanym wierzyć traktatowi, któryście napisali przeciw papieżowi" [3]). Od protestu przechodzi piszący do pouczenia. Zaleca mistrzom krakowskim czytanie Wiklefa i odsłania im niektóre prawdy, które w traktatach Wiklefa znajdą. Ostrzega ich, aby nie niszczyli pism Wiklefa. Bo i w innych częściach

---

[1]) To i poprzednie pismo w *Cod. univ. Crac.* II, 110 i 113.

[2]) Marek, 12, 38.

[3]) Tego rodzaju konflikta w tym czasie rozstroju, choć przeważna liczba członków Uniwersytetu była za soborem, musiały się wydarzać. W r. 1449 (*Conclus. univers. Ms.*) zbuntował się bakałarz dekretów, Georgius de Michinicze, przeciw Uniwersytetowi. Zarzucono mu, że został bakałarzem *fraudulenter* i wykluczono z kollegium jurystów i z Uniwersytetu. On apellował *ad Sanctum in Christo patrem et dominum nostrum Nicolaum V.* Skazano go za tę apellacyę, a jeden z mistrzów nazwał Mikołaja V heretykiem. To jest odgłos walk i burz, które wtedy od czasu do czasu wstrząsały Uniwersytetem.

Polski znajdzie się dużo ksiąg jego — „a gdyby zostały u nas zniszczone, to treść ich pozostanie w woluminach Tomasza Valdensis“. O tem samem wspominał Gałka w liście do Zbigniewa; „Tomasz Valdensis — pisał — w którym są przytoczone zdania Wiklefa, pozostanie w kollegium artystów, bo tę księgę mistrz Kozłowski przywiózł z Bazylei“. Chodzi tu o pisma Tomasza z Walden, Karmelity, autora wielu ksiąg teologicznych i dzieła dogmatycznego przeciw Wiklefitom (około r. 1422) [1]). Egzemplarz, na który się Gałka powoływa, zachował się bez wątpienia po dziś dzień w bibliotece Jagiellońskiej [2]).

Miał Gałka to zadosyćuczynienie w swem martyrium, że uległ podobnemu losowi, jak jego mistrz i bohater Wiklef, który w r. 1382 złożony został z katedry uniwersyteckiej w Oxfordzie. Zresztą innej miary to ludzie. Wiklef miał rozległą naukę, a działanie jego nie przeszło bez skutku, zawrzało ruchem Lollardów i hussycką zawieruchą. Występ Gałki minął bez doniosłych skutków, prawie ograniczył się do piosenki, i, rzecby można, skończył piosenką — ową *cantilena vulgaris*. Musiał jednak Gałka ruszać się jeszcze w Głogowie, sięgać swą agitacyą Wielkopolski; w r. 1450 bada sąd arcybiskupi gnieźnieński duchownego Marcina ze Śremu, podejrzanego o herezyę, czy miał z Gałką stosunki — *an conversatus est magistro Galcze* [3]).

W drugiej połowie r. 1449 zapanował więc znów w Uniwersytecie spokój, spokój zamącony długotrwałą rozterką soborową i tym krótkim epizodem hussyckim. Rok ten, pamiętny w dziejach utworzeniem Mniejszego Kollegium, stanowił, jak widzimy, pod wielu względami epokę przełomu w dziejach krakowskiej wszechnicy.

Lata Zbigniewa były już policzone. Wielki dobroczyńca i opiekun Uniwersytetu przy schyłku swego życia ustępował

---

[1]) Hergenröther: *Handbuch der Kirchengeschichte*, II, 792 i 872.

[2]) Rpis. Nr. 1760: „Doctrinale antiquitatum ecclesiae de sacramentis“ (z Bazylei).

[3]) Ulanowski: *Acta iud. eccles.*, str. 172, 173.

coraz bardziej ze stanowiska przewodniego w sprawach publicznych, gwiazda jego, jak się przekonamy niebawem, bladła coraz bardziej, bo nowe światła przewodnie zajaśniały i prowadziły ludzi. Na walce i szamotaniu się z temi prądami i hasłami zeszły mu ostatnie lata życia. Wierność jego dla Uniwersytetu, wierność przewodnika i opiekuna zarazem, gotowego do wszelakiej posługi i usługi, pozostała tymczasem niezmienioną i niezłomną. Przedostatni rok jego życia, r. 1454, zaznaczył się kilkoma aktami, ukazującemi w pełnem świetle jego gorliwość i ofiarność. Dnia 7 lutego tego roku fundował on stałe beneficyum i stanowisko kaznodziei w kościele katedralnym krakowskim. Biskupi i kapituła mieli tego kaznodzieję mianować; nikt jednak nie mógł godności tej dostąpić, ktoby nie był magistrem teologii, doktorem dekretów lub przynamniej mistrzem *in artibus*. Paweł z Zatora, słynny ze swej wymowy w polskim języku, wstąpił jako pierwszy na to nowe stanowisko [1]). Był to jeden krok naprzód w szeregu dążeń i usiłowań, aby językowi polskiemu zapewnić jego prawa i poszanowanie, aby wśród wiernych szerzyć słowo Boże w słowach dla nich zrozumiałych. Długosz wyraźnie to stwierdza, uskarżając się na dotychczasowe stosunki, na rzadkość wykształcenia wśród Polaków, którzy przeważnie światowemi i świeckiemi sprawami się zajmowali, na wykształconych i zakonników „w największej części cudzoziemców“, którzy łacińskiego używali języka [2]). Zbigniew Oleśnicki tedy w najprzedniejszym kościele krakowskim wyposażył stałą polską mownicę i mowcę. A przez warunek, że kaznodzieja miał posiadać akademickie stopnie, zapewnił on Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, który tak wielką rolę w dziejach stworzenia wymowy polskiej odegrał, pewien związek z nową posadą i nowem beneficyum.

W maju tegoż roku nastąpiły ważniejsze jeszcze zarządzenia Zbigniewa. Spisując wtedy ostatnią swoją wolę, obfitą w zapisy na cele religijne i humanitarne, postanowił on między innemi ubezpieczyć los i przyszłość wielkiej bursy dla studentów, która do dotychczasowych instytucyj tego rodzaju

---

[1]) *Cod. univ. Crac.* II, 140.
[2]) Długosz: *Opera*, 7, 261.

przydawała poważny i największy przybytek. W tym celu zakupił był Zbigniew już przed r 1454 dom i miejsce, zwane Jeruzalem [1]) na ulicy Jagiellońskiej i Garncarskiej, dzisiejszej Gołębiej. Na przyrządzenie i uporządkowanie wydano już dotychczas tysiąc grzywien. Teraz przeznaczył Zbigniew znów nowe tysiąc grzywien na budowę, na utrzymanie studentów zapisywał całe swe srebro, dla biblioteki bursy cały swój cenny księgozbiór [2]). Do hojnych zapisów przyłączył równie cenną po sobie pamiątkę. „Chcemy — pisał w swym testamencie — aby berło z herbem i znakami papieża, króla i naszemi, które noszono przed nami, dostało się Uniwersytetowi, aby bez wszelkiej zmiany kształtu tam na wieczne czasy je przechowywano, a skoro potrzeba się nadarzy, noszono przed osobą rektora i mistrzów Uniwersytetu". I po dziś dzień to berło Zbigniewa Oleśnickiego [3]), noszone niegdyś przed znakomitym mężem, który Uniwersytetowi przewodził, a bywał chorążym nowych myśli i nowych ruchów, towarzyszy Uniwersytetowi w dobrej i złej doli, przeżyło i przetrwało wielkie przełomy XVIII wieku, upadek państwa i kraju, aby epigonów nieszczęścia naprzód prowadzić i przypominać im przeszłość, co serca wiąże a myśli uskrzydla.

Dr. Kazimierz Morawski.

---

[1]) Takie denominacye w wieku częstych pielgrzymek na Wschód były częste. Dom królowej Jadwigi, założony w Pradze w r. 1497 dla Litwinów, miał też nazwę Jeruzalem.

[2]) *Cod. univ. Crac.* II, 156.

[3]) Opis jego przez Dr. Karbowiaka: *Kronika Uniwersytetu Jagiellońskiego* (1887), cz. II, str. XVII.

Uniwersytet Jagielloński

w czterech ostatnich wiekach.

I.

W r. 1514 [1]) — na rok przed pamiętnym zjazdem wiedeńskim, w którym dyplomacya habsburska, niemiecka, święciła tryumf z powodu zwycięstwa, odniesionego nad dyplomacyą polską, jagiellońską — mogła Rzeczpospolita obchodzić jubileusz półtorawiecznego istnienia w kraju wyższej instytucyi naukowej, której początki, wcześniejsze od pierwocin wszystkich tego rodzaju instytucyj czysto niemieckich (pragskiego uniwersytetu do nich nie zaliczamy), były ongi tryumfem kultury polskiej wobec o wiele starszej kultury germańskiej. Mogła Rzeczpospolita obchodzić taki jubileusz tem śmielej i weselej, że świetny rozwój Akademii Jagielloń-

[1]) Jubileusz Uniwersytetu Jagiellońskiego wywołał całą literaturę, poświęconą jego dziejom. Wydane jednak po dziś dzień dzieła i opracowania, jakoteż ważniejsze zapowiedziane, których treść jest nam znana, w bardzo przeważnej części odnoszą się tylko do pierwszego okresu tych dziejów, zamkniętego w obrębie XIV. i XV wieku. Ponieważ nie mamy dotąd żadnego naukowego opracowania, obejmującego całość historyi Uniwersytetu, wydało mi się, że spełnię rzecz pożyteczną, jeśli podejmę próbę odtworzenia dalszych faz w rozwoju Szkoły krakowskiej, począwszy od wieku XVI, w ogólnym przynajmniej, szkicowym zarysie. Jakkolwiek chodziło mi głównie o objęcie samej tylko li-

skiej w ciągu pierwszych stupięćdziesięciu lat jej nieprzerwanego bytu, przynosił zaszczyt i tej jedynej wówczas Szkole głównej koronnej i całemu w ogóle społeczeństwu polskiemu, które dobywało z siebie dla niej materyalne i moralne zasoby.

Była Akademia w XV wieku w istocie taką, jaką ją chciał mieć założyciel, Kazimierz Wielki: była „perłą nauk przemożnych“ i wydawała „mężów dojrzałością ducha znakomitych, świetnością cnót ozdobionych i biegłych w różnych wiedzy gałęziach“; była „matką-żywicielką“ nie tylko dla synów polskiej ziemi, ale i dla przybranych dzieci i wychowańców, garnących się do niej tłumnie ze wszystkich krajów postronnych; była „nieprzebranem źródłem nauk“, do którego przybywali po wodę prawdy i wiedzy nietylko młodzieńcy, ale nawet i dojrzali uczeni, aby się nauczyć jeszcze więcej. Znali ją równie dobrze obcy, jak swoi; znali ją historycy Kościoła, bo na przednich kartach dziejów soborów powszechnych z XV wieku jaśniały nazwiska profesorów tej Akademii; znali ją statyści i dyplomaci, z niemieckiego zwłaszcza obozu, bo przewodnik krakowskiej Szkoły odsłonił kiedyś przed światem wymownem słowem lichotę i niegodziwość tej polityki, która dla nich stanowiła przedmiot podziwu; i znali ją i czuli dla niej wdzięczność przedewszystkiem ludzie nauki, bo albo z niej wynieśli dla siebie światło, albo też dzięki jej pośrednictwu sami nabywali szerszego rozgłosu, należycie rozumiani i oceniani przez mistrzów polskiej Szkoły, która stała na wysokości europejskiej nauki i wszelkie nowe

---

teratury przedmiotu i oparcie na niej mojego szkicu, musiałem wobec braków i niezupełności dotychczasowych opracowań sięgać tu i owdzie do źródeł łatwiej dostępnych, to jest wydanych drukiem. Z góry jednak zastrzegam się, że szkic niniejszy, kreślony bez pretensyi do tytułu źródłowej monografii, o charakterze okolicznościowego artykułu — dalekim jest od wyczerpania całego materyału źródłowego, choćby nawet uprzystępnionego w publikacyach naukowych. Stósownie do założenia, nie sięgam w nim wstecz po za wiek XVI, z góry przeświadczony, że książka prof. Kazimierza Morawskiego o Uniwersytecie Jagiellońskim w XV wieku dotychczasową lukę w naszej wiedzy o średniowiecznym okresie dziejów tej instytucyi zapełni najdokładniej i najlepiej.

jej zdobycze umiała sobie w czas i szybko przyswajać, otwierając gościnne swoje progi także i dla nowatorskich prądów humanizmu.

W r. 1514 nie było już w Akademii profesorów tej miary, co Tomasz Strzępiński, Jakób z Paradyża lub Wojciech z Brudzewa, ani tak wyjątkowych słuchaczy, jak Mikołaj Kopernik lub Konrad Celtes, który jako głośny uczony nie uważał za niegodne siebie wpisać w r. 1489 swego nazwiska do *Album studiosorum* [1]; ale dawał się słyszeć z katedry znakomity filolog i teolog Jan z Oświęcimia (Sacranus); miewał wykłady utalentowany poeta polsko-łaciński, Paweł z Krosna [2], zadziwiał słuchaczy wielostronnością wiedzy Maciej z Miechowa, równie biegły w nauce historycznej, jak w medycynie [3]; nauczał prawa były rektor Akademii bolońskiej, Garcias Quadres, Hiszpan z pochodzenia, i wybierał się do Polski z powrotem były scholar krakowski, Rudolf Agricola z Weissenburga Młodszy, aby okazać Szkole Jagiellońskiej, na jakiego z niej wyszedł uczonego [4]. Obok tych znamienitszych, działa cały zastęp skrzętnych, pracowitych profesorów i magistrów, z których nie jeden później stał się prawdziwą chlubą Akademii. Pamiętano nadto jeszcze w Szkole niedawne wykłady tak głośnych humanistów, jak Wawrzyniec Rabe (Corvinus) lub Jan Sommerfeld (Aesticampianus) i tak biegłych prawników, jak Jan Sylvius Sycylijczyk, doktor praw padewski; bo wszyscy ci uczeni zasiadali na katedrach profesorskich w Krakowie jeszcze w początkach XVI wieku [5].

Panował więc w Akademii Jagiellońskiej u wstępu do nowego stulecia ruch wcale ożywiony, postępowy, który świadczył o zdrowej jeszcze żywotności tej sędziwej już bądź co bądź, przynajmniej na miarę ludzką, instytucyi. I zdawać się mogło, że odnowiony właśnie niedawno staraniem Fryderyka Jagiellończyka gmach Collegium Większego, wtórował

[1]) Por. w wydawnictwie *Album studiosorum*, T. I, str. 291.
[2]) X. J. Fijałek: *Studya do dziejów Uniwersytetu*, str. 40.
[3]) Karbowiak: *Wykaz rektorów*, str. XXXV (w *Kronice Uniwers. Jag. od r. 1864—1887)*.
[4]) J. Szujski: *Odrodzenie i reformacya* (w wydaniu zbiorowem dzieł), str. 32 i 34.
[5]) K. Morawski: *A. P. Nidecki*, str. 5—7.

świeżością swoją świeżości tych sił i inteligencyj, co w nim służyły polskiej i europejskiej nawet poniekąd nauce. I europejskiej także — bo ciągle przecie wśród różnolitego tłumu słuchaczy znaczny zastęp stanowili przybysze z obczyzny, którzy roznosili nabytą w Polsce wiedzę daleko nieraz po za jej gościnne granice. Ogólna frekwencya młodzieży maleje wprawdzie po dwóch najludniejszych latach i 1499 i 1500; ale w ciągu pierwszej ćwierci wieku XVI liczba nowo wpisanych trzy razy tylko spada poniżej dwóch setek, a zresztą stale waha się w granicach dwóchset i czterechset; i raz, w r. 1517 dosięga nawet wyjątkowo cyfry 488 [1]); a można zarazem stwierdzić na podstawie wydanych wykazów w *Album studiosorum*, że cudzoziemcy składali się, po rok 1550 przynajmniej, stale na wcale znaczny procent w tych liczbach.

Organizacya Uniwersytetu nie doznała w ciągu pierwszej połowy XVI wieku żadnej ważniejszej odmiany. Co do podziału na wydziały, ustroju i hierarchii władz, jakoteż kollegiów profesorskich, co do porządku stopni, sposobu egzaminowania i wreszcie co do zakresu uprzywilejowania — zachowuje Akademia spuściznę poprzedniego stulecia. Pojawiają się od czasu do czasu wprawdzie nowe statuta Wydziałów, ale są one tylko albo sformułowaniem albo poprawnem powtórzeniem lub wreszcie uzupełnieniem w szczegółach istniejących już dawniej przepisów. W r. 1521 przyszło do ponownego ułożenia statutów dla Wydziału teologiczoego; ale we wstępnym ich rozdziale czytamy wyraźnie, że przedsięwzięto całą robotę w tym jedynie celu, aby przepisy „w sposób bardziej odpowiedni uporządkować i nadać im lepszą, szerszą i lepiej uregulowaną formę“ [2]). Uzupełniającemi, ale nie reformującemi były również „ustawy czyli artykuły“ Wydziału lekarskiego, ułożone i ogłoszone w r. 1525 [3]); a już znaczenie

[1]) Cyfry powyższe, oparte są na dokładnem obliczeniu ilości słuchaczy, wymienionych pod każdym rokiem z osobna w t. zw. *Album studiosorum* (którego części wydane w 2 tomach sięgają, jak wiadomo, tylko do r. 1550).

[2]) Por. wydanie tekstu tych Statutów w *Archiwum do dziej. lit. i ośw.* T. I, str. 73—82.

[3]) Tekst wydany w *Roczniku Wydz. lek. Uniw. Jag.* T. VII, str. 36—52.

czysto drobiazgowe miały te liczne „konkluzye“ i nawet nazwane szumnie *Statuta pro reformatione facultatis artisticae*, które uchwalano czy też zatwierdzano kolejno w latach 1502—1504, 1506, 1536, 1538, 1548, 1550, 1569, 1572 i t. d.[1]) Pozostała więc Akademia i nadal taką, jaka była w poprzednim wieku: ze swoją organizacyą hierarchiczną, z dawnym dwoistym podziałem na wydziały i kollegia (dwoistym faktycznie, bo jedne i drugie miały swoje osobne władze i przywileje), z opartym na fundacyjnych przywilejach rozległym samorządem, ze swojemi, posuniętemi aż do drobiazgowej pedantyczności przepisami co do porządku wykładów i dysput, co do sposobu odbywania egzaminów i nabywania stopni, co do formalności officyalnych obrzędów i obchodów.

Znaczniejsza była tylko — w porównaniu ze stanem początkowym — ilość katedr i zwłaszcza miejsc dotowanych w kollegiach. Wydział prawniczy i medyczny zachował wprawdzie skład pierwotny, z czasów Władysława Jagiełły; pierwszy z siedmioma katedrami (po wczesnym upadku ósmej), drugi z jedną jedyną[2]). Przybyła natomiast w r. 1422 jedna katedra Wydziałowi toelogicznemu do dawniejszych dziesięciu; a Wydział filozoficzny, który wedle przywileju Kazimierza Wielkiego miał spoczywać na barkach jedynego profesora, a w Jagiellońskim nie doznał żadnego uzupełnienia, urósł znacznie w ciągu wieku XV dzięki nowym fundacyom i zapisom, bo liczył w czasach Kopernika przeciętnie już około 20 katedr[3]). Słowem, było razem w początkach wieku XVI

[1]) Wszystkie wydane w *Roczniku Tow. Nauk. Krak.* og. zb. T. XVI (r. 1841), str. 335—376.

[2]) X. Putanowicz: *Stan wewnętrzny Studii generalis*, rozdział XI. — Oettinger: *Rys dawnych dziejów Wydz. lekar. (Rozpr. Wydz. filol.* t. VI) str. 215—216.

[3]) X. Putanowicz, rozdział X i XIII (paragraf z rzędu trzeci). Muczkowski: *Mieszkania uczniów*, str. 18—22. W *Liber diligentiarum* (str. 3—11) pod datami czterech pierwszych półroczy 1487—1489 wymienieni są wszyscy „collegiati maiores“, „regales“ i „minores“ Wydziału filozoficznego; było ich po kolei w tych półroczach 23, 19, 23, 17 („extraneów“ natomiast 14, dwa razy 19 i 9).

płatnych posad profesorskich co najmniej 39[1]). Rozumie się, że cyfra ta nie może dać pojęcia o liczbie wszystkich wykładających w uniwersytecie: bo obok profesorów dotowanych, miewali wykłady także profesorowie tak zwani „zewnętrzni“ *(extranei)*, doktorowie i magistrowie nieopłacani, których bywało wprawdzie w XVI wieku mniej, ale w późniejszych czasach z pewnością więcej, aniżeli profesorów stałych, zwyczajnych[2]).

Nie znać natomiast w początkach XVI wieku żadnej zasadniczej różnicy w samym systemie nauczania. Na Wydziale filozoficznym króluje dalej Arystoteles. Dla objaśnienia, a niekiedy raczej zamglenia i zagmatwania filozofii wielkiego Greka używa się, jak dawniej, pomocy Jana Dunsa Skota i całego zastępu jego zwolenników, takich, jak Bonetus, Dorbellus, Sirectus, Tartaretus, Trombeta i inni[3]). Na Wydziale prawniczym kładzie się ciągle jeszcze wyłączny nacisk na prawo rzymskie i kanoniczne; profesor Wydziału fizycznego komentuje wytrwale jedne i te same zawsze powagi Hippokratesa, Galenusa i Avicenny.

Wiek XVI przynosi jednak i pewne odmiany. W pierwszej jego połowie przybywa Akademii nieco nowych katedr i trochę nowych źródeł dochodów. W r. 1505 funduje Maciej z Miechowa, ówczesny rektor, drugą katedrę na Wydziale fizycznym (czyli medycznym), a później w r. 1522 pomnaża hojnym darem dotacyę katedry astrologii[4]). W r. 1512 kapituła św. Floryana wyznacza fundusz t. zw. *professio canonicatus de Rhenis* na utrzymanie jednego profesora na Wy-

---

[1]) Marycki liczył w r. 1551 nieco więcej, bo „41 ordinarii“ czyli zwyczajnych profesorów (K. Morawski: *A. P. Nidecki*, str. 13). Na wiecu akademickim w r. 1578 pojawiło się profesorów płatnych i „extraneów“ wszystkich fakultetów 61 (K. Morawski: *J. Górski*, str. 27).

[2]) Muczkowski: *Mieszkania*, str. 30—31. — H. Kołłątaj: *Stan oświecenia w Polsce za Augusta III*, t. I, str. 246.

[3]) W. Wisłocki: *O wydawnictwie Liber diligentiarum (Pamiętnik Akad. Umiej. filol.* t. VI), str. 93—94.

[4]) *Codex diplom. Univers. Cracov.*, t. III, str. 231—234, t. IV, str. 92—96. — Oettinger: *Rys dawnych dziejów Wydz. lek.* (i t. d. jak wyżej), str. 301—302.

dziale filozoficznym [1]) W latach 1512 i 1543 znowu otrzymują Collegia Mniejsze i Jurydyczne nowe datki na „stół“ z zapisu Stanisława Bieli i Jakóba z Bełza; w r. 1531 występuje kapituła krakowska z wieczystą darowizną dochodów z parafii w Zielonkach na rzecz Collegium Większego. Idą za temi fundacyami dalsze dary i zapisy Mikołaja Bedleńskiego, Andrzeja z Żytna, Łukasza Noskowskiego, Jana Kaffmana, wszystkie z pierwszej połowy XVI wieku [2]). Pamiętają też o Akademii monarchowie i niektórzy przynajmniej z biskupów krakowskich, urzędowych jej opiekunów. Nie doświadczyła, zdaje się, Szkoła krakowska królewskiej hojności Zygmunta I; ale doświadczyła szacunku i życzliwości w nadanym jej w r. 1535 przywileju, który zapewniał szlachectwo każdemu profesorowi, zasłużonemu 20-letnią pracą nauczycielską [3]).

Z pośród biskupów kanclerzy dwaj szczególną troskliwość stale okazywali Akademii, a mianowicie Piotr Tomicki i Samuel Maciejowski; był jej mecenasem nawet i Gamrat. Tomicki (zasiadający na stolicy biskupiej w latach 1524—1535) wyposażył w r. 1533 sowicie jedną z katedr Wydziału prawniczego [4]). Kardynał Hozyusz w jednym z listów swoich podaje go za prawdziwego dobroczyńcę uczącej się młodzieży. Łożył on na utrzymanie i wykształcenie ubogich uczniów; wysyłał zdolniejszych na naukę za granicę, sprowadzał własnym kosztem i opłacał profesorów. Maciejowski (1545—1550), którego współczesny Illicinus mieni „biskupem i uczonym i żądnym wszelkiej wiedzy“, nie szczędził również swego grosza dla przysporzenia Akademii nowych sił nauczycielskich [5]).

Wytrwała protekcya wysokich dygnitarzy niepośledniego wykształcenia, wcale ochocza ofiarność przyjaciół i wychowańców Akademii na jej cele naukowe, świadczy bądź co

---

[1]) X. Putanowicz: *Stan wewnętrzny* etc., rozdz. XIII (paragraf z rzędu trzeci).
[2]) *Codex diplom. Univ. Crac.*, t. IV, str. 111—116, 123—132, 179—183.
[3]) Tamże, t. IV, str. 138—140.
[4]) Tamże, t. IV, str. 117—122.
[5]) K. Morawski: *A. P. Nidecki*, str. 34—39.

bądź o tem, że w pierwszej połowie XVI wieku najbliżsi tej Szkoły ludzie uważali ją za instytucyę ze wszech miar godną poparcia i wierzyli w jej najwyższe posłannictwo kulturalne.

Czy w istocie szła z postępem czasu tak raźnym krokiem, jak w XV wieku, czy stała ciągle na wysokości współczesnej nauki? Czy była tak doskonalą przewodniczką wszystkich prądów umysłowych, które poruszały ówczesną Europą, jak ongi, w czasach wielkich soborów powszechnych, w czasach Grzegorza z Sanoka i Zbigniewa Oleśnickiego?

Dwa były prądy umysłowe, które nurtowały społeczeństwa europejskie w pierwszej połowie XVI wieku: działający już od wieku, ale zawsze jeszcze pełen pociągającej siły prąd humanizmu i świeży, gwałtowny, porywający swoją nowością, prąd religijno-reformacyjny.

Wobec Reformacyi zachowywała się Akademia od początku odpornie i trwała niewzruszenie na stanowisku katolickiem. Znalazł się wprawdzie, między r. 1523 a 1528, wśród jej profesorów jeden zwolennik religijnych „nowinek“ (Jakób z Iłży Młodszy); ale też naraził się wskutek tego w parę lat później na proces i na proskrypcyę z Uniwersytetu „z powodu herezyi“ [1]). W r. 1538 przyjął na siebie rektorat obowiązek cenzurowania książek, sprzedawanych w księgarniach krakowskich [2]). W połowie wieku polecała kapituła krakowska Synodowi prowincyonalnemu jako najbardziej uzdolnionego teologa Benedykta z Kaźmierza profesora Uniwersytetu [3]). W latach ośmdziesiątych jeszcze występował niestrudzony Jakób Górski — największa ówczesna chluba Akademii — z polemicznemi pismami przeciw herezyarchom, co mu nie ujęło, lecz owszem przysporzyło w gronie kolegów popularności [4]).

Pozostała więc Akademia w ciągu całego burzliwego okresu walki katolicyzmu z prądem reformacyjnym na ziemi polskiej wierną sługą Kościoła. Było w tem może trochę tej

[1]) W. Wisłocki: *O wydawnictwie Liber diligentiarum*, str. 91—92. J. Szujski: *Odrodzenie i Reformacya*, str. 58.
[2]) J. Szujski, tamże, str. 59.
[3]) J. Szujski, tamże, str. 72.
[4]) K. Morawski: *Jakób Górski*, str. 33.

naturalnej siły ciężkości, która wdraża wszelkim wogóle korporacyom przywiązanie do zasad raz uznanych i przyjętych i wobec wszelkich nowości, z zewnątrz narzucanych, pobudza do zasklepienia się w sobie; można też nieco z tej stałości religijnej położyć na karb faktu, iż Akademia podlegała zwierzchnictwu biskupów krakowskich, którzy mieli jako kanclerze łatwą możność kontrolowania podwładnych profesorów i wczesnego usuwania podejrzanych pod względem prawowierności; ale, jakiekolwiek przyczyny składały się na podtrzymanie w Akademii ducha katolickiego, w żadnym razie nie wolno pomawiać jej wychowańców i profesorów o to, jakoby odporność ich wobec nowatorskich prądów reformacyjnych była tylko skutkiem jakiejś biernej wyłączności, nieznajomości haseł i argumentów, któremi szermowali przeciwnicy Kościoła, ignorowania zasadniczych problematów czasu i obojętności na cierpienie duchowe nękanej trucizną zwątpienia ludzkości.

Nie wolno pomawiać Akademii w XVI wieku o taki bierny konserwatyzm, bez siły czynnej, rozmyślnej i bez przekonania po prostu dlatego, ponieważ równocześnie dawała ona jeszcze ciągłe dowody wcale znacznej czułości i wrażliwości na inne prądy umysłowe, które płynęły po części z tych samych stron i źródeł, co i prądy reformacyjno-religijne. Mamy na myśli wpływy humanizmu.

Wrota Akademii nie były dla tych wpływów nigdy na oścież otwarte, ale nie były też nigdy całkowicie przed niemi zamknięte. Humanizm dostał się na Uniwersytet Jagielloński prędzej niż na niejeden z uniwersytetów niemieckich, skoro Grzegorz z Sanoka mógł zjednywać dla niego z katedry zwolenników i znawców już w drugiej ćwierci XV wieku, a przed końcem tego stulecia, w dziewiątem jego dziesięcioleciu, był czas, kiedy się zdawać mogło, iż kult klassycznej literatury bierze górę nad kultem odwiecznych powag scholastycznych [1]).

Nastąpił wprawdzie zaraz potem zastój w tym ruchu postępowym, ale nie na długo. Po krótkotrwałej reakcyi starego systemu, w początkach wieku XVI humaniści wystę-

[1]) K. Morawski: *A. P. Nidecki*, str. 3—4.

pują znowu liczniej na katedrach Uniwersytetu, zastęp ich rośnie z każdym niemal rokiem, powtarzają się raz po raz wykłady, oparte na zapoznawanych dotąd autorach — a z drukarni krakowskich wychodzą jedne po drugich wydania dzieł łacińskich klassyków; przybywają też w gościnę albo na stały pobyt do Krakowa uczeni zagraniczni i obejmują chętnie w Akademii obowiązki nauczycielskie. Był takim przybyszem z obczyzny Jan Silvius Sycylijczyk, doktor praw padewski, który około r. 1506 miewał wykłady. Około r. 1511 zawitał do Krakowa z kolei Garcias Quadres, były rektor uniwersytetu bolońskiego, około r. 1518 nauczał Piotr Royzyusz, Hiszpan z pochodzenia, prawnik-humanista. W r. 1519 objaśniał Owidyusza Rudolf Agricola z Weissenburga (Młodszy)[1]). Brali się obok tych cudzoziemców do krzewienia humanizmu z katedr także magistrowie krakowscy. Pod r. 1510 naliczył Szujski szesnaście samych humanistycznych wykładów. Dzieła Owidyusza, Horacyusza, Wergilego, Cycerona, to ich najzwyklejsze tematy[2]). Ale już przy dacie r. 1504 spotykamy się po raz pierwszy w *Liber diligentiarum* z nazwiskiem Homera, które później powraca jeszcze w r. 1521 i 1527; sąsiaduje z niem imię Hezyoda pod r. 1520. Studya hellenistyczne uprawiali mianowicie w tych czasach Jakób z Sieradza i Antoni z Napachania[3]). Znajdujemy wśród tych prelegentów także znaną postać Pawła z Krosna, poety łacińsko polskiego, który w czasie między r. 1511 a 1517 czytał na przemiany Wergiliusza, Claudyusza, Owidyusza i Lukana. Dotrzymywał mu towarzystwa współczesny Walenty Wróbel z Poznania, zajmujący się więcej łacińskimi prozaikami. W r. 1518 rozpoczyna swoje wykłady świetny humanista, Rudolf Agricola Młodszy[4]).

I w dalszych czasach nie traci neoklassycyzm zwolenników w pośród profesorów i uczniów Akademii. W *Liber diligentiarum*, którego część wydaną z czasu po r. 1563 mamy pod ręką, powtarzają się dosyć stale do końca ulu-

[1]) K. Morawski: *A. P. Nidecki*, str. 7. — J. Szujski: *Odrodzenie i Reformacya*, str. 32—34.
[2]) W. Wisłocki: *O wydawnictwie Liber diligentiarum*, str. 91.
[3]) W. Wisłocki, l. s. cit. K. Morawski: *A. P. Nidecki*, str. 8-9.
[4]) K. Morawski: *A. P Nidecki*, str. 8—9.

bione temata wykładów humanistycznych. Dr. W. Wisłocki stwierdza, że „na liczbę a nawet co do jakości wykłady te się nie zmniejszyły, lecz owszem, od r. 1525 mniejwięcej, nawet znacznie się wzmogły; od tego czasu bowiem i częściej czytają magistrowie krakowscy autorów klassycznych i czytają takich pisarzy, których przedtem nie wykładali, jak Cebesa, Demostenesa, Plutarcha, Teognidesa Megareńskiego, Teokryta i innych“ [1]). Po r. 1520 stają się częstszemi prelekcye, poświęcone dziełom poetów greckich. Co prawda, co do greczyzny i hebrajszczyzny, którą także wprowadzić usiłowano do Akademii, nie sposób nie zauważyć, że przyjmowano je, zrazu przynajmniej i dość długo, z jakiemś niechętnem uprzedzeniem. Homer i Hezyod występują w *Liber diligentiarum* tylko sporadycznie; do wyjątków także należą wykłady gramatyki greckiej i hebrajskiej. Usiłowania Tomickiego, zwolennika językowych studyów, nie wydały trwałych owoców: za jego wpływem zapewne ogłosił magister Waleryan z Krakowa w r. 1536 wykład gramatyki hebrajskiej; ale prelegent ten i sam nie pozostał wiernym swej specyalności i nie zostawił żadnych następców. W r. 1546 musiał biskup Maciejowski sprowadzać do wykładów języka hebrajskiego Franciszka Stankara z Werony, z którym także się nie poszczęściło, bo z powodu herezyi trzeba go było wnet wyłączyć z grona nauczycielskiego [2]).

W latach trzydziestych występuje na widownię akademicką Benedykt z Koźminka, biegły filolog — tensam, który nawet w testamencie swoim o pismach scholastycznych wyraził się z lekką pogardą, żegnając je życzeniem, „aby zasypiały snem Epimenidesa“ [3]). W tymsamym czasie rozpoczyna swą działalność nauczycielską dwóch Polaków-humanistów, godnych zająć miejsce w rzędzie prawdziwych luminarzy Szkoły krakowskiej, a mianowicie: Szymon Marycki i Wojciech Nowopolski. Marycki, profesor w ciągu całego piątego dziesięciolecia XVI wieku, nie zadawalał się lekturą klassyków łacińskich, lecz uprawiał nadto kult De-

---

[1]) *O wydawnictwie Liber diligentiarum*, str. 102, przyp. 10.
[2]) K. Morawski: *A. P. Nidecki*, str. 35 i 38.
[3]) M. Wiszniewski: *Historya liter. polskiej*, t. VI, str. 127.

mostenesa i zyskał sobie sławę tak gorącego miłośnika i krzewiciela studyów klassycznych, że Piotr Royzyusz do jego wystąpienia dopiero odnosi zwrot ku humanizmowi w Akademii; Nowopolski, współczesny Maryckiemu, ale o ośm lat dłużej czynny jako prelegent, z nadzwyczajnem zamiłowaniem oddawał się wprawdzie studyom cycerońskim, lecz budził podziw szczególnie dla wszechstronności swego umysłu, którym obejmował nie tylko literaturę starożytną, ale i nauki przyrodnicze i teologię [1]). Pierwszy ustąpił z katedry już w r. 1550, drugi w r. 1558, ale obaj pozostawili w Akademii kolegów albo uczniów, którzy podtrzymywali dalej neoklassycyzm. W rok po ustąpieniu Nowopolskiego wygłosił profesor Andrzej Troper przed swoją promocyą na doktora teologii mowę, zachęcającą młodzież do studyowania „wyższych i poważniejszych nauk“ *(maiora et graviora studia)*, a w szczególności dzieł nie tylko Arystotelesa, ale także Platona, Ptolomeusza, Cycerona i Wergiliusza. „Bo zlatujecie się gromadnie — mówił [2]) — gdy się wykładają nauki początkowe, gramatyka i syntaksyma, które już dobrze umieć powinniście; gdy zaś wyższe muzy występują na scenę, rzecz dziwna, jaka w Akademii cichość panuje; rzekłbyś, że się wszyscy spiknęli na potłumienie nauk wyższych, a jednakże już tam macie nie cień, jako w prawidłach, ale samo światło; tam obraz zaciemniony, tu prawdziwy; tamte nauki (to jest filozofia scholastyczna) tylko w szkołach się przydadzą, te w społeczeństwie, na sądach, w senacie, na dworze, słowem wszędzie“.

Dwudziestolecie od r. 1560—1580 można poniekąd uważać za okres nowego, względnego przynajmniej rozkwitu studyów humanistycznych w Akademii. W tym okresie nauczają bowiem z katedr, po części współcześnie, tacy znawcy i miłośnicy starożytnej literatury klassycznej, jak Jakób Górski, Benedykt Herbest, Grzegorz z Sambora i Stanisław Grzebski. Górski, którego działalność nauczycielska zaczęła się już w r. 1554, a trwała z małemi przerwami do r. 1585, wykładał wprawdzie od czasu do czasu pewne działy filo-

[1]) K. Morawski: *Jakób Górski*, str. 4; tenże: *A. P. Nidecki*, str. 11.

[2]) M. Wiszniewski: *Historya liter. polskiej*, t. VI, str. 79.

łozofii Arystotelesowej; ale obok nich miewał równocześnie wykłady cycerońskie, a w pracach z zakresu retoryki posługiwał się dziełami znanych humanistów i filologów z ostatniej doby [1]). Wielogórski mienił go w r. 1575 „rodzicem wytworniejszych nauk i umiejętności wymowy“ i nawet wprost utrzymywał, że „przezeń to owe nauki zostały wskrzeszone i poczęły kwitnąć w wykwintnych pismach“ [2]). Benedykt Herbest, czynny w Akademii od r. 1559—1562 (z niewielką przerwą), podczas krótkotrwałej profesury uprawiał także ze szczególną predylekcyą kult Cycerona [3]). Stanisław Grzebski w czasie między r. 1565 a 1570 oddawał się natomiast głównie studyom hellenistycznym. W metryce Uniwersytetu przydał jakiś wielbiciel do jego nazwiska notatkę: *vir graecarum litterarum peritissimus* [4]). Grzegorz z Sambora, ściśle współczesny Grzebskiemu, płodny poeta łaciński (profesor od r. 1564—1573), znał także język grecki i hebrajski i niezawodnie błyszczał na katedrze tymsamym talentem, którym nacechowane są jego poetyczne utwory [5]). Wpływ tych nauczycieli, a zwłaszcza Jakóba Górskiego, na podtrzymanie studyów humanistycznych w Akademii, znać w jednej z uchwał Wydziału filozoficznego, powziętej w ciągu lata r. 1579. Wedle uchwały tej miało być dozwolonem na przyszłość „wszystkim profesorom tak kollegialnym jak zewnętrznym wykładać mowców, poetów, historyków, według dowolnego wyboru“, z wyraźnem wprawdzie zastrzeżeniem, że w ciągu każdego roku w jednym kursie przedmiotem prelekcyi musi być zawsze Arystoteles, ale zarazem z gorącem zaleceniem, aby obok niego nauczano gramatyki greckiej i hebrajskiej, a nadto uwzględniano dzieła Demostenesa, Isokratesa, Homera, Hezyoda, Pindara, Eurypidesa, Arystofanesa, Herodota, Tucydydesa i Xenofonta z greckich pisa-

[1]) K. Morawski: *Jakób Górski*, str. 7—15.
[2]) M. Wiszniewski: *Historya liter. polskiej*, t. VI, str. 145, przypisek 180.
[3]) K. Morawski: *Jakób Górski*, str. 12—15, *A. P. Nidecki*, str. 111—112.
[4]) K. Morawski: *Przyczynek do biografii Stan. Grzebskiego* (Dodatek IV w dziele o *A. P. Nideckim*).
[5]) M. Wiszniewski: *Historya liter. polskiej*, t. VI, str. 260—268.

rzy, a z łacińskich Wergiliusza, Plauta, Persiusa, Cycerona, Liviusa i Tacyta. Co do pisarzy, wyszczególnianych w średnich wiekach, niema w tej uchwale — obok Arystotelesa — wzmianki o żadnym innym autorze, prócz Jana de Sacrabosco[1]).

Jeżeli wszystkie te dane świadczą o ruchu dosyć ożywionym i bądź co bądź postępowym na Wydziale filozoficznym Akademii w ciągu XVI wieku, to natomiast w czynnościach innych Wydziałów nie znać już tego życia i ruchliwości. Szczególniej Wydział prawniczy nie może się wykazać żadnym bardziej wydatnym i chlubnym objawem żywotności. Wydział teologiczny jaśnieje przynajmniej odblaskiem chwały kilku wybitnych teologów, Jana z Oświęcima (Sacrana) w początkach, Benedykta z Koźminka w pośrodku wieku, Jakóba Górskiego w latach ośmdziesiątych, ale to już i cała plejada jego znakomitości. Względnie najlepiej obok filozofii rozwijał się Wydział medyczny. Do drugiej katedry, utworzonej w r. 1505 przez Miechowitę, przybyła mu trzecia w r. 1569 i czwarta w r. 1581 — obie z fundacyi doktora medycyny, kanonika i proboszcza u św. Floryana, Piotra z Poznania. W przeciągu więc jednego niecałego stulecia, liczba katedr podniosła się z jednej do czterech[2]). W ostatnich trzech ćwierciach wieku XVI wychował też sobie ten Wydział całe grono niepierwszorzędnych wprawdzie, ale wcale sumiennych i zwłaszcza czynnych i pracowitych profesorów, a nadto wykształcił zastęp uczniów, wśród których kilkunastu przyniosło prawdziwy zaszczyt Akademii. Z pośród profesorów godzi się wymienić przynajmniej Wojciecha Nowopolskiego, Piotra z Poznania, Feliksa Sierpskiego, Stanisława Zawadzkiego, Jana Latosa i Stanisława Kurzelowskiego. Z pośród uczniów wystarczy przypomnieć znane nazwiska Jędrzeja Głabera z Kobylina, Józefa Strusia, Józefa Zimmermana, Szymona Syreńskiego i Walentego Fontana[3]); a mówimy na razie o tych tylko wychowańcach Akademii, którzy się poświęcali całe życie nauce.

---

[1]) Tekst uchwały w *Hist. liter. polskiej* M. Wiszniewskiego (t. VI, str. 127, przyp. 138).

[2]) Oettinger: *Rys dawnych dziejów Wydz. lekar. (Rozpr. Wydz. filol.*, t. VI), str. 304—306.

[3]) Oettinger, jak wyżej, str. 339—384 *(passim)*.

Byłoby to wysoce chlubnem i dla społeczeństwa polskiego i dla Akademii, gdyby na dzieje jej w XVI wieku składały się same tylko takie szczegóły, jak wyżej zestawione. Ale obraz nasz ma i ciemne strony, i ma tych stron ciemnych nawet może więcej, aniżeli jasnych.

Już przy pobieżnym przeglądzie zastępu wybitnych profesorów, którzy służyli Uniwersytetowi za czasów Jagiellonów i pierwszych królów elekcyjnych, narzucić się musi spostrzeżenie, że ile razy którykolwiek z protektorów Szkoły krakowskiej usiłował podnieść poziom naukowy w Akademii, zwracał się najczęściej za granicę, aby przysporzyć Szkole lepszych sił naukowych. Biskup Gamrat sprowadził dla wykładów prawa Piotra Royzyusza, Hiszpana, Samuel Maciejowski dla innych przedmiotów Franciszka Stankara z Werony i Piotra Illicinusa z Elzi (we Włoszech); podobnie później Stefan Batory, kiedy chciał przeciwstawić Akademii instytut naukowy w rodzaju Kollegium Kameraceńskiego we Francyi, nie liczył na siły miejscowe, lecz podejmował starania o pozyskanie cudzoziemców, Mureta, Sigomusa, Ursinusa, Bellarmina, Grzegorza z Walencyi i t. p. [1]) Są to szczegóły charakterystyczne i wymowne, ale dla Akademii niezbyt zaszczytne — bo nasuwają domysł, iż intelligencya krajowa nie mogła już nastarczyć sił naukowych, odpowiadających wymaganiom postępu.

Wskazując na rosnący popyt na zagraniczne siły nauczycielskie, nie chcieliśmy przez to bynajmniej powiedzieć, iżby w Akademii XVI wieku profesorowie obcego pochodzenia stanowili kiedykolwiek znaczniejszy zastęp. Przeciwnie, liczba ich malała z każdym niemal rokiem, bo malał też i napływ uczniów z cudzych krajów. Wedle obliczenia dr. W. Wisłockiego na 550 przeszło magistrów, którzy nauczali w Krakowie między r. 1487 a r. 1563 zaledwie $^1/_8$ część tylko przypadała na cudzoziemców [2]). Ten szczegół jest w związku

[1]) K. Morawski: *A. P. Nidecki*, str. 235.

[2]) *O wydawnictwie Liber diligentiarum*, str. 95—96. Dr. Wisłocki podaje, że byli to sami prawie Węgrzy i Szlązacy, trochę Morawian i z Miśnii, a najmniej znajdowało się wśród nich przybyszów z dalszych stron, z Włoch, Anglii, Niemiec i Chorwacyi.

oczywistym z drugim, bardziej niekorzystnie świadczącym o dalszym rozwoju Szkoły Jagiellońskiej, a mianowicie z faktem, iż już w drugiej ćwierci XVI wieku ogólna frekwencya młodzieży dosyć widocznie się zmniejsza. Podczas gdy w pierwszej ćwierci tego wieku ilość nowowpisanych scholarów z dwoma wyjątkami stale pozostawała w granicach liczb 500 i 200 i często przekraczała cyfrę 300, to w czasie między r. 1525 a r. 1550 nigdy nie wzniosła się ponad liczbę trzechset, ośm razy tylko wynosiła więcej niż dwieście, a natomiast dwakroć spadła poniżej sta i zresztą stale wahała się między jedną i dwiema setkami [1]). I to jest drugi objaw pewnej zmiany na gorsze.

A miejsce tu najlepsze, aby zaraz zwrócić uwagę i na inną grupę danych, które rzucają charakterystyczne światło na stosunek Akademii do całego społeczeństwa na przejściu z XV do XVI wieku i w znacznej części tego ostatniego stulecia. Wykazano oto dowodnie, że w zastępie 400 przeszło magistrów pochodzenia polskiego, jacy wykładali na Wydziale filozoficznym w okresie czasu od r. 1487—1565 r. — $^6/_8$ części byli to sami plebeje, to jest synowie mieszczan albo wieśniaków, a tylko $^1/_8$ część pochodziła ze szlachty [2]). Rzecz to szczególnej uwagi godna, bo potwierdza w sposób ścisły i wymowny znany i zkądinąd fakt, iż szlachta polska zaczęła już w pierwszej połowie XVI wieku unikać Akademii, przenosząc nad nią uniwersytety zagraniczne — a wskutek tego i odpływ poszukującej wyższego wykształcenia młodzieży szlacheckiej ku obcym akademiom wzrastał z każdym niemal rokiem. Ztąd także i zmiana zasadnicza w sytuacyi społecznej Akademii; ze szkoły o charakterze więcej kosmopolitycznym, skupiającej dokoła siebie różnojęzyczne narodowości, przeistacza się ona w szkołę krajową, narodową,

[1]) Dane powyższe oparte są na dokładnem obliczeniu wszystkich nowowpisanych uczniów z każdego roku szkolnego z osobna (t. j. z półrocza zimowego i letniego razem wziętych) w ciągu całej pierwszej połowy XVI wieku. Obliczenia nasze dalej nie sięgają, gdyż ogłoszona drukiem część *Album studiosorum* urywa się na roku 1550.

[2]) W. Wisłocki: *O wydawnictwie Liber diligentiarum*, str. 96.

ale nie w ogólnie narodową, lecz głównie mieszczańsko-ludową. Można tę zmianę zaznaczyć mniejwięcej od r. 1530.

W istocie bowiem już u wstępu do drugiej ćwierci wieku XVI zachodzi ten zwrot nieprzyjazny w usposobieniu szlachty, jej widoczne zobojętnienie dla najwyższej Szkoły koronnej. Zwrócił ten fakt na siebie nawet uwagę samego króla, który już w r. 1534 uznał za konieczne położyć tamę emigracyi młodzieży polskiej do obcych uniwersytetów znanym edyktem, zabraniającym poddanym wyjeżdżania z kraju na studya zagraniczne, a w r. 1535 może dlatego głównie przyznał zasłużonym 20-letnią pracą nauczycielską profesorom przywilej szlachectwa, aby przynajmniej mieszczaństwo przywiązać ściślej do Akademii, skoro szlachta się od niej coraz więcej odwracała. Zakaz poszukiwania wykształcenia zagranicznego nie poskutkował; i zapewne jego bezowocność z jednej strony, a z drugiej potrzeba pomocy zewnętrznej dla podniesienia poziomu naukowego w Uniwersytecie krakowskim skłoniła Zygmunta I już w ośm lat później do cofnięcia surowego rozporządzenia (w r. 1543) [1]), a tem samem o wiele swobodniej, niż poprzednio, mógł się odbywać dalej i wzmagać odpływ młodzieży szlacheckiej ku obcym ogniskom oświaty. W drugiej połowie XVI wieku doszło też w istocie do tego, że właściwą szkołą główną dla szlachty była nie Szkoła Jagiellońska, lecz Akademia padewska; nęciły nadto Polaków ku sobie także Bolonia, Bazylea, Lipsk i Paryż. W Polsce za ostatnich Jagiellonów trudno prawdziwie znaleść znamienitszego człowieka, któryby nie odbył konwencyonalnej wędrówki do któregoś z włoskich zazwyczaj uniwersytetów [2]).

> Wolicie do Włoch albo do Niemiec słać syny
> Mając swe szkoły doma, gdzie przedtem jeździli
> Cudzoziemcy...

ubolewał słusznie Kochanowski. Tomicki, Kmita, Padniewski, bogaci mecenasi, uważali poniekąd za swój obowiązek wy-

[1]) J. Szujski: *Odrodzenie i Reformacya*, str. 59.
[2]) K. Morawski: *A. P. Nidecki*, str. 62—63.

syłać zdolnych ludzi dla dopełnienia wykształcenia za granicę. W latach 1540—1570 przybrał ten pociąg ku Padwie — rzec można — epidemiczny charakter, unosząc ku południowi całe tłumy polskiej młodzieży. Dr. Windakiewicz oblicza ilość Polaków immatrykulowanych w Padwie w XVI w. na 1800, zaznaczając zarazem wyraźnie, że cyfra ta nie daje jeszcze wyobrażenia o całym napływie Polaków do tego miasta [1]).

O wiele mniej liczną, ale także dosyć znaczną była w tych czasach frekwencya młodzieży polskiej na uniwersytecie bolońskim. Nie mamy wprawdzie wydania dokładnych wykazów tamtejszych scholarów pochodzenia polskiego, ale częste wzmianki o nich w aktach uniwersytetu, które przeglądał Dr. Windakiewicz, a w których znalazł wiadomość o kilkudziesięciu promocyach Polaków na doktorów, i nadto zbiór dwudziestu kilku herbów szlachty naszej, zdobiących ściany gmachu „Archiginnasio antico“ — świadczą, że młodzież polska chętnie nawiedzała w XVI i XVII wieku Bolonię [2]). Jedyne zbadane dokładniej przez naszych uczonych metryki dwóch uniwersytetów niemieckich, lipskiego i kolońskiego, okazują, że i tych zakładów naukowych Polacy nie omijali. Zwłaszcza w Lipsku nigdy ich w ciągu XVI wieku nie brakło, a w czasie między r. 1560 a 1580 zdarzało się niekiedy, że równocześnie kształciło się w uniwersytecie tamtejszym 25—40 studentów polskich i w pośród nich bywali nierzadko przedstawiciele takich rodzin, jak Radziwiłłowie, Sapiehowie, Firlejowie, Tarnowscy, Chojeńscy, Opalińscy, Koniecpolscy i t. p. W Kolonii natomiast pojawiali się Polacy tylko wyjątkowo; o wiele częściej widziała ich w swoich murach Bazylea, bo w czasie między r. 1551 a 1599 przeszło przez jej uniwersytet 145 studentów, przybyłych z Polski [3]).

[1]) S. Windakiewicz: *Padwa (Przegląd polski* 1891, I, str. 263—265).

[2]) S. Windakiewicz: *Informacya o aktach Uniw. boloń. (Arch. do dziej. lit. i ośw.*, VII, str. 132—148). M. Bersohn: *Studenci Polacy na Uniw. boloń.*, str. 9—23.

[3]) S. Tomkowicz: *Metrica... nationis Polonicae Univer. Lips. (Arch. do dziej. lit. i ośw.*, VI, str. 409—444). J. Kallenbach: *Polacy w Kolonii* (Tamże, str. 333—339). Tamże: *Polacy w Bazylei* (Tamże, str. 1—9).

Gdy tak najzamożniejsza w narodzie klasa ostentacyjnie usuwała się od Akademii, nie dziw, że nie podnosiła się ona pod względem materyalnym. Było coraz mniej uczniów, co składali regularnie i w całości opłaty szkolne — i coraz mniej takich, którzyby mogli odwdzięczać się Akademii za wyniesioną z niej naukę rolą mecenasów: Akademia, zostawszy szkołą ubogich, ubożała zarazem i sama. Marycki już w połowie XVI wieku dopatrywał się przyczyny upadku szkoły krakowskiej w niedostatecznem jej uposażeniu: utrzymywał, że we Włoszech jeden profesor pobierał współcześnie większą płacę, niż u nas wszyscy profesorowie zwyczajni razem wzięci [1]). „Nauczenie młodzieży dobrych nauk — wyznawał w r. 1551 w swem dziele *O Szkołach czyli Akademiach* [2]) — zgadzało się najlepiej z moją skłonnością i chęciami, do czego umysł mój, troskami znękany i myślami zajęty, zachęciła najwięcej Italia, gdzie dla miłości nauk, wszystkich profesorów nauk wyzwolonych nagradzają i szanują. Lecz, wróciwszy do ojczyzny, gdym zobaczył, że obowiązek profesora, u cudzoziemców szanowany i wysoko ceniony, u nas nie ma żadnego szacunku ani nagrody i niemal wzgardą jest okryty, z żalem opuściła mnie ochota do tego stanu...“ „Któż bowiem spokojnym umysłem to zniesie, aby urzędem tak zacnym i uczciwym, tak dla Rzeczypospolitej użytecznym, niegodnie pomiatano i gardzono? Kogóż nie zaboli, gdy u nas ostatni stan więcej ma poważania i względów? Że gdy nawet próżniaki znajdują u panów łaskę i opiekę, profesorów dla tego, że nie wszyscy obowiązkom swoim zadość uczynić mogą, wszystkich bez wyjątku kładą u nas w rzędzie najlichszych ludzi...“ Widział Marycki nadto dalsze przyczyny niepomyślnego stanu Akademii w braku zdolnych profesorów, w owym systemie hierarchicznym, ciągle obowiązującym, wedle którego przy obsadzaniu katedr rozstrzygała nie wiedza i zasługa kandydatów, lecz ich wiek i lata służby i który uniemożebniał specyalizacyę w nauce,

[1]) K. Morawski: *A. P. Nidecki*, str. 12—13.

[2]) Przytaczam cały ten ustęp z dziełka Maryckiego wedle gładkiego przykładu M. Wiszniewskiego (*Histor. Liter.*, VI, str. 196—197.

rozciągając studya profesorów na różnorodne po kolei przedmioty; widział wreszcie jedno ze źródeł złego w niedbalstwie profesorów i pedantycznej schematyczności ich metody nauczycielskiej [1]).

I było snać w tych zarzutach i ubolewaniach dużo prawdy, skoro w trzydzieści lat później, Górski, który podjął się obrony Szkoły krakowskiej w osobnej broszurze, poważną ich część pośrednio potwierdził, nie przecząc, że źle się w Akademii dzieje, a zrzucając tylko winę jej upadku na całe społeczeństwo. I on także wskazuje z naciskiem na zbyt skąpe uposażenie katedr, na niedostatek funduszów. „Co do nauki — pisał w swej *Apologii* w r. 1581 [2]) — o której brak nas oskarżając, obce wychwalacie Akademie, łatwo nam odpowiedzieć przyjdzie i pokazać: jak niesłusznie o to Akademię naszą obwiniacie. A dla jakiejże to przyczyny owi ludzie w obcych Akademiach tak są uczeni? dlaczego się tak w naukach prześcigają? dlaczego aż do rdzenia wszystkich nauk sięgają? dlaczego dociekają rzeczy najskrytszych i głęboko utajonych? Dlaczego ze starożytnymi, z którymi nikt równać się nie śmie w rozumie i głębokiej nauce, idą na wyścigi i w niczem im kroku ustąpić nie chcą? Cóż może być za przyczyna tak chwalebnego usiłowania? Oto dostateczne nagrody i zaszczyty, których niepłonnie oczekiwać mogą...“ „...Chcecie mieć w Akademii biegłych mężów we wszystkich naukach — obmyślcie nagrody. Wychwalacie naukę Włochów, Francuzów, Hiszpanów — wspomnijcież z pochwalą i nagrody i zapłatę, którą tam pobierają. Chcecież, abyśmy im w naukach dorównali — wyznaczcież takie jak oni mają nagrody. Wy zaś wymagacie po nas równej nauki, a żadnej nagrody nie obmyślicie: a nawet nędzną zapłatę przez przodków dla nas przeznaczoną nam wydzieracie, od wszelkich odpychacie zaszczytów, próżniakom niczego nie odmawiając. Tam, za granicą, jeden więcej bierze, jak tu wszyscy, co tu wokoło krzesła zajmują“.

I nie były te żale i skargi profesorów wyrazem ich osobistego jedynie niezadowolenia z trudnych warunków,

[1]) *De scholis seu Academiis*, p. II, cap. 6, 9 i 13.

[2]) I ten ustęp powtarzamy wedle przekładu M. Wiszniewskiego (*Hist. Liter.* VI, str. 71-72).

wśród których wypadło im pracować. Niepomyślny stan Akademii niepokoił także i ludzi, po za Akademią stojących, zwłaszcza wyższe duchowieństwo: na synodach, które obradowały w latach 1510, 1523, 1542, 1556 i 1561 w Łęczycy, Łowiczu, Piotrkowie i w Warszawie, stwierdzano wielokrotnie, że w Akademii źle się dzieje i że potrzebuje ona naprawy. Już w uchwałach synodu łęczyckiego z r. 1523 spotykamy się z wyraźnem wyznaniem, że Szkoła główna krakowska „stopniowo zdaje się podupadać z wielką hańbą i szkodą Rzeczypospolitej"; synody z r. 1556 i 1561 zaznaczają konieczność reformy nie tylko pod względem materyalnym, lecz także w organizacyi władz i w planie naukowym [1]). Postulat ten naprawy narzucał się władzom duchownym uporczywie, szczególnie od czasu, kiedy innowiercy poczęli sobie obierać Akademię jako cel swoich pocisków i posuwać się w zarzutach i obwinieniach aż do ostatnich granic bezwzględności. Wszak na sejmie z r. 1561 sam przywódca partyi reformistów, Hieronim Ossoliński, obrzucił Szkołę krakowską gorzkiemi słowy potępienia, utrzymując, jakoby „w taką się jaskinię łotrowską obróciła, że ludzie stateczni chronią się synów swych dawać"[2]). O konieczności reformy mówiono także dużo za Stefana Batorego, zwłaszcza kiedy na czele Akademii stawał wielokrotnie jako rektor czynny i troskliwy o jej dobro Jakób Górski [3]).

A teraz trzeba nam z kolei zapytać: ile było słuszności i racyi w tych utyskiwaniach, skargach, zarzutach i nawet wprost potępiających wyrokach?

Najdalej od prawdy odbiegli niewątpliwie ci, którym nie dogadzała prawowierność katolicka Akademii. „Szkoła krakowska cierniem jest w oczach heretyków" pisał trafnie Myszkowski w liście do Hozyusza w r. 1568. Popełnił więc z pewnością grubą przesadę i mocno pokrzywdził instytucyę Ossoliński, jeżeli wystąpił przeciw niej w takich słowach, jakie po raz pierwszy pewnie słyszała Izba poselska w swoich murach o Akademii od czasu jej założenia... Katolicyzm nie

[1]) Łukaszewicz: *Historya szkół*, t. I, str. 57—58 (przyp. 1).
[2]) K. Morawski: *Jakób Górski*, str. 6.
[3]) Tamże, str. 27—30.

był żadną przeszkodą dla pomyślnego rozwoju naszej Akademii, jak protestantyzm nie był dla innych pomocą. W XVII wieku podupadły w Niemczech wszystkie uniwersytety, zarówno katolickie, jak protestanckie. A dzisiaj nawet protestanccy historycy, trzeźwo myślący, przyznać to muszą, że podtrzymanie katolicyzmu w Polsce leżało także w jej politycznym interesie. Jeżeli więc Akademia wytrwała w wiecznej służbie rzymskiego kościoła — to jej zasługa i chluba.

Ale w XV wieku Akademia ta była przewodniczką i doradczynią całego narodu w kwestyach religijnych, zabierała głos decydujący wobec nieporozumień i sporów w łonie Kościoła. Czy i pod tym względem zachowała swoje pierwszorzędne stanowisko w XVI wieku? Wszystko, co wiemy o jej stosunku do obu obozów religijnych, katolickiego i reformacyjnego, składa się na odpowiedź przeczącą. W toku wielkiej walki tych dwóch obozów, Akademia była i pozostała do końca na uboczu: nie wywierała na nią poważniejszego wpływu, gdy nad Kościołem rzymskim w Polsce wisiała burza i groza upadku; i nie ma też jej zasługi w tem, jeśli ta burza i groza przeminęła i skończyła się tryumfem katolicyzmu. Po Sakranie, którego działalność naukowa przypada na czasy przedreformacyjne, nie wydała Akademia żadnego teologa, któryby mógł się z nim równać; nie był takim ani Benedykt z Koźminka, ani Jakób Górski, profesor teologii w ostatnich latach życia, chociaż obaj występowali jako polemiści religijni. Nie miała w sobie widocznie Akademia w ogóle na tyle sił moralnych, aby się narzucić prawowiernym katolikom na przodowniczkę; dała się wyprzedzić jednostkom o wyjątkowej, osobistej energii, a temsamem pozostała za niemi w tyle. I w tem jest niewątpliwie dowód, że zeszła już z tej wysokości, jakiej dosięgła była ongi, za czasów Oleśnickiego.

Przechodząc do sfery świeckiej, wypada nam z kolei zastanowić się nad pytaniem: czy Akademia przynajmniej pod względem naukowym szła ciągle z postępem, czy utrzymała się w dziedzinie wiedzy na równym poziomie z kulturą zachodnią — europejską?

Przytoczyliśmy już wyżej ważniejsze fakta, rzucające światło na ruch naukowy w Akademii w ciągu XVI wieku.

Wykazaliśmy, jak sądzimy, w sposób dostateczny, że wrota Szkoły krakowskiej, jak dawniej, tak i w tym okresie nie były zamknięte dla prądów humanizmu. Ale mimo to wszystko nie wahamy się powtórzyć na tem miejscu raz jeszcze twierdzenia, któreśmy wyrazili poprzednio, na samym wstępie, że Arystoteles z całą swoją średniowieczną świtą królował w systemie nauczania za ostatnich Jagiellonów taksamo prawie, jak za pierwszych. Dowodów dostarczą — cyfry. Nawet gdy chodzi o sprawy kulturalne, statystyka może nieraz wymową liczb zastąpić wymowę słowa. Mamy pod ręką wydany drukiem wykaz wykładów, wygłoszonych na Wydziale filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w czasie od r. 1487 do r. 1563. Próbowaliśmy obliczyć w przybliżeniu, ile osobnych tematów wykładowych traktowano w tym 77-letnim okresie czasu — i otrzymaliśmy cyfrę blisko 6000 [1]). A następnie zabraliśmy się do przeglądania dokładnego indeksu, ułożonego pod kierunkiem dr. W. Wisłockiego. Jest tam osobny dział wykazów, wyszczególniających, w których półroczach jeden i tensam autor, względnie jeden i tensam temat, stanowił przedmiot wykładu. Z wykazu tego można się dużo nauczyć. Można się dowiedzieć naprzód, że wykładów na temata dzieł Arystotelesowych było w okresie czasu od r. 1487 do r. 1563 co najmniej 3.500 [2]), na temata scholastyków średniowiecznych,

[1]) Wydawnictwo, na którem się opieramy, — to „*Liber diligentiarum*“, ogłoszony pod redakcyą dr. Wisłockiego. Nie posunęliśmy się w dokładności tak daleko, aby policzyć wszystkie temata wykładowe z każdego roku z osobna; ale wzięliśmy pod uwagę lata wykładowe w odstępach 10-letnich, tj. półrocza zimowe i letnie z r. 1500, 1510, 1520, 1530 i t. d. I otrzymaliśmy z r. 1500 wykładów 48 i 44, z r. 1510 — dwa razy 47; z r. 1520—51 i 46; z kresowych lat następnych dziesięcioleci kolejno ilości: 30, 32, 41, 38, 36, 26 i 25. Ponieważ do r 1520 liczba wykładów czasem dochodzi do 50, po r. 1520 dosyć rzadko spada poniżej 30, przeto przyjęliśmy jako przeciętną cyfrę na każde półrocze przypadających wykładów — 40, na każdy rok podwójną: 80. Na okres 77-letni przypadłoby zatem 5.940 wykładów, czyli okrągło 6000.

[2]) Policzenie dokładne wszystkich wykładów na temat Arystotelesa na podstawie indeksu jest, co prawda, niemożli-

takich jak Albertus Magnus, Sacrobusto, Sirectus i t. d. przeszło 600, podczas gdy wykładów poświęconych autorom klassycznym, wyróżnianym przez humanistów, poetom i prozaikom łacińskim i greckim — po za Arystotelesem — nie sposób doliczyć się więcej jak 900. W tym dziale klassycznym wyprzedza wszystkich innych autorów Cycero, gdyż jego dzieła omawiano w 420 półrocznych prelekcyach; po nim drugie miejsce należy się Wergiliuszowi ze 150 i trzecie Horacemu z 86 wykładami; dalej na Ovidiusa przypada wykładów 57, na Terentiusa 43, na Sallustiusa 34, na Lucanusa 12, na Suetoniusa 11, a na każdego z innych pokrewnych autorów niżej 10. Nazwiska Homera, Hezyoda, Demostenesa i Theognisa występują w wykazie wykładów, razem wzięte, zatedwie 24 razy [1]). A więc biorąc rzeczy materyalnie i mierząc oba obozy naukowe wedle ilości katedr, które każdy z tych obozów trzymał niejako w swej mocy stale lub przeważnie, możemy orzec, że w okresi czasu od r. 1487 do r. 1563 siła scholastycyzmu do siły humanizmu miała się tak, jak liczba 4.000 do liczby 1.000 (stawiamy cyfry okrągłe) czyli jak czwórka do jedynki [2]).

Wszystkie te dane, razem wzięte, pozwalają nam potwierdzić fakt, w nauce naszej już zresztą oddawna uznany,

---

wem, bo dr. Wisłocki wobec ustawicznego powtarzania się tego rodzaju wykładów, załatwiał się z niemi w indeksie summarycznie, notując przy najczęściej omawianych tematach: „bis, aliquando ter, raro semel singulis commutationibus lectum“ — i wobec takich danych trzeba było przyjmować pewne cyfry przeciętne. Opierając się po części na przybliżonych tylko danych, postępowaliśmy tak ostrożnie, że nie obawiamy się wcale, abyśmy doszli do przesadnie wysokich cyfr, lecz przewidujemy raczej, żeśmy podali za niskie.

[1]) Cyfry powyższe, uzyskane na podstawie pobieżnego tylko przeglądnięcia indeksów w wydaniu „*Liber Diligentiarum*“ nie są w zasadzie całkiem ścisłe i dokładne, ale różnice spowodowane możliwemi omyłkami, nie mogą być w żadnym razie tak znacznemi, aby mogły wpłynąć na zmianę zasadniczego rezultatu obliczenia.

[2]) Przyjęliśmy jako ogólną cyfrę wykładów: 6.000; jeden tysiąc przypada na rozmaite temata z zakresu nauk „fizycznych“, astronomii, matematyki i t. d. (po za Arystotelesem).

że prąd humanizmu wprawdzie oddziałał pobudzająco i ożywczo na ruch umysłowy w Akademii, ale nie wywarł tak znaczącego wpływu, aby zapanować w nim stałe i wszechwładnie i spowodować gruntowne przekształcenie całego planu naukowego. System średniowieczny, jak był, tak pozostał panującym ze swemi nietykalnemi powagami, które jak w wieku XV, tak i w dwóch wiekach następnych trzymały prym przed powagami humanizmu. Raz wytworzona rutyna, która utorowała głębokie szlaki, wodziła temi szlakami jedne pokolenia za drugiemi: humanizmowi udawało się wprawdzie sprowadzać od czasu do czasu ciekawsze umysły z odwiecznego, utartego gościńca na uboczne ścieżyny i przydrożne gaje, umajone odświeżonem kwieciem klassycznej poezyi, ale i z tych ciekawszych niejeden, poigrawszy nieco zdała od gościńca, wracał potem na wygodne jego tory, aby się wlec po nich do końca życia. W Akademii krakowskiej spotykamy się ciągle z tym objawem, iż profesor, który poświęcał się jakiś czas studyom Cycerona czy Wergiliusza, następnie całkiem spokojnie zwraca się do scholastyków średniowiecznych, a w końcu porzuca studya filozoficzne zupełnie, aby się zasklepić w teologii.

Połowiczność, ten zmienny dyletantyzm naukowy, i w ogóle brak stałych kierunków i jasno wytkniętych celów, to są — obok uporczywej wytrwałości przy starym systemie naukowym — przyczyny dalsze, które naraziły Akademię na utratę dawnej powagi i popularności. Akademia nie ujęła w swoją moc ruchu umysłowego w Polsce, nie przejęła się nowemi prądami literacko-naukowemi na tyle, aby niemi owładnąć i nadawać im siłą swojego wpływu zastósowany do potrzeb duchowych społeczeństwa polskiego kierunek. Pozostała i w tym względzie na uboczu: nie dziw więc, że ją często omijano, i nie dziw, że w rozkwicie naszej literatury narodowej z XVI wieku jest tak mało stosunkowo zasługi tej najwyższej Szkoły koronnej — najwyższej już odtąd na długie czasy więcej z tytułu, niż z istotnego znaczenia. Jeżeli brak dostatecznej zasobności duchowej można i należy złożyć głównie na karb ułomności samej instytucyi — bo było w XVI wieku, w tym złotym wieku renesansu i humanizmu, zkąd czerpać nowe zasiłki, byle tylko chcieć i umieć z nich

korzystać — to natomiast brak dostatecznej zasobności materyalnej, o ile w rzeczy samej miał miejsce, był raczej skutkiem niedbałej opieki rządu i społeczeństwa polskiego nad sprawami szkolnictwa i oświaty. Zastrzegliśmy się wyraźnie: o ile niedostatek materyalny w rzeczy samej miał miejsce. Bo, jakkolwiek w pismach profesorów, z czasu od wieku XVI począwszy, ciągle powtarzają się skargi na ubogie uposażenie katedr, wartoby zbadać dokładnie, czy w tych skargach nie było dużej przesady, wywołanej może chęcią pobudzenia ofiarności publicznej na rzecz Akademii. Trudna to rzecz — przy obecnym stanie naszej wiedzy o uposażeniu Uniwersytetu — wyrobić sobie wyobrażenie o wysokości tego majątku i o rentowności posad nauczycielskich. Trzebaby przeprowadzić wiele studyów szczegółowych, zanim wyjaśnienie sytuacyi materyalnej Akademii w rozmaitych czasach, przed wiekiem XIX, stanie się możliwem. Znalazł się już w wieku XVIII jeden profesor, który próbował rozpoznać i przedstawić „stan wewnętrzny i zewnętrzny *Studii generalis Universitatis Cracoviensis*“, a mianowicie X. Putanowicz. Znał on dobrze stosunki materyalne Akademii z dawniejszych i ze swoich czasów, i oto do jakich doszedł wniosków w broszurze, w r. 1774 ogłoszonej pod przytoczonym powyżej tytułem, w kwestyi dawniejszych właśnie stosunków: „Z tego wyłuszczenia wszystkich w szczególności funduszów, któremi nie tylko nauczyciele lecz i uczniowie od starannych o pomnożenie nauk mężów dotąd są opatrzeni, następna wynika uwaga, iż niemasz tego w królestwie stanu, którenby do pomnożenia szczupłych Akademii dochodów podług możności nie wpływał; czynili zaś to *ad vindicandam a squallore Academiam*. Wiadomo bowiem każdemu, iż *praemiis aluntur artes*. Jakoż jeżeli weźmiem pod kredkę pierwiastkowe sumy i ich w dawnych wiekach wewnętrzną cenę, przyznać trzeba, że Akademia po królewsku była uposażona. Profesor miał dla siebie uczciwe obejście, nawet podobnemi pensyami można było z Paryża i z Padwy zwabić mądrych ludzi do Krakowa. Cóż dopiero mówić o przypadkowych podarkach, gdy kwiat i wybór szlachetnej młodzi szkoły akademickie zaszczycał, a nawet i postronni monarchowie, jako to królowie węgier-

scy do edukacyi następców tronu zaciągali „*ex universitate* profesorów“[1]). X. Putanowicz stwierdza zresztą także w swojej broszurze, że Akademia w istocie z czasem, w ciągu XVII i XVIII wieku, popadła w ubóstwo, głównie wskutek złej gospodarki majątkiem i funduszami, jej powierzonemi, jakoteż wskutek niesumienności spadkobierców, którzy przy wypłacie prowizyj od zabezpieczonych na ich dobrach zapisów stosowali się nie do „dzisiejszej kurrencyi monety, bez żadnego do dawnej umiarkowania, z nieskończoną krzywdą Akademii“. A trzeba dodać zarazem, że X. Putanowicz nie jest wolny od błędu zbyt nizkiego oceniania majątku akademickiego z XVIII wieku; bo podczas gdy on sam obliczał dochody wszystkich kollegiów i profesorów na łączną sumę jakichś kilkunastu tysięcy[2]), to „z wizyty Kołłątaja okazało się, że Akademia w r. 1777 miała dochodu 35.173 złp.“[3]).

Na podstawie danych, zestawionych u X. Putanowicza, można stwierdzić, że w XVIII wieku najwyższe pensye profesorów dosięgały sumy 500 złp., a bywały takie, które wynosiły tylko kilkadziesiąt i nawet kilkanaście ledwie złotych polskich. Na Wydziale teologicznym jeden z profesorów pobierał 360, drugi 350, dwóch innych po 183 złp., na Wydziale filozoficznym jeden 500, jeden 229, dwaj po 200 złp., a bardzo wielu poniżej setki. Z ostatniego ustępu w broszu-

[1]) Ustęp powyższy znajduje się na samym końcu broszury X. Putanowicza.

[2]) Nie podaje bowiem X. Putanowicz ogólnej cyfry dochodów Akademii, lecz dochody pojedynczych kollegiów i profesorów; i osobno cyfry sum, płynących z t. zw. kapitałów funduszowych na rzecz młodzieży. Nie biorąc w rachubę tych ostatnich, a mając na względzie tylko tamte, naliczyliśmy, że wedle X. Putanowicza dochód Akademii w r. 1774 nie dosięgał nawet sumy 15.000 złp. Zaznaczam tu, że Mecherzyński w dziełku swem *O reformie Akademii krakowskiej* na str. 9, wspomina jakoby „w opisie stanu Akademii, podanym Komisyi Edukacyjnej w r. 1774, dochód ten zniżono jeszcze do 3.193 złp.“ Przypuszczam, że nie ma tu na myśli referatu X. Putanowicza, który tak nizkiej cyfry nie podaje, lecz jakiś inny memoryał, wypracowany może współcześnie dla użytku Komisyi Edukacyjnej.

[3]) K. Mecherzyński: *O reformie Akademii*, str. 9.

rze X. Putanowicza można wyrozumieć, że takież same sumy były wypłacane profesorom i w XVI wieku, a przyczyna ich małej wydatności w XVIII wieku była w tem, że wartość pieniędzy od XVI wieku znacznie się zmniejszyła. Jeżeli więc wolno nam odnieść cyfry z XVIII-go do w. XVI, to z ich pomocą możemy dojść też do przybliżonego wyobrażenia, jakie właściwie dochody mogli mieć najlepiej dotowani profesorowie za ostatnich Jagiellonów. Aby ocenić wartość ówczesnego pieniądza, wystarczy wziąć pod uwagę ówczesne ceny płodów surowych. Trzeba wiedzieć, że jeszcze w początkach XVII wieku do r. 1620 cena korca pszenicy wahała się między 1 a 2 złp.,[1]) gdy dziś przeciętnie wynosi 8 złr. w. a. Znaczy to, że sumę 500 złp. trzebaby co najmniej czterokrotnie, a o ile chodzi o wiek XVI, sześcio- i ośmiokrotnie powiększyć, aby otrzymać w guldenach austryackich sumę odpowiadającą dzisiejszym stosunkom (500 złp. równałoby się zatem 2 do 3 i względnie nawet 4 tysiącom dzisiejszych złr. w. a.)[2]) Opierając się na takich i tym podobnych danych, pozwalamy sobie utrzymywać, że Marycki popełnił bardzo grubą przesadę, jeżeli się wyraził w rozdziele 2-gim części drugiej swego dziełka, że w Krakowie wszyscy zwyczajni profesorowie, których było za jego czasów 40, nie pobierają razem takiej sumy, jak we Włoszech — jeden profesor! Może być, że sumy płac w Krakowie były nierównie niższe; ale Marycki nie zwrócił uwagi swoich czytelników na to, że warunki codziennego życia były w Krakowie nierównie łatwiejsze. Dosyć powiedzieć, że za łaszt pszenicy, który w Polsce kupowano za 20—40 złp., płacono

[1]) A. Chmiel: *Ustawy cen dla miasta Warszawy.*

[2]) Jak tanie były warunki życia w Polsce XVI wieku, można wyrozumieć n. p. ze wzmianki, jaką znalazłem w dziełku Strumieńskiego: *O sprawie i sypaniu stawów w r. 1573.* Czytamy tam na str. 18 (w wyd. *Bibl. Pis. Pol.*): „Rachowali to więc sobie dobrzy robotnicy w lata, kiedy było tanio: jeśli zarobił jeden *za tydzień groszy trzydzieści* (1 złp.), tedy już to nazywali niezłą robotą. *Albowiem oną trzydzieścią groszy wystrawował się dobrze za tydzień,* i na buty mu albo na czapkę kilka groszy zostało". Nieco wyższej sumy potrzeba było, co prawda, w latach droższych; ale różnica nie jest znaczna.

około r. 1591 w Hollandyi 200 guldenów hollenderskich, a odprzedawano tę samą ilość we Włoszech za 600, 700 i 800 guldenów.[1]) Różnica w cenach artykułów żywności była, jak widać z tych cyfr, po prostu olbrzymia.

Podnosząc wątpliwości wobec zbyt pessymistycznych danych o majątkowej sytuacyi Akademii w XVI wieku, nie chcemy bynajmniej twierdzić, jakoby sytuacya ta była w istocie świetną. Nie była świetną ani nawet umiarkowanie korzystną (choć nie tak znowu niekorzystną, jak rozgłaszano w XVI wieku), jeżeli na synodach, które obradowały nad naprawą Akademii, stale uznawano konieczność pomnożenia jej środków materyalnych.[2]) Podnoszono ten postulat wielokrotnie i usiłowano mu zaradzić, ale to, co uczyniono, nie było wystarczającem, aby sprowadzić stałą pomyślną odmianę. Bo też jak wobec tej kwestyi materyalnej, tak w ogóle wobec zadania reformy Akademii społeczeństwo polskie, ani królowie, ani władze Rzeczypospolitej, ani kanclerze Uniwersytetu, nie zdobyli się na żadne stanowcze kroki.

Synody prowincyonalne w XVI wieku wyznaczały wprawdzie dwukrotnie komisye, których zadaniem miało być zbadanie stanu Akademii i obmyślenie projektów reformy: a mianowicie synody łęczycki z r. 1523, warszawski z r. 1561; ale nie słychać o tem, żeby która z tych komisyj spełniła powierzone sobie posłannictwo. Synody, piotrkowski z r. 1542 i warszawski z r. 1561, pobudziły wprawdzie także i ofiarność wyższego duchowieństwa na rzecz Akademii; ale ciężary, jakie na siebie przyjęli biskupi i które mieli ponosić stale, były stosunkowo dosyć nizkie, a więc i korzyść z nich dla szkoły wynikła niewielka, zwłaszcza, że przyrzeczeniom i zobowiązaniom słownym nie odpowiadały czyny (synod z r. 1561 musiał przypomnieć biskupom obowiązek regularnego wypłacania przyrzeczonych datków a w wykazach

[1]) Naudé: *Die Getreidehandelspolitik der europäischen Staaten vom XIII bis zum XVIII Jahrhundert*, str. 332 (co do cen zboża w Europie), i Curickena: *Der Stadt Danzig Beschreibung*, 1688, str. 273—274 (co do cen zboża w Gdańsku).

[2]) Łukaszewicz: *Historya szkół*, t. I, str. 57—58.

dochodów Akademii z późniejszych czasów nie znaleźliśmy wzmianki o żadnych subwencyach stałych, udzielanych przez wyższe duchowieństwo).

Świecka część społeczeństwa szlacheckiego zajmowała wobec najwyższej szkoły krakowskiej stanowisko dosyć obojętne, partya reformistów na sejmach nawet otwarcie nie przyjazne. Pierwszy sejm elekcyjny zrzucił ciężar opieki nad Akademią z narodu na barki samego króla. Drugi z królów elekcyjnych, sumienny Batory, okazał, że sprawa szkolnictwa polskiego leży mu na sercu. Myślał czas niejaki o założeniu nowej instytucyi naukowej na wzór Kollegium Kameraceńskiego w Paryżu, a więc stworzenia innej, lepszej Akademii obok, a może w miejsce istniejącej — i podejmował nawet usiłowanie, aby dla niej pozyskać znakomitych uczonych zagranicznych: Mureta i Sigoniusa. Śmiały projekt królewski nie doznał urzeczywistnienia: w r. 1578 zwraca Batory swoją uwagę na starą Szkołę krakowską. Zrzeka się na jej korzyść prawa patronatu i prezentacyi na probostwo św. Floryana, zwiedza kollegia, przysłuchuje się dysputom. Zdawać się mogło, że Akademia znalazła nareszcie potężnego protektora i że zbliża się dla niej chwila odrodzenia. Niestety, polityka odwiodła wnet dzielnego króla od spraw pokojowych, a zanim jego plany wojenne w czyn się zamieniły, śmierć go zabrała — przedwcześnie nietylko dla Polski rycerskiej, ale i dla Polski literackiej i naukowej. [1])

Nie zdołał więc i Batory wprowadzić na lepsze tory rozwoju Akademii Jagiellońskiej, zwłaszcza wobec braku pomocy ze strony wyższego duchowieństwa, powołanego w pierwszym rzędzie do współpracownictwa nad tem zadaniem. W sferze duchowieństwa był wtedy wprawdzie jeden zastęp zakonny, który się poczuwał do obowiązku uprawiania i krzewienia oświaty od początku swej bytności na ziemi polskiej; ale ten zajął od razu stanowisko nieprzyjazne względem Szkoły krakowskiej. Mamy na myśli Jezuitów. Zakon Jezusowy, wprowadzony do Polski w r. 1565, rozwinął gorączkową czynność na polu oświaty, fundując przy klasztorach

[1]) K. Morawski: *A. P. Nidecki*, str. 231—235.

swoich kollegia i konwikty naukowe; a za czasów Batorego zdobył się na stanowczy krok postępowy, uzyskawszy od króla w r. 1578 przywilej, wywyższający wileńskie gimnazyum do godności i znaczenia Akademii.[1]) Przybyła więc Akademii, obok rywalek zagranicznych, także i w kraju wcale poważna współzawodniczka, tem groźniejsza, że za nią stał zakon, który miał ambicyę owładnięcia całem szkolnictwem w Rzeczypospolitej I na tem nie koniec: bo w kilkanaście lat później, w r. 1595, powstała jeszcze jedna instytucya naukowa równej miary w samej Koronie, a mianowicie Akademia Zamoyska, dzieło wielkiego kanclerza.[2]) Emulacya może wprawdzie oddziałać zbawiennie na rozwój rywalizujących ze sobą instytucyj, gdy każda z nich ma dostateczne oparcie materyalne; ale istnienie nowych wyższych szkół krajowych obok Akademii Jagiellońskiej w czasie, kiedy tej Akademii zaczynało brakować środków na podtrzymanie bytu i sił nauczycielskich dla podniesienia poziomu naukowego — musiało sprowadzić dalej jeszcze posunięte rozdrobnienie tych zasobów materyalnych i moralnych, jakich dostarczyć mogło społeczeństwo polskie na cele oświaty. A na tem najwięcej ucierpiała dzielnica krakowska: bo Akademię wileńską otaczał swoją opieką Stefan Batory i Władysław IV,[3]) Akademię Zamoyską kanclerz i jego bogaci potomkowie;[4]) a Akademia Jagiellońska już w drugiej połowie XVI wieku stała właściwie tylko dobrą wolą, ofiarnością i gorliwością mniej zamożnych jednostek, które sama wychowała i żywiła w swoich murach. I to jest jej główna chluba i zasługa w tych czasach, kiedy już innych, poważniejszych tytułów do chwały było niewiele.

Podobnie jak w pierwszej, tak i w drugiej połowie XVI wieku największe względnie fundacye i zapisy na rzecz Akademii pochodziły od dawnych jej członków i wychowańców. Benedykt z Kożminka przeznaczył w r. 1560 znaczną sumę

---

[1]) Bieliński: *Uniwersytet wileński* (Kraków 1899—1900), t. I, str. 32 – 41.

[2]) Wadowski: *Wiadomość o profesorach Akademii Zamoyskiej* (Warszawa 1899—1900), str. 29.

[3]) Bieliński, j. wyż.. str. 53—55.

[4]) Wadowski, j. wyż., str. 26—31.

na bibliotekę akademicką; Piotr z Poznania ustanowił (jak już była o tem mowa) w latach 1569 i 1583 dwie nowe katedry na Wydziale fizycznym; nadto w latach 1569, 1585, 1590 i 1599 przybywały po kolei szczodre zapisy Stanisława z Brzeźnicy, Jana Musceniusza, Wawrzyńca Pontyficiusza i Stanisława Krasińskiego, na korzyść ubogiej młodzieży; a wszyscy ci ofiarodawcy byli profesorami lub doktorami Akademii [1])

Jak nie brakło wśród tych profesorów ludzi ofiarnych i hojnych, tak nie brakło także i gorliwych i dbałych wogóle o dobro Akademii i całą duszą oddanych sprawie nauki. Prawda, że nie stanowili oni większości; bo nawet Marycki i Górski skarżą się na niedbalstwo i opieszałość samychże nauczycieli. Ale te nieliczne jednostki, któremi Akademia w XVI wieku słusznie się chlubiła, błyszczały tyloma zaletami i zasługami, że od ich postaci padał jasny odblask i na całą instytucyę. Pomijamy Jana z Oświęcima, Maryckiego, Benedykta z Koźminka, Piotra z Poznania, ale nie możemy pominąć Jakóba Górskiego, jednego z najbardziej wszechstronnych i zasłużonych ludzi, jakich miała Polska w drugiej połowie XVI wieku. Wychowaniec Akademii, a następnie długoletni jej profesor (1554—1585), wybierany wielokrotnie rektorem, dał się poznać naprzód jako gruntowny humanista-filolog, potem jako biegły teolog, a nadto w ciągu pracy nauczycielskiej rozwijał niestrudzoną działalność obywatelską, pełną ciepła serdecznego i zapału, w zacnej chęci chronienia i podnoszenia dobrej sławy ukochanej Szkoły krakowskiej. W tym celu właśnie ogłosił w r. 1581 osobne dziełko p. t. *Apologia... pro Academia Cracoviensi.* Nie była ta obrona pod wszelkiemi względami udatną, bo być nią nawet nie mogła w ówczesnych stosunkach, ale była w każdym razie objawem dodatnim i znaczącym, jako poważny głos protestu przeciw przesadnym często i krzywdzącym oszczerstwom. Całą zasługę naukową i społeczną Górskiego określił wyborny biograf jego, prof. K. Morawski, temi trafnemi słowy: „Jeżeli teraz z za grobu spojrzymy na ten pełny ży-

[1]) Łukaszewicz: *Historya szkół,* t. III, str. 28—29.

wot, uderzy nas przedewszystkiem ogromny zasób pracy w nim złożony. *Homo ad laborem et assiduam vigiliam natus*, nazwał go kiedyś Melchior Pudławski. Jak u wielu ludzi tego wieku, rozpada się on na dwa okresy, okres humanistyczny i okres przeważnie teologiczny, natchniony duchem i prądami t. zw. kontrreformacyi. Europejskim i posuwającym ogólną wiedzę na nowe tory filologiem Górski nie był, ale zadziwia skrzętnością i zabiegliwością, która go stawiała na wyżynach ówczesnej nauki Około nauki w kraju, utwierdzenia i rozszerzenia humanizmu wielkie położył zasługi. Nauczycielem był znakomitym, jak liczba i wdzięczność uczniów jego poświadcza. dla dobra i korzyści Uniwersytetu pracował przez życie całe. Zasług jego teologicznych nie jesteśmy wstanie ocenić; wysoko go cenili współcześni, obcy ludzie i rodacy. To pewnem, że Kościół miał u nas naówczas mało tak czujnych, gotowych do walki obrońców... Człowiek to w każdym razie znakomity cnotą i wiernością dla spraw, które ukochał; zaufanie, którem go wielki Batory obdarzył, nie najmniejszym dla niego zaszczytem, a zarazem świadectwem, które i dla późniejszych pokoleń zachowa swoją wymowę". Do słów tych możnaby dodać jeszcze jedną tylko ogólną uwagę. Górski żył, rozwijał się i działał w atmosferze Uniwersytetu Jagiellońskiego: była więc ta atmosfera nawet w drugiej połowie XVI wieku jeszcze dosyć zdrowa i, że tak powiemy, posilna, skoro mogła podtrzymywać i pobudzać żywotną czynność takich, jak on, profesorów-obywateli.

I tego wrażenia zdrowia i żywotności, jakie były jeszcze w Akademii za ostatnich Jagiellonów i pierwszych królów elekcyjnych, nie zdoła w nas zatrzeć nawet znajomość wszystkich zarzutów, jakie w owych czasach podnoszono także i przeciwko młodzieży z powodu jej rzekomej niesforności i demoralizacyi. Prawdą jest, że w wieku XVI władze akademickie musiały wielokrotnie przypominać studentom rozporządzenia, dotyczące formy odzienia i mieszkania; prawda, że w r. 1559 rektor Krokier musiał wprost zabronić uczniom przemieszkiwania po za obrębem kollegiów, burs i szkół parafialnych; prawda wreszcie, że w r. 1578 Stefan Batory widział się zniewolonym wydać edykt, obostrzający przepisy karności i regulujący stosunek władz akademickich do innych

władz w Krakowie z powodu zatargów pomiędzy scholarami a ludnością miejską;[1]) ale w szeregu znanych zajść i nadużyć, spełnionych przez młodzież krakowską w ciągu XVI wieku, nie było jeszcze prawie żadnych takich, któreby świadczyły o zatraconem poczuciu ludzkości, o nietolerancyi religijnej i o rażącem zdziczeniu obyczajów — podczas gdy tego rodzaju wypadków niemało możnaby przytoczyć z życia współczesnego młodzieży niemieckiej i francuskiej. Niesmaczny zwyczaj tak zwanych otrzęsin albo beanii został zniesiony już w r. 1511; a chociaż utrzymywał się jeszcze siłą tradycyi przez czas niejaki, wyszedł przecież ostatecznie z użycia w połowie wieku.[2]) Znany zatarg studentów ze służbą kanonika Czarnkowskiego z r. 1549, zatarg, który pociągnął za sobą nawet chwilowe rozprószenie scholarów krakowskich także nie świadczy niekorzystnie o młodzieży, skoro wystąpiła ona w tym wypadku przeciw obrońcom jakiejś upadłej kobiety, a na zabójstwo jednego z uczniów odpowiedziała nie krwawą zemstą, lecz tłumną wędrówką po za mury miasta, do których wnet potem dobrowolnie wróciła.[3]) Zresztą zwykłą przyczyną nieporozumień, sporów, a czasem i bitek między studentami był antagonizm jednych narodowości do drugich (szczególniej Słowian do Niemców), albo też współzawodnictwo ubogich żaków w zabiegach o środki codziennego życia, o strawę i odzienie.[4]) Dopiero w XVII wieku rosnąca w Polsce nietolerancya religijna nadaje zajściom, wywoływanym przez młodzież krakowską, piętno pewnej zaciekłości i namiętnego rozpasania. I łatwo zrozumieć, dlaczego: anarchia, która się zwolna wkradała w organizm polskiej Rze-

[1]) Muczkowski: *Mieszkania i postępowanie uczniów krakowskich*, str. 119—126 i 135—141.

[2]) Ptaśnik: *Obrazki z życia żaków krakowskich* (*Biblioteka krakowska*, nr. 15), str. 20—31.

[3]) P. Karbowiak w dziełku p. t. *Rozproszenie młodzieży szkolnej krakowskiej* (*Biblioteka krakowska*, nr 14), stanowczo przecenia ujemne znaczenie całego zatargu. Daleko bardziej umiarkowany sąd w tej sprawie wypowiedział dr Wisłocki w studyum o *Wydawnictwie Liber diligentiarum*, str. 100—102.

[4]) Ptaśnik, jak wyż., str. 46—55.

czypospolitej szlacheckiej, musiala z czasem objąć swoim trującym wpływem także i polską Rzeczpospolitą naukową.

II.

Wiek XVII nie mógł Akademii przynieść tego, czego jej nie umiał zapewnić wiek XVI. Warunki bytu były w Polsce coraz trudniejsze dla wszelkich wogóle instytucyj, a przedewszystkiem dla instytucyj naukowych. Istniejące ciągle rozszczepienie na obozy stanowe, religijne i polityczne, i rosnący antagonizm między jednemi i drugiemi, sprawiał, że każda korporacya, przyznająca się do pewnych ustalonych wierzeń i przekonań, była przedmiotem niechęci i nawet nienawiści dla przeciwników tychże zasad. Akademia obstawała przy Kościele katolickim: więc stronili od niej wszyscy innowiercy. Akademia była przepełniona mieszczanami i dziatwą z pod wiejskiej strzechy: a więc odstręczała od siebie magnatów i zamożniejszą szlachtę. Akademia nie chciała się poddać supremacyi naukowej Jezuitów: a więc musiała podjąć walkę o byt z tym zakonem.

Odpływ młodzieży szlacheckiej na uniwersytety obce nie ustaje. Chodzi o to wykształcenie zagraniczne zwłaszcza magnatom, ze względu na cele praktyczne, które w XVII wieku biorą górę nad celami artystycznemi: udają się więc panicze do Leydy, Amsterdamu, Bazylei, Heidelbergu, Paryża, aby nabyć znajomości nauk politycznych i sztuki wojennej; włoskie uniwersytety traciły powoli swoją przewagę nad północnemi i zachodniemi. Ale z włoskich Padwa zawsze jeszcze nęciła ku sobie chciwe wiedzy i poloru europejskiego umysły. Wystarczy przypomnieć znane już oddawna, dzięki badaniom dr. S. Windakiewicza, cyfry: w okresie czasu od r. 1592—1741 zebrało się w *Księdze nacyi polskiej w Padwie* 2.260 podpisów, z których 1.350 przypada na pierwsze pięćdziesięciolecie (1592—1641), około 700 na drugie (1642—1691), około 200 na trzecie (1692—1741) [1]).

[1]) S. Windakiewicz: *Nacya Polska w Padwie. (Przegląd Polski,* 1887, t. III) str. 460—467.

Jeżeli obce uniwersytety zachowały swoją siłę przyciągającą, która odprowadzała część młodzieży po za granice Polski, to w samym jej obrębie inne czynniki odciągały młodych ludzi wogóle od zajęć naukowych. Wiek XVII — to w naszych dziejach wiek krwawy, żelazny; częste burze wojenne, które szalały nad Rzeczpospolitą, porywały i unosiły z sobą zabójczym prądem całe tłumy rycerskich junaków. Kraków sam był niejednokrotnie w niebezpieczeństwie, znajdował się nawet czas niejaki w rękach nieprzyjaciół. Akademia na tem nie mało cierpiała, jak ucierpiała dużo i cała polska ziemia. Wskutek wojen i dla innych przyczyn ubożał i ten żywioł, na którym od XVI wieku głównie opierał się byt Szkoły krakowskiej — to jest ludność mieszczańska; więc i ten czynnik ujemny trzeba wziąć w rachubę, rozważając przyczyny dalszego podupadania Akademii w XVII wieku.

Nie mogła w niej rozbudzić nowego życia nawet i ta konieczność emulacyi naukowej, którą narzucił Akademii już pod koniec XVI wieku zakon Jezuitów, występując jako współzawodnik. Jezuici mieli przed sobą jasno wytknięty cel: chcieli owładnąć całem wychowaniem publicznem w Polsce, a więc szkolnictwem niższem zarówno, jak i wyższem. Nie pomawiamy zakonu o to, aby zamyślał i samą Akademię objąć w swoje panowanie; ale dążył z pewnością od początku całkiem jawnie do tego, aby nietylko na Litwie, lecz także w Koronie przeciwstawić najwyższej Szkole krakowskiej swoją Akademię, a nadto rozciągnąć swoje wpływy na te wszystkie pozycye naukowe, gdzie dotąd wpływ Akademii Jagiellońskiej był wyłącznym. Pozycyami temi były miasta, posiadające t. zw. kolonie akademickie.

Wyznajemy otwarcie, że geneza i istota kolonij akademickiej nie jest dla nas dotychczas jasna; bo też literatura naszego szkolnictwa niewiele dotąd rzuciła na tę kwestyę światła. Kiedy zaczęły się tworzyć te kolonie i na czem opierał się, ściśle biorąc, ten rodzaj zwierzchnictwa i kontroli, jaką Akademia wykonywała nad szkołami, związanemi z jej nazwiskiem? Badacze dziejów polskiej oświaty średniowiecznej nic nie wiedzą o koloniach akademickich z czasu

przed XVI wiekiem [1]); natomiast w opracowaniach czasów Zygmuntowskich spotykamy się już ż pierwszemi o nich wzmiankami. O ile można wywnioskować z nielicznych danych, które mamy pod ręką, cała zawisłość kolonij od Akademii polegała na tem, iż władzom akademickim przysługiwało wyłączne prawo wyznaczania dla takich szkół kierowników i nauczycieli z pośród wykształconych w Krakowie bakałarzy i magistrów. Ile szkół podpadało pod zwierzchność Akademii, to także kwestya, wymagająca wyświetlenia; to pewne, że w wieku XVII było w Koronie kolonij akademickich co najmniej czterdzieści: tyle przynajmniej liczył ich Starowolski w swojej *Pochwale Akademii,* podczas gdy X. Putanowicz w r. 1774 umiał wymienić już tylko siedmnaście, przyczem jednak wyraźnie zaznaczał, że niektóre z istniejących dawniej „dla osiadłych lub w tamtych miejscach lub w pobliskości różnych instytutów, zgasnąć musiały“ [2]).

Dalej zapewne nie sięgała władza opiekuńcza Akademii ani jej troskliwość o losy kolonij — tak długo, póki nie powstał zakon Jezuitów. Dopiero wtedy prawdopodobnie, kiedy Jezuici rozwijać poczęli nader ruchliwą działalność około fundowania nowych szkół z wyraźną od początku tendencyą zrównoważenia, a raczej przeważenia wpływu Akademii, i w tym celu dla swoich własnych zakładów szkolnych próbowali uzyskać stałe oparcie w tych właśnie miejscowościach, gdzie już były kolonie akademickie — obudziła

[1]) Opieramy się tu na informacyach, zasiągniętych u takiego znawcy naszego szkolnictwa średniowiecznego, jakim jest prof. Dr Karbowiak. Łukaszewicz w swojej *Historyi szkół* wspomina tylko o jednej kolonii akademickiej (we Lwowie), która miała jakoby istnieć już w XV w. (t. III str. 464); ale prawdopodobnie opiera całe twierdzenie swoje jedynie na fakcie, że szkoła ta, należąca później do grupy kolonij akademickich, powstała już w XV wieku; nie udowadnia jednak, aby już w XV w. podlegała zwierzchności Akademii. Początki wszystkich zresztą t. zw. kolonij akademickich, których dzieje są lepiej znane, odnosi Łukaszewicz dopiero do XVI w., najwcześniejsze do czasów Zygmunta I (t. III, str. 369—516).

[2]) *Stan zewnętrzny i wewnętrzny Studii generalis* etc. por. koniec rozdziału XIII. Także i Łukaszewicz w *Historyi szkół* wyszczególnia 41 kolonij akademickich (l. s. cit.).

się czujność w gronie profesorów krakowskich. Dopiero wtedy, zdaje się, wydedukowano sobie, nie wiedzieć z czego, zasadę, że Akademia ma prawo zwierzchnictwa nad wszystkiemi zakładami naukowemi w miejscowościach, gdzie były kolonie akademickie. Jeszcze śmielej upierano się przy drugiej zasadzie, opartej jakoby na samych przywilejach fundacyjnych, mianowicie: iż Akademia krakowska nabyła w nich niejako monopol wyższej nauki na całą Polskę, że więc obok niej żadnych innych równorzędnych zakładów naukowych w Koronie tworzyć nie było wolno, bez ujmy dla powagi tychże przywilejów. Każdą próbę założenia drugiego uniwersytetu po za Krakowem, w obrębie Korony, uważała temsamem Akademia za rodzaj zamachu, wymierzonego na jej własne, jedynie rzekomo uprzywilejowane stanowisko naukowe wyższego rzędu. Chodziło głównie o Koronę; to też nawet założenie Akademii jezuickiej w Wilnie profesorów krakowskich jeszcze nie oburzyło. Ale skoro tylko Jezuici osiedli w Krakowie, przy oddanym im kościele św. Barbary, wybuchły pierwsze spory. Zażegnano je w r. 1583 układem, w którym Jezuici z góry poddawali wszystkie szkoły, jakieby w przyszłości założyli w obrębie Krakowa, pod nadzór i kontrolę Akademii. Był potem jakiś czas spokój, aż do chwili, kiedy Zygmunt III w przywileju z 19 stycznia 1612 r. pozwolił Jezuitom w Poznaniu na przekształcenie tamtejszego ich Collegium w Akademię. Wówczas znowu zawrzało w starej Szkole Jagiellońskiej — i odtąd rozpoczęła się ta walka, która była największą troską i trudem krakowskiej Akademii, treścią wszystkich jej zabiegów i czynności, zwróconych na zewnątrz, w ciągu XVII-go i w pierwszej połowie XVIII wieku. Przywilej Zygmunta III z r. 1612 wywołał protesty, zażalenia na sejmikach i sejmach; głos lamentu i skargi dostał się aż do Kuryi rzymskiej. Interwencya Rzymu rozstrzygnęła sprawę na korzyść Akademii: papież Paweł V nakazał zamknięcie Collegium poznańskiego— a więc Akademia zwyciężyła [1]). Nie położyło to niepowodzenie tamy dążności ekspansywnej zakonu. Już w r. 1623

[1]) Łukaszewicz: *Historya szkół*, I, str. 124 — 126. Franke: *Jan Brożek*, str. 102—103.

powstaje za pozwoleniem biskupa Szyszkowskiego — mimo protestów Akademii — pierwsza szkoła jezuicka przy kościele św. Barbary w Krakowie, i to szkoła samoistna, której wbrew układowi z r. 1583 nie poddano wcale pod zwierzchnictwo władz akademickich. Od tej chwili walka między Akademią a zakonem przybrała charakter o wiele bardziej zawzięty i zaciekły. Rozpoczęła się rozwlekła i często obelżywa szermierka na pióra; a od sporów słownych przechodziło i do cięższych zatargów, do ekscesów publicznych, które się kończyły czasem nawet rozlewem krwi i wypadkami zabójstwa. Z powodu naruszenia układu z r. 1583 Akademia zapozwała zakon przed sąd nuncyusza; jeden z najpoważniejszych profesorów, Broscyusz, wystąpił z bezimienną broszurą polemiczną p. t. *Gratis albo Dyskurs I ziemianina z plebanem* i t. d., wydaną w r. 1625; broszura ta wywołała znowu skargę urażonych Jezuitów, zaniesioną do grodu; drukarz, który wydał dziełko, został skazany na surową karę, egzemplarz satyry Brożka spalono na stosie u pręgierza, jakby jakie pismo kacerskie; przyszło nawet do spustoszenia jednej z katolickich drukarni. Wszystkie te surowe zarządzenia nie wstrzymały jednak profesorów Akademii od oświadczenia, że solidaryzują się zupełnie z treścią broszury— i sprawa znowu oparła się o sejm, o króla i nawet o Stolicę Apostolską. W r. 1629 udała się deputacya akademików, złożona z dwóch członków, Brożka i Piotrowickiego, na sejm walny. Na razie nie wiele wskórano; spór się przewlekał, póki był przy życiu przyjazny Jezuitom Zygmunt III.

Za to po śmierci Zygmunta III zmieniła się sytuacya na korzyść Akademii. Dzięki zabiegom jej delegatów, wśród których również znajdował się znowu Brożek, sejm koronacyjny poruczył w styczniu r. 1633 komisyi, złożonej z 12 członków, zbadanie kwestyi spornej i przyprowadzenie do skutku porozumienia i zgody. Ta komisya nie osiągnęła wprawdzie wskazanego jej celu; ale wówczas wdał się w sprawę sam król Władysław IV i wyjednał u papieża Urbana VIII w r. 1634 breve, nakazujące zamknięcie szkół jezuickich w Krakowie. Była to druga wygrana Akademii [1]).

[1]) Franke: *Jan Brożek*, str. 102—131.

Odtąd już nie próbował zakon wkraczać w uznane przez króla i papieża prawa Szkoły Jagiellońskiej w obrębie miasta Krakowa; tem uporczywiej natomiast podtrzymywał rywalizacyę na innym gruncie. W r. 1650 uzyskali Jezuici od Jana Kazimierza przywilej na założenie Akademii w Poznaniu. I tym razem trud ich był bezowocnym — bo kapituła poznańska stanęła po stronie Krakowian, a za jej staraniem kanclerz w. koronny Andrzej Leszczyński odmówił przyłożenia pieczęci na przywileju. Tak samo niepomyślnie zakończyły się wysiłki zakonu, zmierzające ku temu, aby zamienić na Akademię klasztorne kollegium we Lwowie. Sam król w tym wypadku znowu działał po myśli Jezuitów — bo wydał w r. 1661 przywilej, przyzwalający na tę przemianę; ale sejm z r. 1662, do którego akademicy krakowscy przez swoich przyjaciół się odnieśli, unieważnił przywilej Jana Kazimierza. Tak samo wreszcie nie udały się wznawiane dwukrotnie jeszcze później próby utworzenia Akademii w Poznaniu (r. 1678) i we Lwowie (w r. 1759—1761) [1]).

Akademia krakowska wychodziła zatem najczęściej zwycięzko ze sporów z Jezuitami; ale długoletnia ta walka, mimo wszelkich powodzeń, nie przynosiła jej żadnej korzyści. Przeciwnie, odwracała ona zarówno umysły profesorów, jak i uwagę studentów od przedmiotów naukowych ku sprawom, luźnie tylko związanym z idealnemi zadaniami wyższej szkoły, a nadto podniecała namiętności i zawiści, działała rozstrajająco na karność wśród młodzieży, a nie wywołała bynajmniej tej szlachetniejszej emulacyi, która zwykła się objawiać w staraniu o przodownictwo na polu czysto naukowem i w dążeniu do tego celu samemi tylko naukowemi środkami umie się posługiwać.

Jak zwykle bywa tam, gdzie już wielkie cele nie przyświecają i gdzie niema sił do ich spełnienia — chwytano się rzeczy drugorzędnych, mniej ważnych i przywiązywano do nich zbyt wielkie znaczenie, czyniono sobie z nich zadania główne, dla których łatwiej było pracować dlatego właśnie, że nie były dla ludzi niższych zdolności niedostępne. Więc

---

[1]) Łukaszewicz: *Historya szkół*, t. I, str. 156—169 i t. II, str. 70—80.

kiedy na zewnątrz wytężano wszystkie siły ku temu, aby nie dopuścić do przewagi nad Akademią zakonu Jezuitów, to w samej rzeczypospolitej akademickiej wznawiały się często spory o zakres władzy między zwierzchnikami a podwładnymi, zwłaszcza między biskupem-kanclerzem a rektorem i jego urzędowymi pomocnikami. Długotrwały spór o zakres sądowniczego samorządu władz akademickich, zapełniał mianowicie czasy kanclerstwa Piotra Gembickiego, od r. 1647 do r. 1655; a i sam przebieg sprawy i rozgłos, jaki jej nadano, zaprzątając nią Trybunał koronny i dwór królewski, nie przyniosły zaszczytu ani jednej ani drugiej ze stron poróżnionych [1]).

Główny skutek był jeden i tensam zawsze: młodzież, która patrzyła na niezgodne pożycie zwierzchników i była świadkiem nazbyt namiętnych i porywczych jej zapędów w polemice i agitacyi, w obronie spraw nie zawsze słusznych i poparcia godnych, — sama traciła poczucie karności i sforności. To też zajścia i zatargi publiczne o krwawym często wyniku były w Krakowie w XVII wieku, rzec można, na porządku dziennym. Nietolerancya religijna, która czyni szybkie postępy za czasów pierwszego i ostatniego Wazy, udziela się i krakowskim scholarom. Antagonizm wyznaniowy do innowierców i Żydów pobudzał najczęściej do zaczepek i bitek ulicznych. Głośniejsze burdy z powodu napaści studentów na ewangelickich mieszczan zdarzyły się w r. 1617, 1647 i 1683.

Żydom również dała się krewkość młodzieży niejednokrotnie we znaki: akta rektorskie z lat 1642—1749 pełne są skarg starozakonnych na żaków; wrzawy niemało narobiły zwłaszcza zajścia z r. 1660 i 1682 [2]). Nie pomogły surowe rozporządzenia Stefana Batorego z r. 1578, Jana Kazimierza z r. 1660, Sobieskiego z r. 1682; i trudno się dziwić, gdy się zważy, że przykład, który naśladowała mło-

---

[1]) Por. w mojej przedmowie do wydania *Annales* Temberskiego ust. na str. XLV – LXIX.

[2]) Muczkowski: *Mieszkania i postępowanie uczniów krakowskich*, str. 43—96. Por. w mojej przedmowie do wydania Temberskiego ustęp na str. XVII—XLV.

dzież, szedł po części z góry, od starszych, od rodziców i przełożonych...

Nie dziw, że w takich okolicznościach Szkoła Jagiellońska nie zażywała dobrobytu i nie posuwała się naprzód na drodze nauki. Nie zażywała dobrobytu — bo chociaż doznawała dalej częstych dowodów ofiarności, ze strony zwłaszcza najbliższych opiekunów, to jednak wszystkie nowe dary, które ją wzbogaciły, nie mogły zrównoważyć strat, jakie ponosiła z powodu ogólnego pogorszenia materyalnych warunków życia w Rzeczypospolitej, z powodu niedbalstwa i niesumienności dłużników swoich, i z powodu szybkiego spadku wartości pieniądza, a zwłaszcza lichoty obiegowej monety. Jeżeli chodzi o wiek XVII i XVIII, łatwiej dajemy wiarę żalom i skargom, powtarzającym się w pismach profesorów na niedostateczne uposażenie katedr, takim naprzykład, jak te, które przytacza Muczkowski nawet z tekstów broszur polemicznych z zakonem Jezuitów (nie oznaczonych, niestety, datami). Autor *Tarczy obrony* powiada, że „profesor u nas na dziesięciu grzywien fundowany, a *regii professores* tylko funduszu dwadzieścia sześć złotych na rok mają; dopiero na starość chleb dają. gdy zębów nie masz, i to dość lichy". W broszurze pod tytułem: *Obżałowanie przeciwko Jezuitom* znajdujemy również niewesołe szczegóły: „Najdziesz w Akademiej *professorem salariatum*, którego intrata wszystka siedm grzywien na rok przy dismembrach, które także coś nie wiele naczynią, podczas nic. Ztąd księga, odzież wszelka i potrzeby rozliczne, ztąd *symbolum* abo *collecta* tygodniowa *ad mensam vere philosophicam*. Pójdziesz wyżej, masz intratę grzywien osiemnaście, najwięcej trzydzieści. Jedną tylko profesyą wyniosłą, nieśmiertelnej pamięci godny, wielki senator i biskup Tylicki uczynił na profesora *eloquentiae*, który kilkaset intraty mając, i to między te, który ma tej pracej, która wiele potrzebuje, pomocnikami są, w rozdział dać, i sam godnie chcąc a nie dziecinno tę robotę wyrabiać, prędko siebie samego strawić musi. Jeśli się który tak szczęśliwy feniks znajdzie, co się miejsca przedniejszego pracą i ustawicznem harowaniem dograba, wtenczas mu kąsek chleba podają, kiedy już zęby wypadają, co

i w przypowieść o akademikach weszło“ [1]). Tu jest też miejsce najwłaściwsze, aby powołać się na zdanie najlepiej poinformowanego a bynajmniej nie pessymistycznie usposobionego profesora, mianowicie X. Putanowicza, który nie wahał się utrzymywać, że Akademia w dawniejszych czasach po królewsku była uposażona. Oto, jaki obraz jej stosunków materyalnych kreśli nam autor *Stanu wewnętrznego i zewnętrznego Studii generalis Cracoviensis* w zakończeniu swojego dzieła z r. 1774: „Teraz miedziane dla Akademii nastały czasy, gdy z oczywistą krzywdą złoto i srebro w miedź zamieniono. Wszystkie bowiem niemal zapisy są stare, temi czasy zaś wypłacane podług dzisiejszej kurrencyi monety, bez żadnego do dawnej umiarkowania z nieskończoną krzywdą Akademii. Upadek w dochodach pociągnął za sobą zubożenie w dowcipach i podług owego starego wprawdzie i prostego, lecz nadto rzetelnego przysłowia: *Jeiunus venter non studet libenter. Et gratis poenitet esse pium.* Niema czem ani przynęcić ani utrzymać subjektów w Akademii; każdy, mający otwartszy rozum, szuka dla siebie rączego uszczęśliwienia. Sama szczególnie miłość nauk i dobra pospolitego utrzymuje ludzi w pracowitej akademickiej professyi“.

Nie dziw, powtarzamy, że przy takich warunkach materyalnych Akademia nie posuwała się naprzód na drodze nauki. Była mowa i w XVII-ym i nawet w pierwszej połowie XVIII wieku o potrzebie reformy; znaleźli się i tacy, co wiedzieli, w czem leżą przyczyny upadku Akademii, i jak je usunąć, a nawet zabierali się do ich usunięcia; ale wszystkie te usiłowania i próby — z małemi wyjątkami — nie osiągnęły przed czasami Komisyi Edukacyjnej żadnego trwałego rezultatu. Nie było postępu, a więc był zastój; a zastój w dziedzinie nauki sprowadza jako nieuniknione następstwo — zacofanie. Zwiększyła się wprawdzie za czasów Wazów nieco ilość katedr, dzięki nowym fundacyom: Jan Zemeli przekazał Akademii w r. 1602 dosyć znaczny fundusz na utrzymywanie profesorów anatomii i botaniki; biskup Piotr Tylicki, zmarły w r. 1616,

[1]) Muczkowski: *Mieszkania i postępowanie uczniów*, str. 11—12.

ufundował znacznym nakładem katedrę wymowy (i ztąd tytuł zajmującego ją profesora: *orator Tylicianus)*; Gabryel Władysławski powiększył w r. 1630 dotacye 2 profesorów prawa i 2 profesorów Wydziału filozoficznego; w r. 1659 i 1661 dwa nowe zapisy poprawiły pozycyę materyalną profesorów teologii. Ale wszystko to na nie wiele się przydało, skoro w miarę zwiększania się liczby katedr (dosyć nisko zresztą i nadal — z wyjątkiem katedry Tylickiego — dotowanych) nie podnosiły się zasoby wiedzy, jakiej z tych katedr udzielano. Plan naukowy, zakres nauk wykładanych i sam sposób ich podawania nie uległ prawie żadnym ważniejszym zmianom aż po lata sześćdziesiąte XVIII wieku. To, co pisze Kołłątaj o stanie Akademii w czasie między r. 1750—1764, dowodzi, że system nauczania ówczesny obracał się w granicach tych samych poglądów i teoryj, które już w XVI wieku uważane były po części słusznie za przestarzałe [1]).

Na Wydziale filozoficznym przedmiotem studyów filologicznych był po r. 1713 tylko język łaciński. „Język grecki, niegdyś po wszystkich szkołach u nas wzięty i w całej Polsce rozkrzewiony, w samej nawet Szkole głównej zaniedbany; nie przykładano się do historyi starożytnej, powszechnej i krajowej; wszystkie te nauki, niegdyś tak wiele sławy i pożytku przynoszące, zupełnie w Szkole głównej krakowskiej upadły". W r. 1713 zaszła ta jedyna zmiana, że August II wyznaczył fundusz na opłacanie profesorów języka niemieckiego i francuskiego, których utrzymywano też w istocie w Akademii aż do pierwszego rozbioru [2]).

„Co do umiejętności, dawano kurs filozofii Arystotelesa ze wszystkiemi dodatkami arabskiemi i komentacyami św. Tomasza"... „O Kartezyuszu, Gassendim, Leibnitzu i Newtonie nie mówiono tam, tylko odrzucając ich układy filozoficzne, kończąc zawsze na tem, że chrześciańskiemu filozofowi nie wolno udawać się za nowemi filozofów sektami, ale owszem winien trzymać się jednej, a to Arystotelesowej, poprawionej

---

[1]) H. Kołłątaj: *Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III*, t. I, str. 146—195.

[2]) X. Putanowicz: *Stan wewnętrzny i zewnętrzny Studii generalis*, rozdział XIII, paragraf 5 (II).

przez św. Tomasza". „Systema Kopernika, choć był uczniem i członkiem tej szkoły, nie było przyjęte ani w astronomii ani w fizyce; nie można się temu dziwić, bo astronomia nie miała obserwatoryum, a fizyka zatrudniała się tylko metafizycznemi kwestyami" [1]). Na Wydziale medycznym wykładało w XVIII wieku znowu tylko dwóch profesorów: „Żaden z nich nie dawał kursu nauki lekarskiej i tylko podczas Postu kilku uproszonym uczniom dyktowali mały traktacik o jednej chorobie szczególnej" [2]). Na Wydziale prawniczym wykładano prawo cywilne, rzymskie i kanoniczne. „Był wprawdzie nauczyciel prawa krajowego, ale ta lekcya najmniej liczyła uczniów..." [3]). Na Wydziale teologicznym uczono po dawnemu teologii spekulatywnej, moralnej, sakramentalnej i polemicznej; historyi kościelnej nie udzielano wcale. „Wszystko w szkole teologicznej szło wedle sentencyj św. Tomasza" [4]).

Tak było w XVIII wieku dlatego, że wiek XVII nie powiększył pod żadnym prawie względem spuścizny, jaką mu przekazał wiek XVI. Nie było też już w Akademii za czasów Wazów ludzi nauki, którychby można postawić na równi z ostanimi jej luminarzami z czasów Jagiellonów i pierwszych królów elekcyjnych — z jednym wyjątkiem. Wyjątek ten dotyczy Jana Brożka (Brosciusza), który słusznie uchodzi za ostatniego uczonego europejskiej miary w Akademii przed reformą Kollątajowską. Działalność nauczycielska znąkomitego matematyka przypada na czas od r. 1614 do r. 1652 (z pewnemi przerwami). Fachowy rzeczoznawca, p. Franke, przyznaje Brożkowi, że „w każdej nauce, którą uprawiał, stał na wysokości swego czasu i gruntownie był obeznany z najnowszą literaturą naukową" i że swemi specyalnemi pracami w dziedzinie matematyki przyczynił się do wzbogacenia tej gałęzi wiedzy w sposób samodzielny i budzący uznanie w kołach pierwszorzędnych powag zagranicznych. Zasłużył się on także Akademii gorliwą obroną jej praw zwierzchniczych nad szkołami w Krakowie, wysy-

[1]) H. Kołłątaj, jak wyżej, str. 146—152.
[2]) Tamże, str. 163—167.
[3]) Tamże, str. 177—178.
[4]) Tamże, str. 185.

łany parę razy w deputacyi do Izby poselskiej i do króla. Jedyny zarzut, jaki mu uczynić można, te ten chyba, że podupadającej Szkole nie zostawił żadnego następcy; nauki matematyczne w Polsce znalazły godnego reprezentanta po Brożku dopiero w Janie Śniadeckim [1]).

Jeżeli nie było wśród profesorów Akademii, współczesnych Brożkowi i późniejszych po czasy pierwszego rozbioru, żadnych innych znakomitości, to przynajmniej nie brakło nigdy pracowników, nie uposażonych wprawdzie twórczym umysłem ani też nie jaśniejących blaskiem wyjątkowej wiedzy, ale oddanych z zamiłowaniem obowiązkom nauczycielskim, obznajomionych dokładnie z zasobami naukowemi, któremi się zasilały poprzednie pokolenia, i otaczających Szkołę krakowską zazdrosną miłością i pieczołowitością. Należeli do tego, bądź co bądź, wyborowego zastępu Sebastyan i Jan Innocenty Petrycowie, Jakób Najmanowicz, Marcin Radymiński, Stanisław Temberski, Józef Stanisław Bieżanowski w XVII wieku, Jan Zajączkowicz, X. Jacek Augustyn Łopacki i Jędrzej Badurski w wieku XVIII, przed czasami reformy Kołłątajowskiej.

Sebastyan Petrycy, doktor medycyny, podjął próbę rozbudzenia ruchu dziejopisarskiego w kraju, przekazawszy fundusz na utrzymanie stałego historyografa Akademii [2]). Jan Innocenty, syn tamtego, godzien wyszczególnienia, jako godny spadkobierca zacnego fundatora, którego dobre chęci pierwszy w czyn wprowadził wydaniem dzieła historycznego o sprawach r. 1620, jakkolwiek z zawodu był lekarzem [3]). Jakób Najmanowicz, profesor w latach 1614—1641, zasłużył się Akademii szczególniej gorliwą obroną jej praw i przywilejów wobec zakusów Jezuitów [4]). Marcin Radymiński, którego życie przypada na środek XVII wieku (do r. 1664), strawił życie na iście benedyktyńskiej pracy około gromadzenia wiadomości z dziejów Akademii; owoce jego poszukiwań, złożone

[1]) Franke: *Jan Brożek* (Kraków 1884); por. zwłaszcza ustępy na str. 168—172.
[2]) Muczkowski: *Rękopisma Radymińskiego*, str. 53—59.
[3]) Tamże, str. 59—60.
[4]) Tamże, str. 104—113.

w kilku ogromnych foliałach rękopiśmiennych, są dotychczas nieoszacowanem źródłem dla badaczy rozwoju polskiego wyższego szkolnictwa.[1]) Stanisław Temberski i Józef Stanisław Bieżanowski — to najzdolniejsi i najbardziej czynni historyografowie Akademii; będzie o nich mowa jeszcze poniżej. Jan Zajączkowicz, należący ostatniemi 17 latami swego życia do XVIII wieku, godzien zaszczytnej wzmianki jako gorliwy i wytrwały, choć nieszczęśliwy inicyator prób reformy Akademii w czasach, kiedy w gronie jego kolegów panowała już obojętność na losy szkoły i małoduszna apatya.[2]) X. Jacek Augustyn Łopacki nie był wprawdzie nigdy profesorem Akademii, ale był jej doktorem i rola jego społeczna wiąże się ściśle z Akademią i całem życiem krakowskiem w czasie między r. 1723 a r. 1761. Zrazu tylko doktor medycyny, w r. 1724 przeszedł on do stanu duchownego i jako kapłan zajmował wybitne stanowisko w kapitule katedralnej krakowskiej; ale zawodu lekarskiego nie porzucił. Przeciwnie, osiągnąwszy dobrobyt materyalny, jako lekarz rozwinął niesłychanie gorliwą, pełną poświęcenia i ofiarności czynność, która mu wypełniła całą resztę życia i zjednała opinię przyjaciela i dobroczyńcy ubogiej zwłaszcza ludności, idealnego pod każdym względem człowieka-obywatela. Czytając entuzyastyczne wspomnienie, jakie mu poświęca Kołłątaj w dziele o *Stanie oświecenia w Polsce*[3]), narzuca się ciągle porównanie z jedną z osobistości naszych czasów, której obywatelska i humanitarna działalność objawiała się w tensam mniej więcej sposób w naszych oczach — mianowicie z ś. p. doktorem Chałubińskim. Jak Chałubiński, tak i on za swym powrotem do kraju, „wyszedł na najlepszego i najszczęśliwszego praktyka“. „Jakoż zdaje się, iż dowcip jego tak był dobroczynnością zajęty, że całą swą działalność ku temu obracał“. „Wszyscy go wystawiają za wzór, jeden drugiemu go przypomina, podaje sobie z ust do ust jego odpowiedzi, jego dobroczynności, jego rady. Ten uczony i dobroczynny

---

[1]) Muczkowski: *Rękopisma Radymińskiego*, str 1—25.
[2]) J. Majer: *Kilka wiadomości z dziejów Wydziału lekarskiego* (*Rocznik Wydz. lek. U. J.*, t. II, str. 65—70).
[3]) Tom I, str. 169—175.

człowiek nie zostawił, prawda, po sobie żadnego wypracowanego o medycynie dzieła; ale zostawił wzór do naśladowania i dowód, jakby było rzeczą pożyteczną, gdyby duchowni przykładali się do nauk lekarskich, gdyby byli lekarzami ludu tak dobroczynnymi, jak był Łopacki". Takie świadectwo wydaje temu wychowańcowi i doktorowi krakowskiej Akademii Kołłątaj.

Innego pokroju człowiekiem był ostatni z wymienionych powyżej — Jędrzej Badurski. I on także wprawdzie poświęcił się zawodowi lekarskiemu; ale podczas, gdy tamten oddał się cały dobroczynnym dziełom, Badurski, jako doktor medycyny i profesor Akademii krakowskiej od r. 1770—1783, a więc czynny w ostatnich czasach przed zupełnem dokonaniem reformy Kołłątajowskiej, objawił przedewszystkiem znakomity talent organizatorski. Kołłątajowi on przedewszystkiem zadanie zreformowania Wydziału lekarskiego ułatwił. Był mianowicie — wedle słów Brodowicza — „głównym twórcą, założycielem, pierwszym dyrektorem kliniki i fizykiem szpitala ogólnego w Krakowie", i położył niespożyte zasługi około rozwoju obu wymienionych zakładów leczniczych i naukowych. [1])

Niestety, wszyscy ci ludzie wielkiej nauki lub wielkiej pracy i zasługi byli w XVII i XVIII wieku wyjątkami w tym tłumie zwyczajnych wyrobników zawodu nauczycielskiego, bez głębszej wiedzy i bez znaczenia, jakich pełna była Akademia w ostatnich dwóch wiekach przed reformą Kołłątajowską. A jednak i na chlubę tego całego tłumu można przytoczyć jeden fakt dodatni, który przynajmniej dobrej woli i szlachetności wielu nauczycieli, jeżeli nie ich uczoności, najlepsze wystawia świadectwo. Możemy to stwierdzić na pewno, że w XVII wieku wzmogła się ofiarność na korzyść Akademii, a zwłaszcza na rzecz ubogiej młodzieży, i że udział w tej zasłudze znaczny przypada na samychże profesorów. Jestto rzecz uderzająca i ujmująca, że w tych właśnie czasach, kiedy najuboższa klasa społeczeństwa usuwała się od najwyższej Szkoły krakowskiej w sposób osten-

[1]) J. Brodowicz: *Żywot Jędrzeja Badurskiego* (*Rocznik Wydz. lek. U. J.*, t. II, str. 83—143).

tacyjny, gdy królowie, wyższe duchowieństwo i magnaci — z nielicznymi wyjątkami — przestali dbać o jej dobro, kiedy wreszcie wskutek niesumienności dłużników i nieudolnej gospodarki majątek akademicki podupadał i szczuplał z roku na rok — najbliżsi Akademii ludzie, jej kanclerze po części, a przedewszystkiem członkowie jej grona nauczycielskiego poczuwali się częściej, niż dawniejsi, do obowiązku dzielenia swoich korzyści materyalnych z oddaną ich pieczy, a ubożejącą instytucyą. Możemy to powtórzyć bez wahania, z całą stanowczością, że w żadnym z poprzednich wieków ofiarność dla Akademii nie była tak znaczna, tak obfita, jak w XVII wieku. Znamy obecnie zaledwie cząstkę materyałów źródłowych, dotyczących dziejów wszechnicy Jagiellońskiej w tym okresie czasu, a mimo to, umielibyśmy wyliczyć więcej niż pół setki rozmaitych zapisów i legatów, które przypadły Akademii w udziale w obrębie samego tylko rzeczonego stulecia. Zwłaszcza w trzecim i czwartym jego dziesiątku nie było po prostu roku, w którymby Akademia albo bursy akademickie nie doznały jakiegoś nowego dowodu ofiarności publicznej; a zdarzały się wśród tych ofiar niektóre, niezwykle sowite i rozumnie zwrócone ku najbardziej odpowiednim celom. Nie podobna nam wymieniać tu wszystkich; ale godzi się wskazać przynajmniej na hojne zapisy Gabryela Władysławskiego z r. 1630, w sumie 50000 złp., przeznaczonej w części na lepsze uposażenie kilku katedr, w części na inne cele; Jana Brożka z r. 1639, Macieja Sisiniego, twórcy bursy, zbudowanej nakładem 36000 złp. i uposażonej fundacyą wieczystą w kwocie 20.000 w r. 1641; Wawrzyńca Smieszkowicza w r. 1646, który także własnym kosztem wzniósł gmach nowej bursy (zwanej odtąd: Gelaniana albo Śmieszkowska) i zapewnił jej utrzymanie z funduszu 74.000 złp. — i wreszcie Marcina Radymińskiego z r. 1661 w sumie 2.000 talarów węgierskich, których odsetki miały służyć na utrzymanie jednej z katedr na wydziale teologicznym. Zwracamy uwagę na okoliczność, że są to sami profesorowie — i nie jedyni z profesorów na liście darodawców. Z po za grona nauczycielskiego hojnością swoją upamiętnili się w dziejach Akademii przedewszystkiem dwaj kanclerze i biskupi krakowscy, Piotr Tylicki (zapisem w r. 1616 na utrzymanie katedry wymowy), i Jakób Zadzik

(fundacyą w r. 1640 na rzecz bursy Jerozolimskiej w kwocie 8.000 talarów węgierskich); a z pośród niezwiązanych z Akademią żadnemi ściślejszemi węzłami ludzi — Bartłomiej Nowodworski, kawaler maltański, odnowiciel Szkoły akademickiej u św. Anny (z r. 1617) i Stanisław Garwaski, kanonik krakowski, założyciel bursy tegoż imienia (w r. 1635). [1])

Za dodatni i wcale chlubny objaw należy wreszcie poczytać dosyć prawidłowy ruch historyograficzny w Akademii, do rozbudzenia którego przyczynił się zapisem swoim z r. 1621 Sebastyan Petrycy, wkładając na korzystającego z fundacyi profesora obowiązek prowadzenia kroniki wydarzeń krajowych i zagranicznych Jest faktem, że w okresie czasu 67-letnim (1621—1688) przez czterdzieści pięć przynajmniej lat praca historyograficzna była w toku: owocem tej właśnie pracy są przechowane do dzisiejszych czasów kroniki Jana Innocentego Petrycego i Stanisława Temberskiego (wydane drukiem), jakoteż niewydana kronika Bieżanowskiego, dotycząca okresu czasu od r. 1666 do r. 1688; co prawda, po r. 1688 zadanie spisywania dziejów współczesnych poszło w zapomnienie, choć dotychczas utrzymuje się zwyczaj mianowania „historyografów Akademii". [2])

Nie zamykając oczu na niepomyślny stan Szkoły Jagiellońskiej pod względem materyalnym i naukowym z wieku XVII i w pierwszej połowie XVIII wieku, godzi się nadto mieć w pamięci, że upadek naszej Akademii nie był bynajmniej wypadkiem odosobnionym i wyjątkowym, gdyż większa część wszystkich zakładów naukowych w ówczesnej Europie przebyła takież same koleje. Uniwersytety podupadły wszędzie, a zwłaszcza w Niemczech, gdzie od czasu wojny trzydziestoletniej zaczyna się panowanie bezmyślnej pedante-

[1]) Wszystkie dane o tych fundacyach wybrane są głównie z dziełka X. Putanowicza: *Stan wewnętrzny i zewnętrzny Studii Generalis (z r. 1764)*. Por. nadto u Łukaszewicza: *Historya szkół*, t. III. str. 29—33 (wykaz jednak u niego niezupełny) i we Frankego biografii Brożka ustępy na str. 142—146.

[2]) Muczkowski: *Rękopisma Marcina Radymińskiego*, str. 53—98. Por. w wydaniu *Roczników* Temberskiego przedmowę *(Scriptores rerum polonicarum*, t. XVI).

ryi i napuszystej a pustej frazeologii na katedrach, które z tych więzów nie umiały się wyzwolić zupełnie jeszcze w początkach bieżącego wieku. Badając rozwój nauk i umiejętności w środkowej i zachodniej Europie, trudno nie spostrzedz, że cały, niewątpliwie znakomity, postęp w dziedzinie nauk matematycznych i przyrodniczych, jako też na polu filozofii, który można uważać za najcenniejszą spuściznę po XVII i XVIII wieku we Francyi, Włoszech i Niemczech przed czasami wielkiej Rewolucyi, był w przeważnej części zasługą uczonych, pracujących po za uniwersytetami i nie posiadających niekiedy nawet żadnych stopni naukowych. Pośrednim dowodem upadku uniwersytetów w owych czasach jest także i to, iż monarchowie, którzy próbowali podnieść poziom kultury umysłowej w swoich krajach, uważali za rzecz łatwiejszą i dogodniejszą tworzyć nowe instytucye naukowe, aniżeli ulepszać i reformować dawne. Przeciw konserwatywnej Sorbonnie postawił Franciszek I swoje Kollegium Francuskie (Collège de France) a Ludwik XIII i Richelieu — Akademię Francuską (w r. 1635); podobnież utworzona w r. 1700 Akademia berlińska powołaną została do życia na to, aby ratowała honor niemieckiej nauki, której uniwersytety niemieckie zaszczytu nie przynosiły. Rozkwit uniwersytetu w Gettyndze, który powstał dopiero w czwartym dziesiątku XVIII wieku i wkrótce zajął najprzedniejsze wśród równorzędnych zakładów naukowych stanowisko, był wyjątkowym. Stanowczą zmianę na lepsze w dziedzinie wyższego szkolnictwa w Niemczech można, ściśle biorąc, datować dopiero od połowy XIX wieku, podczas gdy we Francyi początki odrodzenia w tej sferze odnoszą się do czasów wielkiej Rewolucyi. [1]) Nie była więc wcale późną stosunkowo ta na-

[1]) Chcąc należycie wymierzyć i ocenić poziom naukowy Akademii krakowskiej w XVII i XVIII wieku, trzeba nieodzownie przeprowadzić szczegółowe porównanie jej stanu i rozwoju w tym okresie czasu ze stanem i rozwojem równorzędnych zakładów naukowych zagranicznych z uwzględnieniem współczesnej ewolucyi nauk i umiejętności w całej wogóle Europie. Dopiero po przeprowadzeniu takiego porównania, będzie można zrozumieć i określić relatywną wartość tej Akademii, jako instytucyi naukowej i jako

prawa Akademii, której dokonano u nas w najbliższem dziesięcioleciu po pierwszym rozbiorze. [1])

czynnika w rozwoju umysłowym społeczeństwa polskiego. Co do nas, w artykule okolicznościowym, jak niniejszy, przy obecnym bardzo niezupełnym zasobie naszych wiadomości o dziejach polskiego szkolnictwa musieliśmy się z konieczności ograniczyć na razie samem zaznaczeniem rzeczonego postulatu.

[1]) Kończąc ustęp, poświęcony dziejom Akademii przed reformą Kołłątajowską, dodajemy tu nawiasem parę szczegółów, dotyczących liczby profesorów i uczniów wszechnicy krakowskiej w XVII i XVIII wieku. Liczbę profesorów zwyczajnych w XVI wieku oznaczyliśmy na 39—41, opierając się na *Liber diligentiarum* i na wzmiance u Maryckiego z r. 1551. W drugiej połowie XVI w. i w pierwszej XVII w. przybyło nieco katedr; to też w źródłach XVII wieku mowa jest już o większej liczbie profesorów; niestety, w znanych nam wzmiankach nie przeprowadzono dokładnego rozróżnienia dotowanych nauczycieli od niedotowanych czyli „extraneów". Jedyny Radymiński w przedmowie do *Fasti* podaje wyraźnie liczbę profesorów dotowanych (*stipendiariorum*) na 50 (w połowie XVII w.). Autor broszury *Obżałowanie przeciwko Ojcom Jezuitom* i Jakób Vitellius w dziełku p. t. *Confutatio convitii* mówią natomiast tylko o 40 profesorach (oczywiście płatnych). Jakób Najmanowicz w r. 1633 podaje raz, że w Akademii „jest profesorów i doktorów, którzy czytają, 60, bakałarzów 30", a w innem piśmie oznacza ogólną liczbę wszystkich wykładających na 90. Można więc przyjąć, że w XVII wieku było dotowanych profesorów 40—50, niedotowanych prelegentów 30—40. (Por. Muczkowski: *Mieszkania i postępowanie uczniów*, str. 30—32). W XVIII wieku, wskutek zaniedbania majątku Akademii i wygaśnięcia pewnych fundacyj, liczba profesorów znacznie zmalała. X. Putanowicz podaje liczbę dotowanych profesorów na 43 co najwyżej. (*Stan wewnętrzny i zewnętrzny Studii Generalis, passim*) w r. 1774. W innej broszurze z tegoż samego roku znajdujemy jednak notatkę, iż ogół wykładających w Akademii nauczycieli dosięga cyfry 120; trzeba więc przypuszczać, że w tym czasie ilość „extraneów" była dwa razywy zszą od ilości zwyczajnych profesorów (Muczkowski, j. w., str. 31). — Co do liczby słuchaczów, była ona nietylko ciągle dość znaczną, ale jeśli wierzyć nielicznym zapiskom z różnych czasów, pod koniec XVI w. i w ciągu XVII w. znacznie się podniosła. W r. 1578 było

III.

Zwrot postępowy w rozwoju polskiego szkolnictwa datuje się, jak wiadomo, mniej więcej od r. 1740, to jest od chwili, kiedy Stanisław Konarski rozpoczął swoją działalność reformatorską założeniem „Kollegium Szlacheckiego“ w Warszawie. Ogłoszone w r. 1753—1754 *Postanowienia wizyty Apostolskiej* czyli ustawy szkolne zakładów Pijarskich, umożliwiły szerszym kołom zapoznanie się z nowym systemem.[1]) Zanim jeszcze przyszło do tej publikacyi, pierwsze usiłowania znakomitego reformatora wywrzeć musiały wpływ pobudzający na sfery, których opiece była oddana sprawa wyższej oświaty w Rzeczypospolitej. Temu wpływowi możnaby przypisać okoliczność, że już około r. 1746 biskup krakowski, Jędrzej Stanisław Załuski, podjął pierwsze starania około podniesienia poziomu naukowego w Akademii. Przedsięwziął sobie mianowicie sprowadzić z Niemiec znanego uczonego, Chrystyana Wolffa, do Krakowa, aby z jego pomocą zapoznać młodzież z ostatniemi postępami w dziedzinie matematyki i filozofii i aby wedle słów Kołłątaja obudzić w niej ochotę „do umiejętności w nowym wykładanych sposobie“.

---

scholarów w Akademii co najmniej 2000 (K. Morawski: *J. Górski*, str. 27), i to jest cyfra wiarogodna. Mniej prawdopodobnemi wydają się nam dane, z późniejszych czasów, zestawione przez Muczkowskiego. Wedle Klonowicza miał liczyć Uniwersytet w r. 1590 scholarów 4.000; a w r. 1633, wedle Radymińskiego, w uroczystej procesyi miało uczestniczyć jakoby aż 6—7 tysięcy studentów. Cyfrę tę odrzucilibyśmy bez wahania jako przesadną, gdyby nie to, że i Kołłątaj w dziele o *Stanie oświecenia* (t. I, str. 240), podawał także zwyczajną liczbę studentów, przed nastaniem Pijarów, na 5—6 tysięcy, zaznaczając, że dopiero od r. 1752 spadła ona do 2.000 i na tej wysokości już odtąd do jego czasów się utrzymywała. (Por. także w dziełku Muczkowskiego, przytoczonem wyżej, ustęp na str. 103). Wszystkie te dane wymagają jeszcze sprawdzenia na podstawie pewniejszych źródeł.

[1]) Łukaszewicz: *Historya szkół*, t. II, str. 1—37.

„Cały atoli zamysł biskupa-obywatela — dodaje zaraz Kołłątaj — spełzł nadaremno, bo starzy akademicy oparli się sprowadzeniu Wolffa, jako heretyka, niegodnego uczyć prawowiernych katolików...“ [1]) Załuski, nie zrażony, chwycił się innego sposobu. Wysłał mianowicie własnym kosztem do Halli jednego z uczniów Akademii, X. Świątkowskiego, aby się wykształcił gruntownie w matematyce i fizyce. Świątkowski, po powrocie z zagranicy, w istocie rozpoczął wykłady, „sposobem od Wolffa wziętym“, „ale — jak znowu opowiada Kołłątaj — prześladowany od starszyzny, oddalił się prędko od zgromadzenia akademickiego“. [2]) Pierwszemu zatem inicyatorowi naprawy nie bardzo się wiodło; wysiłki jego rozbijały się o zakamieniałe mury zasklepionej w średniowiecznym, scholastycznym systemie Akademii.

Nie odstraszyły te niepowodzenia następnego biskupa krakowskiego, Kajetana Sołtyka, od wstąpienia w ślady poprzednika. W tym celu wyjednał on sobie przedewszystkiem u papieża Klemensa XIII i króla Stanisława Augusta, w r. 1765, polecenie przeprowadzenia gruntownej wizytacyi Akademii i uzbrojony takiem pełnomocnictwem, zabrał się 8 lipca tegoż roku do pracy z pomocą całego zastępu dygnitarzy dyecezyalnych, z których potworzył komisye, z oznaczonym z góry zakresem działania. Przed upływem r. 1766 delegaci skończyli swoje czynności i złożyli biskupowi sprawozdania. Treść ich zachowała się w t. zw. *Acta visitationis,* jakoteż w wydanej drukiem „Mowie Sołtyka, mianej na sejmie ordynaryjnym warszawskim w r. 1776“ i w krótkiej „Informacyi“, którą tenże biskup przygotował osobno dla króla. Wszystkie te sprawozdania przedstawiają stan Akademii pod względem materyalnym i naukowym w posępnych barwach. Sołtyk nie wahał się otwarcie stwierdzić, że najwyższa Szkoła krakowska „po staremu tak jest teraz ubogą *in corpore,* iż dziwić się należy, jak może dotąd *subsistere*“; wskazywał, przynajmniej ogólnie, na niski stan nauk i na konieczność odnowy przestarzałego po części ich systemu: „Wszystkie sciencye w Akademii – było jego orzeczenie — dawnych się

[1]) *Stan oświecenia w Polsce,* t. I, str. 153—154.
[2]) Tamże, t. II, str. 154—155.

sposobów z potrzeby trzymać muszą, przez co u myślących po dzisiejszemu Akademia *demereri inculpatur*. Ale gdyby tylko gust teraźniejszy środkami przyzwoitemi od niej był wprowadzony, wkrótceby przyszła do równego najlepszym akademiom lustru. Teologiczne i jurydyczne studya dosyć chwalebnie w niej *traduntur*, bo w tych nie tak znaczną wieki sprawiły odmianę i jakiekolwiek przecie mają jeszcze intraty; ale filozofia, matematyka i medycyna nowej z gruntu fundacyi i nowych uczenia sposobów przy opatrzeniu instrumentów potrzebują".[1]) Nie mamy wiadomości, czy komisye wizytacyjne wypracowały jaki projekt naprawy; z wielkiem prawdopodobieństwem można w każdym razie za skutek przeprowadzonej w r. 1766 wizytacyi uważać dosyć ważne reformy, dokonane w Akademii jeszcze przed wystąpieniem Kołłątaja, o których podaje parę szczegółów Śniadecki w jednem ze swoich dzieł biograficznych: „Na kilka lat przed zniesieniem Jezuitów — są jego słowa[2]) — pod rządem Kazimierza Stępkowskiego, teologii doktora, męża pełnego cnót i rzadkiej o sławę Akademii gorliwości (a więc zapewne w r. 1768, bo wtedy po raz ostatni Stępkowski był rektorem, podczas gdy zniesienie zakonu Jezuitów przypada na rok 1773), za jego namową i przykładem złożyli się starzy akademicy na sumę pieniężną, wysłali Jakóba Niegowiec kiego, astronoma, do Wiednia na skupienie niektórych instrumentów astronomicznych i fizycznych; tenże Stępkowski, umierając zostawił 5000 złp. na założenie ogrodu botanicznego, które dochowane aż do reformy, obrócone były wedle myśli fundatora". Co więcej, dowiadujemy się od Śniadeckiego, że „wnet potem", X. Józef Putanowicz, profesor matematyki i filozofii, oczywiście autor znanej nam broszury o *Stanie wewnętrznym i zewnętrznym Studii generalis*, „powróciwszy z Włoch, gdzie sławniejsze akademie zwiedził, przełożył Uniwersytetowi potrzebne odmiany w fakultecie filozoficznym

[1]) K. Mecherzyński: *Owizycie Akademii krakowskiej, odbytej w r. 1766 etc.* (*Rozpr. Wydz. hist. filozof. Akad. Umiej.*, t. I, str. 1—24). Łukaszewicz: *Historya szkół*, t. II, str. 97—101.

[2]) *Żywot literacki Hugona Kołłątaja* (wyd. Turowskiego), str. 32—33.

i te przywiódł do skutku. Zaprowadzono kurs filozofii eklektycznej, której Putanowicz był pierwszym i wybornym profesorem. Nauki matematyczne podzielono na cztery klasy i tyleż do niej profesorów wyznaczono. W pierwszej klasie umieszczono arytmetykę i geometryę Euklidesa z trygonometryą; w drugiej nauki mechaniki i hydrauliki; w trzeciej astronomię i nauki optyczne z perspektywą; w czwartej architekturę cywilną i militarną z pirotechniką. Ważniejsze części fizyki były w tym układzie zawarte. Później zaprowadzona była algebra i dawana oddzielnie. Był astronom królewski fundacyi Strzałkowskiego, który powinien był młódź akademicką w rachunkach astronomicznych ćwiczyć. Do rozmiarów praktycznych geodezyi była oddzielna przydatkowa łekcya w lecie raz na tydzień dawana". Były to same zmiany postępowe, które jednak poprawiały stan dawniejszy tylko na Wydziale filozoficznym.

Dokonanie zasadniczej i wszechstronnej reformy miało być dopiero dziełem Komisyi Edukacyjnej. Akademia sama, w rok po utworzeniu Komisyi, upomniała się o poratunek. W r. 1774 udawali się do stolicy, jako deputaci grona profesorów, Jędrzej Lipowicz, kanonik katedralny krakowski, i znany nam X. Józef Putanowicz, który przynosił ze sobą referat o *Stanie wewnętrznym i zewnętrznym Studii Generalis.* Obaj doznali przychylnego w Warszawie przyjęcia [1]). Komisya zajęła się zaraz gromadzeniem materyałów do uznanej za nieodzowną reformy. Na jej żądanie opracował prof. Jędrzej Badurski w r. 1776 w języku łacińskim: *Projekt urządzenia Kollegium lekarskiego* [2]). W tymże roku Akademia przez osobnego delegata wniosła ponowną prośbę o przyspieszenie reformy. Nie omieszkano jej zadosyć uczynić: na wniosek X. Michała Poniatowskiego, przewodniczącego, powierzyła Komisya w r. 1777 X. Hugonowi Kołłątajowi misyę podjęcia wizytacyi Akademii i wypracowania na miejscu projektu naprawy [3]).

---

[1]) K. Mecherzyński: *O reformie Akademii krakowskiej*, str. 7—8.

[1]) Brodowicz: *Żywot Jędrzeja Badurskiego (Rocznik Wydz. lek. U. J.*, t. II, str. 112).

[3]) K. Mecherzyński, jak wyżej, str. 8.

Kołłątaj wyjechał niezwłocznie do Krakowa i rozpoczął swoje czynności wizytatorskie dnia 12 maja r. 1777. Przystąpił przedewszystkiem do rewizyi majątku Akademii. Z rewizyi tej okazało się, że Akademia miała podówczas dochodu 35.173 złp., z których na opłatę profesorów, prowizyj kościelnych i t. zw. borkan, wydawano 12.363 złp., na anniwersarze i naprawę domów 5.686 złp. Zarządził następnie wizytator dokładne zbadanie wszystkich przywilejów, aktów fundacyjnych, zapisów i t. d., jakie znajdowały się w archiwum, celem powzięcia wiadomości o wszelkich uprawnionych pretensyach Akademii i obmyślenia sposobu odzyskania przepadłych lub zatamowanych niesłusznie źródeł dochodów. Rozporządził dalej rewizyę księgozbiorów, rozrzuconych po różnych budynkach i nakazał ich połączenie w jedną publiczną bibliotekę, jakoteż dokładne skatalogowanie dzieł, w skład jej wchodzących. Wezwał wreszcie przełożonych wszystkich wydziałów do przedłożenia projektów reformy odpowiednich fakultetów. Praca postępowała tak szybko, że już 28 stycznia 1778 r. mógł Kołłątaj przesłać Komisyi Edukacyjnej pierwsze sprawozdanie z wizyty i poddać jej ocenie projekt nowego planu naukowego dla Wydziału filozoficznego [1]). Projekty reform, nowych planów naukowych, zmiany w składzie grona nauczycielskiego realizowano stopniowo, w miarę, jak zyskiwały zatwierdzenie Komisyi.

Ważniejsze przepisy, tyczące się ogólnego porządku w Akademii, zaczęły obowiązywać już od dnia 15 maja 1778. Ustanawiały one dla rektora okres urzędowania trzechletni i uwalniały go od zarządu funduszami i dochodami Akademii, która to czynność przechodziła na osobnego dygnitarza, także wybieranego na trzy lata — to jest na t. zw prokuratora. Wszystkie fundusze i dochody akademickie zostały połączone w jedną kasę. Po przeprowadzeniu tej zmiany okazało się, że majątek Akademii mógł dawać rocznego dochodu co najmniej 70.000. Profesorowie mieli odtąd pobierać płace, zastosowane do trudności zadania, jakie spełniali; przyczem jednak różnice między płacami jednych a drugich zostały znacznie zmniejszone [2]).

[1]) K. Mecherzyński: *O reformie Akademii krak.*, str. 8 – 12.
[2]) Tamże, str. 11—27.

Największą doniosłość miały jednak zmiany w planie naukowym i w całym systemie nauczania, jakie wprowadził Kołłątaj po kolei na wszystkich wydziałach, a najwcześniej, bo już w r. 1778, na Wydziale filozoficznym. Miano na tym Wydziale wykładać siedm głównych przedmiotów, mianowicie: logikę i metafizykę, filozofię moralną, historyę naturalną, fizykę, matematykę, wymowę i poezyę; co do matematyki zachowano podział na cztery klasy, istniejący od czasów reformy X. Putanowicza. Uderza w tym nowym planie od razu nacisk, położony na nauki przyrodnicze i inne, w ścisłym związku z niemi zostające. Szczególnej uwagi i najwyższego uznania godną jest instrukcya, której się mieli trzymać profesorowie Zalecała ona prelegentom, aby w wykładach swoich uwzględniali nowszą literaturę przedmiotu, aby unikali powtarzania zastarzałych przesądów i rozbudzania zawiści i aby się „trzymali sposobu analitycznego, przechodząc od rzeczy łatwiejszych do trudniejszych“, „aby naukę do rozmaitych potrzeb życia zastosowywali“, aby teoryę stosowano do potrzeb praktycznych i w szczególności krajowych i t. d. — słowem, widoczną jest w tych i tym podobnych przepisach intencya wprowadzenia metody rozumowej w miejsce pamięciowej, dbałość o przestrzeganie ścisłego związku teoryi z praktyką, w wogóle dążność do tego, aby przysposobić uczniów do przyszłych czynności zawodowych, ułatwić im spełnianie obowiązków obywatelskich [1]).

Z kolei przystąpił Kołłątaj także do przekształcenia innych wydziałów tak pod względem składu katedr, jak i pod względem planu naukowego. Oto, jak określa treść tej reformy Jan Śniadecki: „W medycynie anatomię połączono z fizyologią, patologię z kliniką medyczną, chirurgię z kliniką chirurgiczną i akuszerską, farmacyę z materyą medyczną. Teologii naznaczono trzy katedry: Pisma Świętego z językami oryentalnemi, historyi kościelnej, teologii dogmatycznej z moralną. Fakultet jurydyczny miał prawo przyrodzone, ekonomiczne i polityczne, prawo rzymskie, prawo krajowe cywilne, kryminalne, prawo duchowne i proces prawa kościelnego“ [2]). Z tego nader krótkiego streszczenia reform Kołłą-

[1]) Łukaszewicz: *Historya szkół*, t. I, str. 260—262.
[2]) J. Śniadecki: *Żywot Kołłątaja*, str. 35—36.

tajowskich łatwo już wyrozumieć, na czem polegała wyższość nowego systemu nad dawnym. Uwzględniono w tym nowym systemie całą seryę nauk i umiejętności, których nie uczono poprzednio wcale w Akademii, kładąc nacisk na te zwłaszcza, które odpowiadały najbardziej stosunkom i potrzebom krajowym. Wszystkie zmiany, projektowane przez Kołłątaja w planie naukowym wydziałów, zatwierdziła Komisya Edukacyjna w r. 1780, tak że z dniem 1 października t. r. weszły one w życie pod okiem samegoż reformatora, a za rządów Antoniego Żołędziowskiego, który był pierwszym rektorem, wybranym na trzy lata. W trzy lata później, w r. 1783, z uchwały Komisyi Edukacyjnej, zgodnie z intencyami Kołłątaja, przyszło do uzupełnienia tych szczegółowych przemian w tym sposobie, iż wprowadzono we wszystkich uniwersytetach polskich podział na dwa tylko Wydziały czyli kollegia, t. j. na kollegium fizyczne i moralne — ale każde z tych kollegiów podzielono na trzy podrzędne oddziały, mianowicie kollegium fizyczne na szkoły matematyczną, fizyczną i lekarską, kollegium moralne na szkołę teologiczną, szkołę prawa i szkołę literatury. Pierwszorzędnej doniosłości innowacyą było dalej to, że w miejsce wykładowego języka łacińskiego, na wszystkich wydziałach, z wyjątkiem teologicznego wprowadzono język polski, zostawiając jednak możność używania nadal także i języka łacińskiego. Większa część dawniejszych profesorów została usunięta z katedr z dostatecznem zaopatrzeniem, a głównem staraniem Kołłątaja i kollegiów było, aby usuniętych zastąpić nowemi siłami jak najlepszej miary. Niespożytą zasługą reformatora było wreszcie to, że kładł szczególny nacisk na tworzenie zbiorów i zakładów naukowych przy Uniwersytecie i dał w istocie początek całej seryi pomocniczych instytucyj, których poprzednio Akademia nie posiadała.

Już na pierwszem posiedzeniu zreformowanej Akademii 29 września 1780 r., zapowiedział Kołłątaj urządzenie osobnego obserwatoryum astronomicznego: zapowiedź ta została spełnioną, co prawda, dopiero w 7 lat później, co nie umniejsza zresztą bynajmniej zasługi inicyatora [1]). Natomiast bezpośre-

[1]) *Zakłady Uniwersyteckie*, str. 95.

dnio po przeprowadzeniu reformy, w r. 1782—1783 rozpoczęły się roboty około założenia pierwszego ogrodu botanicznego pod okiem prof. Jaśkiewicza i ogrodnika Franciszka Kajzera [1]). Mały gabinet fizyczny istniał wprawdzie przy Akademii przed r. 1780, ale doznał dopiero po reformie Kołłątajowskiej rozszerzenia i pomnożenia, tak, że prof. Kuczyński od r. 1784 datuje prawidłowy rozwój tego zakładu [2]). Od tego czasu też dopiero posiadała Akademia katedrę chemii, a tem samem i początki gabinetu chemicznego wiążą się z pamiętną datą reformy; jakoż najdawniejszy inwentarz laboratoryum chemicznego sięga już r. 1785 [3]). Równocześnie powstało także przy katedrze anatomii laboratoryum anatomiczne; Komisya Edukacyjna ustanowiła bowiem właśnie w tym roku pierwszą posadę stałego prosektora, a profesorowi samemu przyznawała odtąd w pewnych odstępach czasu dotacyę na koszta wykonywania sekcyj [4]). Dalej, już w r. 1780, a więc znowuż pod okiem Kołłątaja przyszło do otwarcia wielkiego zakładu klinicznego pod nazwą szpitala akademickiego, nad którego utworzeniem i urządzeniem pracował ze szczególną usilnością i gorliwością prof. Badurski, pierwszy dyrektor kliniki i fizyk szpitala [5]).

Ustawy Komisyi Edukacyjnej narodowej dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitej przepisanej, wydane w r. 1783, przywróciły nadto Akademii zatracone w XVIII wieku prawie zupełnie prawo zwierzchnictwa nad podrzędnemi zakładami naukowemi w Koronie, orzekając, że „do Szkoły głównej krakowskiej należeć będą wszyscy nauczyciele szkół koronnych“ i że Akademia ma obowiązek nadzorowania i kontrolowania szkół podwładnych i wykonywania sądownictwa nad osobami, w skład ciał nauczycielskich wchodzącemi [6]).

Kołłątaj, który wskutek nieporozumień z władzami akademickiemi i biskupem opuścił był w r. 1781 Kraków, po-

---

[1]) Tamże, str. 146—147.
[2]) Tamże, str. 288—290.
[3]) *Zakłady Uniwersyteckie*, str. 346—7.
[4]) Tamże, str. 359—364.
[5]) Tamże, str. 460—461.
[6]) Łukaszewicz: *Historya szkół*, t. II, str. 268—269.

wrócił w czerwcu r. 1782 ponownie do tego miasta i co więcej, w r. 1783 przyjął godność rektora Akademii na następne trzylecie [1]). Użył swej władzy na to, aby dopełnić rozpoczętego rozumnie i szczęśliwie dzieła. Wyjednał n. p. w r. 1785 w Komisyi Edukacyjnej rozporządzenie, aby wszystkie miasta koronne były obowiązane do przysyłania i utrzymywania w Krakowie stu pięćdziesięciu młodych ludzi dla nauki medycyny i chirurgii. „Za sumę dwieście czterdzieści złotych polskich rocznie na osobę — powiada Śniadecki — obowiązała się Akademia opatrywać każdemu uczniowi mieszkanie, opał, stół, światło, dozór, naukę i odzienie. Jakoż tak ważny instytut udał się bardzo szczęśliwie i dotrwał do ostatniego upadku i rozbioru kraju. Wyszła z niego wielka liczba dobrze usposobionych medyków i chirurgów...“ [2]).

W ciągu rządów Kołłątaja, jako wizytatora i potem jako rektora, zaszła też zupełna przemiana w obsadzie grona nauczycielskiego. W r. 1781 znaczna część starych profesorów ustąpiła: zatrzymano na stanowiskach tylko takich, których uważano za zdolnych do zastosowania się do nowego systemu i do współczesnego poziomu nauki europejskiej. Odnowione lub świeżo utworzone zakłady stanęły więc otworem dla nowych sił, nad których doborem czuwał sam Kołłątaj. Z dawniejszych profesorów najwięcej pomocnymi byli reformatorowi X. Putanowicz, Jan Jaśkiewicz i Jędrzej Badurski, ten ostatni, co prawda, tylko do r. 1783, w którym ze względów zdrowia musiał się usunąć.

Najcenniejszym nowym nabytkiem dla „Szkoły głównej koronnej“ była osobistość Jana Śniadeckiego, który we wrześniu r. 1781 objął katedrę matematyki wyższej i astronomii w Collegium fizycznem, a w jesieni tegoż roku rozpoczął wykłady. Nie mamy potrzeby rozwodzić się tutaj nad rolą i zasługą tego człowieka w rozwoju polskiej nauki. Rzecz to wiadoma i uznana, że w zastępie uczonych polskich z końca XVIII-go i z początków XIX wieku on był pierwszym uczonym europejskiej miary, bo nie tylko sam umiał się utrzymywać na poziomie europejskiej nauki, ale i nawzajem w zagranicznym

[1]) J. Śniadecki: *Żywot Kołłątaja*, str. 41 i 43—46.
[2]) *Żywot Kołłątaja*, str. 50—51.

świecie naukowym dobrze był znanym i prawdziwie cenionym [1]). Umysł wszechstronny, zdolny do wznoszenia się od przedmiotów umiejętności ścisłych do najwyższych zagadnień filozoficznych, a przytem człowiek, uposażony talentem organizacyjnym, energią, obrotny, ruchliwy, przedsiębiorczy – nadawał się znakomicie do roli współpracownika przy dziele reformy, które wprawdzie zostało przygotowane i ugruntowane przez Kołłątaja, ale wymagało jeszcze dalszego rozwinięcia i uzupełnienia pod wieloma względami. Był Śniadecki przedewszystkiem współpracownikiem Kołłątaja, pomocy jego bowiem używał wizytator stale, codziennie, przy układaniu ostatecznego planu reform w r. 1782, nakłoniwszy go do przyjęcia obowiązków sekretarza Uniwersytetu i członka Rady wizytatorskiej [2]). Kołłątaj zresztą usunął się już w r. 1786, a gdy w jego miejsce przybyły wizytator Feliks Oraczewski okazał się człowiekiem dosyć nieudolnym, praca około podtrzymania odrodzonej instytucyi spoczęła głównie na barkach Śniadeckiego, który pozostał na stanowisku profesora do r. 1803 [2]).

Niespożyte zasługi położył Śniadecki przedewszystkiem około podniesienia nauk matematycznych i astronomicznych w Akademii. Wyjednał fundusze na budowę gmachu obserwatoryum astronomicznego, którego ściany zostały w istocie wzniesione pod okiem znakomitego rzeczoznawcy w czasie między r. 1787 a r. 1791. Za staraniem Śniadeckiego uzyskał również nowy gmach zaopatrzenie w liczne instrumenta astronomiczne, które umożliwiły prowadzenie pewnych samodzielnych obserwacyj z dokładnością, budzącą uznanie i po za granicami kraju [4]). Dzięki jemu wreszcie, zaniedbane dotąd nauki przyrodnicze i lekarskie, doznawały po reformie szczególnej pieczy w Akademii. Miał do pomocy dzielnych pracowników w takich profesorach, jak Jan Jaśkiewicz, botanik i chemik, jak Rafał Czerwiakowski, gruntowny anatom i fizyolog, założyciel prosektoryum anatomicznego, jak prze-

[1]) M. Straszewski: *Jan Śniadecki* (Kraków 1875), str. 16, 111, 305 – 323.
[2]) Baliński: *Pamiętniki o Śniadeckim*, t. I, str. 77—112.
[3]) Tamże, t. I, str. 322.
[4]) *Zakłady Uniwersyteckie*, str. 94—105.

dewszystkiem Jędrzej Badurski (chociaż tenże tylko do r. 1783 pozostał w Uniwersytecie), twórca szpitala akademickiego i kliniki lekarskiej przy tym zakładzie [1]).

Nie podobna nam tutaj podawać szczegółowego obrazu przebiegu i zbawiennych skutków reformy Kołłątajowskiej [2]). Pozwolimy sobie tylko zrobić uwagę, że nie była ona dotąd godnie ocenioną: co do nas, im bliżej rozglądamy się w tem dziele, tem większy odczuwamy dlań szacunek i podziw. Nie można było przeprowadzić doskonalszej, bardziej gruntownej i rozumnej naprawy Akademii w tak krótkim stosunkowo przeciągu czasu; nie wahamy się twierdzić, że dokonała ona w systemie nauczania, ustalonym w Krakowie od XVI w., zupełnej rewolucyi, i to rewolucyi w najlepszem tego słowa znaczeniu. Prawie od razu, jakby od jednego ciosu, runął cały gmach dyscyplin średniowiecznych: metoda analityczna wzięła górę nad metodą dogmatyczną, naukom przyrodniczym wyznaczono należne im szerokie miejsce; samodzielnym badaniom otworzono drogę w całej seryi niebywałych przedtem zakładów uniwersyteckich. Daleko było Uniwersytetowi Jagiellońskiemu bezpośrednio po reformie do bogactwa i wartości wewnętrznej najlepszych uniwersytetów zagranicznych; zakłady, utworzone za Kołłątaja, były tylko pierwszemi zawiązkami laboratoryów i klinik, których urządzenie nie dorównywało pod żadnym względem innym wielkoświatowym, zachodnio-europejskim; i wreszcie zreformowany Uniwersytet nie miał i nie wydał przed ostatnim rozbiorem — prócz Śniadeckiego — żadnego uczonego, któregoby można postawić w rzędzie światowych powag. Ale istota całej reformy, jej największa korzyść i ważność była w tem, że nareszcie zerwano stanowczo ze starym systemem, że zostały wytknięte

[1]) Tamże, str. 146—159, 359—361, 460—462.

[2]) Pierwsze te dodatnie skutki śledzić można w interesujących protokółach *Wizyty szkoły głównej koronnej przez Feliksa Oraczewskiego... roku 1786 dnia 19 maja rozpoczętej* (*Arch. do dziej. lit. i ośw.* t. III, str. 174—412), na którą tu zaledwie wskazać możemy, jako na szacowne źródło do dziejów Uniwersytetu z najbliższych czasów po reformie. Dużo światła na nie rzucają także Balińskiego: *Pamiętniki o Śniadeckich*, t. I, str. 1—322 i Śniadeckiego: *Żywot literacki H. Kołłątaja*, str. 23—54.

nowe kierunki i drogi, po których można było dójść kiedyś do zrównania się z postępem zachodnio-europejskim, że wreszcie dano początek tym pomocniczym instytucyom naukowym, bez których przedtem Akademia była jakby ciałem mądrego człowieka bez oczu, nóg i ramienia — słowem dano popęd, inicyatywę do odmian na lepsze we wszystkich sferach tak w sferze materyalnej, w dziedzinie finansowej gospodarki, jak i w sferze idealnej, w dziedzinie pracy umysłowej i nauki. Popęd był tak silny, że odtąd pod jego wpływem Akademia posuwa się stale naprzód, mimo wszystkich, niekiedy wprost zabójczych przeszkód, jakie stawały w drodze jej dalszemu rozwojowi. Wskutek tych przeszkód postęp bywał czasem bardzo powolny, bardzo nieznaczny; wskutek tych przeszkód zdarzały się nawet rozpaczliwe chwile takiego pochylania się ku upadkowi, że sam upadek zdawał się nieuniknionym; a jednak jeżeli Uniwersytet Jagielloński stoi dzisiaj na takiej wysokości, na jakiej nie stał nigdy przedtem od początków XVI wieku, i jeśli tak silnie trzyma się obecnie na tym wysokim swoim poziomie, to dzięki temu po części, że nowa budowa odrodzonej szkoły oparła się na trwałych i szerokich fundamentach, założonych na nowo za sprawą Komisyi Edukacyjnej.

Że w pochodzie po drodze postępowej trudności, nieraz bardzo poważnych i ciężkich, nie brakło, to pewna. Dla Akademii, jak i dla całej Polski było to ciężkim ciosem, że upadła Konstytucya 3-go Maja, że w kraju wzięła górę Targowica, która — wedle słów Balińskiego — „zwaliwszy wszystkie dzieła Sejmu konstytucyjnego, rozwiązała także i Komisyę Edukacyjną“. Z tej przyczyny wnet potem zaczęły nawet docierać do Krakowa wieści o „przeniesieniu albo zupełnem zniesieniu Szkoły głównej koronnej“. Trzeba było znowu wyprawiać poselstwo do sejmu i do króla. Sprawował tę misyę w Grodnie niestrudzony Śniadecki — i jego zręcznym staraniom głównie udało się zażegnać burzę, wiszącą nad Akademią [1]). Nie mógł, niestety, zażegnać tej drugiej, najstraszliwszej burzy, która niedługo potem zawisła nad całą Rzeczpospolitą i od której gromów cały gmach państwa polskiego rozpadł się w gruzy...

[1]) Baliński: *Pamiętniki o Śniadeckich*, t. I, str. 226—253.

IV.

W ciągu XIX wieku musiał Uniwersytet Jagielloński przebywać wszystkie te różnorodne koleje, jakie przebywało całe społeczeństwo polskie porozbiorowe, a zwłaszcza dawna stolica Piastowska, która doznawała szczególnie często zmienności losu. W czasie od r. 1795 zmieniał Kraków, jak wiadomo, nie mniej jak cztery razy panów: od ostatniego rozbioru po rok 1809 należał do zaboru austryackiego, między r.1809 a r. 1813, względnie r. 1815, wchodził w skład Księstwa Warszawskiego, od Kongresu wiedeńskiego do r. 1846 pozostawał jako „wolne“ rzekomo miasto i ognisko małej Rzeczypospolitej pod opieką trzech mocarstw rozbiorowych, a w r. 1846 wrócił pod stałe już odtąd rządy austryackie, przyłączony wraz z całym obszarem tejże Rzeczypospolitej do Galicyi pod nazwą Wielkiego Księstwa Krakowskiego.

Zmieniali się zwierzchnicy, a więc zmieniały się i systemy rządów i zmieniała się temsamem wielokrotnie sytuacya społeczna i materyalna Uniwersytetu, urządzenie jego wewnętrzne, organizacya władz, porządek planu naukowego i sam nawet system nauczania. Zmiany, jakim podlegała wszechnica krakowska pod temi wszystkiemi względami, zachodziły nawet częściej, aniżeli zmiany zwierzchników — bo usposobienia niektórych zwierzchników były zmienne i jedni i ci sami rządcy przechodzili w zapatrywaniach na sprawy wyższego szkolnictwa od jednych systemów do drugich. Można w istocie naliczyć co najmniej dziewięć rozmaitych faz przejściowych w rozwoju Uniwersytetu krakowskiego po r. 1795, i to faz, będących częściej skutkiem przyczyn czysto zewnętrznych, przymuszonych, aniżeli wypływem samodzielnego dążenia do doskonałości.

Dążenie do doskonałości, do polepszenia ustroju i planu naukowego, do ożywienia dobrej sławy Uniwersytetu, jest wprawdzie także stałą cechą jego rozwoju w XIX wieku; ale trzeba stwierdzić, że to dążenie wychodziło zazwyczaj nie od najwyższych władz zwierzchniczych, lecz od samych władz akademickich, od grona nauczycielskiego, od pewnych jednostek, zajmujących wśród niego wybitniejsze stanowiska.

I dzięki temu głównie, mimo bolesnych wstrząśnień politycznych, mimo całej niestałości losów, mimo wielce niekorzystnych często warunków materyalnych i moralnych, Uniwersytet Jagielloński, za popędem raz danym przez Komisyę Edukacyjną, powoli, ale dosyć stale podnosi się w XIX wieku, rozprzestrzenia stopniowo zakres swoich wpływów, zdobywa sobie coraz szersze znaczenie i wyższą wartość moralną i pełen żywotnej siły staje wobec tego przewrotu w stosunkach politycznych, który mu nareszcie umożliwił, dzięki zbiorowemu odtąd poparciu całego społeczeństwa polskiego w Galicyi i rządu, powrót do tak kwitnącego stanu, w jakim nie znajdował się od czasów Kopernika.

Katastrofa z r. 1795 miała przedewszystkiem ten fatalny dla Krakowa skutek, że w pobliżu tego miasta schodziły się granice dwóch, a potem trzech dzielnic Polski, z których każda podlegała innemu rządowi. Trudności, jakie spotykała od początku młodzież w przenoszeniu się z jednej dzielnicy do drugiej, musiały się szkodliwie odbić na frekwencyi uczniów w Szkole krakowskiej. Co więcej, wskutek rozbiorów znaczna część majątku Uniwersytetu znalazła się w owych dzielnicach i przeszła na własność dwóch nowych rządów—a więc nastąpiło znaczne pogorszenie warunków materyalnych zreformowanej dopiero co szczęśliwie instytucyi. Trzeba pamiętać nadto, że dzielnica, do której wcielony został obwód krakowski, posiadała już od r. 1784 uniwersytet we Lwowie, od razu, co prawda, zorganizowany jako zakład naukowy niemiecki.

Rząd austryacki, któremu Kraków podlegał do r. 1809, zachowywał się zrazu wobec Uniwersytetu biernie; pozostawił więc do czasu stan rzeczy, jaki znalazł w chwili zaboru, ale nie przyczynił się niczem do jego ustalenia i polepszenia. Nie postarał się więc o rewindykacyę tej części dóbr Akademii, które leżały w innych dzielnicach Polski po za granicami Austryi [1]). Bądź co bądź, dzięki biernemu stanowisku rządu Akademia prowadziła dalej, po rok 1802, sama gospodarkę w swoim majątku, i dzięki temu także nie uległ

[1]) Meciszewski: *Posag Uniw. Jagiell.* (Kraków 1880), str. 26—29.

po rok 1803 ani system naukowy, ani skład grona nauczycielskiego żadnym zasadniczym zmianom. Nauka odbywała się dalej po części w języku łacińskim, po części w polskim. Pracował też jeszcze przez ośm lat dla dobra Uniwersytetu Jan Śniadecki i jego usiłowaniom, wspieranym pomocą kilku dzielnych profesorów, takich, jak Feliks Radwański, profesor mechaniki, Rafał Czerwiakowski, anatom i fizyolog, udało się utrzymać istnienie wszystkich tych katedr i zakładów naukowych, które utworzyła Komisya Edukacyjna.

Lecz już w r. 1802 zaczęły się zmiany na gorsze. W tym bowiem roku rząd austryacki objął w swój zarząd majątek Uniwersytetu, ustanowiwszy dla administracyi wszystkich funduszów edukacyjnych w Galicyi zachodniej t. zw. „Stiftungsfond“, któremu musiała odtąd podlegać i Akademia [1]). Po tem rozporządzeniu nastąpiło 9 maja r. 1803 drugie, daleko bardziej dotkliwe, choć tylko tymczasowe: nakazywało ono od r. 1803/1804 wykładać po łacinie, co do podręczników wykładowych trzymać się przepisów w Austryi obowiązujących, całość każdego przedmiotu zamykać w jednorocznym wykładzie; dalej wprowadziło podział na cztery wydziały, znosząc rozkład na kollegium fizyczne i moralne; i wreszcie zawierało zapowiedź zupełnej reformy Uniwersytetu [2]).

Ta reforma przyszła w r. 1805. Najwyższem postanowieniem z dnia 9 sierpnia 1805 r. został Uniwersytet lwowski przeniesiony do Krakowa i połączony w jeden z Uniwersytetem Jagiellońskim, któremu nadano zarazem charakter, organizacyę i plan naukowy, obowiązujący w innych uniwersytetach austryackich. Językiem wykładowym miał być odtąd tylko język niemiecki albo łaciński. Niektóre katedry zostały zniesione (n. p. katedra mechaniki); ale natomiast utworzono kilka nowych. Przeważna część dawnych profesorów ustąpiła; miejsce ich zajęli profesorowie Niemcy, przeniesieni ze Lwowa [3]). Utrzymała się jednak na stanowiskach

[1]) Meciszewski: *Posag Uniw. Jagiell.* str. 8.
[2]) *Zakłady Uniwersyteckie*, str. 317.
[3]) L. Finkel: *Historya Uniwersytetu lwowskiego*, str. 153—154. *Zakłady uniwersyteckie*, str. 317—318. Por. *Wykaz chronologiczny hierarchii stanu nauczycielskiego przy Szkole głównej* 1780—1809. (*Arch. do dziej. liter.* I, str. 244—263)

także pewna liczba Polaków. Nie mogli oni jednak przeszkodzić temu, że spełniona została po raz pierwszy częściowa przynajmniej germanizacya Uniwersytetu.

Było wśród profesorów niemieckich kilku ludzi dobrej woli i głębszej wiedzy; w pierwszym rzędzie godzi się wymienić Jana Józefa Littrowa, profesora matematyki wyższej i astronomii, który, dopiero w r. 1807 objął obowiązki w Krakowie, Baltazara Hacqueta, profesora mineralogii, Zemantseka, profesora fizyki, i Jana Nepomucena Rusta, profesora chirurgii [1]). Staraniom tych uczonych należy przypisać, że mimo zmian, nie odpowiadających potrzebom polskiej młodzieży, poziom naukowy w Szkole krakowskiej się nie obniżył; co do Wydziału lekarskiego twierdził nawet (w r. 1842) prof. Skobel, że tenże po reformie w r. 1805 „z wielu względów, w porównaniu ze stanem poprzednim, odniósł pewne korzyści. Takiemi są zwiększenie liczby profesorów z pięciu i jednego prosektora, jak to było w r. 1796, do jedenastu profesorów i trzech assystentów, jak to znajdujemy w r. 1808-1809; stosownie do tego możność dogodniejszego rozłożenia przedmiotów naukowych, a zatem utworzenie kilku dawniej niebyłych katedr, jak to położnictwa (przedtem przez prof. chirurgii wykładanego), medycyny sądowej i policyi lekarskiej, weterynaryi i katedry nauk lekarskich teoretycznych dla uczniów chirurgii niższej; wreszcie wzorowe urządzenie szkoły położniczej, tak pod względem administracyi, jako i samej nauki“ [2]). Germanizacya Uniwersytetu także nie była zupełna; z powodów czysto praktycznych trudności musiano i nadal dozwalać na wykłady pewnych przedmiotów w języku polskim [3]). Przedstawiał więc Uniwersytet Jagielloński w okresie czasu od r. 1805—1809 dziwne widowisko: w składzie profesorów dwa obce sobie żywioły, które też żyły ze sobą w niezgodzie —pod względem formy nauczania mięszaniuę wykładów w trzech języ-

---

[1]) *Zakłady uniwersyteckie, passim.*

[2]) F. Skobel: *Wiadomość o stanie Wydziału lekarskiego... za rządu austryackiego* (*Rocznik Wydz. lek. Uniw. Jag.*, t. V, str. 185—186).

[3]) *Zakłady uniwersyteckie*, str. 364, 484 i 499.

kach, łacińskim, polskim i niemieckim, chociaż zawsze z przewagą tego ostatniego.

Przewaga ta nie potrwała, na szczęście, długo, bo już w r. 1809, jak wiadomo, wydostał się Kraków dzięki zwycięzkiej kampanii ks. Józefa Poniatowskiego z pod rządów austryackich i został wcielony wraz z Galicyą zachodnią do Księstwa Warszawskiego.

V.

Z powrotem rządów polskich w Krakowie stracił, rozumie się, Uniwersytet Jagielloński natychmiast narzucony mu charakter niemiecki. Ks. Józef Poniatowski jeszcze przed końcem r. 1809 (2 grudnia) wydał tymczasowe rozporządzenie, w którem przywracał Akademii ustrój podobny do ustanowionego przez Komisyę Edukacyjną i język wykładowy polski. Rząd Księstwa zatwierdził tę przemianę z pewnemi modyfikacyami i poddał Szkolę krakowską pod opiekę warszawskiej Izby Edukacyjnej, a następnie utworzonej w r. 1811 Dyrekcyi edukacyi narodowej [1]). Rządy w Uniwersytecie objęła Rada akademicka, w skład której mieli wchodzić rektor, dziekani Wydziałów, czterej dyrektorowie, dyrektor gimnazyów, dyrektor szkół początkowych, prokurator i sekretarz. Rektor zachował całą władzę dawną, prócz władzy sądowniczej, którą mieli sprawować osobni sędziowie pokoju. Na katedrach zatrzymano kilku profesorów niemieckich, którzy podjęli się wykładać po polsku, na inne po części posprowadzano usuniętych przez rząd austryacki nauczycieli, po części nowe siły [2]). Ważnym dla dalszego rozwoju Uniwersytetu był fakt, że dnia 18 grudnia 1809 r. zawiązało się w Krakowie towarzystwo naukowe pod nazwą „Instytutu naukowego krakowskiego“, którego członkami mieli być profesorowie Uniwersytetu, a nadto i inni uczeni. Instytut ten wprawdzie nie wszedł, z powodu politycznego

---

[1]) H. Seredyński: *Zapiski do dziejów instrukcyi publicznej. (Arch. do dziej. lit. i ośw.*, t. I, str. 134–135 i 158).

[2]) *Zakłady uniwersyteckie,* passim.

zamętu tych czasów, w życie za Księstwa Warszawskiego; ale stanowił bądź co bądź zawiązek późniejszego Towarzystwa Naukowego krakowskiego, którego losy przez lat kilkadziesiąt były najściślej związane z losami Uniwersytetu [1]).

Księstwo Warszawskie miało byt krótkotrwały, a Kraków korzystał z jego opieki tylko przez lat parę; nie mogły się więc w tak krótkim czasie objawić nawet skutki dobroczynne rządów polskich, zwłaszcza że wypadki polityczne odrywały nietylko młodzież, ale i nauczycieli od zajęć naukowych, a zarazem wyczerpywały kraj i społeczeństwo do najwyższego stopnia pod względem materyalnym. Warunki bytu były tak twarde i uciążliwe, że trzeba uważać za prawdziwą zasługę, za dowód wielkiej odporności wobec nieprzyjaznych losów i niezwykłej wytrwałości — już sam fakt istnienia i nieprzerwanego działania najwyższej Szkoły krakowskiej, w czasach, kiedy kraj stał nad przepaścią bankructwa materyalnego i uginał się pod nawałem wielkich zawikłań dziejowych. Uniwersytet nie podniósł się na wyższy poziom, ale nie upadł, nie dał się złamać — i to już było postępem.

Na bardziej normalne, choć bynajmniej nie równe i stałe tory rozwoju wstąpił Uniwersytet dopiero w czasie, kiedy Kraków został na mocy postanowienia Kongresu wiedeńskiego „wolnem miastem“ z osobnym ustrojem konstytucyjnym, pod opieką trzech mocarstw rozbiorowych. Rzeczpospolita Krakowska istniała, jak wiadomo, tytularnie przynajmniej, do r. 1846, a więc i Uniwersytet podlegał w całym okresie czasu od r. 1815—1846 władzom „wolnego miasta“ i zarazem, rozumie się, kurateli rządów opiekuńczych.

Bo „wolne miasto“ Kraków było, jak wiadomo, wolnem tylko z nazwy, a faktycznie podlegało pod każdym względem samowoli rządów opiekuńczych. Uniwersytet poniósł z powodu nowej zmiany politycznej ciężkie straty materyalne; bo wskutek oddzielenia okręgu krakowskiego od reszty ziem polskich, znaczna część uszczuplonego i tak już od czasu rozbiorów „posagu Akademii“ przeszła pod rządy

[1]) J. Majer: *Pogląd historyczny na Towarzystwo Naukowe krakowskie.* (*Rocznik Tow. nauk. og. zb.*, t. XXV, str. 23—26 i 161—164).

obce, które mimo długoletnich zabiegów władz uniwersyteckich i rządu Rzeczypospolitej Krakowskiej nie uznały za właściwe zwrócić zabranego majątku [1]). Pozostały więc w posiadaniu Akademii te tylko dobra i źródła dochodów, które leżały w obrębie miasta i okręgu krakowskiego. Jak ogromną stratę poniósł Uniwersytet krakowski w owym czasie, wykazał to dowodnie Meciszewski, obliczywszy, że podczas gdy ogólna wartość majątku uniwersyteckiego w tych jego rozmiarach, jakie posiadał za czasów Kołłątaja, wynosić mogła w r. 1815 blisko 15 milionów złp., to cały majątek, jaki pozostał Akademii po utworzeniu Rzeczypospolitej Krakowskiej, nie wart był więcej jak 2,165.219 złp. [2]). Musiał więc odtąd skarb Rzeczypospolitej przykładać się w części do utrzymania Uniwersytetu z dochodów państewka, które nie miało więcej jak 23 1/2 mil kwadratowych obszaru. Znowu więc wypadło pracować nad podtrzymaniem i podniesieniem Uniwersytetu wśród nader trudnych i nieprzyjaznych warunków. Zadanie było niezwykle ciężkie, zwłaszcza, że obok przeszkód materyalnych stawały rządowi Rzeczypospolitej w drodze trudności politycznej natury; najbardziej dotkliwie dało się „wolnemu“ miastu i jego najwyższej szkole we znaki zamknięcie lub utrudnienie dostępu do Krakowa dla młodzieży z pod innych zaborów. Już w r. 1823 mianowicie, rząd Królestwa polskiego pod naciskiem W. Ks. Konstantego i Nowosilcowa wydał okólnik, nakazujący młodzieży polskiej, pochodzącej z Królestwa, opuścić szkoły krakowskie i odtąd przypływ uczniów z tamtej strony ustał zupełnie [3]).

Te wpływy zewnętrzne, przymusowe dawały także powód do częstych zmian w ustroju Uniwersytetu i w jego stosunku do władz zwierzchniczych. Pierwotna organizacya, którą Uniwersytet otrzymał w r. 1818, uległa dwukrotnej odmianie: raz w r. 1826 i drugi raz w r. 1833, a każda z tych odmian nakładała bardziej ścisłe i krępujące więzy

---

[1]) Meciszewski: *Posag Uniwersytetu Jagiellońskiego,* str. 7—22 i 174—182.

[2]) Tamże, str. 34—38.

[3]) Tessarczyk: *Rzeczpospolita Krakowska* (Kraków, 1863), t. I, str. 157—163.

jedynemu od r. 1831 wyższemu zakładowi naukowemu polskiemu na ziemiach dawnej Polski.

Obmyśleniem powtórnej organizacyi zajmował się osobny „Komitet konstytucyjny“ ustanowiony przez Komisyę organizacyjną Rzeczypospolitej w r. 1816, przez dwa lata, tak, że dopiero dnia 16 października 1818 r. przyszło do ogłoszenia t. zw. „Statutu organicznego Uniwersytetu krakowskiego“ [1]). Statut ten przyznawał Akademii nazwisko Uniwersytetu Jagiellońskiego; ustanawiał nowy zarząd Uniwersytetu, który miał się składać z Wielkiej Rady, Senatu i Rady rektorskiej; do Wielkiej Rady powoływał prezesa senatu rządzącego, biskupa krakowskiego, jednego senatora, prezesa sądu apellacyjnego, rektora Uniwersytetu, trzech członków mianowanych przez trzech t. zw. konserwatorów (wyznaczanych od rządów opiekuńczych); wprowadzał podział na cztery wydziały; określał liczbę profesorów dla każdego wydziału: mianowicie 4 dla teologicznego, 5 dla prawniczego, 7 dla lekarskiego, 12 dla filozoficznego; określał plan naukowy, w którym znalazły uwzględnienie między innemi wykłady prawa natury, prawa narodów, prawa powszechnego publicznego, konstytucyi krakowskiej, jakoteż umiejętności politycznych na Wydziale prawniczym, wykłady wszystkich prawie działów nauk lekarskich na Wydziale medycznym; wykłady literatury klassycznej, starożytnej greckiej i rzymskiej, języków wschodnich, literatury polskiej z porównaniem literatury innych języków słowiańskich, historyi geografii statystycznej, filozofii teoretycznej i praktycznej i wykłady wszystkich przedmiotów przyrodniczych i matematycznych na Wydziale filozoficznym. Podtrzymane zostało istnienie wszystkich zakładów uniwersyteckich i klinik. Rektorowi przysługiwało prawo sądzenia i karania w tym zakresie, w jakim względem nieakademików przysłużało takie prawo policyi Rzeczypospolitej; od wyroków rektora szła apellacya do senatu, od senatu do wielkiej Rady Uniwersytetu. „Dla nadania więcej świetności Uniwersytetowi i dla ułatwienia tej opieki szczególniejszej mu przyrzeczonej“ Uniwersytet

[1]) Tessarczyk, j. wyżej, t. I, str. 67—69. Por. druk współczesny p. t. *Statut organiczny Uniwersytetu krakowskiego.*

miał wybierać trzech konserwatorów „z grona najznakomitszych obywateli trzech krajów pogranicznych mocarzy protegujących“, za których zadanie główne statut podawał „wstawianie się za Uniwersytetem u swoich monarchów“. Budżet Akademii na rok 1817—1818 został oznaczony na 401.200 złp.

Ta organizacya Uniwersytetu, dosyć swobodna, gwarantująca jeszcze poniekąd dawny samorząd Akademii, utrzymała się w niezmienionej formie tylko lat ośm tj. do r. 1826; słabą jej stroną był nazbyt skomplikowany skład władz uniwersyteckich, jak niemniej i to, że zmniejszała liczbę sił nauczycielskich do 28, podczas gdy za czasów austryackich (1805—1809) było razem profesorów zwyczajnych 35 i 5 nadzwyczajnych, względnie docentów [1]). Uszczuplenie to było oczywistym skutkiem zubożenia Uniwersytetu, spowodowanego określoną już wyżej utratą znacznej części majątku.

Nową zmianę w organizacyi szkoły krakowskiej przyniósł, jak wspomnieliśmy, rok 1826. Sprowadziły ją znowu okoliczności zewnętrzne, polityczne: wpływ tego prądu reakcyjnego, którego duszą był Metternich, a jedną z najciężej doświadczanych ofiar Rzeczpospolita Krakowska. Powód bezpośredni do dalszych obostrzeń, i ograniczeń dała co prawda, po części i sama młodzież krakowska, której niesforność sprawiała w czasie między r. 1820—1825 niemało kłopotów prezesowi Rzeczypospolitej, Wodzickiemu i wywołała przykre i nagany godne zajścia, zwłaszcza w r. 1820 [2]). Celem tej reorganizacyi było zapewnienie władzom Rzeczypospolitej i sądom apellacyjnym ściślejszej kontroli i kurateli nad instytucyą. Dlatego przedewszystkiem do składu wielkiej Rady Uniwersytetu dodano jeszcze „jednego senatora, jednego członka kapituły, jednego profesora wysłużonego i drugiego członka z wyboru reprezentacyi, z tem atoli zastrzeżeniem, ażeby senatorowie ani członkowie reprezentacyi nie byli brani z osób do grona akademii należących“. Dalej,

[1]) H. Seredyński: *Zapiski do dziejów instrukcyj publ. (Arch. do dziejów liter. i oświaty*, t. I, str. 253—258.

[2]) *Pamiętniki* hr. Stanisława Wodzickiego, str. 92—112 i 130—175. Mieroszowski: *Dzieje Rzeczypospolitej krakowskiej* (*Przew. nauk. i liter.* rok 1886, tom XIV) str. 544—554.

ażeby usunąć o ile możności profesorów od udziału w sprawach politycznych, rozporządzono, ażeby „oprócz senatora corocznie z mocy artykułu IV. konstytucyi delegować się mającego (z Akademii), trzech członków Akademii, w myśl artykułu XI tejże konstytucyi do składu reprezentacyi wchodzących, żaden profesor czynny nie był od prac swoich odrywanym“. Dalej miał odtąd nad Uniwersytetem sprawować stale ściślejszy nadzór jeden z senatorów z tytułem komisarza rządowego. Co więcej, „biorąc naukę z dawnych wypadków, uznano za potrzebne zrobić co do karności szkolnej różnicę pomiędzy przewinieniem z płochości wieku młodzieńczego pochodzącem a policyjnemi przestępstwami lub zbrodnią, rozpoznawanie pierwszych, karanie — władzy nauczycielskiej, drugich — sądom krajowym zostawiając“. Wreszcie biskup krakowski otrzymał prawo „wglądania w sposób dawania nauk teologicznych“, a zarząd Uniwersytetu polecenie, aby „uwagi jego (biskupa) w tej mierze, również jak nad obyczajami uczniów czynione, były przez rektora poważane“. Zmiany powyższe zyskały moc obowiązującą w r. 1826; pierwszym kuratorem generalnym mianowany został przez dwory opiekuńcze Józef hr. Załuski.

Nie była to jeszcze ostatnia reforma formalna, administracyjna, której podległ Uniwersytet Jagielloński za czasów Rzeczypospolitej. Do nowych przekształceń dały powód zmienione stosunki, wytworzone wskutek powstania z r. 1830 – 1831. W r. 1833 ustanowiły rządy opiekuńcze, jak wiadomo, Komisyę reorganizacyjną, która miała przeprowadzić rewizyę konstytucyi „wolnego miasta“ Krakowa. Byli członkowie tej Komisyi od początku i pozostali do końca samorządcami Rzeczypospolitej; to też i nowy „Statut organiczny“, który Uniwersytetowi przepisali w r. 1833 (dnia 24 sierpnia), został mu narzucony samowolnie, zupełnie po myśli rządów zaborczych. Jest rzeczą wysoce charakterystyczną, że urzędowy tekst tego statutu (z liczbą 5269) wyszedł drukiem w dwóch tekstach obok siebie, w tekście polskim i niemieckim! Najważniejsze rozporządzenie tego statutu mieści się w jego paragrafie pierwszym. Znosił ten paragraf prawie zupełnie samorząd władz uniwersyteckich, orzekając, że „Uniwersytet... zostaje pod naczelnym dozorem i kierunkiem rządzącego se-

natu“, że „umieszczone przy nim osoby, równie jak uczniowie, podlegają zwyczajnym ustawom i władzom sądowym kraju“ a „bezpośrednie wykonanie takowego naczelnego dozoru i kierunku poruczone jest ustanowionemu na ten cel komisarzowi, który nosić będzie tytuł *Komisarza rządowego*“. Podtrzymywał zresztą statut dawniejsze władze tj. wielką Radę Uniwersytetu i Senat; zmieniał natomiast skład grona nauczycielskiego, ustanawiając liczbę profesorów na Wydziale teologicznym na 4, prawniczym — na 4, lekarskim — na 9 (i 4 adjunktów), filozoficznym — na 8 (i 4 adjunktów); ilość więc katedr została znowu o trzy zmniejszoną (25 zamiast 28). Obok komisarza rządowego istnieć miała dalej także dawniejsza instytucya konserwatorów Uniwersytetu, a temsamem rażąca już poprzednio komplikacya władz i urzędów akademickich nadzorczych została jeszcze bardziej zawikłaną i pogmatwaną.

A jednak mimo tych wszystkich ograniczeń, mimo znacznego uszczuplenia dochodów, mimo przecięcia dopływu młodzieży polskiej z Królestwa, mimo policyjnej i szykanującej kurateli rządów opiekuńczych, Uniwersytet nie zginął, lecz owszem i teraz rozwijał się dosyć, względnie przynajmniej, pomyślnie. W braku innych pomyślnych warunków, miał przynajmniej ten przywilej najbardziej szacowny, że z katedr jego można było nauczać w języku ojczystym. Znaleźli się też w gronie nauczycielskim prawdziwi obywatele, którzy poczuwali się do obowiązku poświęcania wszystkich sił własnych, a niekiedy i środków osobistych; dla dobra Uniwersytetu. Nie pozwolono upaść żadnemu z zakładów, owszem, tworzono od czasu do czasu nowe. Biblioteka Jagiellońska została starannie uporządkowana dzięki usiłowaniom dwóch wzorowych bibliotekarzy, Jerzego Samuela Bandtkiego (1811—1835) i Józefa Muczkowskiego (1835—1858), którego niestrudzone, pełne miłości i zapału zabiegi około rozwoju Szkoły krakowskiej w ogóle są godne szczególnego uznania [1]). Wypada też na tem miejscu podnieść, że rząd Rzeczypospolitej przystąpił w r. 1839 do restauracyi dawnego Collegium Jagiellońskiego, w którem była pomieszczona Biblioteka i po-

[1]) *Zakłady uniwersyteckie*, str. 52—68.

wierzywszy kierownictwo tego przedsięwzięcia Karolowi Kremerowi, nie szczędził funduszów na jego wykonanie [1]). Józef Łęski, Maksymilian Weisse i Jan Kanty Steczkowski, czynni w Uniwersytecie od r. 1811, względnie od r. 1825, całą duszą oddali się pracy nad podniesieniem obserwatoryum astronomicznego i wywalczyli dla jego prac uznanie po za granicami ziem polskich. Gabinet fizyczny pod zarządem prof. Markiewicza od r. 1813 do r. 1838 powiększył w dwójnasób swoje zbiory. Dopiero od r. 1823 wszedł zakład anatomiczno-patologiczny na tory prawdziwie umiejętnego rozwoju. W r. 1837 powstał nowy gabinet farmakognostyczny [2]). Wreszcie prawdziwie twórczą i płodną w najświetniejsze rezultaty była działalność Józefa Brodowicza, który w okresie czasu od r. 1823—1850 jako profesor patologii i terapii, wielokrotnie wybierany dziekanem Wydziału, rektorem Uniwersytetu, a nawet czas jakiś spełniający funkcye komisarza rządowego wszystkich zakładów naukowych Rzeczypospolitej, niespożyte położył zasługi około podniesienia poziomu nauki w Uniwersytecie, ulepszenia jego zakładów, a zwłaszcza urządzeń kliniki lekarskiej [3]). Godzi się też przypomnieć, że na czasy Rzeczypospolitej przypadają także początki działalności obywatelskiej i nauczycielskiej Józefa Majera (od r. 1833). Mniej pomyślnie rozwijały się inne Wydziały, zwłaszcza teologiczny i prawniczy, z których żaden nie może się wykazać w tym okresie czasu lepszemi siłami naukowemi (Antoni Zygmunt Helcel był nadzwyczajnym profesorem prawa polskiego krótko, bo tylko przez rok 1832—1833, a miał powrócić na katedrę dopiero za rządów austryackich).

Wydział filozoficzny natomiast zyskał jedną wielce szanowną innowacyę w r. 1818, kiedy z rozporządzenia statutu organicznego zostały ustanowione posady profesorów rysunku,

[1]) J. Łepkowki: *Ozabytkach Kruszwicy, Gniezna i Krakowa*, str. 310—326 (historya restauracyi).

[2]) *Zakłady uniwersyteckie*, str. 110—120, 323—330, 376—380, 414—418.

[3]) Por. dzieło tegoż J. Brodowicza: *Przegląd ogólny swojego zawodu lekarsko nauczycielskiego* (Kraków, 1871) i jego wydawnictwo: *Ważniejsze dokumenta odnoszące się do udziału w sprawach i losach zakładów naukowych* (Kraków, 1874).

malarstwa i rzeźby, a temsamem stworzona przy Uniwersytecie szkoła malarska, która też w istocie, zreorganizowana w r. 1833, zachowała związek swój z Uniwersytetem aż do r. 1873, to jest do chwili utworzenia Szkoły Sztuk Pięknych [1]). Dobrą sławę Wydziału filozoficznego ratował głównie Michał Wiszniewski, profesor w czasie od r. 1830—1846; wykładał on w ciągu tego szesnastolecia kolejno historyę powszechną, historyę literatury powszechnej i wreszcie polskiej, a nadto ogłosił siedm pierwszych tomów swego wielkiego historyczno-literackiego dzieła.

Jako objaw postępowy trzeba podnieść wreszcie także fakt, że w r. 1815 przyszło w Krakowie z inicyatywy profesorów Uniwersytetu do zawiązania (na zasadach za Księstwa Warszawskiego określonych) „Towarzystwa Naukowego“, które się poddało pod zwierzchni zarząd Rady rektorskiej, przybrało nazwę „Towarzystwa Naukowego z Uniwersytetem Jagiellońskim złączonego“ i związek ten, który wydawał obfite owoce w pracach zbiorowych i w wydawnictwie Roczników, utrzymało także przez lat kilkadziesiąt, bo do r. 1856 [2]).

VI.

W r. 1846 przestała, jak wiadomo, istnieć Rzeczpospolita Krakowska. Kraków wraz z okręgiem został wcielony do monarchii austryackiej. I zrazu pociemniał horyzont nad nieszczęśliwą Szkołą Jagiellońską. Rząd austryacki objawił odrazu dążność germanizacyjną. Przez lat niespełna dziesięć utrzymywał się wprawdzie język wykładowy polski dla większej części wykładów; ale już od r. 1847 zaczęto wprowadzać pewne wykłady w języku niemieckim. Rewolu-

[1]) Wł. Łuszczkiewicz: *Przegląd krytyczny dziejów Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie. (Bibl. war.* 1875, t. III i IV). Jerzy hr. Mycielski: *Sto lat dziejów malarstwa w Polsce 1760—1860* str. 136—140, 144—152, 261—283.

[2]) *Pamiątka obchodu pięćdziesiątej rocznicy zawiązania Towarzystwa* (Kraków 1868). J. Majer: *Pogląd historyczny na Towarzystwo Naukowe krakowskie* (Rocznik Tow. t. XXV, z r. 1858, str. 23 - 87).

cya z r. 1848 zdawała się zapowiadać odrodzenie Uniwersytetu w duchu narodowym; ale reakcya, która później przyszła, rozwiała różowe nadzieje i złudzenia patryotów. Dawny system wziął w r. 1853—1854 górę. Odtąd stał się język niemiecki wykładowym i urzędowym na Uniwersytecie krakowskim, i po kilku latach germanizacya instytucyi była faktem dokonanym. Dwaj tylko profesorowie opierali się jej do ostatka, mianowicie Majer i Kozubowski na Wydziale medycznym; nadto niektóre przedmioty z działu praktycznej nauki, jakoteż literatura polska, były wykładane stale po polsku. Następstwa tych wszystkich zmian opóźniły znowuż pomyślny rozwój Uniwersytetu. Na wiele katedr wprowadzono Niemców, którzy uważali Uniwersytet krakowski jako stadyum przejściowe tylko dla dalszej karyery naukowej i krótko zazwyczaj na nim przebywali. „Jeżeli germanizacyę Uniwersytetu Jagiellońskiego — czytamy w interesującym wstępie do *Kroniki Uniwersytetu* (od r. 1864 do r. 1887) [1]) — nie pociągnęła za sobą zbyt wielkiej szkody, to dlatego jedynie, że i za czasów germanizacyi nauczali tu przeważnie krajowcy. Niejednego wysłano wprawdzie w dalekie strony, żeby ich zastąpić przybyszami zdaleka; pozostali jednak inni na miejscu, a ci, łamiąc się w wykładach z trudnościami obcego i dla nich i dla słuchaczy języka, w zetknięciu osobistem po za wykładami, mogli choć w części wynagrodzić to złe, jakiem było potępienia godne i potępione powszechnie ze stanowiska pedagogii i dydaktyki nauczanie w języku obcym. Dlatego to germanizacya była przeważnie czysto zewnętrzną, mogła w stosownej chwili zniknąć nagle, nie pozostawiając prawie śladu po sobie". Większa część katedr w istocie stale pozostawała w rękach krajowców — i z każdym prawie rokiem rósł zastęp ludzi zdolnych i gruntownie przygotowanych do zawodu nauczycielskiego, którzy mieli stać się po części już przed r. 1860, po części później chlubą i ozdobą Uniwersytetu. Nauczał dalej Józef Majer, od r. 1848 już profesor fizyologii, r. 1851 objął klinikę lekarską Józef Dietl, znakomity praktyk, pierwszorzędny pedagog, który umiał sobie w krótkim cza-

[1]) Ustęp na str. 4—5.

sie zaskarbić podziw i miłość młodzieży. Krótko tylko przebywali na katedrach Antoni Małecki (filologii), Helcel (historyi polskiego prawa), Wincenty Pol (geografii), usunięci równocześnie w r. 1851 [1]). Od r. 1847 natomiast uczył już filozofii znakomity Józef Kremer, który służył Uniwersytetowi i istniejącej przy nim Szkole Sztuk Pięknych niestrudzenie do końca życia (t. j. do r. 1876). W r. 1848 został profesorem botaniki i dyrektorem ogrodu botanicznego Ignacy Rafał Czerwiakowski, autor ośmiotomowej *Botaniki szczegółowej* i jeden z twórców terminologii opisowej polskiej w rzeczonym przedmiocie. W r. 1850 zaczyna się także czynność nauczycielska Juliana Dunajewskiego — czynność, która wprawdzie w czasie między r. 1855 a r. 1861 doznała przerwy, ale już w krótkim pierwszym okresie była wysoce pożyteczną dla młodzieży zajmującej się umiejętnościami politycznemi. Prawdziwemi ozdobami Uniwersytetu w okresie niemieckiego wykładu byli także Karol Mecherzyński, profesor literatury polskiej od r. 1850, i Ludwik Zeiszner, mineralog.

Miało się dla tych wszystkich ludzi otworzyć szersze i swobodniejsze pole do działania z chwilą, gdy w rządzie wiedeńskim nastąpiła korzystna dla rozwoju wszystkich ludów monarchii austryackiej odmiana. W r. 1861 przywrócił Cesarz Franciszek Józef Uniwersytetowi język polski jako wykładowy, zrazu dla niektórych tylko przedmiotów. Odtąd polonizacya Uniwersytetu postępuje szybkim krokiem. Dokonywa jej postanowienie cesarskie z 30 kwietnia r. 1870, uznające język polski za jedynie wykładowy (tylko wykład języka i historyi literatury niemieckiej miał się nadal odbywać po niemiecku) [2]).

Przemiany te mają epokowe dla Uniwersytetu znaczenie. Od nich datuje się okres nieustannego postępu, okres dźwigania się Szkoły we wszystkich jej oddziałach, rozkwitu na wszystkich polach pracy umysłowej. Z roku na rok mnożą się katedry; w krótkich odstępach czasu przybywają nowe budynki, przeznaczone na zakłady naukowe; rośnie szybko zastęp znakomitych sił nauczycielskich; podnosi się statecz-

[1]) *Kronika Uniwersytetu Jagiellońskiego*, str. 20.
[2]) Tamże, str. 5—6.

nie (z małemi wyjątkami) frekwencya uczącej się młodzieży. Uniwersytet, który około r. 1860 zajmował kilkanaście starych budynków, stopniowo cały, rzec można, zabudował się na nowo, tak że wszystkie gmachy, które mu służą obecnie a rozmieszczone są po różnych dzielnicach miasta, zestawione razem, same złożyłyby się na dzielnicę, na osobną jakby wielką kolonię naukową. Niespożyte zasługi około wyjednania większych funduszów na utrzymanie i rozszerzenie Uniwersytetu położyło Koło polskie we Wiedniu i długoletni minister finansów austryackich, a były profesor Uniwersytetu, dr. Julian Dunajewski.

W r. 1870 otrzymał Uniwersytet nową budowę pracowni i gabinetu chemicznego przy ul. Jagiellońskiej; w początkach r. 1871 oddany został do użytku naukowego gmach zakładu anatomicznego przy ul. Kopernika; w r. 1871 także doczekała się wykończenia starożytna budowla Biblioteki Jagiellońskiej, nad której restauracyą pracowano z przerwami od r. 1839; w r. 1872 uległ przebudowaniu i gruntownemu rozszerzeniu budynek kliniczny; a co najważniejsza, w ciągu lat 1883—1887 stanęły mury monumentalnego gmachu „Collegium Novum“, wzniesionego wedle planów Feliksa Księżarskiego. I na tem nie koniec: bo w dwa lata później zajęła i Klinika chirurgiczna nowy budynek; w r. 1895 otrzymał Wydział medyczny doskonałe pomieszczenie dla swoich zbiorów i zakładów w ogromnym budynku, wzniesionym na Grzegórzkach; w r. 1898 wreszcie przyszło do otwarcia nowego gmachu Kliniki okulistycznej [1]).

Osobno trzeba zaznaczyć, iż w r. 1890 przybył Uniwersytetowi piąty oddział naukowy w t. zw. *Studyum rolniczem.*

Zwiększał się równocześnie z roku na rok zastęp profesorów i zastęp uczniów. Najlepsze pojęcie o postępie na tem polu da porównanie składu Uniwersytetu z r. 1864 z obecnym składem. W r. 1864 nie było w całym Uniwer-

[1]) Por. *Kronikę Uniwersytetu Jagiellońskiego* (passim) i nadto *Pamiętnik Zakładu fizyologicznego* (Kraków 1895) str. 48 do 51 i prof. B. Wicherkiewicza: *Wiadomości z kliniki okulistycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego* (Kraków 1898), str. 92—101.

sytecie więcej niż 51 prelegentów, a wśród nich 34 profesorów zwyczajnych, 2 tylko nadzwyczajnych, 7 zastępców i 8 docentów[1]); dziś doliczyć się można 105 uczących, a więc liczba sił nauczycielskich w ciągu trzydziestu kilku lat wzrosła w dwójnasób. Samych profesorów zwyczajnych jest obecnie 51, nadzwyczajnych i tytularnych 33 i docentów 20[2]). Frekwencya młodzieży przedstawia jeszcze znaczniejszy stosunek przyrostu: bo podczas gdy w latach 1860—1870 zwyczajna liczba słuchaczy wahała się w granicach 300 do 500, to w r. 1885 przekroczyła ona już tysiączkę, a w bieżącym roku, w półroczu zimowem osiągnęła niebywałą nigdy przedtem w ciągu wieku XIX cyfrę 1331.

Lecz cyfry mają zbyt martwą wymowę, gdy chodzi o sferę ducha, o dziedzinę wiedzy. Główna siła Uniwersytetu i jego chluba w tym okresie odrodzenia była i jest w tem, że wydał w ostatnich kilku dziesiątkach lat i wydaje dotychczas uczonych pierwszorzędnej miary, z których niejeden zdobył sobie europejską sławę i stał się godnym najwyższych powołań na innych, szerszych widowniach działania. Nie brakło i takich, którzy wytrwali w wiernej służbie dla Uniwersytetu przez całe życie i nie szukając rozgłosu po za granicami kraju, oddali się badaniu rzeczy swojskich i nauce polskiej zdobyczami swej pracy nieoszacowane oddali przysługi. Wystarczy przypomnieć, że na Wydziale prawniczym nauczał jeszcze do r. 1880 Julian Dunajewski, w czasie zaś od r. 1879—1893 Stanisław Madeyski, od r. 1875—1890 Michał Bobrzyński, wszyscy trzej w toku działalności profesorskiej powołani do wyższych stanowisk — a do r. 1893 przedwcześnie zmarły Lotar Dargun. Przez długie lata służyły dalej Uniwersytetowi na Wydziale medycznym takie znakomitości, jak Józef Majer, czynny jako prelegent do r. 1878, a dopiero niedawno zmarły jako emeryt; dalej Józef Dietl (profesor do r. 1865, zmarły w r. 1878), Ludwik Teichmann, znakomity anatom i preparator (od r. 1861—1894, zmarły

[1]) *Kronika Uniwersytetu Jagiellońskiego*, 1864—1887, str. 8 i *Skład Uniwersytetu w r. 1899—1900* (półrocze letnie).

[2]) Por. daty zestawione w *Kronice Uniwersytetu* 1864—1887, str. 244—245 i cyfry, podane na okładce *Składu Uniwersytetu* z r. 1899—1900.

w r. 1896) i Alfred Biesiadecki, który po ośmiu latach wykładów przeniósł się był (w r. 1876) do Lwowa, gdzie też życia dokonał. Dalej, na Wydziale filozoficznym, prawdziwą ozdobą i chlubą Uniwersytetu były takie siły jak Józef Kremer, który wytrwał na stanowisku nauczycielskiem do r. 1875, długoletni profesor archeologii Józef Łepkowski († 1894) i przedwcześnie zmarły znakomity fizyk Stanisław Wróblewski, za którym niedawno poszli do grobów Lucyan Malinowski, Anatol Lewicki i niemało innych uczonych, gruntownych, pełnych zapału pracowników. Górowała zaś nad wszystkimi za życia i góruje do obecnej chwili w pamięci potomnych, nieskazitelna, potężna postać Józefa Szujskiego, który blaskiem swej mądrości, światłem głębokiej wiedzy, czystością cnoty jaśniał przez lat kilkanaście (1869—1883) wśród grona krakowskich profesorów!

Wszyscy ci wielcy uczeni, mają prócz osobistych zasług naukowych, jeszcze i tę wielką społeczną zasługę, że ustępując z katedr albo schodząc ze świata, pozostawili Uniwersytetowi godnych siebie następców, którzy podtrzymują i podnoszą dobrą sławę Szkoły Jagiellońskiej do dnia dzisiejszego. Wymieniać ich nie będziemy; czyny i dzieła żyjących mówią same za siebie.

Dr. Wiktor Czermak.

„PRZEGLĄD POLSKI“

pismo naukowe i literackie, wychodzi rok trzydziesty czwarty w Krakowie, w pierwszych dniach każdego miesiąca, w zeszytach zawierających 10 — 12 arkuszy druku w 8ce (rocznie najmniej 120 arkuszy druku).

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Prof. Dr. Jerzy Mycielski.**

Prenumerata na „Przegląd Polski“ z przesyłką pocztową:

	rocznie:	półr.:	kwart.:
w Austryi	16 złr.	8 złr.	4 złr.
„ Niemczech . . .	32 mar.	16 mar.	8 mar.
we Francyi, Belgii, Włoszech i w Ameryce	40 fran.	20 fran.	10 fran.

Cena pojedynczego zeszytu 1 złr. 50 ct.

Przedpłatę należy nadsyłać pod adresem Administracyi „Przeglądu Polskiego“: Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie.

Prenumeratę przyjmują wszystkie znaczniejsze księgarnie oraz urzędy pocztowe w kraju i za granicą.

Dla wszystkich osób stanu nauczycielskiego i dla duchownych prenumerata „Przeglądu Polskiego“ wynosi:

rocznie w Austryi . . . . . 12 złr.
„ w Niemczech . . . 24 mar.
„ we Francyi . . . . 35 fran.,
którą przyjmuje wyłącznie tylko Administracya.

W DRUKARNI «CZASU» POD ZARZĄDEM JÓZEFA ŁAKOCIŃSKIEGO.

Biblioteka Śląska w Katowicach
ID: 0030002011163
II 4501/34/4/1900